

BRENDA JOYCE

DOM SNÓW

*Tę książkę dedykuję
Jennifer Enderlin i Cheryl Nesbit,
dwóm moich najlepszym przyjaciółkom,
bez których powieść by nie powstała.
Z miłością i podziękowaniem!*

CZEŚĆ PIERWSZA

TAJEMNICA

ROZDZIAŁ 1

*Siedziba rodu Belfordów, hrabstwo East Sussex.
Współcześnie*

Gdzie, do diabła, podziwia się jej siostra?

Cass przeżyła większość życia w cieniu młodszej siostry; Tracey była jedną z najpiękniejszych i najelegantszych kobiet, jakie znała. Na nieszczęście miała zwyczaj wszędzie się spóźniać. Cass bardzo się tym przejmowała. Zwłaszcza dziś powinna być punktualna. Choć raz.

W ciągu dwóch godzin domostwo zapełni się gośćmi Tracey. Mężczyznami z listy najbogatszych ludzi według magazynu „Forbes” i ich żonami w najmodniejszych kreacjach. Będzie dziwny milioner z Doliny Krzemowej, pojawią się sławy, dygnitarze, prasa, dwaj japońscy bankierzy, kilka gwiazd rocka, izraelski armator, ambasador któregoś z wielkich państw, doborowa grupa arystokracji brytyjskiej. Na samą myśl serce Cass zaczęło bić szybciej.

Przede wszystkim jednak Tracey powinna była przybyć wcześniej, ponieważ od trzech miesięcy nie odwiedziła własnej córki, rozmawiając z nią jedynie przez telefon dwa razy w tygodniu.

Cass stała zdenerwowana przy oknie, wpatrując się w biały podjazd i w łagodne zielone wzgórza. Czuła na ciele krople potu. Krowy rasy mlecznej wydawały się z tej odległości białymi punktami na murawie pastwiska, ciągnącego się między posiadłością a wioską Belford, której dachy, kryte jasnosza-

rym kamieniem, prześwitywały wśród drzew. Dzień był pochmurny, powietrze zamglone, lada chwila groził deszcz. Mimo złej widoczności Cass dostrzegała z okna mury najbliższego miasteczka, Romney, znanego ze swej atrakcji turystycznej - wspaniale zachowanego zamku wzniesionego pięć wieków temu na jednym ze wzgórz otaczających dolinę. Na wąskiej szosie wijącej się w tym wiejskim krajobrazie nie zauważyła ani jednego samochodu.

- Gdzie jest mama? Dlaczego jeszcze nie przyjechała? - odezwał się dziecięcy głosik.

Cass poczuła ból żołądka, odwracając się w stronę siedmioletniej siostrzenicy.

- Mama będzie lada chwila, jestem tego pewna - skłamała. A w duchu pomyślała: Proszę, Tracey. Zrób to dla Alyssy, dla mnie, przyjeźdź jak najszybciej!

Alyssa usiadła na nieskazitelnie zaślanyim biało-różowym łóżeczku, ozdobionym mnóstwem ślicznie haftowanych poduszek w kolorze bieli, różu i czerwieni, harmonizujących w barwach z sypialnią. Miała na sobie nowiutkie ubranie - krótką, jasnobłękitną sukieneczkę od Harrodsa, granatowe pończochy i czarne zamszowe buciki. Jej kruczoczarne włosy były zaczesane do tyłu i ujęte klamrą z szylkretu, świeżo umyta buzia aż lśniła. Alyssa była bardzo ładna, ale w niczym nie przypominała matki.

- Miała przyjechać godzinę temu - odezwała się ponurym głosem. - Co będzie, jeśli w ogóle się nie zjawi?

Cass podbiegła do siostrzenicy, która wyraziła głośno jej własne obawy.

- Na pewno przybędzie, możemy się założyć. To jej przyjęcie, chociaż formalną gospodynią jest ciotka Catherine. Przecież wiesz o tym. Mama musi się pokazać.

Alyssa skinęła głową, lecz nie wydawała się przekonana.

Cass zdawała sobie sprawę, że jej młodsza siostra jest szalona i nieodpowiedzialna, ale nie do tego stopnia, by się nie pojawić z takiej okazji. Kolacja została wydana w związku z jej nową pracą w słynnym na cały świat domu aukcyjnym Sotheby w Londynie. Gdy tylko Tracey zapytała ciotkę, czy można by zorganizować przyjęcie i przedstawić na nim nad-

zwyczajny, zabytkowy naszyjnik potencjalnej grupie klientów, Catherine chętnie wyraziła zgodę. Ich ciotka rzadko odmawiała czegokolwiek swoim dwóm siostrzenicom. Cass poczuła teraz dotkliwy ból w skroniach. Tracey przecież przyjedzie, prawda? - pytała sama siebie w duchu.

Nie mogła sobie wyobrazić, jak miałyby zastąpić siostrę i pomóc ciotce w pełnieniu obowiązków gospodyni wieczoru. W odróżnieniu od Tracey, nie należała do high-life'u. Nie zatrzymywała się w pięciogwiazdkowych hotelach, nie otaczała playboyami i graczami w polo, a w jej szafie wisiała jedna jedyna suknia wieczorowa. Nie bywała na ślubach supermodelek, jej ostatnią sympatią był dziennikarz, a nie gwiazda rocka.

- Niektórzy ludzie po prostu z natury się spóźniają- rzekła w końcu, usiłując nadać swej wypowiedzi lekki ton. - To okropny zwyczaj - dodała. Bez wątplenia, miała rację. Wiedziała, że Tracey nie robi tego celowo. Tak się po prostu stałe zdarzało i miało więcej wspólnego z jej brakiem zorganizowania niż z egoizmem. Jej siostra wiodła bardzo szczególne życie.

Niemniej Cass przez cały dzień czuła rosnące napięcie i lęk. Obawiała się, że zarówno uroczysty wieczór, jak i cała wizyta Tracey okażą się katastrofą. Była tego absolutnie pewna, choć nie mogła pojąć, dlaczego ogarnęło ją takie przeświadczenie. Miała tylko nadzieję, że jej przecucie wiszącej w powietrzu klęski nie będzie się wiązało z zastępowaniem Tracey.

- Mama jest bardzo zajęta swoją nową pracą - oznajmiła Alyssa, spuszczać ciemne oczy. Długie, czarne rzęsy rzucały cień na jej alabastrowe policzki. Mała była kopia swego ojca - gwiazdora rocka Ricka Tennanta, który objeżdżał teraz z koncertami kraje Dalekiego Wschodu.

Cass pomyślała, że może Alyssa ma rację. Praca w Sotheby wydawała się wręcz idealna dla jej młodszej siostry, bo ona miała kontakt z bogatymi i sławnymi, a dom aukcyjny zyskiwał na jej statusie społecznym i znajomościach w środowisku uprzywilejowanych i dobrze urodzonych. Od czasu małżeństwa, a tym bardziej od rozwodu Tracey była bohaterką ko-

lorowych pism, stale się nią zajmowano i fotografowano ją z różnych okazji.

Małżeństwo Tracey z Rickiem rozpadło się przed trzema laty. Cass żałowała, głównie ze względu na Alysę, że nie trwało dłużej. Jednakże mała okazała się dla niej skarbem i Cass kochała ją jak własną córkę. Czasami zapominała, że jej młodsza siostra, gdyby tylko zechciała, mogłaby bez słowa wyjaśnienia wywieźć córeczkę z domu ciotki Catherine. Pozostawało jej tylko modlić się, by coś takiego nigdy nie nastąpiło.

- Słyszę nadjeżdżający samochód! - krzyknęła Alyssa i zerwała się z łóżeczka z radosną miną.

Cass odetchnęła z ulgą. Dziewczynka podbiegła do okna; jej wspaniałe czarne włosy powiewały jak welon. Cass natomiast pogratulowała sobie w duchu: a więc nie będzie musiała odgrywać roli gospodyni, a dziecko zobaczy w końcu matkę, za którą ogromnie się stęskniło po kilku miesiącach rozłąki, z jej perspektywy trwającej wieki.

- To nie ona! - Alyssa nie potrafiła ukryć rozczarowania.

Cass stanęła obok, znów czując gwałtowne bicie serca.

- Co takiego? Gdzież ona się podziewa?

Alyssa była na granicy łez. Cass spojrzała na jej smutną, bladą twarzyczkę i wzięła ją za rękę.

- No cóż, mama się spóźnia. Może się przejdziemy, to czas nam szybciej minie?

- Ja raczej zostanę tu, żeby nie przegapić, jak przyjedzie - rzekła Alyssa z nadąsaną miną.

Zanim Cass zdołała zaproponować coś innego, rozległo się ciche pukanie i w drzwiach ukazała się ciotka Catherine ze srebrną tacą. Spojrzała bez słowa na siostrzenicę i uśmiechnęła się do małej.

- Przyniosłam drożdżowe bułeczki z rodzynkami i herbatę. Alyso, pewnie umierasz z głodu. Nic nie jadłaś przez cały dzień.

Dziewczynka skrzyżowała ręce na piersi.

- Dlaczego mama zawsze musi się spóźniać? Czy w ogóle za mną nie tęskni?

Catherine postawiła tacę na stoliku w stylu Chippendale

stojącym w pobliżu okien w otoczeniu dwóch krzeseł pokrytych różowym aksamitem. Była wysoką, postawnie zbudowaną kobietą i chociaż miała już siedemdziesiątkę, nie wyglądała na więcej niż pięćdziesiąt lat. Rudawe włosy uczesała w kok i była nadal nadzwyczaj przystojna, z żywym błyskiem w błękitnych oczach. Ubrana w szare flanelowe spodnie, białą bluzkę i ciemny zapinany sweter wyglądała elegancko, z klasą. Pewna siebie, wzbudzała zarazem zaufanie. Cass podziwiała ją za charakter, hojność i wiele dobrych uczynków na rzecz spraw, którym ciotka poświęciła całe swoje życie.

- Oczywiście, że tęskni - odpowiedziała z uśmiechem dziewczynce. - Goście są zaproszeni na siódmą, a znając twoją mamę, której ubranie się i umalowanie na taką okazję zajmuje przynajmniej dwie godziny, przypuszczam, że powinna tu być lada chwila.

Alyssa podeszła do stolika i zerknęła na bułeczki. Od rana była tak podniecona, że zwymiotowała po śniadaniu i Cass pozwoliła małej zostać w domu, zamiast jechać na lekcje do ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt. Teraz zbliżyła się do niej, żeby ją uspokoić.

- Kochanie, na pewno się za tobą stęskniła. Przecież jest twoją mamą. Nikt inny nie jest dla niej tak ważny, jak ty, uwierz mi. Ale praca w Sotheby nie jest łatwa. Mamę wysyłają w podróże po całym świecie. Zdaje się, że parę dni temu wróciła z Madrytu. Dlatego jest bardzo zmęczona i przejęta dzisiaj wieczorem.

Alyssa spojrzała jej głęboko w oczy.

- Widziałam znowu jej zdjęcie w „Vogue'u”. W towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Czy myślisz, że ma nowego narzeczonego?

Cass nerwowo zamrugała oczami. Nie widziała ostatniego wydania tego miesięcznika. Z zasady unikała lektury pism, w których zamieszczano fotografie Tracey i doniesienia na jej temat. Nie była z natury zazdrosna, niemniej trochę ją bolało, że tak często piszą o jej młodszej siostrze, że fotografują ją w otoczeniu słynnych osobistości i że za każdym razem wygląda tak wspaniale.

- Nie wiem - odparła po dłuższym namyśle. Mówiła praw-

dę, bo Tracey nie wspomniała jej ani słowem o nowym kochanku.

Catherine pogłaskała Alysę po chudych plecach.

- Kochanie, nic się nie martw. Mama zaraz się pokaże, a wtedy sama ją zapytasz o nowego mężczyznę w jej życiu.

Dziewczynka zagryzła wargi; można było odnieść wrażenie, że za chwilę się rozpłacze.

Catherine szybko na to zareagowała, mówiąc pogodnym tonem:

- Myślę, że wszystkie jesteście wyczerpane, chociaż mamy wynajętą służbę, która od dwóch dni przygotowuje ucztę na dzisiejszy wieczór. A na dodatek wszędzie kręcą się ochroniarze z Sotheby - mnóstwo mężczyzn, którzy pilnują, żeby jakiś złodziej nie skradł naszyjnika z rubinów. Napijmy się zatem herbaty, a kiedy skończymy podwieczorek, poczujemy się lepiej i powitamy mamę, która lada chwila ukaże się w drzwiach.

Alyssa skinęła głową, siadła na krześle obitym różowym aksamitem i zaczęła machać nogami, którymi nie sięgała podłogi. Gdy wyciągnęła rękę po drożdżową bułeczkę, a Catherine nalewała im herbatę, Cass się odezwała:

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zejdę na dół i przejdę się trochę, bo brakuje mi świeżego powietrza.

- Uważam, Cassandro, że powinnaś wziąć kąpiel, dobrze się wymoczyć i spędzić jakiś czas przed lustrem, by przyszykować się do przyjęcia - poradziła jej Catherine.

Cass zerknęła na swoje odbicie w lustrze, zwracając się w stronę ciotki. Ujrzała zmęczoną twarz bez śladu makijażu, spraną bawełnianą bluzę i znoszone dżinsy. Włosy o barwie miodu, sięgające do ramion, ściągnęła w koński ogon. Podobnie jak ciotka, miała zgrabną figurę, wyraziste rysy i nieskazitelną cerę. Jednak w odróżnieniu od Catherine nie skupiała na sobie męskich spojrzeń.

Wiedziała dokładnie, co ciotka jej radzi - powinna z większą troską zadbać o wygląd i o strój, bo nigdy nie wiadomo, kogo może spotkać.

- *Moi?* Mam zadbać o siebie? Możesz wyjaśnić, co masz na myśli? - Cass zmusiła się do uśmiechu.

Nawet Alyssę rozbawiła ta uwaga.

- Pomogę się ubrać cioci Cass - oznajmiła z dumą. - Mogę pożyczyć jej moją szminkę. Ciociu, będzie ci świetnie pasowała.

Zanim Cassandra zdołała zareagować, Catherine pouczyła dziewczynkę surowym tonem:

- Alyssso, jesteś za mała, żeby mieć szminkę, a cóż dopiero żeby robić z niej użytek.

- Pomyślałam - wtrąciła Cass - że zdążę jeszcze zajrzeć do moich notatek, nad którymi siedziałam wczoraj do nocy. Byłam tak zmęczona, że zasnąłam przy biurku i zastanawiam się, czy w ogóle je odcyfruję.

Catherine spojrzała na siostrzenicę z mieszaniną rezygnacji i podziwu.

Cass wyslizgnęła się z pokoju, nie czekając, aż między nią a ciotką wybuchnie kolejny spór na temat jej obsesji - pisania powieści historycznych. W ciągu ostatnich sześciu lat wydała cztery książki kosztem całkowitej pustki w życiu osobistym. Ale nie zamierzała zrobić czegokolwiek, by ją zapełnić.

Zbiegła po schodach w półbutach na gumie. Sprzeczały się z Catherine dziesiątki razy. Ciotka bezskutecznie ją namawiała, żeby częściej wychodziła z domu, spotykała się z mężczyznami, starała się wyjść za mąż i założyć rodzinę. Nie rozumiała jednak, że Cass, opiekując się Alyssą i pisząc powieści, była zajęta do granic wytrzymałości. I to każdego dnia, czas bowiem jakby stale się kurczył.

Pokojówka uśmiechnęła się do niej, gdy przemknęła przez ciemny hol wyłożony kamiennymi płytami. Cass czuła się wewnętrznie rozdarta, myśląc o przyjeździe Tracey i o jej rychłym odjeździe. Pragnęła chronić Alyssę przed mniejszymi i większymi rozczarowaniami, a jednocześnie wewnętrzny głos podpowiadał jej, że ciotka ma absolutną rację. Pięć lat temu, gdy zmieniła swoje losy i zlikwidowała niewielkie mieszkanie w Nowym Jorku, by przeprowadzić się z Alyssą do Belford House, postanowiła zrezygnować z życia osobistego. Od tego czasu nic się nie zdarzyło, a zresztą, nie miała wyboru. Dziecko potrzebowało jej od chwili narodzin, a gdy Tracey i Rick postanowili się rozwieść, Cass doszła do wniosku,

że jeśli ona nie zajmie się małą, nikt tego nie zrobi. Nie miała wystarczających zasobów, by zostać samotną zastępczą matką, więc wprowadzenie się do siedziby ciotki okazało się zbawienne. Dotychczas ani razu tego nie żałowała.

Otworzyła drzwi wejściowe, mając po prawej stronie klomby z kwiatami, a po lewej podjazd. Kątem oka ujrzała zaparkowany czarny citroen. Jej siostra jeździła astonem-martinem. A raczej była wożona, ponieważ miała osobistego szofera. Rozwód z Rickiem zapewnił jej dostatnią egzystencję.

Na gości było jeszcze za wcześnie, więc ujrzawszy sylwetkę mężczyzny w ogrodzie, Cass zaczęła się zastanawiać, któż to mógł przyjechać. Obcy stał do niej tyłem. W pierwszej chwili wzięła go za jednego z ochroniarzy przysłanych przez Sotheby. Wysoki, ciemnowłosy, robił wrażenie świetnie ubranego; miał na sobie beżowe spodnie i czarną sportową marynarkę. Kolor spodni odróżniał go od strażników, którzy nosili czarne garnitury. Cass postanowiła podejść do niego. Odchrząknęła, żeby zapytać, czy przypadkiem nie zabłądził i czy spodziewa się pomocy.

W tym momencie mężczyzna się odwrócił.

Cass natychmiast go poznała, jeszcze zanim spotkały się ich oczy. Potknęła się z wrażenia i zaskoczona, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Co, na miłość boską, Antonio de la Barca robi w ogrodzie jej ciotki? Cass w zasadzie nie znała go osobiście, ale był on tym rodzajem mężczyzny, którego kobiety nigdy nie zapominają, nawet gdy zetknęły się z nim tylko raz w życiu. Był profesorem mediewistyki, cieszył się międzynarodową sławą i wykładał na uniwersytecie madryckim. Cass wysłuchiwała serii jego wykładów, które wygłosił przed siedmiu laty w Metropolitan Museum w Nowym Jorku. Doskonale pamiętała ich tematy: „Mit Średniowiecza”, „Fakt czy fikcja”, „Lustro naszego świata”. W tym czasie zbierała materiały do swojej trzeciej powieści historycznej, Alyssa właśnie się urodziła, ale jej siostra jeszcze się nie rozwiodła.

- *Senora*, zdaje się, że panią przestraszyłem. Proszę mi wybaczyć - rzekł z ujmującym uśmiechem. Mówił po angielsku z lekkim akcentem.

Cass usiłowała zapanować nad sobą.

- Nie spodziewałam się nikogo - wyjąkała, czując, że serce bije jej jak szalone. Co za absurd! Przecież przyjechał tutaj z pewnością zaproszony na przyjęcie. Teraz dopiero przypomniała sobie, że naszyjnik, który będzie ozdobą najbliższej aukcji w Sotheby, pochodzi z szesnastego wieku. Napisano o nim mnóstwo artykułów, wyrażających zaskoczenie niezwykłym znaleziskiem. Zapewne i profesor de la Barca zajął się jego historycznym pochodzeniem.

- Pokojówka zapewniła mnie, że mogę sobie pospacerować w ogrodzie, nie przeszkadzając nikomu, ale widzę, że wszedłem pani w drogę. Proszę jeszcze raz przyjąć moje przeprosiny. - Niespodziewany gość nosił okulary w szylkretowej oprawie, które jednak nie zasłaniały jego wspaniałych iberyjskich rysów. Spojrzenie zdradzało ciekawość i instynktowną sympatię.

Cass poczuła, że się rumieni. Nie spodziewała się, by ją poznał. Z pewnością jej nie pamiętał, choć po każdym wykładzie zadawała mu dziesiątki pytań. Zerknęła na jego ręce, ale trzymał je w kieszeniach spodni. Siedem lat temu nosił obrączkę i wszystkie słuchaczki w Metropolitan Museum plotkowały jak szalone, opowiadając, że jego żona zniknęła przed rokiem w tajemniczych okolicznościach i że odtąd ślad po niej zaginął. Cass przypomniała sobie niekończące się rozważania: czy to prawda? Czy żona uciekła? Albo może przydarzyło się jej coś strasznego? Naturalnie, nikt nie miał pojęcia, co naprawdę się stało. Niemniej ta mroczna tajemnica przydawała mu romantycznej aury w oczach kobiet uczęszczających na wykłady. Chyba każda z nich była w nim beznadziejnie zakochana.

Łącznie z Cass.

- Jestem okropną gospodynią - rzekła w końcu, odzyskując mowę. - Pan na pewno przyjechał na przyjęcie. Moją ciotką jest Catherine Belford. A ja się nazywam Cassandra de Warenne.

Przez chwilę przyglądał się jej bacznie, nie ujmując wyciągniętej ręki. Cass poczęła się zastanawiać, czy nie powiedziała czegoś niestosownego, ale w tym momencie poczuła

uścisk jego dłoni - silny, zdradzający opanowanie. De la Barca skłonił się lekko.

- Pani jest Amerykanką? - zapytał z niejakim zdziwieniem.

Widać zwrócił uwagę na jej akcent.

- Moja matka była Amerykanką i rzeczywiście, urodziłam się w Stanach, ale gdy umarła, zajęła się nami ciotka. Miałam wtedy jedenaście lat. Spędziłam w tym kraju tyle lat, że przynajmniej w połowie uważam się za Angielkę. - * Cass wyrzucała z siebie te wiadomości w szybkim tempie, co tylko podkreślało jej treść.

Profesor zdjął okulary i schował je do wewnętrznej kieszeni doskonale skrojonej marynarki.

- Studiowała pani w Barnard College?

Cass uświadomiła sobie nagle, z niemałym zażenowaniem, jak jest ubrana. Niestety, znów poczuła rumieniec na twarzy.

- Tak - odparła. - Skończyłam studia dziesięć lat temu. Wzięłam roczny urlop, a potem wróciłam, żeby zrobić dyplom magisterski.

- Prowadziłem wykłady na Uniwersytecie Columbia - rzekł de la Barca z rozbrajającym uśmiechem. - Znam dobrze obie uczelnie. Są doskonałe.

Cass wsunęła spocone dłonie do kieszeni dzinsów. Zastanawiała się, czy zachowuje się jak idiotka, rumieniąc się niczym uczennica.

- Kilka lat temu uczęszczałam na pana wykłady w Metropolitan Museum - wyjąkała.

Spojrzał na nią, ale niewiele mogła wyczytać z wyrazu jego twarzy.

Cass pożałowała swoich słów. Czy powinna była wyznać, że go pamięta? Ale brnęła dalej:

- Pan się nazywa Antonio de la Barca, prawda?

- Bardzo proszę o wybaczenie. - Przeciagnął ręką po włosach, które miały jeszcze głębszy odcień czerni niż włosy Alyssy. - Nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje. - Pokręcił głową, jakby chcąc podkreślić niezadowolenie z siebie, a następnie spojrzął Cass prosto w oczy. - Tak, siedem lat temu prowadziłem tam serię wykładów. - Coś przemknęło przez

jego twarz, ale Cass nie zdołała tego odczytać. - To świetna placówka. Odwrócił się nieco, by spojrzeć na wzgórza i wyłaniający się zza nich zamek w Romney. Cass zauważyła, że zaczęło padać.

Postanowiła zignorować deszcz. Jak również zranioną miłość własną, ponieważ zorientowała się, że w ogóle jej nie zapamiętał z tych spotkań.

- Pańskie wykłady były doskonałe, *senor de la Barca*. Słuchałam ich z wielką przyjemnością.

Spojrzał na nią. Ich oczy się spotkały.

- Czy pani jest z wykształcenia historykiem?

Przez chwilę zastanowiła się, czy powiedzieć prawdę.

- Specjalizowałam się w historii Europy, a magisterium robiłam z historii Anglii. Teraz piszę powieści o tematyce historycznej. - Nadal trzymała ręce w kieszeniach.

Oczy mu zabłyśły.

- Jakież to interesujące. - W jego głosie nie wyczuła tonu wyższości. - Czy zechciałaby pani spisać mi listę tytułów pani publikacji?

- Z przyjemnością dostarczę ją przed pańskim odjazdem - rzekła Cass, zastanawiając się w duchu, czy profesor rzeczywiście przeczyta którąś z jej książek, a jeśli tak, to ile znajdzie w niej niedokładności. - Czy przyjechał pan tu, aby obejrzeć naszyjnik?

Przytaknął z oznakami żywego zainteresowania.

- Szesnastowieczny majstersztyk, prawda? Z jego opisu wynika, że wart jest królewską sumę i że musiał należeć do jakiejś wyjątkowej osobistości. Jeśli naszyjnik jest autentyczny, w co wierzę, bo w Sotheby nie popełniają takich błędów, to ciekawi mnie przede wszystkim, do kogo pierwotnie należał. - Znow się uśmiechnął.

- Jest fantastyczny - orzekła Cass. - Naturalnie, oglądałam tylko fotografie. Rubiny są tak prymitywnie oszlifowane, że przeciętny człowiek mógłby je wziąć za szkiełka. Prawdę powiedziawszy, nie mogę się doczekać, by obejrzeć go z bliska dziś wieczorem.

Profesor skinął głową.

- Rubiny stanowiły wielką rzadkość w szesnastym wieku -

rzekł, patrząc prosto w oczy Cass. - Ich posiadaczami byli tylko najbogatsi i najpotężniejsi. Ten naszyjnik należał zapewne do królowej lub księżniczki. To, że państwo Hepplewhite odkryli go w swoim skarbcu, jest naprawdę zdumiewające.

- Czy pan wie, że lady Hepplewhite z początku chciała go wyrzucić, ponieważ była pewna, że to sztuczna biżuteria?

Ze śmiechem pokręcił głową. Cass również się roześmiała.

- Piszę właśnie powieść z czasów panowania Marii Tudor, Krwawej Mary - dodała niespodziewanie. - To fascynujący okres w dziejach Anglii, a Maria została skrzywdzona przez historyków. Uczyniono z niej stereotyp, ponieważ wcale jej nie rozumiano.

De la Barca uniósł brwi ze zdziwieniem. Znów przyjrzał się jej bacznie.

- Rzeczywiście. - Skomentował jej wypowiedź jednym słowem.

Cass przygryzła wargę.

- Nie mogę powstrzymać wyobraźni. Załóżmy, że królowa Maria w nagłym odruchu podarowała naszyjnik którejś ze swoich faworytek. Była bardzo hojna dla dworzan.

- Owszem, mogło się tak zdarzyć. - Ich oczy ponownie się spotkały. - Albo był to podarunek od jej ojca dla jednej z jego żon lub córek. Przypuśćmy też, że jego syn Edward mógł go komuś darować.

- Pasjonujące byłoby wytropienie, jak ten naszyjnik przechodził z rąk do rąk - zauważyła z rozmarzeniem Cass.

- Tak, to by było nadzwyczaj zajmujące - zgodził się Antonio de la Barca, nadal uważnie przyglądając się swojej rozmówczyni.

W jego tonie było coś takiego, że Cass poczuła wewnętrzne napięcie. Nie mogła odwrócić od niego wzroku i teraz przypomniała sobie, że po każdym wykładzie była jak zahipnotyzowana jego orzechowymi oczami, blaskiem i intensywnością spojrzenia.

Cofnęła się o krok, pragnąc się od niego oddalić. Nawet jeśli został wdowcem, był dla niej absolutnie niedostępny. A poza tym dostała twardą lekcję życia. Dokładnie osiem lat temu, tuż przed narodzinami Alyssy. Kiedy człowiek się za-

kochuje, rozsądek się ulatnia, a rezultaty bywają tragiczne. Zdarzyło się jej cierpieć z powodu nie odwzajemnionej miłości - i to zupełnie wystarczy. Mężczyznę, który złamał jej serce, znała z czasów studenckich. Bez wątpienia uczucie okazało się dla niej dużo ważniejsze niż dla niego. To doświadczenie było straszne. Nigdy nie chciałaby znowu przejść przez coś podobnego.

- Rozpadało się - odezwała się, by przerwać tę zbyt intymną w jej mniemaniu chwilę.

De la Barca spojrział w niebo i uśmiechnął się lekko, czując na twarzy rześiste krople deszczu.

- Owszem - odparł.

- Chodźmy. - Cass odwróciła się w stronę domu.

Profesor szybko zdjął marynarkę i narzucił ją na jej ramiona. Cass nie zdążyła się nawet zdziwić, gdy poczuła na łokciu silny uścisk. Na jego komendę oboje podbiegli do drzwi wejściowych.

W holu Cass wręczyła mu ociekającą deszczem marynarkę.

- Mam nadzieję, że nie jest bezpowrotnie zniszczona.

- Och, to nie ma znaczenia. - Zbagatelizował sprawę.

Teraz dopiero Cass uzmysłowiła sobie, że choć nastąpiło już późne popołudnie, ów szczególnie gość pojawił się na kilka godzin przed wyznaczoną godziną przyjęcia. Co ma z nim zrobić?

Jakby czytając w jej myślach, de la Barca wyjaśnił:

- Jestem tu umówiony z *senorą* Tennant, ale najwyraźniej jest ona mocno spóźniona.

Cass zeszywniała. On jest tu umówiony?

- Tracey to moja siostra.

Na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

- Nigdy mi nie wspomniała, że ma siostrą. Sądziłem, że pani jest jej kuzynką.

W jaki sposób poznał Tracey?

- Nie, jesteśmy rodzonymi siostrami, nawet jeśli nie jesteśmy podobne - rzekła powoli. Znow ogarnął ją niepokój, choć inny niż ten, który dręczył ją przez cały dzień.

Ten wewnętrzny lęk sprawił, że nawet nie poczuła igiełek bólu, gdy profesor z takim zdziwieniem zareagował na fakt, iż

ona i Tracey są siostrami. W istocie nikt w to nie chciał wierzyć, bo tak bardzo różniły się od siebie.

Dlaczego tutaj wyznaczili sobie spotkanie? Zanim jednak Cass zdążyła uporządkować myśli, na schodach pojawiła się Alyssa, obwieszczając z płaczem, że mama nareszcie przyjechała.

Drzwi wejściowe otwały się z hukiem. Cass w tym samym momencie usłyszała ten odgłos i poczuła podmuch wilgotnego, chłodnego powietrza. Właśnie wpatrywała się w rękę swojego rozmówcy. Dostrzegła na jego prawej dłoni sygnet z krwawnikiem, ale wąska obrączka, jaką pamiętała sprzed siedmiu lat, zniknęła. No, no. A więc nie ożenił się po raz wtóry. To wszystko wyjaśnia - zamyśliła się ponuro. Jego związek z Tracey nie ma nic wspólnego z szesnastowiecznym naszyjnikiem. Uznała to za coś absolutnie oczywistego, i pomyślała przy okazji, że ma przed sobą jeszcze cięższy wieczór, niż z początku zakładała.

- Witajcie! - krzyknęła Tracey za jej plecami.

Cass poczuła ciężkie brzemienie na barkach. Odwróciła się wolno.

Tracey stała w drzwiach w bezbłędnie skrojonych białych spodniach i w popielatym krótkim żakiecie, na jego guzikach był wygrawerowany napis „Chanel”. Miała na sobie białe botki na wysokich obcasach. Długie jasnoblonde włosy skręciły się pod wpływem wilgoci w loczki wokół twarzy. Kobieta wyglądała tak, jakby zeszła wprost z wybiegu dla modelek albo ze stronic pisma „Vogue”. Co, biorąc pod uwagę rewelacje Alyssy, było nawet prawdą.

Tracey była niebywale atrakcyjna. Miała wspaniałą figurę, cudowne błękitne oczy, nieskazitelną cerę. Należała do kobiet, które równie dobrze prezentują się umalowane, jak i kompletnie bez makijażu. I nawet jeśli w tym samym pomieszczeniu znajdowały się jeszcze większe piękności, to ona przykuwała wzrok wszystkich. Gdy szła, ludzie nie mogli się powstrzymać, by się za nią nie obejrzeć. Była szczupła jak zawodowa modelka i miała blisko metr osiemdziesiąt wzrostu. Ubierała się wyłącznie w stroje wielkich projektantów mody. Nikt nie umiał wchodzić tak efektownie, jak jej siostra - uzmysłowiła

sobie z goryczą Cass, krzyżując w geście samoobrony ręce na piersiach.

- Cass, jak się miewasz? - Tracey uśmiechnęła się do niej słodko, najwyraźniej nie zauważywszy Alyssy, która stała na najniższym stopniu schodów, tuląc się do poręczy. Mocno objęła starszą siostrę, która ledwie na to zareagowała, myśląc intensywnie, gdzie, do diabła, Tracey i de la Barca się spotkali. I w jaki sposób.

- Cass? - Wzrok młodszej siostry przypominał oczy zranionej gazeli.

- Hej, siostrzyczko - zdołała wykrztusić Cass.

Tracey rozpromieniła się i obróciła twarzą do Antonia de la Barki. Uśmiech, jaki mu poświęcała, nie pozostawiał cienia wątpliwości. Z pewnością byli kochankami. Nie było w tym nic nowego, dlaczego więc tym razem Cass była zaskoczona? A nawet wstrząśnięta?

- Widzę, że się poznaliście - rzekła Tracey z widocznym zadowoleniem. - Nie mów mi, siostrzyczko, że jesteś już przebrana na bankiet - zażartowała.

- Cha, cha - rzekła Cass, patrząc, jak Tracey całuje Antonia w policzek. Przynajmniej oszczędziła jej widoku bardziej jednoznacznego pocałunku. Jak oni się spotkali? Kiedy zostali kochankami? I dlaczego, na Boga, tak ją to pochłania? Tracey zmieniała mężczyzn jak zmienia się garderobę, co najmniej raz w ciągu sezonu. Cass przywykła do tego i nie spodziewała się po niej niczego innego.

Chociaż, gdyby była ze sobą brutalnie szczerą, musiałaby przyznać, że miło by było mieć ciągle świeży dopływ kochanków.

Jednakże różniła się od Tracey. Nie wystarczałyby jej męska uroda i bezmyślne rozrywki.

Tracey pociągnęła ją za koński ogon.

- Co się tak nadełtaś? Przecież tylko żartowałam. Ale uwaga! - Roześmiała się. - Wszystkim przywiozłam prezenty!

Cass odsunęła się, żeby ją lepiej obejrzeć.

- A jak ty się masz? Wyglądasz świetnie. Najwyraźniej Sotheby dobrze ci służy.

Tracey jeszcze bardziej się rozpromieniła, co dodawało jej wdzięku.

- Ostatnio mnóstwo rzeczy dobrze mi służy - odparła, patrząc znacząco na Antonia de la Barcę. - Nagle zamilkła, dostrzegając na schodach Alysę z nosem utkwionym w poręcz. - Kochanie, chodź tu szybciutko! - krzyknęła.

Alyssa wstała powoli z buzią czerwoną jak burak.

- Halo, mamusiu - odezwała się, patrząc szeroko rozwartymi oczami na wysoką postać w bieli.

Tracey skoczyła do córeczki i mocno przytuliła ją do siebie. Tylko raz, jak zauważyła Cassandra. Dziecko stało napięte, nie poddając się uściskowi. Uśmiech na twarzy matki stopniowo ustępował, aż znikł, a w jej błękitnych oczach pojawił się wyraz bólu. Alyssa wspięła się na wyższy stopień i z takim samym bólem wpatrywała się swymi niemal czarnymi oczami w Tracey. W chwilę potem matka z miną zawodowej modelki odzyskała równowagę, odwróciła się i podbiegła do Antonia, obejmując go czule.

- Widzę, że wszystkich już poznałeś - rzekła przesadnie wesołym tonem.

Cass odnotowała, że szybko wyzwolił się z jej objęć.

- Owszem, poznałem twoją siostrę, ale nie miałem jeszcze okazji poznać córeczki - rzekł cicho. Uśmiech na jego ustach wydawał się wymuszony.

Czułki Cass natychmiast to zarejestrowały. Jakieś kłopoty w raj? Coś wisiąło w powietrzu; musiała się dowiedzieć, o co chodzi.

- Alyso, chodź, kochanie, poznaj moją sympatię, Antonia de la Barcę. Tonio, to jest moja śliczna córka, która, może od razu dodam, ma siedem lat.

Dziewczynka wreszcie zeszła ze schodów.

- Widziałam pana zdjęcie w „Vogue”. Z moją mamą.

Antonio schylił się, żeby mała mogła mu się lepiej przyjrzeć. Uśmiech, jaki zagościł na jego twarzy, był szczerzy i spontaniczny. Widać było, że przepada za dziećmi.

- Twoja mamusia jest taką kobietą, jaką fotoreporterzy uwielbiają fotografować. Jestem pewien, że gdy dorośniesz, będziesz taka sama - powiedział do niej z niekłamany zachwytem.

I wtedy właśnie Cass się w nim zakochała. Nagła głębia i intensywność tego uczucia po prostu ją sparaliżowała. Był to rodzaj zmysłowego doznania, jakie przeżyła przed laty - uczucie, że skacze w emocjonalną przepaść, głową w dół, fascynujące i zarazem groźne.

Doświadczyła czegoś podobnego jedynie raz i cudem przeżyła tamten romans. Wpatrywała się teraz w siostrę, w siostrzenicę i w obcego mężczyznę, niezdolna do najmniejszego ruchu.

Antonio nadal uśmiechał się do Alyssy. Stopniowo twarz dziewczynki rozjaśniała się, aż i na jej ustach zagościł w końcu uśmiech.

Tymczasem Cass nadal nie mogła wykonać żadnego gestu. Była porażona. Wstrząśnięta.

Ten człowiek był taki przystojny, tak do cna europejski, taki inteligentny, taki męski... Chryste Panie.

I należał do jej siostry.

No i co zrobić.

To się nie powinno zdarzyć - przekonywała siebie w duchu.

- Mam syna - ciągnął Antonio - który jest starszy od ciebie tylko o trzy lata. Może kiedyś się spotkacie.

Oczy dziewczynki zabłyśły. Kiedy się odezwała, Cass natychmiast spostrzegła, że starała się mówić opanowanym głosem, ale jej przyspieszony oddech zdradzał napięcie.

- Jak ma na imię? - zapytała z niewinną miną.

- Ma na imię Eduardo i mieszka ze mną w Madrycie, zaledwie kilka przecznic od Plaza de la Lealtad. Nasze mieszkanie znajduje się w pobliżu pięknego parku, El Retiro, gdzie po południu mnóstwo dzieci gra w piłkę i jeździ na wrotkach. - Antonio wyprostował się. Ponieważ obcasy Tracey miały z dziesięć centymetrów, oboje wydawali się tego samego wzrostu.

- Bardzo bym chciała pojechać do Madrytu - westchnęła Alyssa.

Teraz dopiero Cass pojęła, dlaczego Tracey przysłała córeczce parę widokówek z Madrytu. Zrozumiała, z jakiego powodu siostra tak często podróżowała na kontynent. Pomyślała

bardzo po amerykańsku, choć niekoniecznie jak dama: cholera, cholera, cholera.

Wszelkimi siłami próbowała zapanować nad sobą. Przecież na dobrą sprawę nie znała Antonia de la Barki i było szaleństwem sądzić, że właśnie odkryła w sobie głębokie uczucie do niego.

Nie zakochała się w nim.

Nic podobnego. Nie zdarzy się to ani teraz, ani później. A z całą pewnością nie dzisiaj.

- Na pewno kiedyś pojedziesz do Madrytu - rzekła Tracey, pragnąc pozostać w centrum zainteresowania. - Zobacz, co ci przywiozłam, kochanie - dodała, wyciągając z eleganckiej torby podróżnej cztery paczuszki. Wręczyła je córeczce.

Alyssa zacisnęła dłonie i zapatrzyła się w ślicznie opakowane prezenty.

- Dziękuję, mamusiu - powiedziała poważnym tonem.

- Ale musisz zobaczyć, co jest w środku! - krzyknęła Tracey. Dostrzegłszy Catherine schodzącą ze schodów, powitała ją głośno: - Ciociu, dobrze że się pokazałaś właśnie w tym momencie. Przywiozłam i dla ciebie upominek!

Catherine uśmiechnęła się radośnie. Obie padły sobie w ramiona. Po chwili Tracey wyciągnęła w jej kierunku rękę z małym pudełeczkiem, świadczącym 'na pierwszy rzut oka, że pochodzi ze sklepu jubilerskiego.

Cass tymczasem podeszła do schodów, unikając spojrzenia w stronę de la Barki. Nachylając się nad dziewczynką, zapytała ją szeptem:

- Alyso, czy chcesz pójść do swojego pokoju i rozpakować prezenty?

Mała skinęła głową. Na końcach jej rzęs zawisły dwie łzy.

Cass zapragnęła mocno ją przytulić. Chciała odwrócić się i krzyknąć do Tracey, że żadne podarunki nie zastąpią dziecku obecności matki, że nie kupi się nimi miłości. Z trudem powstrzymywała się, by nie wybuchnąć i nie wypowiedzieć cisnących się na wargi słów: Obudź się wreszcie! Wiem, że kochasz córkę, ale okaż to, do cholery! Poświęć jej trochę czasu, pobądź z rodziną! Nie odezwała się jednak. Alyssa ledwie

wstrzymywała się od szlochu, jej nerwy też były napięte do ostateczności.

Czy de la Barca nie wolałby za towarzyszkę intelektualistki?

- Och, musisz rozpakować tę paczuszkę w różowym papierze, zobaczysz, jak ci się spodoba to, co jest w środku - krzyknęła Tracey, wręczając małej kolejny prezent; było to jedno z najmniejszych pudełeczek w stosie jej podarunków. Ponownie zanurzyła rękę w czeluściach torby podróźnej, wyjmując tym razem podłużną płaską paczkę. - A to dla ciebie - rzekła do Cass z czarującym uśmiechem. - Tylko nie waż się odmawiać!

Cass domyśliła się, że znów dostała coś z ubrania. Tracey miała bezbłędny gust i była najbardziej szykowną kobietą, jaką Cass kiedykolwiek znała. No cóż - bardzo różniły się od siebie. Ona nie nosiła ani minispódniczek, ani zabójczo wysokich szpilek, chociaż miała niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu. Nie umiałyby nawet poruszać się w pantoflach, jakie nosiła Tracey. Odpowiedziała więc bez szczególnego zachwyty:

- Dzięki.

- Nic ci nie jest? - wyraziła obawę Tracey.

- Ależ skąd! - odparła szybko, zdając sobie sprawę, że jej uśmiech nie wygląda zbyt przekonująco.

Catherine odezwała się nagle:

- Och, Tracey, jaka śliczna!

Ton jej głosu był jednak zastanawiający. Cass spojrzała na ciotkę, która trzymała w dłoni wykwintną broszkę z perydotu, z wrytą postacią kobiety, oprawioną w matowe złoto w otoczeniu brylancików. Catherine nie patrzyła na prezent, lecz utkwiała wzrok w przybyszu, zmarszczywszy brwi. Nikt jeszcze go jej nie przedstawił.

Zanim Cass zdażyła naprawić ten nietakt, Tracey się rozszczebiotała:

- Wyobraź sobie, ciociu, że szłam kiedyś ulicą, stanęłam przed wystawą, ujrzałam to чудо i od razu pomyślałam, że będzie dla ciebie wręcz idealne.

- Żałuję, że je zauważyłaś - odrzekła Catherine łagodnym

tonem. Siostrzenica obsypywała ją kosztownymi upominkami, a jej reakcja za każdym razem była taka sama. Utkwiła wzrok w Tracey, ale chwilę później popatrzyła badawczo na de la Barkę. Cass zaniepokoił wyraz jej oczu.

Alyssa rozpakowała paczuszkę owiniętą w różowy papier i siedziała teraz na drugim stopniu schodów, przyciskając coś do piersi.

Tracey zwróciła się do córeczki:

- Kochanie, ten upominek jest mnóstwo wart dla kolekcjonerów. Lalka ma na imię Sparkee. Czy nie jest rozkoszna?

Dziecko przytaknęło, zagryzając wargi i powtórzyło mechanicznie:

- Dziękuję, mamusiu.

Cass zauważyła, że mała trzyma w ręce staroświecką lalczkę. Alyssa uwielbiała misie i inne pluszowe zwierzątka i rozpaczała, gdy matka postanowiła w zeszłym roku, iż jest już na nie za duża. Tracey pewnie kupiła jej ten prezent na aukcji albo przez Internet. Niewątpliwie poświęciła na jego znalezienie wiele czasu. Cass nie mogła jednak dłużej obserwować relacji między nią i dzieckiem, ponieważ całą jej uwagę zaprzątnęła Catherine, która zeszywniała z napięcia.

- Ciociu, czy na pewno czujesz się dobrze? - zapytała z troską.

- Jeszcze nie miałam okazji pana poznać - rzekła cichym głosem gospodyni domu.

- Proszę mi wybaczyć, nie chciałem przeszkadzać. Byłaby to ostatnia rzecz, na jaką bym sobie pozwolił - odparł Antonio równie przyciszonym tonem.

Tracey podskoczyła do ciotki, znowu zarzucając rękę na ramię mężczyzny.

- Ależ kochanie, jakże mógłbyś przeszkadzać? Ciociu, to jest Antonio de la Barca z Madrytu. Tonio, moja ciotka, lady Catherine Belford.

Cass podeszła do nich. Ujrzała, że ciotka stoi nieruchomo, jakby lękała się ruszyć, z pobladłą twarzą, z której odpłynęła cała krew.

- Ciociu, czy jesteś chora? - spytała z przerażeniem.

Jeśli Catherine usłyszała pytanie, nie uczyniła żadnego znaku w odpowiedzi. Wpatrywała się intensywnie w Hiszpana. Odnosiło się wrażenie, że nie może oderwać od niego wzroku.

- Pan bardzo przypomina swojego ojca - wykrztusiła wreszcie.

Antonio, który właśnie wyciągał do niej rękę, zamarł w tej pozycji.

- Lady Belford, pani znała mojego ojca? - zapytał ze zdumieniem.

Catherine powoli kiwnęła głową i w jej oczach pojawił się niewymowny smutek.

- To było wiele lat temu - powiedziała, z trudem panując nad łzami.

- *Senora?* - wykrzyknął przejęty Antonio.

- Och! Przypomniałam sobie, że muszę zapytać o coś dostawców potraw - wyjaśniła szybko lady Belford i niemal wybiegła z holu, potrącając Tracey.

- Ciociu! - Cass nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała Catherine w podobnym stanie.

Tracey również wytrzeszczyła oczy.

- Może pokażesz panu jego pokój - rzuciła Cass i nie czekając na odpowiedź, popędziła za ciotką do kuchni.

W środku panował ruch, ponieważ trwały ostatnie przygotowania do cocktailu oraz do kolacji na czterdzieści osób. Catherine stała, opierając się o jeden blatów; jej ciałem wstrząsały dreszcze.

Cassandra nie mogła pojąć, co się dzieje. Podbiegła *do* ciotki i objęła ją.

- Co ci jest? Co się stało?

Ciotka nie mogła wydobyć z siebie głosu. Potrząsała bezradnie głową i drżała jak w ataku febry.

- Ciociu, odezwij się do mnie, błagam! - Cass przemawiała do niej jak do dziecka. Jedną z wynajętych służących podała im chusteczki jednorazowe. Catherine zaczęła ocierać sobie oczy.

- Nigdy bym się tego nie spodziewała - szepnęła w końcu. - Po tylu latach... Cassandro, musimy tego człowieka usunąć z domu i z życia Tracey.

Cass nie chciała wierzyć własnym uszom.

- Ale dlaczego?

- Dlaczego? - Ciotka odwróciła się do niej. W jej oczach malował się ból i przestach. Nadal nie mogła opanować drżenia na całym ciele.

- Wyjaśnię ci dlaczego. Zabiłam jego ojca.

ROZDZIAŁ 2

- Co się stało cioci Catherine? - spytała Alyssa, która przycupnęła na brzeżku łoża pod baldachimem w sypialni Cass. Pokój miał kamienne posadzki, ale ciepła przydawały mu liczne dywany perskie w różnych barwach. Ściany pomalowane w odcieniu łososiowym, harmonizowały z marmurową obudową kominka. Wokół niego rozstawiono wygodne fotele i stolik, ale Cass częściej korzystała z wielkiej, osiemnastowiecznej sekretery w rogu pokoju; na niej ustawiła swój laptop.

- Naprawdę nie wiem - odpowiedziała Cass, ubrana tylko w rajstopy i stanik. Ciągle była wstrząśnięta. Catherine nie wyjaśniła swego zdumiewającego wyznania i po prostu wybiegła z kuchni, zostawiając siostrzenicę zamienioną w słup soli.

Cass żywiła dla ciotki głębokie przywiązanie. Catherine była zarazem jej najbliższą przyjaciółką i zastępczą matką, bo dziewczynki wcześniej w dzieciństwie straciły oboje rodziców. Ojciec zmarł, gdy Cass miała trzy lata, a gdy skończyła jedenaście - umarła mama. Wychowania obu sierot podjęła się siostra ojca, która nie miała własnych dzieci. Będąc jeszcze młodą żoną, musiała zaopiekować się mężem, Robertem Belfordem, który doznał wylewu krwi do mózgu i wskutek tego stał się kaleką. Dla Cass i Tracey była zawsze czuła i macierzyńska.

Catherine, w opinii Cass, była kobietą godną najwyższego

podziwu. Nie tylko wychowała obie dziewczynki, zajmując się jednocześnie mężem inwalidą, ale z poświęceniem udzielała się w kilkunastu organizacjach charytatywnych. Stanowiła podporę moralną w sąsiedztwie i wyróżniała się hojnością. Należała do tych, co dają, a nie biorą.

Przecież taka kobieta nie mogła zabić człowieka.

...zabiłam jego ojca...

Cass ogarnęły mdłości. Wmawiała sobie, że na pewno istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie tego faktu i że ciotka nie wyrażała się dosłownie.

Jednakże co będzie, jeśli wyznała prawdę? Co się wydarzyło i kiedy to się stało? Odniosła wrażenie, że Antonio de la Barca nic na ten temat nie wiedział.

Skrzywiła się na wspomnienie, jak Tracey przytulała się w holu do Antonia, dając do zrozumienia, że jest jej własnością.

- Ciociu, czy rozmyślasz nad nowym wątkiem swojej powieści?

Alyssa niespodziewanie wdarła się w jej myśli. Cass się opamiętała.

- Nie, kochanie - odparła.

- Bo miałaś taką zabawną minę. Lepiej się pośpiesz, bo przyjdiesz ostatnia na przyjęcie - ostrzegła ją siostrzenica. - Uważam, że powinnaś włożyć tę czerwoną suknię, którą mama ci kupiła.

- Nie brałam jej pod uwagę - rzekła Cass.

Naturalnie, musiała się w coś ubrać, ale nie mogła się na tym skupić. Jej uwagę zaprzętały sceny, które ledwie co rozegrały się na jej oczach, z udziałem ciotki Catherine, Antonia, Tracey.

- Mama ślicznie wyglądała w tym stroju, prawda? Jaka ona jest piękna. - Alyssa z westchnieniem domagała się potwierdzenia swojego zachwytu.

Cass także westchnęła, zastanawiając się, jak zdoła przetrwać na przyjęciu. Ból głowy wzrastał. Zauważyła, że Antonio będzie nocował w sypialni Tracey.

- Kochanie, mama zawsze cudownie wygląda, to przecież nic nowego.

- Naprawdę podoba mi się jej nowy narzeczony - wykrztusiła Alyssa i aż się zaczerwieniła z wrażenia. - Chciałabym, żeby wyszła za niego za mąż.

Cass wlepiła w nią oczy, w brzuchu nieprzyjemnie jej zaburczało.

- A to dlaczego?

- On ma syna. W ten sposób miałabym brata. Może znowu stalibyśmy się rodziną - tłumaczyła dziewczynka z nadzieją w głosie. - Wszyscy, ciociu. Byłoby wspaniale. Mieszkalibyśmy razem...

Cass, nawet gdyby chciała, nie potrafiłaby wymyślić gorszego scenariusza.

- Słoneczko, jeśli mama znowu wyjdzie za mąż, to nie sądzę, by chciała mieszkać ze mną pod jednym dachem. Tak się po prostu nie dzieje. - Znowu zaczęła się pocić, co uzmysłowiła sobie z odrazą.

Alyssa była zdumiona i przerażona.

- Dlaczego nie? Przecież nie mogę zamieszkać z nimi, kiedy ciebie tam nie będzie.

Cass właśnie zamierzała otworzyć szafę, ale powstrzymała się, tknięta nową myślą. Nigdy nie widziała, aby Tracey patrzyła na kogoś ze swych kochanków w ten sposób, jak spoglądała na Antonia. A zatem była zakochana. Czemu nie? De la Barca był z pewnością tego wart.

Zamknęła oczy, bo znów poczuła przypływ mdłości. Kolejni mężczyźni wręcz szaleli za Tracey - każdy po kolei. To ona od nich odchodziła i łamała im serca. De la Barca był pewnie absolutnie oczarowany jej młodszą siostrą. Gdyby Tracey chciała, jutro stanąłby z nią przed ołtarzem. A on był człowiekiem rodzinnym - kochał dzieci. Cass już zdążyła zauważyć, że był świetnym ojcem. To rzucało się w oczy. A więc odbiorą jej Alysę...

- Ciociu, co się stało? Czy powiedziałam coś, czym cię zdenerwowałam?

Brakło jej tchu w piersiach. Cass zdawała sobie sprawę, że musi odsunąć od siebie czarne myśli, bo w przeciwnym razie nie wytrzyma do końca wieczoru. Otworzyła szafę, ale zamiast przejrzeć ubrania na wieszakach, wyobraziła sobie, że

widzi Tracey w ślubnej sukni, gdy idzie środkiem kościoła. Cholera. Przypuszczalnie Catherine miała rację. Może Antonio i Tracey nie powinni być ze sobą, ponieważ to doprowadzi go do wykrycia prawdy, której Catherine nie chce ujawnić. Ta prawda zniszczy ciotkę, a nawet całą rodzinę.

Wpatrywała się w suknię, którą trzymała w rękach, ale w istocie wcale jej nie widziała. Dlaczego zdręcza się takimi myślami? Jeśli jej ciotka zabiła człowieka, to popełniła zbrodnię, czyż nie? Czy przestępstwo nie zostało wykryte? Co na to policja? A rodzina Antonia? Czy wiedziała o tym?

A jeśli to był akt w obronie własnej?

- Ciociu! - rozległ się krzyk Alyssy.

- Nic mi nie jest! - Własny głos wydał się Cass zbyt wysoki w tonacji i piskliwy. Ponoсила ją niewiarygodnie bujna wyobraźnia. Musi się opanować. Przecież nie zna żadnych faktów, usłyszała tylko szokujące wyznanie, które równie dobrze może się okazać przejawem poczucia winy, niczym więcej.

Ale jak ciotka Catherine mogła zrobić taki błąd?

- Nie włożysz czerwonej sukni, którą mama ci kupiła? - Alyssa była nieprzyjemnie zaskoczona, kiedy Cassandra wyjęła z szafy jakiś czarny strój. - Ciociu, przecież ta sukienka jest wstrętna.

Cass siadła ciężko na kanapie obitej szafirowym adamaszkiem.

- Cholera - wyrwało się jej znowu. Doszła do wniosku, że musi jak najszybciej porozmawiać z ciotką. Problem polegał na tym, że za chwilę dom wypełni się gośćmi. Trudno w tym czasie wyobrazić sobie dogodny moment, wobec tego rozmowę trzeba będzie odłożyć do rana.

- Ciociu! - Alyssa wybałuszyła oczy.

- Przepraszam, to widocznie moja amerykańska krew - zaczęła się usprawiedliwiać Cass. - Jestem za niska, aby dobrze wyglądać w czerwonym kolorze. A poza tym mam zbyt okrągłe kształty, no i w ogóle... - Nie przyznała się siostrzenicy, że gdzieś w głębi ducha jej próżna i głupia część obawiała się, że w zbyt strojnej sukni będzie wyglądała jak idiotka w oczach de la Barki. Niby jej na tym nie zależało. Przecież

Antonio zakochał się w jej siostrze. Mogłaby pojawić się na raucie jak ją Pan Bóg stworzył, a on i tak by jej nie zauważył. A już z pewnością nie wtedy, gdyby w pobliżu znajdowała się Tracey.

Zawsze tak się działo, nawet gdy obie były jeszcze dziećmi.

Cass od dawna przekonywała siebie, że przywykła do tego, iż jej młodsza siostra skupia na sobie całą uwagę innych. Okazało się jednak, że nie była aż tak zrezygnowana i przeżywała z tego powodu większe udręki, niż sądziła.

- Ciociu, jesteś ładna i będzie ci ślicznie w sukni od mamy. - Alyssa upierała się przy swoim.

- Jesteś stronnicza, ale dziękuję ci - odparła Cass, zdejmując czarną sukienkę z wieszaka. W tym momencie poczuła zapach naftaliny.

Omali się nie rozpląkała. Przecież jej życie było niemal doskonałe. Naprawdę. Miała ciotkę, siostrzenicę, wspaniałą pracę i na dodatek Belford House. Zgoda, brakowało jej męża, który byłby zarazem najbliższym przyjacielem i świetnym kochankiem oraz może dwojga dodatkowych dzieci, ale opieka nad Alyssą, pisanie książek i jazda konna zajmowały jej tyle czasu, że nie miała wolnej chwili na rozmyślanie o przyszłości.

Dziś jednak wolałaby być uprzedzona, że Tracey przyjeżdża w towarzystwie Antonia. Przygotowałyby się na to psychicznie i z całą pewnością kupiłaby sobie nową czarną sukienkę.

Marzyła również o tym, by wyznanie Catherine okazało się grubą przesadą i żeby ciotka nie miała nic wspólnego ze śmiercią ojca Antonia.

Zanim zdążyła narzucić na siebie sukienkę o zapachu kulek na mole, rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju weszła Catherine, niosąc jakieś ubranie.

- Cass, pragnę cię przeprosić za moje okropne zachowanie - powiedziała na wstępie; jej twarz jednak zdradzała poważną troskę.

Cass natychmiast zapomniała o własnych zmartwieniach. Usiadła jak zahipnotyzowana niepokojem w oczach ciotki i tajemnicą, którą tamta się z nią podzieliła.

- Twoje zachowanie wcale nie było okropne - powiedziała uspokajającym tonem, choć czuła w skroniach gwałtowne pulsowanie. - Nie masz powodu do usprawiedliwień. Musimy jednak o tym porozmawiać.

- Ach, nie ma o czym mówić - rzuciła Catherine z obolałą miną. Nie patrzyła jednak siostrzenicy w oczy. Po chwili milczenia spytała: - Zdaje się, że nie masz ochoty włożyć tej pięknej sukni projektu Halstona, prawda?

Cass dała znać ruchem głowy, że nie zamierza tego zrobić.

Ciotka przytaknęła ze zrozumieniem.

- Zobacz, co ci przyniosłam. W zeszłym tygodniu, gdy byłam na zakupach, by wybrać dla siebie nową suknię wieczorową, zobaczyłam ten komplet i doszłam do wniosku, że będzie dla ciebie wręcz idealny. - Rozłożyła na łóżku spodnie z czarnego dżerseju z rozcięciami na nogawkach i tunikę wyszywaną dżetami. - Popatrz, jaki prosty krój. Całość jest bardzo elegancka i doskonale podkreśli twoją figurę.

- Ogromnie mi się podoba - wyszeptwała Cassandra, głaszcząc miękką tkaninę. - Piękny komplet, a do tego w czerni czuję się bezpiecznie.

Catherine się uśmiechnęła.

- Może któregoś dnia odkryjesz, jak podniecające jest poczucie niebezpieczeństwa - rzekła cichym głosem.

Cass wstała i objęła ją, przepęłniona wdzięcznością.

- Ciociu, nie sądzę, bym była genetycznie predysponowana do niebezpiecznego życia. - W duchu jednak poczęła się zastanawiać, jaką kobietą była Catherine w młodości. Czy lubiła ryzyko? Czy była wmieszana w jakieś nielegalne afery? W coś, co zmusiło ją do zabicia ojca Antonia de la Barki?

Ciotka roześmiała się, ale w jej oczach ukazały się łzy. Nie ulegało wątpliwości, że nadal głęboko przeżywa nieoczekiwane spotkanie z kochankiem Tracey. Odwróciła głowę, by Cass nie zauważyła, że znowu płacze.

- Ja lubię czerwony kolor - oznajmiła Alyssa stanowczo. - Bardzo bym chciała, żebyście wszystkie wystąpiły w czerwonych sukniach w dniu moich urodzin.

Cass starała się zrobić pogodną minę, ale nie bardzo jej to wychodziło.

- No, ja też muszę się przygotować do przyjęcia - rzekła Catherine. Zatrzymała się w drzwiach i dodała: - Cassandro, zapomnij o tym, co ci powiedziałam. Jestem już starą, zmęczoną kobietą i czasami sceny z przeszłości widzę dużo dokładniej, niż to, co zdarzyło się wczoraj. Ale niekiedy sama mam wątpliwości, czy to, o czym myślę, wydarzyło się naprawdę, czy jest wykwitem fantazji. Kochanie, tym razem przesadziłam. To długa historia... Zdarzył się wypadek... tragiczny wypadek... Czułam się winna. Ale teraz to nieważne. - Uśmiechała się, jednakże w jej oczach nadal widać było ból i lęk.

Cass nawet nie próbowała odwzajemnić uśmiechu ciotki. Wiedziała, że Catherine kłamie. Zdradzało to jej spojrzenie.

Tracey, stojąc w łazience, przyglądała się sobie w lustrze. Ubrana była w jasnobłękitną suknię wieczorową, prawie przezroczystą, z głębokim dekoltem z przodu i na plecach. Cienutkie ramiączka były obszyte cekinami, podobnie jak pęknięcie z boku, sięgające bioder. Razem z suknią kupiła body cielistego koloru, które sprawiało, że wyglądała jak półnaga.

Tracey zdawała sobie sprawę, że jest piękną kobietą, dziś jednak nie była w najlepszej formie. Starannie nałożyła podkład, żeby zamaskować podkrążone oczy, użyła cieni do powiek i szarego ołówka. Jej jasna karnacja najlepiej prezentowała się z dyskretnym makijażem, więc Tracey umieściła tylko odrobinę różu na wydatnych kościach policzkowych. Pragnęła wyglądać jak najwspanialej, aby wzbudzić podziw Antonia, dostrzec pożądanie w jego oczach, gdy ujrzy ją w najnowszej toalecie od Versacego. Patrzyła jednak krytycznie na swoje odbicie. Robiła wrażenie zmęczonej. I nie sposób było ukryć troski malującej się w jej oczach.

Wszystko układało się niepomyślnie, każda najmniejsza sprawa kończyła się źle, ale tak było zawsze, kiedy przyjeżdżała do domu.

Trzeba było nie organizować tego przyjęcia w Belford House. Dlaczego jej to w ogóle przyszło do głowy?

Zadrzała i głęboko westchnęła. Głowę rozsadał jej ból. Wyobrażała sobie, że wyda wspaniałą kolację przed aukcją

bezcennego naszyjnika. Oto co sobie wymyśliła. Rodowa siedziba jej ciotki wydawała się na tę okazję idealnym miejscem - dużo lepszym od jakiegokolwiek klubu londyńskiego lub modnej restauracji.

Spojrzała na kieliszek szampana stojący na brzegu umywalki. Nie miała zamiaru pić i szaleć tej nocy. Pragnęła pozostać trzeźwa, by bezbłędnie odegrać rolę gospodyni. W kieliszku zostało jeszcze trochę trunku. Zawahała się.

Właściwie dlaczego nie? - pomyślała.

A to dlatego, że była przerażona. Jej lęk nie miał nic wspólnego z uroczystą kolacją, chociaż chciała, żeby wszystko poszło gładko i żeby szefowie Sotheby byli z niej zadowoleni.

Dlaczego nie? W ten sposób uspokoi napięte nerwy.

Do diabła z tym! - rzekła w duchu i wychyliła kieliszek do dna. Taka ilość szampana z pewnością jej nie zaszkodzi.

Na chwilę poczuła ulgę, ale zaraz potem ponury nastrój wrócił. Znowu ogarnął ją lęk. W sypialni obok Antonio przebierał się, była tego świadoma przez cały czas. Obróciła się przed lustrem, żeby spojrzeć na siebie z profilu. Miała brzuch płaski jak deska. Poprawiając suknię, poczuła pod palcami dwa wyraźne punkty: kości miednicy. Była cudownie smukła.

Ach, gdyby tylko nie przyjechała do domu.

Drzwi od łazienki były uchylone, słyszała, jak Antonio chodził po pokoju. Był na nią zły, ale nie wiedziała dlaczego. Odnosił się do niej z wyraźnym chłodem od chwili, gdy stanęła w progu. Tego właśnie potrzebowała - pomyślała z ironią - przed takim ważnym wieczorem, który od razu zaczął się pod złą gwiazdą. Co takiego zrobiła, żeby wywołać jego gniew?

A raczej czego nie zrobiła?

Ścisnęła w ręce pusty kieliszek. Alyssa z niechęcią przyjęła prezenty, Cass nie spodobała się sukni, Catherine wyraziła niezadowolenie, bo zdała sobie sprawę, ile Tracey wydała na broszkę... Nie umiała ich zadowolić, bez względu na to, jak bardzo się starała. Sprawiało jej to przykrość... A ponieważ wiązało się z bólem, Tracey nie zносиła przyjeżdżać do domu. Dlaczego nigdy nie potrafiła ich uradować, zrobić czegoś po ich myśli? Wiedziała, że jest okropną matką i że Cass doskonale pełni tę rolę. Zdawała sobie sprawę, że wszystkie kobiety

w jej rodzinie, włączywszy Alysę, były jej sędziami i nie myliły się, uważając, że czegoś jej brakuje. Niech to diabli wezmą. Była w pełni świadoma, że nie zajrzała do Belford House od trzech miesięcy. One pewnie myślą, że o tym nie pamięta. Oczywiście, że pamięta. Zresztą ma kalendarz. Nigdy przedtem nie pozwoliła sobie na taką długą rozłąkę. Nienawidziła za to ich i siebie.

Nie mogę tego znieść - pomyślała z rozpaczą.

Alyssa kochała ciotkę bardziej niż własną matkę.

Antonio kręcił się po pokoju, odgadując prawdę. Dostrzegła to w jego oczach.

Chciała wybuchnąć płaczem, ale teraz nie mogła sobie pozwolić na szloch. Znowu zerknęła na swoje nieskazitelne odbicie w lustrze i uzmysłowiła sobie, że większość kobiet marzyłaby, aby znaleźć się na jej miejscu: mieć sylwetkę modelki, być osobą otoczoną sławą, należeć do elity finansowej i na dodatek posiadać Antonia. Ale czy on rzeczywiście należał do niej? A jeśli nawet tak było, to na jak długo?

Porażona lękiem, wpatrywała się w lustro. Poprzedniego weekendu Tonio był jakiś daleki, roztargniony. Jakby tracił nią zainteresowanie...

Na pociechę przypomniała sobie, że seks z nim był wspinały.

Z drugiej strony zaobserwowała pewne niepokojące oznaki. Chociaż nie znała go w końcu tak dobrze - Tonio zdecydowanie różnił się od jej poprzednich kochanków - to jednak wiedziała o nim wystarczająco wiele, by wyciągnąć wnioski. Najpierw bardzo trudno było go uwieść, potem z oporem przyjął rolę jej partnera, a teraz wszystkiego żałował.

Jeszcze jeden kieliszek. Dodatkowy szampan nie zaszkodzi. W przeciwnym razie nie przeżyję tego wieczoru, pomyślała.

Szybko napełniła kieliszek trzęsącymi się rękami. Mężczyźni jej nie porzucali. To ona zawsze odchodziła... pierwsza. Zanim oni w pełni pojęli nagą prawdę: jej piękność jest jedynie pięknnością, niczym więcej. A w jej wnętrzu są same czarne dziury nieszczęścia i samotność.

Wychyliła szampana z zamkniętymi oczami, nie zważając na wewnętrzny głos, który ją ostrzegał, aby tego nie robiła. Do

jasnej cholery. Wyciśnie z Antonia wszystko do ostatniej kropli, żeby nigdy jej nie rzucił. Kiedy będzie gotowa, odejdzie od niego sama. Zawsze tak robiła. Nieodmiennie pierwsza opuszczała mężczyznę, z którym była.

Nikt nigdy jej nie rzucił, To ona ich rzucała.

Wypiła następnego szampana. Zagapiła się w pusty kieliszek. Straciła ostrość widzenia, bo jej oczy napełniły się łzami. Z rozpaczą pomyślała, że cały makijaż diabli wezmą. Czowała, jak rośnie w niej panika. Problem polegał na tym, że nie wyobrażała sobie życia bez Antonia. To ją ogromnie zaniepokoiło, bo prócz byłego męża nigdy wcześniej nie zależało jej tak na żadnym innym mężczyźnie.

Znów usłyszała, jak Antonio chodzi po pokoju. Pewnie skończył się ubierać. Lada chwila przybędą pierwsi goście. Pozostało zaledwie parę minut. Z przylepionym uśmiechem wyszła z łazienki, stąpając ostrożnie w srebrnych sandałkach na zabójczo wysokich obcasach. Teraz lub nigdy, zwycięży albo zginie. Nie zdoła przetrwać tego wieczoru, jeśli Antonio nie zapewni jej o swoich uczuciach.

Stał pośrodku sypialni i zawiązywał muszkę. Miał na sobie spodnie smokingowe i białą koszulę, w talii obwiązał się jedwabnym pasem. Po jego wyrazie twarzy natychmiast rozpoznała, że jest zatopiony w myślach, oddalony duchem o setki kilometrów. Nie mogła pojąć, dlaczego tak często oddaje się rozmyślaniom. Był najbardziej intrygującym człowiekiem, jakiego znała. I na dodatek miał w sobie tyle łagodności.

Nigdy przedtem nie była z łagodnym mężczyzną.

Rick czasami ją bił, inni też sobie na to pozwalali.

Tracey stanęła w progu, czując, jak jej serce wypełnia się słodyczą.

- Mam coś dla ciebie - szepnęła. Wiedziała, że Antonio nie potrafił się jej oprzeć.

Odwrocił się, wyraźnie zaskoczony. Następnie zmierzył ją wzrokiem.

Powoli wykonała piruet.

- No i jak?

Nie uśmiechał się. Mięśnie jego twarzy były napięte.

- Wyglądasz pięknie, jak zawsze - mruknął i obrócił się do niej plecami.

Tracey zamarła. Nawet go nie obchodzi, że w najpiękniejszej ze swoich toalet sprawia wrażenie, jakby była naga! Podeszła do niego na dotknięcie ręki i poprosiła:

- Antonio, porozmawiaj ze mną.

Odwrócił się, stanął z nią twarzą w twarz.

- Powinniśmy już zejść. Twoi goście nadjeżdżają. Pamiętaj, że ty ich witasz, choć to twoja ciotka jest gospodynią domu.

- Nie bądź na mnie zły - poprosiła przymilnym tonem i przytuliła się do niego. - Co takiego zrobiłam, że tak cię zirytowałam?

Odsunął ją od siebie.

- Poczuję się zażenowany, kiedy spotkałem twoją siostrę. Nigdy o niej nie wspomniałaś.

Tracey zeszczywniała. Więc cała ta scena dotyczy Cass?

- Jakoś się nie złożyło - bąknęła.

Antonio wpatrywał się w nią z nieodgadzionym wyrazem.

- Nie wspomniałaś o istnieniu swojej siostry i o tym, że tu będzie, ale mogę nad tym przejść do porządku dziennego. Natomiast nie mogę ani wybaczyć, ani pojąć tego, że nie powiedziałaś swojej córce, iż tu przyjeżdżam i że nie byłaś uprzejma powiadomić mnie, że spotkam się tutaj z nią.

Tracey przestraszyła się nie na żarty. Antonio kochał syna, więc zdawała sobie sprawę, do czego mogą doprowadzić jego zarzuty.

- Tonio, mówiłam jej o tym. - Nie zamierzała kłamać, wypowiedziała to zdanie niemal bezwiednie. - Pewnie zapomniała albo nie zwróciła uwagi, gdy jej wspomniałam o naszym wspólnym przyjeździe do Belford House.

Poczuła na sobie przenikliwy wzrok.

- Odniosłem wrażenie, że twoja córka mieszka z tobą w Hempstead Heath.

Lęk dosłownie ją sparaliżował. Oskarżycielski ton nie pozostawiał wątpliwości co do jego uczuć. Czekwała na oznaki miłości, pożądania, a tymczasem spotkała się z reakcją sędziego śledczego. Dostrzegł prawdę - jęknęła w duchu.

Z rozpaczą objęła go, napięcie wydało się jej nie do zniesienia. To było takie okrutne z jego strony.

Ujął ją rękami w talii i odsunął od siebie.

- Znamy się od trzech miesięcy, ale naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Kiedy po raz ostatni widziałas się ze swoim dzieckiem? Czy ja cię właściwie zrozumiałem? To ona nie mieszka z tobą, lecz z twoją ciotką i z siostrą? - W jego oczach dostrzegła potępienie.

Tracey zatrzepotała rzęsami i cofnęła się o krok. Gwałtownie zapragnęła wypić jeszcze jednego drinka. Jeszcze tylko jednego.

- Nie kłamałam - wyszeptała.

- Nie pojmuję ciebie.

Poczuła, jakby jej ciało wirowało z coraz większą prędkością. Jak to się mogło stać? Teraz, gdy zakochała się w dobrym i łagodnym mężczyźnie, tak różniącym się od tego pieprzonego egoisty Ricka, i jemu podobnych? Instykt kazał jej uciekać.

- Antonio - wykrztusiła, chcąc wybiec z pokoju i ukryć się w łazience.

Chwycił ją za ramię.

- Przepraszam - rzekł spokojniejszym tonem. - Nie płacz, rozmaże ci się tusz, a musimy już zejść na dół.

Tracey nie mogła jednak powstrzymać łez.

- Staram się z nią spotykać tak często, jak mogę. - Mówiła prawdę. - I przysięgam, że ją kocham. - To również było prawdziwym wyznaniem.

Antonio zmiękł.

- Naturalnie, że ją kochasz.

Chciała wyzwolić się z uścisku, ale nie puszczał jej ręki.

- Twoja córeczka cię potrzebuje - odezwał się w końcu. - Zauważyłem to po południu, a teraz widzę, że chcesz odwiedzać ją częściej, niż to dotychczas robiłaś.

Po twarzy Tracey pociekły łzy. Przeważenie nie ustępowało.

- Oczywiście, że mała mnie potrzebuje - przyznała z wymuszonym uśmiechem. - Przecież jestem jej matką, a ona jest moim jedynym dzieckiem. Czy ci wspominałam, że biorę ją w grudniu na narty? Pojedziemy tylko we dwie, na rodzinne

wakacje. - Znowu się uśmiechnęła, choć brakowało jej tchu w piersiach. Wymyśliła ten wyjazd na poczekaniu, wcale nie myślała, by zabrać Alysę na narty. A więc była okropną matką, to prawda.

- To świetny pomysł - orzekł Antonio, bacznie się jej przyglądając. - Dokąd zamierzasz pojechać?

- Do Sankt Moritz - rzuciła szybko, oddychając z trudem. - A może dołączyłbyś do nas z Eduardem?

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie sądzę. Nie chciałbym przeszkadzać. Powinnaś cały czas poświęcić małej. - W jego oczach Tracey dostrzegła jakiś nowy wyraz, który wzbudził w niej lęk. Doszła do wniosku, że być może jest to politowanie.

Przytaknęła, tuląc się do niego.

- Co ja wygaduję! Jestem tak przejęta dzisiejszym wieczorem, że z trudem kojarzę. Każdego roku wyjeżdżamy tylko we dwie! - Znowu skłamała.

Pogłaskał delikatnie jej gładki, alabastrowy policzek. Popatrzył jej w oczy. Po chwili milczenia rzekł:

- Tracey, nigdy nie jest za późno na naprawienie błędów. Udzielam ci tej rady, ponieważ mnie osobiście spotkała tragedia, która wzbudziła we mnie ogromne wyrzuty sumienia. - By dodać jej otuchy, uśmiechnął się.

Mimo to Tracey nadal czuła w sobie przemożny strach. Panika nie ustępowała. Instynkt podpowiadał jej, że traci tego wspaniałego mężczyznę. Pod jej powiekami znowu zaczęły zbierać łzy.

Antonio zrobił pocieszającą minę.

- Zdenerwowałem cię, chociaż nie było to moją intencją. Ale pora zejść. Zauważyłem, że nadjechało pięć limuzyn.

Był miły nawet wtedy, gdy już jej nie kochał. Powinna teraz odejść. Bez jednego słowa. Po prostu uciec jak najdalej i jak najszybciej. Rozłąka byłaby w tej sytuacji bezpieczna. O Boże. Co powinna zrobić?

Odejść. Zostać. Uciec. Zostać. Udawać. Odjechać. Do Madrytu.

Nabrała powietrza do płuc. Może to nie był najlepszy moment, żeby wyjawic mu swoje plany. A postanowiła, że po

aukcji złoży wymówienie w Sotheby i przeniesie się do Madrytu.

- Tracey - usłyszała swoje imię. Antonio stanął za nią i położył jej ręce na ramionach. - Jesteś nadal zdenerwowana. Proszę cię o wybaczenie. - Obrócił ją twarzą do siebie. - Musimy już zejść do gości, querida.

I wtedy Tracey wyczytała z jego oczach, że z całą pewnością odepdzie od niej. I to niedługo. Musiała zdać sobie sprawę z czegoś, co od dawna podejrzewała w głębi ducha. Antonio przyjechał do Belford House wyłącznie z powodu tego cholernego naszyjnika. Poprzedni weekend spędzony razem był dla niego końcem romansu.

- Proszę. - Tracey wyszeptała to słowo w taki sposób, jak nigdy przedtem go nie wymawiała.

Zaskoczyła go tym. Przyglądał się jej badawczo.

- Później o tym pomówimy - odezwał się wreszcie.

Głowa pękała jej od nadmiaru sprzecznych uczuć, które nie pozwalały na logiczne rozumowanie. Co by było, gdyby stała się taką matką, jaką była dla Alyssy Cass? Taką, jak spodziewał się po niej Tonio? Czy to by coś zmieniło?

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Postanowiła, że weźmie dziecko ze sobą do Madrytu.

- Antonio.

Zatrzymał się.

Tracey uśmiechnęła się, ale była to tylko maska skrywająca strach i panikę. Przywarła do niego całym ciałem, przytuliła policzek do jego policzka, przyłgnęła biodrami do jego bioder, by poczuć męskość. Pod przejrzystą suknią i cieniutkim body nie miała żadnej bielizny.

- Kocham cię, najdroższy - szepnęła. - Mamy jeszcze parę minut, nie musimy natychmiast schodzić do gości. - Z ułudzielskim uśmiechem jeszcze mocniej napała na niego.

Goście pojedynczo i grupami przechodzili z salonu do jadalni, aby obejrzeć naszyjnik. Leżał pośrodku długiego, wąskiego stołu, nakrytego śnieżnobiałym obrusem, zastawionego rodzinnymi srebrami i kryształami. Po obu stronach rozłożono talerze, kieliszki i sztuce dla czterdziestu osób. W przezroczy-

tych wazach napełnionych różowo zabarwioną wodą pływały białe orchidee. Składający się z trzech rzędów naszyjnik zajmował poczesne miejsce na podwyższeniu obitym szafirowym aksamitem.

Cass, wchodząc do pokoju, natychmiast zauważyła czterech ochroniarzy w czarnych garniturach, krążących w pobliżu stołu. Stała przy nim pochylona para, wpatrując się w klejnot. Postanowiła grzecznie poczekać na swą kolej, nie zbliżając się zbyt. Niemniej usłyszała, jak kobieta rzekła cichym głosem do swego towarzysza:

- Wiem, że te rubiny są warte fortunę, ale naszyjnik wygląda tak zwyczajnie... Mogłaby go mieć na sobie dziewczyna uliczna, która kupiła go za grosze w stoisku ze sztuczną biżuterią w domu towarowym Sloane'a. Nie wiem, Roger. Po prostu nie wiem, czy on mi się podoba.

- Poniekąd się zgadzam - odparł jej Roger. - Ale rzecz ma głównie wartość historyczną, więc byłoby okropne, gdyby zdecydowano się go zniszczyć, żeby wydobyć poszczególne kamienie, oszlifować je i na nowo oprawić.

Cass nie mogła wierzyć własnym uszom. Odczekała, aż oboje odejdą od stołu i dopiero wtedy się zbliżyła.

- To byłoby nie tylko okropieństwem, ale wręcz grzechem - usłyszała nad sobą szept Antonia de la Barki.

Omam nie osunęła się z wrażenia. Dotychczas usiłowała go omijać i wypić kieliszek szampana z grupą innych gości. Ponieważ nikogo z nich nie znała, czuła się zdecydowanie nie na miejscu. Jedynym jej wsparciem była Alyssa, z którą stała, gdy Antonio wkroczył do salonu - sam. Od tej chwili była nieustannie świadoma jego obecności. Tracey pojawiła się dziesięć minut później. Cass pragnęła zająć czymś swoje myśli, by nie przyjmować do wiadomości faktu, iż jej młodsza siostra wygląda olśniewająco, jeszcze piękniej niż zazwyczaj i że po prostu promienieje szczęściem.

Obróciła się twarzą do Antonia de la Barki.

- To byłoby niedopuszczalne - przytaknęła. - Mam nadzieję, że ten, kto kupi naszyjnik, nie popełni takiego barbarzyństwa.

Roześmiał się i zmierzył ją wzrokiem. Ujrzał gęste, ciemne

włosy do ramion. Jej twarz była leciutko umalowana - trochę tuszu na rzęsach, błyszczycy na wargach i odrobina różu na policzkach. Miała na sobie wyszywaną dżetami tunikę.

- Będę się o to z panią modlił. Więc jednak nie przyszła pani w bawełnianej bluzie?

Cass oblała się pasem, ale ponieważ Antonio się uśmiechał, odwzajemniła mu się tym samym.

- Nie było wyjścia - rzekła.

Wybuchnął śmiechem.

- *Senora*, jest pani urocza.

- Proszę mówić mi po imieniu. Nie musimy być tacy formalni.

Ich oczy na moment się spotkały, ale oboje szybko odwrócili głowy.

- Obejrzymy ten skarb? - zapytał de la Barca, wskazując ręką stół.

Dziewczyna z entuzjazmem kiwnęła głową. Gdy pochylili nad naszyjnikiem, Cass oniemiała. Natychmiast wyobraziła sobie klejnoty zdobiące szyję Marii, córkę Henryka Tudora, która krótko panowała w Anglii jako katolicka królowa. Naszyjnik rzeczywiście sprawiał imponujące wrażenie. Każdy z trzech rzędów rubinów był oprawny w złoto. Pierwszy rząd składał się kamieni wielkości łezki, drugi - z nieco większych, a trzeci z największych. Pośrodku trzeciego zwisał rubin wielkości jej kciuka, w otoczeniu brylancików.

- Ach, jakież cudowny - wyrwało się Cass. Serce biło jej jak szalone na widok zabytkowego arcydzieła sztuki jubilerskiej.

Antonio de la Barca milczał.

Cass spojrzała na niego i ze zdumieniem zauważyła, że na jego twarzy malowała się śmiertelna powaga. Oczy utkwili w naszyjniku i wydawał się tak zatopiony w myślach, że pewnie nawet nie usłyszał jej okrzyku.

- Antonio?

- *Por Dios* - westchnął.

Odniosła wrażenie, iż zapomniał, że stoi tuż obok niej; dzieliło ich paręnaście centymetrów. Cass zwilżyła usta językiem. Nie mogła przestać myśleć o nim jako o mężczyźnie,

i to na dodatek diabelnie przystojnym mężczyźnie. Rękaw smokingu ocierał się o jej nagie ramię. Unosił się od niego zapach jakiejś nadzwyczajnej wody kolońskiej. Ogarnęła ją zazdrość o własną siostrę.

Wyprostował się i spojrzął na nią. Nadal robił wrażenie zbitego z tropu.

- Czy wiesz coś na temat tego naszyjnika? - spytała Cass, nie mogąc oderwać wzroku od Antonia. Uwolniła się wreszcie od myśli o Tracey.

Zawahał się, po czym rzekł:

- Tak, tak. Myślę, że wiem.

Cass poczuła, jakby przebiegła przez nią iskra.

- Co wiesz? Możesz zdradzić?

Znowu zastanawiał się przez chwilę.

- Myślę, że ten naszyjnik albo jego duplikat nosiła pewna kobieta z mojego rodu.

Otworzyła szeroko oczy.

- Ale jak to możliwe? Jesteś Hiszpanem, a ten naszyjnik lady Heppewhite znalazła w swoim zamku w Highridge Hall, który, jak pewnie wiesz, pochodzi z czternastego wieku.

Skinął głową.

- Naturalnie, że wiem. Jeden z moich przodków był przez krótki czas ożeniony z Angielką. Nazywała się Isabel de la Barca. Umarła przed 1562 rokiem, bo wtedy mój praszczur ponownie się ożenił.

Cassandra miała właśnie skomplementować jego imponującą wiedzę na temat koligacji rodzinnych, gdy wtem usłyszała za sobą cichy głos Catherine:

- Nie.

Oboje odwrócili się jak na komendę. Cass ogarnął lęk, gdy ujrzała minę ciotki wpatrującej się w Antonia. Czy w jej oczach odbijał się strach - jak natychmiast doszła do wniosku - czy może też odraza?

- Nie - powtórzyła lady Belford. - Nie nazywała się Isabel de la Barca, lecz Isabel de Warenne. Była córką hrabiego Sussex i żyła w połowie szesnastego wieku.

Cass wlepiła oczy w ciotkę, nie mogąc ukryć podniecenia.

- De Warenne? - spytała bez tchu. - Czy była naszą krewną?

Catherina wreszcie spojrzała na siostrzenicę.

- Owszem, ale nie w prostej linii. Nie miała dzieci. Jej ojciec był przodkiem naszym i pana de la Barki.

Cassandra była zdumiona nie tym, że ciotka tak wiele wiedziała o historii rodu, lecz, że ujawniła to w taki zaskakujący sposób. Co za niesłychany zbieg okoliczności.

- Czyli członkowie naszych rodzin pobrali się w szesnastym wieku - wyjąkała, wpatrując się w Antonia. Z trudem opanowała się, żeby nie chwycić go za rękę. - Czy wyobrażasz sobie, że to jest jedna szansa na milion?

Uśmiechnął się do niej, jakby jej entuzjazm udzielił się i jemu.

- Tak, rzeczywiście, prawdopodobieństwo takiej sytuacji jest nikłe. W moim domu rodzinnym znajduje się portret Isabel. Ma na sobie naszyjnik podobny do tego jak dwie krople wody.

- Miałabym ogromną ochotę go obejrzeć - wyrwało się Cass. Prawdę powiedziawszy, marzyła o wizycie w majątku rodzinnym de la Barki.

- Z przyjemnością przedstawię ci ten portret - odparł Antonio. Ich spojrzenia się zetknęły.

Gdy wpatrywała się w jego zielonobrazowe tęczęwki, wyobrażała sobie, że jedzie do Hiszpanii, by odwiedzić jego włości rodzinne i obejrzeć portret kobiety, dzięki której wieki temu ich rodziny się połączyły.

- Nie, Cassandra nie pojedzie do Hiszpanii.

Głos Catherine zabrzmiał tak surowo, że Cass aż się wzdygnęła, zanim spojrzała na ciotkę.

- Co takiego?

Catherine się zaczerwieniła.

- Jak możesz myśleć o wyjeździe do Hiszpanii? Przecież zbliża się termin oddania twojej nowej powieści.

Cass pojęła, o co ciotce chodzi. Lady Belford nie życzyła sobie, aby jej siostrzenice miały cokolwiek wspólnego z de la Barką ze względu na jakąś tajemnicę z przeszłości, ponieważ Antonio mógłby w ten sposób wykryć, co przydarzyło

się jego ojcu. Jeśli sprawa byłaby zamknięta, a ciotka całkowicie niewinna - nie robiłaby wrażenia tak głęboko wstrząśniętej.

- To prawda, że termin się zbliża - wykrztusiła w końcu, smutno uśmiechając się do Antonia. Nie wspomniała jednak, że ma jeszcze cały rok na skończenie powieści i że jest zaskoczona reakcją ciotki. Jakże pragnęła pojechać do Hiszpanii, do jego domu, żeby dokładnie obejrzeć portret krewniaczki sprzed wieków!

Jeśli nawet Antonio był niezadowolony z odpowiedzi, nie dał tego poznać po sobie.

- Sądzę, że w tej sytuacji zrobię zdjęcie obrazu i przyślę ci fotografię - rzekł, patrząc na obie kobiety.

Catherina nie odezwała się ani słowem, wobec czego Cass powiedziała ze sztucznym entuzjazmem:

- To świetnie! - W duchu jednak postanowiła, że dotrze do istoty sekretu Catherine i że pojedzie do Hiszpanii, aby na własne oczy obejrzeć portret Isabel. Miała nadzieję, że nie otworzy w ten sposób puszki Pandory. - Czy ten portret kiedyś oszacowano? - zapytała Antonia. - Czy wiesz, kiedy został namalowany i przez kogo?

- Nie, jeszcze nie był oceniany przez znawców. Ale, jak już wspomniałem, Alvarado de la Barca ożenił się po raz wtóry w 1562 roku, a więc obraz powstał przed tą datą. Isabel wygląda na nim jak młoda dziewczyna, najwyżej osiemnastoletnia, o ile dobrze sobie przypominam. Od lat nie odwiedzałem domu rodzinnego.

Ostatnia jego uwaga zdziwiła Cassandrę. Wydało jej się, że w oczach Antonia dostrzegła jakiś cień. Albo może był to wytwór jej wyobraźni, bo teraz uśmiechał się do niej pogodnie.

- Gdzie jest twój dom rodzinny? - Nie mogła powstrzymać ciekawości.

Zanim de la Barca zdążył odpowiedzieć, głos Catherine rozległ się silnie jak dzwon.

- Zmarła w 1555 roku.

Cass zeszytniała. Po raz kolejny spojrzała na ciotkę z nie skrywanym zdumieniem.

- Co takiego?

Catherine była blada jak płótno.

- Zmarła w 1555 roku. Isabel. Była heretyczką, więc spalono ją na stosie.

Cass nie mogła oderwać wzroku od ciotki, w której błękitnych, szeroko otwartych oczach ujrzała jakiś niepojęty fanatyzm. Znowu ogarnął ją lęk. Zadrzała.

Cóż za okrutny rodzaj śmierci.

ROZDZIAŁ 3

Cass szybko podeszła do ciotki i objęła ją. Myślała gorąco i po chwili wyrzuciła z siebie:

- Rok 1555 był ostatnim rokiem panowania Marii. Wielu heretyków zostało wtedy spalonych na stosie.

- Tak, a jeszcze więcej innowierców spalono na terytorium Cesarstwa.

Cassandra znała historię tej epoki, wiedziała więc, że Antonio ma na myśli cesarstwo Habsburgów, odziedziczone przez męża Marii, Filipa II, króla Hiszpanii.

- Co za straszna śmierć - powtórzyła i poczuła, że zbiera się jej na wymioty na samą myśl o mękach skazańców. - Czy jednak nie było tak, że niemal każdy, kto był protestantem w czasie, gdy Maria objęła tron, twierdził publicznie, że jest katolikiem? Dlaczego więc właśnie Isabel została oskarżona o herezję?

Antonio popatrzył jej głęboko w oczy. W jego spojrzeniu Cass dostrzegła szacunek.

- Prześladowano jedynie fanatyków, jako ostrzeżenie skierowane pod adresem całego społeczeństwa - rzekł. - Nie wiedziałem, że Isabel spotkał taki los. - Zerknął na Catherine. - Jak jednak dowiedziała się pani o okolicznościach jej śmierci? Czy jest pani tego pewna?

Catherine zacisnęła usta, w jej oczach zabłyśły łzy.

- Ach, zapomniałam o tym - powiedziała prawie szeptem. - Przez jakiś czas nie pamiętałam.

Cass, zaalarmowana stanem ciotki i jej dziwaczną odpowiedzią, postanowiła zmienić temat.

- Czy miałas już okazję zobaczyć ten fantastyczny naszyjnik? - zagadnęła ją, starając się przybrać lekki ton i skierować rozmowę na inne tory.

Jednak Catherine nadal nie odrywała wzroku od Antonia.

- Ilekroć na pana patrzę - rzekła - widzę jego. Jest mi tak przykro... - Głos odmówił jej posłuszeństwa. Odchrząknęła. - Badał wtedy historię rodu. W Londynie, w British Library. Och, jakże mi przykro.

Słyszając jej słowa i widząc zmienioną twarz, Cass zamknęła oczy. Prośba o wybaczenie była przejmująca. Cassandra poczuła, jak ogarnia ją wielki smutek. Czy to możliwe, żeby naprawdę zdarzyło się coś tak potwornego? Czy jej ciotka zabiła ojca Antonia, czy też był to wypadek? Chyba nie zamierzała teraz spowiadać się z czynu, który wydarzył się trzydzieści lat temu?

- Ciociu, może podejmiemy do gości - poprosiła, otaczając ją opiekuńczym ramieniem. Lekko uśmiechając się w stronę de la Barki, zamierzała zaprowadzić Catherine do innej części jadalni.

- Miałem zaledwie cztery lata, gdy ojciec zmarł - odezwał się nagle Antonio. To sprawiło, że obie kobiety odwróciły się w jego kierunku. - Bardzo niewiele pamiętam z tego okresu. Matka wyszła ponownie za mąż dwa lata po jego śmierci - i nigdy o nim nie mówiła. Miałem nadzieję, że w wolnej chwili zechce pani podzielić się ze mną wiadomościami na jego temat. - W jego błyszczących oczach widać było prośbę, żądanie, pragnienie.

Cass jeszcze bardziej się przeraziła. Pomysł Antonia wydał się jej straszny.

- Jestem przekonana, że ciotka chętnie usiądzie z tobą i opowie, co pamięta, kiedy poczuje się lepiej. Przez cały tydzień zmagala się z grypą - dodała tytułem usprawiedliwienia i aż zaczerwieniła się z powodu tak ewidentnego kłamstwa.

Nagle Catherine odezwała się:

- Spotkaliśmy się w Londynie. Należałam do rady powierniczej British Museum, gdzie pana ojciec prowadził pracę ba-

dawczą. - Uśmiechnęła się do swoich myśli. - Poznaliśmy się tam z jakiejś oficjalnej okazji. I szybko odkryliśmy, że mieliśmy dwoje wspólnych przodków. - Catherine rozplakała się nieoczekiwanie. Z jej oczu płynęły łzy.

Cass spojrzała surowo na Antonia.

- Ciociu, z pewnością źle się czujesz - powiedziała stanowczym tonem. Nie usłyszała słowa protestu. - Będzie najlepiej, jeśli się teraz położysz i trochę odpoczniesz, a potem wrócisz do gości.

Catherine oderwała wreszcie wzrok od Antonia.

- Przepraszam - powtórzyła, opierając się całym ciężarem na Cassandrze. - Rzeczywiście, nie czuję się najlepiej. Chociaż mamy gości, pójdę już na górę. Cass, zupełnie opadłam z sił.

- Zaraz cię zaprowadzę - odparła dziewczyna z wyraźną ulgą w głosie. Nie chciała, aby ciotka dalej rozmawiała z de la Barką. - Pozwolisz, że zostawię cię na chwilę? - zwróciła się do niego.

- Oczywiście - zgodził się Antonio. - Lady Belford, mam nadzieję, że jutro będzie się pani czuła dużo lepiej.

- Cassandro, mam trudności z oddychaniem. Tu jest za gorąco i za duszno - poskarżyła się Catherine.

Coraz bardziej zaniepokojona Cass zauważyła, że ciotka staje się coraz bledsza. Ponadto co chwila chwytała się za gardło, ciężko wdychając powietrze.

- Szybko do łóżka - zdecydowała. - Zaraz ci przyniosę napar z rumianku.

- Cassandro - głos Antonia zatrzymał ją w miejscu - chciałbym kontynuować tę rozmowę o naszych rodzinach.

Zawahała się przez chwilę. Pasja historyczna wzięła górę nad rozsądkiem i obawami. Uśmiechnęła się.

- Ja również - odparła.

Pomogła ciotce dojść do schodów.

- Nie, Cassandro - odezwała się Catherine stłumionym głosem, żeby Antonio nie mógł jej słyszeć. - Jego ojciec miał bzika na punkcie przeszłości. On najwyraźniej odziedziczył tę obsesję. Z jakiego innego powodu by tu przyjechał, prawda? Nigdy cię o nic nie prosiłam. - Popatrzyła na nią szeroko roz-

wartymi oczami, w których czaiło się szaleństwo. - Zostaw tę sprawę, trzymaj się z dala od *senora* de la Barki i proszę, spróbuj pozbyć się go z naszego domu. A potem zapomnij o dzisiejszym wieczorze.

Catherine, zdaniem Cass, mówiła od rzeczy. Dziewczyna popatrzyła na ciotkę i nagle ujrzała nie elegancką starszą panią w smokingowym stroju projektu Oscara de la Renty, z wpiętą w klapę broszką z pereł i brylancików, lecz starą kobietę, straszliwie zmęczoną, kruchą i najwyraźniej chorą. Nagle dostrzegła wszystkie jej zmarszczki, których wcześniej nie widziała. Błękitne oczy okazały się pozbawione koloru, wodniste. Cass pojęła, czym jest starość. Ujrzała ją teraz bez żadnego znieczulenia. Jej ciotka była staruszką, a z tego faktu nie zdawała sobie dotychczas sprawy.

Cass objęła ją. Łzy płynęły jej po policzkach.

- Zrobię, co w mojej mocy - skłamała. Przecież nie miała zamiaru wyrzucać stąd Antonia. Nie mogłaby tego zrobić, nigdy w życiu. A może jednak? - zastanawiała się w duchu. Gdyby odjechał, byłaby to ulga, przynajmniej mogliby zachować sekret ciotki. - Jest późno, miałas ciężki dzień. Teraz o nic się nie martw, ciociu. Powinnaś dobrze się wyspać. - Nie mogła wymusić z siebie uśmiechu, ale mocno uściśnęła Catherine.

Lady Belford przytaknęła, opierając się na siostrzenicy.

- Cassandro, dziękuję. Wiem, że tobie mogę ufać.

Ufać - co za znaczące słowo - pomyślała Cass, nagle również śmiertelnie zmęczona. Wreszcie wyprowadziła ciotkę z pokoju i obejrzała się, żeby jeszcze raz zerknąć na Antonia.

Ich oczy się spotkały.

I jednocześnie oboje, jakby będąc w znowiu, popatrzyli na naszyjnik. Gdy ponownie spojrzeli na siebie, był to jakby rodzaj tajnego porozumienia.

Co będzie, to będzie - postanowiła w duchu Cass, wiedząc, że wybierze się do Hiszpanii, żeby zobaczyć portret Isabel.

- Jesteś skarbem, Cassandro - rzekła ciotka, przebrawszy się w japońskie kimono o barwach kości słoniowej, czerwieni i złota. Rozpuściła włosy, sięgające do ramion. Obie znajdowały się we wspaniałej sypialni. - Może byś zadzwoniła do ho-

telu „Pod Żłotym Jeleniem” i zapytała, czy znajdują pokój dla pana de la Barki?

Cass spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Ciociu - rzekła powoli i dobitnie - nie poznaję cię. Jakże możemy kazać mu opuścić dom? On jest gościem Tracey. Będzie dużo lepiej, jeśli wstrzymamy się z wszelką ingerencją. Zresztą jutro i tak odjeżdża.

- Myślałam, że rozumiesz! - krzyknęła Catherine.

Cass podeszła do niej szybko.

- Może chcesz szklanek wody?

Catherine potrząsnęła głową.

- Wolę dżin z tomkiem i aspirynę.

Cassandra zagryzła wargi.

- Przyniosę ci drinka, jeśli naprawdę tego potrzebujesz. - Niemniej nie ruszyła się z miejsca. - Ciociu, jestem po prostu przerażona. Chyba nie zrobiłaś tego, o czym mi przedtem mówiłaś?

Ciotka spojrzała jej w oczy, po czym obróciła się tyłem, podchodząc do łóżka. Jednakże się nie położyła.

- Popełniłam błąd - powiedziała cichym głosem. - Nie powinnam o tym wspominać. I nie zamierzam tego omawiać. Ani teraz, ani potem. Po prostu nigdy więcej do tego nie wrócę. - Gdy się odwróciła, na jej twarzy malowała się stanowczość.

Serce Cass waliło jak młotem. Musiała się dowiedzieć, co się właściwie stało, ale zarazem lękała się o zdrowie ciotki i nie chciała jej zbyt mocno naciskać.

- Czy byliście kochankami? - zapytała jednak, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

Catherine zaczęła gwałtownie potrząsać głową, dając do zrozumienia, że nie, lecz w chwilę potem ukryła twarz w dłoniach.

- On kochał swoją żonę, lecz jeszcze bardziej kochał przeszłość... Ja kochałam Roberta, zawsze kochałam Roberta Edwardsa, byliśmy przyjaciółmi dzięki jego pracy badawczej... - Urwała. Nie miała siły dalej wyjaśniać.

Cass uzupełniła w duchu luki w jej wypowiedzi. Zaczęli jako para przyjaciół, a skończyli w łóżku.

Catherine potarła czoło.

- Wymazałam z pamięci ten epizod z mojej przeszłości. Ach, marzyłabym, żeby Antonio de la Barca nigdy nie wkroczył do naszego życia! - krzyknęła z rozpaczą.

Cass przypatrywała się ciotce, która nadal była biała jak prześcieradło.

- Czy mamy się obawiać jakiegoś dochodzenia ze strony policji? - spytała.

Catherine spojrzała na nią, po czym rzekła:

- Policja orzekła, że był to wypadek.

Serce Cass biło jak szalone. Co oznaczały te słowa? Ton głosu ciotki był naprawdę dziwny - brzmiało to tak, jakby policja się pomyliła.

- Ty też powiedziałaś, że to był nieszczęśliwy wypadek - wyjąkała przez ściśnięte gardło.

Catherine sięgnęła po wieczorową torebkę, wyjęła z niej chusteczkę i poczęła ocierać oczy.

- Cassandro, muszę się napić dzinu z tonikiem. Proszę.

W tym momencie drzwi od sypialni otworzyły się z hukiem; Cass wystarczyło jedno spojrzenie na siostrę, by przewidzieć wybuch hysterii. Bez zastanowienia podbiegła do niej.

- Tracey - rzekła błagalnym tonem. Liczyła, że uda się jej uspokoić ją ze względu na stan zdrowia ciotki.

- Co wy dwie zrobiłyście najlepszego? - wrzasnęła Tracey. Trzęsła się ze wściekłości, ręce położyła na biodrach. - Mój Boże? Jak mogłyście?

Catherine zastygła na łóżku.

Cass usiłowała powstrzymać siostrę.

- Nawet jeśli masz powód do zdenerwowania, nie jest to odpowiednia chwila na robienie scen. Catherine źle się czuje. Wyjdźmy stąd. - Chwyciła Tracey za rękę, lecz tamta ani myślała ustąpić. - Za chwilę podadzą kolację, musimy zejść na dół. - Cass starała się przemówić jej do rozsądku.

Tracey, czerwona na twarzy, wyrwała rękę z uścisku siostry.

- Antonio mówi, że odjeżdża. Powiedział, że uraził czymś ciotkę i że będzie lepiej, jeśli zanocuje gdzie indziej. Wraca do Londynu. - Rzuciła siostrze takie groźne spojrzenie, że w innej sytuacji Cass wybuchnęłaby śmiechem. Teraz dostrzegła jednak w oczach Tracey również autentyczny ból.

- Przykro mi - odparła serdecznym tonem, i w jej ustach nie był to jedynie zwrot grzecznościowy. - Ale przecież możesz się z nim spotkać w Londynie.

- Jak śmiesz! To jest moja sprawa. Mój wieczór. Moje życie. - Spojrzała na Catherine. - I mój ukochany. Jak mogłaś być dla niego taka arogancka?

Cass ujęła się za ciotką:

- Czy jesteś pewna, że odjeżdża z naszego powodu?

Oczy Tracey pociemniały z gniewu:

- Co, do cholery, przez to rozumiesz?

Zanim Cass zdążyła odpowiedzieć, Catherine wstała.

- Tracey, musisz mi ufać, tak będzie najlepiej. Pozwól mu odjechać. Nie możesz się z nim spotykać, bo dojdzie do strasznych rzeczy, jestem o tym przekonana. Dotyczy to zarówno ciebie, jak i nas wszystkich.

Obie siostry nie wierzyły własnym uszom.

- Mam się z nim nie spotykać? - krzyknęła Tracey. - Ależ ja go kocham! Zamierzam wyjść za niego za mąż - oświadczyła kategorycznie. - Zwróciła się do Cass: - Nie wiem, co tam sobie myślisz, ale obie z ciotką coś zrobiłyście albo powiedziałyście, wskutek czego Antonio postanowił opuścić Belford House. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

Serce Cass biło jak szalone. Czy Tracey rzeczywiście zamierza wyjść za mąż za Antonia? Czy to znaczy, że się zaręczyli? Wyobraziła ich sobie w dniu ślubu. Z Alyssą jako druhną, rzucającą pod stopy nowożeńców kwiaty z koszyczka. Z trudem wykrztusiła z siebie:

- A więc pobieracie się? Kiedy?

- Nie poczyniliśmy jeszcze szczegółowych planów - odparła Tracey.

Cass odczuła taką ulgę, że przestała słuchać dalszego ciągu wyjaśnień siostry. A więc nie odbiorą jej Alyssy.

- Cass? Słuchasz mnie? Kocham Antonia. Ty jednak zawsze bierzesz stronę ciotki Catherine.

- Rozumiem cię, ale to nieprawda - rzekła Cass, zastanawiając się w duchu, dlaczego jest aż tak roztrzęsiona bez istotnego powodu. - Wcale nie popieram we wszystkim cioci, ale

może lepiej, by Antonio tu nie nocował. Catherine naprawdę źle się czuje.

W oczach Tracey natychmiast ukazały się łzy.

- A więc i ty chcesz go stąd wygnać? Jeśli odjedzie, ja również nie zostanę ani chwili dłużej! - krzyknęła z furją. - Ciociu, to jest bardzo nie fair!

Cass rozgniewała się nie na żarty.

- Czy nie możesz zostawić ciotki w spokoju? Zawsze trzeba ci we wszystkim ustępować?

Tracey wlepiła w nią oczy.

- Co takiego? Wszystko się odbywa tak, jak ja chcę? Jest dokładnie na odwrót! Ledwie postawiłam nogę w progu, gdy wszystkie na mnie napadłyście. Cokolwiek zrobię, wam to nie odpowiada!

- Co ty gadasz! - zaperzyła się Cass.

- Tak nie można - wtrąciła Catherine, drżąc ze zdenerwowania. - Uspokójcie się obie. Przestańcie się kłócić. I słuchajcie mnie uważnie. Tracey, nie życzę sobie, żebyś wiązała się z tym człowiekiem. Mowijcie mi!

Tracey zaniemówiła. Nawet Cass nie mogła się otrząsnąć z wrażenia i bezradnie zamrugała powiekami.

- Nie pozwalam na to - rzekła Catherine surowo - ze względu na nasze wspólne dobro.

W pokoju zapanowała nieznośna cisza.

Cass przeniosła wzrok z nieustępliwej ciotki na siostrę, która nadal nie mogła wyjść ze zdumienia. W tym momencie ujrzła w pamięci scenę, gdy Tracey, wówczas piętnastoletnia, przyprowadziła do domu sympatię - trzydziestoletniego faceta w kowbojkach ze skóry aligatora, właściciela czerwonego jaguara. Catherine bezskutecznie usiłowała przekonać siostrzenicę, że ten związek jest naprawdę nieodpowiedni. Tracey postawiła na swoim i spotykała się z playboyem jeszcze dobre pół roku. Ciotka nigdy więcej nie wtrącała się do jej spraw sercowych.

Aż do dzisiaj.

Ale wówczas kwestią sporną nie było poczucie winy Catherine z powodu śmierci mężczyzny - przypadkowej lub umyślnej.

Ty na to nie pozwalasz? - odezwała się w końcu Tracey.

Ja. Wychowałam cię, jakbyś była moją własną córką, jeśli masz do mnie choć trochę szacunku i miłości, podporządkujesz się mojemu życzeniu - powiedziała Catherine. - Dasz mu odjechać i nigdy więcej go nie zobaczysz.

Tracey wpatrywała się w nią bez słowa.

Cass odniosła wrażenie, że starsza pani jest postacią z surrealistycznego snu.

- Ciociu - wtrąciła kojącym tonem - zostawmy tę sprawę.
- Nie zostawię - odparła Catherine.

Dziewczyna poczuła się tak, jakby wdała się w dyskusję z obcą sobie osobą. Zważyła, czy rzeczywiście rozmawia z własną ciotką.

- Ach, mam tego wszystkiego dość - warknęła Tracey. - Po prostu nie ma o czym mówić. - Z tymi słowami wyszła z pokoju, rzucając wściekłe spojrzenie na ciotkę. Jej suknia wieczorowa szeleściła przy każdym ruchu.

Cass zbliżyła się do Catherine i położyła jej rękę na ramieniu. Teraz nareszcie zrozumiała, dlaczego przez cały dzień prześladował ją lęk. Była tak przejęta, że nie mogła sobie wyobrazić, iż zejdzie na dół do gości i dotrwa do końca wieczoru.

Catherine unikała jej wzroku.

- Moja droga, przynieś mi obiecane drinka - wymówiła z trudem.

- Już idę - rzekła Cass pozornie radosnym tonem. Gdy wychodziła z pokoju, ciotka rzuciła jej smutne spojrzenie.

Catherine czekała, aż siostrzenica odejdzie. Gdy jej kroki ucichły, podeszła do drzwi i zatrzasnęła je. Wróciła następnie do komody, uklękła i pochyliła się nad najniższą szufladą. Nacisnęła ukrytą dźwignię.

Wyciągnęła z szuflady stary notes oprawiony w skórę. Przycisnęła go do piersi i w jej oczach znowu ukazały się łzy.

Był to jej prywatny dziennik.

Ostatni wpis pochodził z lipca 1966 roku, na kilka godzin przed śmiercią Eduarda de la Barki.

Dotychczas nie potrafiła zniszczyć dziennika; była do niego

w niepojęty sposób przywiązana. Zawsze było jej żal rozstać się z nim.

Tym razem jednak postanowiła go unicestwić.

Było już dobrze po północy, gdy Cass stała w foyer pod ścianą, częściowo ukryta między wielkim stołem z marmuru a siedemnastowiecznym zegarem szafkowym. Skrzyżowała ręce na piersiach. Ciągle miała na sobie strój wieczorowy, choć goście już odjechali. Wszyscy, oprócz jednego.

Schodził właśnie na dół. Usłyszała jego kroki, ale nie po nich go rozpoznała. Nawet gdyby pozostali jeszcze jacyś goście, wiedziałyby, że to on. Sama jego obecność budziła w niej oczekiwanie.

W foyer światło było przyćmione, ledwie widoczne. Ich spojrzenia spotkały się w półmroku.

Czując się niezręcznie pod jego wzrokiem, Cass odwróciła głowę.

- Dziękuję, że wykazałeś zrozumienie - przerwała ciszę.

- To naprawdę żaden kłopot. Mam tylko nadzieję, że twoja ciotka jutro poczuje się lepiej.

Cass spojrzała na niego.

- Ja też na to liczę - odparła.

W jego oczach znać było pytanie.

- Zatelefonujesz i dasz mi znać?

Skinęła głową.

- Masz przy sobie wizytówki? - Czuła, jak jej puls przyspiesza.

Uśmiechnął się do niej i wręczył kartonik.

- Naprawdę, nie chciałbym niepokoić ani całego domostwa, ani mojej gospodyni.

Co z tej afery odgadnął, co wydedukował, co wyczuł?

- To grypa. Z pewnością szybko wróci do siebie - Cass powtórzyła swoje małe kłamstwo.

Nie uśmiechnął się w reakcji na jej słowa. Nadal patrzył na nią badawczo.

- Jesteście ze sobą bardzo blisko. - W jego głosie słyszała pewność, nie zapytanie.

- Ona nas wychowała - odparła Cass. - Jest kimś więcej niż zastępczą matką. To moja najbliższa przyjaciółka.

- Wydaje się godną podziwu kobietą.

- I jest nią.

Zapadła chwila niezręcznego milczenia.

- Myślę, że wieczór się udał, a goście z zainteresowaniem obejrzeni naszyjnik - odezwała się Cass. Nie chciała, żeby odchodził. Jeszcze nie.

- Tak. Powinien znaleźć się w zbiorach muzealnych. Zamierzam przekonać szefów Sotheby, aby najpierw zaoferowali go kilku instytucjom.

Cass wytrzeszczyła oczy.

- Czy to w ogóle jest możliwe? - spytała z niedowierzaniem.

- W Europie tak. W twoim kraju domy aukcyjne nigdy nie postępują w ten sposób.

Cass chciała się uśmiechnąć, ale nie zdołała. Jakiś szmer sprawił, że spojrzała na schody.

- Domyślam się, że Tracey już śpi? - zapytała Antonia.

Przez chwilę nie odpowiadała, wreszcie oznajmił:

- Nie jest uszczęśliwiona tą sytuacją. Bardzo się tym wszystkim przejęła.

Czyli Tracey postanowiła natychmiast odjechać - dopowiedziała sobie w duchu Cass, Antonio zaś usiłował ją przekonać, żeby tego nie robiła.

- Ona jest moją młodszą siostrą - rzekła, nawykła do jej obrony. - Zawsze była trochę rozpieszczona. To nie jej wina. Jest piękna, toteż zawsze wybaczano jej więcej niż innym. To się zdarzało bez przerwy.

- Czasami piękność okazuje się wadą, a nie zaletą - odparł Antonio.

Jego uwaga zdumiała Cass. Popatrzyła na niego. Odwzajemniła spojrzenie. Usłyszała za sobą głośno tykający zegar.

Wreszcie lekko się uśmiechnął.

- Cassandro, bardzo się cieszę z naszego spotkania. I jeśli kiedykolwiek będziesz miała ochotę na dyskusję o socjopolitycznych konsekwencjach kultu świętego Jakuba dla Hiszpanów i chrześcijaństwa, jestem w każdej chwili do usług.

Cass otworzyła ze zdumienia usta. A więc ją zapamiętał. Nie tylko przypomniał sobie ją, ale i dyskusję, jaką lata temu odbyli w Nowym Jorku na temat jednego z największych świątych w Hiszpanii.

Skłonił się i przeszedł obok, znikając w ciemnościach nocy. Z uśmiechem patrzyła, jak się oddala.

- Myślałam, że zostaniesz z nami kilka dni, zamiast spieszyć się z powrotem do Londynu - rzekła Catherine następnego rana.

Tracey, ubrana w czarną plisowaną minispódniczkę, grubego beżowego sweterek bez rękawów i czarne botki jak do konnej jazdy z wymyślnymi ozdóbkami na łydkach, pakowała rzeczy do torby podróżnej. Włożyła buty na gołe nogi; jej naga skóra była nieskazitelna i lśniąca, jednakże gwałtowne ruchy świadczyły o gniewie.

- Nigdy nie mówiłam, że zostanę tu przez weekend. A poza tym, czy istnieje jakiś powód przedłużania pobytu? - Wyprostowała się i zmierzyła Catherine wzrokiem.

Ciotka spojrzała na nią z bólem, zaskoczona.

- Ogromnie cieszyłybyśmy się twoim towarzystwem - zauważyła.

- Wczorajszy wieczór był katastrofą! - krzyknęła Tracey.

Cass stała w nogach łóżka.

- Tracey, jeśli musisz wyjeżdżać z samego rana, o bladym świcie - (co było lekką przesadą) - to może najpierw byśmy porozmawiały? Nie chcę, żebyśmy rozstawały się skłócone, co ty na to?

- Nie. Naprawdę muszę jechać. Mam mnóstwo spraw do załatwienia. - Uśmiechnęła się słabo do nich obu, ale w jej oczach widać było niepokój i cierpienie, czego Cass przedtem nie dostrzegła.

Cassandrze przyszło nagle do głowy, że jej siostra po prostu ugania się za Antoniem. Po raz pierwszy była naprawdę zakochana i zachowywała się tak, jak większość kochanek, czyli była zdenerwowana i niepewna siebie. Wbrew sobie poczuła do niej sympatię.

- Aukcja odbędzie się dopiero za dziesięć dni - próbowała ją przekonać. - Niepotrzebnie się tak spieszysz.

Tracey zaciągnęła suwak torby podróźnej.

- Byłoby wspaniale, gdyby Tonio nie czuł się zmuszony wyjechać stąd wczorajszej nocy - oznajmiła ciotce i siostrze.

Cass podeszła, żeby pomóc jej złożyć leżącą na podłodze drugą torbę na ubranie.

- No cóż, zgadzam się z tobą. Nie wszystko poszło najlepiej... To znaczy, w moim przekonaniu goście bawili się doskonale, to nam było dużo ciężiej. Przykro mi, siostrzyczko.

Tracey podparła się pod boki.

- Czyżby? Uważam, że stanęłaś po stronie ciotki Catherine z innego powodu. Jesteś po prostu zazdrosna.

Cass zamarła.

- Co takiego? - wykrztusiła.

- To, co słyszałaś.

Cassandra chciała przekonać samą siebie, że wcale nie była zazdrosna, ale po chwili dała temu spokój. Oczywiście, że poczuła odrobinę zazdrości. Było to całkowicie naturalne. Kobieta musiałaby być ślepa, żeby nie doznać tego uczucia na widok Antonia de la Barki.

- Jeśli sądzisz, że działałam z innej przyczyny niż chęć obrony ciotki, to cię przepraszam - rzekła szybko. I natychmiast pożałowała swoich słów.

Tracey machnęła lekceważąco ręką.

- Spotykam się z nim dziś na kolacji, przed jego odlotem do Madrytu - odparła z triumfem.

Cass z trudem przybrała pogodną minę.

- Tracey, musimy porozmawiać. - Catherine rzekła to z naciśnięciem, stojąc z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Cass wiedziała, do czego ciotka zmierza, ale udawała, że nie wie, o co chodzi. Zaciągnęła ciężką torbę do drzwi. Pomysłała, że może będzie lepiej, jeśli siostra odjedzie. Napięcie stawało się nie do wytrzymania.

Tracey spojrzała na ciotkę z miną niewiniątka.

- Niby o czym?

- Sądzę, że wiesz o czym.

- Nie mam zielonego pojęcia. - Uśmiech na jej twarzy był zdecydowanie przesłodzony.

- Musisz uważnie mnie wysłuchać - rzekła powoli Catherine; jej twarz była bledsza niż zazwyczaj. - Istnieje fatum ciężące na rodzinie de la Barca. Fatum tragedii i śmierci. Nasz ród i ród Antonia były ze sobą powiązane w historii. I nigdy nic dobrego z tego nie wyszło ani dla jednej, ani dla drugiej strony. Zaufaj mi, Tracey, proszę cię. Nie spotykaj się z nim więcej.

Cass zagapiła się na ciotkę, rozważając w duchu jej słowa. Zanim Tracey zdążyła zaprotestować, odezwała się:

- Cóż to za historia, ciociu Catherine? - Usiłowała popatrzyć jej prosto w oczy, ale tamta wyraźnie unikała jej wzroku i zajęła się poprawianiem poduszek na otomanie.

- Cassandro, nasze rodziny w ciągu wielu wieków łączyły interesy, miłość, wojna, polityka. I zawsze okazywało się to fatalne w skutkach. - Nadal nie chciała spojrzeć na siostrzenicę.

Cass się zamyśliła. Czego ciotka nie chciała jej wyznać?

- Do jakiego stopnia? - spytała. - Tak fatalne, jak spalenie na stosie Isabel, bo nie chciała być prawdziwą katoliczką? - Nie dodała jednak: Tak fatalne, jak tragiczna śmierć Eduarda?

Catherine pobladła jeszcze bardziej.

- O niej nawet nie wspominajmy.

Cassandra pojęła, że dotyka bolesnego punktu.

- Dlaczego nie? Przecież pasjonujesz się historią naszej rodziny prawie tak jak ja historią powszechną.

Ciotka pokręciła głową.

- Nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Zanim Cass zdołała zapytać, czy nic dobrego nie wyniknie z dyskusowania o losach ich przodków, czy raczej ze związku jej siostry z Antoniem, Tracey wtrąciła:

- Co za nonsens! To po prostu szaleństwo! Kogo obchodzi przeszłość? Pod koniec miesiąca jadę do Madrytu i zamierzam tam spędzić prawie całe lato.

Nawet Cass oszołomiło to stwierdzenie.

- A co z twoją pracą?

- Rzucam ją. Zastanawiałam się nad tym i doszłam do wniosku, że nie pasuję do Sotheby.

Cass popatrzyła na nią, w głębi ducha niezbyt zaskoczona. Zdała sobie sprawę, że decyzja Tracey ma niewiele wspólnego z Sotheby, za to mnóstwo z Antoniem de la Barką.

Catherine zbliżyła się do siostrzenicy i ujęła ją za rękę.

- Tracey, kochanie, nie rób tego. Jesteś dla nich wręcz niezastąpiona. Masz klasę, elegancję, odpowiednie koneksje, które są im tak potrzebne...

- Ciociu, należę do Antonia. Nie mogę sobie pozwolić na związek na odległość, gdy jesteśmy przedzieleni morzem. Nie potrafię znieść długiej rozłąki. - Odwróciła się do nich tyłem i ruszyła do łazienki. Drzwi były szeroko otwarte, światła zapalone. Widać było, że składa kosmetyki.

- Proszę, Tracey, wysłuchaj mnie choć raz. Wiem aż za dobrze, o czym mówię. - Catherine zwróciła się do niej błagalnym tonem.

- Nie wiesz. - Tracey spojrzała na nią, trzymając w ręce walizczkę z przyrządami do makijażu. - Antonio jest cudowny. Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak on. Nie dopuszczę do naszego rozstania. Kiedy powiedziałam, że chcę za niego wyjść za mąż, wyraziłam moje najgorętsze pragnienie.

Cass słabym głosem usiłowała przemówić siostrze do rozsądku:

- Jak dobrze wiesz, Tracey, dobre małżeństwo polega na podobnych zainteresowaniach. Ty i Antonio nie macie ze sobą wiele wspólnego.

Tracey wyciągnęła w jej stronę rękę w oskarżycielskim geście:

- Byłam pewna, że będziesz trzymała jej stronę. Co, do cholery, wiesz o małżeństwie, związku, a nawet o mężczyznach? Nikt na ciebie nie zwracał uwagi, nie wspominając już o zakochaniu się w tobie.

Cass zachwiała się jak pod silnym ciosem.

- Punkt dla mnie - skomentowała zimno Tracey.

Nim Cass zdążyła pozbierać myśli, głos zabrała Catherine.

- Jeśli pojedziesz do Madrytu, wydziedziczę cię - oświadczyła wolno, głęboko oddychając. Było widoczne, jak wiele kosztowało ją to ostrzeżenie.

Tracey obróciła się w jej stronę, biała jak ściana. Cass poczuła, że brakuje jej tchu.

- Catherine, nie mówisz tego serio. - Była przekonana, że ciotka gra, w jej głosie czuło się histerię. Przecież nie mogła wykreślić z testamentu siostrzenicy, którą uwielbiała przez całe życie.

Nigdy jednak nie widziała ciotki w takim stanie, przemawiającej bezwzględny i surowym tonem.

Mój Boże - pomyślała, niezdolna do zaczerpnięcia tchu. - Ona naprawdę zamierza to zrobić.

- Nie potrzebuję twojego przeklętego spadku. Rób co chcesz, wydziedzicz mnie! - Tracey ogarnęła furia.

- Tracey! - krzyknęła z rozpaczą Cass. - Nie wiesz, co mówisz! - Przeniosła wzrok z ciotki na siostrę. Obie ziały wściekłością.

- Nie tylko jadę do Madrytu, ale zabieram ze sobą Alysę - zakomunikowała im Tracey z nieprzejednanym wyrazem na twarzy.

ROZDZIAŁ 4

- Ciociu, nie płacz!

Cass zerwała się z łóżka; nie tyle płakała, ile nie mogła opanować łez, które płynęły jej z oczu. Ogarnęła ją panika na myśl, że Tracey zabierze Alyssę i choć starała się myśleć racjonalnie, zupełnie jej to nie wychodziło. Przecież zawsze wiedziała, że coś takiego nastąpi.

Któregoś dnia Tracey wkroczy do Belford House i zabierze swoją córeczkę na zawsze.

Ale jeszcze nie teraz - usiłowała oddalić najgorsze obawy. Przecież, na miłość boską, spędzi z nią tylko wakacje!

Próbowała uśmiechnąć się do zmartwionej dziewczynki, ale mięśnie twarzy zawiodły.

Alyssa podbiegła, objęła ją rękami i mocno się przytuliła.

- Jestem dużym, grubym głuptasem - szepnęła Cass załamany głosem.

- Wcale nie jesteś głuptasem - zaprzeczyła stanowczo Alyssa. - Jestem pewna, że się pogodzą. Przekonasz się, że mam rację. - Uśmiechnęła się z nadzieją, ale jej ciemne oczy wyrażały troskę.

Cass pogładziła ją po włosach, zadowolona w duchu, że siostrzenica doszła do mylnego wniosku, iż jej łzy są spowodowane kłótnią Tracey z ciotką.

- Oczywiście, że się pogodzą - przytaknęła. Myślała jednak intensywnie: Co będzie, jeśli...

Co się stanie, jeśli Tracey zostanie w Hiszpanii i nie odeśle Alyssy do Belford House?

Nie! Nie powinna spodziewać się zaraz najgorszego! Nie wolno jej nawet przewidywać czegoś podobnego!

Ale Cass była chora z niepokoju. Dlaczego nie miałyby rozważać czegoś, co naprawdę jej grozi? Co będzie, jeśli Tracey przypomni sobie w końcu, że jest matką? Alyssa była jej dzieckiem. Ale Cass by nie przeżyła, gdyby odebrano jej małą. Czy miała walczyć w sądzie o prawo opieki nad nią? Jakże mogłaby dopuścić do takiej sytuacji, która skłóciłaby obie siostry do końca życia i sprowadziła nieszczęście na siostrzenicę? Usiłowała sobie wmawiać, że Tracey była nieprzewidywalna i że stale zmieniała zdanie, więc pewnie cała sprawa wyjaśni się w ciągu paru dni. A może jutro wszystko odwoła i postanowi spotkać się z de la Barką na południu Francji, nie wspominając nawet o wzięciu ze sobą Alyssy.

Jednakże nic nie mogło ją uspokoić.

Istnieje fatum ciężące na rodzinie de la Barca.

Nic dobrego nie wyszło ze związków między dwoma rodzinami.

Chryste Panie. Czy ciotka miała rację? Czy w grę wchodziła jakaś klątwa, rzucona setki lat temu?

Nie bez powodu Cassandra była autorką powieści historycznych. Jak Tracey złośliwie zauważyła, jej życie intymne praktycznie nie istniało. Co więcej, Cass uwielbiała przeszłość, jej wyobraźnia się nią karmiła. Wymyślanie niezwykłych opowieści było dla niej najłatwiejszą rzeczą pod słońcem. Teraz jej fantazja się rozszalała. W przypływie rozsądku zdawała sobie sprawę, że reaguje z przesadą, histerycznie. Obmyśla scenariusz, który niekoniecznie jest prawdziwy. Nie mogła jednak opanować paniki, nie potrafiła stłumić swoich największych obaw.

- Więc dlaczego płaczesz?

Słodki głosik Alyssy przerwał jej czarne myśli. Cass z tklivością popatrzyła na małą.

- Okropnie mnie boli, gdy widzę, jak się ze sobą kłóca - rzekła wreszcie. Nie znosiła mówić dziewczynce nieprawdy.

- Ja też tego nie cierpię - odparła Alyssa, siadając na łóżku

obok niej. - Ale ciocia Catherine się myli. Mama chce mnie tylko wziąć na wakacje do Hiszpanii. - Oczy dziecka błyszcząły.

Cass mrugnęła powiekami, żeby powstrzymać łzy. Gdy zrozumiała, że Alyssę cieszy perspektywa spędzenia lata w towarzystwie matki, coś zakłuło ją boleśnie. Czyżby była również egoistką, nie tylko panikarą? Tracey nigdy przedtem nie wyjeżdżała z córką. Przecież chodzi tylko o wakacje. Widząc, że Alyssa się uśmiechnęła, Cass zdołała odwzajemnić jej uśmiech i znowu pogłaskała ją po głowie.

- Kochanie, to dość skomplikowane. Ciocia Catherine jedynie wyrażała niepokój, przecież nigdy dotąd nie podróżowałaś z mamą. Ale masz rację. Od dawna należą ci się wakacje z nią. - Niepokój jednak nie ustępował, podobnie jak kłucie w środku.

Alyssa przytaknęła z entuzjazmem.

- I ty też pojedziesz.

Cass znieruchomiała. Mała nawet nie zapytała, lecz po prostu potraktowała to jako pewnik. No właśnie. Dlaczego nie miałyby pojechać? Przecież Antonio zaprosił ją do Hiszpanii, aby mogła ujrzeć portret Isabel na własne oczy. Odparła jednak z namysłem:

- Tracey chce wziąć ciebie, mnie nie bierze pod uwagę. Nie zostałam zaproszona. Macie jechać tylko we dwie.

Alyssa natychmiast się naburmuszyła.

- Wcale nie jedziemy tylko we dwie. Tam będzie jej narzeczony i jego syn. Będzie mi ciebie brakowało. Musisz z nami pojechać!

Czy nie jest to świetne rozwiązanie? - pomyślała Cass. Spędzi w Hiszpanii prawie całe lato, aby upewnić się, że Tracey nie zamierza zatrzymać Alyssy, a na dodatek obejrzy obraz; choć nie zachwycało jej, że będzie towarzyszyła kochankom w ich gniazdku, to jednak zajmie się Alyssa, bo Tracey nie miała pojęcia, jakie są potrzeby siedmioletniego dziecka.

- Przypominam ci, że mama mnie nie zaprosiła - odezwała się wreszcie.

- Przecież możesz jej powiedzieć, że musisz jechać. -

Alyssa nie ustępowała. - Ciociu, ja nie mogę obejść się bez ciebie.

Cass przełknęła ślinę. To było naprawdę świetne rozwiązanie. Co ma do stracenia?

Wszystko - pomyślała z goryczą.

- Dobrze. Wezmę samochód i dziś jeszcze odwiedzę mamę.

Cass siedziała sztywno w swoim dwudrzwiowym bmw zaparkowanym przy krawężniku. Na wąskiej, wysadzonej drzewami uliczce panował niesamowity ruch. Hempstead Heath stała się ogromnie modną dzielnicą, zwłaszcza wśród artystów, muzyków i nuworyszy. Kawiarnie ze stolikami rozstawionymi na chodniku były zatłoczone młodą i świetnie ubraną klientelą. Równie szykowny tłumek pieszych sunął od butiku do butiku. Po drugiej stronie ulicy wznosiły się zabytkowe domostwa i wille za murami z kamienia i bramami z kutego żelaza.

Serce biło jej jak młotem, powietrze jakby uwięzło w płucach i w piersi. Czuła się jak człowiek, który w ciągu dwudziestu czterech godzin postarzał się o dziesięć lat. Przeżycia minionego ranka były dla niej ciężkim brzemieniem. W końcu wzięła się w garść, przebrała się i udała w drogę. Teraz wysiadła z auta, zatrzasnęła drzwiczki i ruszyła w kierunku przejścia dla pieszych. Była wyczerpana, oszołomiona i nawet nie popatrzyła światła, wchodząc na jezdnię. Na szczęście akurat prawie nie było samochodów, ale jeden z kierowców nacisnął klakson na jej widok.

Do niej jednak niewiele docierało. W myślach słyszała własny głos; prześladowała ją jedna myśl. Nie mogła dopuścić, żeby Tracey odebrała jej Alyssę. Musi z nimi pojechać do Hiszpanii.

Brama wiodąca do posesji Tracey była otwarta. W garażu zbudowanym z kamienia, przypominającym domostwo w stylu Tudorów, stał czarny aston martin. Cass miała nadzieję, że zastanie siostrę w domu. Jeśli jej nie będzie, zdecydowana była czekać, aż wróci.

Znowu poczuła rosnący niepokój. Podeszła do drzwi wejściowych ścieżką wysypaną żwirem. Dom otaczały klomby

z kwitnącymi kwiatami, lecz Cass nie zwróciła na nie uwagi. Nacisnęła dzwonek, nakazując sobie w duchu, aby zdołała się opanować bez względu na okoliczności.

Dobrze znała młodszą siostrę. Gdy Tracey wyczuje jej zderzenie, natychmiast wykorzysta je przeciwko niej. Jeżeli Cass pozwoli sobie na krzyki, opór Tracey tylko wzrośnie. Ale gdy wykaże się rozsądkiem i dobrą wolą, być może uda się jej przekonać siostrę, że zabranie ze sobą Alyssy tylko skomplikuje jej sprawy sercowe.

Służąca oznajmiła, że pani Tennant jest w domu i poprosiła, aby poczekać na nią przez chwilę.

Po kilku minutach Tracey zeszła na dół ubrana w dżinsy i krótki podkoszulek z napisem „Dzieło projektanta mody” na całą szerokość klatki piersiowej.

- Cass? - zapytała. W jej głosie wyczuwało się ostrożność.

Cassandra starała się wyrównać oddech. Tak wiele zależało od przebiegu rozmowy.

- Witaj, siostrzyczko. Przyjechałam, żeby z tobą pogadać.

Tracey zmierzyła ją wzrokiem.

- Dobrze, wejść - odparła chłodno.

Cass usiłowała się uśmiechnąć, podążając za siostrą do ogromnego, umeblowanego prawie wyłącznie na biało salonu. Oboje z Rickiem Tennantem kupili ten wielopokojowy dom zaraz po ślubie, a gdy się rozwiedli, Tracey zdołała zatrzymać go dla siebie.

- Tracey, tak mi przykro z powodu kłótni.

Siostra zrobiła pogardliwą minę.

- Przecież słyszałaś, co ona mi powiedziała?

- Ciocia wcale tak nie myślała! - wtrąciła szybko Cass.

- Nic podobnego. Dokładnie wiedziała, o czym mówiła.

No, ale nigdy mnie nie lubiła. To ty byłaś jej ulubienicą.

Cass rzuciła jej zaskoczone spojrzenie.

- To nieprawda! Zawsze wołała ciebie! Byłaś dla niej uosobieniem aniołka z blond włosami związanymi w kucyki.

Tracey parsknęła ze złością.

- Ach, daj spokój! - Przesunęła palcem po krawędzi kryształowej popielniczki stojącej na stole.

Cass nie przychodziła do głowy żadna sensowna riposta. W końcu wykrztusiła:

- Nie rozumiem, jak to się stało. Sądzę, że Catherine źle się czuje. W przeciwnym razie szybko by się opamiętała.

Siostra spojrzała z nie ukrywaną wzdrganą.

- Nic mnie nie obchodzi, czy odjęło jej rozum. Ciotka nie-
nawidzi Antonia, a ja go kocham. I tyle.

Cass rzuciła okiem na ogród za oknem i ponownie popa-
trzyła na siostrę.

- Wiesz, może masz rację. Chyba jestem trochę zazdrosna
i za to cię ogromnie przepraszam.

Tracey wytrzeszczyła oczy.

- No cóż, to jest wspaniały facet, wystarczy na niego spoj-
rzeć. Życzę ci, żeby wam było ze sobą jak najlepiej.

- I dlatego przyjechałaś taki kawał drogi? Żeby mi złożyć
życzenia? - W tonie Tracey słychać było niedowierzanie.

- Bardzo się przejęłam kłótnią. Wcale nie zamierzałam być
stronnicza. Nieświadomie wtykam niekiedy nos w nie swoje
sprawy. Czasami jednak bardzo trudno mi być spoiwem
łączącym naszą rodzinę. A tego spoiwa potrzebujemy. Po pro-
stu starałam się pomóc.

Tracey wpatrywała się w nią czujnie.

- Czasami jesteś zbyt miła - skonstatowała na koniec. -
Niekiedy miałabym ochotę przypominać cię.

Cass odparła nieufnie:

- Chyba żartujesz, prawda?

Jej siostra wzruszyła ramionami.

- Wiem, że jestem szalona. To musi być jakaś wada gene-
tyczna.

- Popatrz na mnie, ciągle z nosem w książkach - odparła
Cass.

Obie uśmiechnęły się do siebie bez przekonania.

- A więc kiedy wyjeżdżasz? - spytała Cassandra bez tchu.

- Zarezerwowałam bilety na ósmego. I - szczerze mó-
wiąc - nie wiem, kiedy wrócę.

Cass poczuła, jakby jej serce miało za chwilę stanąć. Nie
mogła nabrać powietrza do płuc. Tracey właśnie wyraziła to,
czego ona najbardziej się obawiała.

- Kochanie, ale zajęcia w szkole Alyssy rozpoczynają się pod koniec sierpnia. Dokładnie trzydziestego sierpnia.

Jej siostra machnęła ręką.

- Nie sięgam myślą do tak odległej daty. Już ty się nie martw, mała na pewno nie spóźni się do szkoły.

Mięśnie Cass zeszywniały z napięcia. Czy wierzyć siostrze? Nic dobrego nie wyniknęło z tych związków dla obu rodzin. Oczami wyobraźni ujrzała Alyssę, gdy przechadza się w jakimś zabytkowym hiszpańskim miasteczku, trzymając za rękę Antonia i Tracey; cała trójka wygląda jak prawdziwa rodzina.

- Czy pomyślałaś, jak to będzie, kiedy okaże się, że musisz się zajmować dzieckiem przez całe lato? To oznacza na przykład, że nie będziesz mogła pójść na kolację z Antoniem, bo wtedy dzieci zostaną bez opieki. Czyli za każdym razem będziesz musiała szukać opiekunki.

- Och, jak tylko tam przybędę, zatrudnię nianię. I to na cały etat. Już się nad tym zastanawiałam - odparła Tracey z czarującym uśmiechem.

Cass nie ukrywała niepokojów.

- Musisz dokładnie sprawdzić referencje takiej osoby. Nie masz pojęcia, jak nieodpowiedzialne bywają niektóre kobiety do opieki!

- Ty się naprawdę przejmujesz. - Tracey to rozbawiło.

Cass poczuła, że oczy zachodzą jej łzami.

- Tak bardzo kocham Alyssę. I obie doskonale zdajemy sobie sprawę, że niezbyt się o nią troszczysz. Małe dzieci potrzebują tak wiele. Czasami zachowują się i mówią jak dorośli, ale nie należy zapominać, jak ich przestraszone serduszka pragną miłości i jak bardzo zabiegają o naszą uwagę.

- Nie zamierzam zmienić zdania - orzekła Tracey bez śladu uśmiechu. - Alyssa jedzie ze mną. Spędzi wspaniałe wakacje. Eduardo to uroczy chłopiec, jestem przekonana, że zostaną przyjaciółmi.

Cass spojrzała na siostrę, czując na skórze krople potu.

- Mogłabym z wami pojechać. Zajmę się dziećmi, wtedy ty i Antonio możecie robić, co dusza zapragnie.

Tracey popatrzyła na nią z osłupieniem, a następnie wybuchnęła śmiechem, kręcąc głową.

- O nie, nie sędzę. Cała sprawa polega na tym, że chcę przekonać Antonia, iż jestem dobrą matką. A jeśli ty pojedziesz ze mną, na własne oczy zobaczy, że ty świetnie opiekujesz się dziećmi, a ja jestem do kitu. Ani mi się śni.

Cass skrzyżowała ręce na piersiach.

- Domyślałam się, że o coś tu chodzi - wyrzuciła z siebie, nie zważając na głos rozsądku, który kazał jej nabrać wody w usta. - Więc na tym mają polegać wakacje? Posłużysz się Alyssą, żeby umocnić swój związek z ukochanym?

- Wcale nie. - Tracey się zapieniła. - A poza tym kto tu mówi o umocnieniu związku? Antonio mnie kocha; mówię o tym, jeśli sama tego nie spostrzegłaś.

- Cóż w tym nowego? - odcięła się Cass. - Jest tylko numerem sto pięćdziesiąt sześć. A może raczej dwieście pięćdziesiątym mężczyzną w twoim życiu?

Tracey pobladła, a następnie krew napłynęła jej do twarzy.

- Wynoś się - wycodziła.

Cass zerwała się z krzesła.

- Przepraszam. Wyrwało mi się. Wcale nie...

- O nie. Dokładnie to miałaś na myśli. Mówisz z taką wyższością o mnie, sądząc, że jesteś dużo lepsza, bo w gruncie rzeczy przypominasz ciotkę Catherine. Stara panna, prawie dziewica. Boże, jakie to żałosne! Doprawdy, masz się czym chlubić!

Cassandra cofnęła się kilka kroków. Serce biło jej jak szalone, dłonie zacisnęły się w pięści.

- Może jestem dumna z tego, że stałam się prawdziwą matką dla Alyssy, podczas gdy jej biologiczna matka jest zbyt zajęta zaliczaniem coraz to nowych kochanków, by mieć czas dla własnej córki.

- Wyjdź stąd, zanim każę cię wyrzucić - ostrzegła siostrę Tracey z groźnym błyskiem w oku.

Cass nawet się nie ruszyła.

- Co daje ci prawo wkroczenia do naszego życia i zniszczenia go? - odparła z gniewem. - Co daje ci prawo decydowania, w jaki sposób Alyssa spędzi wakacje? Ona nie chce

pojechać beze mnie. Powiedziała to wyraźnie dziś rano. Powinnaś przynajmniej zapytać mnie o zgodę, zanim podejmiesz decyzję w jej sprawie.

- Zapytać cię o zgodę? - Tracey nie chciała wierzyć własnym uszom. - Dobrze sobie! Wszelkie prawa do Alyssy mam z tego powodu, że jestem jej matką, i to nie tylko w sensie biologicznym. Nie przypominam sobie, byś ją adoptowała. A ty?

Cass poczuła, jakby siostra zdzieliła ją czymś ciężkim po głowie.

- Przecież sama wiesz, że nie potrafisz się nią zajmować. Nie ma w tobie za grosz poczucia odpowiedzialności.

- Żegnaj, Cass. Zadzwoń do Belford House, by przekazać, kiedy szofer odbierze moją córkę. - Tracey odwróciła się, zamierzając opuścić pokój.

Cass stała nadal, skamieniała. Rzekła w końcu:

- Nie wiem, jak możesz oglądać się w lustrze.

Teraz jej siostra zamarła. Po chwili stanęła z Cass twarzą w twarz.

- To naprawdę dziecinnie proste - takie proste, jak przyglądanie się sobie na zdjęciach w kronikach towarzyskich czołowych pism. - Uśmiechnęła się z triumfem. - A jak ty to robisz? Który rozmiar teraz nosisz? Dziesiątkę? Masz niepełna metr sześćdziesiąt wzrostu i nadwagę pięciu kilogramów? Ośmiu? A może dwunastu? Czy ostatnio uważnie przyjrzałaś się sobie? Wyglądasz, jakbyś miała przynajmniej czterdziestkę. Ale z pewnością o tym wiesz. Z jakiego innego powodu zamknęłaś się w Belford House, ogrywając rolę niańki Alyssy i pisząc książki, które nikogo nie obchodzą, a na dodatek nikt ich nie kupuje?

Cass z całej siły wymierzyła jej policzek.

Tracey odskoczyła, krzycząc z bólu.

Cass nie mogła wręcz uwierzyć, że dopuściła się takiego czynu, ale dotychczas nikt bardziej nie zranił jej słowami. Nigdy dotychczas prawda tak strasznie jej nie zabołała. Przez chwilę obie siostry stały naprzeciwko siebie, ogarnięte taką samą furją.

- Może powinnam ją adoptować. - Cass usłyszała swój zachrypnięty głos.

- Tylko spróbuj! - rzuciła Tracey ze wściekłością.

Ich oczy się spotkały. W głowie Cass tłukła się jedna myśl: Jak do tego doszło? Przyjechała tutaj, aby zawrzeć z Tracey pokój, a nie grozić odebraniem jej dziecka.

- Thomas! - krzyknęła gospodyni. W drzwiach ukazał się potężnie zbudowany mężczyzna w czarnych spodniach i białej koszulce polo. - Proszę odprowadzić panią de Warenne do samochodu.

Cass nadal nie zamierzała się ruszyć, gdy ochroniarz podszedł do niej i stanął obok.

- Tracey... - Spróbowała ostatkiem sił skłonić siostrę do rozmowy.

Jednakże siostra demonstracyjnie wyszła z pokoju.

Ochroniarz wyprowadził Cass z domu.

Kiedy Cassandra wróciła do Belford House, zapadł już wieczór. Na niebie zebrały się gęste chmury, a silny wiatr wiał od plaży. Zaparkowała swoje bmw w garażu i weszła przez tylne drzwi. Na tyłach domu znajdował się taras wzniesiony z miejscowego kamienia, z którego rozciągał się widok na krajobraz hrabstwa Sussex - panorama łagodnych wzgórz, niskich murów granicznych, kęp cienistych drzew. Nawet wieczorem światła z wioski z miasteczka Romney padały na zbocza pagórków. W ciągu dnia można było dostrzec zabłąkaną mewę, która pofrunęła w głąb łądu z Beachy Head.

Cass nadal nie mogła wyjść z szoku.

I do tego była na siebie wściekła.

Zamiast załagodzić konflikt i rozwiązać sprawę wakacji Alyssy, tylko dołała oliwy do ognia. Jej siostra bez wątplenia pojedzie do Hiszpanii z córeczką, a ofertę wyjazdu Cass razem z nimi kategorycznie odrzuciła. Ale nie dosyć na tym. Doszło do rękoczynów i Cass zagroziła Tracey, że będzie się odwoływała do sądu, by odebrać jej prawa rodzicielskie.

A przecież naprawdę tak nie myślała. Boże kochany, coś takiego nie przyszło jej do głowy. A może jednak?

Spuściła powieki i zaczęła się zastanawiać, pełna obaw.

W najgorszym razie może zaskarżyć Tracey i wygrać sprawę, bez względu na to, ile to będzie kosztowało.

Natychmiast otworzyła oczy, pełna obrzydzenia do siebie. Jak mogła nawet dopuścić do podobnych myśli? Potrzebowała drinka. A jeszcze bardziej chciałyby spojrzeć w kryształową kulę, by przewidzieć przyszłość.

- Cassandro, czy to ty?

Cass spojrzała przed siebie i w dwuskrzydłowych drzwiach prowadzących na taras ujrzała podświetloną lampami z pokoju sylwetkę ciotki.

Tak. - Wdrapała się na taras, unikając wzroku Catherine i weszła do niedużego gabinetu ze ścianami wykładanymi drewnem. W kominku płonął ogień.

- Co się stało? Tak się niepokoiłam, dokąd pojechałaś? - zapytała ciotka.

- Gdzie jest Alyssa? - Cass odpowiedziała pytaniem, czując narastającą rozpacz.

- W swoim pokoju. Czyta - rzekła Catherine. - Byłaś u siostry, prawda?

Cass przed wyjazdem nikomu nie powiedziała, dokąd się wybiera.

- Tak, zgadza się - mruknęła i podeszła do barku, żeby nalać sobie kieliszek porto. Zauważyła, że lekko drżą jej ręce.

- Z twojej miny wnioskuję, że wizyta okazała się nieudana.

Cass wypijała porto i aż łzy stanęły jej w oczach, gdy alkohol zapiekł w żołądku.

- Spieprzyłam sprawę - wyznała.

Ciotka podeszła i położyła rękę na jej ramieniu. Cass bez słowa strząsnęła ją z siebie.

- Co się wydarzyło?

- Uderzyłam ją - oznajmiła Cass, patrząc ciotce w oczy. - Walnęłam ją w twarz. Teraz na pewno weźmie Alyssę i nawet nie wiem, czy kiedyś wróci. - Zaczęła tracić panowanie nad sobą i musiała dołożyć wszelkich starań, żeby się kompletnie nie załamać. Nie znajdowała jednak punktu oparcia. Dal-
sze życie obu kobiet jawiło im się jako pasmo kłopotów i zmartwień.

- Dobry Boże, a więc już się zaczęło - wymamrotała Catherine, zaciskając palce.

Cass zamruwała oczami, a kiedy ponownie spojrzała na ciotkę, poczuła gwałtowny przypływ gniewu.

- Nie zaczynaj teraz ze swoimi bzdurnymi czarami - ostrzegła prawie z krzykiem. - Nie próbuj mi nawet sugerować, że to ma cokolwiek wspólnego z rodem de la Barca, z de Warenne'ami lub z którymś z twoich niesławnych przodków. - Zatrzęsa się z oburzenia. Nic dobrego z tego nie wyszło dla żadnej z rodzin... - przypomniała sobie.

- Po prostu nic o tym nie wiesz - odparła lakonicznie Catherine.

- Wiem, że sama zaczęłaś ten temat.

Ciotka zbladła.

- Tu nie chodzi o mnie. Myślę, że nareszcie zaczęłaś coś rozumieć.

- Przykro mi - krzyknęła Cass, zbliżywszy się do ciotki - ale jak mogłaś mówić, że ją wydziedziczysz?

- Chciałam ją jedynie uchronić - odparła Catherine słabym głosem, osuwając się na krzesło.

- Uchronić? Nie ma jej przed czym strzec, prócz niej samej. Jeśli chce mieć flirt czy nawet zamierza wyjść za mąż za Antonia de la Barkę - to wyłącznie jej sprawa. Tracey jest jak wiadomo dorosła, choć bez wątplenia pokrecona.

- Musimy ją chronić, Cassandro. Po prostu musimy - powtórzyła ciotka zmęczonym głosem.

Cass zatopiła w niej wzrok. Słowa, które usłyszała od Catherine poprzedniego wieczoru, ciągle ją prześladowały. Nie mogła wymazać ich z pamięci. Niemniej w żaden sposób nie chciała dać się przekonać ciotce i uwierzyć w jej zaskakujące wyjaśnienia.

- To nie dotyczy związków między dwoma rodami, zakończonych tragedią. Nic podobnego. Sprawa dotyczy jedynie ojca Antonia de la Barki. W jakiś sposób byłaś wmieszana w jego śmierć. A więc w istocie nie chcesz chronić Tracey, lecz siebie, prawda?

Catherine zachwiała się, wstając, i Cass poczuła, że jakaś część w niej chce jej pospieszyć na pomoc. Przecież patrzy

na kobietę, którą ją wychowała jak matka i którą kochała jak matkę i najlepszego przyjaciela. Pragnęła powstrzymać tę tyradę, oskarżenia, wybuchy gniewu, a mimo to nie potrafiła. Nie wtedy, gdy stawką było odebranie im Alyssy.

Wpatrywała się w bladą, zniszczoną twarz ciotki.

- Co się naprawdę stało? I nie próbuj mnie przekonywać, że nie możesz o tym mówić. Mam wszelkie prawo dowiedzieć się, o co tu chodzi. Tracey chce wyjść za mąż za Antonia! - Cass krzyczała, jednocześnie płacząc. - On z pewnością nie jest głupi. Na dodatek jest z zawodu historykiem. Przecież chyba zdajesz sobie sprawę, że prędzej czy później dowie się, co naprawdę zaszło. Będzie domagał się sprawiedliwości, może zechce pomścić śmierć ojca?

Catherine znów opadła na krzesło i ukryła twarz w rękach.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że okoliczności śmierci ojca Antonia tylko potwierdzają ten straszliwy schemat?

- O czym ty mówisz! Nie ma żadnego schematu! - Cass podbiegła do niej. Instynkt podpowiadał jej, aby chwyciła ciotkę za szczupłe ramiona i potrząsnęła nią, w ten sposób przywołując do porządku. Była wstrząśnięta swoim zachowaniem, przerażona sytuacją, którą wywołała. Uklękła przed Catherine. - Błagam cię, najusilniej upraszam, abyś ocaliła naszą rodzinę przed strasznym losem. Jeśli Antonio de la Barca stanowi śmiertelne zagrożenie, chcę się dowiedzieć, dlaczego tak uważasz - tylko nie opowiadaj, że ma to coś wspólnego z przeszłością sprzed setek lat. Ciociu, chcę odzyskać dziecko. Muszę odzyskać dziecko. Nie mogę jednak walczyć o małą w ciemnościach, w jakich się znajduję. Czy ty go zabiłaś?

Catherine opuściła ręce, którymi zasłaniała twarz. Pozbawione koloru, wyblakłe, szeroko otwarte oczy utkwiła w twarzy siostrzenicy.

Cass czekała na odpowiedź.

- To skomplikowane - usłyszała w końcu.

Ogarnęło ją najpierw niedowierzanie, potem gniew. Aż zatrzęsa się ze złości.

Za ich plecami rozległ się brzęczyk telefonu.

Żadna z nich nie drgnęła.

Cass usiłowała zapanować nad sobą, bo zorientowała się, że ciężko dyszy.

- Nie daję ci wyboru - ostrzegła ciotkę.

Catherine wyprostowała się z godnością na krześle, gdy telefon przestał dzwonić.

- Nie mów do mnie takim tonem, Cassandro. Jestem od ciebie dużo starsza.

Cass pozostawała na klęczkach, ciotka nadal siedziała na krześle wyprostowana jak struna. Cass miała już na końcu języka zarzut, że ciotka jest po prostu egoistką; te słowa zraniłyby ją bardzo głęboko. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna ich wypowiadać, ale nie mogła się powstrzymać. Już otwierała usta, gdy drzwi uchyliły się i w szparze ukazała się głowa jednej z pokojówek.

- Pani de Warenne, telefon do pani.

Cassandra ledwie na nią zerknęła.

- Proszę podnieść słuchawkę - powtórzyła pokojówka.

Cass wlepiła wzrok w powykęcane reumatyzmem żylaste dłonie ciotki. Na palcu serdecznym jej lewej ręki zauważyła duży pierścień z szafirem w otoczeniu brylancików, prezent od Roberta... na ich dwudziestą piątą rocznicę ślubu - pomyślała.

Pokojówka nadal czekała, w końcu rzekła:

- Dzwoni pani Tennant i mówi, że to pilne.

Cass zerwała się jak oparzona. Po raz ostatni spojrzała na ciotkę i pobiegła do aparatu stojącego na niedużym, pokrytym skórą stoliku w rogu gabinetu.

Pragnęła odzyskać jasność myśli, opanować panikę i rozmawiać racjonalnie. Gdy tylko podniosła słuchawkę, poczuła, że to niemożliwe. Była na skraju omdlenia.

- Halo? - spytała słabym głosem.

- To ja - odparła jej siostra lodowatym tonem.

- Tak mi przykro w związku z...

Tracey natychmiast jej przerwała:

- Prawnik, który mnie reprezentuje, nazywa się Mark Hopkins. Mój kierowca przyjedzie po Alyssę jutro. Proszę spakować większość jej rzeczy. Mark pozostanie w kontakcie z tobą i z Catherine. - Po tych słowach się rozłączyła.

- Tracey! - krzyknęła Cass do słuchawki. Gwałtownie naciskała widełki, ale odpowiedział jej tylko sygnał. Poczęła więc w pośpiechu wykręcać numer siostry w Londynie. Była luk zdenerwowana, że prawie widziała oczami wyobraźni, jak ściany wał się na nią w zwolnionym tempie. Oczywiście, nic takiego nie nastąpiło, twarde jak skała mury starego domostwa nawet nie drgnęły. To jej życie waliło się w przepaść.

Telefon dzwonił, dzwonił, dzwonił, aż włączyła się automatyczna sekretarka.

- Tracey! - błagała Cass. - Wiem, że tam jesteś. Proszę cię, podnieś słuchawkę, bardzo cię proszę! - Jednakże jej młodsza siostra nie ugięła się.

Próba z telefonem komórkowym zakończyła się takim samym rezultatem. Cass usiłowała dodzwonić się do Tracey to z jednego telefonu, to z drugiego. Wreszcie usiadła przy biurku, ze słuchawką w rękę, i rozpłakała się jak dziecko.

- To jest dopiero początek - odezwała się ciotka tuż nad jej uchem.

Cass uniosła głowę i spojrzała na Catherine przez łzy. Odzwała z goryczą:

- Tak, to dopiero początek. - Zdawała sobie jednak sprawę, że obie myślą o różnych sprawach. - Jak możesz się upierać przy swoich egoistycznych wyjaśnieniach, wiedząc, że Alyssa ma jutro wyjechać, może na zawsze, i że odtąd to prawnik Tracey będzie się z nami kontaktować?

Catherine wyglądała tak, jakby za chwilę miała się przenieść.

- Został potrącony przez samochód w hiszpańskiej mieścinie. Na pewno nigdy o niej nie słyszałaś - to Pedraza.

Cass zamrugała. Ciotka przemawiała głosem robota. Nie ulegało kwestii, że czuje się głęboko zraniona. Cass zrobiło się żal ciotki, niemniej rzekła:

- A zatem był to nieszczęśliwy wypadek. - Na westchnienie ulgi było już za późno.

Catherine nawet na nią nie spojrzała. Wpatrywała się milcząco przed siebie, w ścianę, zagłębiona we wspomnieniach z odległej przeszłości.

- Niekoniecznie - powiedziała.

Cass poczuła takie silne pulsowanie w skroniach, jakby miała przyłożony głośnik do głowy. Usiłowała otrząsnąć się z bólu.

- Z twego opisu wynika, że był to wypadek... - powtórzyła niepewnie.

Catherine uśmiechnęła się ze smutkiem.

- To ja skłoniłam go, żeby wszedł na jezdnię tuż pod nadjeżdżający samochód. Chciałam go zniszczyć.

ROZDZIAŁ 5

Cassandra weszła do Belford House odrętwiała i wyczerpana. Tego ranka szofer Tracey zabrał Alyssę. Cass nie uprzedziła małej, co ją czeka, ponieważ z rozpaczą liczyła na to, że jeszcze coś się zmieni. Dziewczynka sądziła, że jedzie do matki najwyżej na kilka tygodni. Cass nie mogła jednak wymazać z pamięci miny małej, gdy ta siedziała na tylnym siedzeniu mercedesa. Alyssa chciała się rozpłakać, lecz dzielnie pokonała łzy.

Lało jak z cebra; taka pogoda panowała przez cały dzień i Cass czuła na barkach brzemień przemożnego smutku. Wychodząc, nie włożyła płaszcza przeciwdeszczowego i teraz była przemoczona do suchej nitki. Powoli weszła do foyer i stamtąd ruszyła korytarzem.

Co mam teraz zrobić? Te słowa nie dawały jej spokoju, rozbrzmiewały w jej głowie jak litania.

- Już za tobą tęsknię, ciociu - powiedziała na pożegnanie Alyssa. Wargi drżały jej z tłumionej emocji.

Wtedy Cass poczuła, że serce pęka jej z rozpacz. Zapanowała nad sobą, gdy jeszcze raz uściskała małą. Zastanawiała się przy tym, czy widzi ją ostatni raz.

- Ciesz się wakacjami z mamusią - rzuciła, nie zdradzając łkania w gardle.

- Ale czemu ty nie możesz pojechać? I dlaczego jadę już teraz? - Alyssa domagała się odpowiedzi.

- Och, wiesz, jaka jest mama. Zawsze zmienia plany. - Cass za wszelką cenę chciała zachować pogodny ton.

Alyssa skinęła głową, drzwiczki zamknęto i samochód ruszył. Cass nie spuszczała go z oczu, póki nie zniknął w deszczu i w mgle. Nawet wtedy wpatrywała się w pusty skrawek szosy.

Nie płakała. Wyprowadziła jedynie konia ze stajni i tak długo jeździła po okolicy, aż zrobiło się jej niedobrze. Zwymiotowała na skraju ścieżki. A teraz nadal padało, ona była wykończona i mokra, a jej ogier Harry, wytarty do sucha i rozgrzany z wysiłku, posilał się owsem ze żłobu.

Zdawała sobie sprawę, że musi się skoncentrować na pracy, że tylko ona stanie się jej zbawieniem, ale czuła taki lęk i tęsknotę, że siedzenie przy komputerze okazało się teraz zadaniem ponad siły.

A co będzie, jeśli Tracey się zatnie? I Alyssa nie wróci już nigdy?

Ogarnęła ją panika. Usiłowała powstrzymać nawałnicę myśli. Nic dobrego nie może wyjść ze związków między obu rodzinami... Cass weszła do biblioteki, usiadła przy ogromnym oknie i zapatrzyła się ponuro w szary, zalany strugami deszczu krajobraz hrabstwa Sussex. Zapadała noc. Dlaczego dopuściła do odjazdu Alyssy? Nie potrafiła znaleźć sposobu, aby wygrać z Tracey. Nie miało to nic wspólnego z wkroczeniem w ich życie Antonia de la Barki.

Bo Cass nienawidziła swojej siostry. O Boże, i to jak!

Ta nagła nienawiść zszokowała ją samą. Cass wyprostowała się i drżąc z chłodu, który zmroził jej duszę i powoli opanowywał ciało, przekonywała samą siebie, że nie może przecież znienawidzić własnej siostry. Wstała i wyszła na korytarz, gdzie zobaczyła pokojówkę.

- Czy były do mnie jakieś telefony? - spytała.

- Niestety nie, pani de Warenne.

Cass raczej nie spodziewała się wiadomości od Alyssy, ale prawnik również się nie odezwał. To dodało jej otuchy. Poczła taką ulgę, że świat zawirował, obraz wokół niej stał się szary i nieostry.

- Pani de Warenne?

Cass próbowała przyjrzeć się starszej kobiecie, którą znała od jedenastego roku życia - poczciwej słudze z dorosłymi dziećmi i dorastającymi wnukami. Pokojówka upierała się, aby nie zwracać się do niej per Cassandra czy Cass.

Tak, Celio?

Lady Catherine położyła się do łóżka. Obawiam się, że bardzo źle się czuje. Pani wyjechała na cały dzień, ja usiłowałam wezwać doktora Stolmana, ale lady Catherine nie chciała o tym słyszeć. Może pani do niej zajrzy, bo mnie wyrzuca, ilekroć wsunę głowę.

Pulchna, pomarszczona ze starości twarz Celii wyrażała szczerą troskę. Cass czuła się kompletnie wycieńczona. Nadal nic mogła przestać obwiniać ciotki za wszystkie nieszczęścia ostatnich dni. Jednakże nie wypadało odmówić.

Dobrze. - Skinęła głową.

- Aha, i jeszcze jedno, pani de Warenne. I może pani od razu ściągnie te zabłocone, mokre buty do konnej jazdy. Pannie Alyssie na pewno nie pomoże, gdy obie panie zachorują na zapalenie płuc.

Cass spojrzała w pełne oddania brązowe oczy Celii i zaczęła bezgłośnie płakać.

- Zobaczysz pani, panienska wróci. - Pokojówka delikatnie poklepała Cass po ramieniu. - Nie wolno w to wątpić.

Cass wstrzymała łzy i otarła oczy dłonią.

- Zajrzę do ciotki - rzekła, odsuwając się od Celii. Gdyby tylko jej siostra nie była osobą nieprzewidywalną. Jednakże taką miała naturę i pobożne życzenia niczego tu nie zmieniają.

Otworzyła drzwi do sypialni ciotki i stanęła w progu. Paliła się tylko lampka nocna. Catherine leżała bez ruchu. Cass znów ogarnął niepokój. Wraz z nim nadeszła troska.

Jeśli ciotka spała, nie należało jej budzić. Jak najciszej wśliznęła się do pokoju. I nagle zorientowała się, że temperatura w nim drastycznie spadła. Poczowała lodowate zimno.

Co się tu działo? Dlaczego sypialnia była wyziębiona? Ale przecież ogień palił się na kominku. Nic nie rozumiejąc, Cass zbliżyła się na palcach do łóżka pod baldachimem.

Znowu zawładnęło nią rosnące napięcie.

To jest dopiero początek... Nic dobrego nie może z tego wyjść...

Otrząsnęła się po raz kolejny ze słów rzuconych przez ciotkę. Catherine wcale nie leżała bez ruchu, lecz rzucała się w pościeli, pewnie dręczył ją jakiś męczący sen. Cass zaczęła się rozglądać.

Czego właściwie szukała?

Nie zdawała sobie z tego sprawy; czuła jedynie, że stało się tu coś okropnego.

- Stało się źle - mruknęła do siebie - bo moja ciotka jest chora, a w pokoju nie jest nawet ciepło. Jeszcze od tego umrze.

Przestawiła termostat, który - jak się jej wydało - nie działał sprawnie i podeszła do skraju łóżka. Gdy dotknęła ramienia leżącej, rzęsy Catherine zatrzepotały.

- Czy to Tracey?

Nagle Cass zamarła, bo nawet przez rękaw koszuli nocnej wyczuła, że ciotka ma bardzo wysoką gorączkę. Gdy przyłożyła dłoń do jej czoła, zorientowała się, że głowa chorej płonie.

- Tracey... - szepnęła znów Catherine.

Cass nie chciała jej martwić w takim stanie.

- Tracey ma się dobrze - rzekła i zapaliła drugą lampkę nocną, a następnie wyciągnęła z szuflady szafki notes z telefonami. Szybko wykręciła numer telefonu miejscowego lekarza, który przychodził z wizytami domowymi, jeśli istniała taka konieczność. Zostawiła wiadomość u jego sekretarki, pobiegła do łazienki. Znalazła w apteczce aspirynę i wróciła z lekarstwem do pokoju.

- Gdzie jest Tracey? - jęknęła Catherine.

Cass była w rozterce i postanowiła skłamać.

- Jeszcze nie odleciała do Hiszpanii. Ciociu, musisz teraz usiąść i połknąć aspirynę.

- Nie - zaprotestowała chora. - Cassandro, ja chyba umieram.

Cass wydała z siebie krzyk trwogi.

- Ciociu, nie mów tak! - Jej oczy zaszklily się łzami. Jeśli Catherine umrze, ona nigdy się z tego nie podniesie. Jakaś cząstka jej serca umrze razem z ciotką.

- Za późno - wycharczała chora. - Ona tu jest.

Cass zaczęła się zastanawiać, czy Catherine jest w malignie. Jednakże ciotka odezwała się zupełnie przytomnym tonem:

Jestem taka chora, taka chora, moje dziecko. - Po jej polickach spływały łzy.

Cass postanowiła, że przewiezie ciotkę na ostry dyżur.

Ciociu, najpierw spróbuj usiąść - przemawiała do niej czule, podsuwając jej rękę pod plecy. Usiłowała nie wpaść w panikę.

Nie mogę - usłyszała szept. - Liczyłam, że zwyciężę, ale się nie powiodło.

Cass znów znieruchomiła. Doszła do wniosku, że ciotka mimo wszystko mówi od rzeczy. Sięgnęła po szklanke z wodą, podtrzymując chorą w pozycji siedzącej.

Postaraj się, możesz to zrobić - przekonywała ciotkę, Zrobiło jej się gorąco, chociaż w pokoju panował przejmujący chłód.

- Cassandro, nie wyznałam ci prawdy.

Dziewczyna zamilkła.

- Nie powiedziałam ci całej prawdy - dodała ciotka, zamykając powieki.

- Teraz nie mamy na to czasu. - Cass zdecydowanym ruchem wsunęła ciotce w usta dwie pastylki aspiryny i przytknęła do ust szklanke wody. Jej wysiłek zakończył się powodzeniem, bo chora wreszcie połknęła tabletki. Siostrzenica oparła ciotkę na poduszkach i odetchnęła z ulgą. Jednakże jej radość nie trwała długo.

- Prawda... - Catherine nie zamierzała zrezygnować. - O Boże -jęknęła, próbując znowu usiąść.

Cass nie miała wyboru, musiała jej pomóc.

- Nic mnie nie obchodzi, jaka jest prawda - rzekła dobitnie. - Chodzi mi tylko o dobro naszej rodziny i o to, abyśmy znów byli razem.

Catherine pokręciła głową, zmuszając się do otwarcia oczu.

- Isabel. Ja mówię o Isabel.

- O Isabel? - wykrzyknęła Cass z niedowierzaniem. Ciotka chciała teraz mówić o tej kobiecie z dalekiej przeszłości?

O ich krewnej sprzed wieków? Ucisk w skroniach stawał się coraz dotkliwszy. Przyszło jej do głowy, że od chwili tego przekłętego przyjęcia stan ciotki stale się pogarszał. Cass wcale nie chciała wnikać w tę opowieść, nie życzyła sobie wysłuchiwać tych bzdur, ale nie miała wyjścia. - No więc co chciałabyś mi zakomunikować o Isabel?

- Ona wróciła.

Cass spojrzała na ciotkę. I powiedziała szybko:

- Nie ma czegoś takiego jak duchy, jeśli je właśnie masz na myśli.

- Wróciła tu, aby zwyciężyć.

Ciotka była rozgorączkowana, miała dreszcze. Cass uzmysłowiła sobie, że sposób, w jaki odezwała się do chorej, wskazywał na brak serca. Już chciała się usprawiedliwić, gdy Catherine, patrząc jej prosto w oczy, rzekła:

- Ona jest tutaj.

I nagle jej oczy się zmieniły. Niewyraźne światło w jej źrenicach ustąpiło. We wzroku znać było teraz budzący grozę żar i nadzwyczajną inteligencję. Cass aż podskoczyła na łóżku.

Kiedy w chwilę potem znów spojrzała na ciotkę, jej oczy były zamknięte, twarz spokojna, ale Cass zdawała sobie sprawę, że tuż przedtem dostrzegła w nich... co właściwie? Jak mogłaby opisać wyraz twarzy -Catherine, który, jak sądziła, pojawił się tylko na ułamek sekundy?

Gdyby pozwoliła sobie na szczerłość, użyłaby określenia „dziki wyraz”.

Albo wręcz morderczy.

...Chciałam go zniszczyć...

Cass wpatrywała się w ciotkę, która - wydawało się teraz - spokojnie zapadła w sen. Rysy jej twarzy złagodniały. Wyraz wściekłości i nienawiści ustąpił.

Jeśli rzeczywiście kiedykolwiek się pojawił.

W oczach Cass znowu zakręciły się łzy. Była skrajnie wyczerpana. Z pewnością wyobraźnia płata jej figle - ciotka nie mogła przecież tak przerażająco wyglądać! Doszła do wniosku, że musi się teraz skupić na zapewnieniu Catherine pomocy medycznej, bo jeśli cokolwiek się jej stanie, nie wybaczy tego ani sobie, ani swojej siostrze.

Nagle poczuła się kompletnie załamana. Osunęła się na łóżko obok ciotki i sięgnęła po jej dłoń. Alyssa odjechała, Tracey ścigała Antonia de la Barkę, jej siedemdziesięcioletnia ciotka zapadła na zapalenie płuc, jak się należało domyślać, a jak ona miała się w tym wszystkim zachować? Przede wszystkim powinna uratować Catherine oraz uchronić je od skandalu, a w ostateczności - wytoczyć sprawę siostrze. Ale czy rzeczywiście ma walczyć pazurami o odzyskanie Alyssy? Usunąć Antonia de la Barkę z ich życia? Pogrzebać tajemnicę, o której istnieniu nawet nie wiedziała i wcale nie była jej ciekawa?

Jak, na miłość boską, ma to wszystko osiągnąć? Była samotną, wielce niedoskonałą kobietą.

Zadzwonił telefon. Odezwał się doktor Stolman i Cass poinformowała go szybko o stanie chorej. Lekarz poprosił, aby natychmiast zmierzyła ciotce temperaturę. Okazało się, że miała prawie czterdzieści jeden stopni. Wobec tego doktor oświadczył, że już wzywa pogotowie, a sam będzie czekał na pacjentkę w szpitalu.

Cass szybko podeszła do drzwi i zawołała Celię. Podczas gdy pokojówka przygotowywała niezbędne rzeczy, usiadła przy ciotce i gładząc ją po ręce, z coraz większym lękiem myślała, co jeszcze czeka je tego wieczoru.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Cass nie mogła wytrzymać z niepokoju. Próbowwała się pocieszać, że wszystko dobrze się skończy. Było to jak mantra, którą ciągle powtarzała w duchu, ale niestety, nie zdołała w nią uwierzyć.

Gdyby tylko można było cofnąć czas, tak jak cofa się taśmę magnetofonową - pomyślała. Gdyby mogły zacząć od nowa...

- Pani de Warenne, wszystko jest już przygotowane. Może pani zabierze parę rzeczy na zmianę dla siebie?

Głos Celi dotarł do niej jakby z wielkiej odległości.

- Zostaję tutaj - powiedziała. - A gdzie są ci ludzie z pogotowia? - Nie mając nic więcej do roboty, mocno zakręciła buteleczkę z aspiryną i odstawiła na szafkę nocną aparat telefoniczny. Ujrzała wtedy notes w oprawie z niebieskiej skóry.

Zawahała się, bo notes był bez wątpienia stary, oprawny ręcznie, a jego okładka miejscami odbarwiona, nosząca ślady wieloletniego używania. Nie dostrzegła żadnego tytułu.

Nie mogła się powstrzymać. Wzięła go do ręki, otworzyła - i dosłownie ją sparaliżowało.

Bez wątplenia był to dziennik. Pierwszy wpis nosił datę 1946. Cass z trudem oddychała. Natychmiast bowiem rozpoznała charakter pisma ciotki.

Od słów rzuconych przez Catherine nie mogła się uwolnić. Zwabiłam go na jezdnię tuż przed samochodem. Celowo. Chciałam go zniszczyć.

Zadrżała. Nagle, bez zastanowienia, otworzyła dziennik na ostatniej stronie, gdzie widniała data: 15 lipca 1966.

Dostrzegła nazwy i nazwiska.

Casa de Suenos.

Pedraza.

Eduardo de la Barca.

Isabel de Warenne.

Zamknęła notes, wsunęła go do szuflady i zeskoczyła z łóżka. W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Przyjechało pogotowie.

- Zastanawiam się, dlaczego Antonio nie przyjechał po nas na lotnisko - spytała Alyssa, stojąc obok matki w ciemnym holu budynku mieszkalnego z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

Tracey była wykończona. Ich odlot opóźnił się o dwie godziny, spędziły je w poczekalni dla VIP-ów. Nie mając nic do roboty, musiały ze sobą gawędzić. Problem polegał jednak na tym, że Tracey właściwie nie znała własnej córki, więc wszystkie tematy, jakie interesowały małą, były jej zupełnie obce. Na dodatek nie znała żadnych koleżanek Alyssy. Itr dłużej dziewczynka coś opowiadała, tym bardziej jej matka czuła się znużona rozmową. Wspólnie spędzony czas na lotnisku zmuszał Tracey do ciągłych porównań z Cass, tą siostrą bez skazy. Ona na pewno cieszyłaby się z opóźnienia samolotu. Uśmiech nie zniknąłby jej z twarzy. Tracey zaczęła żałować, że wzięła małą do Madrytu. Co się stanie, gdy Antonio zauważy, jak nieodpowiednią jest matką? Chciała go oczarować, ale teraz zaczęła się obawiać, że zdarzy się coś dokładnie przeciwnego.

Nie miała jednak wyboru. Jej siostra i ciotka sprawiły, że podróż z Alyssą stała się nieunikniona.

Czuła, że wzbiera w niej żal i gniew, gdy przypominała sobie, jak Cass i Catherine trzymały ze sobą, żeby jeszcze raz ją pognać. Na dodatek powinna była przełożyć o kilka dni odlot do Madrytu. Była wyczerpana i osłabiona, wszystko się w niej trzęsło.

- Mamusiu? Dobrze się czujesz?

Głos córki przywołał ją do porządku. Tracey zaczerpnęła kilka głębokich, uspokajających wdechów.

- Tak. - Wymusiła na sobie uśmiech. - Wiesz, on się wcale nas nie spodziewa. Zrobiliśmy mu niespodziankę...

Alyssa z otwartą buzią zagapiła się na matkę.

Tracey rozgniewała się w duchu, ponieważ w reakcji dziecka zauważyła osąd swojego postępowania.

- Będzie zachwycony, kiedy nas zobaczy - pocieszyła córkę i zarazem siebie. No, chyba się ucieszy - powtórzyła w myślach.

Alyssa zaczerwieniła się i spojrzała na czubki swoich buczków.

Tracey, która niewiele wiedziała o dzieciach, zaczęła się zastanawiać, czy jej siedmioletnia córka uważa, że nie należy pojawiać się bez uprzedniego zaproszenia. Czy Cass zdążyła już wpoić jej te zasady? Znowu poczuła się zmęczona. Brzuch bolał ją z napięcia, pociła się w krótkiej spódniczce i cieniutkiej górze z kaszmiru. Boże, w Hiszpanii było tak gorąco. Ale przecież już o tym wiedziała.

Zerknęła na zegarek. O tej porze Antonio powinien pokazać się w domu. Zajęcia ze studentami skończyły się przed tygodniem, ale on - jak już spostrzegła - zagłębił się w jakiś rodzaj badań naukowych; niemniej o tej porze zwykł był jadać późny obiad z synem.

Nigdy przedtem nie spotkała tak oddanego ojca. Pod tym względem mógł się tylko równać z Cass jako zastępczą matką.

Przyszło jej nagle do głowy, że oboje pasowaliby do siebie. Wcale nie spodobała się jej ta myśl. Pocieszyła się w duchu, że Cass absolutnie nie jest w jego typie.

Zadzwoiła, nie było odpowiedzi, więc doszła do wniosku że w mieszkaniu nadal nie było nikogo.

Poczuła, że znowu ogarnia ją gniew.

- Świetnie - mruknęła do siebie. - I co mam teraz zrobić? Usiąść na podłodze i czekać?

- Mamo?

Przez chwilę Tracey zapomniała, że Alyssa stoi obok niej.

- Co takiego?

Mała zarumieniła się i powiedziała szeptem:

- Muszę skorzystać z łazienki.

- No tak! Tego tylko brakowało - krzyknęła. Pożałowała że Antonio nie dał jej klucza do mieszkania. A powinien. Spędziła tu przecież tyle czasu. Nagle ogarnęły ją wspomnienia ich burzliwych scen miłosnych. Stopniowo zaczęła się relaksować. Wracało do niej zachwiane poczucie wiary w siebie Antonio był prawdziwym mężczyzną. Człowiekiem pełnym pasji. Z całą pewnością uda się jej zapanować nad nim. Oczywiście, że sobie poradzi. Rozległ się dźwięk windy jadące; w górę i Alyssa obróciła się w jej kierunku z nadzieją, że zaraz wyjdzie z niej Antonio. Niestety, w drzwiach ukazała się sąsiadka, kobieta w średnim wieku.

- *Senora, buenos dias* - pozdrowiła Tracey, spoglądając z ciekawością na Alysę.

- Hej - pozdrowiła ją po angielsku Tracey. Po czym spytała: - Czy widziała pani dzisiaj senora de la Barca? A może orientuje się pani, czy jest w swoim biurze na uniwersytecie?

Oczy tamtej rozwarły się szeroko.

- Mój angielski niedobry. *Senor no esta en la universidad. Esta en Castilla.*

Tracey nie mówiła po hiszpańsku, ale pojęła, co sąsiadka starała się jej przekazać.

- Jest w Kastylui? Na północy? W swoim domu rodzinnym. Casa de Suenos? - krzyknęła z niedowierzaniem.

- *Si. Senor fue a Castilla.*

- Co takiego?

- Ach... - poszedł... wczoraj.

Wczoraj. Antonio odjechał wczoraj do swego domu rodzin-

nego. Tracey stała jak słup soli, nie mogąc uwierzyć, że ma takiego pecha.

Alyssa uwiesiła się jej ręki.

Tracey niemal krzyknęła:

- Nie teraz. - Jednakże starsza pani popatrzyła na obie z wyraźną sympatią. Dom wiejski Antonia znajdował się na północ od Segowii. Kiedyś pokazał jej tę miejscowość na mapie. Jak brzmiała nazwa tej miejscowości? Westchnęła głośno. Pedamo, Pedaso? Nie, Pedraza. Teraz dokładnie sobie przypominała.

- Czy moja córka może skorzystać z pani łazienki? *El servicio? Por favor?*

W chwilę potem Alyssa weszła do mieszkania kobiety, podczas gdy Tracey gorączkowo zmieniała plany.

Następnego ranka Cass siadła za biurkiem w bibliotece. Błat pokrywały książki, z których część była otwarta. Robiła notatki, ale nie mogła się skoncentrować.

O tej porze Tracey z Alyssa powinny być od paru godzin w Madrycie. Cass już przedtem zatelefonowała do Marka Hopkinsa, nie ukrywając zdenerwowania. Prawnik okazał się nadzwyczaj małomównym człowiekiem, ale przynajmniej dał do zrozumienia, że matka i córka odleciały poprzedniego wieczoru za granicę. Nie poruszył tematu odebrania praw rodzicielskich, ale zakomunikował jej, że pozostanie z nią w kontakcie.

Cass odsunęła biografię Marii Tudor, czując narastający ból głowy w okolicy skroni. Gdy przestawiała książkę, wypadła z niej fotografia, którą musiała wsunąć za tylną okładkę.

Kolorowe zdjęcie przedstawiało szesnastowieczny naszyjnik z rubinów. Patrzyła na nie, właściwie ich nie widząc. Czy powinna poczuć ulgę, że Hopkins nie odezwał się do niej pierwszy i że nie wspomniał o sprawie, która spędzała jej sen z powiek? Jak mogła sobie wyobrazić, że Tracey blefuje, gdy oświadczyła, że odtąd będzie z nią rozmawiać przez adwokata? Nie wyjaśniła bynajmniej, dlaczego prawnik ma telefonować, ale Cass nie chciała się oszukiwać. Przecież walczyły o Alyssę. I co się dzieje teraz z ciotką Catherine, która jest

ciężko chora na bakteryjne zapalenie płuc? Dostała antybiotyki, ale gorączka spadła nieznacznie i utrzymywała się na poziomie prawie trzydziestu dziewięciu stopni. Dla kobiety w wieku siedemdziesięciu lat to bardzo poważna choroba. A co będzie, jeśli ciotka umrze?

Cass sama ledwie żyła wskutek zmartwień, żalu i poczucia winy. Ogromnie żałowała, że się pokłóciły z Tracey. Nadal nie do końca rozumiała, jak zrodziła się między nimi wrogość, skoro dotąd tak się kochały i traktowały jak przyjaciółki.

Ciągle też nie mogła się otrząsnąć z majaczeń Catherine. Teraz przynajmniej ciotka odzyskała przytomność umysłu.

Uzmysłowała sobie, że wpatruje się w fotografię trzymaną w rękach. Od tego wszystko się zaczęło, gdy Antonio de la Barca pojawił się w ich domu. A może początku należy szukać dziesiątki lat temu, kiedy jego ojciec zginął w nieszczęśliwym wypadku, potrącony przez samochód w mieście o nazwie Pedraza?

Albo wszystko ma swoje korzenie setki lat temu?

Cass zdumiała się tą ostatnią myślą.

...Nic dobrego nie mogło wyjść ze związku dwóch rodzin...
Zaczynasz rozumieć...

Słowa wypowiedziane przez ciotkę bez przerwy krążyły jej w głowie. Ból w skroniach się nasilał. Setki lat temu kobieta która była jej krewną, została spalona na stosie. Wielka dama córka hrabiego Sussex, arystokratka, która poślubiła hiszpańskiego szlachcica. Cass poszperała trochę w książkach. Z rodu de la Barca wywodzili się hrabiowie Pedrazy. Pod koniec panowania Marii wielu heretyków spłonęło na stosie. Jednakże większość z tych, których spotkała taka okrutna śmierć, zaliczała się do fanatycznych protestantów. Czy Isabel była fanatyczką religijną? Ale jak to się stało, że w tej sytuacji poślubiła Hiszpana, który bez wątplenia był głęboko wierzącym katolikiem?

Nagle Cass ujrzała oczami wyobraźni piękną kobietę w sukni z epoki Tudorów, zakutą w łańcuchy. Przyzwyczała się do swojej fantazji, która podsuwała jej różne obrazy, więc i tym razem wcale nie była zbyt zdziwiona. A nawet czegoś takiego się spodziewała. Jednakże zaskoczyło ją, że odczuwa

współczucie. Biedna Isabel. Jeśli istotnie spotkał ją taki straszny los.

Wtem przyszła jej do głowy inna myśl - czy Antonio rzeczywiście skontaktował się z różnymi muzeami, licząc, że ktoś z nich kupi naszyjnik z rubinów. Przyjrzała się teraz uważnie fotografii, zastanawiając się, czy nosiła go Isabel i czy ta duma naprawdę należała do jej rodu, co oznaczałoby, że była istotnie skoligaconą z rodem de la Barca. A co by się stało, gdyby odkryto, że Isabel miała w istocie dzieci? Wtedy rodzinę Antonia łączyłoby dalekie spowinowacenie z jej rodzimi. Wstała, odłożywszy zdjęcie, całkowicie pochłonięta nową ideą.

Tracey i Antonio, Catherine i Eduardo. Zamyśliła się nad swoją reakcją na Antonia.

Ależ to nonsens - skonstatowała ze złością. Chociaż należała do romantyczek i była kobietą, która wierzy w przeznaczenie, tutaj nie wykryła żadnego zrzędzenia losu, w istnienie którego Catherine wierzyła bez zastrzeżeń. W grę wchodził raczej okropny zbieg okoliczności.

Skrzyżowała ręce. Znowu poczęła przyglądać się fotografii. Problem polegał na tym, że wierzyła zarówno w przeznaczenie, jak i w los. Od kiedy pamięta, zawsze tak było. Los i przeznaczenie to główne wątki jej twórczości, stale się powtarzały w jej powieściach. Czy tutaj miała do czynienia ze zbyt wieloma zbiegami okoliczności?

Catherine zakomunikowała jej, że Isabel zmarła w 1555 roku - ostatnim roku panowania królowej Marii. Skąd, do diabła, jej ciotka o tym wiedziała, a na dodatek zapamiętała tę datę?

W swoim ostatnim wpisie do dziennika wspomniała o Isabel. Cass zdrzała. Poczula ziąb, który rodził się w jej kościach.

Nagle rozejrzała się bacznie wokół siebie. Uwielbiała tę bibliotekę. Ściany pomalowano na zielonkawy półmat, sufit miał barwę rózu ze złotymi elementami pośrodku, drewniana obudowa była pozłacana, a każdy mebel w pokoju świadczył o bogatej przeszłości... Przeszłość, czyli część teraźniejszości, część żywotów ludzi. Tak było od zawsze.

Ale owa przeszłość nigdy nie była dla niej bardziej żywot-

na, silniejsza, bardziej nieunikniona lub ważniejsza do odkrycia niż teraz.

- Pani de WARENNE?

Cass tak głęboko pogрузyła się w myślach, że aż podskoczyła na dźwięk swego nazwiska, wypowiedzianego przez Celię.

- Przestraszyłaś mnie. - Serce waliło jej w piersiach.

- Przepraszam. Pragnę jednak przekazać, że pani Belford ustąpiła gorączka. Chora obudziła się i chce panią zobaczyć.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła Cass z niewysłowioną ulgą. Jazda do szpitala zajmie jej tylko trzydzieści minut. Bogu chwała!

- I jeszcze ktoś do pani telefonuje.

Cass była tak pochłonięta rozmyślaniami, że nawet nie słyszała dzwonka.

- Proszę podnieść słuchawkę - przypomniała jej Celia.

Pokojówka popatrzyła jej w oczy.

- To pani Tennant - dodała.

Cass zamarła na chwilę, po czym skoczyła do aparatu. Gdy zbliżyła słuchawkę do ucha, usłyszała swój przyspieszony oddech. Serce znów gwałtownie zabiło.

- Tracey? - zawołała.

- Hej, siostrzyczko - odezwała się z pewnym wahaniem Tracey.

Cassandra poczuła ogromną ulgę. Catherine wracała do zdrowia, jej siostra zadzwoniła.

- Tracey, dziękuję za telefon. Jest mi bardzo przykro po naszej awanturze. Jak się miewa Alyssa? Nic jej nie dolega?

- Alyssa ma się świetnie. - Sauza. - Czy naprawdę jest ci przykro?

- Ależ tak! - odparła szybko Cass. - Zrobię dla ciebie wszystko, żeby to naprawić! - I rzeczywiście, tak właśnie myślała.

- Mnie również jest przykro - przyznała Tracey zachrypniętym głosem. - Naprawdę wcale nie zamierzałam zrobić tego wszystkiego, czym ci groziłam.

- Ja też! - Cassandra tak mocno ścisnęła słuchawkę, aż zabolęła ją ręka.



- Znalazłyśmy się w okropnej sytuacji - zakomunikowała jej młodsza siostra. - Potrzebujemy twojej pomocy.

- W okropnej sytuacji? Gdzie jesteście? - zawołała Cass.

W hotelu Ritz w Madrycie. Cass, chciałabym, abyś nam pomogła.

Do Cass dotarł w końcu dramatyczny apel Tracey. Pobyt w Ritzu nie wydawał się zesłaniem, ale była gotowa bez wahania poświęcić się dla siostry i siostrzenicy.

Antonio pojechał do Kastylii. Nie mogę znaleźć kierowcy w takim krótkim terminie, możesz w to uwierzyć? Dom wiejski Tonia leży w odległości jakichś trzech godzin jazdy. Przyszła mi więc do głowy świetna myśl. Może byś przyleciała do Madrytu najbliższym samolotem, który odlatuje z Londynu o ósmej wieczorem, i jutro pojechałybyśmy z samego rana na północ?

Cass utkwiała wzrok w słuchawce.

- Co takiego?

- Air Iberia odlatuje o dwudziestej z lotniska Gatwick. Jest dopiero południe. Jeśli wyjedziesz z domu o drugiej, zdążysz bez kłopotu. Cass, zawieziesz nas samochodem. W przeciwnym razie będę musiała czekać aż do poniedziałku na szofera. A ty mogłabyś spędzić z nami weekend. Zdaje się, że tego właśnie pragnęłaś, prawda?

Cass nie musiała się namyślać.

- Jasne, że przylecę! - krzyknęła z entuzjazmem. - Zarezerwuj dla mnie bilet, a ja tymczasem zacznę się pakować. Przysięgam, że zdążę na samolot o ósmej!

- Siostrzyczko, już zrobiłam rezerwację. Również na twój powrót.

Przez chwilę Cass trawiła w myślach ostatnią uwagę Tracey, zwłaszcza dotyczącą biletu powrotnego po wspólnie spędzonym weekendzie. Szybko jednak dała sobie spokój z roztrząsaniem tej sprawy, bo wiedziała, że niepotrzebnie wzbudzi w sobie niezadowolenie.

- Czy mogę zamienić parę słów z Alyssą? - zapytała z radością. Wszystko nagle się przejaśniło. Siostry przestały walczyć ze sobą, choć ich świat był daleki od doskonałości. Spotka się z Tracey i z siostrzenicą w Hiszpanii, nawet jeśli będzie

to krótki wspólny pobyt. Niemniej zdąży dopilnować, aby zapanował między nimi rozejm, co sprawi, że Alyssa wróci po wakacjach do Belford House. I na dodatek Antonio de la Barca, który obiecał pokazać jej portret Isabel, też tam będzie.

Cass usiadła wygodniej na krześle. Gorączka ciotki ustępuje. Nareszcie wszystko zaczęło się układać pomyślnie. Dziewczyna zdała sobie sprawę, że drży z wrażenia. Okazało się, że było wiele hałasu o nic.

- Alyssa teraz śpi - poinformowała ją Tracey. - Jutro przywita cię na lotnisku. Zadzwoń do mnie, gdy tylko wylądujesz.

Cass zapewniła ją, że wszystko odbędzie się zgodnie z jej planem i zakończyła rozmowę. Nie ruszała się z miejsca, dziękując Bogu za taką szybką odmianę losu. Nie chciała rozmyślać o tajemnicy Catherine. W duchu znów podziękowała niebiosom, że Tracey nie znosi prowadzić samochodu i nie chce usiąść za kierownicą.

Następnie pomyślała o ciotce, która odzyskała przytomność i prosiła, by ją odwiedzić. Zostawiwszy Celi wskazówki w sprawie spakowania walizki, Cass wsiadła do swego bmw i w ciągu dwudziestu minut dojechała do szpitala. Na szczęście ruch na szosie był umiarkowany.

W separacie ciotki paliły się lampy i telewizor był nastawiony, choć fonia wyciszona. Ciotka, w pozycji półleżącej, miała zamknięte oczy. Cass nie mogła odgadnąć, czy odpoczywa, czy zapadła w sen. Cichutko zamknęła za sobą drzwi i na palcach podeszła do łóżka.

Dotknęła czoła chorej i stwierdziła, że jest chłodne. Znowu poczuła błogosławioną ulgę i przysiadła na brzegu łóżka. Tak bardzo kochała Catherine, że nie mogła znieść myśli, iż groziło jej coś strasznego. Po prostu nie potrafiłaby spojrzeć prawdzie w oczy. Ciotka zachorowała wskutek stresu, jaki spowodowała burza rodzinna i konflikty między siostrami. Także dlatego, że Cass wystąpiła w roli wojownika zamiast mediatora.

Nigdy więcej - przysięgła sobie.

- Cassandro? - szepnęła Catherine.

- Tak, ciociu. Jestem tutaj. Byłaś bardzo chora, ale gorączka w końcu ustąpiła. Wyzdrowiejesz. - Uśmiechnęła się do niej z tkliwością.

Catherine z trudem odwzajemniła uśmiech.

- I Alyssa miewa się doskonale. Właśnie zatelefonowała Tracey. Obie czują się świetnie, a między nami zapanował pokój. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Ciotka szeroko otworzyła oczy i spojrzała na Cass.

- Nic nie będzie dobrze - wymamrotała.

Cass osłupiała.

- Co mówisz?

Chora zamknęła oczy. Spod powiek popłynęły jej łzy.

Cass postanowiła, że nie będzie teraz denerwowała ciotki.

- Wszystko nareszcie się układa - rzekła nieco zbyt optymistycznym tonem. - Zaraz jadę na lotnisko, żeby zdażyć na samolot do Hiszpanii i spotkać się tam z Tracey i z Alyssą. Sama więc widzisz, że nie mogło zdarzyć się lepiej.

Catherine na te słowa natychmiast uniosła powieki.

- Nie jedź!

Cass stanęła, wyraźnie zmieszana.

- Muszę pojechać, bo mam się zająć Alyssą i dopilnować, żeby po wakacjach wróciła do nas.

Ciotka z trudem pokręciła głową.

- I takie są twoje zamiary? Spędzić z nimi wakacje w Kastylji?

Cass zrobiła ponurą minę. Catherine odgadła jej intencje.

- Ciociu, porozmawiajmy o weselszych sprawach. Założę się, że już jutro wypiszą cię ze szpitala.

Ciotka jednak nie zamierzała dać się zbić z tropu.

- Tak się obawiam o ciebie, o Alyssę i o Tracey - powiedziała, chwytając Cass za rękę. - Nie jedź do Kastylji. I nie pozwól, aby Tracey z Alyssą tam pojechały. Poleć do Hiszpanii i przywieź je ze sobą. Obiecuj mi to.

Cass wzięła głęboki wdech.

- Gdybym tylko mogła! Ale wiesz, ciociu, jak uparta jest moja siostra. Zakochała się i nigdy nie odstąpi od zobaczenia się z ukochanym. Nie mogę jej powstrzymać.

- Musisz! Cass, po prostu nie masz pojęcia, co się stanie, jeśli tam pojedziecie.

Cass znalazła się w trudnej sytuacji, ale starała się zachować pogodny wyraz twarzy.

- No dobrze, ciociu, co właściwie chcesz mi zakomunikować? Co twoim zdaniem się wydarzy, gdy mimo wszystko pojedziemy do Kastylii? Zastanów się, może rody de la Barca i de Warenne, w okresie gdy były ze sobą związane, przeżywały jakieś tragedie, ale to przecież czysty zbieg okoliczności. Jestem tego pewna.

- Mylisz się - rzekła stanowczo Catherine. - I wiem, że w głębi serca znasz prawdę. Cassandro, dobrze cię znam. Jesteś romantyczką i fatalistką. Przeczytałam wszystkie twoje książki. I zdaję sobie sprawę, jak działa twój umysł. A także, co czujesz.

Cass była jeszcze bardziej skonfundowana. Nie znajdowała słów odpowiedzi. Tak naprawdę zdawała sobie sprawę z tego, że ciotka ma rację.

Catherine ścisnęła jej rękę.

- Wszystko między Eduardem a mną układało się jak najlepiej, póki nie dotarliśmy do Casa de Suenos. Wtedy dopiero zaczął się dramat.

- Co przez to rozumiesz? - spytała z wahaniem Cass.

- Wtedy nie byliśmy nawet kochankami - odparła Catherine. - Byliśmy parą przyjaciół, współpracowaliśmy, szanowaliśmy się nawzajem i uwielbialiśmy naszych ślubnych partnerów. Przyłączyłam się do niego, aby prześledzić biografię Isabel! Fascynowało nas odtwarzanie losów kobiety, z którą oboje byliśmy w naszym przekonaniu spokrewnieni. Ale w ciągu zaledwie paru dni z kochanków zamieniliśmy się w parę, która się znienawidziła. Usiłowaliśmy ranić się wzajemnie jak najmocniej. Staliśmy się dzikusami - i wtedy on zginął.

Nagle Cass zrozumiała: jej ciotka nigdy nie otrząsnęła się z traumy związanej ze śmiercią Eduarda i dlatego utraciła zdolność racjonalnego myślenia na temat rodziny de la Barca. Wreszcie poczuła ulgę. Naturalnie, ciotka wymaga terapii. Cass postanowiła w duchu, że już o to zadba.

- Uczynię wszystko co w mojej mocy, abyśmy szybko wróciły do domu całe i zdrowe - powiedziała, by uspokoić ciotkę. Było to jednak kolejne kłamstewko.

Wieczorem odlatywała do Hiszpanii i miała nieodwołalny

zamiar odwiedzenia Antonia w jego domu rodzinnym w Kastylii. W istocie, gdy ostatni kryzys minął, poczuła ogromną radość w związku z wyjazdem. Była podekscytowana i niecierpliwa. Uzmysłowała sobie, że uśmiecha się na samą myśl o podróży. Ciekawość historyka, jakim w istocie była, nie pozwałała jej wręcz doczekać się spotkania z nieznanym.

A co do kobiety drzemącej w niej, no cóż - Antonio był poza jej zasięgiem, należał do superligi, więc nie pozostawało nic innego, jak zignorować pragnienia zmysłów.

Catherine nie spuszczała z niej wzroku.

- Nie mogę uwierzyć, że spróbujesz mnie oszukać - odezwała się cichym głosem. - O Boże. Pojedziesz i nic, co powiem lub zrobię, cię nie powstrzyma.

Nie wiedząc, co na to odrzec, Cassandra nawet nie starała się uśmiechnąć.

- Proszę, nie martw się - powiedziała na odchodnym. - Wszystko będzie dobrze.

- Nie. Nic już nie będzie dobrze.

CZEŚĆ DRUGA

WEZWANIE

ROZDZIAŁ 6

Kastylia - dzień pierwszy

- Czy myśmy się zgubiły? - spytała Alyssa.

Cass spróbowała się do niej uśmiechnąć w lusterku wstecznym. Ale na drodze nie było innych samochodów, a ostatnia wioska, którą minęły, była zbiorowiskiem starych domów z kamienia; w żadnym oknie nie było szyb. Jechały przez środek pustej i surowej krainy. Gdyby Cass nie ujrzała napisu przy drodze ASAR AL HORNO, byłaby przekonana, że mijają wymarłe miasteczko. Ta przeklęta wioska nie była nawet zaznaczona na mapie.

Teraz dopiero w pełni zrozumiała zwrot *la tierra muerta*. Martwa ziemia.

Przez ostatnią godzinę przejeżdżały przez jałowe, kamieniste pagórki, które nie nadawały się pod uprawę, ani, prawdę powiedziawszy, do niczego innego. Ale tuż przedtem minęły płaskie, żyzne, zielone pola i średniowieczne miasteczko Pedraza otoczone murami, wzniesione pośród łagodnych, malowniczych wzgórz.

Pedraza. To takie dziwaczne. Cass nie mogła wręcz uwierzyć, że Eduardo zginął tu śmiercią tragiczną, jako ofiara wypadku samochodowego. To z pewnością była kraksa, bez względu na to, co utrzymywała Catherine. Cassandra, mając sporo czasu do namysłu i do relaksu, oddzielona od ciotki morzem, które stwarzało dodatkowy dystans, doszła do przekonania, że biedna kobieta obciąża swoje sumienie czymś, co wcale nie było jej winą. Pozostała w traumatycznym stanie pewnie

nie tylko z powodu wypadku. Może nigdy nie wybaczyła sobie romansu z Eduardem.

- Ta starucha z Pedrazy wyjaśniała nam, że zamek jest tuż przy drodze, po prawej stronie - odezwała się Tracey z wyraźnym zniecierpliwieniem.

Cass siedziała za kierownicą z ponurą miną. Była nawet zadowolona, że siostra przerwała tok jej myśli.

- Też tak sądziłam - odparła. - Jednakże żadna z nas nie zna hiszpańskiego, więc może źle ją zrozumieliśmy. Przypuszczalnie powinniśmy były skrócić w pierwszą drogę w prawo zaraz po ostatnim skrzyżowaniu w Pedrazie.

- Myślę, że nie masz racji. - Tracey była wyraźnie rozłoszczona przedłużającą się jazdą w upale.

Cass zahamowała, mrużąc oczy mimo ciemnych okularów słonecznych, i stanęła na poboczu.

- Mogę zerknąć na mapę?

Tracey wręczyła ją siostrze bez słowa. Cass wątpiła, czy to jej pomoże w odnalezieniu zamku. Aż trudno uwierzyć, że jej szalona siostra wybrała się do Hiszpanii, nie mając ani adresu, ani numeru telefonu siedziby rodowej de la Barca. Upierała się jednak, że trzeba jej szukać w okolicach Pedrazy, a zapytani wieśniacy entuzjastycznie przytakiwali, gdy cudzoziemki wymawiały „Casa de Suenos” i wskazywali im kierunek, w którym się udały.

Casa de Suenos. Cass znała niewiele słów hiszpańskich, ale wiedziała, że znaczy to Dom Snów. Ta nazwa była nie tylko niezwykła, lecz w wyobraźni pisarki stała się romantyczna, tajemnicza, zaludniona duchami.

Tracey otworzyła drzwiczki i wysiadła z auta, żeby zapalić papierosa. Choć na zewnątrz panował straszliwy upał, w króciutkiej białej spódnicy i w przejrzystej górze bez ramion wyglądała jakby wyszła spod chłodnego prysznica. Cass spojrzała z nadzieją, że siostra pomoże w znalezieniu zamku Antonia na mapie, ale Tracey unikała jej wzroku. Zachowywała się w ten sposób od chwili przybycia Cass do hotelu w Madrycie w środku nocy.

Napięcie między nimi nie ustępowało, było nieuniknione. Rozejm okazał się nietrwały.

Cass zagłębiła się w mapę, próbując ustalić, gdzie się obecnie znajdują. Tracey tymczasem paliła papierosa, nie ukrywając niezadowolenia, wręcz złości. Cass poczuła, że jej nerwy również za chwilę puszcza. Jeśli zabłądziły, to jedynie z winy aroganckiej młodszej siostry.

Alyssa nachyliła się w stronę ciotki.

- Nawet jak zgubiłyśmy drogę, to mamy przygodę, prawda? I najważniejsze, że jesteśmy znowu razem. - Uśmiechnęła się, wyrażając zarazem obawę i ulgę.

Cass odwróciła się do niej i nie mogła się powstrzymać, by jej nie uściskać.

- Tak, przeżywamy przygodę - przytaknęła wesoło. - I założę się, że zamek jest tuż obok.

Tracey z rozmachem rzuciła peta.

Zza kierownicy Cass zauważyła, że siostra bacznie się im przygląda. To spojrzenie wywołało w niej kolejny przypływ niepokoju. Puściła Alyssę i utkwiała nos w mapie.

- Nie ma tu zaznaczonego żadnego zamku - rzekła z westchnieniem.

- Hej! Patrzcie! - Alyssa wskazała ręką coś, co ujrzała przez boczną szybę.

Cass obejrzała się we wskazanym kierunku, jeszcze bardziej mrużąc oczy.

- Kochanie, co tam zauważyłaś?

- Jakiś budynek. Jestem prawie pewna, że to jest zamek Antonia. Musimy tam pojechać! - krzyknęła radośnie.

Nie mogąc nic dojrzeć, Cass musiała założyć, że mała ma rację.

- No to jedziemy! - orzekła z uśmiechem.

Tracey zgasiła obcasem niedopałek i wsiadła do samochodu. Cass wrzuciła bieg, podczas gdy jej siostra poczęła kręcić gałką radia, bezskutecznie próbując znaleźć stację z możliwym odbiorem. Wreszcie z oznakami rosnącej furii dała temu spokój i jęknęła:

- Chryste, myślałam, że skoro jedziemy ciągle na północ, w końcu zrobi się trochę chłodniej. Co za głupota z mojej strony!

Cass prowadziła w milczeniu. Nagle Alyssa wykrzyknęła:

- Tutaj, tutaj, mówiłam wam! - Wreszcie ujrzały sylwetę zamku wzniesionego z kamienia.

- Dzięki Bogu - wyrwało się Cass. Dodała gazu. Dwie okrągłe wieże i rozsypujące się mury były dokładnie tego samego koloru, co otaczający budowlę grunt. Zamek był usytuowany na skalistym wzgórzu, popołudniowe słońce oślepiało Cass. Mogła równie dobrze przejechać, nie zauważywszy budowli zespolonej z krajobrazem. - Masz sokole oczy - pochwaliła Alysę, która aż pękała z dumy.

- Nareszcie! - odetchnęła Tracey. - Skręć w lewo, Cass, musimy objechać ruiny zamku z lewej strony. - W jej głosie znać było teraz podniecenie.

Cass posłusznie wykonała manewr. Mijały zamek, jadąc wolno, bo do kompletu brakowało im tylko złapania gumy; droga była szutrowa, z wystającymi od czasu do czasu kamieniami, więc Cass wyciągała szyję, żeby nie najechać na ostrą krawędź, która by im rozplątała oponę.

- To wygląda - powiedziała raczej do siebie niż do towarzyszek podróży - na czternasty wiek.

- Daj sobie spokój z zamkiem, o, widzę dom! - krzyknęła Tracey z ulgą w głosie.

Cass spojrzała przez przednią szybę i nagle, jakby znikąd, wyrósł przed nimi wysoki mur kamienny z bramą wjazdową z kutego żelaza. Nieopodal bramy dostrzegła długi, piętrowy budynek wzniesiony również z kamienia, kryty dachówką. Na jego krańcu stała kwadratowa wieża, a za nią znajdowały się trzy mniejsze domostwa, pewnie zabudowania gospodarcze. Główny dom ocieniała kępa starych drzew, a cały frontowy dziedziniec porastały polne kwiaty. Dalej ciągnęły się nieużytki - płaskie i jałowe, ale na horyzoncie widać było niewyraźną linię łańcucha górskiego.

Zaparkowała samochód przed bramą, która, jak się okazało, była zamknięta. Wskoczyła z auta, podczas gdy Tracey nie ruszyła się ze swego siedzenia, i zaczęła się rozglądać za jakimś dzwonkiem lub domofonem. Niczego takiego nie znalazła, a co gorsza - cała posesja wydawała się wymarła. Nie wiedząc, co o tym myśleć, rozglądała się wokół, w nadziei, że dostrzeże jakiś samochód lub inny znak obecności człowieka.

Co się dzieje? - krzyknęła Tracey, opuściwszy szybę od swojej strony.

Cass się zawahała. Odniosła wrażenie, że brama nie jest zamknięta na kłódkę.

- Mam nadzieję, że jesteśmy we właściwym miejscu - odparła. Gdy zamierzała pchnąć skrzydło, usłyszała dźwięk nadjeżdżającego auta.

Obróciła się wokół osi i ujrzała dżipa zbliżającego się z dużą szybkością drogą, którą przed chwilą przyjechały. Auto miało opuszczony dach, więc Cass natychmiast zauważyła, kto siedział za kierownicą. Poczowała suchość w ustach; z powitania, które od dłuższego czasu układała sobie w głowie, nie zostało jej w pamięci ani jedno słowo.

Dżip zatrzymał się przy ich wynajętym renaulcie. Antonio miał na sobie ciemne okulary, ale patrzył wprost w jej kierunku. Cass najpierw usiłowała się zrelaksować, a gdy to okazało się niemożliwe, uśmiechnęła się sztucznie i jak gdyby nigdy nic podeszła do dżipa, z którego wysiadał Antonio. Właśnie zamierzała się z nim przywitać po koleżeńsku, gdy Tracey wymoczyła z samochodu, podbiegła do Antonia i rzuciła mu się na szyję. Na ten widok Cass stanęła jak wryta.

Obserwowała przez chwilę, jak się obejmują, po czym odwróciła głowę. Już przedtem zdała sobie sprawę, że ten weekend nie będzie dla niej łatwy, bo nieraz stanie się świadkiem czułości pary kochanków. Obiecała sobie nie przejmować się tym zbytnio, teraz jednak nie mogła opanować rosnącego napięcia. Niech to szlag.

- Niespodzianka! - krzyknęła Tracey z radością w głosie.

Antonio zdjął okulary i Cass ujrzała w jego oczach osłupienie. A więc wcale się ich nie spodziewał. Przejęło ją to grozą.

- Co cię opętało, na miłość boską, żeby tu przyjechać? - zapytał Tracey, przenosząc wzrok z jej twarzy na trzecią osobę, siedzącą nadal w aucie.

- Jak to, nie cieszysz się z naszej wspaniałej niespodzianki? - Tracey nie zamierzała się poddać. Zalotnie przytuliła się do niego, na jej twarzy zakwitł jeden z najpiękniejszych uśmiechów.

Cass miała ochotę zadeptać siostrę. Z trudem przychodziła

do siebie. Jak ona mogła to zrobić? Nie miała jednak czasu do zastanowienia, bo Antonio zwrócił się do niej.

- Cassandro - rzekł z uśmiechem, ale w chwilę potem spoważniał. - Wybacz. Przepraszam za moje zachowanie, ale nie przywykłem do niezapowiadanych wizyt.

- Nie miałam pojęcia, że nie wiesz o naszym przyjeździe wykrztusiła z trudem Cass.

Znowu na nią spojrział. Czowała, że ma policzki czerwone jak burak. Postępowanie siostry było skandaliczne, nawet jeśli była kochanką Antonia.

- No cóż, życia nie da się zaplanować - rzuciła Tracey, ale jej uśmiech nie był już tak triumfalny; widać było, że jej wiara w siebie zaczęła się chwiać. Przybrała minę skrzywdzonej niewinności, w błękitnych, szeroko otwartych oczach ukazała się mgiełka. - Przecież mi powiedziałaś, że chciałabyś, abym cię odwiedziła z Alyssą, więc oto ją masz - popatrz, siedzi w aucie! Zmarnowałyśmy mnóstwo godzin, żeby znaleźć to miejsce. Mieszkasz jak na innej planecie. My natomiast jestem brudne, zgrzane, zmęczone i chce nam się pić.

- Gdybyśmy zaplanowali te wakacje, dałbym ci dokładne wskazówki, jak tu trafić - odparł Antonio, siląc się na spokój. - A co z twoją aukcją? Chyba masz bardzo dużo pracy przed jej rozpoczęciem?

Cass zastanawiała się, jak Tracey to wytłumaczy.

- Stres był tak ogromny, że nie mogłam ani jeść, ani spać. Mój lekarz poradził, aby ktoś inny zajął się aukcją.

Cass poczuła, że jej usta otwierają się ze zdumienia, więc czym prędzej je zamknęła.

Twarz Antonia złagodniała. Popatrzył jeszcze raz na Cass po czym zagadnął Tracey:

- I jak się teraz czujesz?

Zrobiła smutną minę, jej oczy się zaszkliły. Wzdrygnęła się. Wyraziła tym gestem całkowitą bezsilność.

Cass spuściła głowę, ale kątem oka dostrzegła w jego wzroku współczucie. Antonio zbliżył się znów do Tracey i przytulił ją mocno do siebie.

Wreszcie odezwał się do Alyssy:

- *Buenas tardes, senorita.* Przepraszam, że nie przygotowałem się na twój przyjazd. Chodź. *Vamos aqui.*

Alyssa wysiadła z auta. Widząc jej rumieńce, Cass doszła do wniosku, że dziewczynka również czuje się jak piąte koło u wozu.

- Mam nadzieję, że się nie narzucamy - powiedziała przepaszającym tonem.

- Nigdy się nie narzucacie, *querida* - odpowiedział Antonio, tym razem z szerokim uśmiechem.

Dziewczynka się rozpromieniła.

- To będą najlepsze wakacje, solennie wam obiecuję - oznajmiła Tracey. Zaadresowała tę uwagę do Antonia i Alys-sy, wyraźnie pomijając siostrę.

- Otworzę bramę. To zajmie tylko chwilę - rzekł gospodarz.

Cass patrzyła za nim. Miał na sobie spłowiała koszulkę polo niegdyś w intensywnie niebieskim kolorze, na szyi jakiś złoty łańcuszek, szorty khaki, grube skarpety i podniszczone buty do wspinaczki. Pochodził ze starej i arystokratycznej rodziny kastylijskiej, ale w tym ubiorze nie przypominał ani arystokracji, ani profesora mediewistyki. Można by go wziąć za majstra budowlanego, zarządcę farmy, albo - uznała w duchu - nawet za przewodnika górskiego.

Wsiadły z powrotem do renaulta. Cass, ruszając za dżipem, nie mogła się powstrzymać i rzuciła do siostry:

- Jak mogłaś to zrobić?

- Odpieprz się ode mnie - Tracey nie przebiegała w słowach.

Cass zacisnęła ręce na kierownicy. Zmusiła się do milczenia, jak sobie przedtem przyrzekła.

- A poza tym, to jest mój facet i dokładnie wiem, co robię - dodała Tracey z żelaznym uporem.

Cass zerknęła na nią z ponurą miną. Dalsza kłótnia nie miała sensu, bo co się stało, to się nie odstanie.

- Masz rację, znasz go dużo lepiej niż ja - rzekła pojednawczo. Wcale nie była o tym przekonana. Antonio de la Barca miał skomplikowaną osobowość. Cass była przeświadczona

na, że jest w nim wiele sprzecznych cech, gdy tymczasem je młodsza siostra nie miała o tym zielonego pojęcia.

Zaparkowała renaulta koło dżipa, w cieniu drzew przed domem. Ból głowy pojawił się znowu, nie wiadomo skąd. Gospodarz stał w progu, czekając, aż wysiądą, i kiedy wprowadził je do środka, nie odezwał się ani słowem. Cass unikała jego wzroku, marząc w duchu, by zachowywać się bardziej naturalnie w jego obecności. Podczas gdy Tracey zachwycała się domem, wydając co chwila okrzyki na temat jego oryginalności i kastyljskiego stylu, Cass stanęła, zastanawiając się gdzie wisi portret Isabel.

...Nic już nie będzie dobrze...

Cass postanowiła nie wsłuchiwać się więcej w głupstwa jakie wygadywała ciotka. Poczowała dreszcz zimna. Wewnątrz domu panował mrok i błogosławiony chłód. Cass objęła się ramionami i czekała, aż oczy przyzwyczają się do ciemności po długiej jeździe w oślepiającym słońcu. Gdy tak stała, Alys-sa wsunęła rękę pod jej ramię i przytuliła się do niej.

- Ciociu? - szepnęła zdenerwowana.

Cass otoczyła ją ramieniem, teraz dopiero dostrzegając, że wnętrze domu było zniszczone i zaniedbane. Stały w wielkim holu z kamienną posadzką, z bardzo wysokim sklepieniem niemal całkowicie pozbawionym mebli. Cass poczuła, że płyty pod stopami są spękane i pełne dziur, a z dawno nie odnawianych ścian łuszczy się farba. Wisiało na nich z tuzin mieczy łącznie z tarczą herbową. Jedną ze ścian zajmował wspaniały gobelin, także nadszarpnięty przez czas i wyblakły, przedstawiający scenę pasterską.

Cassandra usłyszała szum krwi w uszach. Był to rezultat nie tyle podniecenia, ile niepokoju, chociaż uwielbiała historie w każdej formie.

Oczywiście, że czuła się nieswojo. Ciotka wycięła jej niezły numer, siostra nadal traktowała jak śmiertelnego wroga a stawka w tej grze była niewiarygodnie wysoka. Chodziło o Alysę i o Antonia de la Barcę.

Aż ją замуrowało, gdy uświadomiła sobie te myśli.

Stawką był Antonio de la Barca.

- Ciociu, dlaczego w tym domu jest tak ciemno i zimno? - spytała szeptem Alyssa.

- Tak budowano tu domy - odparła Cass, z jakiegoś powodu również ścisząc głos. Nie mogła wyjść ze zdumienia. Co jej przyszło do głowy? Doszła do wniosku, że musi zmienić sposób myślenia, w przeciwnym razie wpadnie w poważne tarapaty. Nie miała zamiaru rywalizować z Tracey o mężczyznę.

Czuła dreszcze, nie na skutek temperatury panującej w holu, ale z powodu emocji.

Dom wybudowano wokół wewnętrznego dziedzińca. Przewadziły do niego dwuskrzydłowe drzwi. Dostrzegła przez szybę nieczynną fontannę z wapnia obok bezgłowego posagu nagiego mężczyzny. W fontannie nie było wody. Wzdłuż całego pierwszego piętra biegł balkon, ale Cass pomyślała, że opieranie się o balustradę może okazać się ryzykowne. Spod zniszczonych i popękanych kafelków, którymi wyłożono patio, wyrastały chwasty.

- Nie jestem pewna, czy mi się tu podoba, ciociu.

Cass spojrzała na siostrzenicę, pragnąc ją pocieszyć, ale zanim zdążyła potwierdzić jej opinię, zmieniła zdanie. Ten dom był niezwykły, nawet jeśli jego stan pozostawiał wiele do życzenia. Oko niestety jej nie myliło. Przecież była z wykształcenia i z upodobań historykiem, więc mogła docenić architekturę hiszpańską i meble nawiązujące wyraźnie do tradycji mauretańskiej. Jednakże nie wpadła w dziki zachwyty.

- Cassandro?

Dopiero po chwili zorientowała się, że to Antonio wypowiedział jej imię. Była tak pochłonięta myślami na temat starej siedziby rodowej, że przestała zauważać, co się wokół niej dzieje.

- Twój dom... robi wielkie wrażenie - rzekła z przeproszającym uśmiechem.

Spojrzeli na siebie przelotnie.

- Tak, zgadzam się, na pierwszy rzut oka *la casa* wzbudza szacunek. - Zrobił zabawną minę, ale się nie uśmiechał. - W istocie nie odwiedzałem tego miejsca przez wiele lat. Przyjechaliśmy tu zaledwie kilka dni temu. Zdążyłem zapomnieć

zarówno o atmosferze panującej w tym domu, jak i o wszystkich skarbach, które kryje.

- Przyjechaliśmy? - zapytała Tracey, stając blisko Antonia. - To znaczy ty i kto jeszcze?

Cass zastanawiała się, dlaczego od tak dawna nawet nie zajął do siedziby przodków. Doszła do przekonania, że musiało to mieć coś wspólnego z jego zaginioną żoną. Może pobyt tutaj bez niej był zbyt bolesny?

Antonio wytłumaczył Tracey, że przywiózł Eduarda i Alfonsa. Cass nie miała pojęcia, kim jest ten drugi, a uwagę o atmosferze w domu odniosła do jego walorów historycznych. A może gospodarz nie to miał na myśli?

Zbliżała się wreszcie do czegoś zagadkowego, co budziło jej niepokój i co bez wątpienia trafnie wyczuła Alyssa. To nie był zbyt gościnny dom. A na dodatek zimny i ciemny.

Zanim jednak wyobraźnia poszybowała w odległe regiony, przypomniała sobie, że wcale nie powinna się temu dziwić, skoro od lat domostwo było opustoszałe i pozostawione swemu losowi.

- Kiedy dom zbudowano? - Zmusiła się do tego pytania, obracając jednocześnie głowę, żeby zmniejszyć napięcie w karku.

- W piętnastym wieku, chociaż wieża, w której mieści się kaplica, została wzniesiona sto lat przedtem.

Cass westchnęła, rozmyślając, czy mieszkała tutaj jej odległa krewna, Isabel de WARENNE.

- A zamek?

Jego oczy rozbłyły.

- Była to fortyfikacja obronna, która pozostawała w rękach mej rodziny przez setki lat. Większość z tego, co dotrwało do dziś w stanie ruiny, pochodzi z czternastego wieku, ale została wzniesiona na starszych fundamentach. Jak zapewne wiesz, w Hiszpanii istniała wielka potrzeba tworzenia fortyfikacji, aż do końca rekonkwisty. Ale nawet w późniejszych czasach zdarzało się często, że panowie feudalni toczyli ze sobą lokalne wojny, a na dodatek nie brakowało groźnych band. - Uśmiechnął się, jakby ta idea go rozbawiła. - Jednakże - ciągnął opowieść - moja rodzina szybko znalazła się w niełasce królów

i pod koniec szesnastego wieku zamek, chylący się ku upadkowi, nie był zamieszkały przez blisko sto lat. - Antonio spojrział na nią bacznie. - Był to niewiarygodnie szybki upadek - dodał.

Dlaczego? - spytała z żywym zainteresowaniem Cass, koncentrując się wyłącznie na tej sprawie. - Co się takiego wydarzyło?

Tracey postanowiła im przeszkodzić.

Wlokliśmy się samochodem przez cały dzień, a teraz wy oboje ucinacie sobie pogawędkę na tematy historyczne? - Ge---m posiadaczki objęła kochanka ramieniem. - Tonio, stęskniłam się za tobą - zamruczała i ucałowała go prosto w usta. Ponieważ miała na sobie sandały na płaskich obcasach, musiała się wspiąć na palce, żeby dosięgnąć jego twarzy.

Cass natychmiast odwróciła głowę w bok, nie chcąc patrzeć na tę intymną scenę. Uśmiechnęła się do Alyssy, ale jej uśmiech przypominał raczej grymas. Aby dodać sobie otuchy, ścisnęła rączkę siostrzenicy.

- Przedstawię wam mojego syna i pokażę pokoje gościnne - odezwał się Antonio. - Eduardo! - zawołał.

Tu jestem, tato! - Cienki głosik rozległ się z przeciwległego końca holu, do którego dochodził jeden z licznych korytarzy.

Cassandra obróciła się z przyjazną miną, zastanawiając się w duchu, jak długo malec stał w cieniu, nie zdradziwszy się z obecnością. Na jego widok zmieniła się jednak na twarzy. Nikt jej bowiem nie uprzedził, że syn Antonia był kaleką; miał na nogach aparaty ortopedyczne i poruszał się o kulach. Mocniej ścisnęła dłoń Alyssy, żeby nie wydać okrzyku zdziwienia.

- Eduardo, mamy gości.

W jego tonie znać było ciepło i miłość. Cass popatrzyła na niego z sympatią. Antonio tymczasem uśmiechał się do chłopca, który dzielnie radził sobie z kalectwem i z wprawą posługiwał się kulami; niemal przebiegł dzielącą ich odległość.

Gdy gospodarz dokonywał niezbędnej prezentacji, Cass za---o parę sekund, by się zorientować, że Eduardo nie przepadał za jej siostrą. Nie było w tym nic dziwnego, bo pewnie wyczuwał w niej rywalkę matki. W każdym razie odzywał się do niej

„senora”, uprzejmie zapytał, jak minęła jej podróż i więcej na nią nie spojrzął.

- Eduardo. - W tonie Tracey zabrzmiał entuzjazm, uści-
skała chłopca i pocałowała w oba policzki. - Co za wspaniała
okazja zobaczyć się znowu po tak krótkiej przerwie!

Cass przymknęła oczy. Siostra z trudem odgrywała rolę mi-
łośniczki dzieci, a jej wysiłki wyraźnie trąciły fałszem. Zasta-
nawiała się, czy Antonio dał się na nie nabrać.

- Hej, Eduardo - rzekła, zbliżając się do niego. - Nazy-
wam się Cass. - Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic prze-
ciwko podzieleniu się z nami towarzystwem ojca.

Malec spojrzął na nią ze zdziwieniem.

- W moim kraju - rzekł doskonałą angielszczyzną z sil-
nym akcentem - nie istnieje coś takiego, o czym pani mówi.
W gościnie u Hiszpanów proszę się czuć jak u siebie w domu.

- Dziękuję - odparła Cassandra. - Moja siostrzenica ma
siedem lat. A ty?

Chłopiec zerknął na Alysę.

- Dziesięć.

- Może byś chciał ją wziąć na wyprawę badawczą?

Eduardo znowu nie ukrywał zaskoczenia.

- Wyprawę badawczą? Co pani przez to rozumie?

- No, wasza posiadłość z pewnością zasługuje na zwiedze-
nie, nie sądzisz? I na dodatek macie jeszcze zamek. Z chęcią
bym do was dołączyła. - Uśmiechnęła się zachęcająco.

Malec nadal wpatrywał się w nią w milczeniu, a wreszcie
spojrzął na ojca, jakby pytając wzrokiem o zgodę.

- Zobaczmy - mruknął Antonio z miną serio.

Cass pomyślała, że chyba nie przekroczyła przyjętych gra-
nic. Zresztą de la Barca nie robił wrażenia ojca, który ze
względu na kalectwo syna trzyma go pod kloszem. A może się
myli? Nie, raczej nie. Zauważyła przecież, że chłopiec dosko-
nale się porusza.

- Mam nadzieję, że będziemy się mogli wybrać na wy-
cieczkę jutro, kiedy wypoczniemy po podróży. Na pewno po-
lubicie się z Alysą.

Eduardo zacisnął wargi i znowu zerknął na ojca, czekając
na jego reakcję.

- Uważam, że to świetny pomysł - wtrąciła Tracey.

Cass natychmiast odgadła, dlaczego jej siostra tak chętnie zgadza się na tę propozycję.

- Moglibyśmy nawet urządzić sobie piknik w murach zamku - dodała Cass z zapałem.

Antonio zatopił w niej wzrok.

- *Papa, quisiera comer en el castillo con tus amigos.*

Choć Cassandra nie znała hiszpańskiego, zrozumiała bez trudu, że Eduardo miał ochotę wziąć udział w wyprawie na zamek.

- Cassandro, proponuję, żebyśmy omówili plany na jutro przy innej okazji - rzekł Antonio zdecydowanie ponurym tonem.

- Czy jestem zbyt śmiała? - zapytała, po raz pierwszy od przyjazdu patrząc mu prosto w oczy.

- Nadzwyczaj. - Na jego ustach ukazał się jakby cień uśmiechu.

- To moja amerykańska cecha. - Nadal nie spuszczała z niego wzroku. - Jeśli zamek nie wchodzi w rachubę, zorganizujmy sobie piknik gdzie indziej. Albo weźmy dzieci na obiad do Pedrazy. - Prawdę powiedziawszy, nie miała zbyt wielkiej ochoty zawracać do miasteczka.

Antonio wreszcie zmiękł.

- Może tak zrobimy.

Cass uzmysłowiła sobie, że nadal się w nią wpatruje. Tak ją to speszyło, że zaczerwieniła się i spojrzała najpierw na Eduarda, który najwyraźniej miał ochotę na piknik w ruinach zamku, a potem na Alysę, która wprawdzie nie odezwała się słowem, ale jej oczy rozbłyły z podniecenia. Unikała natomiast wzroku Tracey; gdyby nie zachowała należytej ostrożności, siostra mogłaby czytać w jej myślach jak w książce.

- Co powiesz na sjęstę? - spytała siostrzenicę. - Czuję się skonana po jeździe.

- Jestem trochę śpiąca - przyznała Alyssa.

- Wobec tego pójdziemy za naszym gospodarzem, który nam pokaże, gdzie mamy się rozgościć. Eduardo, wiejesz z nami?

Chłopiec wytrzeszczył oczy.

- Co robię?

- To taki zwrot amerykański. Oznacza ucieczką.

Po raz pierwszy Eduardo się uśmiechnął. Nagle zrobił się bardzo podobny do ojca. Cass pomyślała, że gdy dorośnie, będzie nadzwyczaj przystojnym mężczyzną.

- No to wiejmy - powtórzył z rozbawieniem, wymawiając słowa z silnym hiszpańskim akcentem.

Ruszyli wzdłuż holu, który biegł równoległe do korytarza po przeciwnej stronie; między nimi znajdował się wewnętrzny dziedziniec. Rząd okien po obu stronach wychodził zarówno na patio, jak i na inne skrzydło domu. Na patiu nie było żadnych ławek czy stołów ogrodowych, nie dostrzegła też śladu sprzętów pod balkonem po drugiej stronie domostwa. Majątek było bardzo zaniedbany, co sprawiło jej przykrość. Zastanowiło ją, jak bardzo podupadła finansowo rodzina de la Barca. Pauperyzacja takiego starego rodu nie była w końcu niczym niezwykłym, poza tym Antonio z pewnością nie zarabiał fortuny jako profesor uniwersytetu.

Przeszło jej przez myśl, że jeśli naszyjnik z rubinów rzeczywiście należał do rodziny, to być może musiano go sprzedać, żeby powiązać koniec z końcem.

Na końcu korytarza były schody. Antonio zaprowadził panie na pierwsze piętro i otworzył drzwi prowadzące do ciemnej sypialni ze wspaniałym, choć podniszczonym łóżem z baldachimem.

- Cassandro, to będzie pokój dla ciebie. Alfonso i ja wniesiemy wasze bagaże.

Cass przekroczyła próg. Czuła się spięta wewnątrz z powodu obecności Antonia. Rozejrzała się. Pokój wydał się jej pełen uroku, choć białe pomalowane ściany przybrały teraz szarawą barwę. W oknach zwisały ciężkie, złote zasłony ze wspaniałej materii, a na kamiennej posadzce leżały niegdyś wielobarwne, a dziś spłowiałe persy nadszarnięte zębem czasu. Łóże miało kapę z pasiastej tkaniny w kolorze brzoskwińowym, błękitnym i złotym, ozdobionej nadto wzorem w kwiaty; marmurowa półka nad kominkiem była barwy miodu. Wisiał nad nią w bogatej, złoczonej ramie portret mężczyzny o surowym wyrazie twarzy, w stroju z epoki. Cass podbiegła, żeby popatrzeć na niego z bliska.

- To mój przodek.

Nie usłyszała, jak Antonio podszedł i stanął za nią, więc aż podskoczyła na dźwięk jego głosu. Obróciła się nieco, tak aby ich spojrzenia się spotkały, po czym orzekła:

- Druga połowa szesnastego wieku. Zwróć uwagę na jego kryzę i obłość brzucha w kształcie ziarna grochu. - Do jej uszu dobiegł rozpaczliwy jęk Tracey, ale postanowiła, że nie będzie się przejmowała fochami siostry. - Wzorzysta szata w kratkę, futrzana czapka. O Chryste, popatrz na te kamienie szlachetne na jego krzyżu wiszącym na szyi. To robi wrażenie!

Antonio się roześmiał.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - powiedział. Cass poczuła się niesłychanie dumna, że zdołała zaimponować swoją wiedzą.

- Moja siostra jest moim księżkowym - rzekła chłodno Tracey. - Zajmuje się wyłącznie czytaniem, jeśli nie pisze książek, i to jedynie o tematyce historycznej. Po prostu uwielbia przeszłość. - W jej ustach nie brzmiało to jak pochwała.

Cass poczuła się trochę jak przedziurawiona piłka, z której uchodzi powietrze, niemniej doszła do wniosku, że zrobi lepiej, gdy nie zrewanżuje się, opowiadając o stylu życia Tracey.

- Lektura to jedna z najwspanialszych rzeczy w życiu - odparł Antonio z miną serio, stojąc tyłem do Tracey. - Ja osobiście jestem oczarowany przeszłością, niekiedy w dużo większym stopniu niż terażniejszością.

Cass ucieszyło to wyznanie. Antonio stanął jej obronie, wyraźnie atakując Tracey. Spojrzała na siostrę, którą zdenerwowała reakcja kochanka.

- A więc wy dwoje macie ze sobą wiele wspólnego - orzekła, stając tak blisko Antonia, że dosłownie dotykała go biodrami. W ten sposób nie mógł jej zignorować i musiał na nią spojrzeć.

- Rzeczywiście, mamy - odparł, znów kierując wzrok na Cass. - To jest Alvorado de la Barca.

Zmiana tematu była gwałtowna, ale Cass od razu zorientowała się, do czego Antonio zmierza. Spojrzała na ścianę nad kominkiem, żeby jeszcze raz przyjrzeć się Hiszpanowi ze sta-

rego portretu. Ten człowiek poślubił przecież Isabel de Warrenne.

- O Boże - szepnęła do siebie, czując, jak włosy na karku stają jej z trwogi. Odniosła dziwne, niepokojące wrażenie.

Antonio uśmiechnął się lekko.

- Jej portret wisi w drugim holu.

- Nie mogę się doczekać, żeby ją zobaczyć - wyznała Cass, wyraźnie podniecona spotkaniem z odległą krewną.

- Z przyjemnością pokażę ci ten portret.

- Antonio, czy ona była fanatyczką? Dlaczego została spalona na stosie?

- Przecież nawet nie wiemy na pewno, że zginęła w płomieniach i że zmarła w 1555 roku - rzekł z pewnym sceptycyzmem. - Wolałbym zweryfikować rewelacje historyczne twojej ciotki.

- Zanim wyjechałam z domu, chwyciłam na drogę zbiór broszur i przewodników, które kupiłam kilka lat temu, zwiedzając z Alyssą zamek Romney w naszym sąsiedztwie. Ród de Warennes miał tytuł hrabiów Sussex w szesnastym wieku, i Romney stanowił ich siedzibę. Pakując się w pośpiechu, nie miałam okazji przejrzeć tego materiału. Niewykluczone jednak, że znajdziemy tam jakąś wzmiankę o Isabel.

- Co wy tam knujecie? - spytała z irytacją Tracey.

Cass na chwilę zapomniała o obecności siostry. Tak ją pochłonęła rozmowa, że odniosła wrażenie, iż przebywa w pokoju sama w towarzystwie Antonia.

De la Barca ciągnął temat:

- Mój ojciec spędził ostatnie lata życia, zbierając informacje na temat historii naszego rodu. Biblioteka w tym domu jest prawdziwą skarbnicą, choć nie zdążył jej skatalogować. Ja sam dopiero zacząłem przeglądać fiszki i notatki.

Jeszcze raz spojrzała mu w oczy; jego tęczyówki miały intensywnie orzechową barwę.

- Ile miałeś lat, gdy twój ojciec umarł? - zapytała półgłosem.

- Cztery.

Przypomniała sobie, że już o tym mówił.

- W jaki sposób zginął? - Ledwie zadała to pytanie, po-

czuła, że serce wali jej jak młotem, a całe ciało oblewa pot. Nawet jeśli to zauważą, pomyślą, że to z powodu upału - usiłowała siebie uspokoić.

- To był tragiczny wypadek - odparł powoli Antonio. - Uderzył go samochód.

Kiwnęła głową, czując się jak kłamca i współnik przestępstwa. Przypływ ulgi omal jej nie znokautował. Nigdy nie powinna się była upewniać, co wie o tej mrocznej sprawie.

- Nawiasem mówiąc - dodał Antonio dziwnie swobodnym tonem - zjrzałem któregoś dnia na policję.

Zamrugała oczami, licząc w duchu, że się przestyszała.

- Co takiego?

- Gdy tu wróciłem, ogarnęła mnie ciekawość - wyznał, patrząc jej głęboko w oczy; znów ujrzała te cętkowane źrenice - zielone, bursztynowe i złote, w czarnej obwódce. - Chciałem w końcu zrozumieć, co się stało. - Widzisz - Antonio mówił z naciskiem - po jego śmierci moja matka nigdy o nim nie wspomniała. Nie rzekła również nic na temat samej kraksy. Odniosłem wrażenie, że tłumi w sobie wielką gorycz.

Kiwała głową, starając się przytaknąć, ale wychodziło to jak mimowolna parodia; głowa bezładnie poruszała się to w górę, to w dół. Oczywiście, że matka mogła czuć się rozgoryczona, jeśli wiedziała o romansie męża z jej ciotką.

- W dniu swojej śmierci ojciec przebywał w towarzystwie kobiety.

Cass zamarła z wrażenia. Zdołała jedynie zaczerpnąć tchu. W myślach powtarzała jedynie: Nie, nie...

- Tak - odparł Antonio, jakby, czytając w jej myślach. - Była nią lady Belford. Twoja ciotka była przy nim, gdy umierał. A dokładnie rzecz biorąc, zmarł w jej ramionach.

ROZDZIAŁ 7

Siedziba Belfordów - ten sam dzień

Wpatrywały się w nią twarze groteskowo zniekształcone przez pamięć i czas. Niemniej znała je wszystkie. Eduardo, jego dwóch synów, jego żona. No i Isabel...

Catherine zbudziła się z krzykiem. Przez chwilę nie mogła się zorientować, gdzie się znajduje - wokół panował chłód budzący trwogę; w ciemności poczuła wszechobecny, mdlący zapach fiołków.

Wreszcie, gdy jej oczy przywykły do mroku, zdołała rozpoznać znajome zarysy własnej sypialni. Ten pokój pozostawał jej sanktuarium, od kiedy wprowadziła się do Belford House jak młodziutka i naiwna panna młoda. Śniła się jej przeszłość - koszmar, który nie nawiedzał jej od dziesiątków lat, ale który teraz, z okrutną częstotliwością, prześladował ją od czasu tego przekłętego przyjęcia. Usiadła na łóżku i odrzuciła kołdrę, ciągle drżąc z wrażenia. Oddychała szybko, z trudem.

Gdy wreszcie wstała, słaniając się na nogach z powodu dojmującego uczucia żalu i lęku, spojrzała na swoje odbicie w lustrze i aż jęknęła na jego widok. Nie była już śliczną młodą dziewczyną z blaskiem w oczach, która wyszła za mąż za dużo starszego od siebie mężczyznę, ani dojrzałą, pewną siebie kobietą, która dokonała ogromnie niemoralnego wyboru, a następnie popełniła niepojęty czyn. Nie była już nawet elegancką, starszą panią ukrywającą straszną tajemnicę, będąc przy tym ciotką, matką i cioteczną babką dla swoich siostrzenic i wnuczki. Nagle spostrzegła, że jest po prostu beznadziej-

nic starą babą, w niczym nie przypominającą tamtej uroczej istoty.

Ulubione powiedzenie Eduarda stale dźwięczało jej w uszach, toteż i teraz słyszała jego arystokratyczny ton głosu z silnym obcym akcentem. Przeszłość jest zaledwie prologiem. Ile razy jej to powtarzał?

Pomyślała o Tracey i o synu Eduarda. Z oczu zaczęły jej upływać łzy.

W rogu pokoju stało masywne biuro. Catherine wolno doń podeszła, czując przez cały czas dotkliwie zimno w całym ciele, choć na kominku płonął żywy ogień, a szlafrok z miękkiej wełny powinien był skutecznie chronić ją przed chłodem. Ciężko usiadła na foteliku w stylu Ludwika XV i sięgnęła po aparat telefoniczny.

- Lady Belford! Wyszła pani z łóżka, choć jest pani słaba jak świeżo narodzony kociak! - krzyknęła Celia od progu.

Pokojówka miała rację, Catherine tak się właśnie czuła. Zamknęła oczy i starała się sobie wyobrazić, jaka byłaby reakcja Celi, gdyby wyznała jej prawdę, tak jak zrobiła to swojej siostrzenicy. Catherine doszła do wniosku, że nigdy nie zapomni twarzy Cass, gdy tamta usłyszała jej przyznanie się do zamordowania Eduarda. W jej oczach najpierw odmalowało się niedowierzanie, a potem szok i przerażenie.

Ten sam wyraz pojawił się na twarzy Eduarda, gdy na kilka sekund przed śmiercią ranny uzmysłowił sobie, co Catherine uczyniła i kiedy zdał sobie sprawę, że umiera.

Celia podeszła do swojej pani, która spojrzała na nią i zażądała tonem nie znośnym sprzeciwu:

- Zadzwoń do biura podróży. Zamów dla mnie bilet, muszę polecieć do Hiszpanii.

Stara pokojówka nie ukrywała oburzenia.

- Lady Belford! Proszę mi wybaczyć brak szacunku, ale muszę wypowiedzieć swój pogląd w tej sprawie.

Catherine pomyślała w duchu: A kiedy ona nie wypowiedziała swoich poglądów? Celia zgłosiła się do niej na służbę tuż po tym strasznym wylewie Roberta.

- Pani była bardzo chora, więc nie ma sensu włączyć się

teraz za Alyssą i siostrzenicami. Proszę mi wierzyć: nic im się nie stanie.

Catherine poczuła się, jakby miała dużo więcej lat niż siedemdziesiąt. Mimo to zawsze należała do kobiet z mocną konstrukcją psychiczną. Tak było i tym razem. Postanowiła zebrać w sobie wszystkie siły.

- Odlatuję do Hiszpanii, skoro ona tego sobie życzy. A jeśli nie zarezerwujesz mi biletów i nie zamówisz samochodu, zrobię to sama i odjadę jak najszybciej.

Celia zagapiła się na nią bez słowa.

Catherine spojrzała na nią stanowczo. Pokojówka musiała ujrzeć w jej oczach determinację, bo zrobiła zrezygnowaną minę i rzekła:

- Przynajmniej gorączka pani spadła. Dobrze, zatelefonuję do linii lotniczych z drugiego pokoju. - Z tymi słowami wyszła. Catherine słyszała, jak niezadowolona mruczy coś pod nosem.

Było jej jednak wszystko jedno.

Poczuła się stara i zdawała sobie sprawę, że umrze prędzej niż później. Ponieważ przeszłość była prologiem, postanowiła polecieć do Hiszpanii, by nie dopuścić do najgorszego; żeby ocalić rodzinę. Nikt jej nie powstrzyma: ani wierna Celia, ani policja, ani kobieta, która nie żyła od czterystu pięćdziesięciu pięciu lat.

Trzeci maja 1966 roku.

Ostatnie dwa tygodnie były najbardziej ekscytujące w moim całym życiu. Pracowaliśmy z Eduardem ramię w ramię, praktycznie bez przerwy, próbując złożyć w całość fragmenty szarady, jaką było życie Isabel de Warenne. Ogromnie go podziwiam. Eduardo jest nadzwyczaj utalentowany, ale w odróżnieniu od wielu wybitnie uzdolnionych mężczyzn całkowicie pochłoniętych karierą, nie zaniedbuje rodziny kosztem pracy. Jednakże zaczynam podejrzewać, że jego żona nie rozumie go tak, jak powinna. Po kilkakrotnym spotkaniu z nią, wliczając w to obiad, na którym byliśmy we trójkę, dochodzę do wniosku, że jest zazdrosna o nasz związek.

Bardzo mi to nie w smak. Ona nie ma żadnego powodu do zazdrości. Zostaliśmy z Eduardem bliskimi przyjaciółmi, którzy starają się odtworzyć losy Isabel de Warrenne. Prócz tego nic nas nie łączy.

Rozumiem go aż za dobrze. Myśl o jakimś romansie jest mu równie obca, co nauka chińskiego. A choć nie utrzymuję z Robertem kontaktów intymnych od czasu jego wylewu krwi do mózgu, nie mogłabym na siebie patrzeć, gdybym sobie wzięła kochanka.

Razem z Eduardem osiągnęliśmy dużo więcej, niż moglibyśmy to zrobić w pojedynkę czy on sam z pomocą któregoś ze swoich studentów. Mam do przejrzenia ponad tysiąc stron dokumentów i notatek.

Eduardo zaprosił mnie do swego domu w Kastylii, do Casa de Suenos, gdzie żył kiedyś mąż Isabel i gdzie prawdopodobnie i ona mieszkała. Przymuszalnie powinnam była odmówić jego propozycji ze względu na Marię. Ale jak mogłam odpowiedzieć mu „nie”? Przecież nie mogę się doczekać odwiedzin w jego siedzibie. Instykt mówi mi, że tu właśnie znajdziemy odpowiedzi na nurtujące nas pytania.

Gdy piszę te uwagi w dzienniku, samolot właśnie się zniża i podchodzi do lądowania w Madrycie. Za kilka godzin dotrę do Kastylii. Czuję się niecierpliwa jak młoda dziewczyna. Czekam z napięciem. Naszym pierwszym zadaniem po moim przyjeździe, jak przedtem ustaliliśmy, będzie zbadanie krypty, w nadziei odkrycia grobowca Isabel.

Casa de Suenos — noc pierwsza

Cass zamknęła zakurzoną szafę, która zaskrzypiała w proście

Gotowa jesteś do sjesty? - zapytała Alysę. Właśnie skończyły rozpakowywać bagaże. Wykonując te proste czynności, Cass była jak nieobecna, zaprzątnięta myślami. Słowa Antonia ciągle dźwięczały jej w uszach i jak refren powtarzała sobie: Co on wie?

Czy wie coś więcej ponad to, że jego ciotka była z Eduardem w chwili jego śmierci? Chyba nie podejrzewa jakiegś foul play jako przyczyny jego zgonu? Ale dlaczego udzielił jej takiej dziwacznej odpowiedzi i tak badawczo się w nią wpastrywał?

- Jestem już dość zmęczona - orzekła Alyssa.

Cass zaprowadziła ją do łóżka, sama też skrajnie wyczerpana. U podłoża tego stanu, jak dobrze wiedziała, były nazbyt rozbudzone emocje.

- Utnij sobie drzemkę, a ja tymczasem zwiedzę dom - oznajmiła siostrzenicy. Musiała jak najszybciej obejrzeć portret Isabel. Co jednak powinna zakomunikować ich gospodarzowi, skoro on już się domyślił lub podejrzewa, że ciotka była zamieszana w śmierć jego ojca?

Alyssa stanęła przed wysokim łóżkiem, jakby wahając się, czy się w nim położyć.

- Ciociu - rzekła z poważną miną. - Nie chcę tu zostać sama.

Cass spojrzała uważnie na małą. Zdawała sobie sprawę, że w sypialni panowała zagadkowa, ponura atmosfera.

- Dlaczego nie? - spytała jednak.

Alyssa skrzyżowała ramionka.

- Bo nie podoba mi się ten pokój.

Ich wzrok znowu się spotkał, więc Cass postanowiła nie rozglądać się wokoło. Na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że sypialnia jest pełna uroku. Panowała w niej jednak cisza wręcz nie do zniesienia.

Nagle Cass poczuła, że ona też nie ma ochoty zostawiać tu dziecka samego.

- To miejsce jest stare i trochę straszne - szepnęła Alyssa nie ruszając się z miejsca.

Cass dyskretnie otaksowała sypialnię. Rozsunęła zasłony, lecz chociaż była już siódma wieczorem, słońce wdarło się do pokoju. Za domem ciągnął się płaski, jałowy teren, w dalszej odległości rysowały się sylwety bliźniaczych wież zamkowych. Z okien po drugiej stronie komnaty widać było patio i drugie skrzydło domostwa. A chociaż pokój i jego umeblowanie były mocno naruszone zębem czasu, całość w jej

oczach przedstawiała się bajecznie. Prócz... właśnie, prócz czego?

Coś tu nie było w porządku, czegoś tu brakowało. Całe domostwo było takie ciche, ciemne i chłodne. Jakby tylko czekało, aż się coś zdarzy.

Cass zbeształa się w duchu za bzdurne myśli.

Ponownie rozejrzała się po sypialni. Zatrzymała wzrok na portrecie nad kominkiem. Natychmiast poczuła skurecz niepokoją. Małżonek Isabel de Warenne nie robił wrażenia miłego człowieka. Miał surową i zaciętą twarz. Z pewnością był trudny w pożyciu i uparty. To ten obraz jest źródłem dziwacznej atmosfery - orzekła w duchu. Z całą pewnością źle wpływa na otoczenie.

Alyssa podążyła za jej wzrokiem.

- Boję się go. Wygląda jak zły człowiek.

Cass pogłaskała ją po główce.

- Kochanie, zgadzam się w stu procentach, ale pamiętaj, że to tylko obraz. - Biedna Isabel. Cass aż zadrżała. Jak to się stało, że poślubiła Alvorada? Różnice kulturalne i religijne skazywały to małżeństwo na klęskę, nie mówiąc już o odmienności charakterów.

Znowu zadygotała.

- Nie mogę pójść z tobą? - poprosiła Alyssa.

- Nie - powiedziała Cass spokojnym i stanowczym tonem. - Wskakuj do łóżka, a ja zaraz wrócę. - Doszła do wniosku, że jej lęki są absurdalne. - Obie jesteśmy po prostu bardzo zmęczone i dlatego takie dziwne rzeczy przychodzą nam do głowy.

Niepokój nie ustępował jednak z twarzy małej. Cass ściągnęła z łóżka kapę, zostawiając jedynie prześcieradło w złotym kolorze. Pogłaskała siostrzenicę po włosach i rzekła:

- Otworzę okna, może wpadnie do środka trochę wieczornego chłodu.

Zdażyła otworzyć dwa okna, gdy Alyssa już twardo spała.

Widok śpiącej dziewczynki wywołał uśmiech na jej ustach, a w piersi miłe uczucie ciepła. Dzięki Bogu, że przyjechała do Hiszpanii, żeby spotkać się z Tracey i z Alyssa. Najgorsze było już za nimi. Cass doszła do wniosku, że musi uczynić

wszystko, aby nie dopuścić do podobnych incydentów w przyszłości. Ale jak to zrobić?

Walcz z siostrą o Alyssę.

Cass powinna być matką Alyssy. Tracey nie zasługuje na to, by być opiekunką własnego dziecka.

Cass zamarła z trwogi. Jak mogła pozwolić sobie na takie okropne myśli? Skąd one się wzięły?

Nigdy na serio nie rozpatrywała kwestii odebrania Alyssy młodszej siostrze. Bez względu na trudny charakter, na nieodpowiedzialne postępowanie, na różne dzikie numery, Tracey była matką Alyssy, a Cass ją kochała. Nie zamierzała jej skrzywdzić. Na miłość boską, stanowiły rodzinę.

Odwróciła się przestraszona, licząc, że te wstrętne myśli już jej nie nawiedzą. Wychodząc z pokoju, znów poczuła dziwne ukłucie lęku. Z tego przeklętego powodu nie powinna może zostawiać Alyssy samej.

Stanąła, wahając się. Ale niskie wieczorne słońce oświetlało cały pokój, w powietrzu wirował kurz, a dziewczynka łagodnie uśmiechała się we śnie.

Wyszedłszy na korytarz, zatrzymała się. Tracey przydzielono sypialnię, która z ich pokojem łączyła się przez wspólną łazienkę. Drzwi były zamknięte na głucho. Trudno było odgadnąć, czy jej siostra śpi, zresztą Cass nic to nie obchodziło. Podejrzewała, że oboje z Antoniem będą przeskakiwali z łóżka do łóżka. Umieszczenie w osobnym pokoju nie wywołało w Tracey entuzjazmu. A zresztą, co tych dwoje będzie robiło, to ich sprawa. Cass zakazała sobie rozmyślań na ten temat.

Postanowiła obejrzeć portret Isabel. Im więcej czasu poświęci obrazowi w ciągu weekendu w Kastylii, tym mniej będzie go miała na zastanowienie się nad związkiem swojej siostry z Antoniem. Przypomniała sobie, że wedle jego wskazówek portret wisi w przeciwległej części domu.

Przeszła korytarzem do szczytu schodów. Odnalazła drugi korytarz ciągnący się równoległe do tego, który już знаła. Wszystkie okna holu były pozamykane; wychodziły na długi balkon ciągnący się wzdłuż wewnętrznego dziedzińca. Cass doznała rozczarowania, ponieważ nigdzie nie dostrzegła fra-

pującego ją malowidła. A może źle zrozumiała wskazówki gospodarza?

Ktoś nagle wyłonił się z cienia.

Krzyknęła ze strachu, ale była to tylko Tracey. Właśnie wyszła z pokoju i, podobnie jak siostra, złękła się widoku nie zidentyfikowanej zrazu postaci.

- Przestraszyłeś mnie! - krzyknęła z gniewem. - Dlaczego się tu włóczysz?

Serce Cass biło, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej.

- Ty też mnie przeraziłeś - wykrztusiła w końcu. - Po prostu zwiędzam dom.

Tracey, nadal ubrana w minispódniczkę i kusą górę, ale tym razem boso, z rozpuszczonymi włosami, wyglądała tak, jakby przed chwilą narzuciła coś na siebie, ale nie zdążyła się uczesać.

- Tuż obok sypialni Antonia? - rzuciła jadownicę.

Cass nie ruszyła się z miejsca. Dopiero po chwili dotarło do niej, co Tracey robiła w pokoju gospodarza. Przebywanie z nimi w jednym domu dostarczało jej zbyt wielu przeżyć.

- Liczyłam, że natrafię na portret Isabel.

- Jasne - rzekła Tracey, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę. - Jasne - dodała z mściwą satysfakcją i zaciągnęła się dymem.

Cass poczuła, jak wzbiera w niej furia. Mimo że apelowała do swego rozsądku, aby pomógł jej odejść bez słowa, póki się nie uspokoi, bo nic dobrego nie wyjdzie z ich rozmowy, a weekend dopiero się zaczął - nie wytrzymała.

- Dobrze, że chociaż poczekałeś, aż twoja córka zaśnie - usłyszała swój głos i w chwilę później gorzko pożałowała tej uwagi.

Tracey podeszła do niej.

- Nie życzę sobie, abyś mnie osądzała - wycodziła przez zęby. W jej oczach zaświeciła nienawiść.

Cass, wstrząśnięta jej wrogością, cofnęła się instynktownie parę kroków. Gdy otworzyła półprzymknięte oczy, Tracey nadal stała przed nią, ale wyraz nienawiści ustąpił z jej twarzy. Nie było po niej znać nawet złości. Cass poczuła natomiast

znajome drzenie w całym ciele. Czy rzeczywiście ujrzała to, czy też cała scena była tworem jej imaginacji?

- Nie osądzam cię - powiedziała ostrożnie. - Nie obchodzi mnie, co robisz, jak długo nie odbija się to na Alyssie.

- Oczywiście. Moja córka. Moja córka i święta Cassandra. - Tracey podparła się rękami, trzymając papierosa w ustach.

Cass zeszywniała.

- Dajmy spokój awanturom. To był długi, męczący dzień i obie jesteście skonstruowane...

- Cholera! - krzyknęła jej siostra, tupiąc nogą dla wzmocnienia efektu. - Co złego w tym, że człowiek ma ochotę się pokochać? Zwłaszcza wtedy, kiedy jest zakochany? Rzygać mi się chce, jak obserwuję twoje świętoszkowate fochy. Nie mogę już ich znieść!

Minęła chwila, nim Cass odzyskała mowę:

- Nie chcę się kłócić. Nie przyjechałam tutaj w tym celu...

- Nie, przyjechałaś tutaj, żeby nas obwieścić po Kastylii.

Cass przymknęła oczy. Instynkt podpowiadał jej trafne rozwiązanie, ale znowu go nie usłuchała i teraz przegrywa.

- Jak doskonale wiesz, przyleciałam do Hiszpanii na twoją prośbę, żeby uwolnić cię z hotelu Ritz, gdzie tkwiłabyś przez cały weekend.

Tracey uśmiechnęła się złowieszczo.

- Święta Cassandra na ratunek. Zawsze robi dobre uczynki.

- Daleko mi do doskonałości pod każdym względem - odparła Cassandra, usiłując panować nad głosem. - Ale muszę ci powiedzieć, że przeszkodą jest nie moja postawa, lecz twoja. Nie jestem osobą, która długo trzyma urazy w sercu. Przyjechałam tu, licząc, że uda nam się zażegnać tę okropną aferę. Dlaczego sądzisz, że się to nie powiedzie?

Tracey zaciągnęła się nowym papierosem.

- I do tego właśnie zmierzasz?

- Oczywiście - odpowiedziała Cass, choć w jej głowie wciąż pokutowała myśl, że przecież mogłaby walczyć w sądzie o prawo opieki nad Alyssą... Tracey nie zasługiwała na to, by być matką własnego dziecka.

No i na dodatek Antonio. Dlaczego Tracey musi mieć również jego?

Cass usilnie się starała, aby ta ostatnia myśl w jakikolwiek sposób się ujawniła, nawet sama nie chciała się nad nią zastanawiać ani chwili, ale myśl ogromniała w jej głowie, drwiła sobie z próby skontrolowania jej przez umysł. To ją przeraziło. A więc straciła władzę nad swoim umysłem, nad emocjami. To bardzo niebezpieczny stan.

- Myślę, że przyjechałaś tu z całkowicie odmiennego powodu - rzekła nieprzyjaznym głosem Tracey, wydychając dym z papierosa.

Cass nadal stała bez ruchu.

- Czyżby? Cokolwiek sobie myślisz, nie masz racji.

- To dlaczego przyjechałaś aż tutaj? Tylko nie próbuj mi wmówić, że po całodziennym jeździe chciało ci się szukać starego, zapleśniałego obrazu! A może ruszyłaś na poszukiwanie Antonia?

Cass znów poczuła bolesny skurcz serca.

- Ty wariatko!-rzekła wreszcie.

Tracey podeszła jeszcze bliżej, utkwivszy oczy w twarzy siostry.

- Twoje uczucia są widoczne jak na dłoni. Wystarczy popatrzeć, jak wlepiasz w niego oczy. Cass, robisz z siebie pośmiewisko. -W jej ostrzeżeniu kryło się wiele różnych aluzji.

Tym razem Cassandrę ogarnęła po prostu wściekłość.

- Jest mi obojętny jak zeszłoroczny śnieg - odparła zimno.

- Tak? Pożerasz go oczami. Gdy tylko spojrzy na ciebie, oblewasz się rumieńcem. Zupełnie zgłupiałaś na jego punkcie! - Tracey uzmysłowiła sobie, że pet parzy jej palce. Zawałała się, rozejrzała wokół, ale ponieważ nigdzie nie dostrzegła popielniczki, zgasiła go na kamiennej posadzce. Cass przypatrywała się tej scenie w milczeniu.

W uszach jej dzwoniło, twarz paliła, a prawda była dotkliwie bolesna.

- Cass. - Tracey wyprostowała się i zaczęła przemawiać do siostry łagodniejszym tonem. - Czy naprawdę myślisz, że te wszystkie głupoty, jakie wygadujesz o Isabel de Warenne, rzeczywiście go interesują? - Pokręciła głową. - Możesz go zabawiać, jak sobie życzysz, ale to tyle. Kocham Antonia i zamierzam za niego wyjść za mąż. Ponieważ jesteś moją jedyną

siostrą, zależy mi również na tobie. Nie chcę, żebyś odjechała zraniona, ale z drugiej strony, nie rób z siebie głupka. Nie potrafisz ukryć uczuć, a Antonio, jak wiesz, jest człowiekiem o wybitnej inteligencji.

Cass przestąpiła z nogi na nogę, jakby otrząsając się po silnym ciosie w szczękę.

- Dzięki, siostrzyczko - odezwała się drewnianym tonem. - Nie jestem jednak zainteresowana twoim narzeczonym, a przynajmniej nie w taki sposób, jak sobie wyobrażasz. Uważam, że jest wspaniałym uczonym, kropka. Nie jestem w jego typie i doskonale wiem, że należy do ciebie.

- Chyba teraz nadszedł czas na moją sjęstę - orzekła znaczącym tonem Tracey. - Po prostu padam z nóg.

Cass stała z założonymi rękami i nadal wpatrywała się w siostrę, myśląc: W porządku, wsadź to sobie... ty dziwko.

I wówczas, choć odwróciła się i odeszła od Tracey, z przerażeniem pomyślała o sobie. Poczowała taką ogromną wrogość i niechęć do siostry, że w jej własnym mniemaniu była to nienawiść w stężonym stanie.

Co jej się stało?

Co się z nią dzieje?

Stało się tak dlatego, że między nimi stanął Antonio de la Barca. Ostrzegła ją przed tym Catherine.

- Idziesz? - zapytała Tracey z miłym uśmiechem, jak gdyby cała rozmowa między nimi nigdy się nie odbyła.

Nagle Cass ujrzała siebie idącą obok siostry. Była ogłuszone, oszołomiona. I nie mogła uwolnić się od myśli o ciotce. A nuż Catherine miała rację?

- Wiesz, Cass, chętnie udzieliłabym ci pewnej rady. Powinnaś się z kimś przespać, to ci dobrze zrobi. - Tracey wypowiedziała tę uwagę pogodnym tonem.

Cass spojrzała na nią zdumiona. Czy rzeczywiście usłyszała coś takiego, czy się jej zdawało? Na wszelki wypadek zapytała:

- Co?

- Nie umiem sobie wyobrazić, jak można tak żyć - rozgadała się Tracey. Ach, Hiszpanie są naprawdę grzechu warci, uwierz mi. Dlaczego nie miałabyś przeżyć tu jakiejś przy-

gody? Gwarantuję ci, że od razu byś się lepiej poczuła. - I uśmiechnęła się zalotnie.

- Nie, dzięki - ucięła krótko Cass, zastanawiając się, czy czasem nie przybyła do jakiejś tajemniczej, zakazanej krainy. Zaczęła się wpatrywać w swoje stopy, posuwające się jedna za drugą. - Pamiętaj, że zostaję tu tylko przez weekend. - Nie mogła teraz wymazać z pamięci twarzy ciotki, która ją zaklinała, aby nie jechała do Kastylii i nie dopuściła do wyjazdu Tracey z Alyssą.

Zatrzymały się przed sypialnią Tracey.

- Cass, masz trzydzieści dwa lata i szybko zbliżasz się do dziewięćdziesiątki. Jesteś przeznaczona do staropanieństwa jak ciotka Catherine. Mimo to jeszcze nie jest za późno. - Dotknęła jej ramienia. - Jesteś moją siostrą, chciałabym, żebyś była szczęśliwa, naprawdę!

Cass zdołała zmusić się do uśmiechu.

- Pomyślę nad tym - skłamała.

- A więc do zobaczenia na kolacji. - Tracey zawahała się przez chwilę, wreszcie mocno ją objęła i szybko zniknęła w pokoju. Cass gapiła się na zamknięte drzwi.

...Trzydzieści dwa lata i zbliżasz się do dziewięćdziesiątki...

...Robisz z siebie głupka...

...Zabawiasz Antonia... gadając, co ci ślina na język przyniesie...

Nadeszła prawie północ. Alyssa nadal spała, a drzwi Tracey pozostawały zamknięte, choć Cass czuła, że za nimi nie ma nikogo. Poczęła z wahaniem schodzić na dół; jej klapki wydawały głośny klekot na kamiennych stopniach. Znowu poczuła rosnące napięcie. Noc za oknami była gęsta, ciemna, bezgwiazdna, a powietrze nieruchome.

Kolacja okazała się żalonym wydarzeniem. Cass unikała wzroku gospodarza w obawie, że znowu się zaczerwieni, choć teraz doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że poddała się manipulacji młodszej siostry. Najgorzej, że to przynosiło rezultaty. Postanowiła trzymać się jak najdalej od Antonia. Nałożyła sobie tłumik na resztę wieczoru i - w myślach - na cały weekend. Tracey natomiast świergotała przy stole i była

w doskonałym nastroju, który udzielił się obojgu dzieciom. Antonio rzadko zabierał głos. Cass odniosła wrażenie, że jest zmęczony. Domyślała się dlaczego.

Ten dom był taki ciemny.

Zadrzała. Ściany korytarzy oświetlały kinkiety, ale ich żarówki były słabe i stale migotały. W całym domostwie panowała cisza. Nie było tu szumu klimatyzacji lub wiatraków elektrycznych, nie słychać było radia czy telewizji, a z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy. W Belford House wciąż docierały z zewnątrz różne dźwięki - odgłosy z rzadka przejeżdżających samochodów, szczekanie psów, rzenie koni albo dzwonek u szyi krowy. Tu natomiast cisza była wręcz grobowa...

...Za wszelką cenę nie jedź do Kastylii...

Ach co za bzdura! - pomyślała Cass z rozpaczą. Chociaż sprawiało jej to ból, musiała przyznać w duchu, że ciotka zachowywała się irracjonalnie, gdy poruszała temat rodu de la Barca. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Nic innego się za tym nie kryje.

Stanęła w głównym holu niedaleko wejścia. Powoli rozejrzała się wokoło. I wtedy poczuła, jak stają jej włosy na karku.

Jeszcze raz spojrzała przed siebie, w bok, za siebie. Była sama. Skąd więc ten strach? Wszyscy w domu zasnęli. Nie było żadnego powodu do paniki. Nigdy przedtem nie obawiała się ciemności i teraz również nie ona wzbudziła jej lęk. Odnosiła jednak wrażenie, że ktoś skradał się za nią, obserwował ją zza rogu i gotów był skoczyć jej na grzbiet.

- Chryste - mruknęła zdenerwowana.

Pomyślała o Alyssie głęboko śpiącej na górze. Ponownie się zaniepokoiła, że zostawiła ją tam samą, choć z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że jej lęk nie ma racjonalnych podstaw. Przez chwilę zawahała się na schodach; a może powinna zawrócić, poczytać jakąś książkę, albo wyciągnąć laptop i połączyć się z Internetem?

Wreszcie doszła do wniosku, że nie należy przesadzać. Ostatecznie spędzi w Kastylii zaledwie jeden weekend i pragnie w tym czasie rozejrzeć się w najbliższej okolicy. Nie dość, że ma kręcka na punkcie historii, to jeszcze losy rodów de Wa-

renne i de la Barca wciągnęły ją bez reszty w ciągu ostatnich paru dni. Najbardziej intrygowała ją tajemnica otaczająca Isabel. A skoro weekend pewnie nie przebiegnie zgodnie z jej oczekiwaniami - nie miała zresztą zbyt wiele czasu, aby się nad tym zastanawiać - tym bardziej powinna zaspokoić palącą ciekawość, a nie śledzić burzliwy romans siostry, gryźć się tym, czy Catherine przyczyniła się do śmierci Eduarda, albo rozmyślać, dlaczego Antonio udał się nagle na policję, aby przejrzeć dokumenty leżące tam od trzydziestu lat.

Znowu przeszył ją dreszcz, tym razem dołączyło do tego kołatanie serca. Jej plan polegał na całkowitym skupieniu się na przeszłości, na szesnastym wieku, bez jakichkolwiek odniesień do ciotki oraz do ojca Antonia. Może ten portret wisi na ścianie przeciwnego korytarza na dole, a nie na piętrze. I w tym momencie pod Cass ugięły się nogi.

Ostatnie drzwi w skrzydle domu były otwarte, a pokój robił wrażenie dobrze oświetlonego. Okazało się, że była to biblioteka. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się półki wypełnione grzbietami książek. Antonio siedział schylony nad wielkim biurkiem. Gdy Cass ujrzała go, mruknęła do siebie: Cholera! - i szybko zawróciła.

Jednakże Antonio zdążył ją dostrzec.

Stanąła, wahając się, co zrobić. Usłyszała wtedy swoje imię:

- Cassandro?

Znowu zakłęła w duchu. Był ostatnią osobą, jaką chciała teraz ujrzeć, nieprawdaż? Powoli obróciła się do niego twarzą.

Antonio wstał zza biurka.

Cass usłyszała przyspieszone bicie serca. Zmieszana wykrztusiła tylko:

- Hej.

Uśmiechnął się, podszedł do drzwi.

- Myślałem, że wszyscy już śpią.

Jakimś cudem zmusiła się do podejścia kilku kroków.

- Ja też tak sądziłam. - Paliła ją ciekawość, żeby dowiedzieć się, nad czym pracuje.

Tymczasem on po prostu na nią patrzył.

Poczuła, że staje w pąsach. Chryste - a więc jej siostra miała rację.

Odwróciła głowę, żeby nie wpatrywać się w niego, i szybko omiotła wzrokiem pokój. Półki ciągnęły się wzdłuż dwóch ścian. Były wypełnione nie tylko foliałami, ale i różnymi papierami oraz teczkami na dokumenty. Na przeciwległej ścianie znajdował się duży kominiek w obudowie z czarnego marmuru. Ściany były pomalowane na zielono, a sufit, z gipsową sztukaterią pośrodku, miał wzór w pasy, z ozdobnymi motywami w barwach złota i różu. Większość umeblowania nosiła ślady zniszczenia i upływu czasu; para dwuskrzydłowych drzwi prowadziła na trawnik przed domem.

Antonio musiał tu pracować od dłuższego czasu. Błat biurka był zasłany notatkami, otwartymi książkami, starymi dokumentami. Obok stał kieliszek z koniakiem.

- Mam nadzieję, że ci nie przerwałam.
- Naturalnie że nie. - Zdjął okulary w szylkretowej oprawie. - Masz ochotę napić się czegoś?

Cass zagapiła się na niego.

- Prawdę powiedziawszy... miałam ochotę obejrzyć portret Isabel.

Jego oczy rozbłysły.

- Jakiż ze mnie nieokrzesany gbur! Przyrzekłem ci pokazać ten obraz, gdyśmy spotkali się w Sussex, a teraz, w tym całym zamieszaniu po przyjeździe, zupełnie zapomniałem o obietnicy. Wybacz.

Cass znów mu się przyjrzała.

- To ja się powinnam wytłumaczyć. Nie miałam pojęcia, że przyjechałyśmy bez zaproszenia.
- Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie należałaś do spisku obmyślanego przez twoją siostrę - odparł z uśmiechem w kącikach ust.

Jakże łatwo przeszedł na tym do porządku dziennego. Cass, patrząc na niego, zauważyła na piersi złoty krzyżyk na grubym łańcuszku.

- Ale teraz, kiedy już tu jesteś, życzę ci z całego serca, żebyś dobrze spędziła czas w Kastylii - dodał.

Jego orzechowe oczy nocą wydały się prawie czarne.

- Chyba nigdy przedtem nie spotkałam kogoś tak uprzejmego jak ty. Powinieneś nas wszystkie stłuc po tyłkach.

Roześmiał się tak ciepło i serdecznie, że Cass zmiękła jak plaster miodu.

- Cassandro, nigdy nie mówię tego, czego nie mam na myśli.

Odwrociła głowę. Jego wzrok był doprawdy zbyt intensywny.

- Nad czym tu pracujesz?

- Staram się złożyć w całość historię mojej rodziny - śladami ojca, który się tym zajmował.

Powoli uniosła głowę.

Antonio przekładał papiery na biurku.

- Rozszyfrowanie tych wszystkich notatek i dokumentów zajmie mi wiele miesięcy. No, ale teraz pójdziemy, prawda?

- Pójdziemy? - powtórzyła jak echo.

- Jej portret wisi na piętrze. - I z błyszczącymi oczami podszedł do biurka, biorąc stamtąd coś, co wyglądało na fotografię naszyjnika z rubinów. - Chodźmy - rzekł, skinąwszy głową.

Cass wyszła pierwsza z biblioteki i poczekała na korytarzu. Idąc obok niego, podziwiała jego profil.

- Portret. - Odetchnęła głęboko. - Portret Isabel de Warrenne. Czy te naszyjniki są takie same?

Na jego twarzy pojawił się uśmiech i szybko znikł.

- Sama ocenisz - rzekł.

- Nie mogę się wprost doczekać - odparła Cassandra i naprawdę była podekscytowana jak dziecko.

Dotarli do podestu na pierwszym piętrze domu. Znaleźli się w tym samym holu, w którym parę godzin przedtem starły się z Tracey. Cass, idąc za nim, doszła do połowy długości korytarza i stanęła w progu, gdy otwierał drzwi. W pokoju panowała całkowita ciemność.

Antonio przekreślił kontakt, ale światło się nie zapaliło.

Cass nie ruszyła się z miejsca - zresztą i tak nic nie widziała - słyszała tylko, jak Antonio po omacku usiłuje dostać się do innego kontaktu w głębi komnaty. Przekreślał go z takim samym skutkiem.

- Muszę zejść i przynieść żarówkę - uspokoił ją. - Zaraz wrócę.

Jej oczy rozszerzyły się z trwogi. Chciała krzyknąć, żeby poczekał, że woli pójść z nim, ale było już za późno. Antonio znikł.

Napięcie nie pozwalało jej na swobodne oddychanie.

Tłumaczyła sobie, że przecież to bzdura. No i co z tego, że została sama w ciemnym jak noc pokoju? Właśnie zamierzała wyjść na korytarz, gdy instynkt kazał jej pozostać na miejscu.

Nastawiła ucha. Usiłowała wyłować jakiś dźwięk.

Było to kolejne bezsensowne działanie, nie mogła bowiem ani nic dojrzeć, ani usłyszeć, chyba że byłaby to mysz. A to nie jest żaden powód do obaw czy do alarmu.

Niemniej trzęsa się w środku, a na dodatek w pokoju było jeszcze zimniej niż w innych pomieszczeniach. A może temperatura na dworze nagle spadała? Skuliła się w sobie. Jej oczy stopniowo przyzwyczajają się do ciemności, ale wzdłuż krzyża nadal przebiegały nerwowe dreszcze. Z mroku zaczęło wyłaniać się łóżko pod ciężkim baldachimem. Komnata wydawała się przestronna; Cass czuła się w niej nieswojo i bardzo samotnie. Nagle coś innego zwróciło jej uwagę napiętą do ostateczności. W pokoju zaczął się unosić słaby zapach fiołków.

Uświadomiła sobie, że zdecydowanie nie lubi tego pokoju, chociaż go nie widziała. Wydał się jej odrażający. Chciała przejść do holu, a mimo to nie ruszyła się z miejsca.

Coś tu się działo bardzo złego, ale co?

Teraz w komnacie poczuła lodowaty ziąb, a mimo to powietrze było ciężkie i duszne. No i co z tego - usiłowała sobie przemówić do rozsądku. Zgoda, jest ciężkie, ale na tym polega specyfika klimatu Kastylii, gdzie wieczory są parne, a niebo zasnuwają gęste chmury. Na pewno jej wyobraźnia znowu się rozszalała. Tu się nic nie wydarzyło, wszystko jest w porządku, podobnie jak w jej sypialni na górze.

Z drugiej strony, może coś złego unosi się w całym tym przeklętym domu.

Chciała wyjść, ale stopy jakby wrosły w podłogę. I nagle znany już zapach kwiatowy był tuż, otaczał ją ze wszystkich stron, taki słodki, że aż mdlący. I tak okropnie silny.

W panice zdołała wymknąć się z pokoju. Ale w długim ko-

rytarzu, z ledwie świecącymi kinkietami, które rzucały ruchome cienie, wcale nie zrobiło się jej raźniej. Czuła sztywność w barkach, napięcie w szyi, ból rąk. Z najwyższym trudem poruszała nimi, a oddychanie sprawiało jej ból.

- Ty tchórze - próbowała szepnąć do siebie, ale nie mogła nabrać wystarczająco dużo powietrza, więc jej słowa zamieniły się w rodzaj jęku.

Skąd, do diabła, wydobywał się ten zapach perfum?

Pierwszą jej myślą były wywietrzniki. Ale jej pokój i sypialna Tracey znajdowały się po przeciwnej stronie domu, oddzielonej patiem. Były w tym domostwie jedynymi kobietami i żadna z nich nie używała takich słodkich perfum.

Wreszcie nadszedł Antonio, trzymając w ręce żarówkę.

- Przypomniałem sobie, że zmieniałem w tym pokoju żarówki zaledwie wczoraj. Pewnie były stare albo gdzieś jest jakieś zwarcie. - Popatrzył na nią uważnie. - Nic ci nie jest?

Zwilżyła wargi.

- Zachowuję się jak niespełna rozumu. Ten pokój wprawił mnie w zdenerwowanie - wyjąkała.

Zatrzymał na niej wzrok i odparł:

- To nie jest przyjemna komnata.

Odczekała, aż wejdzie do środka i dopiero wtedy ruszyła n\ nim.

- Co przez to rozumiesz?

W chwilę później zaświeciła się boczna lampa.

Cass rozejrzała się szybko, licząc, że jej bezsensowny niepokój ustąpi. Tak się jednak nie stało. Przeciwnie, lęk się wzmógł. Nie mogła pojąć dlaczego, skoro urządzenie pokoju nie mogło w niej wzbudzić strachu - wielkie łóżce, orientalne dywany, fotele i kanapka, biureczko. Utkwiła oczy w obrazie wiszącym nad kominkiem.

- Isabel de la Barca - rzekł Antonio ściszym głosem.

Cass się nie ruszyła.

Utkwiła wzrok w namalowanej postaci.

Wpatrywała się w Isabel de Warenne.

Kobieta z portretu - młoda, o alabastrowej cerze i złotorudych włosach wysuwających się spod przybrania głowy, patrzyła wprost na nią.

- O Boże! - westchnęła Cass i zadrżała. Natychmiast zapomniała o swoich lękach.

- Mam takie samo odczucie - mruknął Antonio z głębi po koju.

Było to najbardziej zdumiewające dzieło sztuki, jakie Cass kiedykolwiek widziała. Kimkolwiek był malarz, uchwycił tę kobietę w taki sposób, jakby jej podobizna na płótnie była pełna życia i energii, uczyniona z ciała i duszy. Dopiero po chwili Cass ujrzała, że intensywnie błękitne oczy tamtej, wpatrujące się w jej oczy, były niewymownie smutne.

- Ona jest ogromnie nieszczęśliwa - szepnęła.

Antonio też odpowiedział szeptem:

- W jej wzroku widać także oskarżenie.

Cass zbliżyła się wreszcie do portretu. Isabel była piękna w klasyczny sposób. Miała owalną twarz, wysokie kości policzkowe, pełne usta. Jej suknia opinająca cienką talię była wspaniała. Czerwony aksamit, pomyślała Cass, z wysoką białą kryzą, marszczonymi rękawami z pęknięciami powyżej łokci. Wokół szyi mienił się naszyjnik z rubinów, w którym Cass natychmiast utkwiała wzrok.

To był z pewnością ten sam naszyjnik.

Musiał być ten sam.

- Tak - powiedział Antonio łagodnym tonem, podchodząc bliżej. Stanął obok Cass. Chciał jej wręczyć fotografię, ale ona machnęła tylko ręką.

- Należał do niej - rzekła podnieconym głosem, nie mogąc oderwać oczu od portretu.

- W każdym razie nosiła go, pozując do tego obrazu - mruknął Antonio, wyjmując szkło powiększające, żeby porównać naszyjnik ze zdjęcia z tym z obrazu.

- Co o niej wiesz? - zapytała, ciągle wpatrzona w błękitne oczy Isabel.

- Nie dotarłem do żadnych dat. Wiem tylko tyle, że Alvarado ożenił się po raz drugi w 1562 roku, jego żona miała na imię Elena i urodziła mu trzech synów.

Cass ciągle czuła się jak zahipnotyzowana, zrobiło jej się gorąco.

- Moja ciotka, jeśli ma rację, utrzymuje, że Isabel spłonęła

na stosie w 1555 roku i że gdzieś zachował się dokument w tej sprawie. Co ważniejsze, chce odnaleźć genealogię rodu de Warenne z szesnastego wieku. Jako córka hrabiego Sussex musiała być w niej uwzględniona. - Kobieta na portrecie wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia lat. Mogła być nawet młodsza. Cass zorientowała się, że ciągle porozumiewają się szeptem. - Dlaczego szepczemy do siebie?

Uśmiechnął się kącikami ust.

- Nie wiem. Z przestachu? Ten portret jest datowany. Znowu przyda się szkło powiększające. Malarz jest, jak sądzę, Holendrem, choć nigdy o nim nie słyszałem, nazywa się Vanderleek, a tuż pod jego podpisem znajduje się data: 1554. - Spojrzał na nią.

W jej głowie natychmiast zaroiło się od różnego rodzaju informacji i skojarzeń. Chwyliła Antonia za ramię, uświadamiając sobie, że nigdy przedtem go nie dotknęła.

- Jeśli zmarła w 1555 roku, to przypuszczalnie rok po ukończeniu tego obrazu. Mój Boże, popatrz, jaka jest młoda!

- Mam dokładnie takie samo odczucie.

- Musimy odnaleźć tę genealogię.

- Są inne sposoby. Jeśli była oskarżona o herezję, musiała odpowiadać na procesie.

- A z niego pewnie zachowały się jakieś dokumenty - rzekła Cass z ponurą miną. W głębi duszy liczyła, że ta piękna młoda kobieta nie doświadczyła takiego strasznego losu.

- Elena pochodziła z wielkiego rodu, była bogata i utytułowana. A propos, oboje są moimi przodkami w prostej linii - wyjaśnił Antonio.

Cass domyślała się, do czego zmierza.

- Wcale nie wykluczam, że Isabel pozbyto się w jakiś inny sposób. - Wzdrygnął się.

- Co rozumiesz, mówiąc, że się jej pozbyto? Wtrącono do klasztoru? Zamknięto w wieży w odległym, zapuszczonym majątku, aby umierała tam powolną śmiercią?

- Alvorado nie byłby pierwszym szlachcicem, który pozbył się w ten sposób niechcianej żony - odparł cichym głosem, ciągle się w nią wpatrując.

Cass wpatrywała się w obraz.

- Jeśli się domyślała, że czekają taki los, to nic dziwnego że w jej oczach znać taką trwogę. I, masz rację, w jej spojrzeniu wyczuwa się również oskarżenie. - Pomyślała o portrecie Alvorada wiszącym w jej sypialni. Czy można było sobie wyobrazić bardziej niedobraną parę? Katolik i protestantka, mężczyzna w średnim wieku i młodzianka dziewczyna. Cass gotowa była rozpłakać się ze współczucia nad odległą krewniaczką.

W geście pociechy objęła się ramionami. Niezbyt optymistycznie zapatrywała się na los Isabel, cokolwiek biedaczkę spotkało.

- Sussex był protestantem, zanim przyłączył się do powszechnej rewolty, która ułatwiła Marii Tudor przejąć koronę, królewską. Jednakże wielu arystokratów uczyniło podobnie jak on, kiedy stało się jasne, że Maria zostanie władczynią po Edwardzie, i zaczęło wyznawać katolicyzm. W procesach o herezję oskarżono kilkanaście osób, które następnie spłonęły na stosie. - Wyrzuciła z siebie szybko podstawowe fakty.

Antonio uśmiechnął się do niej.

- Dobrze znasz historię swego kraju.

Cass aż się zaczerwieniła z wrażenia.

- Nie wątpię, że ty znasz ją jeszcze lepiej.

Oboje znowu poczęli studiować portret. W pokoju zapadła taka cisza, że dziewczyna słyszała równy oddech gospodarza i swój własny, nieco przyspieszony. Zadrżała, ale tym razem nie z powodu przejmującego chłodu. Z trudem się powstrzymała, żeby nie spojrzeć za siebie, aby upewnić się, że są tylko we dwoje. Miała nieodparte wrażenie, że w drzwiach stanęła Tracey, żeby ich szpiegować. Odwróciła się gwałtownie, ale instynkt wprowadził ją w błąd: na progu nie dojrzała nikogo.

Ponownie wpatrzyła się w postać na obrazie. Tym razem nie miała już najmniejszej wątpliwości, że w życiu Isabel wydarzyła się tragedia. To było widoczne w jej oczach.

- Czy to był jej pokój? - zapytała Antonia.

- Nie wiem, chyba tak. Sypialnia pana domu znajduje się obok.

Aha, to ten pokój, z którego Tracey wyszła bosa i rozczo-

chrana. Cass uprzytomniła sobie, że aż do bólu zacisnęła ręce na ramionach. Opuściła je więc.

- Może dlatego - formułowała wolno swoje myśli - w tej komnacie panuje taki... dziwny nastrój. Ciemno tu, nieprzyjemnie... I czuje się jakąś zagadkową... intensywność. Pewnie tu żyła, może nawet umarła, i była ogromnie nieszczęśliwa.

Tym razem Antonio się nie uśmiechnął.

- Tak, ten pokój ma jakąś dziwną atmosferę i czuję to, ilekroć do niego wchodzę... - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Eduardo tu nie zagłada.

Cass nie mogła od niego oderwać wzroku, choć była zarazem świadoma, że przebywanie z nim w tym niepokojącym wnętrzu wzmagają jej lęk. Nie potrafiła się również powstrzymać, by dyskretnie nie zerkać wokół. No cóż - przekonywała siebie w duchu - pokój jak pokój, zastawiony starymi meblami. Coś ją jednak gryzło, choć nie potrafiła tego nazwać. Wspominała o tym jej ciotka, ale co to było?

- Czy czujesz charakterystyczny zapach? - spytała. - To fiołki, prawda?

- Tak - odparł Antonio, patrząc na nią przenikliwie. - Pewnie Alfonso rozpylił tu jakiś odświeżacz powietrza, kiedy dowiedział się po południu o waszym przyjeździe.

Cass przyjęła tę wiadomość z ogromną ulgą. Roześmiała się głośno.

- O Boże, a ja przez chwilę pomyślałam jak idiotka, że to są perfumy zmarłej kobiety. - W tej samej chwili zamilkła, a uśmiech zamarł jej na ustach. Wcale tak nie myślała, więc dlaczego, do diabła, wypowiedziała te słowa?

Antonio odparł z poważną miną:

- My nie odczuwamy takiej sympatii do duchów, jaką darzycie je wy, Anglicy.

Ta uwaga tylko przyspieszyła jej decyzję, by jak najszybciej opuścić ponurą komnatę. Rzekła więc z pozorną lekkością:

- Ach, dobrze nas znasz, w każdym dworze mamy przynajmniej jednego ducha, a w zamku minimum dwa. - Już miała zamiar odejść, ale raz jeszcze spojrzała na obraz. Błękitne oczy Isabel wpatrywały się w nią z mocą. Cass zadrżała.

Zrobiła parę kroków w prawo i znów popatrzyła na portret Isabel nadal na nią patrzyła.

Ze ściśniętym gardłem odeszła w lewo, stając w znacznej odległości od portretu. Gdy się odwróciła w jego stronę, po czuła na sobie nieruchomy wzrok dalekiej krewniaczki.

- Jej oczy! - krzyknęła półgłosem. - Gdziekolwiek się zatrzymam, jej wzrok podąża za mną!

- Zauważyłem to - odparł Antonio. - Malarz był bez wątpienia mistrzem, prawda?

Cass nie wiedziała, czy bardziej podziwiać kunszt artysty, czy też budzącą strach cechę portretu. Podeszła z powrotem do Antonia i właśnie chciała go zapytać, czy na tym zakończy oglądanie, gdy w pokoju zgasło światło. Zrobiło się czarno jak w jaskini.

Serce podeszło jej do gardła.

Antonio dotknął jej ramienia.

- To albo uszkodzona żarówka, albo jakieś zwarcie w przewodach. Cassandro, pamiętaj, że nikt tu nie mieszkał przez trzydzieści dwa lata. - Starał się mówić uspokajającym tonem, natychmiast zauważywszy jej niepokój.

- Naturalnie - rzekła Cass. Nie znosiła jednak uczuciu, które wreszcie udało się jej nazwać. Prześladowało ją od momentu, gdy stanęli w drzwiach komnaty. Otóż przez cały czas czuła na sobie czyjś wzrok, jakby była stale obserwowana.

Zupełny nonsens.

Bo przecież byli tu sami - sprawdzała to z dziesięć razy w ciągu minionych pięciu minut.

Antonio wziął ją za ramię i oboje ruszyli do drzwi. Cass zrozumiała, że był to z jego strony celowy gest; gdy zatrzymali się w progu, przekreślił kontakt, jak się to automatycznie robi, wychodząc z pokoju.

W tym momencie zapaliła się lampa przy łóżku.

Cass omal nie osunęła się na podłogę. Na szczęście Antonio ją podtrzymał. Spojrzała na niego, nie tylko mocno przejęta, ale i wylękniona.

Jej towarzysz natychmiast zorientował się po wyrazie twarzy, co się z nią dzieje, bo gdy odzyskała równowagę, rzekł:

- Jeśli zostanę tu przez całe lato, będę musiał wezwać elek-

tryka. Nie ulega wątpliwości, że przewody są w fatalnym stanie.

Naturalnie, przewody elektryczne. Antonio raz jeszcze przekreślił kontakt przed wyjściem na korytarz, a następnie zasnął drzwi. Cass tłumaczyła sobie, że to tylko drobna awaria. Dom był wielki, bardzo stary, nie zamieszkały od dziesiątków lat.

- Wiesz - powiedziała cichym głosem, słysząc zarazem, jak wali jej serce - że moja ciotka błagała mnie, abym tu nie przyjeżdżała. - Czuła, że nie należało poruszać tematu Catherine, ale nie mogła się powstrzymać.

Spojrzał na nią z uwagą.

- Ach, tak?

Splotła ramiona.

- Sądzę, że w ciągu ostatnich paru dni straciła jasność umysłu. Zanim wyjechałam, zachorowała nagle i musiała zostać w szpitalu.

- Przykro mi. Na szczęście już przychodzi do siebie, jak mówisz. Co takiego powiedziała?

Cass nie potrafiła zmusić się do uśmiechu, choć pragnęła, aby jej uwaga zabrzmiała lekko, niemal jak żart.

- Mówiła... - Zawahała się. - Jej zdaniem, nasze rodziny prześladowuje to samo okrutne fatum. Ciotka twierdzi, że związki między naszymi rodami prowadzą jedynie do tragedii. - Wreszcie zmusiła się do śmiechu, który jednak zabrzmiał fałszywie.

Oczekiwała, że z niej zadrwi. Nic podobnego nie nastąpiło. Patrzył na nią w milczeniu.

Uśmiech z jej twarzy znikł.

- Moja ciotka zachorowała. A Tracey... - Nabrała tchu. - Strasznie się kłócimy, ale nie z powodu rodu de la Barca.

- To interesujące - rzekł lakonicznie.

- Co takiego?

- Moja matka też miała złe przeczucia. Nie chciała jednak o nich mówić.

Zrobiło jej się nieswojo.

- Jakie przeczucia?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Ona uważa, że Isabel nadal tu jest.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Matka jest gotowa przysięgnąć na Biblię, a jest bardzo pobożną kobietą.

By rozładować atmosferę, Cass zrobiła minę sugerującą cień uśmiechu.

- No cóż, wcale by mnie to nie zdziwiło. Ja wierzę w tak zjawiska. - Po czym dodała: - To znaczy, tak sędzę. Może duchy twoich przodków nie mogą opuścić tego miejsca i dlatego domostwo zdaje się emanować smutkiem i nieszczęściem. Nie mogła się powstrzymać, bo nie zerkać w głąb korytarz. Spodziewała się ujrzeć zjawę, ale nie doszło do żadnego spotkania z istotą z zaświatów.

I wówczas przypomniało jej się nagle, co powiedziała ciotka w szpitalu: „Ona wróci”. Nie ulegało kwestii, że chodzi o Isabel.

Ta myśl sprawiła, że Cass poczuła, jakby opadła na nią lodowata mgła.

- Wątpię w przesady mojej matki. - Antonio przerwał jej rozmyślenia. — To już stara kobieta, jak twoja ciotka.

Ich oczy znowu się spotkały.

- Może powinniśmy jak najszybciej wezwać elektryka? rzekła szybko Cassandra.

Na jego twarzy ukazał się ponury grymas.

- Moja matka także nienawidzi twojej ciotki. Czy zdawała sobie z tego sprawę?

Kolana ugięły się pod nią po raz drugi w ciągu kwadransa. Zamrugała powiekami, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć. Spodziewała się jednak następnego ciosu, który przyszedł po chwili.

- Ściślej mówiąc, matka nienawidzi całej twojej rodziny. Chce się zemścić.

ROZDZIAŁ 8

Casa de Suenos - dzień drugi

- Co za uroczy dzień! - wykrzyknęła Cass, wysiadając z dwojgiem dzieci z wynajętego auta, które zaparkowała obok zrujnowanego zamku. - Czy mam ci pomóc, Eduardo? - zapyłała jak najbardziej naturalnym głosem. Serce się jej ścisnęło, gdy patrzyła, jak chłopiec wysiada, podpierając się kulami, i z jakim wysiłkiem maca stopami ziemię. Instynkt podpowiadał jej, aby podbiec do niego i wyciągnąć pomocną dłoń.

- *No, senora, gracias* - rzekł stanowczo, stając na nogach.

Alyssa czekała cierpliwie, aż zajmie w miarę wygodną pozycję. Dopiero wtedy zamknęła za nim drzwi.

Cass uniosła klapę bagażnika, wyciągając z niego dwa koce i koszyk z prowiantem. Zatrzasnęła klapę z ponurą miną. Mioną noc przedrzemała, ciągle się budząc. Czy Antonio bawił się z nią w kota i mysz?

Odganiała od siebie myśli o tym, jak skończyła się ich rozmowa. Przypominanie sobie tego dialogu zepsułoby piękny poranek. A zresztą w świetle dnia większość strachów poprzedniej nocy wydawała się jej bezpodstawna.

- Czy ten zamek rzeczywiście należał do waszej rodziny? - spytała Alyssa Eduarda z odcieniem podziwu i lekkiej zazdrości w głosie.

Chłopiec aż pękał z dumy.

- *Si*. Od setek lat. Służył jako twierdza w wojnach z Arabami.

- To Arabowie byli w Hiszpanii? - Dziewczynka nie kryła zdumienia.

Podczas gdy Eduardo udzielał jej niezbędnych informacji, Cass usiadła, żeby rozpakować koszyk z jedzeniem i zsunęła z ramienia aparat fotograficzny. Oddaliła się od samochodu, żeby przyjrzeć się zabytkowym budowiom. Najpierw popatrzyła na bliższą wieżę, połączoną ze swoją bliźniaczką rozwalającym się murem; zarazem zakazała sobie myśleć o następnym spotkaniu z Antoniem de la Barca. Zapowiadał się wspaniały dzień na piknik, idealny dla obojga dzieci, a nawet dla niej samej; mogła nareszcie cieszyć się życiem.

Na intensywnie niebieskim niebie nie było ani jednej chmury. Choć panował upał, lekki wiatr przyjemnie chłodził skórę. Drogę, którą przyjechali, było widać tylko częściowo, ponieważ miała nawierzchnię z szutru i nikt nią nie jeździł, bo trudno ją było nawet wypatrzeć szosy. Tuż za zamkiem wyrastała potężna grupa jodeł, zaskakujący cud natury w tej suchej i pozbawionej drzew okolicy. Cass doszła do wniosku, że chyba polubiła Kastylię. W dzikości i surowości tej krainy było coś urzekającego, dumnego. Poczuła żal, że musi ją zwiedzać w takich nieprzychylnych i stresujących okolicznościach. Któregoś razu - przyrzekła sobie w duchu - wróci tu na prawdziwe wakacje.

Zaczęła robić zdjęcia.

- Ciociu, możemy wejść do zamku? - krzyknęła Alyssa.
- Poczekajcie na mnie!
- Mnie się nic nie stanie - zapewnił ją Eduardo poważnym tonem.

Cass na odjeźdnym obiecała jego ojcu, że zachowa daleko idącą ostrożność. Ale w oczach chłopca dostrzegła tyle nadziei i zapału, a jego szybkie ruchy na kulach przypominały skaczącą wiewiórkę, że nie sposób było nie zgadnąć, iż aż się pali do przeżycia przygody, jak każdy chłopiec w jego wieku. Nie zapytała, co spowodowało jego kalectwo, lecz była niemal pewna, że to skutek polio, które musiał przeżyć we wczesnym dzieciństwie.

- Dobrze! - postanowiła impulsywnie. Obserwowała, jak oboje przechodzą przez płat dykty nad rowem otaczającym ru-

my. Był to właśnie rów, a nie żadna fosa, bo miał około półtora metra głębokości i powstał przypuszczalnie wskutek naturalnej erozji.

Cass nie mogła się otrząsnąć z myśli na temat Isabel. Czy nieszczęsna kobieta odwiedzała niekiedy mury zamku?

Isabel. Matka Antonia wierzyła, że ta kobieta straszy w Domu Snów. A może raczej prześladowuje zza grobu ród de la Barca? Jej ciotka twierdziła podobnie. Ona wróci. Naturalnie, ciotka Catherine, wypowiadając te słowa, miała wysoką gorączkę. Jednakże bardzo dziwne, że wspomniała Isabel de Wrenne w swoim prywatnym dzienniku.

Postanowiła obliczyć, kiedy się to wszystko zdarzyło, biorąc za punkt wyjścia kilka znanych sobie dat. Antonio miał cztery lata, gdy zginął jego ojciec, a skoro teraz ma trzydzieści osiem, Eduardo zmarł w 1966 roku.

Ostatni wpis w dzienniku ciotki Catherine pochodził z lipca tego roku.

Cassandra nie była zbyt uszczęśliwiona, łącząc wszystkie te fragmenty informacji. Bardzo by się przejęła, gdyby się okazało, że Edaurdo poniósł śmierć właśnie tamtego lipca. I sama nie wiedziała, czy się cieszyć, czy raczej żałować, że nie przeczytała dziennika ciotki. Prawdę mówiąc, bała się, co ten zeszyt mógł zawierać.

Jeśli jednak wpisy byłyby aktem samooskarżenia, to należałoby wziąć pod uwagę, iż ciotka tak mocno przeżyła śmierć Eduarda, że po czterdziestu latach tragedia nadal ją prześladowała, a więc nie należy brać dosłownie jej majaczeń w gorączce.

Stojąc przed czternastowiecznymi ruinami, poczęła się zastanawiać, czy domostwo Antonia zamieszkują duchy jego przodków. W Anglii nawiedzone domy były czymś zwyczajnym, a Cass przeżyła już takie spotkania ze zjawami z zaświatów. To by wyjaśniało, dlaczego siedziba rodu de la Barca jest taka przygnębiająca, zimna i ponura. A ponadto stoi od wieków, więc na pewno gościła w swoich murach upiory.

Znowu złapała się na wymyślaniu bredni. Dom był po prostu nieprzystosowany do warunków współczesnych, a wszel-

kie ostrzeżenia ciotki pod adresem rodu de la Barca i Kastylii można włożyć między bajki. Kropka.

Dzieci przystanąły przed sklepioną w łuk sienią prowadzącą do wieży. W chwilę potem na jej oczach znikły za rozwalającym się murem z kamienia.

Znienacka Cassandrę znów sparaliżował dobrze znany jej lęk.

To nie był najlepszy pomysł - orzekła w myślach. Gdyby Eduardowi cokolwiek się stało, Antonio nigdy by jej nie wybaczył, a ona sama nie darowałaby sobie tego do końca życia. Instykt ostrzegał ją teraz krzykiem: Głupia! Głupia! Głupia! Ale jej obawy tym razem nie miały nic wspólnego ze zjawami. Pobieгла w stronę rozłożonych rzeczy, żeby chwycić koc i ruszyła na poszukiwanie dzieci.

Gdy tylko przeszła przez rów czy też wyschniętą fosę i znalazła się wśród ruin, ujrzała ich oboje, jak stali pośrodku czegoś, co kiedyś było zapewne ogromną salą. Odetchnęła z niewysłowioną ulgą. Odtąd - powiedziała sobie - nie będzie ich spuszczać z oka.

Z ciekawością rozejrzała się wokoło. Z ziemi wystawały potężne kamienie, kiedyś fragmenty ścian i kolumn. I wtedy dopiero zauważyła, że Alyssa i Eduardo tkwią w miejscu bez ruchu.

- Dzieci! Wszystko w porządku? - krzyknęła. Oboje, stojąc tyłem do niej, wpatrywali się w coś przez dużą dziurę w murze. Cass zaniepokoiła się nie na żarty.

Jak na komendę jednocześnie odwrócili się w jej stronę. Ich twarze były ściągnięte strachem, kredowobiałe.

Nie czekając na ich dalszą reakcję, puściła się biegiem w tamtą stronę.

- Ciociu, ktoś tam jest - szepnęła Alyssa.

Cass pochyliła się, instyktownie przytulając do siebie dzieci i jednocześnie zerknęła w bok, żeby zobaczyć, co widać w wyłomie. Dostrzegła jedynie kępę jodeł, ale jej umysł działał na najwyższych obrotach. W zasięgu wzroku nie zauważyła żadnego zaparkowanego samochodu, a najbliższa wioska była oddalona od zamku o dwadzieścia minut jazdy. Któż by tam mógł być i dlaczego? I jak się dostał? Nie czuła się bez-

piecznie z dwojgiem dzieci, zagrożona przez jakiegoś obcego człowieka, który je podglądał.

Nie, zdecydowanie jej się to nie podobało.

- Nikogo nie widzę - rzekła z napięciem w głosie. - Czy jesteście pewni, że ujrzeliście tu jakiegoś człowieka?

Oboje z przekonaniem kiwnęli głowami.

- Jakaś osoba szybko schowała się w tych drzewach - powiedział Eduardo. - Jakby nie chciała, żebyśmy ją dostrzegli.

- Myślę, że to był mężczyzna - dodała Alyssa. - Niski i gruby.

- Mam bardzo dobry wzrok - podkreślił Eduardo.

Cass poczuła, jak jej wali w skroniach. Wpatrywała się w kępę jodeł, ale nie dojrzała żadnego ruchu, żadnego śladu człowieka.

- A może po prostu wyobraziliście sobie kogoś? - spytała ostrożnie. - Kto by się tu skradał, i jak by przyjechał, skoro nigdzie nie widać obcego samochodu?

Dzieci spojrzały na siebie.

- Wieśniacy jeżdżą rowerami - wyjaśnił Eduardo. - Albo chodzą pieszo.

Cassandra stopniowo odzyskiwała panowanie nad sobą.

- Ktokolwiek to był, już sobie poszedł. No to jak, od razu ruszamy na wyprawę badawczą, czy raczej przedtem coś przegryziemy i dopiero potem zabierzemy się do poszukiwania skarbów? - Uśmiechnęła się do dzieci, nie chcąc ujawnić lęku. Bo wcale nie wykluczała, że ktoś je jednak śledził.

- Najpierw zjedzmy - odezwała się Alyssa, patrząc nieśmiało na Eduarda.

- Zjedzmy - przytaknął chłopiec z uśmiechem.

Cass spojrzała na nich spod przymkniętych powiek. Odniosła wrażenie, że jej siostrzenica jest zafascynowana Eduardem. Jakież to miłe - pomyślała, rozkładając koce. Jednakże nadal czuła niepokój. Gdy wszyscy usiedli, wpatrywała się bez ustanku w kępę jodeł, ale przecież nie dostrzegła tam nawet ruchu gałązki. W bezwietrznej pogodzie drzewa stały nieruchomo.

Opamiętaj się - nakazała sobie. - Zrelaksuj się, raduj się spokojem i samotnością, bo gdy wrócisz do domu, z pewnością

cią nie zaznasz takiej ciszy. Wcale nie myślała o dziwacznej poprzedniej nocy, o przodkach de la Barca, lecz o swojej siostrze i o Antoniu.

Zajęła się poczęstunkiem dla dzieci. Nałożyła im na talerze kromki świeżego chleba, kawałki wędzonej wieprzowiny, plastry szynki i doskonałego miejscowego sera.

- Czy lubisz Pokemony? - spytał Eduardo Alysę.

Oczy małej rozszerzyły się z radości.

- Uwielbiam. Mam dziewięćdziesiąt trzy karty. Kilka dni temu zdobyłam Magikarpa.

- Ja już zebrałem dwieście dwie karty, ale jestem od ciebie starszy - odparł chłopiec.

Mała była zachwycona.

Cass odwróciła się, by zerknąć na wyrwę w murze. Niczego nie zauważyła. Dzieciom pewnie się zdawało, że coś w niej ujrzały. Dlaczego jednak włosy na jej karku ciągle się jeżyły? Z jakiego powodu nie mogła się uspokoić? Podniosła się. W górze nad nimi przeleciał jastrząb. Była tak niespokojna, że nie ucieszył jej widok majestatycznego lotu.

Rozpięła futerał, wyjęła aparat fotograficzny.

- Zrobię kilka zdjęć zamku - rzekła. - Zjem później.

Dzieci zagłębiły się w dyskusję na temat cech Charmandera i Gengar. Cass, patrząc przez wizjer, starała się znaleźć najlepsze ujęcia murów, wież, zniszczonych dachów, gotycko zwieńczonej sieni. Ukucnęła, licząc na uzyskanie głębi ostrości, która pozwoliłaby jej na sfotografowanie drugiej wieży na tle pierwszej. Wspięła się na kilka schodków, żeby zrobić ujęcie na dużym planie. Wreszcie, zadowolona z efektu, nacisnęła spust migawki. Zeskoczyła z muru i podeszła do dzieci. Właśnie kończyły posiłek.

- *Senora*, a teraz idziemy na wyprawę badawczą, prawda? - zapytał Eduardo.

- Jasne - potwierdziła Cass. Zmusiła się do uśmiechu. Znów zerknęła przez ramię, ale oczywiście nikogo nie zauważyła wśród ruin.

Antonio najwyraźniej czekał z niecierpliwością na ich powrót. Spojrzał bacznie na syna, gdy cała trójka zjawiła się

w domu. Cass dostrzegła ulgę w jego oczach. Powitał ich wszystkim szerokim uśmiechem.

- Jak było na pikniku? - *zapytał*.

- Dzieci bawiły się doskonale - rzekła Cassandra.

Antonio utkwiał wzrok w jej twarzy.

- A ty? Też się dobrze bawiłaś?

Zawahała się, ale szybko dodała:

- Tak, ja również. - Spuściła oczy, po czym ponownie spojrzała na niego. - Zrobiłam kilka interesujących ujęć ruin.

Popatrzył na nią badawczo, jakby natychmiast domyślił się, że coś przed nim ukrywa.

- Tato, zauważyliśmy kogoś w kępie drzew - powiedział Eduardo.

Antonio spojrzał na syna.

- Obok ruin? - spytał z niedowierzaniem.

Cass przerwała.

- Dzieciom się zdaje, że kogoś widziały - wyjaśniła. - Ale nikogo tam nie było, to tylko ich wyobraźnia.

Antonio skinął głową.

- Czas na sjęstę - zarządził, spoglądając na syna. Następnie przeniósł wzrok na Cass. - Telefonowała twoja ciotka - rzekł. - Odniosłem wrażenie, że jest w rozpaczy.

Cass natychmiast straciła humor. Lęki, jakie prześladowały Catherine, tylko wzmogły jej własne napięcie. Jednakże nie pozostawało nic innego, jak oddzwonić do Belford z zapewnieniem, że wszystko jest w porządku.

- Później do niej zatelefonuję - rzekła. - Alysso, sjęsta obowiązuje również ciebie.

Nie musiała przekonywać siostrzenicy, która już ziewała, zmęczona podróżą i upałem.

- *Cassandro.*

Zatrzymała się w pół kroku. Chyba nigdy nie przywyknie do takiej wymowy swojego imienia, wypowiedanego melodyjnie, ze zmysłowym akcentem.

- Tak?

- Kiedy dzieci zasną, może zechciałabyś wziąć ze mną udział w małym dochodzeniu? - Antonio starał się napotkać jej wzrok.

- W jakim dochodzeniu? - Jej puls znowu przyspieszył.
- Chcę zbadać rodzinną kryptę. Dama, nad której losami się zastanawiamy, musi być tam pochowana, więc przynajmniej możemy się dowiedzieć, kiedy się urodziła i kiedy zmarła.

- Z największą przyjemnością będę ci towarzyszyć - odparła tak szybko, że Antonio aż wybuchnął śmiechem.

- A zatem spotkamy się tutaj za pół godziny, jeśli ci to powiada.

Chciała wziąć prysznic, więc musiała się pospieszyć.

- Doskonale - odrzekła. - A gdzie jest Tracey?

Zanim Antonio zdążył odpowiedzieć, Tracey pojawiła się w korytarzu, który prowadził do ich pokojów.

- Tu jestem. - Miała głos twardy jak stal i zimny jak lód. Patrzyła siostrze prosto w twarz.

Cass stała nieprzyjemnie zaskoczona.

- Urządziliśmy sobie wspaniały piknik - wyjąkała.

Tracey uśmiechnęła się krzywo.

- Ja też chcę pójść do krypty. Weźcie mnie pod uwagę.

W ciągu ułamka sekundy Cass pojęła, że nie pomyliła się, sądząc, iż wyczytała w oczach siostry stężoną nienawiść. Ale po chwili wszystko znowu wróciło do normy. Tracey skupiła całą uwagę na Antoniu.

Cass poczuła, że brakuje jej tchu.

Och, Boże.

Tracey traktowała ją jako rywalkę.

Dlaczego jednak nie miała tak sądzić? Nie dlatego, że Cass mogłaby jej odebrać Antonia, ale choćby z tego powodu, że takie okropne myśli przychodziły jej do głowy.

- Za pół godziny - orzekł de la Barca. - I radzę, żebyście nie wkładały sandałów.

- Nie ma problemu - odparła Tracey, zarzucając mu ramię na szyję. Miała na sobie kuse szorty, pasek nabijany sztucznymi brylancikami i obcisły podkoszulek. Większość mężczyzn oszalałaby na jej widok. Po raz pierwszy Cassandra spostrzegła, że Antonio nie odwzajemnia jej czułości. Idąc obok niej, nawet odsunął się o krok.

Zachodziła w głowę, co oznaczał ten gest. Z tą myślą pobiegła do siebie.

- Kiedyś był tu wspaniały klasztor - poinformował je Antonio. - Opuszczono go jednak jakieś sześćdziesiąt lat temu, i to nie z powodu utraty wiary, na której brak w tym kraju nie możemy narzekać, ale ze względów ekonomicznych. - Zaparkował samochód na placu, który służył kiedyś wiernym, i zerknął na Cass w lusterku wstecznym.

- Jakież interesujące - orzekła Tracey nazbyt entuzjastycznym tonem. Cass była przekonana, że jest siostra już się znużyła i tylko udaje zapał do zwiedzania krypty.

- Myślałam, że niewiele wiesz na temat tych okolic - zauważyła Cass, gdy wysiadali z dżipa. Znajdowali się przed grupą budynków wzniesionych z kamienia. Największy z nich, surowy i zbudowany na planie prostokąta, nie miał okien. Po prawej stronie Cass ujrzała studnię, a obok niej kilka zarzewiających narzędzi rolniczych.

- Studiowałem notatki i archiwa ojca, od kiedy tu przyjechałem parę dni przed wami - odparł Antonio. - To był nadzwyczaj inteligentny człowiek, ale - jak to bywa - zarazem nadzwyczaj niezorganizowany. Jaka szkoda, że nie prowadził bardziej metodycznych notatek!

- W ten sposób ułatwiłby nam zadanie - rzekła Cass.

- Jakie zadanie? - zapytała Tracey, gdy we troje szli wzdłuż ściany prostokątnego budynku. Pod ich stopami chrzęścił żwir.

Cassandra pożałowała, że w ten sposób sformułowała uwagę.

- Od kiedy to wy dwoje razem zajmujecie się jakimiś badaniami? - Tracey zapytała tonem nie wróżącym nic dobrego.

Przed nimi ukazał się cmentarz - liczne nagrobki ze zniszczonego marmuru i granitu, wyrastające z porosłej trawą ziemi, oraz mauzoleum z wejściem jak do świątyni. Cass poczuła, że jej puls znowu szaleje. Ich misja wydawała się pasjonująca, gdy rozpatrywali ją w teorii. Teraz nagle w pełni uprzytomniła sobie, dokąd idą. Powtarzała ciągle w duchu: Dobry Boże. Czy rzeczywiście wejdą do krypty?

Antonio odparł opanowanym tonem:

- Poprosiłem twoją siostrę, aby pomogła mi w badaniach nad historią rodu. Przecież podziela moją pasję do historii.

Tracey popatrzyła to na kochanka, to na Cass z wyraźnym niedowierzaniem.

Cassandra westchnęła w duchu, nie zamierzając zaogniać konfliktu z siostrą.

- To tylko wspólne badania - mruknęła zirytowana. Spojrzała Tracey w oczy. - I jedynie w ten weekend. Pamiętaj, że w poniedziałek odlatuję do Londynu.

Tracey nie przyjęła tego tłumaczenia z widoczną ulgą.

- Ależ czuj się zaproszona na dłużej - odezwał się Antonio.

Cass odwróciła się w jego stronę, zaskoczona.

- Mógłbym sporo skorzystać dzięki twojej pomocy - dodał.

- Ona odjeżdża - rzekła Tracey zdecydowanym tonem. Wydawało się jednak, że jest zmieszana i nie wie, co o tym wszystkim sądzić. Wyraz jej oczu sprawiał, że robiła wrażenie młodej i skrzywdzonej dziewczyny. - Ma już inne plany - obwieściła, znowu baczenie się im przyglądając.

Milcząc, weszli na zarośnięty cmentarz. Kilka drzew strzegło jego granic, a trawa sięgała im do kolan. Wszędzie panowała cisza i spokój. Cass miała ochotę usłyszeć choćby śpiew ptaka.

- Kto jest tu pochowany? - spytała zmienionym głosem, który w jej własnych uszach wydał się tubalny i zachrypnięty.

- Szlachta. Zakonnicy. Członkowie pomniejszych rodzin. - Znowu spojrzeli na siebie.

Cass uzmysłowiła sobie, że niechętnie zwraca głowę w inną stronę. Pomyślała, że Antonio zdaje sobie sprawę z jej zmieszania. Kiedy się do niej uśmiechnął, postanowiła obejrzeć piękny nagrobek z marmuru; jego niegdyś biała, gładka powierzchnia była teraz szorstka i pokryta kurzem. Na płycie wykuto daty sięgające siedemnastego wieku. Nie zdołała zrozumieć napisu po hiszpańsku.

- De la Barca - powiedziała pod nosem.

- To obłąd - obwieściła Tracey - takie łązenie po przeklętym cmentarzu.

Antonio nie odpowiedział, dalej spacerując wśród grobów. Oboje z Cass zatrzymywali się co pewien czas, odczytując daty i inskrypcje na nagrobkach. Wreszcie stanęli przed mau-

zoleum; z bliska budowla wydała się ogromna. Fronton pod-
pierały cztery kolumny, a do drzwi, na których wisiała masyw-
na kłódka, prowadziły schody.

- Zamknięte! - krzyknęła Cass, zarazem z poczuciem ulgi
i rozczarowania.

Antonio zrobił niezadowoloną minę.

- Powiniennem był to przewidzieć. Oczywiście, krypta jest
zamknięta na cztery spusty, żeby zniechęcić wandalów.

- Mam świetny pomysł - odezwała się Tracey. - Pojedźmy
do Pedrazy na drinki z lodem i miejscowe zakąski.

Nikt jej nie odpowiedział.

Cassandra targały sprzeczne uczucia. Co by się stało, gdyby
odpowiedź, której szukają, znajdowała się w mauzoleum? Nie
chciała, żeby Antonio podejrzewał ją o tchórzostwo. Wzięła
głęboki wdech.

- A może byśmy rozbili tę kłódkę - zaproponowała i z de-
terminacją wspięła się na brudne marmurowe schody.

- Dokładnie to samo przyszło mi do głowy - rzekł Anto-
nio, idąc za nią. Jego oddech muskał ją w ucho. Nie jest to naj-
lepszy moment, by dostrzegać takie szczegóły, pomyślała.

Chwyliła mocno kłódkę i z całej siły pociągnęła ją do sie-
bie. Żelazo było tak przerdzewiałe, że puściło natychmiast.
Cassandra spadła ciężko na tyłek, a następnie potoczyła się
w dół po stopniach.

- Nic ci nie jest? - krzyknął Antonio, biegnąc na pomoc.
Ukląkł i swymi dużymi dłońmi objął ją za ramiona, które na-
gle wydały się jej zdumiewająco drobne.

Cass dojrzała w jego oczach troskę. Po chwili dotarło do
niej, że musi idiotycznie wyglądać, więc wybuchnęła śmie-
chem i krzyknęła triumfalnie:

- Eureka!

On również się roześmiał, kręcąc głową. Następnie wyciąg-
nął rękę, pomagając jej dźwignąć się na nogi.

Cass, gdy tylko wstała, puściła jego dłoń i spojrzała na Tra-
cey. Na jej policzkach wystąpiły czerwone placki. Postanowiła
uspokoić młodszą siostrę, gdy Antonio cofnął się parę kroków,
więc rzekła:

- Nic nie można poradzić na naszą obopólną fascynację przeszłością.

Tracey zacisnęła szczękę.

- Rzeczywiście, nie można.

Cassandra pomyślała w duchu, że może należałoby powiedzieć coś innego. Dlaczego dolewała oliwy do ognia?

- Wejźmy do środka - zaproponował Antonio, jakby nie dostrzegając rosnącego napięcia między siostrami.

W mauzoleum było ciemno jak w bezgwiezdną noc. Antonio zapalił latarkę, którą przezornie wziął ze sobą, ale jej słaba żarówka pozwalała im dojrzeć cokolwiek jedynie w promieniu kilkudziesięciu centymetrów. Cass ogarnęło przerażenie. Wewnątrz było nie tylko czarno, lecz także zimno i wilgotno. Powietrze cuchnęło zgnilizną.

- Nikt tu nie zaglądał od lat - mruknęła, dostrzegając dwa grobowce po prawej. - Mam nadzieję, że nie łamiemy niczyich praw.

- My z pewnością mamy do tego prawo - odparł Antonio z wyraźnym podnieceniem w głosie.

- Jesteście parą obłąkańców! Kto normalny chciałby tu włązić, żeby napotkać umarłaków? - krzyczała histerycznie Tracey.

- Tracey, uspokój się. Wszyscy leżący tutaj dawno umarli. Pochowano ich w tym mauzoleum. - Cass starała się uspokoić siostrę, aby ta nie wpadła w panikę. Z powodu ciemności z trudem widziała zarys jej twarzy i na szczęście nie miała czasu rozmyślać o strachach z poprzedniej nocy i o swoich podejrzeniach, że dom Antonia jest nawiedzony. Oddalała też od siebie myśli o Isabel śledzącej każdy ich krok. Tracey miała rację. Chyba zwariowali.

- Nie ma czegoś takiego jak duchy - pocieszała się półgłosem Tracey, jakby utwierdzając siebie w takim przekonaniu.

- Sza... - mruknął Antonio, zbliżając się do dwóch wspinających grobowców. Na płytach umieszczono rzeźby zmarłych naturalnej wielkości.

Cass wpatrywała się w nie jak zahipnotyzowana. Zwyciężył w niej historyk, który miał tu wiele do roboty. Musi przecież dokładnie zbadać grobowce. Miała ze sobą pióro wieczne

z małą lampką. Wyciągnęła je z torby i ruszyła śladem Antonia, by przyrzeć się innym grobom, zwracając przede wszystkim uwagę na daty i napisy.

- To fascynujące zajęcie, choć trochę źle działa na nerwy - rzuciła w jego kierunku.

Antonio oddalił się od nich, toteż obie z Tracey musiały przyspieszyć kroku, by za nim nadążyć.

- W tej części znajduje się mnóstwo grobów z siedemnastego wieku - rzekł z wyraźnym podnieceniem.

Cass znalazła się tuż za nim. I ona była ogromnie podekscytowana. W krypcie nie czuła się tak źle, jak zrazu zakładała. Stopniowo zaczęła się oswajać z tym miejscem.

- Jeśli wyszła za męża w 1555 roku, w wieku dwudziestu lat, choć założy się, że była wtedy młodsza, to - jeżeli nie spłonęła na stosie, dożyła pewnie pięćdziesiątki, a więc zmarła na przełomie wieków - myślała głośno. Ze zdziwieniem zauważyła, że nie chce wypowiadać imienia Isabel.

- Też tak sędzę. Jeśli umarła, zanim Alvarado ożenił się z Elena... - Zamilkł i raptownie stanął. - *Dios mio!* Tutaj leżą.

Cass omal nie wpadła, mu na plecy. Mimowolnie złapała go obu rękami w talii, zerkając zza jego ramienia.

- Kto? Alvarado i...? - Głos uwiązł jej w krtani.

- Alvarado i Elena - odrzekł szeptem.

Tracey zbliżyła się do nich, nie odzywając się ani słowem.

Cass poczuła głębokie rozczarowanie. Liczyła w głębi ducha, że usłyszy, iż w grobowcach leżą Alvarado i Isabel. Antonio oświetlił latarką oba grobowce i Cass natychmiast się zorientowała, że wyrzeźbiona postać de la Barki łudząco przypomina jego portret wiszący w sypialni. Choć groźny z wyglądu, był bez wątpienia bardzo przystojnym mężczyzną. Urodził się, jak odczytała na płycie nagrobnej, w 1528 roku, zmarł w 1575 roku. Elena, okazało się, była od niego znacznie młodsza i zmarła przed nim. Napis głosił: 1544—1571.

Zadrżała.

- A więc wychodząc za męża, była prawie dziewczynką. Zdaje się, że wspomniałeś o 1650 roku jako dacie ich ślubu?

- Nie, Alvarado poślubił ją w 1562 roku. - Skierował

światło latarki w bok. - Ona musi być pochowana w pobliżu. Ale gdzie?

Cass próbowała odczytać nazwiska i daty wyrte na innych grobowcach.

- A może przeżyła ich oboje? Chyba masz rację. Niewykluczone, że wysłali ją do jakiegoś klasztoru albo innej posiadłości, gdzie wyzionęła ducha i została pogrzebana.

- Lub spłonęła na stosie i nikt nie zadbał, żeby zebrać jej prochy i pochować - odparł Antonio; jego uwaga znów zaniepokoiła Cassandrę.

- Mam nadzieję - mruknęła. W tym momencie jej pióro z latareczką zgasło. Usiłowała ją zapalić, ale bez skutku.

- Do diabła! - skwitowała kolejną przeszkodę. - Niewielki z niej pożytek.

- Hej, wy! Kogo obchodzi ta kobieta? Uważam, że powinniśmy już stąd wyjść. Nie podoba mi się tutaj. - Tracey zatrzymała się na plecach siostry. Cass wyczuła, że tamta dygocze, ale nie było w tym nic dziwnego, skoro miała na sobie szorty i podkoszulek z dekoltem.

- Muszę przyznać, że i ja mam już trochę dosyć tego miejsca - rzekła. - Antonio, dotarłeś do grobowców z połowy piętnastego wieku. Z całą pewnością tam jej nie znajdziesz.

- Masz rację. Tu jej nie ma - odparł z nie ukrywanym rozczarowaniem.

- Nie martw się, na pewno ją zlokalizujemy. Musimy tylko dokładnie przeszukać notatki twojego taty. - Cass próbowała podtrzymać go na duchu. Gdy wypowiedziała to zdanie, zastanowiło ją, że użyła zaimka „my”.

- Zgoda, jest jeszcze wiele do zrobienia. - Antonio odwrócił się i popatrzył na nią. - Naprawdę jestem ci wdzięczny za pomoc.

Cass zastygła w miejscu, niezdolna ani do uśmiechu, ani do odwzajemnienia jego ujmującego spojrzenia. Wreszcie wykrztusiła:

- Robię to z przyjemnością. - I, biorąc pod uwagę niezwykle okoliczności, w jakich się znajdowali, powiedziała prawdę.

- No to wracamy? - Antonio skierował snop światła na ostatni grobowiec.

- A jakże - odpowiedziała Cass.

Antonio znów utkwiał w niej wzrok. Ich oczy się spotkały.

Cassandra nie mogła dłużej ukrywać przed sobą, że jego bliskość powoduje gwałtowne bicie jej serca. Kolana się pod nią ugięły, jakby były z waty, w brzuchu poczuła skurcze. Niech to szlag trafi.

- Czy wiesz, że moja ciotka i twój ojciec byli kochankami? - zapytała Tracey tak głośno, że jej słowa odbiły się w krypcie echem.

Cass obróciła się raptownie. Zauważyła, że Antonio zeszywniał, a jego głowa wykonywała jakieś mimowolne ruchy. Tracey uśmiechała się złośliwie.

Nie przesłyszała się, tylko skąd, do diabła, ona wie o tym?

Tracey podparła się pod boki i wpatrywała się w nich z odrażającym wyrazem twarzy.

- Podśledzałam, jak ciotka Catherine opowiadała to tobie. - Uśmiechnęła się jeszcze bardziej zjadliwie. Najwyraźniej z zimną satysfakcją donosiła kochankowi o tym fakcie. - Jakaż to była interesująca, nie, fascynująca rozmowa!

Cassandra poczuła, że jej serce zamarło z trwogi. Krople potu spływały jej po skroniach.

- Tracey, proszę, przestań. - Co siostra wiedziała na ten temat? Czy podsłuchiwała całą jej rozmowę z ciotką? Nie oszczędzała Catherine, żeby tylko zranić teraz ich oboje.

- Byli kochankami - powtórzyła Tracey. - I to właśnie tutaj, w Casa de Suenos.

Antonio wpatrywał się w nią bez słowa. Nawet w ciemnościach Cass dostrzegła, że zrobił się biały jak ściana. Wiedzioną odruchem, chwyciła go za rękę i mocno ścisnęła.

- Jest mi bardzo przykro - wyrzekła błagalnym tonem.

Milczał.

Cass spojrzała na siostrę.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że to zrobiłaś - rzekła lodowatym tonem.

Tracey wzruszyła ramionami.

- Ciotka Catherine opowiedziała ci niezłą historię, co?

Ręka Antonia w jej dłoni była jak sparaliżowana. Cass puściła ją, uświadamiając sobie, że spełniły się jej najgorsze przeczucia: Tracey usłyszała opowieść ciotki do samego końca. Teraz była o tym przekonana. Miała ochotę sprać siostrę za to, że wiecznie zachowuje się jak rozpieszczone dziecko, które zna jedyny sposób, aby zwrócić na siebie uwagę. Co więcej, postanowiła, że nie dopuści, aby Tracey wyjawiała cokolwiek więcej na ten temat.

- Nie ma o czym mówić. Myślę, że powinniśmy stąd wyjść. Antonio?

Spojrzał na Tracey, potem na Cass.

- Podejrzewałem, że byli kochankami - odezwał się wreszcie. - Spodziewałem się tego, kiedy się dowiedziałem, że waza ciotka była tutaj w chwili jego śmierci. I kiedy odkryłem, jak moja matka bardzo jej nienawidziła.

Cass stała bez ruchu.

- Bardzo mi przykro - powtórzyła drewnianym tonem. Czowała się zupełnie bezsilna.

Antonio wpatrywał się w nią surowo.

- Jak to się stało, że mi o tym nie powiedziałaś?

Cass zdrętwiała. Gdy gorączkowo usiłowała znaleźć jakąś sensowną odpowiedź, usłyszała głośny, metaliczny szcęk. Drzwi od mauzoleum zatrzasnęły się nad ich głowami.

Zostali w ciemnościach między grobowcami.

ROZDZIAŁ 9

Casa de Suenos - drugie popołudnie

- Drzwi! - wykrzyknęła Tracey z trwogą. - Co się z nami stanie, jeśli nie będziemy mogli ich otworzyć?

Cass stała obok Antonia. Ogarnęła ją taka sama panika, jaką wyczuła u siostry. Podobnie jak ona wytrzeszczyła oczy. Z powodu panujących ciemności z trudem dostrzegała zarysy postaci obojga.

- Czy rzeczywiście zatrzaśnięto drzwi? - Jej głos był zmieniony nie do poznania, wysoki i piskliwy.

- Tak mi się wydaje. Zachowajcie spokój. Z pewnością nie jesteśmy zamknięci na kłódkę. - Antonio mówił opanowanym tonem, nie tracąc kontroli nad sytuacją.

Ruszył przed siebie. Cass przez moment nie mogła zrobić kroku, myśląc intensywnie: Ktoś zamknął drzwi.

Czy to ten sam człowiek, który kilka godzin przedtem podglądał ich podczas pikniku w ruinach zamku?

- Ktoś celowo zatrzasnął nas z tymi pieprzonymi umarłakami - wyszeptała Tracey, powtarzając słowo w słowo myśli siostry. - I teraz jesteśmy w pułapce.

Cass otworzyła usta, żeby zaprzeczyć; chciała wszystko zwalić na wiatr. Ale pogoda była bezwietrzna i obie doskonale zdawały sobie z tego sprawę.

- Nie przeklinaj umarłych - powiedziała tylko.

Obie popatrzyły na siebie. Tracey zbladła ze strachu, co było widać nawet w ciemnościach. Pośród mroku panującego

w krypcie błyszczały tylko białka jej oczu. Bez dalszego zastanawiania się pobiegły za Antoniem.

De la Barca stał u szczytu schodów, próbując z całych sił pchnąć masywne metalowe drzwi. Cass omal nie zemdłała, gdy ujrzała wreszcie wąską szczelinę. Byli uratowani. Kobiety szybko pokonały kilka stopni i wydostały się na zewnątrz.

Antonio już tam na nie czekał, z uwagą obserwując okolicę.

- Chyba macie ochotę na powrót do domu? - spytał, zamykając drzwi. - Jutro założę tu nową kłódkę.

Cass znowu poczuła gwałtowne bicie serca. I ona zaczęła się rozglądać wokoło. Nie dostrzegła nikogo. Na parkingu przed opuszczonym klasztorem stał jeden jedyny samochód - dżip Antonia.

- Nie ma tu żywej duszy - mruknęła do siebie.

Antonio rzucił jej ostre spojrzenie.

Cassandra uprzytomniła sobie, że w tych okolicznościach wypowiedziała dziwnie brzmiącą uwagę.

- Kto zamknął te cholerne drzwi? - spytała Tracey, gdy cała trójka szybkim krokiem szła przez cmentarz.

Cass spojrzała na Antonia. Nie usłyszała jednak żadnej odpowiedzi.

- No - rzekła pozornie lekkim tonem - pewnie nagły powiew wiatru.

Tracey zatrzymała się na ścieżce.

- I ty jesteś podobno intelektualistką? Przecież sama widzisz, że powietrze jest zupełnie nieruchome, a drzwi do mauzoleum ciężkie. Bardzo ciężkie. Żeby je zatrzaskać, trzeba mocno pchnąć.

Cassandra nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie potrafiła nawet niczego wymyślić. Tracey bez wątplenia miała rację. Ktoś te drzwi rzeczywiście zamknął, inne wyjaśnienie nie wchodziło w rachubę. Tak ją to zastanowiło, że zwołała kroku i znowu się rozejrzała.

- Nie wlecmy się - rzuciła Tracey i minęła siostrę. Oglądając się na Cass, nie zauważyła nagrobka półmetrowej wysokości i uderzyła się w kolano. Wydała z siebie głośny okrzyk bólu.

Antonio zawrócił, żeby pomóc jej wstać. Tracey się pozbie-

rała, ale Cass zauważyła, że gdy odgarniała włosy z twarzy, jej ręce drżały.

- Nic ci się nie stało? - zapytała, podbiegając do siostry.

- Nie, tylko rozciąłam sobie skórę na nodze. Spadajmy stąd, bo ten cmentarz działa mi na nerwy.

- *Por Dios* - odezwał się nagle Antonio. Po jego głosie było znać, że coś go mocno poruszyło.

Cass się odwróciła.

Ujrzała, że pochylił się nad nagrobkiem.

- Cassandro - wyrzekł. Tym razem był wyraźnie podekscytowany.

Natychmiast odgadła.

- Czy to Isabel? - krzyknęła.

- Chodź tutaj. - Kucnął, wpatrując się w napis.

Uklękła obok niego. Epitafium napisano oczywiście po hiszpańsku, ale nazwisko i daty nie budziły żadnych wątpliwości językowych: Isabel de la Barca, 1535-1555.

- O Boże! - jęknęła. Była tak podniecona i przejęta niespodziewanym odkryciem, że nie zważała nawet, iż oparła się o Antonia.

Chyba tego nie zauważył. Czytał napis dziwnie donośnym głosem:

TU SPOCZYWA ISABEL DE LA BARCA
URODZONA 1535 ZMARŁA 1555
BRATANICA JOHNA DE WARENNE HRABIEGO ESSEX
I ŻONA ALVARADA DE LA BARCA HRABIEGO PEDRAZY
HERETYCZKA I ROZWIĄZŁA KOBIETA
BOŻE ZBAW JEJ DUSZĘ
NIECH SPOCZYWA W SPOKOJU

Cass stała jak zamurowana.

Antonio również zastygł bez ruchu.

I nagle spojrzeli na siebie.

Lotnisko Gatwick - to samo popołudnie

Co ja robię? - myślała Catherine, trzymając się ramienia Celii. Obie kobiety stały w kolejce, która wolno posuwała się

przejściem między fotelami boeinga 747; pasażerowie rozglądali się za swoimi miejscami. Po raz pierwszy w życiu Catherine używała laski, bo nadal była bardzo osłabiona.

Co najlepszego robi? Przecież nie jest jeszcze za późno, żeby zmienić zdanie i się wycofać.

- Lady Belford, tu są nasze miejsca - oznajmiła Celia pogodnym tonem. Nalegała, aby towarzyszyć swojej pani w podróży. Catherine natomiast upierała się, że nie potrzebuje asysty. Wreszcie skapitulowała, gdyż zabrakło jej albo siły woli, albo determinacji.

I Celia była teraz nieskończenie rozradowana. Nie należała do ludzi, którzy długo chowają urazę w sercu.

Catherina zajęła miejsce przy oknie w klasie biznes i usiadła z wyraźną ulgą.

Jednakże ukojenie było tylko powierzchowne. W głębi ducha drżała z trwogi. To uczucie całkowicie ją zdominowało.

- Lady Belford, chyba wszystko w porządku, prawda? - chciała się upewnić Celia, siadając obok chlebobawczyni.

Catherine uśmiechnęła się blado. Kiwnęła głową.

- Dziękuję, moja droga.

Celia odwzajemniła się serdecznym uśmiechem, ale w jej życzliwych oczach czaiła się troska.

Jestem za stara na to wszystko - pomyślała Catherine, wdychając. Jestem zbyt stara, żeby angażować się w taki konflikt, za stara, aby skonfrontować się z przeszłością. Co mnie nawiedziło, na miły Bóg?

Jednakże w tej samej chwili uzmysłowiła sobie, że wie, dlaczego to robi.

Wiedziała, i pytanie należało sformułować nieco inaczej. Nie „co”, ale „kto”.

Przymknęła oczy, gdy pilot zaczął przemawiać przez interkom do pasażerów. Nie dotarło do niej ani jedno słowo.

Zamiast tego przeszłość zamieniła się w terażniejszość, a Catherine w wyobraźni ujrzała ciąg obrazów z krystaliczną precyzją.

Żywe wspomnienia.

Pamięć ciała i krwi.

Wspomnienia, które chciała wymazać z pamięci, ale nie dawały się zapomnieć.

Ani wybaczyć.

Samolot rozpędził się na pasie startowym.

6 czerwca 1966

Wypełnia mnie bezbrzeżne poczucie winy.

Jego żony tu nie ma. Nie było jej, gdy przyjechałam. Zazdrość zmusiła ją do wyjazdu z dwoma synami do matki w Sewilli. Nie odbiera telefonów i nie oddzwania do Eduarda.

Gdy piszę te słowa, Eduardo jest na dole i otwiera butelkę wina Rioja. Jak to się stało? W jaki sposób zostaliśmy kochankami - i to od razu pierwszej nocy, kiedy przybyłam do willi? I jak to jest, że nawet teraz, z poczuciem winy i wstydu leżę w jego łóżku, rozpamiętując rozkosz z nim i pragnąc przeżyć ją znowu?

Tak mocno go pragnę, że aż mnie to boli?

I jednocześnie kocham mojego męża. Mimo jego kalectwa nigdy nie miałam żadnych przygód. Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Nie wiem, jak teraz do tego doszło.

I nawet nie jestem zakochana. W każdym razie nie w Eduardzie. Ponieważ kocham mojego męża. Naprawdę go kocham.

Wina, wstyd, pożądanie, wszystko naraz zadręcza mój umysł i powoduje, że myśli kłębią się, wirują, nie pozwalając na sensowne rozumowanie.

Tak. Nie. Zostać. Odjechać.

Boję się.

Obawiam się siebie i swoich własnych namiętności. Boję się, ponieważ po raz pierwszy w życiu nie mam poczucia wewnętrznej spójności, etyki, samokontroli, odróżniania dobra od zła. I lękam się tego domu.

Czasami myślę, że zaczynam się jej bać.

W ciągu ubiegłego tygodnia zagłębialiśmy się w życie Isabel i zaczęliśmy odtwarzać z różnych fragmentów wydarzenia, które doprowadziły do jej tragicznego końca.

Stopniowo uzmysławiałam sobie, że między nami istnieje niepokojące podobieństwo. Nie śmiałam o tym wspomnieć, ale kiedy przyjrzałam się sobie w lustrze, zobaczyłam ją, a nie siebie.

Eduardo również ją postrzega. Zeszłej nocy obudził się nagle i powiedział do mnie „Isabel”.

Dżip podskakiwał na wyboistej drodze. Cass siedziała z tyłu, z całych sił uchwyciwszy się nadwozia. Tracey zajęła miejsce obok Antonia; jej włosy rozwiewał wiatr.

Tu leży Isabel de la Barca... heretyczka i rozwiązała kobietę... Boże, zbaw jej duszę.

Cass nadal była wstrząśnięta. Potknęli się o jej nagrobek; Isabel zmarła w 1555 roku, przypuszczalnie spalona na stosie, mając zaledwie dwadzieścia lat.

Antonio nie odezwał się ani słowem, odkąd wrócili z cmentarza.

Pochyliła się do przodu i przekrzykując ryk silnika, zapytała:

- Czy możesz w to uwierzyć?

Nie musiała niczego dodawać.

- Nawet nie pochowali jej obok męża - odparł, rzucając na nią okiem przez wsteczne lustro.

- Kiedy umarła, miała ledwo dwadzieścia lat! - krzyknęła Cass. - Nic dziwnego, że jest taka smutna na swoim portrecie. - Zaczęła się zastanawiać, czy Isabel zdawała sobie wtedy sprawę z czekającego ją losu. To by tłumaczyło jej udreżony wyraz twarzy.

Boże. Jak bardzo musiała być samotna i przerażona.

Liczyła sobie zaledwie dwadzieścia lat.

- Wy oboje nigdy nie przestaniecie mnie zaskakiwać - odezwała się Tracey, odwracając się, żeby spojrzeć na siostrę. - Zostaliśmy prawie żywcem pogrzebani w tej koszmarniej trupiarni, a wy ciągle rozmyślacie o kobiecie, która umarła setki lat temu?

Cass natychmiast otrzeźwiała, jej ekscytacja ulotniła się bez śladu. Tracey miała rację.

- Antonio, może dzieci naprawdę zobaczyły kogoś w rui-

nach - rzekła, wracając do poprzedniej pozycji. - Zamek leży w pobliżu, prawda? Czy można stąd dojść tam pieszo?

- Nie. - Cass znów dostrzegła jego wzrok w lusterku wstecznym. - Stąd wcale nie jest tak blisko.

W ostrym blasku dnia jego oczy miały intensywnie zielony kolor. A może to sprawiała błękitna koszulka polo. Cass, to długa droga - pomyślała z niezadowoleniem pod własnym adresem. To nie był odpowiedni czas, by myśleć o barwie jego oczu.

- Czy macie tu jakichś bezdomnych? - zapytała, widząc przed sobą bramy z kutego żelaza, a w głębi, na kamienistym pustkowiu, sylwetę domu i przyległej doń kaplicy.

- Oczywiście - odparł Antonio. - Oni jednak nie oddalają się od swoich miasteczek lub wsi.

Cass utkwiała wzrok w plecach siostry.

- No to może znaleźliśmy odpowiedź. Któryś z nich poszedł za daleko i zabłądził.

Tracey odwróciła się, patrząc na nią uważnie. I nagle stała się rzecz niesłychana: jej oczy zmieniły wyraz, rozbłysła w nich radość. Cass z trudem je rozpoznawała. Na dodatek Tracey uśmiechnęła się do niej.

Ten uśmiech znamionował poczucie wyższości, świadczył o wyzwaniu. Był równie niepojęty, jak jej świecące szczęściem oczy.

Cass nie mogła pojąć, co się dzieje. Jej puls znowu uderzał jak szalony. Ale gdy chwilę później jeszcze raz zerknęła na siostrę, aby się upewnić, że nie uległa złudzeniu, dziwny grymas znikł z twarzy tamtej.

Ulga okazała się krótkotrwała.

Tracey zakomunikowała im bowiem:

- Poszliśmy tam i zbudziliśmy tę pieprzoną Isabel, która powstała z martwych, oto co myślę.

Na te słowa Cass omal nie spadła z siedzenia.

Gdy wrócili do domu, Tracey zwróciła się do Antonia:

- Muszę z tobą porozmawiać.

Nie odpowiedział, wchodząc do biblioteki.

Podążyła za nim, czując narastające poczucie winy w związ-

ku z tym, co wygadywała w krypcie. Nie chciała go zranić, naprawdę go kochała. Wszystko popsuła. Co się z nią dzieje?

Była bliska łez. Przecież celem jej przyjazdu do Hiszpanii było umocnienie ich niepewnego związku. Do tej chwili wszystko układało się nie tak, jak powinno, wyraźnie wbrew jej oczekiwaniom. Łudziła się, że uwiódłszy Antonia od razu pierwszego popołudnia, opanuje sytuację. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Czuła w sobie narastające napięcie. To wszystko wina Cass.

Obserwowała, jak Antonio zbliża się do drzwi wychodzących na dziedziniec przed domem. Stał w nich tyłem do niej, wpatrując się w jałową ziemię spaloną słońcem.

Traciła go - powoli, ale nieodwołalnie - i odnosiła wrażenie, że wszystko, cokolwiek robiła lub mówiła, jeszcze bardziej go od niej oddala. Zakochała się w nim, ale wygadywała głupstwa, robiła nie to, czego się po niej spodziewał. W rezultacie ujawniała prawdziwą naturę. Swoim zachowaniem zdradziła prawdę, a prawda była okropna.

Zacisnęła powieki. Mogła przecież odjechać, uciec stąd, ale kochała go bardziej niż przed przyjazdem i nie znajdowała w sobie siły, żeby odejść. Przerazało ją to, bo zarazem nie miała odwagi, żeby zostać.

Gdyby tylko mogła pozbyć się siostry.

Otworzyła oczy. To była wina Cass, doszła do wniosku, zaskoczona własnymi myślami. Jak jednak się jej pozbyć? Miała odlecieć w poniedziałek. Może należałoby wysłać z nią Alysę, skoro obecność córki razem z Cass jeszcze bardziej odsłaniała niedostatki jej własnych uczuć macierzyńskich. Tracey wpadła w rozpacz, z bezsilności zaciskając ręce. Po prostu nie wiedziała, co ma dalej zrobić. Tym razem nie umiała znaleźć żadnego wyjścia.

Jak do tego wszystkiego doszło?

- Antonio? Jest mi ogromnie przykro z powodu uwag, które bezmyślnie wypowiedziałam w krypcie. - Próbowała się ukorzyć.

- Czyżby? - Odwrócił się i spojrzał na nią z zagadkowym wyrazem twarzy. Nagle Tracey ołśniło, że nie ma pojęcia, co jej ukochany myśli i co naprawdę czuje.

Zagryzła wargi. Zdawała sobie sprawę, że powinna wyznać, iż wszystko to zmyśliła, ale choć przedtem kłamstwo nie sprawiało jej trudności, teraz nie mogła się do niego zmusić - język odmawiał posłuszeństwa, usta nie chciały wziąć w nim udziału.

- Ojciec bardzo kochał matkę. Wręcz ją uwielbiał - rzekł Antonio, wpatrując się jej prosto w oczy. - Jest to rzecz, co do której nie mam żadnych wątpliwości.

Tracey nie była zdolna wydobyć z siebie głosu. Mogła jedynie kłać w duchu, zastanawiając się, co dalej zrobić.

- Wiem jednak także, że miał romans z twoją ciotką. Choć ona nie wyjawiała tego w chwili jego śmierci, bardzo uważnie zapoznałem się z raportem policji, w którym sprawa wychodziła na jaw między wierszami.

- Ogromnie żałuję, że niepotrzebnie poruszyłam ten temat. - Tracey podeszła do Antonia i oparła ręce na jego ramieniu, starając się do niego przytulić. - Wybacz mi, ja tylko...

- Nie wolno się tak zachowywać - rzekł sucho Antonio, odsuwając się od niej. - Jesteś bezmyślna.

Tracey zamarła. Miała wrażenie, że jej serce przestało bić. A kiedy znowu je poczuła, doznała bólu tak intensywnego, że aż nie do zniesienia.

Nikt, a już na pewno żaden z jej kochanków, nigdy nie stał naprzeciwko niej, wyliczając listę jej wad i niedostatków.

Jedynie ona sama wiele sobie wyrzucała.

Antonio odszedł parę kroków.

- Nie! - krzyknęła, ciągle w głębokim szoku. W jej oczach zaczęły zbierać łzy.

- Przykro mi. - Obrócił się w jej stronę i uniósł rękę, jakby chcąc ją powstrzymać. - Tracey, byłoby najlepiej, gdybyś i ty odjechała w poniedziałek. Przede wszystkim nie powinnaś się tu być w ogóle pojawiać.

Ta uwaga ją zamurowała. Z trudem dochodziło do niej, co właściwie powiedział. Wpatrywała się w kochanka, nie wiedząc własnym uszom.

- Mam wiele pracy i muszę zająć się Eduardem. - Zamierzał wyjść z biblioteki.

Tracey stała nadal bez ruchu. Wewnętrzny paraliż ogarnął całe jej ciało i umysł. Rzuciła bez zastanowienia:

- Eduardo? Praca? Przecież próbuję z tobą porozmawiać. Wzdrygnął się.

Tracey uczyniła to samo, bo aż sama nie mogła uwierzyć, że jej głos nabrał takiego okrutnego tonu. Co się jej stało? Co się dzieje? Podbiegła parę kroków.

- Antonio, tak mi przykro, wybacz mi. Kocham cię. Nie wiem, co mi przyszło do głowy. Pozwól mi wszystko wytłumaczyć, to zajmie zaledwie parę minut. - Chciała go objąć.

Chwycił ją za nadgarstki, nie dopuszczając, aby go dotknęła.

- Nie.

Aż się zachwiała, słysząc jego bezwzględny głos, któremu towarzyszył równie zacięty wyraz twarzy.

- Proszę, nie odsyłaj mnie. - Tracey usłyszała siebie przemawiającą błagalnym tonem. Znowu starała się go objąć. - Jesteś mi potrzebny. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Między nami wszystko skończone. - Twarz mu stężała. - To, co stało się wczoraj, było pomyłką.

- Pomyłką? - Jej szok przemienił się w gniew. - Tonio, nie narzekałeś, kiedy robiłam ci taką laskę, jakiej jeszcze nie przeżyłeś.

- Jestem zajęty - odpowiedział, nie reagując na jej prowokacyjną uwagę. Omijając ją, podszedł do biurka.

Patrzyła na jego nieskazitelny profil, gdy przewracał jakieś papiery na biurku. I wówczas ruszyła do walki. Chociaż wiedziała, że nic dobrego nie wyjdzie z jej wybuchu wściekłości, język już zaczął swoje i nie zamierzał się zatrzymać.

- Stoję tutaj, półnaga, zakochana w tobie, a ty wsadzasz nos w książki? Co z ciebie za mężczyzna?

Antonio zignorował jej atak furii, siadł za biurkiem i gdy sięgał po notatki, wypadła z nich fotografia.

Przedstawiała naszyjnik z rubinów, przypuszczalnie noszony kiedyś przez jego daleką krewniaczkę, Isabel.

Tracey stanęły przed oczami sceny, gdy Antonio z Cass przyklekli obok grobu, stali ramię w ramię mauzoleum, szep-

tali coś do siebie w jadalni Belford House, oglądając wystawiony na pokaz naszyjnik.

- To z powodu Cass! - krzyknęła.

Antonio okręcił się na obrotowym krześle, wzruszając ramionami.

- Co takiego?

- To przez moją siostrę, tego Książkowego Mola, Matkę Ziemię, Pannę Uczynię Wszystko, Żeby Zwrócić Twoją Uwagę, Antonio, nieprawdaż? - Zaczęła się gwałtownie trząść. Kiedy była aż tak wściekła? Nie przypominała sobie podobnej sytuacji w całym swoim życiu.

- To nie ma nic wspólnego z twoją siostrą - oświadczył Antonio. Tym razem wstał gwałtownie i opuścił pokój, zostawiając ją samą.

Tracey nawet go nie usłyszała. Stała tylko, myśląc: Cass. Przekłęta Cass. Zacisnęła pięści aż do bólu.

To poszło za daleko.

Cass posunęła się za daleko.

Cass właśnie wchodziła na schody, żeby zajrzeć do sypialni i obudzić Alysę, gdy z drugiej strony długiego korytarza pojawiła się Tracey. Zawahała się, widząc, że siostra wpatruje się w nią z wściekłością.

- Stało się coś? - zapytała.

- Tak - odpowiedziała tamta.

- Tracey? O co chodzi? - Szybko podeszła do siostry, czując znajomy skurcz strachu.

- Coś ty najlepszego zrobiła? - wyrzuciła z siebie Tracey. Jej błękitne oczy płonęły nienawiścią.

Nietrudno było odgadnąć, że miały nia furie.

- Co się stało? Przecież nic złego nie zrobiłam.

- Nie zrobiłaś? - zapytała zimno Tracey. - Trzymaj się od niego z daleka.

Cass stanęła w pół kroku.

- Co takiego? - Nigdy przedtem nie słyszała takiego groźnego tonu w głosie siostry. - O czym ty mówisz? - Niemniej doskonale wiedziała, o czym mówiła. I o kim.

- Co? - ironizowała Tracey. - O czym mówię? Próbujesz

mi sprzątnąć Antonia sprzed nosa. Tylko nie ośmielaj się zaprzeczyć.

Cass zamieniła się w słup soli.

- Ależ nic podobnego. To nonsens. - Ale... czy nie o to jej właśnie chodziło?

- Łżesz! - wrzasnęła Tracey, zbliżając się do niej.

Cass, zbita z tropu, cofnęła się.

- Nigdy nie mieszam się w twoje sprawy sercowe i jeśli oboje z Antoniem macie problemy, nie wiń o to mnie.

Nie zdołała jeszcze nabrać tchu, gdy Tracey pchnęła ją z całej siły. Cass zachwiała się i upadłaby, gdyby nie oparła się o ścianę. Najpierw nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Chwilę później ogarnął ją lęk.

Lęk, ponieważ siostra mająca metr osiemdziesiąt wzrostu, wyższa od niej o ponad głowę, podeszła i chwyciła ją za bluzkę.

- Czy nie z tego powodu przyjechałaś do Hiszpanii? Aby udowodnić, jaka jestem zła w porównaniu z tobą?

- Nie, to nieprawda. Tracey, przestań! - krzyknęła Cass.

Młodsza siostra jednak odciągnęła ją od ściany i pchnęła przed siebie. Cass wyładowała pośrodku korytarza i upadła ciężko na kamienną posadzkę. Znowu usłyszała kroki Tracey.

Z trudem uklękła, patrząc w górę. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy, jak silna jest siostra.

- Co robisz? - jęknęła. Przeszło jej przez myśl, że Tracey całkowicie straciła nad sobą panowanie i że - przynajmniej na krótki czas - oszalała.

- Nienawidzę cię! - wyła tymczasem Tracey, kopiąc ją na oślep.

Cassandra usiłowała się odsunąć, ale w tym momencie sandał siostry trafił ją w szczękę. Poczowała przeszywający ból. Instynktownie osłoniła ręką zranione miejsce, uświadamiając sobie ze zgrozą, że znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie.

W starciu na pięści i kopniaki nie miała z siostrą szans, była od niej o wiele niższa. A do tego Tracey działała w amoku.

Ruszyła do nowego ataku na Cass.

- Słyszałaś, co powiedziałam? - ryknęła.

Cass patrzyła na nią z lękiem, wstrząśnięta wydarzeniami.

Nigdy przedtem nie widziała Tracey w takim stanie. Bo też stojąca nad nią istota w niczym nie przypominała jej siostry. Wyglądała jak obca, rozwścieczona kobieta.

- Zawsze cię nienawidziłam - wrzeszczała, patrząc na skuloną postać na posadzce.

Cass, napotkawszy jej wzrok, uwierzyła tym słowom. I chyba wtedy coś w niej bezpowrotnie umarło.

- Jesteśmy przecież siostrami - wyszeptwała. - Jesteś moją rodzoną siostrą.

Tracey zerknęła na nią, utkwiała oczy w jej policzku, który teraz musiał być solidnie spuchnięty, i nagle wściekłe, odrzające światło w jej oczach zaczęło ustępować.

Cassandra powoli stanęła na nogi. Z kolana ciekła krew.

- Jesteś moją siostrą, Tracey. Zawsze będę cię kochała, bez względu na to, co powiesz lub zrobisz.

Wyraz twarzy tamtej powoli się zmieniał. Gniew znikł, pozostało jedynie oszołomienie. A wtedy nadszedł porażający strach. Tracey cofała się z oczami wlepionymi w starszą siostrę.

- O Boże! -jęknęła. - O Boże, co ja zrobiłam!

Cass zapadła się w sobie, z oczu trysnęły jej łzy.

- Pobiłaś mnie - wymamrotała. - Jak mogłaś mnie kopnąć?

Tracey ponownie się cofnęła, potrząsając głową.

- Nie wiem. Nie umiem tego wyjaśnić. Nie pojmuję, co mi się stało, przepraszam.

Cass z trudem zaczerpnęła powietrza. Dopiero wówczas uzmysłowiła sobie, że dygocze jak w ataku febry.

Z kolei Tracey nadal potrząsała głową, z jej twarzy odpłynęła cała krew. Raptem odwróciła się i ruszyła biegiem w stronę drzwi frontowych.

Cass pomyślała, że chyba wybuchnęła płaczem, ale nie była tego pewna.

Uświadomiła sobie, że w innych okolicznościach pobiegłaby za nią, ale tym razem nie ruszyła się z miejsca. Odtworzyła w pamięci całą tę okropną scenę. Zamknęła oczy. Pojęła, że w najgorszym momencie Tracey gotowa była rzeczywiście ją zabić.

Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Gdy weszła do sypialni, ujrzała, że Alyssa kręci się niespokojnie w łóżu.

Jakoś zdołała się opanować, ale tylko dlatego, że wmówiła sobie, iż Tracey jedynie straciła nad sobą kontrolę. Przecież nie chciała celowo zranić siostry, nie wspominając już o jej zabiciu. To był czysty absurd. Mimo dzielących je różnic kochały się nawzajem. Z pewnością się myliła, przypisując z początku temu wydarzeniu jakąś morderczą intencję.

Przyjazd do Hiszpanii okazał się błędem.

Starając się nie wnikać w tę myśl, pospieszyła do siostrzenicy, która wierciła się pod kołdrą, zapewne pod wpływem jakiegoś koszmaru sennego. Wydawała z siebie ciche jęki i piski.

- Obudź się, kochanie - rzekła do niej Cass, delikatnie dotykając rozpalonego czoła. Spuchnięta szczęka bolała ją coraz bardziej. - Alyso, zbudź się. To tylko zły sen.

Dziewczynka nagle wytrzeszczyła oczy. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w ciotkę.

- Nie! - krzyknęła.

- Dziecinko, to ja, twoja ciocia Cass.

Alyssa spojrzała przytomniej i głośno odetchnęła z ulgą.

- Och, ciociu! Ciociu Cass, masz ranę na twarzy! - Wydała z siebie okrzyk, teraz już zupełnie przytomna.

- To nic takiego, tylko siniak - odparła uspokajająco Cass.

- Wygląda okropnie. Co ci się stało?

Cass nie odpowiedziała. Była nadal w szoku, jak teraz sobie uzmysłowiła. Nie pomogły ani próby przekonania samej siebie, ani głębokie wdechy. Tracey była bez wątpienia niezrównoważona, trzeba to sobie szczerze powiedzieć.

- Upadłam, nie martw się - zapewniła małą.

- Ależ, ciociu, krew ci leci z kolana. - Alyssa wskazała palcem, zaintrygowana, jak typowa siedmiolatka, przerażającymi szczegółami przyprawiającymi o zawrót głowy.

- Nieźle się wyrznęłam, co? - odparła Cass ze sztucznym uśmiechem. - Naprawdę nic mi nie jest. - Objęła dziewczynkę ramieniem. By skierować jej uwagę na inne tory, zapytała: - O czym był ten sen? Gdy weszłam do pokoju, wydawałaś, z siebie dziwne odgłosy. Śnił ci się jakiś koszmar?

Alyssa zagryzła wargę, przytakując. Przynęła się do Cass, zerkając ze strachem za siebie.

- Ciociu, miałam straszny sen. Nie podoba mi się tutaj. Chcę jechać do domu.

Cassandra wpatrywała się w nią, wcale nie zaskoczona jej reakcją.

- Po prostu nienawidzę tego domu! - wybuchła Alyssa.

To jednak zdumiało Cass, bo dziewczynka na ogół nie poddawała się takim emocjom. Wyraźnie ją to zmartwiło, ponieważ Alyssa była bardzo opanowanym dzieckiem. Nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek przedtem mała była tak przejęta i zdenerwowana.

Objęła ją mocniej, ale niepokojąc się o siostrzenicę, nie mogła pozbyć się natrętnego wspomnienia o starciu z Tracey. Jej puls znów przyspieszył. Tak, przyjazd do Hiszpanii był błędem. Teraz nie miała już najmniejszych złudzeń.

- Kochanie, dlaczego aż tak nie znosisz tego miejsca? - zapytała ostrożnie. Sądziła, że odpowiedź będzie dotyczyła rosnącego konfliktu między siostrami. Dzieci natychmiast wyczuwają napięcia w rodzinie. Dzięki Bogu, Alyssa nie była świadkiem, jak jej matka kopała leżącą siostrę.

- Ciociu Cass, czy wierzysz w duchy? - spytała szeptem Alyssa.

Cass poczuła, jak jej serce natychmiast zareagowało arytmią. Wzięła do ręki różowe dzinsy małej, rzucone w nogach łóżka.

- Naturalnie, że nie - skłamała. Skąd dziecku przyszło do głowy zadać takie pytanie? - zastanawiała się w myślach.

I nagle z niewiarygodną precyzją usłyszała huk zatraskiwanych drzwi w mauzoleum.

Alyssa przycisnęła chude ramionka do piersi.

- Ja też nie wierzę - rzekła stanowczo.

Cass uśmiechnęła się do niej. Był to raczej wymuszony grymas niż uśmiech.

- Kochanie, dlaczego w ogóle o to zapytałaś?

- Nie wiem. - W głosie dziewczynki znać było szczere zdumienie, ale Cass nadal się niepokoiła. - Może dlatego, że ten dom jest taki wielki i stary. I wszędzie panuje chłód. - Za-

drżała. - Nie jest ci zimno, ciociu? Ja ciągle trzęsę się z zimna. Naprawdę nie znoszę tego miejsca. Wiem, że mama chce tu zostać, ale czy nie mogłybyśmy wrócić do domu?

Puls Cass znowu przyspieszył.

- Mam rezerwację na samolot w poniedziałek. Może twoja mama pozwoli, żebyś wróciła ze mną. - Wiedziała, że nie powinna stosować manipulacji wobec dziecka, ale nie mogła się powstrzymać. Dodała więc: - Słoneczko, byłabym zachwycona, gdybyśmy odjechały stąd razem. Jednak decyzja zależy od twojej mamy. To są wasze wspólne wakacje.

Alyssa skinęła głową z niezbyt zadowoloną miną.

Cass natomiast, znów przypominając sobie scenę z Tracey, nie mogła znieść myśli, że zostawi dziewczynkę z matką.

- No cóż - powiedziała możliwie najłżejszym tonem, pomagając jej włożyć dzinsy - Belford House jest przecież także stary, ale tam jesteś szczęśliwa.

Dziewczynka popatrzyła jej w oczy.

- Belford House jest inny - oznajmiła bez wahania.

- Dlaczego? Czym się różni?

Alyssa zawahała się, zanim udzieliła odpowiedzi:

- To się czuje, że jest inny. Nasz jest taki ładny. I pogodny. Tam nie mam takich strasznych snów jak tutaj. - Jej oczy napełniły się łzami. - Ciociu, nie chcę tutaj spać sama.

- Przecież to tylko sen - uspokajała ją Cassandra, głaszcząc po włosach. Nagle przysłała jej do głowy dziwna myśl: gdzież to ona słyszała, może w trakcie wywiadu telewizyjnego z jakimś medium, że dzieci dużo łatwiej wyczuwają niewidzialne postaci niż dorośli? I czyż Alyssa nie miała racji? To był dom, w którym unosiło się nieszczęście.

- Przecież śpię z tobą, pamiętasz? - Uśmiechnęła się do dziewczynki.

Alyssa nadal była ponura.

- Nie chcę tu jutro spędzić sjesty, jeśli nie będziesz ze mną.

- Dobrze. - Cass wzięła małą za rękę. Razem wyszły z sypialni. - Czy chcesz mi opowiedzieć o twoim śnie? - spytała. - Czy myślisz, że to by ci pomogło?

- Nie wiem. Ale wydał mi się taki... rzeczywisty. Ujrzałam piękną damę, która coś szeptała mi do ucha. Chociaż była

śliczna, naprawdę się jej bałam, bo była pełna złości i nienawiści.

Cass natychmiast przyszedł do głowy wizerunek Isabel. Zbeształa się w myślach, że jest chyba idiotką, bo przecież nie może być żadnego związku między snem Alyssy a osobą ich odległej krewniaczki. Może mała niechcący zapamiętała jakiś strzęp jej rozmowy z Antoniem, ale przecież nie widziała portretu Isabel, a już z pewnością nie mogła o niej śnić.

- No, teraz się obudziłaś i pamiętaj, że to tylko sen. - Zrobiła pauzę. - Alyssy, miewamy bardzo dziwne sny. I zazwyczaj nic one nie oznaczają.

- Ta dama była ubrana jak kobiety w filmach, które tak lubisz oglądać, ciociu Cass. Dlaczego mi się przyśniła?

Spojrzały na siebie.

- To znaczy, jak była ubrana? - spytała ostrożnie Cassandra.

- W czerwonej suknię do ziemi i białą kryzę. Rękawy sukni były bufiaste. A na szyi tej damy zauważyłam naszyjnik, dokładnie taki sam, jak ten z Sotheby, który moja mama przywiozła do Belford House.

Cass nie mogła uwierzyć własnym uszom. Owszem, Alyssa widziała naszyjnik z rubinów podczas bankietu. Cass sama go jej pokazała. Często brała ją również do muzeów, gdzie mała miała okazję oglądać między innymi szesnastowieczne stroje na manekinach i na obrazach dawnych mistrzów. Na wystawach miała niejedną szansę zapoznać się ze strojami z różnych epok - z jeszcze wcześniejszych czasów i z późniejszych. Nie - przekonywała siebie w duchu. To tylko zbieg okoliczności.

- A jak wyglądała jej twarz? - zapytała bardzo wolno.

- Bardzo jasna cera, błękitne oczy, a włosy ani blond, ani rude - rzekła Alyssa z namysłem. - Ciociu, dlaczego jesteś taka zdziwiona?

Cass nie potrafiła odpowiedzieć. Zerknęła jedynie na siostrzenicę, zastanawiając się, jak to jest możliwe? Dlaczego Alyssie śniła się akurat Isabel de Warenne? Czy ten sen należało potraktować jako rodzaj telepatii? Czy jej siostrzenica mimowolnie zaraziła się od niej fascynacją tą postacią? Bo przecież dziewczynka nie widziała na oczy portretu Isabel.

Isabel wywołała w niej śmiertelny lęk.

- Czy wiesz, kim była ta dama? Znasz jej imię? - zapytała małą.

- Nie, ale nie chcę, aby znowu mi się przyśniła - odparła stanowczo Alyssa.

Cass westchnęła.

- Co ty opowiadasz? Czy chcesz powiedzieć, że ta dama już ci się śniła?

Alyssa przytaknęła ze łzami w oczach.

- Wczoraj w nocy, ciociu. Boję się. Ogarnia mnie strach, że znowu mi się przyśni.

Cass znieruchomiała. Minęła chwila, zanim mogła się poruszyć. Chwyciła dziecko za rękę.

- Pamiętaj, że to tylko sen - podkreśliła zdecydowanym tonem.

- Wiem - odparła Alyssa. I zaraz dodała: - Jestem głodna.

Cass nadal jednak stała w miejscu. Zadając następne pytanie, czuła się tak, jak gdyby wcale nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

- Alyssso, wspomniałaś, że ona szeptała ci coś do ucha. Czy pamiętasz, co ci powiedziała?

Mała zbladła.

- Tak.

Wyraz jej ciemnych oczu zaniepokoił Cass.

- Kochanie, co to było?

- Ciągłe to samo. Ona stale mi mówi tę samą rzecz. Powiada: - Odtąd ja będę twoją matką.

Cass zostawiła Alyssę w kuchni w towarzystwie Eduarda, pod czujnym okiem Alfonsa. Oboje pili czekoladę i rozprawiali o filmach, które ostatnio oglądali. Ona natomiast coraz bardziej się niepokoiła. Było już wpół do ósmej, a Tracey nie wróciła. Wybiegła z domu ponad godzinę przedtem.

Cass udała się do wielkiej sieni, podeszła do drzwi frontowych i wyjrzała na dwór. Antonio najwyraźniej wstawił dżipa do garażu, więc przed domem stał tylko jej wypożyczony samochód. Krótki podjazd prowadził do bramy, którą ktoś zostawił otwartą. Nigdzie nie było żywego ducha. Spalona słońcem

ziemia ciągnęła się aż po horyzont, w dali majaczył łańcuch górski; niebo było ciemnoniebieskie i bezchmurne. Upał nareszcie ustępował. Słońce nadal mocno świeciło, ale zaczynało się stopniowo zniżać.

Gdzie się podziała Tracey? Dokąd mogła pójść? I dlaczego Cass nie mogła się uwolnić od snu, który jej opowiedziała Alyssa?

To nic, pocieszała się w myślach. Przecież to tylko sen, a sny są bez znaczenia.

...Za wszelką cenę nie jedź do Kastylii...

...Ona wróciła...

...Zabiłam jego ojca...

Cass cofnęła się do sieni. Była coraz bardziej zdenerwowana. Przyjechała do Hiszpanii, żeby naprawić stosunki z Tracey i zabrać Alyssę do domu. Zamiast tego Tracey ją zaatakowała fizycznie, a ona coraz bardziej interesowała się Antoniem de la Barca, wbrew podstawowej etyce i zdrowemu rozsądkowi. Uzmysłowała sobie, że nagle strasznie rozbolała ją głowa. Co zrobić z wyznaniem ciotki, która oświadczyła jej, że przed trzydziestu laty, goszcząc w Kastylii, była wmieszana w tragiczną śmierć mężczyzny? I jak zareagować na zachowanie siostry przed godziną? Tracey ją pobiła, była jak opętana, wręcz niebezpieczna. Czy między tymi faktami istnieje jakiś związek?

Otrząsnęła się z ponurych myśli. Nie ma mowy o żadnych paralelach, z pewnością dramatyzuje, taka jest jej natura.

Miała ze sobą aparat fotograficzny przewieszony przez ramię, ale zanim postanowiła zrobić kilka zdjęć domu Antonia, doszła do wniosku, że lepiej będzie, gdy zapyta o zgodę. Odnalazła go w bibliotece, pochylonego nad biurkiem. Okulary w sztykretowej oprawce zsunęły mu się z nosa.

Nie zносиła mu przerywać. Widać było, że siedział pochłonięty jakimiś badaniami.

- Antonio? Puk, puk. - Uśmiechnęła się do niego.

Spojrzał na nią.

- Natrafiłem na ślad... - Zamilkł. Zerwał się na równe nogi. - Co się stało? - zapytał ponurym tonem.

Zapatrzyła się w jego orzechowe oczy. Nie mogła od nich oderwać wzroku.

I pomyślała przez chwilę, że Tracey się nie myliła. Pragnęła tego mężczyzny, zrobiłaby wszystko, aby go zdobyć. A to niewątpliwie było co najmniej niewłaściwe.

- Weszłam... na drzwi. - Cass poczerwieniała, cofając się parę kroków. Nie może sobie pozwolić na takie myśli.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

Zwilżyła językiem spieczone wargi.

- Czy pozwolisz, że sfotografuję twój dom? - Serce waliło jej młotem. Po incydencie w korytarzu Antonio należał do jej siostry bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Postanowiła, że musi się mieć na baczności.

Popatrzył na jej posiniaczoną twarz i rzekł:

- Oczywiście, rób, na co masz ochotę.

- To świetnie. - Podeszła do okna, wyjrzała na zewnątrz. Po Tracey nadal nie było śladu. Gdzież ona się mogła podziać?

- Coś się stało złego?

- Czy widziałeś ostatnio Tracey?

- Jakaś godzinę czy dwie temu.

Poczuła na sobie jego wzrok, więc wolno się odwróciła. Spojrzeli sobie w oczy, po czym równie szybko odwrócili głowy.

- Tracey i ja wdałyśmy się w bójkę. Chciałabym wiedzieć, dokąd poszła. Obawiam się, że wałęsa się gdzieś po okolicy, a to jest do niej niepodobne.

Antonio popatrzył na nią z rosnącą troską.

- My się też pokłóciliśmy - rzekł wreszcie.

Antena emocjonalna Cass natychmiast skierowała się w jego stronę. Nic dziwnego, że Tracey wybuchła taką nienawiścią. Była specjalistką od zwalania winy na wszystkich wkoło.

- Och! - wyrwało się jej.

Zerknął na nią, najwyraźniej nie mając ochoty na zdradzenie jakichkolwiek szczegółów zajścia. Podeszedł jednak do okna, żeby również przeczesać wzrokiem okolicę.

W jej pamięci znowu ukazały się sceny z krypty. Podeszła i dotknęła jego ramienia.

- Antonio.

Spojrzeni na siebie.

- Moja siostra jest szaloną kobietą. Ma pomieszane w głowie, ale... to nie jest zły człowiek. Uwierz mi.

- Musi dorosnąć - odparł, nie spuszczać z niej wzroku. - Nie może liczyć, że wszystko zawsze będzie zgodne z jej żądaniami i powinna się nauczyć, jak godzić się z rozczarowaniem. To ciągle dziecko. Wybuchowe, niepoczytalne, rozpieszczone. - Znowu wyjrzał na dwór. Jakiś cień ukazał się w jego oczach.

Cass zgadzała się z każdym jego słowem. Dlaczego jednak spotykał się z Tracey, skoro tak ją oceniał? Teraz był wyraźnie zaniepokojony jej przedłużającą się nieobecnością.

- Przykro mi w związku z tym, co powiedziała w krypcie - powiedziała szybko.

Antonio zeszywniał.

- Chciała mnie zranić. To akurat rozumiem. Natomiast nie rozumiem ciebie, Cassandro.

Zadrzała w duchu. Dlaczego, na Boga, poruszyła ten drażliwy temat?

- Kiedy zamierzałaś powiedzieć mi prawdę o moim ojcu i twojej ciotce?

Zawahała się.

- Nie widziałam powodu, nie chciałam ci sprawić bólu. Byłeś dzieckiem, kiedy straciłeś ojca, i jestem przekonana, że czule go wspominasz, mając w pamięci tak niewiele zachowanych chwil.

Jego wzrok był nieustępliwy.

- I dlaczego nawet teraz mi o tym nie mówisz?

Cass potrząsnęła głową; serce tłukło się jej w klatce piersiowej. Nie chciała być postawiona w takiej sytuacji - nie teraz i nie przez niego.

- Czy Tracey powiedziała jeszcze coś w tej sprawie? - spytała w końcu.

Odwrócił się.

- Nie — rzekł.

Była przekonana, że i on nie jest teraz szczery. Spojrzała

w okno. Zbliżał się zachód słońca. Na tarczy starego zegara szafkowego wskazówki wskazywały siódmą czterdzieści pięć.

- Czy powinniśmy poszukać Tracey?

Antonio właśnie podnosił coś zza biurka. Kiedy się obrócił w jej stronę, Cass natychmiast pojęła, co ma w ręku.

Dziewczynie zrobiło się słabo.

- Odbitka raportu policyjnego. To bardzo interesująca lektura - orzekł.

Czuła się jak sparaliżowana.

- No pewnie - bąknęła.

- Choć policja ustaliła w końcu, że przyczyną śmierci mojego ojca był wypadek, ta historia wcale nie jest jasna jak słońce.

Usłyszała raptowne dzwonięcie w uszach.

- Kierowca samochodu, który potracił mojego ojca, upierał się, że to wcale nie był wypadek.

ROZDZIAŁ 10

Casa de Suenos - noc druga, godzina 20.00

Cass była nadal jak sparaliżowana.

Antonio nie odrywał od niej wzroku.

Wreszcie zdołała wykrztusić:

- Co? To nie był wypadek?

- Chciałbym porozmawiać z twoją ciotką. Mam do niej mnóstwo pytań. - Odszedł od biurka, rzucając na blat kopię raportu.

Natychmiast postanowiła w duchu, że musi oszczędzać ciotkę Catherine, i to za wszelką cenę. Podbiegła do Antonia.

- Jestem pewna, że z przyjemnością się z tobą spotka za twoim następnym przyjazdem do Anglii - skłamała.

- Cassandro, ani trochę nie potrafisz kłamać - rzekł sucho.

Spuściła powieki.

- Nie okłamuj mnie - powiedział łagodniejszym tonem, powoli szacując wzrokiem jej całą sylwetkę.

Miała ochotę wyznać wszystko i wybuchnąć płaczem.

- Nie okłamuję. To znaczy, nie lubię kłamać. To nie leży w mojej naturze.

- To raczej oczywiste.

Zacisnęła usta.

- Nie wymagaj ode mnie, żebym powiedziała coś, czego nie mam prawa zdradzać.

Zmarszczył brwi, zaskoczony jej uwagą.

Czuła, jakby grała na zwłokę. Może zresztą o to jej chodziło.

- Czy nie możemy zostawić przeszłości w spokoju?

- A ty naprawdę uważasz, że to możliwe, zwłaszcza w odniesieniu do nas obojga? - Wypowiedział te słowa łagodnie; w jego tonie dźwięczała szczerłość.

Naturalnie to było niemożliwe. Oboje byli zauroczeni odległymi wydarzeniami. By uciec z tego pokoju, Cass powiedziała:

- Myślę, że powinnam poszukać siostry.

Nie dał jej odejść.

- Samobójstwo. Ten kierowca oświadczył, że mój ojciec faktycznie popełnił samobójstwo.

To był dla niej wstrząs. Utkwiła w nim wzrok.

Odwrócił się, ale zdołała dostrzec w jego oczach mękę, niepewność, rozpacz.

Oddechnęła z ulgą na myśl o sobie i o Catherine, natomiast pojęła, jak bardzo musi go to boleć.

- Policja jest tego zdania?

Nie patrzył na nią.

- Tak twierdził kierowca, powtarzał to wiele razy. Utrzymywał, że mój ojciec wszedł wprost pod koła auta, i to celowo, chciał zginąć.

Dygotała wewnątrz. Miała przed sobą szansę swego życia, ale wzbraniała się przed jej wykorzystaniem. Z drugiej strony nie chciała go znowu oszukiwać.

- Dlaczego mój ojciec chciałby umrzeć? - Zadał to pytanie raczej sobie niż jej.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Zagryzła wargę, myśląc, czy do niego dociera jej ogłuszające bicie serca. Odczuwała gwałtowną potrzebę pocieszenia go w ten sposób, w jaki uspokajała Alyssę lub jakąkolwiek inną istotę ludzką ogarniętą rozpaczą. Podeszła do niego, stanęła za plecami i położyła mu rękę na ramieniu.

- Antonio, może nigdy nie poznamy prawdy. Może nawet nie powinniśmy jej znać.

Powoli odwrócił się do niej twarzą.

- Nie sędzę, żebym mógł się na to zgodzić.

- To okropne. - I rzeczywiście tak uważała. Naszło ją prag-

nienie, żeby wyznać wszystko i powiedzieć mu, co usłyszała od Catherine.

- Tak, to okropne. Zaczynam stopniowo pojmować zdumiewający traf: powiązanie losów rodów de la Barca i de Warrenne w ciągu wieków, ciągle na nowo. I nigdy nie wyszło z tego nic dobrego.

Stojąc tuż obok niego w zapadającym zmroku, Cassandra niemal doszła do wniosku, że mówiąc o powiązaniach rodzinnych, Antonio miał na myśli również ją i siebie, mimo że ich kontakt był natury platonicznej, intelektualnej. Zamyśliła się nad Isabel i Alvaradem, jej ciotką i Eduardem, a teraz Tracey i Antoniem.

Zamknęła oczy. Tracey i Antonio czy ja i Antonio?

- Cassandro?

Spojrzała na niego. Serce zabiło jej nadzieją, gdy ich wzrok się spotkał. Uświadomiła sobie bowiem w tym momencie, że Antonio myślał dokładnie o tym samym.

Unióś ręką jej podbródek, pochylił się i zanim Cass pojęła, co się dzieje, dotknął ustami jej ust. Podłoga usunęła się jej spod stóp. Objęła go mocno, przytulając się całym ciałem. Nigdy przedtem nie doznała takiego uczucia.

Objął ją w tali. I nagle delikatne dotknięcie ich warg zmieniło się w pełen namiętności pocałunek. Usta się rozchyliły, przywarły do siebie, ssąc się wzajemnie, języki ośmieliły się dotknąć. Jego zapach ją oszałamiał.

Pocałunek, równie niespodziewanie jak się zaczął, nagle się skończył. Antonio odepchnął ją od siebie. Cass zupełnie nie wiedziała, co o tym myśleć.

Spojrzeni na siebie szeroko otwartymi oczami, bez tchu. Cass nie mogła się zdecydować, które z nich było bardziej zdumione, Antonio czy ona.

Poczuła, że policzki dosłownie ją pieką. Ciągle nie mogła nabrać powietrza do płuc. Zastygła z przerażenia. Ukochany jej siostry...

- Ja... ja lepiej pójdę się rozejrzeć za Tracey, póki nie zrobi się zupełnie ciemno - wyrzuciła z siebie.

- Cassandro. - Wolno wypowiedział jej imię. Na jego twarzy także ukazał się rumieniec. I on był oszołomiony.

Zadrzała, przyciskając do piersi swoją minoltę. Czy już pożałował, gdy ona tymczasem z trudem panowała nad wybuchem radości? Jak mogła liczyć na dalszy ciąg?

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać. Teraz.

Nie wiedziała, co myśleć i robić. Nagle się złękła.

- Moim zdaniem, powinniśmy poszukać Tracey.

Zrobił ponurą minę i zerknął na zegarek. Była ósma. Słońce właśnie zachodziło. Chociaż Cass nie patrzyła na dwór, nawet w pokoju ujrzała odbicie barw ciemniejącego nieba, na którego tle pojawiły się różowe i pomarańczowe smugi. Antonio nagle podszedł do okna.

- Nie chcę, żeby włóczyła się sama po zmroku - odezwał się. - Może już wróciła.

Jej serce nadal łomotało jak afrykański tam-tam. Zapatrzyła się w przestrzeń. W jego głosie wyczuła jakiś ton, który się jej nie spodobał. Zdecydowanie nie spodobał.

- Wątpię, czy zawędrowała bardzo daleko - rzekła z desperacją. - Ona nigdy nie prowadzi, oba samochody są zaparkowane przed domem, więc poszła pieszo.

Antonio zacisnął szczęki. Tym razem, kiedy spróbował spojrzeć jej w oczy, Cass odwróciła głowę.

Co za idiotka - pomyślała pod swoim adresem, spiesząc do drzwi. Antonio niepokoił się o jej siostrę, przecież miał to wypisane na twarzy. Jak mogła dopuścić do takiej intymności? Cholera, cholera, cholera. Nie powinna była tego robić. Wzdrygnęła się. Jeśli Tracey już przedtem chciała ją zabić, to tylko pogorszy sprawę, gdy dowie się o krótkiej chwili namiętności, która bez wątpienia była błędem.

Znowu zadrzała.

Antonio chwycił ją od tyłu za ramię, zmuszając do pozostania.

- Nie uciekaj, muszę się wytłumaczyć.

Chciała się wyrwać, ale siły ją opuściły.

- Co tu wyjaśniać? Ty i ja zapomnieliśmy się na chwilę. Jakos to się stało. Jesteś zakochany w mojej siostrze.

Antonio spojrzał zdumiony.

- Tak właśnie sobie wyobrażasz?

Potwierdziła.

- Każdy facet, z którym się spotykała, szalał za nią. Mężczyźni. Nie mogą przejść obok pięknej twarzy, pięknej figury, pięknych włosów. - Wzruszyła ramionami.

- Nie jestem zakochany w twojej siostrze - rzekł zdecydowanym głosem.

Spojrzała na niego, nie wiedząc, czy ma mu wierzyć.

Znowu zacisnęła szczęki.

- Nasz związek się skończył - dodał, świdrując ją wzrokiem.

Zamurowało ją. Skończył się?!

- Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Od chwili, kiedyśmy się spotkali, byłem świadomy tych różnic. W ogóle nie powinniśmy byli tworzyć związku.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wreszcie zapytała:

- Gdzie się spotkaliście?

- W hotelu Palace w Madrycie. Byłem tam na drinku z kolegą z uczelni, twoja siostra pojawiła się ze znajomą.

Nie chciała poznać dalszych szczegółów.

Nagle zaklął po hiszpańsku.

- To takie głupie.

Co było głupie? - zastanawiała się w duchu. Związek z Tracey czy rosnąca fascynacja między nimi? Fakt, że poddali się pożądaniu?

Antonio krążył po pokoju, nerwowo przeczesując palcami włosy. Nagle stanął przed nią.

- Jesteś dla Alyssy matką w dużo większym stopniu niż Tracey. Jak długo to trwa?

Cass odpowiedziała po chwili wahania:

- Od czasu jej rozvodu, kiedy Alyssa miała dwa lata.

- Podziwiam cię, Cassandro - rzekł bez uśmiechu.

Zatkało ją. Teraz poczuła, jakby jego słowa odblokowały powietrze, które wypełniało jej płuca. Podziwiał ją. Antonio de la Barca ją podziwiał. Wiedziała, że istniała przeszkoda, która ją zmuszała do zapanowania nad sobą. On był kochankiem Tracey, nie jej, ale, Chryste, nigdy by nie przypuszczała, że taki mężczyzna jak on powie, iż ją podziwia. Drgnęła.

- Moim życiem jest Alyssa i kariera zawodowa, moja ciotka i Belford House.

Na jego twarzy ukazał się cień uśmiechu.

- Wygląda na to, że mamy podobne życiorysy.

Cass patrzyła przed siebie. W pewnym sensie ich życie było podobne.

- Tak sądzę. - Nie umiała udzielić głębszej odpowiedzi.

Antonio znów spoważniał.

- To, co się zdarzyło przed chwilą...

- W porządku! - krzyknęła. Nagle znowu zabrakło jej tchu. Straciła poczucie równowagi, potrzebowała czasu, by to wszystko przemyśleć i uporządkować. A przede wszystkim zastanowić się.

Skończył z Tracey. Wobec tego Cass się ośmieli?...

Pozwól sobie na to.

Był to cichutki głos wewnętrzny, niemniej Cass usłyszała, co jej mówi.

Naturalnie, że możesz sobie na to pozwolić.

Tym razem głos stał się donośniejszy, nawet rozkazujący.

- Nie, to nie jest w porządku. Znajduję się w sytuacji przymusowej, ale nawet ona nie jest odpowiednią wymówką.

Antonio znów zaczął chodzić po pokoju, tym razem w stronę okna. Zapadała noc. Niebo stało się ciemne, przybrało barwę atramentu, a z firmamentu mrugała do nich samotna gwiazda. Na tarczy zegara wskazówki pokazywały ósmą piętnaście.

- Przepraszam za moje zachowanie - powiedział wreszcie, patrząc na nią. - Jesteś moim gościem, śpisz pod moim dachem. To niewybaczalne z mojej strony, biorąc pod uwagę okoliczności, że postawiłem cię w takiej niezręcznej sytuacji.

Cass zmusiła się do promiennego w jej mniemaniu uśmiechu.

- Przyjęłam przeprosiny - odparła trochę zbyt lekkim tonem, by brzmiał prawdziwie.

Jego wzrok ją przeszywał.

Zwróciła głowę w bok, nie chcąc patrzeć mu w oczy.

- Jednakże chcę cię o coś zapytać.

- Strzelaj. - Skinęła głową, w napięciu czekając, co usłyszy. Boże, teraz miała ochotę udusić Tracey.

Tracey, która stała jej na drodze.

Stężenie nienawiści do siostry zdumiało ją samą.

- Mamy oboje tę samą pasję do historii. Mój ojciec zebrał przed laty niewiarygodną ilość materiałów. Gdy tylko tu przyjechałem, doszedłem do wniosku, że moim pierwszym obowiązkiem jest zaprowadzić jakiś porządek w jego notatkach i skatalogować je. Zajmie mi wiele miesięcy, jeśli będę się z tym borykał sam.

Cass nie spodziewała się, że materiału było aż tak dużo, ale w tym, co mówił, przyznawała mu rację.

- Musisz wszystko skatalogować. Dalsze badania byłyby dużo łatwiejsze, gdyby zbiór został uporządkowany.

- Chcę, żebyś została - odezwał się nagle. - Mógłbym skorzystać z twojej pomocy.

Oniemiała.

- Myślę, że jeśli we dwoje weźmiemy się do pracy, ogarniemy wszystko w ciągu miesiąca.

Nadal patrzyła jak zahipnotyzowana. Jego słowa zrobiły na niej piorunujące wrażenie. O niczym nie marzyła bardziej niż o pracy z nim. Siedzieć dzień po dniu tuż obok, studiować razem notatki jego ojca! Boże, mogli nawet odtworzyć tragiczne losy Isabel de Warenne.

- Jak mogłabym to zrobić? - odezwała się wreszcie.

- Czy na przeszkodzie stoi termin oddania twojej książki do wydawnictwa, czy też twoja siostra?

Zagryzła wargę.

- Mam jeszcze prawie rok na napisanie powieści, a kiedy czuję w sobie inspirację, piszę bardzo szybko. Nie, chodzi o Tracey. No i co z Alyssą? Mała musiałaby zostać tu ze mną. - Nie mogła wprost uwierzyć, że w ogóle bierze pod uwagę jego zdumiewającą propozycję. Alyssa na dodatek znienawidziła Hiszpanię. Chciała stąd odjechać i Cass właściwie jej przyrzekła, że wyjadą w poniedziałek.

- To akurat nie jest problemem - orzekł i ciepło się uśmiechnął. - Eduardo skorzystałby z jej obecności, miałby w niej koleżankę.

Jej serce zaczęło wyprawiać takie harce, że z trudem sobie uświadomiła, iż całkowicie się poddaje. Jeden pocałunek, jeden wspólny projekt badawczy - i już ją wzięło. Była bez reszty zakochana w tym mężczyźnie i dalsze zaprzeczanie

byłoby nonsensem. Żeby to szlag - pomyślała. Niech to szlag. I co się teraz stanie?

Pozwól sobie.

- Przemyśl to - dodał Antonio.

Cass zadarła głowę. Miała ochotę wybuchnąć, wyrzucić z siebie, że nie ma się nad czym zastanawiać, że oczywiście zostanie. Ale nie zrobiła tego. Przecież była rozsądną, myślącą, odpowiedzialną osobą. Jeśli zostanie - wystawiając na szwank dalszy związek z rodzoną siostrą - to w końcu i ona może wyładować ze złamanym sercem, a na dodatek z piętnem hańby.

I na dodatek była sprawa Alyssy. Jeśli Tracey postanowi grać siłowo, może to oznaczać, że Cass na zawsze straci dziewczynkę.

- Pomyślę o tym - rzekła, odwracając się szybko od niego, żeby nie próbował dalej jej przekonywać. By uciąć dalszą rozmowę, rzekła krótko:

- Spróbujmy znaleźć Tracey. Ty obszukaj dom, a ja wyjdę na dwór. - I nie dając mu szansy na odpowiedź, wybiegła z biblioteki.

Znalazła wreszcie siostrę siedzącą pod niskim drzewem między domkiem dla służby i garażem. Zapadł już zmrok. Na czarnym niebie ukazało się zbyt wiele gwiazd, by można je było zliczyć. Cass stanęła, nie dostrzegając zrazu skulonej postaci. Przyszło jej właśnie do głowy, że powinna odpowiedzieć na propozycję Antonia w bardziej zrównoważony sposób. Jak mogła tak wybiec z pokoju? Jeśli nawet nie doszedł do tego przedtem, teraz już z pewnością wie, co do niego czuje. Odniosła wrażenie, że zgłupiała do reszty.

Wolno zbliżała się do siostry, nagle lękając się tego spotkania. Co więcej, uzmysłowiła sobie z gniewem, że to nie było fair. Cass miała dużo więcej wspólnego z Antoniem niż Tracey. Ich oboje łączyła przede wszystkim wybitna uroda, ale nic więcej.

- Tracey! - krzyknęła ze złością.

Siostra nie uniosła głowy.

Nagle Cass poczuła ukłucie bólu. Tracey tkwiła nierucho-

mo, równie dobrze mogła być statua czy wręcz nie żyć. Przyspieszyła kroku.

- Tracey!-zawołała głośniej.

Siostra siedziała z wyciągniętymi przed siebie nogami, oparta o pień drzewa, z oczami utkwionymi w jakiś punkt. Nie reagowała. Zachowywała się tak, jakby albo nie słyszała, albo była w transie.

Cass ujrzała w myślach postać Isabel, szepczącą do ucha Alyssy: Ja będę teraz twoją mamą. Wcale nie chciała sobie przypominać tej dziwacznej wieści ze snu siostrzenicy. Nie zamierzała traktować jej jako przesłania. Co się dzieje z jej siostrą? Tracey!

Nie było żadnej odpowiedzi.

Podbiegła parę kroków i wreszcie jej dotknęła. Natychmiast się zorientowała, że choć Tracey milczy, jest bez wątpienia żywa. Zamieniła się w katatonika, niemniej jej ciało było ciepłe, regularny oddech poruszał piersią.

- Siostrzyczko. - Cass ukucnęła przy niej, cofając rękę sprzed jej ust, gdy już upewniła się, że Tracey jeszcze oddycha. Tamta reagowała na nią jak na powietrze. Nadal tkwiła w tej samej, nieruchomej pozie. Na jej twarzy widać było ślady łez oraz zaschnięte krople krwi. Białe szorty były zakrwawione i brudne, na gołych nogach osiadł kurz i pył z suchej ziemi. Cass ujrzała mrówkę spacerującą po jej udzie. Zrzuciła ją lekkim gestem dłoni, ale Tracey nawet nie mrugnęła.

- Hej, odezwij się! - Chwyciła siostrę za ramiona i mocno nią potrząsnęła. Co się z nią dzieje?

Tracey tymczasem jeszcze niżej spuściła głowę, a po jej policzkach zaczęły spływać świeże łzy.

- Cokolwiek zrobię, kończy się źle.

- Nie, to nieprawda! - krzyknęła Cass, odgarniając jej za uszy spadające na twarz włosy. - Kochanie, proszę cię, wstań, siedzisz w kurzu, wśród insektów. - Poczowała ulgę. Tracey nie przytrafiło się nic złego, wszystko było w porządku.

- Jestem zupełnie rozpieprzona.

Cass zrobiła głęboki wdech.

- Nie, Tracey, to nie na tym polega, tylko... zrobił się z tego wszystkiego straszny chaos, tkwimy w nim po uszy,

choć Bóg wie dlaczego. - Chwyliła ją za ramię. - Proszę, wstań. Wróćmy do domu, umyjesz się i przebierzesz, a potem porozmawiamy sobie od serca przy ginie z tonikiem.

- Nie wiem, co się dzieje - szepnęła Tracey, ciągle nie patrząc na Cass. - Wpadłam w taką wściekłość. Nigdy przedtem nie przeżyłam czegoś podobnego. - Zaczęła się trząść.

Jej słowa sprawiły, że Cass stanęło przed oczami ich gwałtowne starcie.

- Tracey, to już minęło. Wiem, że nie chciałaś, nie zamierzałaś mnie zranić. Jesteśmy siostrami, kochamy się, prawda? - Jej rozpacz się wzmagała. - Ja też chciałam cię przeprosić - dodała. - Może masz rację. Nie wykluczam, że trochę zakochałam się w Antoniu, ale przysięgam, to nic nie oznacza, naprawdę, i nigdy nie będę wchodzić między was dwoje. - W chwili, gdy to mówiła była przekonana o swojej szczerości, lecz już chwilę później pojęła, że jednocześnie kłamie.

- Co mam zrobić? - krzyknęła Tracey, wreszcie kierując wzrok na siostrę. - On mnie stąd wyrzuci, odsyła do Anglii. Już go nie interesuję, ponieważ poznał prawdę.

Cass patrzyła na nią, również drżąc. Była zaniepokojona, ponieważ Antonio nie znał prawdy.

- Porozmawiajmy o tym w domu - szepnęła, żałując teraz ich pocałunku, jego propozycji i - co najgorsze - swoich rozbudzonych uczuć. Ogarniały ją coraz większe wyrzuty sumienia, obrzydliwa rzecz.

Ogarnięta drżączką, obejrzała się trwożnie za siebie. Były jednak same.

- Tu jest za ciemno i robi się naprawdę chłodno. - Zdało się, że dom patrzy na nią z daleka. Oświetlone okna zmieniły się w jej wyobraźni w oczy tchnące pustką. - Wracajmy.

Tracey utkwiała wzrok w twarzy Cass.

- Zrobiłam to - wyszeptała.

Cass dotknęła spuchniętej szczęki, o której na krótko zapomniała.

- To nie ma znaczenia. Popełniłaś błąd, wcale nie zamierzałaś tego zrobić.

- Nie rozumiesz. Dlaczego nie chcesz pojąć? Zrobiłam to celowo, Cass. Celowo!

Cass stała, patrząc w przestrzeń. Poczowała skurcz bólu wzdłuż kręgosłupa.

Oczy Tracey napełniły się łzami.

- Boję się, Cass. Jestem taka przerażona!

W jakiś sposób Cass udało się podźwignąć siostrę, choć jej ciało było sztywne i odmawiało współpracy, zupełnie jak odlane z ołowiu. Podtrzymując Tracey obiema rękami, zdołała ją utrzymać w pozycji pionowej.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Obiecuję ci. Muszę tylko wrócić do domu. Każda z nas - ty, ja, Alyssa, najbardziej potrzebujemy domu... - Mówiąc te słowa, święcie w nie wierzyła.

Do diabła z propozycją Antonia.

Ten dom prowokował do zła.

Była tego absolutnie pewna. Nigdy przedtem w żadnej sprawie nie miała równie głębokiej pewności.

Cass zostawiła Tracey szykującą się do wzięcia prysznicza przed kolacją. Upewniła się, że siostra odzyskiwała równowagę. Zatopiona w myślach szła schodami w dół. Czy Tracey przeżyła coś w rodzaju załamania nerwowego? Huśtawka emocjonalna siostry poważnie ją martwiła.

...Czy nie rozumiesz? Zrobiłam to celowo!...

Uruchomiła swój laptop i zeszytniała z napięcia odtwarzała w myślach ostatnią rozmowę z siostrą. W chwilę później połączyła się z Internetem. Rozpoczęła poszukiwania miejsc związanych z pojawianiem się duchów.

Potrzebowała tych informacji. Nie mogła dłużej ignorować faktu, że ilekroć wchodziła do pokoju Isabel, ogarniały ją jakieś sensacje. Cały dom wzbudzał w niej ogromny niepokój. Gotowa była przyjąć do wiadomości, że Casa de Suenos był nawiedzony, choć odmawiała zaakceptowania, że łączą się z tym wszystkie dziwne rzeczy, jakie się im zdarzyły od przybycia tutaj. Zdawała sobie sprawę, że napotka mnóstwo bzdur, ale jeśli starannie oddzieli wierutne głupstwa od paru intere-

sujących faktów, na pewno znajdzie coś ciekawego na temat sił nadnaturalnych.

Gdy zaczęła przeglądać na monitorze długą listę nawiedzonych miejsc, uzmysłowiła sobie, że coś ją gryzie. Rósł w niej niepokój, który brała jednak za skutek dziwaczного zachowania siostry.

Ku jej zdumieniu okazało się, że lista internetowa dotycząca duchów składała się z tysięcy pozycji. Zaskoczona wpatrywała się w ekran. Na miłość boską, ujrzała nawet materiały dotyczące praktyk satanistycznych.

Doszła do wniosku, że w tym mrowiu śmiecia będzie bardzo trudno natrafić na informacje poważniejszej natury, czyli udokumentowany opis zjawisk paranormalnych. Jeszcze bardziej skoncentrowała się więc na monitorze, idąc do końca listy, gdy wtem słowa na ekranie straciły na chwilę ostrość, druk stał się pokraczny.

Zamarła. To stało się w mgnieniu oka. Może znowu poniosła ją wyobraźnia?

W komputerach nie ma przecież statyki.

Komputery nie zachowują się jak telewizory sprzed dwudziestu lat.

Po chwili znowu się to zdarzyło. Wyraz „duchy”, który napisała w okienku „Szukaj” wydłużał się, rozciągał, kurczył, znowu rozciągał, jak wszystkie pozostałe słowa na ekranie. Nagle cały ekran się zaczernił.

Gapiła się na monitor w osłupieniu, ponieważ zachowywał się tak, jakby wyłączyła komputer. Kilkakrotnie nacisnęła klawisze spacji i „Wejdz”, podejrzewając, że sprzęt się zawiesił, ale okienko się nie pojawiło. Jeszcze raz uruchomiła komputer. Ekran się rozjaśnił.

- Co się dzieje, ciociu?

Cass nie odwróciła się.

- Jakaś zagadkowa sprawa. Mój laptop przestał działać. Nigdy przedtem nie miałam z nim najmniejszych kłopotów. - Mówiąc to, zmartwiła się nie na żarty. Przeczuciwała problem techniczny, a to była ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła, teraz czy kiedy indziej. - Niech to krew zaleje. - Wykręciła numer

Internetu, ale zanim zdołała otrzymać połączenie, ekran znowu zrobił się czarny.

Zerwała się z krzesła; Alyssa właśnie do niej podchodziła.

- W porządku - rzekła uspokajająco do dziewczynki. Używała laptopa od dwóch lat, było więc zrozumiałe, że wymaga reperacji. Nie mogła jednak uwolnić się od myśli, że jest to co najmniej podejrzane, iż zepsuł się w mgnieniu oka.

Już wszystko kojarzy ci się z duchami - zganiła się. Nie wiele to jednak pomogło. Przeciwnie, patrząc w czarny ekran, natychmiast przypomniała sobie niebieskie oczy Isabel. Wtem ujrzała w wyobraźni postać renesansowej męczennicy, która świdrowała ją wzrokiem; znać w nim było gotowość do walki.

To było doprawdy denerwujące.

Dokładnie sobie przypominała, że na portrecie oczy Isabel one wypełnione są bólem, ale teraz nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że tym razem w jej wzroku czaiła się wrogość. Zdaniem Antonia, Isabel wpatrywała się w widza z oskarżycielskim wyrazem twarzy.

Ta szarada coraz bardziej ją wciągała. Postanowiła sobie, że bez względu na okoliczności dotrze do faktów z biografii swej dalekiej krewniaczki. Nagle struchlała.

Tu leży Isabel de la Barca... bratanica Johna de Warenne, hrabiego Sussex.

Przetarła oczy.

- Przecież ona była córką hrabiego, prawda? - powiedziała głośno.

Jakieś odgłosy za plecami sprawiły, że serce znów забиło mocniej. Obejrzała się szybko za siebie. Drzwi się uchyliły.

- Antonio?

Nie było odpowiedzi.

- Może powinniśmy zejść na dół - rzekła niepewnie Alyssa. - Ciociu?

Cass się obróciła. Ujrzała widok, który ponownie wprowadził ją w zdumienie. Jej laptop był włączony, ale wyglądał jak ekran staroświeckiego telewizora - był cały pokryty czarno-białymi migającymi paskami. Nie było mowy o odbiorze cze-
gokolwiek.

- Ciociu? Ktoś tutaj jest - szepnęła Alyssa z lękiem.

Cass, obejmując dziewczynkę, pomyślała o najgorszym. Jednakże w drzwiach nie ujrzała nikogo, natomiast z dziedzińca doszedł do jej uszu odgłos zatrząskiwanych drzwiczek auta.

I wówczas poczuła wyraźny zapach fiołków.

Zamarła przerażona. Po chwili doszła jednak do wniosku, że odpowiedzi na tę zagadkę należy szukać w wadliwym systemie wentylacji, i tyle.

Ktoś zaczął walić do drzwi wejściowych.

Obie z Alyssą aż podskoczyły z wrażenia.

Cass zerknęła na świecąca tarczę swego zegarka. Wskazówki pokazywały dziewiątą trzydzieści. Któż to mógł być, na miły Bóg?

- Ciociu? - Alyssa przylgnęła do niej całym ciałem, słysząc coraz mocniejsze łomotanie do drzwi.

- Nie masz powodu do niepokoju - skłamała Cass, czując, jak zdradzają własne serce, bijące z trwogi. Zapach fiołków wyraźnie się nasilił. Usiłowała o tym nie myśleć. Uprzytomniła sobie, że w domu jest dwoje dzieci, z których jedno jest kaleką, oraz bardzo stary człowiek. W następnej chwili zgaśniła sobie w myślach, że przyszła jej do głowy konieczność obrony przed nieznanym napastnikiem. - Daj sobie z tym spokój - rzekła głośno.

Chwyciła Alyssę za rączkę i obie ruszyły niemal biegiem. Cass postanowiła, że nazajutrz z samego rana zatelefonuje do konsultanta komputerowego w Londynie. Na pewno wysiadł jej jakiś chip i całe urządzenie oszalało, może specjalista będzie miał inne racjonalne wyjaśnienie statyki na ekranie -jeśli to była statyka.

Walenie ustało. Cass z Alyssą pojawiły się w wielkiej sieni w chwili, gdy Antonio otwierał drzwi. W progu stał wysoki blondyn ubrany w pomięty garnitur; jego pognieciony krawat zwisał jak chomąto.

- Gregory! - krzyknął Antonio z osłupieniem w głosie. - Co tu robisz?

Przybysz wyrzucił z siebie kilka zdań po hiszpańsku, wznosząc ręce w górę.

Cass ogarnęło błogie poczucie ulgi. Najwyraźniej ci dwaj

byli kolegami albo kuzynami, czy nawet braćmi, bo ich podobieństwo widać było na pierwszy rzut oka.

- W porządku - szepnęła do Alyssy.

Mała uśmiechnęła się blado.

Antonio chwycił przybysza za ramię.

- Opanuj się. *Tenemos invitados* - wyjaśnił, wskazując na Cass z Alyssą.

Gregory szybko na nie spojrzął, po czym znowu skierował wzrok na Antonia.

- Przez cały dzień miałem okropne przeczucia - rzekł po angielsku, wyraźnie zdenerwowany. - Wielokrotnie telefono-
wałem i na uniwersytet, i do twojego domu, no ale oczywiście, jesteś tutaj, a ja o tym nie wiedziałem, więc nie mogłem tego ustalić w Madrycie.

- Jestem tutaj, jak widzisz, i wszystko w porządku - rzekł Antonio opanowanym głosem.

Cass zwątpiła w szczerłość jego odpowiedzi. Każdym włók-
nem swego ciała czuła, że jest dokładnie na odwrót.

Gregory, bardzo atrakcyjny mężczyzna ze zwichrzonymi włosami barwy ciemnoblonde, zareagował na to wyjaśnienie bez uśmiechu.

- Nigdy tu nie przyjeżdżasz. Kto by zgadł! Udało mi się w końcu wytropić twoją sekretarkę. Znalazłem jej numer telefonu na biurku w mieszkaniu. - Sprawiał wrażenie coraz bardziej rozżłoszczonego.

- Nie przyszło mi do głowy, że powinienem zaznajomić cię z moim rozkładem zajęć - odparł Antonio, nie wyprowadzony z równowagi. - Czy mogę przedstawić gości?

Gregory wreszcie zauważył Cass, a następnie Alyssę. Uśmiechnął się.

- Proszę mi wybaczyć, byłem wystraszony. - Znowu spoważniał. - To pewnie pani jest Tracey Tennant. Ja jestem bratem Antonia i mam na imię Gregory.

Cass się zaczerwieniła; nikt przedtem nie pomylił jej z Tracey.

- Jestem jej siostrą, Cass de Warenne, a to jej córka Alyssa.

- Przepraszam za pomyłkę - wtrącił szybko Gregory. Podszedł do niej, uściśnął rękę i pogłaskał dziewczynkę po

głowie. Znowu spojrzął z troską na Antonia: - Czy naprawdę wszystko w porządku?

- W jak najlepszym - rzekł Antonio stanowczym tonem. - Przykro mi, że jechałeś taki szmat drogi zamiast zatelefonować.

Gregory spojrzął na niego z niedowierzaniem:

- O co ci chodzi? Twoja sekretarka przekazała mi, że muszę przyjechać.

Antonio nie ukrywał zdumienia.

- Co takiego? - zapytał.

Cass stała, patrząc z rosnącym niepokojem to na jednego, to na drugiego z braci.

- Twoja sekretarka zakomunikowała mi, że mam udać się do Kastylii, i to natychmiast - oświadczył Gregory, czerwieniejąc się na twarzy.

Antonio wpatrywał się w niego, potrząsając głową.

- To jakaś pomyłka. Nie powiedziałyby czegoś takiego. Nigdy nie sugerowałem, żebyś się tu ze mną spotkał. Nawet o czymś takim nie pomyślałem.

- Ona wyrażała się bardzo precyzyjnie. Wezwanie nie budziło wątpliwości.

Cass zastanowiło to dziwaczne słownictwo.

- No cóż, przyjechałeś tu, więc spędźmy razem weekend - orzekł Antonio, lekko wzruszając ramionami. - Od bardzo dawna nie byliśmy razem, prawda?

- To mało powiedziane - odparł Gregory z nieszczególną miną. - Ciągle nie mogę uwierzyć, że postanowiłeś spędzić tutaj wakacje. Ze wszystkich miejsc wybrałeś właśnie Casa de Suenos?

Cass się nie ruszała. Co on przez to rozumiał? O co tu chodzi? Obserwowała ich, gdy ruszyli korytarzem; Antonio opowiadał Gregory'emu, jak posuwają się jego badania naukowe. Alyssa uwiesiła się jej ręki. Cass ciągle wpatrywała się w obu mężczyzn.

Usłyszała jak echo słowa Gregory'ego: Wezwanie nie budziło wątpliwości.

- Ciociu, co ci jest? - szepnęła Alyssa.

Cass poczuła nagle czyjś wzrok na swoich plecach. Gwałtownie się odwróciła, ale nie było nikogo.

To jej jednak nie uspokoiło, ponieważ w tym momencie pojęła, że jest przez kogoś śledzona.

- Och, Boże - krzyknęła, tak mocno ściskając rączkę Alyssy, że mała pisnęła z bólu. Czyżby ciotka Catherine miała rację?

Czy ten dom był nawiedzony? Czy obie rodziny były skazane na wspólne przeżywanie tragedii?

- Ciciu - odezwała się Alyssa - ona wzywa nas tutaj wszystkich.

Cass sądząc, że się przesłyszała, schyliła głowę. Z okrzykiem panicznego lęku odskoczyła w bok, zobaczyła bowiem nie swoją siostrzenicę, lecz płonące oczy w twarzy zmienionej przez grymas wściekłości.

A na dodatek ta twarz się uśmiechała, i to dopiero budziło trwogę. Na jej oczach oblicze dorosłej kobiety osadzone na ciele dziecka zaczęło się stopniowo przekształcać. Wreszcie Cass mrugnęła i wtedy znowu ujrzała dobrze sobie znaną twarzyczkę Alissy.

Wrażenie było tak mocne, że aż zaparło jej dech w piersiach. Czy naprawdę zobaczyła to, co ujrzała? I czy usłyszała to, co do niej dotarło? A może zwariowała?

- Co? Co ty powiedziałaś? - wyjąkała z trudem.

Alyssa, uosobienie niewinności, odparła:

- Ona nas wszystkich wzywa i wkrótce przyjedzie tu ciocia Catherine.

Cass jęknęła, gdy Alyssa obróciła się w kierunku odchodzących braci de la Barca.

- Ależ ciotka Catherine nie wybiera się tutaj - szepnęła.

Alyssa jakby nie słyszała tej uwagi.

Cass starała się myśleć racjonalnie, ale okazało się to niemożliwe, zwłaszcza kiedy stała sama w wielkim holu tonącym w mroku; świece były tu nieliczne i słabo świeciły. Wciąż czuła zapach fiołków, teraz dużo lżejszy. Zaczęła z trudem zbierać myśli: Isabel jest tutaj. Moja ciotka ma rację, ona gdzieś tu jest, odpowiedzialna za wszystko. Albo to naprawdę się dzieje, albo ja oszalałam.

Nagle doszła do wniosku, że nie chce być chwili dłużej ani w holu, ani w żadnym innym miejscu tego domostwa. Pobieгла za Alyssą i braćmi de la Barca. Gdy dotarła do biblioteki, ujrzała scenę, która powinna była dodać jej otuchy: Antonio przygotowywał drinki, Gregory stał obok niego, dwoje dzieci siedziało na sofie, oglądając razem książkę, w kominiku buzował ogień. Jednak upragniony spokój ducha nie nadchodził.

Spostrzegła, że Gregory zbyt uważnie się jej przygląda. Od ruchowo uśmiechnęła się do niego, a on bez namysłu odwzajemnił uśmiech.

Gdy przybył do Casa de Suenos, wydawał się bardzo zdenewrowany. Teraz stał pogodny, rozluźniony.

Wezwanie nie budziło wątpliwości.

...Ona wzywa nas wszystkich...

Czy to możliwe?

Cass siadła na krytej zielonkawym jedwabiem sofie z mnóstwem różnokolorowych poduszek. Choć była jak otumaniona, jej umysł pracował z niewiarygodną szybkością. Komórki mózgowie odtwarzały każde dziwaczne wydarzenie, którego była świadkiem - od chwili przyjazdu do teraz. Był to rodzaj obłąkanej karuzeli. I na dodatek ten wyraz twarzy Alyssy...

- Martini dla nas trojga? - zapytał Antonio wesołym tonem.

Cass popatrzyła na niego uważnie. Skąd ta nagła zmiana nastroju? Czyżby z powodu przyjazdu brata?

Wręczył jej kieliszek. Uśmiechał się, sprawiając wrażenie człowieka w pełni pogodzonego z doskonałym światem. Może rzeczywiście zapadła na chwilowy obłąd, bo wszystko zdawało się takie normalne, gdy ona tymczasem znajdowała się na granicy hysterii. Czuła się tak, jakby oglądała surrealistyczny film.

- Czy ten wieczór wydaje ci się dziwny? - zapytała niepewnie.

Nadal się uśmiechał.

- Tylko obecność mojego brata jest nieco dziwna, ale to dlatego, że zupełnie się go nie spodziewałem.

Płomienie tańczyły w palenisku. Dzieci śmiały się do sie-

bie, znalazłszy coś zabawnego w książce. Mężczyźni pili drinki. Cass rozejrzała się ostrożnie wokoło. Dlaczego tylko ona była czujna i niespokojna? Odstawiła martini. Czy nikt prócz niej nie czuł napięcia, które krążyło nad nimi jak ogromny, ciemny obłok?

- Ale dlaczego twoja sekretarka miałyby go poinstruować, żeby tu przyjechał?

- Niewątpliwie źle się zrozumieli.

Światło w bibliotece nagle przygasło, ale po chwili wróciło do normy.

Cass zerwała się z sofy, wyprowadzona z równowagi.

- To wina starej instalacji - uspokoił ją Antonio. - Cas-sandro, nic ci nie dolega?

Utkwiła w nim wzrok, zastanawiając się, jak by zareago-wał, gdyby usłyszał od niej, że Alyssa na jej oczach przemieniła się w zjawę, że mówiła o wezwaniu, że wszędzie unosił się zapach fiołków - perfum zmarłej przed wiekami kobiety. Ta lista nie miała końca.

- A może to nie jest instalacja - rzekła powoli. - Mój lap-top przestał działać w jednej chwili, i nie mogę dojść, co się stało.

- To był długi dzień - odparł Antonio, nadal uśmiechając się do niej.

Nie był człowiekiem, który lubił wyszczerzać zęby w głu-pawym uśmiechu.

Cass czuła, jakby spoglądała na obcego mężczyznę - twarz i ciało się zgadzały, ale charakter - nie.

Odwrócił się do brata. Przez chwilę obserwowała, jak swo-bodnie rozmawiają, po czym skierowała uwagę na dzieci. Aly-sa, wydawano się, zapomniała o strachach, słuchając, jak Edu-ardo czyta jej na głos książkę. Zachowywała się jak w szkole, kiedy nauczycielka czyta ciekawą opowieść. Cóż tych dwoje czytało? Mój Boże, były to *Legends ze Sleepy Hollow*.

Na piętrze, bezpośrednio nad ich głowami, coś huknęło.

Cass omal nie dostała ataku hysterii.

- Słyszeliście? - krzyknęła.

Antonio zbliżył się do niej.

- Czemu jesteś taka nerwowa? Stare domostwa wydają z siebie różne dźwięki. Przecież dobrze o tym wiesz.

- To było w pokoju Isabel - rzekła Cass.

Gregory dołączył do nich.

- Ja także coś usłyszałem. Czy Alfonso jest na górze? - zapytał. Sprawiał wrażenie mniej rozluźnionego niż brat.

- Alfonso jest w kuchni - oznajmił Antonio.

Nagle Cass zastanowiło, gdzie się podziewa Tracey.

Gregory powrócił do prześlicznego złoconego wózka, który służył za bar, i zajął się przyrządzaniem następnej kolejki drinków. Cass podeszła do siostrzenicy.

- Alyssa - szepnęła, aby obaj bracia nie usłyszeli - coś ty do mnie mówiła w holu?

Alyssa zamrugała oczami, podczas gdy Eduardo wstrzymał się z dalszą lekturą.

- Nie pamiętam - odparła cicho. - Ale właściwie dlaczego szepczemy?

Zanim Cass zdołała odpowiedzieć, Antonio odwrócił się nagle w jej stronę.

- Mam dobre wiadomości - rzucił.

- Naprawdę? - odparła, myśląc w duchu, że szkoda, iż Antonio nie był z nią, gdy Alyssa przemieniła się w holu w kogoś innego. Żałowała, że nie miała świadka tej sceny, bo wówczas nie zwątpiłaby w swoje zdrowe zmysły. Nie ufała sobie. Przecież nie mogła ujrzeć czegoś takiego. Jej wyobraźnia stroiła sobie z niej żarty.

Przystawił do sofy puf i usiadł na nim.

- Cassandro, odnalazłem drzewo genealogiczne mojej rodziny, bez wątpienia sporządzone ręką ojca. - Oczy błyszczały mu z podniecenia. - Opis jest wykonany ołówkiem, ale nie ma kłopotów z jego odczytaniem.

Natychmiast się wyprostowała. Zapomniała o lękach i kłopotach.

- Czego się dowiedziałeś?

- Pokażę ci - odparł z lekkim uśmiechem. Wstał, podszedł do biurka i przyniósł zwój papieru.

Serce zabiło jej szybciej. Ręce drżały, gdy brała od niego

dokumenty. Rozłożyła je na sofie, a sama uklękła na podłodze. Antonio przykucnął obok.

Chciała przejrzeć papiery od początku, ale jej wzrok zatrzymał się na ostatnim wpisie: „Catherine de Warenne, urodzona 1930, zmarła? Poślubiła sir Roberta Belforda, urodzonego 1912, zmarłego?”. Po tym następowały informacje dotyczące jego rodziców.

- Mój ojciec zginął w 1966 roku - dodał Antonio, szepcząc jej niemal do ucha. Jego oddech poczuła jak piórko muskające jej małżowinę.

- Dwa lata przed moim przyjściem na świat - odparła równie intymnym tonem. To wyjaśniało, dlaczego w notatkach seniora de la Barki nie została uwzględniona jej data urodzenia.

Jej puls był tak mocny, że chyba wszyscy go słyszeli. Spojrzała na Antonia. Oboje przez dłuższą chwilę nie mogli odebrać od siebie wzroku.

- Zajrzyj na pierwszą stronę - szepnął z błyskiem w oczach.

Przerzuciła kartki.

- Isabel - westchnęła.

I wszystko, czego chciała się dowiedzieć, było tutaj odnotowane czytelnym charakterem pisma Eduarda. Isabel de Warenne urodziła się w 1535 roku, zmarła w 1555 roku - tu nie było żadnej niespodzianki. Poślubiła Alvarada de la Barkę na rok przed śmiercią. Jeśli mieli dziecko, co było mało prawdopodobne, jego narodziny nie zostały zarejestrowane. Cass przesuwiała palcem po tekście, żeby niczego nie pominąć. Natychmiast zrozumiała, co się właściwie wydarzyło.

- Była córką hrabiego - rzekła cichym głosem. - Ale on zmarł w 1543 roku i jego brat odziedziczył tytuł.

- Tak - potwierdził Antonio.

Dziwny ton głosu zastanowił ją. Tym razem jednak nie spojrzała na niego, bo rozmiary tragedii Isabel znajdowały się tuż przed jej oczami, spisane ręką Eduarda. - O mój Boże - wyszeptała. - Oni wszyscy zginęli. Jej ojciec, matka, brat - wszyscy zmarli w 1543 roku.

- Tak - powiedział Antonio. - Wszyscy zginęli.

ROZDZIAŁ 11

Hrabstwo East Sussex, 18 lipca 1543 roku

Nawet w długiej i bufiastej spódnicy potrafiła biegać szybciej niż jej brat Tom, który był starszy od niej tylko o dwa lata. Roześmiana Isabel prześcignęła dziesięcioletniego braciszka, nie zważając na krzyki lady Caroline. Dobiegła do morza. Linia brzegowa w hrabstwie Sussex była zielona, idylliczna i piękna, na piaszczystych plażach można było znaleźć mnóstwo pokruszonych muszli, a w głębi łądu, za wydmami, ciągnęły się żyzne wzgórza obrośnięte kwitnącą roślinnością. Jednakże Isabel, która wyrosła na tej ziemi, przywykła do jej urody i nie zauważała jej, jak się nie zwraca uwagi na niańkę, wzywając oboje dzieci do powrotu. Dobiegła do wielkiej zniszczonej piłki, z której wystawała słoma. Chwyciła ją w rączki, ale skórzana kula okazała się zbyt ciężka na jej siły. W rezultacie Isabel upadła, łądując na twarzy, ale piłki z rąk nie wypuściła.

Piasek w ustach jej nie przeszkadzał, dziewczynka jedynie splunęła, żeby pozbyć się zbyt wielu chrzęszczących w zębach ziarenek. Chwilę później poczuła na sobie ciało brata, który z okrzykiem „Hoop!” skoczył jej na grzbiet. Wyrывая sobie piłkę, oboje śmiali się beztrósko.

Fale w końcu ich dosięgły, dokumentnie zalewając. Dzieci na przemian piszczały i chichotały, bo choć trwała pełnia lata, morze było bardzo zimne. Nad ich głowami na bezchmurnym niebie krążyły mewy, wydając z siebie piski. Wypatrywały ryb na wieczorny posiłek.

- Isabel! Thomas! Mówię do was obojga, wy niecnoty, macie natychmiast do mnie wrócić - nakazała im rozżłoszczonym głosem ich starsza kuzynka.

Jej ton nie wróżył nic dobrego. Był tak znaczący, że Isabel przestała się śmiać. Usiadła, utyłana piaskiem. Brat uczynił to samo. Zauważyła na jego twarzy wyraz zaskoczenia, co świadczyło, że i on rozpoznał w głosie lady Caroline nutę lęku. Ich oczy się spotkały. Oboje mieli intensywnie niebieskie tęczęwki, ale prócz tego nie byli do siebie podobni fizycznie, ponieważ Tom przypominał ojca, hrabiego Sussex, potężnego, ciemnowłosego mężczyznę, natomiast Isabel była kopią matki - wysokiej, szczupłej damy o włosach rudoblond. Dziewczynka złapała brata za rękę, serce biło jej z trwogi.

- Ona jest papugą - szepnęła. - Zawsze taka przestraszona i gotowa odlecieć bez słowa.

Thomas stanął i pomógł siostrze się podnieść. Na jego smagłej twarzy odmalowała się powaga.

- Jest najwyraźniej zdenerwowana, bo się spóźniamy - rzekł, patrząc siostrze w oczy.

Isabel znowu zabiło serce. Rodzice pojechali do Londynu na ślub króla z Catherine Parr, jego szóstą żoną. Spodziewano się ich po południu. Zanim ojciec wyruszył na dwór królewski, zbił ją różgą za dzikość i nieodpowiednie zachowanie, jakie przystoi może chłopcu, ale nie hrabiance. Isabel przyrzekła, że będzie grzeczna i nie zapomni o dobrych manierach, jakie przystoją młodej chrześcijańskiej damie. Tymczasem tarzanie się w piasku z bratem nie zaliczało się do tej kategorii. Obawiała się, że czekają ją następne baty.

Na szczęście hrabia w równym stopniu nie znosił kar cielesnych, jak i jego dzieci, więc kara nigdy nie trwała zbyt długo.

- Nie obawiaj się - uspokajał ją starszy brat, obejmując ramieniem jej chude plecy. - Tym razem to moja wina, powiadomię o tym Jego Lordowską Mość.

- Nie, nie rób tego - poprosiła Isabel ze łzami cisnącymi się do oczu. - Nie chcę, abyś i ty dostał lanie.

- Nie mam nic przeciwko temu - rzekł Thomas opanowanym głosem. - Dla mnie to łatwiejsze, ponieważ jestem mężczyzną.

Isabel spojrzała na niego spod rzęs.

- Jeszcze nie, panie mądralo. Jeszcze nawet nie nosisz ostróg, więc jak możesz być dorosły!

Szli plażą w kierunku lady Caroline, która gwałtownie wymachiwała ręką. Isabel doszła do wniosku, że rodzice pewnie już wrócili do zamku Romney i na wszelki wypadek zwolniła kroku.

- Ojciec powiedział mi, że wyznaczył mnie na swego spadkobiercę, a zatem jestem mężczyzną, bez względu na to, ile mam lat. - Thomas wygłosił tę uwagę stanowczym głosem. - I nigdy nie wolno mi zapomnieć, że któregoś dnia zostanę hrabią, jednym z najważniejszych panów królestwa. Mam obowiązek postępować zgodnie z moją pozycją w świecie. - Na koniec głęboko westchnął.

Isabel pojęła, co chciał jej przekazać i ścisnęła jego dłoń.

- Tom, nigdy nie żałuj swojego pochodzenia. Mógłbyś być pomocnikiem piekarza, jesteś natomiast jednym z wysoko urodzonych.

- Nie, nie żałuję tego - odparł szybko chłopiec.

Jednakże Isabel dobrze go znała, bo byli sobie bardzo bliscy. Wiedziała, że woli grać ze swym preceptorem w piłkę niż ćwiczyć szermierkę. Zdawała sobie również sprawę, że przedkłada sokolnictwo nad łacinę, grekę i matematykę i że nie znosi nauk Platona, Plutarcha, Cycerona i Seneki, których - jak twierdzi - w najlepszym razie nie rozumie. A już nie znosił nowych tematów, które stały się popularne, ponieważ król Henryk miał do nich słabość - alchemii, astronomii, astrologii. Po prostu nie miał pojęcia, jakim jest szczęściarzem - pomyślała Isabel z zazdrością. Podczas gdy Tom potrafił mówić trzema językami, co prawda niezbyt jeszcze płynnie, ona kłuła się w palce przy robótkach ręcznych. Na polowaniach z sokołem on dosiadał konia i galopował bez tchu, ona musiała jechać konno po damsku. Cóż by dała w zamian za nauczyciela, który pozwoliłby jej studiować pięć języków, prostą arytmetykę, zagłębić się w traktaty starożytnych Greków i Rzymian, zamiast uczyć się na pamięć wycinków z Biblii oraz *Instrukcji wychowania chrześcijanki*. Hrabia wielokrotnie podkreślał, że do obowiązków kobiety należy wyłącznie posłuszeństwo wo-

bec Boga oraz dobre zamażpójście, i edukacja Isabel opierała się na tych zasadach. Zastanawiała się, co by ojciec zrobił, gdyby się dowiedział, że często podsłuchiwała lekcje brata i że potrafi przeczytać fragmenty z Sokratesa.

- Lady Caroline wydaje się bardziej niespokojna niż zazwyczaj - powiedział Tom, ocierając pot z czoła. - Co się mogło stać?

Isabel zastanawiała się nad tym samym, gdy nagle uzmysłowiła sobie, że jej brat jest rozpalony i że obficie się poci, co wydało się jej bardzo dziwne. Na jego policzkach ukazały się kropelki krwi, jakby od ukłucia. Zanim jednak zdołała wyrazić zaniepokojenie, nadbiegła lady Caroline.

Była pulchną, zaledwie dziewiętnastoletnią wdową.

- Niech Bóg ma litość nad nami wszystkimi - jęknęła z płaczem.

Isabel osłabła z wrażenia, uprzytamniając sobie, że bynajmniej nie chodzi o przyłapanie ich na figlach, które im nie przystoją.

- Kuzynko Caroline, proszę, powiedz, co się stało - wykrztusiła z trudem.

- Hrabia wrócił z zamku królewskiego, dobry Boże, miej nad nami zmiłowanie.

- Lady Caroline, proszę nam powiedzieć, co się wydarzyło - przerwał jej Tom.

Powiodła po nich niemal obłąkanym wzrokiem. Łzy cisnęły się jej do oczu.

- Wasza matka zapadła na gorączkę z gwałtownymi potami - wykrzyknęła. Jej okragła twarz przybrała barwę popiołu.

Isabel stanęła jak wryta.

Wyobrazila sobie swoją piękną, miedzianowłosa matkę, lady Margaret, tak jak ją ujrziała kilka tygodni przedtem w sukni z fioletowego brokatu, ze wspaniałymi szafirami, złotym przybraniem głowy, skrywającym cudownej urody włosy, z urzekającym uśmiechem na ustach. Trzymała w ramionach malutkie dziecko, ledwie co narodzoną siostrzyczkę Isabel. Nazwano ją na cześć nowej królowej Catherine. Isabel ujrziała w pamięci jej pękającego z dumy ojca, choć w głębi ducha lord de Warenne marzył o następnym synu. I zaraz potem

przypomniała sobie chaty w wiosce, gdzie tajemnicza zaraza kładła ludzi pokotem. Domy, w których znajdowali się śmiertelnie chorzy ludzie, miały zamknięte na głucho okna i drzwi, a specjalny znak - wiązka słomy przewiązana białą tasiemką - ostrzegał innych, aby się nie zbliżali.

- Nie! - krzyknęła Isabel. - To musi być pomyłka!

Był to jednak fakt.

Zaraza doszła w końcu do Romney.

Gdy dotarli do zamku wzniesionego na wysokim wzgórzu, u stóp którego znajdowała się zatoka, miejsce wspólnych zabaw obojga dzieci, Tom zaczął kaszleć.

Biegając przez dziedziniec, Isabel uzmysłowiła sobie, jak to miejsce opustoszało. Zazwyczaj panował tu gwar, przewijał się tłum dziewczek od krów i chłopców stajennych, a wśród nich wyróżniali się rycerze w asyście giermków, straż i halabardnicy, lokalni kupcy starający się sprzedać miejscowe produkty i towary z dalekich stron. Konie, osły, woły chodziły luzem obok krów, psów i nielicznych owiec. Teraz jednak minęło ich tylko dwóch mężczyzn, którzy w ogromnym pośpiechu zniknęli za murem zewnętrznym. Tom znowu dostał ataku kaszlu.

Po wejściu do zamku Isabel odwróciła się za siebie, żeby spojrzeć na brata. Miał twarz koloru buraka, obrzmiała i spocną. Na ten widok zamarła.

- Nic mi nie jest - wyszeptał Tom z trudem.

Isabel, choć była jeszcze dziewczynką, zbyt wiele wiedziała na temat tej choroby, żeby nie zdawać sobie sprawy z powagi sytuacji. Pierwsze symptomy objawiały się kaszlem, gorączką, bólami głowy. W ciągu zaledwie paru godzin ofiara zarazy, często nie zdążywszy wrócić do domu, do bliskich, padała trupem.

- Tom! - krzyknęła, chwytając brata za ramię.

Chłopiec odskoczył.

- Nie dotykaj mnie! - ostrzegł. W tym momencie z jękiem złapał się za głowę.

Struchlała patrzyła, jak jej ukochany braciszek słania się, powalony ostrym bólem głowy.

Caroline złapała ją od tyłu za barki i siłą odciągnęła od Toma.

- Nie! - wrzasnęła Isabel, szamocząc się ze starszą kuzynką. - Nie! Pozwól mi zająć się moim bratem, proszę!

- Nie wolno - wyrzuciła z siebie Caroline, wzmacniając uścisk tłustych rąk. - On też zachorował, mój Boże! - Wciągnęła powietrze w płuca. - Paniczu! Proszę na górę do swego pokoju, i to szybko! Natychmiast do łóżka, słyszysz?

Tom skinał głową, zgięty w pół od straszliwego bólu.

- On mnie potrzebuje, pozwól mu pomóc! - wyła Isabel.

Caroline wymierzyła jej siarczasty policzek.

- Natychmiast się uspokój! Od tego zależy nasze życie!

Isabel nabrała do niej odrazy. Natychmiast ją znienawidziła, chociaż do tej chwili prawdziwie ją kochała.

- Domagam się zobaczenia z ojcem - zażądała z wściekłością. - Chcę się widzieć z Jego Lordowską Mością. Gdzie on jest? On ci pokaże, zobaczysz!

- Przechadza się przed komnatą hrabiny - zakomunikowała jej kuzynka.

- Wobec tego natychmiast tam pójde. Proszę mnie puścić, lady Caroline - rozkazała jej Isabel, bezskutecznie usiłując się wyzwolić z uścisku kuzynki.

Thomas upadł na podłogę u ich stóp.

Obie przez chwilę patrzyły na leżącego chłopca, niezdolne do wykonania żadnego ruchu. Isabel zorientowała się, że jej kuzynka straciła całą wojowniczość. Uwolniła się z jej rąk i pochyliła nad bratem. Zanim zdołała przewrócić go na wznak, Caroline schwyciła ją za włosy, wlokąc w głąb korytarza. Dziewczynka zawyla z bólu.

- Zostaw go! - krzyczała histerycznie jej opiekunka.

- Puść! - podobnym tonem domagała się Isabel. I nagle, ku jej zaskoczeniu, Caroline usłuchała.

W uszach jej dzwoniło, skóra na głowie piekła, bo Caroline omal jej nie oskalpowała. Isabel podbiegła do braciszka, uklękła przy nim, czując łyzy spływające po policzkach. Obróciła go na plecy i ujrzała na jego twarzy jeszcze więcej czerwonych punkcików tryskających krwią.

- Och, Tom - zapłakała. - Nie umieraj, nie możesz tego zrobić!

Zatrzepotał rzęsami, ale nie odpowiedział. Gdy go dotknęła, jego skóra parzyła jak ogień.

- Gdzie się wszyscy podziali? - krzyknęła, z rozpaczą rozglądając się wokoło. - Potrzebuję sługi, żeby zaniósł go do łóżka.

- Nie ma nikogo, kto by to zrobił - odpowiedziała jej Caroline, trzymając się z daleka od Toma. - Wszyscy lękają się zarażenia.

Isabel dłużej się nie wahała. Ona się nie zlekęła: jeżeli Tom ma umrzeć, to chce umrzeć razem z nim. Będzie się nim zajmowała, ale ktoś musiał pomóc jej zaciągnąć go do łóżka. Jej ojciec! Nikt nie ośmieli się odmówić spełnienia rozkazu hrabiego!

Pobiegła przez sień, wspięła się na piętro, spodziewając się ujrzeć ojca przed drzwiami apartamentów matki. Zamiast niego ujrzała dwie damy dworu, które obejmowały się wzajemnie, zalewając łzami. Isabel pędem ruszyła w ich kierunku.

- Cecelia! - krzyknęła, wykręcając jej rękę. - Gdzie jest hrabia? Co z moją matką? Gdzie się wszyscy ukryli?

Lady Cecelia Farquhuer zamrugała na jej widok czerwonymi od płaczu powiekami.

- Twoją matkę spała gorączka, jest cała pokryta otwartymi ranami. - Znowu wybuchła szlochem. - Lady Mary i lady Jane nie żyją. Zmarły jedna po drugiej w odstępnie kilku minut.

Isabel osłupiała. Dwie damy dworu jej mamy już umarły. A ojciec? Czy leży w łóżku? Z najwyższym trudem wymówiła:

- Ojciec?

- I on również zachorował.

Isabel cofnęła się o kilka kroków.

- Nie. To niemożliwe.

Lady Anne spojrzała na nią przez zalane łzami oczy, z głęboką rozpaczą.

- Idź więc i sama zobacz.

Isabel dalej się cofała, potrząsając głową, nie mogąc przyjąć do wiadomości takiej strasznej wieści. Jej ojciec był

najpotężniejszym panem, jakiego znała. Kiedy mówił, inni go słuchali, a kiedy chodził, ziemia pod nim drżała. Był jednym z doradców króla, ważnym członkiem rady królewskiej; bano się go jak samego monarchy i szanowano. Chociaż przekroczył już czterdzieści lat, był potężnie zbudowanym, żywotnym mężczyzną, który nadal brał udział w turniejach rycerskich i najczęściej zwyciężał, uwielbiał polowania i zwracał uwagę dam. Isabel w równym stopniu obawiała się ojca, co go podziwiała. Nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek źle postąpiła.

Teraz nie mógł przecież zachorować. Nie on - jej potężny, przystojny, wspaniały ojciec. Nie mógł zapaść na chorobę, która powalała swoje ofiary, nie okazując żadnej litości. Nikt, kto się nią zaraził, nie uchodził z życiem.

Nagle z komnaty jej matki wyszedł ksiądz.

Oczy Isabel rozszerzyły się ze zdumienia. Lady Margaret zachowała starą wiarę, ale bardzo prywatnie i w najgłębszej tajemnicy, a hrabia przymykał na to oczy. Isabel poczuła, że serce zamiera jej z trwogi. Ojciec Joseph w apartamentach jej matki o tej porze? Na miłość boską! A nuż go ktoś zobaczy! Jeśli jakieś słowo na ten temat dotrze na zamek królewski, jej matka zostanie oskarżona o herezję i zdradę główną.

- Ojcze? - zwróciła się do duchownego, w głębi ducha znając straszną odpowiedź.

Ksiądz padł na kolana.

- Najdroższa Isabel - rzekł żałobnym tonem. - Jest mi ogromnie przykro, ale twoja matka jest już teraz z Panem Bogiem, i pamiętaj, że odnalazła tam spokój duszy.

Isabel nie mogła nabrać tchu. Jej matka nie żyje? I nawet nie była zdolna powiedzieć „Do widzenia”?

- Nie - szepnęła, czując w sobie taki ból, jakby serce rozrywało się jej na kawałeczki. Przyłożyła dłoń do jeszcze nie ukształtowanej piersi. - Nie - powtórzyła, ogarnięta atakiem dreszczy.

Ksiądz uśmiechnął się do niej ze smutkiem.

- Była oddaną chrześcijanką, pełną dobroci kobietą i zapewniam cię, dziecko, że znalazła w niebiosach należne sobie miejsce. Jest teraz u Pana Boga, Isabel, gdzie musiała się na koniec znaleźć.

Dziewczynka rozpaczliwie kręciła głową, powtarzając w duchu „Nie, nie, nie”, podczas gdy obie damy dwory zaczęły głośno szlochać. Nagle odwróciła się i pobiegła pustym korytarzem. Żaden szlachcic nie stał u wejścia do apartamentów hrabiego, czego nie mogła zrozumieć.

Czy rzeczywiście nie rozumiała?

Albo wszyscy umarli, albo złąkli się śmierci.

Zagryzła wargi, czując, że serce tłucze się w jej piersi, a słone łzy spływają po twarzy. Otworzyła ciężkie drzwi. Na ogromnym łożu pod baldachimem spoczywały czyjeś nieruchome kształty.

- Wasza Lordowska Mość? - zapytała z lękiem. Ton jej głosu przeraził ją samą.

Nie było odpowiedzi.

Isabel struchlała.

Było dla niej zbyt okropne, by podejść do łoża i sprawdzić, czy ojciec żyje, czy też już umarł.

Odwróciła się i pomknęła po schodach w dół, ale gdy znowu znalazła się w wielkiej sieni, ujrzała wokół pustkę. Tom leżał nadal na posadzce, w tym samym miejscu, gdzie go zostawiła.

Upadła na kolana obok niego, już znając prawdę. Dotarło do niej z okrutną oczywistością, że ojciec także już nie żyje.

- Tom - zanosila się łkaniem - nie możesz umrzeć. Nie możesz mnie zostawić. Potrzebuję cię, nie odchodź!

Nie było żadnej reakcji, nawet drgnienia długich rzęs. Przez zalane łzami oczy dziewczynka widziała, że jej brat leży całkowicie nieruchomy. Ponieważ jednak łzy zniekształcały jej obraz, mrugnęła rozpaczliwie kilka razy, żeby odzyskać ostrość wzroku. Tak bardzo chciała ujrzeć, że Tom oddycha, że żyje. Ale nic to nie pomogło, bo gdy popatrzyła na niego suchymi oczami, nadal nie drgnął. Ale chyba oddychał?

Ogarnął ją jeszcze większy lęk, jeszcze większa trwoga.

Przyłożyła mu do ust trzęsącą się ze strachu rękę.

Nie poczuła na dłoni najbliższego oddechu.

Spróbowała jeszcze raz, chociaż drżała jak w ataku febry. Była przekonana, że poczuje na skórze jego ciepły, wilgotny oddech.

Ale nie poczuła nic.

W rozpacz rozzerwała jego koszulę i przyłożyła ucho do piersi. Klatka piersiowa nie unosiła się i nie opadała, a co gorsza - nie dochodziło z niej nawet najsłabsze bicie serca. Nic. Śmiertelna cisza.

Nie żył.

I kiedy jej stryj, John de Warenne, przybył trzy dni później na pogrzeb krewnych, umarła też i jej maleńka siostrzyczka, i Caroline. Natomiast Isabel ocalała.

Nie wiedziała dlaczego.

ROZDZIAŁ 12

Casa de Suenos - godzina 21.00

- Podejrzewałem zarzę.

Jego głos dobiegał z oddali. Cass musiała zamknąć oczy, próbując wymazać w wyobraźni scenę, w której śliczna ośmioletnia dziewczynka stoi pośrodku średniowiecznego dziedzińca wstrząśnięta śmiercią całej rodziny.

Nie, nie całej. Jej stryj ocalał. I on został hrabią Sussex, gdy ojciec Isabel zmarł.

Otworzyła oczy i spostrzegła, że Antonio wpatruje się w nią z troską.

- Jakie to tragiczne - szepnęła. - Jeśli to była dżuma, łatwo będzie ustalić szereg faktów.

- Jutro — zapewnił ją.

Za oknami rozszalał się wiatr. Wskutek gwałtownych podmuchów zaskrzypiały framugi okienne.

Cass nie spuszczała wzroku z Antonia. Nie mogła się jednak uwolnić od obrazu Isabel jako dziecka, które przeżyło koszmar.

- Była sierotą - rzekła ponurym tonem. - Gdy ojciec zmarł, pozostała na łasce stryja. Sussex prawdopodobnie stał się opiekunem Isabel. Wyobrażam sobie, że musiał zaaranżować jej małżeństwo.

- Tak sędę - odparł Antonio z oczami utkwionymi w jej twarzy. - Isabel musiała dostać ogromny posag, by zostać odpowiednią partią dla męża. Cass, czy nic ci nie jest?

Cass wpatrywała się w niego, uprzytomniwszy sobie, że

jego entuzjazm do tajemnic rodzinnych ustąpił pod naporem troski o nią. Ciągłe była jak ogłuszona i zaskoczona własną reakcją na fakty, które właśnie odkryli.

- Cassandro? - Klęczeli tuż obok siebie, stykając się ramionami. - Coś cię gryzie. Co to jest?

Ogień w kominku oświetlał jego gładką, złotawą cerę i orzechowe oczy. Cass dopiero teraz umoczyła usta w martini. Było zimne, gorzkawe i wytrawne. Uświadomiła sobie, jak blisko siebie klęczą, a przecież Tracey mogła wejść w każdej chwili.

Podniosła się raptownie w poczuciu winy.

- Jej życie było tragiczne od początku do końca. To znaczy, straciła wszystko, gdy miała osiem lat, i zginęła na stosie dwanaście lat później. To przerażające.

- Zgadzam się z tobą. - Nadal na nią patrzył i także wstał. - Może to wyjaśnia chłód tego domostwa.

Wlepiła w niego oczy.

- Czy wierzysz w duchy?

- Nie jestem pewien - odparł szczerze. - Kryje się w tym pewien urok, prawda? - Uśmiechnął się leciutko.

Cass też zmusiła się do uśmiechu.

- Tak, to romantyczne - zgodziła się. - Ja mam co do tego mieszane uczucia - wyznała. - Czy Isabel nie musiała przejść na katolicyzm, żeby móc poślubić Alvarada?

- Tak.

- Więc w jaki sposób mogła być skazana za herezję?

- W dziejach naszej historii ci, którzy przechodzili na inną wiarę, byli pierwszymi kozłami ofiarnymi Inkwizycji.

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy - odparła Cass. - Z jakiegoś powodu zakładałam, że ona zmarła w Anglii. Ale pewnie masz rację, może wręcz zginęła tutaj? - Zadrżała na samą myśl. - No cóż, jeśli nawiedza ten dom, jest to w pełni zrozumiałe. Będąc na jej miejscu, zrobiłabym to samo.

- A więc myślisz, że ona straszy w tym domu? - spytał Antonio, nie spuszczać z niej wzroku.

Cass, patrząc nadal na niego, powiedziała wolno:

- Nie wiem. - Po chwili dodała: - Mam nadzieję, że nie. Ale...

- Ale co?

Zanim zdołała wyrzucić z siebie wszystko, co ją gnębiło, odezwał się Gregory:

- Wreszcie spotkałeś odpowiednią partnerkę, Antonio. Kobieta równie opętana przeszłością, jak ty. - Uśmiechnął się do obojga.

Cass zerknęła na jego przystojną twarz i uświadomiła sobie, że ten uśmiech jest fałszywy, bo nie rozjaśniał jego oczu. Zaskoczyło to ją. I zastanowiło, czy jej nie lubi.

W tej samej chwili Gregory utkwiał w niej złowrogi wzrok.

Cofnęła się gwałtownie, wpadając na Antonia. Byłaby się przewróciła, gdyby jej nie podtrzymał. Gdy ponownie zerknęła na Gregory'ego, ten uśmiechał się w najlepsze, wzór męskości i swobody bycia.

Nie mogła nabrać tchu. Czy naprawdę ujrzała w jego oczach nienawiść, czy też uległa halucynacji? A jeśli tak było, to dlaczego jej nienawidził?

Na miłość boską, przecież ledwie się poznali!

Znów poczuła znajome drżenie. Odsunęła się od Antonia, zanim uzmysłowiła sobie obecność jeszcze jednej osoby. Kiedy spojrzała w kierunku drzwi, ujrzała na progu Tracey.

Zesztywniała, przypominając sobie scenę, gdy Tracey boso, z włosami w nieładzie, wymykała się z sypialni Antonia. Nie mogła się uwolnić od tego widoku.

Chwilę później przed jej oczami pojawiła się Tracey siedząca jak katatonik pod drzewem.

I nagle Cass załała nienawiść do siostry. To Tracey stała na przeszkodzie jej związku z Antoniem, przez nią będzie musiała odmówić jego propozycji i wrócić do domu, a na dodatek to ona może w każdej chwili odebrać jej Alysę.

Ogrom nienawiści zdumiał ją.

- Hej - rzekła Tracey z lekkim wahaniem. Uśmiechnęła się do Antonia, do Cass, wreszcie zatrzymała wzrok na Gregorym.

Tamten patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, jego nagły zachwyt nowo przybyłą nie ulegał kwestii. Cass była zbyt wiele razy świadkiem takiej reakcji, żeby się temu dziwić.

Odwróciła się, gdy Antonio przedstawiał ich sobie. Trzęsło

nią z wewnętrznej pasji. Nie znosiła siebie za swoją zazdrość. Dlaczego jej osobowość została zredukowana do takich prostackich emocji? Przecież była zarazem dawną Cass, dobrą, rozsądną istotą, na której można było zawsze polegać. Rodzinny typ, obowiązkowa siostrzenica, serdeczna siostra, macierzyńska ciotka. Miała naturalny talent do mediacji!

Oddaliła się od zebranych i stanęła przy kominku, wpatrując się w tańczący ogień. Czuła dotkliwy ból w skroniach. I w tym momencie ujrzała, jak Isabel uśmiecha się do niej spośród płomieni.

Krzyknęła, odskakując od kominka.

Antonio podbiegł do niej z przerażeniem w oczach.

- Czy się oparzyłaś? - krzyknął. Ścisnęła go za ramię, wlepiając niewidzący wzrok w jego twarz. Ujrzała jednak nie jego, lecz Isabel, która uśmiechała się do niej krzywo. Zerknęła na kominek. Ogień płonął jak gdyby nigdy nic, co pewien czas rozlegał się miły dla ucha trzask gałązki.

Cass drżała jak liść.

- Sparzyłaś się? - zapytał ponownie Antonio, mocno ją trzymając.

Cały świat wirował w jej głowie.

- Nic jej nie jest? - To był głos jej przekłętej siostry.

- Robi wrażenie, że za chwilę zemdleje - rzekł Gregory.

Cass nigdy dotychczas nie zemdleła i chciała im to zakomunikować, ale zanim zdążyła wykrztusić słowo, widok przed jej oczami stracił barwy, zamienił się w szarą bezkształtną masę, za oknami zawył wiatr, wałąc w futryny i wreszcie wszystko pochłonęła ciemność.

Dżuma.

Czy wierzysz w duchy?

Ona nas wzywa tu wszystkich.

Zbierało się jej na wymioty. Słyszała jakby z oddali nierzezywiste głosy Antonia i Alyssy, ale gdy wróciła do przytomności i usłyszała, że mówią do niej naprawdę, poczuła jakiś odrażający odór. Kaszlnęła, szeroko otwierając oczy.

Antonio klęczał przy niej, podetknawszy jej pod nos sole trzeźwiące.

- Już mi nic nie jest - wymamrotała, odsuwając od siebie rękę z flakonikiem.

- Ależ wcale nie czujesz się dobrze - rzekł stanowczym tonem. - Jesteś pewnie wyczerpana.

- Nie sędzę, ona nigdy w życiu nie zemdlała. - Te słowa pochodziły od Tracey, która stała z Gregorym obok sofy.

Cass próbowała usiąść, ale znowu zakreśliło się jej w głowie i wróciła do dawnej pozycji.

- Leż spokojnie! - krzyknął Antonio stanowczo.

Spojrzała na niego, nieomylnie wyczuwając w jego głosie troskę o stan jej zdrowia.

Poczuła promieniujące ciepło w okolicy serca.

- Już w porządku - odezwała się, ledwie zdolna do wymówienia choćby krótkiego zdania. - Nie wiem, co się stało... - I nagle struchlała.

Przecież chwilę przedtem zobaczyła wśród płomieni twarz Isabel.

- Ciociu Cass? - Alyssa wyrzekła te słowa z dziecinnym lękiem.

Nie - myślała rozpaczliwie Cass. Nikogo nie ujrzała w ogniu kominka. Po prostu ma obsesję na punkcie Isabel i wyobraźnia płata jej okrutne figle.

- Kochanie, zemdlałam. Chyba z przemęczenia. Ale teraz jest już wszystko dobrze.

Alyssa obeszła klęczącego na podłodze Antonia, a Cass wyciągnęła rękę, że uścisnąć jej małą dłoń.

- Nie będzie więcej martini - zapowiedział pan domu. W tym momencie zadzwonił telefon. - Alfonso go odbierze - dodał, podsuwając Cass ramię pod plecy. Pomógł jej usiąść.

Dziewczyna była jak odurzona jego bliskością i poczuła, że się rumieni. Rzuciła okiem na siostrę. Tamta wpatrywała się w nią. Nic się nie zmieniło.

Czyżby?

Bo Gregory również wpatrywał się w nią intensywnie.

W drzwiach pojawił się Alfonso. Był żwawym mężczyzną koło sześćdziesiątki, ze strzechą siwych włosów.

- *Senora* - zwrócił się do Cass. - *Telefono*. - I rzekł do Antonia: — *La cena*.

Cass była pewna, że Antonio zaraz powie służącemu, iż powinien sam przyjąć wiadomość, więc z trudem dźwignęła się z podłogi. W jakiś sposób nie wątpiła, że telefonuje jej ciotka, do której zapomniała zadzwonić po przyjeździe do Kastylii. Chwilę później trzymała słuchawkę w ręce. Antonio dotknął jej ramienia, podczas gdy reszta towarzystwa opuszczała bibliotekę.

- Kolacja jest na stole - powiedział cichym głosem. - Będziemy w jadalni.

Cass kiwnęła głową. Gdy już wszyscy wyszli, odezwała się:

- Ciociu Catherine?

- Co za ulga, że to... ty. - Połączenie było okropne, z trzaskami i echem na linii. - Najgorszy kłopot... - rzekła ciotka.

- Bardzo źle cię słyszę - krzyczała Cass, ściskając słuchawkę. - A ty mnie dobrze słyszysz? Czy u ciebie wszystko w porządku?

- W porządku - odpowiedziała ciotka. Mówiła dalej, ale Cass nie mogła zrozumieć ani słowa.

- Ciociu, nie słyszę! - wrzasnęła. - To połączenie jest po prostu fatalne!

Ciotka znowu coś powiedziała. Cass zdołała jedynie wyłowić: „Lot” i po chwili „Madryt”.

Ogarnął ją popłoch.

- Ciociu Catherine? - Poczowała się tak, jakby na barkach postawiono jej ogromnie ciężkie odważniki, pod których brzemieniem niemal się przewracała. Zauważyła, że światła w bibliotece przygasły. A może to tylko cienie? Chyba nie zemdleję znowu - pomyślała w panice. - Co powiedziałaś?

- Kastylia! - krzyknęła Catherine. - Jutro!

Cass zamarła, nie mogąc nabrać tchu. Dopiero w tym momencie dotarło do niej, że ciotka przyleciała do Madrytu i że nazajutrz przyjeżdża do Kastylii.

...I wkrótce przybędzie ciocia Catherine...

- Nie! - krzyknęła do słuchawki. - Ciociu, nie przyjeżdżaj, za kilka dni wracamy do Anglii... - Zamilkła, bo w bibliotece zgasły wszystkie światła.

Nie ruszyła się z miejsca. Ścisnęła słuchawkę z całych sił,

stojąc w ciemnościach. Serce waliło jej jak młotem, lęk wzmógł odruch wymiotny.

Jej ciotka przybywa do Casa de Suenos.

Najpierw przyjechała ona i Tracey z Alyssa, potem Gregory, a teraz Catherine Belford...

- Przestań - mruknęła do siebie, kładąc słuchawkę na widełkach. Po omacku znalazła lampę i nacisnęła przełącznik. Światło się nie zapaliło. W rosnącej panice Cass poczęła się przekonywać, że to na pewno wina starej instalacji; przecież to był wiekowy, zaniedbany dom. Obróciła się i stuknęła kolaniem w krzesło. Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok.

Struchlała, niezdolna do najmniejszego ruchu. Wysilała słuch, by wyłović jakiś niepokojący dźwięk. Wrażenie czyichś oczu wpatrujących się w nią wcale nie mijało, wywołując gęsią skórę. W końcu zdołała się obrócić.

- Isabel? - wyszeptwała.

Bo teraz poczuła i zapach, coraz mocniejszą woń fiołków. Nie miała najmniejszych wątpliwości, do kogo należą te perfumy.

- Isabel? - Nie uważała się za wariatkę, raczej dominowało w niej poczucie własnego tchórzostwa. Trzęsa się jak w ataku febry. - Czy jesteś tutaj?

Zapach fiołków stawał się nie do zniesienia.

Na kominku zsunęła się płonąca szczapa.

Trudno to nazwać niecodziennym zjawiskiem, ale Cass aż drgnęła. Ostrożnie zlustrowała pokój. Nikogo nie dostrzegła, w bibliotece były jedynie meble, książki i obrazy. Zrobiła parę kroków do tyłu, nadal bacznie się rozglądając. Bez wątpienia była sama.

Jej ramię dotknęło czegoś miękkiego.

Podskoczyła z krzykiem, ale gdy się odwróciła, dostrzegła w ciemnościach fałdę zasłony. Nie mogła jednak zapanować nad oddechem, płytkim i przerywanym.

I wtedy uzmysłowiła sobie, że choć wszystkie okna są szczelnie zamknięte, że w domu nie ma - rzecz jasna - klimatyzacji, to te przekłete zasłony wyraźnie się poruszały.

Poruszały się.

Ona tu jest - przemknęło jej znowu przez myśl.

Po chwili jednak zmieniła zdanie. Nikogo tu nie ma! Nie bądź idiotką!

Wlepiła oczy w zasłony, które jakby się uspokoiły.

- Isabel? Czego chcesz? Nie jestem twoim wrogiem. Uważam się za twoją przyjaciółkę. Powiedz, o co ci chodzi.

Nie wiedziała, czego oczekiwać, ale w każdym razie nie usłyszała odpowiedzi. Zadrżała w ciszy, która aż dzwoniła w uszach.

- Cassandro?

Obróciła się na dźwięk głosu Antonia. De la Barca stał w drzwiach do biblioteki, trzymając w ręku świecę. Ponieważ w domu nie było przeciągu, paliła się jasnym, prostym płomykiem.

- Do kogo mówisz?

Cass uprzytomniła sobie, że ma ciało złane potem. Zbliżając się do niego, ominęła kilka krzeseł i stolików.

- Antonio, zmieniłam zdanie. - Starła się mówić cicho. Gdy dotarła do progu, poczuła wyraźną ulgę. Musiała się powstrzymać, żeby nie przytulić się do niego.

- W jakiej sprawie? - spytał.

- W sprawie wiary w duchy.

Popatrzył na nią uważnie i powiedział:

- Jestem przekonany, że chwilowy brak prądu jest związany ze złym stanem przewodów i ogólnym zaniedbaniem domu, a nie z nią.

Cass wlepiła oczy w jego twarz, na której kładło się światło od świecy.

- Czy czujesz ten zapach kwiatowy?

- Tak - odparł bez wahania.

Cass zwilżyła wargi.

- To jej zapach. To ona. Isabel.

Przynajmniej się nie roześmiał. Odpowiedział rzeczowym tonem:

- Jutro wzywam elektryka. W całym domu nie działają lampy. Gregory i Alfonso szukają korków.

Cass zrobiła niewyraźną minę.

- Czy dom jest podpiwniczony?

- Coś w tym sensie.

Poczuła, że znowu sztywnieje ze strachu.

- Lochy w zamkach znajdują się głęboko pod ziemią. Nigdy o tym nie myślałam, ale...

- To był ufortyfikowany dwór. Masz rację. Pod spodem są lochy.

- Właśnie tego potrzebujemy - westchnęła. - Aha, telefon też nie działa.

Dotknął jej łokcia.

- *Zjemy kolację przy świecach* - oznajmił.

Cass doszła do wniosku, że w ogóle nie ma apetytu. Wezwanie. Niech to szlag, to słowo było teraz wyryte w jej świadomości.

Gdy szli korytarzem, Antonio odezwał się nagle:

- Chyba nadszedł czas, żebym był z tobą szczerzy. - Zamilkł, wahając się.

Czekała, aż dokończy myśl.

- Sądzę, że i ja poczułem jej obecność.

Stanęli na progu oświetlonej świecami jadalni, omal stykając się ramionami. Pokój nie przedstawiał się jednak zacisznie, złowieszcze cienie przesuwały się po ścianach. Z pewnością nie była to romantyczna sceneria.

- Co masz na myśli, mówiąc, że czujesz jej obecność?

- Myślę, że najsilniej się ją odczuwa w sypialni na piętrze. Łudziłem się, że to tylko figle wyobraźni. - Podejrzewała, że w tym momencie się zaczerwienił. Trudno było to orzec z całą pewnością w migotliwym i słabym świetle. - W tym pokoju wyczuwa się ciężką, gęstą atmosferę. Powiedziałbym nawet, że przepojoną nieszczęściem.

Cass nie ruszała się z miejsca, patrząc na niego.

- Całe domostwo sprawia takie wrażenie. Musiała być w okropnym stanie, gdy tu przybyła.

- Jeżeli rzeczywiście ona straszy w Casa de Suenos, to prawdopodobnie ma ku temu istotne powody - rzekł Antonio. - Jej duch znajduje się tu od czterystu czterdziestu pięciu lat. - Uśmiechnął się lekko, spoglądając na Cass.

Ciągle tkwili w drzwiach jadalni. Tracey obserwowała ich,

siedząc przy stole sama z dziećmi. Eduardo i Alyssa również skupili na nich uwagę.

- Martwi mnie to - szepnęła Cass w końcu, starając się, by dzieci jej nie usłyszały. - Ciotka Catherine znajduje się w drodze do Casa de Suenos, a to oznacza, że będą tu obecni wszyscy żyjący z rodów de Warenne i de la Barca, z wyjątkiem twojej matki.

- Nie pojmuję, o czym mówisz - rzekł wolno Antonio.

Nabrała tchu.

- A co będzie, jeśli się okaże, że jesteśmy tutaj z jakiegoś powodu? I co powiesz, jeżeli ten powód jest związany z przeszłością? Z nią? Odnoszę wrażenie, że ilekroć nasze rody wiązały się ze sobą, wynikały z tego wyłącznie tragedie. Teraz bez wątpienia jesteśmy tu razem. - I dodała z ponurą miną: - Jestem przekonana, że Isabel nienawidzi twojej rodziny.

- Isabel nie żyje od wieków - odparł Antonio tonem dalekim od lekkości. - Wiele rozmyślałem nad tym niewiarygodnym zbiegiem okoliczności.

Patrzyli na siebie, nagle zaniepokojeni.

- Znaleźliśmy je, ale niewiele to nam pomoże - oznajmił Gregory, zbliżając się w ich stronę z latarką w ręce. - Tonio, musisz zadbać o to miejsce. Wysadziło wszystkie korki. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

- Nie mamy tu zapasowych korków? - spytała Cass z paniką w głosie.

- Alfonso rozgląda się za nimi - wyjaśnił Antonio. - Może usiądźmy i spróbujmy coś zjeść. - Dotknął ramienia Cass i podprowadził ją do stołu. W tym momencie latarka w ręce Gregory'ego zgasła.

Drugi de la Barca zaklął po hiszpańsku, bezskutecznie naciskając guzik. W końcu spojrzął na brata, nie kryjąc zdumienia.

- Trudno w to uwierzyć. Nie masz zapasowych baterii?

Antonio wpatrywał się w masywną latarkę, która tak niespodziewanie odmówiła posłuszeństwa.

- Nie wiem.

Gregory jęknął głośno.

Cass spojrzała na dwoje wyraźnie niespokojnych dzieci. Po

chwili zerknęła ponownie, bo kątem oka dostrzegła, że Tracey ma idealnie spokojną, zrelaksowaną twarz. Wydało się to jej zupełnie zaskakujące.

- W porządku, moi kochani, jutro światło zostanie uruchomione - zakomunikowała pogodnym tonem. Myślała jednak o swoim laptopie, o braku prądu, o latarce, która przestała świecić i o zagadkowej statyce na ekranie. Nie mogła też zapomnieć twarzy, która ukazała się jej w płomieniach na kominiku, choć teraz była przekonana, że była wytworem jej wyobraźni. Nadal jednak uważała, że Isabel straszy w Casa de Suenos.

Czy jednak warto się tym przejmować?

Przecież Isabel jest smutnym i tragicznym duchem. Co złego mogłaby im zrobić?

Tracey nagle wstała.

- Tak, wszystko jest w porządku.

Cass natychmiast wyczuła niebezpieczeństwo. Zachowanie siostry zdumiało ją. Tracey była jak na siebie zbyt spokojna, za bardzo opanowana. To nie budziło zaufania, przypominało jej atak katatonii pod drzewem.

- Siostrzyczko? - zagadnęła ostrożnie.

Tracey uśmiechnęła się do niej.

- Nie jestem głodna. Czuję się ogromnie znużona. Pójdę do swego pokoju.

Cass obserwowała z rosnącym napięciem, jak siostra odchodzi od stołu. Pomyślała, że wcale się jej nie podoba, iż Tracey zostanie sama w sypialni. Złękła się o nią, więc postanowiła ją zatrzymać. Podbiegła do niej, mówiąc:

- Nie możesz poczekać? Za dwadzieścia minut Alyssa i ja też pójdziemy na górę.

Tracey spozjrzała jej w oczy, wyglądając jak uosobienie niewinności.

- Cassandro, co się dzieje? Czyżbyś bała się ciemności?

- Trochę się boję - przyznała Cass. - Zwłaszcza w taką noc.

- A ja kocham ciemność - oznajmiła Tracey z lekkim uśmiechem. - Dobranoc. - Odwróciła się i tanecznym krokiem ruszyła w stronę sieni.

Cass nie spuszczała z niej wzroku. I dopiero gdy tamta zniknęła za rogiem, uświadomiła sobie, że Tracey nigdy nie zwracała się do niej per „Cassandro” i że zawsze obawiała się ciemności.

Alyssa mocno ścisnęła dłoń Cass, gdy towarzystwo życzyło sobie *dobrej nocy, rozchodząc się do swoich pokoi*. Serce Cassandry zabiło boleśnie, kiedy Antonio, trzymając Eduarda za rękę, udawał się z Gregorym długim korytarzem do drugiej części domu. Stała, wpatrując się w ich sylwetki. Ta noc stawała się ciężkim brzemieniem. Gorzej nawet, groziła czymś nieokreślonym.

Na szczęście wiatr ustał.

Teraz jednakże cisza była aż nienaturalna. Śmiertelna cisza - przyszło Cass do głowy.

- Jak tu cicho - szepnęła Alyssa. - Ciociu, czy musimy nocować na górze?

Cass usiłowała dodać dziecku otuchy, uśmiechając się promiennie. Szły ciemnym korytarzem, na którego ścianach pojawiały się cienie od płomyka świecy w jej ręce. Ten hol wystarczył, by dostać gęsiej skórki. Ich kroki dudniły po drewnianej podłodze. Cass z trudem walczyła, by co chwila nie oglądać się za siebie. Była przekonana, że nie zmruży oka. I bez względu na to, jak się w myślach besztła, w żaden sposób nie potrafiła się zrelaksować.

- Jak myślisz, gdzie mogłybyśmy się położyć, jeśli nie chcesz spać w naszym pokoju?

- Nie wiem - odparła bezradnie Alyssa.

Na piętrze panowała taka sama cisza, jak na parterze. Drzwi od sypialni Tracey były zamknięte. Cass aż ścisnęło w brzuchu, gdy je mijała. Złękła się, że jej siostra śpi sama. Zastanawiała się, czy nie zajrzeć do niej, ale rzut oka na pobladałą i spiętą twarzyczkę Alyssy kazał jej zmienić zdanie. Osobą, która wymagała największej troski, była jej siostrzenica.

Wchodząc do pokoju, zostawiła szeroko otwarte drzwi. I po paru sekundach zamarła z wrażenia.

Jej wzrok napotkał świecący ekran laptopa. W rogu migiała ikonka DOS.

Alyssa albo zrozumiała, co się święci, albo wyczuła napięcie ciotki, bo jeszcze mocniej ścisnęła jej rękę.

Cass stała jak sparaliżowana, niezdolna do zebrania myśli. Przecież przed wyjściem wyłączyła komputer. I do tego w całym domu nie było prądu.

Wreszcie podbiegła do wyłącznika na ścianie. Nacisnęła go - bez skutku, żarówka się nie zaświeciła.

W tym momencie dotarło do niej, że pewnie laptop działa dzięki bateriom. Ale przecież schodząc na kolację z całą pewnością go zamknęła. Chyba to zrobiła?

- Co się dzieje? - krzyknęła Alyssa.

Cass oblał zimny pot. Nie zamierzała wyciągać idiotycznych wniosków. Jak powiedział Antonio, i cóż takiego, że Isabel krąży po domu? Bez wątpienia straszyla tu od czterystu czterdziestu pięciu lat. W końcu nie ma w tym nic nadzwyczajnego, większość zamków i dworów w Anglii jest nawiedzana przez duchy.

Jednakże zjawy nie otwierają klap laptopów i nie uruchamiają ich. Musiało być jakieś racjonalne wytłumaczenie tej zagadki.

- Nie chcę tu spać - jęknęła Alyssa z desperacją w głosie. - Za nic w świecie!

Cass poczuła dotyk na plecach. Odskoczyła z krzykiem.

To była rączka Alyssy. Gwałtowny ruch Cass spowodował jednak, że świeca zgasła.

- Teraz nie mamy żadnego światła! - pisnęła Alyssa, krztusząc się od hamowanych z trudem łez.

- Kochanie, i tak nie możemy spać przy zapalanej świeczce. - Cass starała się, by jej głos brzmiał pogodnie, ale poczuła, że kropla potu spływa jej po skroni. Postanowiła, że nie zamknie komputera, bo jego ekran stał się teraz ich jedynym źródłem światła.

Rozejrzała się wokół, lecz nie dostrzegła niczego podejrzanego, prócz cieni skaczących na ścianach.

- Wiesz, mam świetny pomysł: weźmiemy koce i poduszki i pójdziemy spać na dół... do biblioteki. - Doszła do wniosku, że będzie im raźniej, jeśli ułożą się do snu w tej samej części

domu, co pozostali mieszkańcy. A ponadto, jeżeli którąś z komnat można nazwać przytulną, to właśnie tę.

- Świetnie! - ucieszyła się dziewczynka.

Chwilę później ruszyły schodami w dół.

- Co więc zamierzasz zrobić? - zapytał Gregory Antonia, gdy obaj ułożyli do snu Eduarda.

Antonio pchnął drzwi do kolejnej sypialni w głębi korytarza.

- O co ci chodzi? - Rozmawiali po hiszpańsku, i to jak najciszej, żeby nie obudzić chłopca.

Gregory uśmiechnął się do brata i skrzyżował ręce na pierśsi, czekając na progę, aż tamten postawi na stoliku zapaloną świeczkę.

- Twoja nowa dziewczyna jest super, ale to nie twój typ. Zupełnie nie twój.

- Masz rację.

Gregory znowu się uśmiechnął. Od chwili, gdy pojawił się w Casa de Suenos, było dla niego oczywiste, że trafił na nieodbraną parę. W miarę upływu czasu tylko się utwierdzał w swoim przekonaniu.

- Powiem ci w zaufaniu, że znając ciebie tak dobrze jak samego siebie, widzę jak na dłoni, iż bardziej odpowiada ci Cassandra. - Bez względu na to, co czuł odwiedzając po latach dom rodzinny, z zainteresowaniem obserwował rozwój sytuacji.

Antonio spojrział mu w oczy.

- Dlaczego czerpiesz taką przyjemność ze śledzenia moich prywatnych spraw? - zapytał bez gniewu w głosie.

- Dlatego że jestem siedem i pół minuty młodszy od ciebie - roześmiał się Gregory. - Dzięki tobie czuję, że żyję - żartował. Bo to on, a nie jego brat, stale zmieniał dziewczyny w czasie weekendów na południu Francji. Poważniejąc, oparł rękę na ramieniu Antonia.

- Po raz pierwszy od dawna widzę uśmiech w twoich oczach.

Bliźniacy na dłuższą chwilę utkwili w sobie wzrok, myśląc o tej samej kobiecie - żonie Antonia.

- Prześpij się - rzekł w końcu Antonio. - Miałeś męczący dzień. - Odwrócił się, trzymając w ręce świeczkę. Zapadła cisza. - Och, a propos, Cassandra i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Gregory skinął głową, świadomy faktu, że jego brat nie dopuścił, aby poruszyć kwestię Margarity. Ale ucieszyło go, że wykazał nieco zainteresowania kobietą, z którą powinien się spotykać.

- Co za połączenie - dodał lekkim tonem. - Siostry, no, no.

- *Buenas noches* - rzekł Antonio stanowczym głosem, zamykając drzwi.

Gregory wybuchnął śmiechem i rzucił marynarkę na łóżko. Z zadowoleniem odnotował, że Alfonso przyniósł do pokoju jego torbę podróżną. Gdy ściągał krawat, dobry humor nagle go opuścił. Co go napadło, żeby przyjechać do domu rodzinnego? Nie był tu od tamtego lata, kiedy umarł ojciec.

Cała radość ze spotkania brata i bratanka oraz ulga, że nic złego im się nie stało, ulotniły się bez śladu. Nienawidził Casa de Suenos, miejsca zgonu ojca. Niekiedy sądził, że nie znosił Casa de Suenos jeszcze bardziej niż Antonio.

Zbyt dobrze pamiętał, jakby to było kilka dni temu, a nie przed trzydziestu pięciu laty, jak ukrywał się w szafie matki. Ale czego się obawiał? Przed kim się chciał schronić?

Zamknął oczy. Jego psychiatra wyjaśnił mu, że dzieci mają nadzwyczaj rozwiniętą wyobraźnię i że najczęściej wymyślają sobie towarzysza zabaw. Gregory wielokrotnie usiłował go przekonać, że w jego wypadku nie był to ktoś, kogo sobie stworzył, lecz że był to demon. Demon pod postacią pięknej kobiety, która pojawiała się, kiedy najmniej się tego spodziewał, zmuszając go do ucieczki i znalezienia kryjówki, by mógł pokonać paniczny lęk.

Zamarł, zdejmując koszulę. Czy usłyszał jakiś hałas dobiegający z korytarza?

Nie - doszedł do wniosku. To było złudzenie. Gregory potwórzył sobie w myślach, że nie jest już strachliwym nerwowym dzieckiem, lecz głównym doradcą finansowym banku Barclay w Madrycie, ma piękny dom w mieście i willę w nadmorskiej miejscowości Marbella na Costa del Sol. A ten cały

psychiatra, którego zresztą rzucił, miał niewątpliwie rację: demon był wytworem jego imaginacji, nawet jeśli nie służył mu jako towarzysz zabaw. W końcu owa piękna kobieta nie zrobiła mu żadnej krzywdy. Do dziś dnia nie doszedł, dlaczego nawiedzała go z taką częstotliwością, gdy miał trzy-cztery lata.

Mimo to puls zaczął mu bić znacznie szybciej. Nie mógł opanować nienawiści do tego domu. Powietrze stało się gęste, wręcz go dusiło. I choć za oknem widział bajecznie rozgwieżdżone niebo, ta noc przerażała go ciszą i śmiertelnym spokojem. W dodatku nadal nie było elektryczności, telefon nie działał. Poczul się jak jeniec, wbrew swojej woli przeniesiony do barbarzyńskich czasów.

Przed jego oczami przesunęła się seria przerażających scen, zbyt szybko, aby je można było odróżnić, ale we wszystkich dominowała krew. Wreszcie pojął, że tak oto wyobrażał sobie Margaritę umierającą ohydną, gwałtowną śmiercią, a przedtem ojca, potrąconego przez samochód na ulicy w Pedrazie.

A przecież w rzeczywistości wcale tego nie widział.

W myślach pojawiła się coraz bardziej wyrazista postać kobiety. Z rosnącą paniką usiłował pozbyć się tego natrętnego obrazu. Chociaż wszelkimi siłami wzbraniał się przed jej widokiem, doskonale wiedział, kim jest. Nie chciał przywoływać demonów prześladujących go w dzieciństwie. Wiele lat temu jej postać była tak plastyczna, że wydawała mu się realną osobą. Teraz postanowił, że oddali ją do najgłębszych zakątków świadomości.

Coś zaskrobało w drzwi. Gregory zamarł.

Ktoś skrobał paznokciem po drzwiach jego pokoju.

Wiedział, kto to jest. Przez chwilę ogarnął go taki lęk, że stał się znowu przerażonym chłopczykiem.

Cass i Alyssa, obładowane kocami i poduszkami, właśnie wchodziły do biblioteki, gdy stanęły osłupiałe, widząc, jak drzwi po przeciwnej stronie otwierają się i na progu staje Antonio z uśpionym Eduardem, trzymając w drugiej ręce pościel.

Popatrzył na nie zaskoczony. Zapalone świece, które

przedtem tu umieścić, oświetlały pokój wystarczająco, by zauważyć jego minę.

Cass pomyślała, że może nie rozpoznał ich z tej odległości, więc zawołała na wszelki wypadek:

- Co tutaj robicie?

Teraz dopiero się uśmiechnął.,

- Mógłbym zapytać o to samo.

- Postanowiliśmy rozbić tu obozowisko - rzekła lekkim tonem.

Antonio nie przestawał się uśmiechać.

- A ja zamierzałem trochę poczytać.

Cass wskazała na śpiącego w jego ramionach chłopca. Czy on również nie miał ochoty zostawić syna samego w pokoju?

Spoważniał.

- Nie chciałem, żeby Eduardo spał sam w sypialni, chociaż w sąsiednim pokoju umieściłem Gregory'ego.

Oboje popatrzyli na siebie z rosnącym zrozumieniem. Cass uzmysłowiła sobie, że powinni porozmawiać - i to otwarcie. Ułożyli dzieci na kocach w kącie biblioteki, obok sofy i masywnego biurka.

- Wygodnie ci? - zapytała Cass Alyssę, całując małą w policzek. Eduardo, który na chwilę się obudził, leżał tuż przy niej.

- Dużo lepiej - orzekła Alyssa, ziewając przeciągle. Natychmiast opadły jej powieki, jak lalce, która już od roku nie towarzyszyła jej w łóżeczku.

Cassandra stanęła, czując badawczy wzrok Antonia. Mężczyzna wpatrywał się w śpiące dzieci i w nią. Jej serce zabiło mocniej pod tym spojrzeniem.

Nie ruszała się. Wszystko to spadło na nią jak kamień. Minęła północ, ogromne domostwo było pogrążone w mroku, noc cicha i jakby nieruchoma, a ona sama z nim. Jakoś nie wzięła pod uwagę dwójki dzieci pogrążonych we śnie. Przez głowę przeleciała jej myśl: To bardzo niebezpieczne.

Ale teraz nie myślała o Isabel de Warenne.

Próbowała nie stracić nad sobą kontroli. Sytuację, w jakiej się znaleźli, można nazwać intymną, ale w końcu oboje byli dorosłymi ludźmi, jej siostra spała w sypialni na górze,

i z pewnością nic się między nimi nie zdarzy, tylko z tego powodu, że przebywają nocą w bibliotece. Nic się nie wydarzy.

- To niezwykła noc - odezwał się miękkiem głosem Antonio.

- Owszem. Bardzo niezwykła. - Zrobiła parę kroków i stanęła obok niego. - Ten dom po zmroku budzi we mnie lęk. I ja także nie chciałam zostawić dziecka samego.

Ich oczy znowu się spotkały. Po długim milczeniu Antonio powiedział, przeciągając słowa:

- Prawdę mówiąc, dużo bardziej wolę mieć gości, niż tkwić tu sam jak palec.

- Doskonale cię rozumiem. - Zawahała się, po czym spytała: - Antonio, czy ona tu jest? Czy też oboje zwariowaliśmy, wyobrażając sobie coś takiego?

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Niewiele pamiętam z czasów przed śmiercią ojca. Ale jedna rzecz utkwiła mi w pamięci: okropna awantura między rodzicami dokładnie w tym pokoju.

Cass natychmiast wyczuła, do czego Antonio zmierza.

- O co się kłócili?

- Matka płakała. Nigdy przedtem nie widziałem jej w podobnym stanie. Potem też nie, prócz okresu żałoby po ojcu. Wtedy, podczas tej awantury, krzyczała, że nie znosi tego miejsca i że mamy natychmiast wracać do Madrytu.

Cass dostrzegła drgający mięsień na jego policzku.

- Czy pamiętasz coś jeszcze?

Zawahał się, patrząc przed siebie.

- Tak, przypominam sobie, że powiedziała: „Tak bardzo się boję”.

- Nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków - szepnęła, rozglądając się wokół. Wysiliła wzrok, by sprawdzić, czy coś nie pojawiło się w którymś z rogów pokoju. Wreszcie wyjrzała na ciemny korytarz.

Antonio niespodziewanym ruchem położył rękę na jej dłoni.

- Wiem, że ty właśnie to robisz. Masz taką czarującą wyobraźnię.

Wstrzymała oddech. W jego oczach dostrzegła tę zagad-

kową intensywność. Nie chciała się poruszyć. Nie znajdowała odpowiedzi na jego słowa. Wobec tego rzuciła szybko:

- Wspomniałeś, że twoja matka wyszła po raz drugi za męża. Gdzie mieszka? Czy mogłabym z nią kiedyś porozmawiać?

Puścił jej rękę.

- Mieszka w Sewilli. Jej mąż umarł kilka lat temu. Obawiam się, że nie jest zbyt komunikatywna. A już na pewno nie chciałaby rozmawiać na temat tego domu, przeszłości i Isabel. - Popatrzył na nią badawczo. - Już samo twoje nazwisko wzbudziłoby jej awersję do ciebie.

Cass odebrała tę uwagę z pewną przykrością. Poczwała się w obowiązku wspomnieć o Catherine.

- Moja ciotka obwinia siebie za śmierć twego ojca. I nie wiem dlaczego. - Gdy to powiedziała, spadł jej ogromny ciężar z serca.

Zamrugnął oczami.

- Chciałbym z nią zamienić parę słów - rzekł łagodnym tonem.

Cass wpatrywała się w niego rozszerzonymi z emocji oczami. Nie chciała, żeby ich rozmowę zdominowała przeszłość. Zdawała sobie sprawę, że Catherine oskarżała siebie za nie popełniony czyn.

- Kiedy linia telefoniczna zostanie naprawiona, zadzwonię i spróbuję ją przekonać, żeby z tobą rozmawiała. - Miał na myśli matkę.

Cass zmiękła pod wpływem jego słów. Nie mogła oderwać wzroku od Antonia.

- Obiecuję, że natychmiast się wycofam z tematu, jeśli poczuję, że ją to nadal boli.

- Jestem przekonany, że nie umiałabyś celowo zranić ani jej, ani nikogo innego.

Zarumieniła się.

- Dziękuję — wykrztusiła.

- Cassandro, jesteś bardzo dobrym człowiekiem - rzekł. Przez chwilę myślała, że ją obejmie. Nie zrobił tego jednak. Odwrócił się, a ona stała nieruchomo, bez tchu.

- Ten dom ma długą historię. Muszę ją dokładnie poznać -

rzekł, chodząc tam i z powrotem. Stanął, znowu utkwiał wzrok w Cass. - Nigdy nie zależało mi na czymś tak bardzo, jak na tym. Tyle pytań - i wszystkie odpowiedzi znajdują się właśnie tutaj.

Postanowiła w duchu skupić się na rozmowie, a nie na mężczyźnie, który budził w niej ogromne emocje.

- Jestem tego samego zdania - odparła. - Ten dom przyciąga jak magnes, zmusza do myślenia o nim.

W tym momencie serce zabiło jej gwałtownie.

...Ona nas wszystkich wzywa...

- Potrzebuję cię tutaj, żebyś mi pomogła - powiedział.

Oślupiała. Nie spodziewała się, że Antonio ponowi propozycję.

Patrząc na nią, spytał delikatnym tonem:

- Czy miałaś trochę czasu, żeby rozważyć moją prośbę?

Usłyszała swój własny głos:

- Chcę zostać.

Co ja robię najlepszego? Niemniej mówiła prawdę. Chciała zostać. Za wszelką cenę. I to nie tylko z powodu dziwnego przyciągania, jakie emitował ten dom, albo ze względu na Isabel. Pragnęła tu być, choć zarazem obawiała się tego. Bo była kobietą, która od dawien dawna nie odczuwała namiętności do żadnego mężczyzny, a ten mężczyzna, który należał do jej siostry, sprawiał, że znowu cieszyła się życiem i to w zupełnie nieoczekiwany sposób - ona, niechciana, pozostawiona swojemu losowi, odstawiona na boczny tor.

- No to załatwione - mruknął.

Niski głos zabrzmiał tak zmysłowo, że Cass aż zamarła z wrażenia.

Antonio musiał sobie uprzytomnić, że coraz bardziej się do niej zbliża, bo nagle stanął raptownie. W słabym świetle trudno było dostrzec, czy się zaczerwienił, choć Cass wydało się to niewątpliwe. Serce skakało w jej piersi jak oszalała piłeczka pingpongowa. Wcisnęła ręce do kieszeni spodni. Lada chwila sprawy wymkną się spod kontroli. W duchu powiedziała sobie, że musi wyjechać stąd w poniedziałek.

Ale jak mogłaby to zrobić? No jak, cholera?

Uświadomiła sobie ponownie, że jeśli zostanie, narazi na szwank stosunki z siostrą.

Co gorsza, może zostać pozbawiona opieki nad Alyssą.

A co się stanie, jeśli jej wcześniejsze podejrzenia okażą się słuszne? Co będzie, gdy wyjdzie na jaw, że ciotka Catherine ma rację? I że rację ma matka Antonia? Co się stanie, jeżeli wszyscy zostali rzeczywiście wezwani do Casa de Suenos?

- Antonio, chcę zostać, ale to jest wbrew rozsądkowi - zaczęła.

Przerwał jej.

- To już postanowione. - Był wrażliwym człowiekiem i z pewnością zdawał sobie sprawę z walki wewnętrznej, jaką musiała stoczyć.

Nic jeszcze nie było zdecydowane. Cass tłumaczyła sobie w duchu, że ma przed sobą dwa dni do zastanowienia.

- Jeżeli zostaną - rzekła z namysłem - może powinniśmy odesłać dzieci do mojego domu w Anglii. Lepiej, by tu nie zostawały. - Gdy tylko wypowiedziała te słowa, poczuła, jak się czerwieni. Chyba Antonio nie pomyśli, że chce się pozbyć dzieci, by zostać z nim sam na sam.

Jednakże z jego tonu wynikało, że nic takiego nie przyszło mu do głowy.

- Eduardo spodziewa się, że spędzi ze mną całe lato. To dla nas bardzo ważne. - Wyciągnął ręce w jej kierunku. Gdy oparł je na jej ramionach, Cass, powtarzając sobie w duchu, że to zupełnie platoniczny gest, omal nie osunęła się na podłogę. - Cassandro, ona nie może nas skrzywdzić. Może wprowadzi trochę zamieszania, ale w końcu ciagle o niej myślimy, prawda? - Popatrzył na nią badawczym wzrokiem.

Cass pomyślała o wydarzeniach, które nastąpiły od chwili jej przyjazdu do Kastyliei. Znowu zastanowiła ją siła przyciągania tego domu.

- Pewnie masz rację - odpowiedziała powoli.

- Jutro poczujesz się inaczej, gdy ujrysz światło dzienne, przyjedzie elektryk i naprawią nam linię telefoniczną - rzekł. Nie miał zamiaru zwolnić jej z danego mu słowa.

- Tak sędzę. - Liczyła na to w duchu, ale zarazem nie wierzyła w to ani przez chwilę. Co ona robi? Brnie coraz głębiej.

Antonio postanowił, że ona zostanie tu z Alyssą, że będą codziennie pracowali ramię przy ramieniu. Ona się w nim zakochała, on nie, czyli niewątpliwie czekały ją bolesne doświadczenia, jak nigdy przedtem. Żeby ukryć przed nim przykre myśli, spojrzała w bok.

Dotknął jej policzka. Jak porażona prądem odwróciła się do niego twarzą.

- Cassandro, potrzebuję cię - powtórzył. - Razem możemy natrafić na wiele faktów z życia Isabel i dowiedzieć się, co było przyczyną zawitych losów naszych rodzin. Zdołamy rozszyfrować zagadkę, co się działo z Isabel od czasu, gdy ukończyła osiem lat do jej zamążpójścia w wieku osiemnastu lat. I wreszcie zdołamy ustalić, czy rzeczywiście wytoczono jej proces o herezję i została spalona na stosie. - Jego ton głosu był po prostu uwodzicielski, nie dlatego, że Antonio uparł się, aby ją uwieść, lecz z powodu jego zaangażowania w sprawy, które go pasjonowały. Oczy płonęły mu wewnętrznym żarem.

- To nie jest fair - mruknęła. Jej puls łomotał z obłąkaną szybkością. Stał przed nią wspaniały, fascynujący mężczyzna, z którym dzieliła namiętność do historii. I on to teraz wykorzystywał. - Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę - dokończyła.

- Wiem - powiedział, nadal dotykając jej policzka.

Nie odrywali od siebie oczu.

Pomyślała: Jak łatwo byłoby paść mu w ramiona. Któż by się o tym dowiedział? Przecież już się przedtem całowali i ja-koś udało się im to ukryć. To byłoby takie proste...

- Próbujesz mnie uwieść - rzekła stanowczo. Niemniej nie odeszła ani o krok.

- Owszem, staram się uwieść twój umysł - odparł z lekkim uśmiechem - ponieważ jesteś kobietą, którą należy zdobyć przez rozum, a nie przez ciało.

Miał bez wątpienia rację, ale równocześnie głęboko się mylił. Cass zrobiła krok do tyłu. Była podniecona nie tylko w intelektualnym sensie; jej myśli krążyły wokół spraw jednoznacznie erotycznych.

Wreszcie ją puścił.

Odeszła, wzburzona wewnątrz.

- Cassandra.

Zatrzymała się w miejscu, stojąc do niego plecami. Jej napięcie wzrosło dziesięciokrotnie.

Obrócił ją do siebie bez słowa. W następnej chwili znalazła się w jego ramionach, ich usta przywarły do siebie.

I od pierwszego zetknięcia warg coś zapaliło się w niej, wybuchając potężnym ogniem. Antonio trzymał rękami jej głowę, wyrażając językiem swoje pragnienie. Żądanie nie budziło żadnych wątpliwości, a jego intensywność wręcz porażała. Cass wtuliła się w jego pierś, ich ciała ciasno przywarły do siebie. Czuła każdym nerwem jego ruchliwy język w swoich ustach, jej nabrzmiałe sutki kłuły jego kaszmirowy sweter. Coraz bardziej otwierała się przed nim, marząc o jeszcze głębszym pocałunku. Ich zęby zazgrzytały, stykając się ze sobą. To zabolalo, a jednocześnie ciało przeszył prąd, wydobywający się z głębi jestestwa.

Poczuła jego twarde jak kamień uda, którymi napierał na jej wargi sromowe. Wskutek tarcia łechtaczka zaczęła się powiększać. Pożądanie o nieznaną przedtem siłę, o jakim jedynie czytała, podejrzewając zresztą, że zmyślili je autorzy powieści, ogarnęło ją jak płomień. Poczuła podbrzuszem, jak mu twardnieje członek.

Odezwał się do niej po hiszpańsku. Słowa brzmiały szorstko, gardłowo. Jęknęła z rozkoszy. On też wydał z siebie jakiś pierwotny jęk. Po chwili jego ręce objęły ciasno jej pośladki. Cass oparła się na oślep o jakiś mebel - krzesło, stolik czy biurko - podczas gdy ich języki uprawiały miłosny taniec, a ciała gwałtownie domagały się połączenia. Nagle zmienił pozycję.

Pchnął Cass, aby położyła się na wznak na czymś, co okazało się blatem biurka. Coś spadło z hukiem na podłogę. Antonio oparł się na niej całym ciężarem, a ona poczuła cudowną twardość jego penisa w kroku, obietnicę ekstazy, która za chwilę ją czekała. Zdołała pomyśleć tylko: O mój Boże, i szeroko rozwarła nogi.

Antonio przesunął rękę niżej i rozpiął dżinsy.

Zaczął masować jej krocze przez jedwabne majtki; czuła,

jak robi się jej mokro, jej seks wydawał się rozpalony do czerwoności.

Uniosła się odrobinę i wydobyła z siebie dziki, głośny krzyk orgazmu.

Jedno z dzieci jęknęło przez sen.

Oboje jednocześnie odwrócili się w tamtym kierunku.

Przez jej głowę przebiegła myśl: Dzieci!

Natychmiast wstał, pociągając ją za sobą. Gdy stanęła na nogi, ujrzała w jego oczach, że był równie podniecony, jak ona. Wiedziała, że nigdy nie zapomni wyrazu jego twarzy i rozszerzonych pożądaniami orzechowych oczu.

Eduardo krzyknął przez sen, rzucając się na kocu.

Cass nie ruszyła się z miejsca, jedynie zasunęła zamek dzinsów. Dyszała głośno, serce waliło jej jak młotem. Lękała się, że za chwilę zbudzi dzieci. Antonio szybko podszedł do syna i uspokajał go czułym głosem. Ona tymczasem wpatrywała się w jego szczupłe, muskularne ciało. Ogarnęło ją straszliwe pożądanie, którego przyczyną był od dawna nie zaspokojony głód. Patrząc na niego, myślała gorączkowo, jak to będzie, kiedy się w nią wbije.

Zamknęła oczy, jęknęła z pragnienia. Jego pasja nie budziła wątpliwości. Antonio pożył jej w równym stopniu, jak ona jego.

Miała orgazm! I to tylko pod jego dotknięciem!

Kiedy uniosła powieki, stał do niej plecami, oświetlony księżycem, który zaglądał przez okno. Zauważyła, że jest spięty i stoi w rozkroku, ciężko oddychając. Dostrzegła duże wybruszenie na jego dżinsach, co bez wątpienia oznaczało, że jest nadal podniecony i gotowy do stosunku.

A więc ciągle jej chciał.

To było prawie niewiarygodne.

Cass nie bardzo zdawała sobie sprawę, co nastąpiło w krótkim odstępie czasu. Gdy zamyśliła się nad przykrym dla niej faktem, iż Antonio jest kochankiem Tracey, on zeszywniał nagle jak pociągnięta za sznurki marionetka, i wydał z siebie krzyk trwogi.

Podążając za jego wzrokiem, spojrzała w okno i omal nie zemdląła.

Pod oknem, oświetlona blaskiem księżycy, stała bowiem kobieta z długimi, kręconymi włosami i owalną twarzą.

Była rozczochrana, a w jej oczach czaiło się szaleństwo. Nie była to jednak Isabel.

Gregory podszedł do drzwi i raptownie otworzył je na całą szerokość. Omal nie podskoczył z wrażenia, gdy ujrzał Tracey uśmiechającą się zalotnie do niego. Spodziewał się demona a zobaczył piękność, bez wątpienia z krwi i kości.

- Wiem, że pomyślisz, iż jestem okropna, po prostu okropna - rzekła czułym głosem. - Ale nie mogę zasnąć. Antonio zerwał ze mną, a ja pokłóciłam się z siostrą. - Była uosobieniem czaru. Trzymała w ręce butelkę czerwonego wina, która do tej chwili ukrywała w fałdach półprzejrzystej czarnej sukni prowokująco eksponującej jej fantastycznie długie nogi.

Wiedział, czego się po nim spodziewa, a przynajmniej co jej chodzi po głowie. Przez cały wieczór celowo ignorowała go, niemniej zauważył, że ją pociąga. Antonio zgodził się z nim, że nie jest w jego typie. Niemniej Tracey była kochanką jego brata. Chryste! O czym on myśli? Odzyskał mowę.

- To niespodzianka - odparł lekkim tonem. Postanowił w duchu, że za chwilę ją odprawi. Zapytał się w myślach, kiedy Antonio kochał się z nią po raz ostatni.

Zachwiała się, pokazując mu dwa kieliszki, które trzymała w drugiej ręce.

- Naprawdę nie mogę zasnąć. A i ty nie śpisz.

Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Już poczuł, że członek mu nabrzmiwał. Spojrzał jednak w głąb ciemnego korytarza, w stronę pokoju brata.

- To nie jest najlepszy pomysł - orzekł.

Uśmiech z jej twarzy znikł.

- Zerwaliśmy ze sobą - oświadczyła sucho. - Antonio woli moją siostrę.

- Wydaje mi się, że przyjmujesz to spokojnie - mruknął Gregory z ponurą miną.

- Och, myślę, że nie jesteśmy sobie przeznaczeni - zauważyła filozoficznie. Uśmiechnęła się leciutko i przyjrzała się jego ustom, a następnie przesunęła wzrokiem po całej postaci.

- Twoja siostra ma wiele wspólnego z moim bratem - zgodził się Gregory, ciągle walcząc ze sobą. Wreszcie dodał: - Tracey, marzyłbym o napiciu się z tobą wina. Ale nie teraz i nie tutaj, w domu mego brata. Może dałabyś mi swój numer telefonu? Za trzy tygodnie wybieram się do Londynu. Jeśli nadal będziesz gotowa na spotkanie, zadzwonię od razu po przyjeździe.

Spojrzała na niego bez słowa i weszła do sypialni, potrącając go biodrem w wyraźnie wystającą męskość. Gregory poczuł gwałtowny skurcz pożądania. Przez chwilę nie myślał o niczym innym, tylko o rzuceniu jej na łóżko i wbiciu się w nią z całą siłą.

Cofnął się parę kroków, wręcz porażony pasją, która go niespodziewanie ogarnęła.

Tracey podeszła do łóża, siadła i zaczęła uwodzicielsko machać nogami, uśmiechając się czarownie.

Jeden drink. Cóż w tym złego? Jesteś dorosłym mężczyzną, potrafisz się kontrolować. Ta próba racjonalnej oceny sytuacji przemknęła mu przez myśl z szybkością błyskawicy.

- To tylko trochę wina - wyszeptała Tracey. - Przecież nie proszę, żebyś się ze mną przespał. - Znowu się uśmiechnęła. - Tego bym nie zrobiła, Antonio jest tuż obok ze swoim synem.

Podszedł do niej omal wbrew woli. Serce biło mu w piersi jak dzwon.

- Tak, to tylko drink - powtórzył, biorąc od niej butelkę. Nalał wina do obu kieliszków, odstawił butelkę i nagle znalazł się koło niej na łóżku.

Tracey przesunęła się, założyła nogę na nogę, podciągając suknię przed kolana. Gregory utkwiał wzrok w jej łydkach.

- Zdrowie - rzekła, stukając się z nim kieliszkiem.

- Zdrowie - odparł, uświadamiając sobie z trudem, że zupełnie traci głowę. Jej perfumy były hipnotyzujące, jak twarz i ciało. Nie potrafił określić ich zapachu.

Chwilę później Tracey uklękła przy nim, wino rozlało się na łóżku, a ona nachyliła się nad nim, przewróciwszy go na wznak. Ich wargi się dotknęły. Usiadła na nim, ocierając się wilgotnym, nabrzmiętym sromem; nie miała na sobie majtek.

Ich usta otworzyły się i zwały w namiętym pocałunku. Gregory przestał myśleć logicznie.

Pchnął ją na wznak i gwałtownie całując, zadarł jej spódnice. Pieścił jej pulsujące, mokre od podniecenia krocze. Ona tymczasem rozpięła mu spodnie, z których wyskoczył gruby, długi i sterczący penis. Ścisnęła go obiema rękami.

Schyliła się i wzięła go do ust; sięgał aż do gardła.

Wsuwał go jej do wilgotnych i ciepłych ust na całą długość, myśląc przy tym, że to zupełnie niebiańskie uczucie.

Gdy już prawie nie wytrzymawał, pchnął ją znowu na plecy i jednym ruchem wbił się w jej nabrzmiąłą pochwę. Tracey krzyknęła z rozkoszy, drapiąc go paznokciami do krwi.

I kiedy już się zaspokoili, dysząc obok siebie półubrani, Gregory pomyślał z przerażeniem: Boże, co ja najlepszego zrobiłem?

Usiadł nagle, sięgając ręką do pleców.

- *Por Dios* - szepnął. - Leci mi krew.

- Przepraszam - wymamrotała Tracey.

Zerknął w dół, ujrzał wspaniałe nogi i triumfujący seks świeżo spenetrowanej kochanki. Jej suknia była podwinięta aż do talii. Tracey uniosła wysoko nogę i podsunęła mu stopę do pocałowania.

- Jakich perfum używasz? - mruknął.

Ich wzrok się spotkał. Jej błękitne oczy miały w sobie taką intensywność, że Gregory spuścił głowę.

- To zapach fiołków - odparła. - Mój ulubiony.

ROZDZIAŁ 13

Północ

Antonio obrócił się i wybiegł z biblioteki.

Cass bez chwili zastanowienia pobiegła za nim. Kto, do diabła, pojawił się w taką noc pod oknami domu?

Otworzył na oścież drzwi wejściowe i wyskoczył na dwór. Cass stanęła na progu, rozglądając się wokoło. Ujrzała, że Antonio znika w ciemnościach za skrzydłem domostwa.

Zapatrzyła się w przestrzeń. Jego reakcja była zastanawiająca. Czy znał tę kobietę? Znowu zrobiło się jej niedobrze. Z pewnością znał. To nawet mało powiedziane. Znał dogłębnie. Ogarnęły ją złe przeczucia.

Gdy zeszła parę stopni, dostrzegła, że Antonio wraca. W świetle księżyca jego twarz wydawała się trupio blada.

- Czy też ją widziałeś? - zapytał chrapliwym głosem.
- Zobaczyłam kobietę - rzekła wolno.
- A więc to nie było złudzenie - szepnął, bardziej do siebie niż do niej. - O Boże!

Cass nie ruszyła się z miejsca. Zauważyła, że Antonio trząsał się jak w ataku febry. Poczowała tak silne mdłości, że mało nie upadła.

- Czy wiesz, kto to był?

Spojrzał na nią wzrokiem bliskim obłądu.

- Tak.

Nie chciała pytać. Niemniej zadała pytanie:

- Kim ona jest? - Z góry znała odpowiedź.
- Moją żoną. - Zmienił się na twarzy.

Stojąc w wielkiej sieni, Cass zamilkła, skulona się w sobie. Ogarniały ją coraz większe mdłości. Antonio pozostał na dworze i głośno wykrzykiwał imię żony. Śmieszne, nie znała do tychczas jej imienia, ale to nie było istotne. Usłyszała, jak woła: „Margarita!”.

Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w czerní nocy. Na niebie błyszczały miliony gwiazd. W innych okolicznościach podziwiałaby rozgwieżdżony firmament, ciepłą letnią noc, księżyc w trzeciej kwadrze... Ale nie teraz.

To stawało się nie do wytrzymania.

Wołał, okrążając wielokrotnie dom, co Cass wydawało się wiecznością. Miał coraz bardziej zachrypnięty głos. Poczwała pod powiekami wzbierające łzy. Powtarzała w myślach jak katarzynka: Ty głupia, głupia idiotko. Czy naprawdę się łudziłaś, że on jest dla ciebie?

Siadła ciężko na schodku. Antonio był całkowicie zaabsorbowany kobietą, która zmarła przed ośmiu laty. Pasja erotyczna, jaką oboje w sobie przed chwilą wzbudzili, była zapewne ostatnią rzeczą, o której myślał. Zapłakała z rozpacz.

Nagle stanął przed nią, blady jak upiór, z podkrążonymi oczami w czerwonych obwódkach, nieprzytomny i porażony lękiem.

- Natrafiłeś na nią? - zdołała wyjąkać, dyskretnie ocierając łzy wierzchem dłoni. Miała nadzieję, że nie zauważył jej zamania.

Nawet nie odpowiedział. Minał ją, jakby w ogóle nie odnotowując jej obecności. Zrozumiała, że jest wstrząśnięty.

Jej rozpacz natomiast ustąpiła. W tej samej chwili uprzytomniła sobie, że ich oboje spotkał podobny los. Osiem lat temu jej kochanek po prostu od niej odszedł. I chociaż głęboko w podświadomości podejrzewała, co się święci - bo kłamał jak najęty - nie mogła przyjąć do wiadomości, że ją rzucił. Żona Antonia któregoś dnia także od niego odeszła. Albo zniknęła.

Wstała i postanowiła go odszukać. Weszła do domu.

- Antonio? - zawołała.

Wydawał się zaskoczony jej okrzykiem, ale zawrócił i spojrział jej głęboko w oczy. Zauważywszy po chwili, że zostawił

otwarte drzwi, podszedł do nich, zatrzęsnał i przekręcił klucz. Cass wpatrywała się w jego szerokie ramiona i plecy. Zbliżyła się do niego, postanawiając, że nie powie tego, co zamierzała. Natomiast obróciła go twarzą do siebie i przytuliła. Obawiała się, że się odsunie, ale tak się nie stało. Objął ją lekko w talii.

- Czy możemy porozmawiać? - zapytała delikatnie, cofając się o krok. Stopniowo odzyskiwała równowagę. Uznała w duchu, że musi istnieć racjonalne wytłumaczenie tego zjawiska. Może jego żona uciekła i doznała amnezji i nie mogła z powrotem trafić? Ach, gdyby nie ujrzała tej kobiety na własne oczy! Ale tamta stała pod oknem, Cass nie miała co do tego wątpliwości.

- Czy jesteś pewien, że to była twoja... - Nie mogła wypowiedzieć słowa „żona”, więc dokończyła: - ...Margarita?

Utkwił w niej wzrok.

- Tak.

Odparł bez chwili wahania. Gdyby sama jej nie widziała, pewnie by pomyślała, że ta postać jest wytworem jego wyobraźni - że ujrzał kogoś, kogo od wielu lat pragnął zobaczyć. Nagle przeszedł nią dreszcz trwogi. Jeśli obawiała się, że w Casa de Suenos prześladowuje ich Isabel, to istniała możliwość, że zagadkową zjawą była jego żona. Zakładając, że nie żyła.

Zwilżyła spieczone wargi.

- Antonio?

Spojrzał na nią. Na jego twarzy odmalował się wyraz, który ją przeraził. Antonio wyglądał na człowieka całkowicie pokonanego.

- Jakich perfum używała?

- Co?

Powtórzyła pytanie:

- Twoja żona. Jakich używała perfum?

Popatrzył na nią takim wzrokiem, jakby sądził, że oszalała.

- To był zapach kwiatowy, ale dość ostry. Nie przypominam sobie nazwy, pamiętam tylko firmę: Loewe.

- Czy to był zapach fiołków?

W jego oczach zobaczyła osłupienie.

- Nie, z całą pewnością nie. Chryste! Czy uważasz, że ujrzeliśmy ducha? - krzyknął.

- Nie wiem, co o tym myśleć - odparła miękkim głosem. Pogłaskała go po barkach, ale odniosła wrażenie, że tego nie zauważył.

- Czy jesteś pewien, że to była ona? Zastanów się, w domu nie ma światła. Może w ogóle nie było tam nikogo. - Nie bardzo w to wierzyła, ale sama gubiła się w domysłach. - Od lat nie odwiedzałeś tego domostwa. Może ujrzawsz to, co chciałeś zobaczyć.

Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem w oczach.

- Nie sądzę. Ona wyglądała na osobę z krwi i kości.

Nagle zakrył twarz rękami.

Dotknęła jego ramienia.

- Wracajmy do biblioteki.

Idąc korytarzem, biła się z myślami. Antonio nadal kochał zaginioną żonę. To wydawało się oczywiste. Jakże mogła go nie rozumieć? Ale, na miły Bóg, całe jego zainteresowanie nią, Cass, minęło bez śladu. I chyba tak musiało się stać.

Zastanawiała się, co znaczy być tak kochaną przez tego mężczyznę. Nie mogła sobie tego wyobrazić.

Zapagnęła dowiedzieć się, co się właściwie zdarzyło. Nie był to jednak odpowiedni czas na zadawanie pytań.

Zanim dotarli do biblioteki, Antonio odezwał się niespodziewanie:

- Nigdy nie znalazłem odpowiedzi. Nie było żadnego wyjaśnienia. Istniały tylko hipotezy.

Cass potknęła się z wrażenia.

Wszedł do pokoju, skierował się wprost do barku i nalał sobie whisky. Nie wypił jednak, nawet nie umoczył ust. Trzymał szklanekę w ręce, patrząc przed siebie.

Cass zmobilizowała całą odwagę i spytała:

- Co się właściwie zdarzyło?

- Przyjechaliśmy tu na wakacje. - Rzucił jej szybkie spojrzenie; jego uśmiech przypominał raczej grymas, twarz miał nadal upiornie bladą. - Był to mój pomysł. Nie odwiedzałem tego miejsca od czasu śmierci ojca, gdy miałem cztery lata, a więc chciałem spotkać się z przeszłością, a nawet dotrzeć do

jakichś faktów z jego życia i okoliczności śmiertelnego wypadku. Margarita z radością zareagowała na ten pomysł. Od lat zachęcała mnie, abym się przełamał i tu przyjechał. Uważała, że to mi pomoże. - Wreszcie napił się odrobinę whisky i odstawił szklanekę z grymasem wstrętu.

Milczała, czekając, aż dokończy opowieść.

- Dwa dni po przyjeździe, gdy się obudziłem, ujrzałem, że sąsiednie łóżko jest puste. Tamtej nocy szalała burza, z parteru dochodziło głośne walenie. Wtedy nie zwracałem na to uwagi. Po prostu zamknąłem drzwi i przekręciłem klucz w zamku. Rano odkryłem, że okno w bibliotece było otwarte i to ono, uderzając o ścianę, wydawało ten dźwięk. Gromy i błyskawice ustały, zaczął padać deszcz. Wróciłem na górę, spodziewając się zastać Margaritę w łóżku. Było jednak nadal puste. - Zamilkł na chwilę.

Dotychczas mówił opanowanym tonem, jakby zdając suchą relację. Teraz głos mu się zmienił. Nie patrząc na Cass, mówił dalej:

- Nie zastałem jej ani w łazience, ani w pokoju Eduarda. Nigdzie jej nie było. Zniknęła.

- Odeszła? - A więc plotki krążące wśród studentów okazały się prawdziwe.

- Rozpłynęła się bez śladu. Nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

Cass pojęła w tym momencie, że wcale nie byli do siebie podobni, nic a nic. Antonio uwielbiał żonę. Był z nią mocno związany. Wszystko to natychmiast wyczuła. I nagle Margarita znikła.

- Była szczęśliwa. To jedna z najpogodniejszych, najłagodniejszych osób, jakie znałem. Kochała mnie i naszego syna. Nie uciekła z kochankiem. Nie odeszła, żeby popełnić samobójstwo. W całym domu nie znalazłem żadnych śladów włamania. Nie została też porwana - nigdy nie zażądano ode mnie okupu.

- Mój Boże - wyszeptała Cass.

- Była zdrowa psychicznie, zrównoważona. W jej rodzinie nie odnotowano przypadków choroby nerwowej. Żadnej. - Tak mocno ścisnął szklanekę, że stawy na jego rękach zbiały.

- Jakże mi przykro - wyjąkała Cass z poczuciem całkowitej bezsilności.

- Ale drzwi wejściowe były otwarte. Pozostały ślady bosych stóp. Nic ze sobą nie wzięła. Była w nocnej koszuli. Wyszła z domu i znikła w ciemnościach nocy.

Cass zabrakło słów pociechy.

Jego twarz zmieniła się gwałtownie. Stała się dzika, przerażająca, pokryła się zmarszczkami. Nagle Antonio z całej siły cisnął szklanką o ścianę. Szkło rozprysło się z brzękiem.

Kiedy Cass obudziła się, słońce świeciło jej prosto w twarz; jego blask był tak silny, że natychmiast zamknęła oczy. Była nadal śmiertelnie zmęczona i nie miała najmniejszej ochoty wstawać. We śnie znajdowała niezbędny spokój.

W tym momencie jednak przypomniała sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru. Zerwała się i usiadła półprzutomna, mrużąc powieki w obronie przed oślepiającymi promieniami.

Znajdowała się sama w bibliotece, w legowisku naprędce urządzonym na podłodze, gdzie obie z Alyssą spały zwinięte w kłębek. Do świtu przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć z lęku i rosnącego przerażenia. Teraz, jak przypuszczała, musiało zbliżać się południe. Odrzuciła koc i poderwała się na równe nogi.

Przez chwilę stała nieruchomo. Czy naprawdę oboje z Antoniem widzieli poprzedniego wieczoru Margaritę stojącą pod oknem? Rozejrzała się wokół, po czym wyjrzała przez okno, za którym rozciągał się widok na okolicę. W świetle dziennym obawy minionej nocy wydały się dziecinnie śmieszne. Dzień przynosił ze sobą ukojenie - doszła do wniosku z niemą ulgą.

Ale przecież istniało jakieś wytłumaczenie wydarzeń, które rozegrały się tu poprzedniego wieczoru. Zawsze jest jakieś wyjaśnienie niepojętych spraw.

Ludzie mają tendencję do ujrzenia czegoś, co chcą zobaczyć. A może Margarita wcale nie kochała męża i miała kogoś innego?

Któż wie, czy naprawdę była szczęśliwa. Załóżmy, że cier-

piała na chroniczną depresję, którą jakimś cudem udawało się jej ukryć.

Albo została uprowadzona przez porywaczy. Speców w swojej profesji.

Cass westchnęła. Przypuszczalnie nigdy nie dojdą do prawdy. Chyba że wczorajszej nocy widzieli Margaritę i że zobaczą ją po raz wtóry. Przywołała w pamięci widok zrozpaczonego Antonia i serce ścisnęło się jej z bólu. Uzmysłowała sobie, że ona też jest w stanie lekkiej depresji. Ale teraz nie było czasu na rozpamiętywanie krótkotrwałej namiętności, jaką oboje w sobie wzbudzili.

Przekręciła na próbę wyłącznik jednej z lamp. Światła nadal nie było. Podniosła słuchawkę, ale zamiast ciągłego sygnału usłyszała ciszę. Ktoś będzie musiał pojechać do sąsiedniej wioski, żeby wezwać elektryka, kupić bezpieczniki i powiadomić urząd telefoniczny o awarii.

Wyszła z biblioteki i skierowała się do kuchni. Zastała tam Alfonsa, przygotowującego - jak łatwo się było domyślić - gorący posiłek dla nich wszystkich. Spozstrzegła, że na wewnętrznym dziedzińcu Eduardo bawi się z Alyssą w niebo i piekło. Chłopiec z nadzwyczajną lekkością skakał po polach narysowanych kredą na płytach z kamienia. Alyssa dzielnie mu sekundowała, radośnie zagrzewając do walki. Mimo nie najlepszego nastroju Cass nie mogła opanować uśmiechu.

- *Buenos dias, senora* - odezwał się uprzejmie Alfonso. - *Los ninos... grają... bueno.*

- *Buenos dias.* Tak, świetnie się bawia. - Cass nagle poczuła, że aż ją skręca z głodu. W ciągu całego poprzedniego dnia prawie nie tknęła jedzenia. - Gdzie jest Antonio i jego brat, *por favor?*

Odpowiedział szybko po hiszpańsku, na co Cass jedynie zamrugała oczami.

- Pedraza - rzekł stanowczym głosem. - Pedraza.

Naturalnie, bracia udali się do miasteczka. Cass nalała sobie szklankę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego.

- Alfonso, czy widziałeś moją siostrę? *Por favor*, Tracey, *hermana mia?*

- *No ha visto* - odrzekł, uśmiechając się do niej.

Po chwili zaproponował jej jakąś potrawę z jajkami. Okazała się rodzajem omletu z podsmażanymi kartoflami. Cass zerknęła na nią łakomym wzrokiem. Gdy Alfonso podgrzewał danie na ogniu, postanowiła pobiec na górę, wziąć szybki prysznic i przebrać się w czyste rzeczy. Jednakże już w sieni zwolniła kroku.

Dom przestał się wydawać taki dobrotliwy.

Na klatce schodowej cienie przesuwają się po ścianie. Powietrze było gęste i ciężkie. Cass poczuła, jak włosy stają jej na głowie.

Orzekła, że jest idiotką. Przecież - tłumaczyła sobie w duchu - nawet jeśli dom jest nawiedzony, od czasu przyjazdu nie zdarzyło się im nic złego. W końcu co w tym dziwnego, że w starym i zaniedbanym domostwie nawaliła elektryczność i że telefon przestał działać.

Albo coś takiego przerażającego było w tym, że ujrzeli lub zdawało im się, że zobaczyli, stojącą pod oknem kobietę, która znikła bez śladu osiem lat temu.

Przyspieszyła kroku. To była skomplikowana sprawa. Podobnie jak przyjazd ciotki Catherine, która zadała sobie tyle trudu, żeby przebyć w nie najlepszym stanie zdrowia dystans dzielący ją od Hiszpanii.

Gdy dotarła na górny podest schodów, pobiegła prosto do sypialni, nie chcąc rozglądać się na boki. Złapała jakieś rzeczy do ubrania i wpadła do łazienki. Najpierw zamknęła drzwi na klucz, po czym je otworzyła. Żadne rozwiązanie jej nie zadowoliło. Zadrzała, czekając, aż woda w kranie stanie się ciepła. Wreszcie zaczęła masować naprężone do ostateczności mięśnie karku.

Zgoda, jest tchórzem. Dom nadal ją przerażał, nawet w ostrym świetle południowego słońca.

Prysznic i przebranie się zajęły jej dokładnie pięć minut.

Drzwi do sypialni Tracey były zamknięte. Cass zastukała, żeby obudzić siostrę. Nie mogła wymazać z pamięci dziwaczного zachowania się Tracey poprzedniej nocy.

Nie było odpowiedzi. Cass rozejrzała się wokół, czując, że jej serce znowu zaczyna podejrzane harce. Na korytarzu nie

dostrzegła jednak żywej duszy. Z drugiego krańca holu wpa-
dały przez okno promienie słońca.

- Tracey? Obudź się i wstań! - Otworzyła drzwi i zamru-
gała ze zdumienia.

Nie zastała siostry w łóżku. Popatrzyła na nie i zorientowa-
ła się, że było starannie zasłane, co by wskazywało, że Tracey
wcale z niego nie korzystała. Cass doskonale wiedziała, że
siostra nie ściele łóżka, a nawet gdyby się to jakimś cudem
zdarzyło, nie zrobiłaby tego tak, jak zawodowa pokojówka.

Uważnie zlustrowała pokój. Zauważyła rzucone niedbale
szorty oraz slipki i podkoszulek, które Tracey miała na sobie
poprzedniego dnia. Spodziewała się też ujrzeć ciśniętą gdzieś
półprzejrzystą czarną sukienkę, w której wystąpiła na kolacji.

Nagle ogarnął ją straszny niepokój. Tracey zniknęła. Z pew-
nością nie spała w swoim łóżku. Gdyby Cass nie widziała
Antonia, który zasnął nad książką przy biurku w bibliotece,
z okularami na nosie, wiedziałaby dokładnie, z kim - i gdzie -
siostra spędziła noc. To jednak nie wchodziło w rachubę.
Uznała, że to bardzo dziwne.

W ogóle zachowanie Tracey minionej nocy było co naj-
mniej dziwaczne.

Poczucie paniki znowu się wzmogło. Usiłowała nad nim za-
panować. Przecież Tracey nie mogła zniknąć bez śladu.

Uderzyła ją pewna myśl. A jeśli kobieta, którą ujrzeli z An-
toniem przez okno, nie była jego żoną, lecz Tracey?

Nagle znowu ujrzała ją w pamięci, gdy siedziała pod drze-
wem w stanie bliskim katatonii. Ten widok wywołał w niej
dreszcze, bo nagle uświadomiła sobie, co jej chodzi po głowie.

Isabel. Za tym wszystkim w jakiś niepojęty sposób kryje się
kobieta z odległej przeszłości.

Nie chciała dopuścić do siebie podobnych myśli, ale nacho-
dziły ją poza jej wolą, nie sposób było odsunąć ich od siebie.

...Będę teraz twoją matką...

Zesztywniała. Nie mogła sobie uzmysłować, co właściwie
oznacza to absurdalne stwierdzenie i marzyła, aby nigdy do
niej nie dotarło. Żałowała w duchu, że Alyssa opowiedziała jej
o swoim śnie.

- Cholera, Tracey, gdzie się podziewasz? - krzyknęła. -

Muszę zająć się Alyssą, muszę zatroszczyć się o Antonia. Dlaczego, do diabła, mam się jeszcze kłopotać o ciebie?

Drzwi za nią trzasnęły głośno.

Cass aż podskoczyła. Obróciła się w stronę wejścia z oczami rozszerzonymi ze strachu.

- Tracey? - wyjąkała. Była przerażona nie na żarty. Dlaczego jednak jej siostra miałyby robić takie numery?

Nikt nie odpowiedział.

I w tym momencie rozjaśniło się jej w głowie. Ostrzeżenia ciotki. Dziwaczne zachowanie Tracey. Sny Alyssy. Brak dopływu prądu. Widok Margarity - albo kogoś innego - za oknem.

Ktoś zatrzaskał drzwi krypty.

Tak samo, jak teraz zamknął drzwi sypialni. Ktoś... ale kto?

Czy ktoś podstępnie grał z nimi wszystkimi? Czy był jedynie złośliwy?

Ale kto? I dlaczego?

Gregory.

Cass myślała intensywnie.

Na pierwszy rzut oka wydawał się sympatycznym facetem, a na dodatek, na miłość boską, był bliźniaczym bratem Antonia. Doszła do wniosku, że owo złowrogie spojrzenie, jakie mu wówczas przypisała, było wyłącznie tworem jej imaginalnej. Ale może wcale się nie myliła? Dostrzegła przecież w jego oczach wyjątkową przewrotność.

Przypomniała sobie, że przyjechał tu zaledwie poprzedniego wieczoru, ale równie dobrze mógł skłamać. Przypuśćmy - rozmyślała - że przybył wcześniej i że to on zatrzaskał drzwi mauzoleum.

I może przedstawiał coś w jej laptopie.

Ale niby dlaczego miałyby to zrobić?

I nagle przypomniała sobie jego spojrzenie utkwione w Tracey. Chyba jej siostra nie wlaźła mu do łóżka, a nawet gdyby tego próbowała, to z pewnością by ją wyrzucił.

Nie ulega wątpliwości, że jej nie uwiódł.

Wyraźnie skonfundowana zerknęła na drzwi. Otworzyła je gwałtownym ruchem.

Nie wiedziała, czego się za nimi spodziewała - czy miałyby

stać tam Gregory, zalotny i uśmiechnięty lub odwrotnie - z jawną wrogością; albo jej siostra, pełna fałszywego uroku czy też domagająca się z furją odpowiedzi, co robi w jej pokoju; Margarita; Isabel.

Nikogo jednak nie było. Spojrzała w lewo, potem w prawo i ruszyła przed siebie korytarzem. Zbiegając po schodach, była świadoma, że jej podejrzenia mogą się okazać niczym nie uzasadnionymi tworami wyobraźni i że równie dobrze mogą się zmienić w atak paranoi. Ale nawet gdyby tak się okazało, czy mogła się za to winić?

W chwilę później usłyszała głosy dwóch mężczyzn dobiegające z sieni. Gdy wyszła zza rogu, ujrzała Antonia i Gregory'ego zmierzających do kuchni. Udała się za nimi.

- Dzień dobry - powitał ją Antonio, kładąc na stole torbę z zakupami. - Dobrze, że miałaś okazję trochę odpocząć. - Uśmiechnął się z sympatią, jak gdyby poprzedniej nocy nic między nimi nie zaszło. Cass nie poznawała w nim człowieka doznającego szoku na widok kobiety za oknem, która mogła, ale nie musiała, być jego zaginioną od ośmiu lat żoną.

Była wręcz zahipnotyzowana jego wzrokiem, podczas gdy serce biło jak szalone, choć wmawiała sobie, że istnieje tysiąc przeszkód na drodze do szczęścia. Z powodu Tracey, ze względu na ostrzeżenia ciotki Catherine. Wiedziała, że się okłamuje. Bo w głębi ducha czuła, że Antonio ją fascynował. Intrygował. Podniecał. Uwodził. Była wobec niego zupełnie bezradna.

- Miałam kłopoty z zaśnięciem - rzekła cicho.

- To była długa noc. - Nagle jego ton się zmienił. - Bezpieczniki. Dzisiaj wieczorem będziemy mieć światło. Niestety, telefon zostanie naprawiony najwcześniej w poniedziałek lub wtorek.

Cass musiała zrobić zaskoczoną minę, bo Gregory szybko dodał:

- Cass, jesteśmy w Hiszpanii. Tu nic nie robi się na gwałt.

- Zapomniałam - przyznała. Alfonso postawił przed nią omlęt. Usiadła i natychmiast przystąpiła do jedzenia, bo głód na widok jajka jeszcze się wzmógł. Jajka okazały się nadzwyczaj smaczne, wręcz najlepsze, jakie jadła w życiu.

- Pyszne! - rzuciła.

- Nazywamy to danie *tortilla espanol* - wyjaśnił z pogodną miną Gregory. - Zazwyczaj jemy je jako *tapa*, zamiast kolacji.

Cass nagle spojrzała na nich znad talerza.

- Czy któryś z was nie widział dziś rano Tracey? - Zadała to pytanie celowo lekkim, swobodnym tonem. Nie wyjaśniła na razie, że Tracey nie spała w swoim łóżku.

- Nie widziałem jej od kolacji - mruknął Antonio, wyjmując z torby bezpieczniki. Zauważyła, że zaopatrzył się na wszelki wypadek w świece i zapalki.

- Ja też - dodał Gregory.

Zerknęła na obu braci. Zakomunikowała im powoli:

- Nie zastałam jej w pokoju. Sprawdziłam to. Czy naprawdę żaden z was nie spotkał jej od kolacji?

Gregory zmienił się na twarzy.

- Zakładałem, że śpi do późna, tak jak ty.

- Pewnie poszła na spacer - orzekł Antonio, wyjmując dalsze zakupy. - Jest piękny dzień.

Cass wstała od stołu.

- Nie spała w swoim pokoju. - Spojrzała Gregory'emu prosto w oczy.

Odwrócił wzrok. Zajął się rozpakowywaniem następnej torby z zakupami.

Cass wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Natychmiast wyczytała w jego oczach, że przespał się z Tracey. Była tego prawie pewna. A teraz beczelnie kłamał. Pieprzony kutas.

- Nikt jej nie widział od kolacji? Nie spała w swoim łóżku? - Antonio zadał te pytania, nagle zeszywniały.

Niepokój w jego głosie nakazał jej się odwrócić. Pomyślała, że zeszłej nocy była w jego ramionach. Była ostatnią osobą, która mogła rzucić kamieniem w kogokolwiek, a zwłaszcza w Gregory'ego, uświadomiła sobie z bolesną zadumą.

- Chyba nie - odpowiedziała.

Zauważyła, że Antonio zacisnął szczęki. Ich wzrok się spotkał. Zrozumiała, że ani nie zapomniał, ani nie próbuje oddalić od siebie wydarzeń z poprzedniej nocy. Nałożył jedynie maskę, która teraz rozpadała się na jej oczach. Odezwał się

ostrym tonem do Alfonsa. Cass uzmysłowiła sobie, że z pewnością myśli o zniknięciu Margarity.

- Tracey na pewno nie odeszła. Jestem przekonana, że zaraz wróci - rzekła.

Grymas na jego twarzy nie ustępował. Wychylił się przez okno i zawołał dzieci. Ani Eduardo, ani Alyssa nie widzieli Tracey od chwili, gdy wyszła z jadalni poprzedniego wieczoru.

Cass ze wszelką cenę próbowała nie poddać się ogarniającej ją panice.

- Zaraz przyjdzie - powtórzyła.

- Jestem pewien, że masz rację - rzekł Antonio, ale jego mina świadczyła o czymś przeciwnym. Nie wierzył jej słowom. Był, jak ona, wyraźnie poruszony.

Zmusiła się do sztucznego uśmiechu.

- Założę się, że się opała albo robi coś w tym rodzaju.

- Przypuszczalnie - zgodził się Antonio.

Myśląc o porcelanowej cerze siostry, Cass uświadomiła sobie, że Tracey nigdy nie leżała na słońcu. Z oczu Antonia wyczytała, że i jego ogarniają podobne wątpliwości. Nagle wyrzuciła z siebie:

- Gdy zajrzałam do jej pokoju, ktoś zatrzasnął drzwi.

Antonio przyglądał się jej w skupieniu.

Ona z kolei odczuła nieprzepartą potrzebę spojrzenia w oczy Gregory'emu, ale ten smarował masłem kromkę chleba. Popatrzyła więc znowu na Antonia, myśląc o krypcie i o Isabel. Co on wczoraj powiedział? Że w najgorszym razie daleka krewna sprawi im niewygodę swoją obecnością. Cała ich trójka miała to samo na myśli.

- Nie mogę nawet wejść do Internetu, żeby poszukać jakichś materiałów, skoro telefon nie działa - rzekła.

- Podjadę później do Pedrazy i postaram się przekonać techników, że sytuacja wymaga natychmiastowej interwencji - odparł Antonio.

- Daj im łąpówkę - rzekł Gregory.

- Już dałem.

Cass znowu zmierzyła wzrokiem ich obu. Gregory gapił się przed siebie. Zauważyła, że się zaczerwienił.

- Przypomniałem sobie - odezwał się po chwili milczenia - że po kolacji wypiliśmy razem drinka.

Antonio zerknął na niego lekko zaskoczony.

- Ty i Tracey?

- Kiedy to było? - wtrąciła Cass. A więc instynkt jej nie mylił. Z początku Gregory usiłował ukryć ten fakt i skłamał.

- To było o wpół do dwunastej. - Zawahał się, spoglądając na brata, ale ten właśnie wkładał do lodówki karton mleka i jajka. Westchnął. - Powiedziała, że nie może zasnąć. Wypiliśmy po drinku w jednym z salonów. Od tego czasu już jej nie widziałem.

Cass spojrzała na niego badawczo. Wcale mu nie ufała. Tym razem jednak Gregory nie spuścił oczu.

Właściwie nie miała powodu mu nie wierzyć. A jednak nie ufała mu.

- Nie wierzę - rzekła z ponurą miną, wpatrując się w Antonia. - Jest teraz wpół do pierwszej. Ostatnią osobą, która widziała Tracey, był Gregory, wczoraj koło północy. Czyli dwaście godzin temu. To mi się nie podoba! Antonio, czy to możliwe, abyśmy ujrzeli Tracey pod oknem biblioteki?

Na tę uwagę zbłądł i zeszywniał.

- Nie - odparł zdławionym głosem.

Cass nie mogła oderwać od niego wzroku. Usłyszała samą siebie:

- Na dworze było już wtedy zupełnie ciemno.

Gregory wtrącił się do rozmowy, patrząc to na nią, to na niego.

- O czym wy mówicie?

Cass zwilżyła wargi.

- Odkąd przyjechałam tu przedwczoraj, wydarzyło się wiele dziwnych rzeczy. A wczoraj wieczorem...

- Wczoraj wieczorem - przerwał jej Antonio - ujrzałem Margaritę stojącą pod oknem.

Gregory zrobił się biały jak ściana.

Gdy Catherine z Celią przyjechały do Casa de Suenos, Antonio konferował z elektrykiem. Tracey nadal się nie pojawiła, i choć Cass spędziła w bibliotece wiele godzin w towarzystwie

obu braci, zagłębiona w notatkach de la Barki, jej niepokój wzrastał z każdą minutą. Teraz ścisnęła czule ciotkę, myśląc rozpaczliwie: Gdybyż tylko ona nie przyjechała!

Ona wzywa nas tu wszystkich.

Celia pobiegła do Alyssy, podczas gdy Cass została z ciotką w sieni.

- Jaką miałaś podróż? - spytała, obserwując z przerażeniem dramatyczne zmiany w jej wyglądzie.

Catherine, ubrana w czarne spodnie, blezer w tym samym kolorze i bluzkę o kroju męskiej koszuli, uśmiechnęła się z widocznym zmęczeniem.

- Przynajmniej nie zgubiłyśmy się na drodze do Casa de Suenos. - Powoli rozejrzała się wokół siebie z miną znaczącą zarazem niedowierzanie i odrazę.

- Nie mogę uwierzyć, że wynajęłaś auto z kierowcą - rzekła Cass. - Przecież mogłam po ciebie przyjechać na lotnisko.

Catherine rzuciła jej dziwne spojrzenie i wolno podeszła do progu salonu, zaglądając do środka.

- Ciociu? - wyjąkała Cass, nie kryjąc obaw.

- Nic się nie zmieniło - orzekła Catherine zachrypniętym głosem, nie odwracając się w jej stronę. - Nienawidziłam tego domu wtedy i nienawidzę go dzisiaj.

Cass wlepiła w nią oczy.

- Czy ona tu jest? - zapytała.

- Nie czujesz jej obecności? - odparła Catherine.

Cass zadrżała.

- To jej obecność sprawia, że tu jest tak zimno, że czuje się takie napięcie, prawda?

Catherine skrzyżowała ramiona.

- Nie powinnam tu była przyjeżdżać.

W drzwiach pojawił się Antonio, ubrany w robocze spodnie i czerwoną koszulkę polo, a za nim elektryk ze skrzynką z narzędziami w rękach.

- Lady Belford - zwrócił się do Catherine ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy.

Cass czuła się jak sparaliżowana. Jakby nie dość, że Isabel stale ich tu nękała, że na ich rodach ciążyła jakaś straszna

kłątwa, ona sama nie mogła się otrząsnąć z uczucia, jakie budził w niej Antonio, co nadzwyczaj komplikowało jej stosunki z Tracey, że on na nowo przeżywał zagadkowe zniknięcie żony, to na dodatek przybyła ciotka ze swoją straszną tajemnicą. Trzeba się tylko modlić w duchu, by nie zechciała wyjawić, co naprawdę przydarzyło się tutaj Eduardowi de la Barca.

- *Senor* - Catherine wyciągnęła do niego rękę. - Jest mi przykro, że nie spotykamy się w sympatyczniejszych okolicznościach. I mam nadzieję, że się nie narzucam.

Przez chwilę mierzył ją wzrokiem.

- Naturalnie, że się pani nie narzuca. Z przyjemnością witam panią w Casa de Suenos. - Zawahał się. Cass wyobraziła sobie, co w istocie ma na myśli. Antonio odwrócił się w jej stronę. - *Cassandro*, obok sypialni Tracey znajduje się jeszcze jeden pokój. Czy zechciałabyś pokazać go ciotce? Muszę jeszcze przez chwilę zostać z elektrykiem.

- Sytuacja opanowana? - zapytała Cass, trochę zaniepokojona wyrazem jego twarzy.

Spojrzał na nią.

- Piorun musiał trafić w dom. Kable są w fatalnym stanie. Elektryk powiedział, że nigdy przedtem nie widział takiego zniszczenia.

Cass wpatrywała się w niego, czując, jak jej serce przyspieszyło w reakcji na zwrot „takie zniszczenie”.

- Ale przecież nie było burzy.

- Owszem, cała ich seria nawiedziła okolicę kilka tygodni temu.

- Kilka tygodni temu? - Nie wzbudzało to jej optymizmu. - Ale da się to naprawić, prawda?

Mina Antonia nie wróżyła nic dobrego.

- Nie dzisiaj.

Cass nie wierzyła własnym uszom. Elektryk tymczasem łądował sprzęt na ciężarówkę.

- No to kiedy będziemy mieli światło? - Sceny z minionej nocy znowu ukazały się jej w pamięci.

- Elektryk wróci w poniedziałek. - Popatrzył przeciągle na Catherine. - Zaraz wracam - dodał i szybko wybiegł przed dom.

Cass nie spodobało się jego spojrzenie. Odwróciła się ku ciotce, która przyglądała się jej z uwagą. Uśmiechnęła się na siłę.

- Wczoraj wieczorem wysiadło światło. Telefon też nie działa. To bardzo stary dom i wymaga nowego okablowania...

- Mam nadzieję - rzekła Catherine, wpatrując się w dwóch mężczyzn stojących obok ciężarówki.

Cassandra stanęła zdziwiona. Cóż ciotka ma na myśli?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. Ona jest tutaj z konkretnego powodu, a teraz już wszyscy zjechaliśmy do Casa de Suenos. A gdzie są Tracey i Alyssa?

Cass schyliła się, żeby podnieść małą torbę podróżną ciotki. Nie miała zamiaru niepokoić jej, komunikując na wstępie o zniknięciu siostrzenicy.

- Alyssa i mały Eduardo bawią się na dworze. Ale o czym mówisz? To znaczy, duchy nawiedzają znane sobie miejsca, bo są nieszczęśliwe? Na tym polegałaby przyczyna jej obecności tutaj? - Nie odpowiadał jej temat, do którego nieuchronnie zmierzała ta rozmowa.

- Och, Cassandro - rzekła Catherine z politowaniem. - Ona tu przebywa z jednego powodu. Jest nim zemsta.

Cass została sama w wielkiej sieni, wydana na pastwę ponurych myśli.

Isabel nie zamierzała opuścić tego domu, ponieważ chciała się zemścić? Trudno było w to uwierzyć. Nie, za nic w świecie. Duchy nie są zdolne do myślenia lub do działania z określonym motywem. Co do tego nie miała wątpliwości.

Uprzytomniła sobie, że jej ciotka poszła na górę. I to nie tymi schodami. Do drugiego skrzydła domostwa. Tego, w którym znajdowała się komnata Isabel.

- Ciociu! - krzyknęła. - Pomyliłaś drogę! Poszłaś do południowego skrzydła!

Starsza pani jednak nie zwracała uwagi na jej ostrzeżenie i krzyknęła na górnym podeście.

Tego tylko brakowało - pomyślała Cass i pobiegła za ciotką.

Ujrzała staruszkę stojącą przed drzwiami prowadzącymi do pokoju Isabel. Cass chciała krzyknąć, ale język jakby przywarł jej do podniebienia.

Catherine zawahała się przez moment, następnie wolno otworzyła drzwi. Zadrzała, wchodząc do środka.

Cass ruszyła za nią. Jej stopy były jak odlane z ołowiu, nie chciały jej słuchać.

Catherine mierzyła pokój wzrokiem. Wreszcie odwróciła się i spojrzała na portret Isabel. Cass znowu nie mogła zaczerpnąć tchu. Skuliła się w sobie, bo poczuła znany już chłód w komnacie. Było tu zimno, ponuro, okropnie. To spowodowało, że zeszywniała z napięcia.

- O co chodzi? - zapytała cichym głosem.

Catherine nie patrzyła na nią.

- Zatrzymałam się wtedy w tym pokoju.

- W tej komnacie? - wyjąkała zdumiona Cass.

Jej ciotka skinęła głową, wpatrując się w portret.

- Przyjechałam tu po raz pierwszy, by pomóc Eduardowi w odtworzeniu historii jego rodziny. Oboje oszaleliśmy na jej punkcie. - Catherine znów się wzdrygnęła, wskazując ręką na obraz. - Miała nieprawdopodobnie tragiczne życie.

- Natrafiliśmy na jej kamień nagrobny.

- Na tutejszym cmentarzu? - Catherine kiwnęła głową, nawet się nie odwracając. - Jestem zaskoczona, że sprowadził jej prochy.

- To ona nie zmarła w Hiszpanii?

- O, nie - odparła cicho Catherine. - Spłonęła na stosie na wzgórzu Tower.

Cass poczuła dreszcz trwogi.

- Ale chyba tu bywała?

- Krótko, jak zdołaliśmy ustalić. W bibliotece są jej listy, a w każdym razie były. Listy Isabel do jej kuzyna Roba de Warenne.

- Listy? - wykrzyknęła Cass z podnieceniem. - Ach, cóż to będzie za odkrycie! A kim był Rob de Warenne? Synem jej stryja?

- To się zdarzyło tak dawno temu - mruknęła jakby do sie-

bie Catherine. - Myślę, że on był jej dalekim krewnym, a nie synem hrabiego. Był jej kochankiem.

- Co?!... - Cass zamarła z wrażenia.

- No tak, był jej kochankiem. Po lekturze tych listów sprawa nie ulega kwestii. - Catherine przełknęła ślinę. - Pokazywała mi się każdej nocy przed zaśnięciem, a gdy się budziłam, znowu ją widziałam.

Cass ciągle starała się oswoić z faktem - lub hipotezą - że Isabel miała kochanka.

- I tak było aż do czasu, gdy zostaliśmy kochankami.

Cassandra zaniemówiła. Poczowała wielki lęk, który stłumił jej entuzjazm.

- Nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz - zaczęła, ale język znów odmówił jej posłuszeństwa. Dobrze wiedziała, co zaraz nastąpi, i nie chciała znać żadnych szczegółów. Nie teraz, gdy Antonio stał się jej taki bliski. To sprawi, że będzie musiała go okłamywać, żeby chronić własną ciotkę. A tego starała się za wszelką cenę uniknąć.

Catherine odwróciła się w jej stronę.

- Naprawdę zdumiewające jest to, że nigdy nie udawaliśmy, iż zakochaliśmy się w sobie. To było jedynie pożądanie.

Cass nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- To się zdarza. Chodźmy stąd. Ta komnata nie jest szczególnie miłym miejscem...

- I pożądanie zmieniło się w nienawiść, a nienawiść w przemoc i w śmierć.

- Proszę - jęknęła Cass. - Nie chcę tego słuchać.

- Ale ja muszę ci o tym powiedzieć! - krzyknęła Catherine z oczami pełnymi łez. - Uprawialiśmy miłość w gwałtowny sposób, kłóciliśmy się jak dwoje szaleńców. Rozmyślałam wtedy wiele nad nienawiścią, jaką Eduardo we mnie wzbudził, niemniej wcale nie miałam zamiaru stąd wyjechać. Nie mogę sobie przypomnieć, po co pojechaliśmy do Pedrazy, ale doskonale pamiętam, że rozpaczliwie marzyłam, aby - kiedy się już tam znajdziemy - rozstać się z nim, odejść.

Cass potrafiła się tylko gapić z pustką w oczach. Ciotka opowiadała jej historię jakiejś zupełnie obcej kobiety. Trudno było uwierzyć, że chodzi o tę samą, dobrze jej znaną osobę.

- On szedł po drugiej stronie ulicy. Uliczki w miasteczku są takie wąskie. Wtem ujrzałam samochód nadjeżdżający zza zakrętu. Zdawałam sobie sprawę, że Eduardo nie mógł go zobaczyć. A ja go wtedy zawołałam, machając do niego ręką.

Cass zapragnęła zakryć uszy rękami.

- Wszedł na jezdnię, nie oglądając się. Chwilę później auto go potrąciło.

Cass skamieniała.

- Nie sądzę, abyś zapamiętała to wydarzenie zgodnie z faktami.

Catherine nie zważała na jej słowa.

- Na sekundę przed wypadkiem Eduardo zorientował się, co się stało. Na jego twarzy ujrzałam wstrząs - niedowierzanie - wreszcie przerażenie.

- Wyjdźmy stąd. - Cass ponowiła prośbę.

Catherine potrząsnęła głową.

- Naturalnie, ja byłam również w szoku. W chwili, gdy to się stało, cała moja nienawiść wyparowała. Nie mogłam wręcz pojąć, jak do tego doszło. Trzymałam go w ramionach, ale on już nie żył, a kiedy spojrzałam w górę, zobaczyłam ją. Ona tam była.

Cass chwyciła ją za ramię.

- Kto? Isabel?

- Tak. I patrzyła z triumfem.

Dziewczyna wlepiła oczy w ciotkę. Wreszcie ich wzrok się spotkał. Po twarzy Catherine spływały łzy.

Po chwili milczenia lady Belford się odezwała:

- Ale być może się mylę. Przypuszczalnie był to jakiś odblask, wytwór imaginacji, naprawdę nie wiem. Przecież sama byłam szokowana. I przebywałam z tym portretem niemal przez cały tydzień. - Obejrzała się, żeby znów popatrzeć na obraz. - Nienawidzę tego domu - rzekła. - I nienawidzę jej.

Cass nie potrafiła znaleźć na to odpowiedzi. Czy to możliwe, by Catherine naprawdę ujrzała Isabel? A jeśli tak - co to za różnica? Owszem, to wszystko zmienia! Ponieważ, jeżeli rzeczywiście tak było, Isabel cieszyła się śmiercią Eduarda de la Barki.

Oznacza to też, że Isabel jest obdarzona jakąś energią, że czuje i myśli.

No, ale chyba trudno przypuszczać, by była zdolna do sięgnięcia ich wszystkich do Casa de Suenos.

To bowiem znaczyłoby, że ma motywy, plan działania.

- Nie mogłaś jej wtedy zobaczyć - rzekła szybko Cass. - To wszystko podpowiedziało ci wyobraźnia.

- Przypuszczalnie masz rację.

- Jestem pewna, że mam rację - krzyknęła Cass, ciągnąc ciotkę za rękę. A w duchu pomyślała: Isabel zemściła się na Eduardzie. - Jesteś zmęczona - dodała. - Wyjdźmy stąd. Im szybciej to zrobimy, tym lepiej.

Eduardo nie mógł być ofiarą zemsty Isabel. Nie, w żaden sposób.

Catherine popatrzyła na siostrzenicę. I nagle jej twarz się zmieniła: usta rozciągnęły się w groteskowym uśmiechu, skóra wygładziła. Ciotka w jednej chwili stała się młodą kobietą, i kiedy tak patrzyła na nią, jej oczy miały intensywnie niebieski kolor, taki sam, jak tęczówki Isabel.

- Tak - powiedziała. - Tak, był ofiarą.

Cass wydała z siebie przeraźliwy krzyk.

Ciotka, która nie była już starą, zniszczoną życiem kobietą - stała przed nią i wpatrywała się w nią ze złowieszczym, przerażającym uśmiechem.

Torba podróżna wypadła z rąk Cass. Miała ochotę uciec, ale z najwyższym trudem powstrzymała ten odruch. Tkwiła w miejscu, niezdolna do uzmysłowania sobie, ile minęło sekund. W końcu wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Catherine.

W tej samej chwili ponownie zobaczyła ciotkę.

Nie Isabel.

- Co mówiłaś? Przepraszam, nie dosłyszałam. - Catherine była jeszcze bledsza niż zazwyczaj.

Cass czuła się jak sparaliżowana. Przed chwilą widziała przed sobą wstrętnego potwora, była o tym przekonana. Stała przed nią kobieta, która nie była jej ciotką i która zmarła ponad czterysta lat temu. A może była to halucynacja? Czy traci władzę nad umysłem? Popada w szaleństwo?

- Szkoda, że tu przyjechałaś - szepnęła, czując na brwiach

krople potu spływające z czoła. Jednocześnie pomyślała: Wkrótce zdarzy się coś strasznego.

Catherine zagryzła wargę i nagle mocno przytuliła do siebie siostrzenicę.

- Cassandro, zdarzy się coś strasznego, a tkwimy w tym wszyscy. Teraz jest za późno. Za późno, aby to powstrzymać, ponieważ wszyscy znaleźliśmy się tutaj, w tym domu, tak, jak ona sobie tego życzyła.

Cass czuła, że traci resztki równowagi wewnętrznej. Nie mogła sobie wyobrazić następnej nocy w tym miejscu, na dodatek bez światła. Nagle uprzytomniła sobie, że się boi, w skroniach odezwał się ćmiący ból.

- Nikt nie widział Tracey od zeszłej nocy - wyszeptała. - Nie chciałam ci o tym mówić.

- O Boże! - wykrzyknęła Catherine. - Nie Tracey! - Wybuchnęła płaczem.

- Nic jej się nie stanie - rzekła ostro Cass. Jednakże w głębi ducha miała poważne wątpliwości. Wcale nie była o tym przekonana. - Właściwie po co miałybyśmy tu zostać aż do poniedziałku? Gdy Tracey wróci - a sądzę, że nastąpi to lada moment - możemy się spakować i wyruszyć jutro rano.

Catherine przytaknęła, nie zważając na łzy, które spływały jej po policzkach.

- Skoro tak uważasz...

Cass popatrzyła jej w oczy i dostrzegła, że ciotka wcale w to nie wierzy.

- Jest coś jeszcze? - spytała. - Coś, czego mi nie zdradziłaś...

- Tak. Ojciec Eduarda zmarł wskutek ran zadanych nożem. Miał wtedy czterdzieści parę lat.

Serce Cass aż drgnęło.

- A Eduardo zmarł w czterdziestym drugim roku życia, tak?

Catherine przytaknęła.

- Co przez to sugerujesz? - Cass w pełni uświadomiła sobie rozmiary tragedii, która od wieków prześladowała ród de la Barca. Ojciec i dziadek Antonia zmarli w pełni sił. Teraz on zbliżał się do czterdziestki.

Zadygotała z trwogi.

- Zabiła go własna żona. - Catherine spojrzała na siostrzenicę, która aż podskoczyła, wstrząśnięta tym, co usłyszała. - Uznano ją za niepoczytalną i zamknięto na resztę życia w zakładzie psychiatrycznym.

Podczas gdy Cass wpatrywała się w ciotkę, w pokoju coraz bardziej nasilał się zapach fiołków.

- Antonio nigdy o tym nie wspomniał - wykrztusiła zbiełałymi ze strachu ustami. - Ciociu?

Catherina rozejrzała się wokoło, wyraźnie zaniepokojona.

- Chodźmy stąd - rzekła, podchodząc do drzwi.

Cass nie zamierzała oponować. Pomyślała, że czuje obecność tamtej kobiety szóstym zmysłem. Stała między nimi, przebywała w tym samym pokoju. Wszystko to odbywa się w jej głowie, usiłowała się pocieszyć. Gdyby tylko nie obrzydliwy zapach fiołków; był bez wątpienia rzeczywisty. Ciotka zdawała się też wyczuwać obecność tamtej, bo mimo zapowiedzi nie wychodziła z komnaty; stała bez ruchu z szeroko otwartymi oczami, płytko oddychając. Isabel, jeśli to była ona, uwięziła ich u siebie mocą zapachu, jaki rozaczała. Nigdy przedtem ta woń nie była silniejsza niż teraz, po prostu ścinała z nóg. Cass zaczęła kasłać.

Jej ciotka zrobiła się biała jak ściana. Rozpięła kilka guzików bluzki i poczęła wachlować się ręką. I ona się rozkaślała.

- Jak się czujesz? - Cass podeszła do ciotki i podtrzymała ją, w obawie, że ta lada moment się przewróci.

Catherine, nie mogąc opanować ataku kaszlu, na próżno próbowała się odezwać.

Cass przestraszyło to nie na żarty. Uderzyła ciotkę kilka razy w plecy, ale nie przyniosło to pożądanego rezultatu. Catherine zaczęła się dusić.

Cass wydała głośny okrzyk i objęła ciotkę ramionami, gdy tamta osuwała się na podłogę; twarz Catherine stała się czerwona jak burak, oczy wyszły z orbit. Rękami usiłowała rozebrać odzież, nie mogąc złapać tchu. Cass pojęła, że ciotka ma jakiś straszny atak i że gwałtownie potrzebuje tlenu.

- Antonio! - krzyknęła co sił w płucach. - Antonio! Anto-

nio! - Zupełnie nie wiedziała, co począć. Ciotka nie mogła oddychać, jej twarz zrobiła się fioletowa. Jednym ruchem rozerwała jej bluzkę. Nigdy przedtem nie praktykowała sztucznego oddychania, ale przynajmniej w teorii wiedziała, jak w takich razach postępować.

Antonio wpadł do pokoju.

- Musimy natychmiast odwieźć ją do szpitala! - krzyknęła. - Ona się dusi.

Antonio przyklęknął obok Catherine, która, ku zgrozie Cass, przestała oddychać. Jej twarz zmieniła barwę na siną, oczy miała wybałuszone, niewiążące. Natychmiast przystąpił do sztucznego oddychania.

Cass patrzyła z rosnącym przerażeniem, jak Antonio miarowo naciska klatkę piersiową Catherine i wdmuchuje ustami powietrze do jej nieruchomych ust. Cały ten wysiłek szedł na marne. Nie - pomyślała na granicy hysterii - to się nie może zdarzyć, to niemożliwe!

Nadal czuła w całym pomieszczeniu zapach fiołków. Nie był już tak intensywny, stopniowo słabł.

Antonio tymczasem ciągle próbował ratować życie ciotce, podczas gdy Cass modliła się w duchu, powtarzając: Boże, Boże, Boże.

Nagle usiadł.

Cass zrozumiała, co się stało, gdy spojrzała na leżącą nieruchomo na podłodze Catherine. Jej twarz była ciemnoniebieska i jakby pokryta woskiem.

- Nie ustawaj! -jęknęła.

Antonio zamknął zmarłej powieki. Unosząc głowę, rzekł tylko:

- Cassandro, przykro mi.

CZEŚĆ TRZECIA

ISABEL

ROZDZIAŁ 14

Dwór Stonehill - lipiec 1550 roku

Wreszcie przyjechał.

Jej stryj, hrabia, który wygnał ją do tego miejsca siedem lat temu, czekał na nią. Isabel skryła się za pnem drzewa. Wiedziała, że musi się pokazać, ale nie mogła drgnąć. Serce biło jej z zawrotną szybkością. Kilkunastu żołnierzy w barwach hrabiego Sussex kręciło się po dziedzińcu - jej dziedzińcu - hałaśliwie żartując i śmiejąc się. Jej służba gdzieś się ukryła, ale Isabel nie miała do niej żalu. Wojacy stryja wyglądali groźnie, choć robili wrażenie wyczerpanych. Nie miała wątpliwości, że przybyli z północy. Przed kilkoma tygodniami tysiące rebeliantów zgromadziły się w Sittingbourne, by zaprotestować przeciwko wysokim podatkom oraz brakowi żywności. Do stłumienia buntu wysłano potężne siły.

- Isabel! - krzyknęła lady Helen.

Westchnęła. Nie była zbytnio zadowolona ze swojej towarzyski. Stryj przed wielu laty wybrał w tym celu żonę kuzyna, która straciła wszystkich bliskich. Helen była złośnicą, mimo długiego okresu spędzonego z Isabel z dala od życia dworskiego. Dziewczynka podejrzewała, że ją szpieguje. Z pewnością donosiła o wszystkim swojemu dobroczyńcy. Niewiele jednak miała do zdradzenia, bo w ciągu siedmiu lat życia wśród gęstych lasów Isabel stała się polną myszką.

- Isabel!

Nie mogła już dłużej odwlekać spotkania. Wyszła zza drzewa.

Helen stała pośrodku dziedzińca. Dostrzegła ją i krzyknęła:

- Czy właśnie dzisiaj musiałaś zbierać jagody?

Isabel wyprostowała się i uniosła podbródek. Była boso i podtrzymywała rękami fartuszek, żeby owoce nie wysypały się na ziemię.

- On się nie zapowiedział z wizytą.

Helen ściągnęła brwi.

- Aha, więc zamierzasz być również dumna? Przypomnę ci, moja panno, że jest twoim opiekunem, ale aż do teraz zapomniał o twoim istnieniu. Tymczasem jesteś już wystarczająco dorosła, żeby mieć męża.

- Zapewniam cię, że nie zapomniałam faktów z mego życia - odparła Isabel. Nadal trzymała wysoko uniesioną głowę, gdy szła między żołnierzami i końmi. Zignorowała kilka bezczelnych mrugnięć i wulgarnych propozycji pod swoim adresem. Mimo pozorów odwagi bała się. Zdawała sobie sprawę, że musi wyrzucić na stryju dobre wrażenie. Zależała od tego cała jej przyszłość.

Helen chwyciła za rękaw żołnierza, który nie ustawał z zaczepkami.

- Ona jest bratanicą Sussexa. Uważaj, jak się zachowujesz, hultaju!

Isabel nie zważała na krzyki Helen, otwierając masywne wrota.

Hrabia chodził po wielkiej sieni tam i z powrotem z wyraźną irytacją. Nie był sam, towarzyszyli mu dwaj rycerze. Isabel stanęła, bo jeszcze jej nie zauważył, zajęty rozmową. Gdyby tylko miała sposobność, by pobiec do swoich pokojów i przebrać się odpowiednio do okazji!

Hrabia Sussex zatrzymał się nagle w pół kroku. Chłodno popatrzył na nią i na Helen.

- Zażądaliśmy wina. Gdzie ono jest?

Isabel głęboko dygnęła, pochylając się do samej podłogi. Dwór, w którym mieszkała, w niczym nie przypominał zamku Romney. Z początku służył jako punkt wypraw dla myśliwych. Kamienie, jakimi była wyłożona posadzka, były nie oszlifowane, a ich ostre brzegi wbijały się boleśnie w stopy i kolana. A nawet w nos, bo Isabel tak głęboko dygnęła, że do-

tknęła twarzą ziemi. Nie dziwiła się hrabiemu, że traktuje ją jak sługę.

- Mój panie, proszę mi pozwolić, abym osobiście przypilnowała, by przyniesiono wino - odezwała się z szacunkiem.

- Isabel? - zapytał.

Wstała, ciągle trzymając poły fartuszka, żeby nie wysypać jagód.

- Tak, mój panie - wyszeptała, nagle onieśmielona.

Przybysz nosił na piersi naszyjnik z granatów na ciężkim łańcuchu, kiedyś należący do jej ojca. Isabel nie była w stanie się ruszyć. Wspomnienia, których wcale nie chciała do siebie dopuścić, owładnęły nią bez reszty. Bała się, że w najbardziej niewłaściwym momencie zemdleje wskutek zawrotów głowy. W całym ciele poczuła gwałtowny ból, przytłaczał ją żal za minionym czasem.

- Moja droga bratanico - rzekł wreszcie Sussex. - Jego niebieskie oczy świdrowały ją. - Zbyt długo cię nie widziałem. Daj mi na siebie popatrzeć, uroczą córko mego brata.

Isabel stała w milczeniu. Jego słowa wydawały się sztuczne i przesłodzone. A może tak jej podpowiadała wyobraźnia?

Przecież wiedziała, że nic a nic nie obchodzi hrabiego. Hojnie przydzielił jej środki na życie, ale nie mogła ich wydać, mieszkając w głuchym lesie. Wieść głosiła, że stryj był jednym z najpotężniejszych panów w całym królestwie. Tak jak ojciec, on również został doradcą monarchy. Gdyby rzeczywiście się o nią troszczył, pozostawiłby ją na zamku Romney albo przynajmniej pisałby do niej chociaż raz lub dwa w ciągu roku. Tymczasem hrabia nie tylko się nią nie zajmował - pomyślała z jakimś gniewem - ale chyba cieszył się ze śmierci jej ojca. Tak w każdym razie sądziła. Bo w przeciwnym razie nie byłby ani tak wielki, ani tak bogaty.

Od pewnego czasu coś do niej mówił. Isabel uzmysłowiła sobie, że nie usłyszała ani jednego słowa z jego przemowy. Zaczerwieniła się gwałtownie.

- Przepraszam, mój panie, nie dosłyszałam.

- Rzekłem, że jesteś kopią twojej matki, niech Bóg da jej wieczny odpoczynek.

Isabel nie mogła się zdecydować, czy stryj rzeczywiście

mówił, co czuje. Najpewniej skłamał. Ponieważ jej matka, jak pamiętała, była najłagodniejsza, najcudowniejsza, najpiękniejsza ze wszystkich kobiet.

- Dziękuję, mój panie - szepnęła. - Ale nie zasłużyłam na takie słowa pochwały.

Helen dziabnęła ją łokciem w żebro.

- I równie skromna jak ona - orzekł John de Warenne, gestem dłoni podkreślając swoje słowa. Był mężczyzną około czterdziestki, ze szpakowatymi włosami i nieco ciemniejszą brodą. Ponownie zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Aż trudno w to uwierzyć. Jakże niestosownie się zachowałem. Od naszego spotkania minęło więcej czasu, niż sądziłem. Kiedy widziałem cię po raz ostatni, byłaś chuderlawym dzieckiem z wielkimi oczami, szopą włosów i nogami jak szczapki drewna.

Isabel mądrze trzymała język za zębami. Po raz ostatni ujrzała stryja rok po pogrzebie rodziców, gdy przyjechał, by zawładnąć zamkiem Romney i omówić z lordem Seymourem, wujem księcia Edwarda, sprawę następstwa tronu, ponieważ król, wbrew wszelkim radom, szykował się do wojny z Francją. Isabel podsłuchiwała ich wtedy i na całe życie zapamiętała przebieg rozmowy.

Król Henryk powrócił po zwycięskiej batalii i żył jeszcze trzy lata.

Po jego śmierci tron brytyjski objął książę Edward.

- Moja droga bratanico, zatrzymam się tutaj na dzień lub dwa, abyśmy mogli się lepiej poznać. Teraz jednak muszę rozstrzygnąć pilne sprawy. Zechcesz nas zostawić? - Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały poważne. Odwrócił się do rycerzy.

Isabel wstrząsnął jego sposób bycia i natychmiastowa odprawa. Czy stryj nawet nie zamierza wspomnieć o zaaranżowaniu dla niej małżeństwa? Przecież z pewnością odnotował, że jest już prawie dorosłą kobietą.

Helen ścisnęła ją za ramię.

- Dziękujemy, mój panie, i zaraz każemy podać wino.

Isabel nie mogła uwierzyć, że to koniec rozmowy. Wymienili zaledwie parę zdań. Ona tymczasem musi się dowiedzieć, jaka czeka ją przyszłość.

- Panie mój i władco... - wyrzekła szybko.

Lady Helen chwyciła ją za rękę.

- Nie teraz - syknęła jej do ucha.

Gdyby były same, Isabel wyrwałaby się z jej uścisku. Jednakże szacowne towarzystwo nie pozwalało na sceny. Została niemal siłą wyprowadzona z holu. Isabel niechcący napotkała wzrok jednego z rycerzy. Uśmiechnął się do niej.

Odwrociła się i pokornie podażyła za lady Helen.

Gdy tylko zniknęły gościom z oczu, usiadła na schodach. Helen, stojąc nad nią, wyszeptwała ze złością:

- Co ty wyprawiasz! Masz natychmiast wstać i pójść za mną.

- Nie - odparła stanowczo.

Mężczyźni podjęli rozmowę. Isabel nadstawiła ucha. Ktoś mówił:

- I ucieczka się nie powiodła. Ona wcale nie jest w Antwerpii, jak cesarz usiłował nas przekonać. Pozostaje w Maldon, miłośniwy panie.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym rozległ się krzyk drugiego z rycerzy:

- Skaranie boskie! - Głos zdradzał gniew.

- Spokojnie, Robbie, spokojnie. Musimy teraz działać z rozważą. - To był Sussex.

- Co dobrego z tego przyjdzie? - zapytał rycerz zwany Robbiem. - Księżniczka krwi w obawie o własne życie zmuszona do takich czynów - to nie do zniesienia!

Isabel zasłoniła ręką usta, żeby nie wydać okrzyku trwogi. Dobry Boże! Oni rozmawiali o księżniczce Marii, która bez wątplenia usiłowała zbiec z Anglii, ale jej się to nie powiodło. Jeszcze bardziej się nachyliła, marząc o zejściu na dół, żeby podsłuchać całą przebieg rozmowy.

- Jesteś porywczy jak zwykle - odezwał się hrabia. - Musimy bardzo poważnie rozważyć tę sytuację. - Zaklął. - Radą rządzi Dudley, król jest słabowitym chłopaczkiem, frakcje knują na potęgę... Rob, skierujemy do Marii posłańca. W starannie dobranych słowach wyrazimy niepokój o jej dobro, nasze niezadowolenie tyranią rady, ale nie będziemy jedno-

znacznie opowiadać się za lojalnością wobec niej, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Zapadła cisza. Serce Isabel biło tak mocno, że aż się zaniepokoiła, czy tamci jej nie usłyszą. Na twarzy poczuła krople potu. Co planował stryj? Nawet ona święcie wierzyła, że Maria jest prawowitą następczynią Edwarda, choć była katoliczką. Dlaczego Sussex nie popierał jej w pełni? I co się stanie, jeśli zdecyduje się poprzeć kogoś innego? Puls w skroniach uderzał z zawrotną szybkością. Isabel zdawała sobie sprawę, że musi być na zawsze związana sojuszem ze swoim protektorem, ale instynkt podpowiadał jej, aby nie ufać hrabiemu, a wierzyć jedynie samej sobie. A zresztą, to wszystko i tak nie miało dla niej wielkiego znaczenia, skoro była skazana na przebywanie w Stonehill. Kwestie państwowe - wielka polityka i spiski koronne - nie miały wpływu na jej życie.

- Miłościwy panie, z przyjemnością sam dostarczę tę wiadomość - rzekł Robbie z mocą. - W samej rzeczy, upraszam o wysłanie mnie w tej misji.

- Drogi są strzeżone. To samo dotyczy rzek i kanałów. Rob, nie będzie to proste zadanie. Rada ma wszędzie swoich szpiegów.

- Mimo to czuję, że muszę stawić temu czoło.

- Doskonale. Lecz będziesz podróżował w przebraniu. I jedynie za dnia - noc okazałaby się zbyt niebezpieczna. Wyjdziesz stąd o świcie.

Znowu zapadła cisza, lecz Isabel wyobraziła sobie, że trzech mężczyzn uśmiecha się teraz do swoich myśli. Znowu mogła wrócić do własnych trosk na temat przyszłości. Pomyślała, że w jakiś sposób musi zwrócić na siebie uwagę Sussexa przed jego odjazdem.

Nie miała pojęcia, że jej życzenie spełni się w najbardziej nieoczekiwany sposób.

Czatowała przy otwartych wrotach wejściowych. Zapadł łagodny wieczór. Powietrze było nieco chłodniejsze niż o tej porze roku i nadzwyczaj przyjemne. Po jasnym i słonecznym dniu granatowe niebo zaroilo się od gwiazd. Isabel nie była senna. Nawet nie myślała o udaniu się na spoczynek. Jak mo-

głaby do tego dopuścić? Sussex nadal przebywał w wielkiej sieni dworu, grając w karty z tym młodym rycerzem, Robbiem, podczas gdy jej własny muzyk przygrywał im dla rozrywki na lutni. Na dziedzińcu rozbiło obóz ze czterdziestu czy pięćdziesięciu ludzi stryja, jedząc przy ognisku wieczerzę, grając w kości, a nawet filtrując z dziewczkami, które nadciągnęły z okolicznej wioski i z sąsiednich farm na wieść o przybyciu lorda Sussexa z drużyną. Dwór Stonehill nigdy nie był równie ludny.

Lady Helen oddaliła się do swojej komnaty, ale gdy tylko położyła się do snu, Isabel szybko wymknęła się na dół. Dawno nie była równie ożywiona. W jej głowie aż huczało od myśli. Ciągle miała w pamięci, że zdecyduje się jej przyśrościć, jeśli tylko zdoła zapewnić sobie uwagę stryja.

- Cóż za wielkie brzemię losu dźwigasz, moja panno?

Uniosła głowę na dźwięk znanego już sobie męskiego głosu. Odwróciła się i ujrzała przed sobą jasnowłosego, szarookiego rycerza, o którym wiedziała, że ma na imię Robbie - tego, który zgłosił gotowość dostarczenia wieści do rąk księżniczki Marii.

Zmrużył oczy, przyglądając się jej bacznie.

- Zdajesz mi się taką smutną istotą.

Isabel, pogrążona w rozważaniach, nie była skora do rozmowy. Wiedziała jednak, że to jedyny taki moment w jej życiu. Gdy ich oczy się spotkały, zdobyła się, by wytrzymać jego spojrzenie. Mimo to nie potrafiła wywołać uśmiechu na wargach.

- To jedynie ciężar obaw, czy pozwolisz sobie odnieść zwycięstwo nad moim stryjem - odparła celowo chłodnym tonem.

Badawczy wzrok Robbiego nie ustępował. Pod jego wpływem Isabel spuściła oczy i obróciła głowę w bok. Wreszcie rycerz wybuchnął śmiechem. Był to cudowny dźwięk, znamionujący swobodę i radość. Isabel osłupiała.

Przestał się śmiać, spoważniał. Po długiej chwili dodał:

- Moja panno, twoje oczy mogą odmienić mężczyznę.

Isabel wcale się nie zaczerwieniła.

- Nie sądzę - odparła. - Czy zawsze jesteś taki śmiały?

- Tylko wtedy, kiedy mam naprzeciwko siebie damę taką jak ty. Jak to się dzieje - począł się głośno zastanawiać - że Sussex utrzymuje, iż jesteś taka skromna? Czy nie masz lustra?

Serce Isabel biło nierówno, choć przyrzekła sobie w duchu, że pozostanie chłodna podczas tej rozmowy. Wyczuwała że młodzieniec jest biegły w sztuce flirtu. Nie miała w tym wielkiego doświadczenia, bo w Stonehill było zaledwie paru mężczyzn nie dorównujących mu biegłością w konwersacji ze słabą płcią. Miała nadzieję, że policzki nie płoną jej wstydem, czuła jednak, że się zaróżowiła.

- Oczywiście, że mam zwierciadło. - Postanowiła zmienić temat. - Czy pokonałeś dziś mego stryja na polowaniu?

Spojrzał na nią z zamyśleniem.

- *Mademoiselle*, jeszcze mi do tego wiele brakuje, ale jest ku temu sporo okazji. - Uśmiechnął się lekko do niej.

Był to szczery uśmiech, choć ledwie igrał na jego ustach. Isabel pożałowała teraz, że nie jest taki śmiały jak przed chwilą.

- Czy byłoby roztropne, abyś pokonał swego dobroczyńcę? - spytała ostrożnie.

- Zapewne nie, ale z drugiej strony nie uważam się za najmądrzejszego z mężów. - Znowu się uśmiechnął, patrząc na nią z uwagą. - A skąd wiesz, że jest moim dobroczyńcą?

- Tak odgaduję, sir Robercie - odparła, nie chcąc się zdradzić, że podsłuchiwała ich rozmowę.

- Wobec tego, moja młoda damo, nie mylisz się, ponieważ tak jak ty, nie mam prócz niego innej rodziny i Sussex jest zarówno moim patronem, jak i dobroczyńcą.

Isabel szeroko otwarła oczy. A więc Robbie coś o niej wiedział. Ten fakt sprawił jej radość, ale zarazem postawił w nieco niezręcznej sytuacji.

- Opowiedz mi, proszę, jak to się stało, że jesteś sam na tym świecie.

Usta wygięły mu się w lekki grymas.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni. Robert de Warenne, do twych usług, i mówię to z pełnym przekonaniem. - Wykonał dworski ukłon.

Isabel stała nieruchomo, nadal czując na sobie jego intensywny wzrok.

- De Warenne?

- Zdaje się, że jesteśmy kuzynami, ale dość odległymi - rzekł z przewrotnym uśmiechem. - Pójdź. - Wyciągnął rękę w jej kierunku.

Isabel popatrzyła na niego. Już dawno zdjął zbroję i miał na sobie strój z ciemnozielonego aksamitu, wąski w talii, z bufiastymi rękawami, oraz koszulę z lnu z hiszpańskimi haftami przy kołnierzu i mankietach. Na to narzucił bezrękawnik z jaśniejszej barwy zielonego aksamitu. Na szyi zawiesił herb Sussexu, skromniejszy od tych, które nosili inni mężczyźni, co z jakiegoś powodu sprawiło jej ulgę.

Spojrzała na jego dłoń. Była opalona, silna i nie ozdobiona pierścieniami.

- Nie gryzę, moja panno - wyrzekł niskim głosem.

Głos wewnętrzny nakazał jej, aby nigdzie z nim nie szła; mogłoby się to okazać nie tylko ryzykowne, lecz wręcz niebezpieczne. Isabel nie interesowała się frywolnym flirtem, nie zabiegała o przyjaźń. Chodziło jej jedynie o to, żeby wyrwać się ze Stonehill i znaleźć sobie odpowiednie miejsce w świecie. Niemniej podała mu rękę. I aż ją to zdumiało.

Na dworze ściemniało się już zupełnie i jakiś Cygan podjął tęskną pieśń. Nie wiedzieli, czy ktokolwiek ich zauważył lub zwrócił na nich uwagę. Jego ręka była ciepła, silna i władcza. Po raz ostatni - uprzytomniła sobie Isabel - trzymała za rękę swego brata Toma.

I zniemacka poczuła straszną tęsknotę. Jakże pragnęła, by żył i znalazł się obok niej.

Wysunęła dłoń z dłoni Roberta. Spojrzał na nią, ale nie odezwał się ani słowem. Szli obok siebie przez dziedziniec.

- Mój ojciec był ulubionym kuzynem Sussexu - odezwał się ciepłym, głębokim barytonem. - Ich ojcowie byli braćmi. Ojciec, Guy de Warenne, miał wybuchowy charakter i związał się z niewłaściwą frakcją, gdy byłem dzieckiem. Obawiam się, że nasz zmarły monarcha postanowił, że za zdradę musi zapłacić głową.

- Och! - krzyknęła Isabel i wbrew sobie uśmiechnęła się ukradkiem.

- Co gorsza, Guy był wtedy młodzieńcem - i nigdy się nie ożenił.

Isabel zerknęła na jego przystojną twarz. Robbie miał męskie, silne rysy. Aha, rozumiem teraz - pomyślała. Robert był bastardem.

Wzruszył ramionami, dając tym do zrozumienia, że niewiele sobie robi ze swego pochodzenia.

- Moja matka była wdową w czasie ich romansu, ale kiedy ponownie wyszła za męża, dorobiła się przedtem trzech synów z nieprawego łoża, czyli byłem bękartem. Miałem osiem lat, kiedy Sussex przyjął mnie pod swój dach. Wydarzyło się to dwanaście lat temu.

Przystanęli na szczycie wzgórza. W dole widać było fermę Thompsona, a dalej wioskę i kościółek w dolinie. Trawa sięgająca do kolan ocierała się o spódnice Isabel i łaskotała nogi Roberta.

- Zatem, sir Robercie, dobrze sobie poradziłeś w życiu. Nosisz order Rycerza Podwiązki...

Uśmiechnął się szeroko, patrząc jej śmiało w twarz.

- Jestem niewyczerpany w swoich zamiarach. Gdybym nie miał takiej cechy, skończyłbym pewnie jako stajenny w Chiswick.

- Czy brałeś udział w wielu walkach?

- A jakże, piękna Isabel. - Utkwił wzrok w jej twarzy. - Zaznałem smaku walki pod królem Henrykiem. Zdobyliśmy wtedy Boulogne. - Nie spuszczał z niej wzroku. - Po to tylko, by ten tchórzliwy Suffolk oddał miasto Francuzom. To wtedy - dodał - otrzymałem ostrogi.

Isabel niezmiernie to zaskoczyło.

- Przecież byłeś wówczas jeszcze chłopcem.

- Byłem prawie w twoim wieku - odparł cichym głosem. - A czy ty nie jesteś już kobietą?

Poczuła się oślepią intensywnością jego spojrzenia. Nie mogła się poruszyć, odetchnąć, odezwać. Z najwyższym trudem oderwała od niego wzrok i utkwiała oczy w otaczającej ich trawie. Jej głos wewnętrzny stale ją ostrzegał: Nie rób tego,

nie zaczynaj przywiązywać się do niego, nie masz żadnych nadziei, czyha na ciebie jedynie niebezpieczeństwo... Oczyma wyobraźni ujrzała uśmiechniętą twarz Toma. Cofnęła się o krok, aby zwiększyć dystans między nimi. Brakowało jej tchu.

- Może mógłbyś wspomnieć o tym fackie stryjowi - wydukała wreszcie.

Przyjrzał się jej bacznie.

- Dlaczego? Żebyś mogła poślubić kogoś z potężnych panów? - zapytał ostrym tonem. W tym momencie znad morza powiała bryza.

- Mam piętnaście lat i nie mogę tkwić na wieki w Stonehill - odparła stanowczo. - Jestem spadkobierczynią mego ojca, mam wielki posag. Mogę wiele zaoferować odpowiedniemu szlachcicowi.

- Odpowiedniemu szlachcicowi - powtórzył bez uśmiechu, z zaciśniętą szczęką. - Ale nie bastardowi, który musiał ogromnym wysiłkiem zarobić na każdy grosz, na swoje ostrogi, na posiadłość w Kornwalii. - W jego tonie nie słychać było pytajnika.

Isabel gapiła się na niego bez słowa. Czy Rob był zły? Odwróciła się, gotowa do powrotu.

- Muszę iść.

Złapał ją za rękę.

- Dlaczego? Bo mam odwagę wyrażać to, co myślę?

- Mówisz głupstwa! - krzyknęła, starając się nie patrzeć na niego. On nie był odpowiednim kandydatem na męża. I ten stan nie ulegnie zmianie.

Obróciła ją twarzą do siebie.

- Czyżby? Mam śmiałość być uczciwy. A ty? Zamiast odpowiedzieć, usiłujesz uciec.

Miał rację, ale Isabel nigdy by się do tego nie przyznała.

- Jeśli zamierzasz prosić o moją rękę, to proponuję, żebyś się zwrócił do mego opiekuna.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś tak przywiązana do swej pozycji społecznej.

- Tylko to mi zostało na świecie - odparła.

Popatrzył na nią uważnie, z ponurą miną, i puścił jej dłoń. Isabel obróciła się na pięcie i zaczęła schodzić, mając przed

sobą obozowisko na tyłach dworu. Instynkt jej nie zwiódł. Powinna się była trzymać od Roba z daleka.

- Wyjeżdżam o świcie - odezwał się. - I może się już nigdy nie zobaczymy - rzekł cichym głosem.

Isabel zatrzymała się jak wryta. Chciała uciec, ale nie mogła zrobić kroku.

Drogi są strzeżone... rada ma szpiegów w każdym domostwie...

Słyszała, jak się do niej zbliża.

- Nie uciekaj ode mnie - rzekł. - Isabel, zakochałem się dziś w tobie, musimy porozmawiać.

Zakochał się. I wyruszał z bardzo niebezpieczną misją, a choć był młody, odważny i silny, co się stanie, jeśli przegra i nie wróci? Isabel zrozumiała siedem lat temu, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Bóg często sankcjonował straszne rzeczy. Kiedy wreszcie zwróciła się twarzą w jego stronę, kiwnęła głową, a w jej oczach ukazały się łzy.

Nie był dla niej odpowiednim kandydatem. Ale przecież mogła porozmawiać. Nigdy by sobie nie darowała, gdyby mu teraz odmówiła, a on nie powróciłby z Maldon.

Dotknął jej policzka.

- Nie płacz. Dlaczego szlochasz? Z pewnością nie ja jestem przyczyną twych łez.

Isabel mogła teraz jedynie płakać, próbując nie myśleć o rodzicach, o Tomie i o Robie, ale to okazało się niemożliwe. Przypomniła sobie, jak ojciec wkroczył do sieni zamku Rodney, wróciwszy z polowaniu na jelenie, umazany błotem, ale promieniejący dumą. A matka wstała, by go powitać, brzemienista z braciszkiem, który lada moment miał się narodzić, i zaraz potem umrzeć. Na jej twarzy malowało się szczęście i radość oczekiwania. I Tom, u stóp ojca, brudny jak i on, ale roześmiany od ucha do ucha, który rzucił się ku siostrze, żeby natychmiast opowiedzieć o swoich sukcesach... Łzom Isabel towarzyszyły najdroższe wspomnienia.

Rob przyciągnął ją do piersi i nie puszczał. Wtuliła się w jego ramiona. Nikt jej tak nie obejmował, ani kobieta, ani mężczyzna, w ciągu całych siedmiu lat. Było to cudowne, niepowtarzalne uczucie.

Pogłaskał ją po włosach.

Isabel przytuliła się do niego.

Jego ręce ześlizgnęły się po jej plecach.

I po raz pierwszy w swoim młodym życiu Isabel poczuła budzące się w niej pożądanie.

Począł całować jej czoło. Pocałunki, jakie składał, były delikatne i miękkie.

Zamarła.

Była świadoma dotyku jego ust na włosach, ale jeszcze bardziej uprzytomniła sobie, że jakaś potężna siła w głębi ciała każe objąć go rękami w pasie i oprzeć głowę na jego piersi. Usłyszała ogłuszające bicie serca.

Powoli uniosła oczy.

- Kocham cię - rzekł i zbliżył wargi do jej ust.

Wyznanie było tak gwałtowne, że omal nie zważyło jej z nóg. Po chwili jednak doznała uczucia niepojętej radości i szepnęła mu niemal w same usta:

- I ja cię kocham, Robercie. - Nigdy potem nie brzmiało to tak prawdziwie, jak wtedy.

Sussex patrzył na niego z absolutnym zdumieniem.

- Co takiego?

Słońce właśnie wschodziło, rzucając różowy poblask na otaczające dwór wzgórza. Robert i Isabel stali obok siebie na dziedzińcu, nie ośmielając trzymać się za ręce.

- Miłościwy panie, pragnę poślubić Isabel. Ponieważ jesteśmy kuzynami, nie uważam, aby była to niestosowna prośba. - Robert stał bez ruchu, z oczami utkwionymi przed siebie. Isabel zaczęła drżeć z trwogi, widząc, jak stryj staje się czerwony z wściekłości.

Spojrzał na niego, potem na bratanicę.

- Natychmiast stąd odejź! - ryknął w jej stronę.

Przerażona, ogarnięta najgorszymi przeczuciami, szybko uczyniła, co kazał, ale przedtem rzuciła okiem na Roberta, który nie śmiał na nią spojrzeć. Uniosła spódnicę i wbiegła po schodach, potykając się z pośpiechu. Czuła narastającą panikę, która nie ustępowała, choć usiłowała się w duchu przekonać, że wszystko dobrze się skończy. Przyklekła na stopniach.

Sussex podszedł do Roba i stanął tuż przed nim.

- Czy ją zniewoliłeś?

- Nie uczyniłem niczego takiego - odparł de Warenne; na jego opalonych policzkach ukazały się dwie czerwone plamy. Stał tak nieruchomo, jakby miał na sobie zbroję, na baczność, bez najmniejszego ruchu.

Sussex wpatrywał się w niego z gniewem, wreszcie z wyraźną ulgą odetchnął.

- Rob - odezwał się wreszcie łagodniejszym tonem. - Jesteś młody, a ja zapomniałem, co to znaczy być w twoim wieku, gdy w pobliżu kręci się urocza pannica. Jednakże ona wyjdzie za mąż, gdy nadejdzie odpowiedni czas, i musisz to zapamiętać. Mój Boże! Pewnego dnia stanie się użytecznym narzędziem dla nas obu. Może nawet w związku z tym przekłętym Dudleyem. - Przedtem chodził po dziedzińcu, teraz stanął.

- A ty, mój chłopcze? Czyżbyś zapomniał o swoich ambicjach? Masz wiele do zdziałania, jeśli chcesz zapewnić sobie godziwe miejsce w Anglii, i bardzo dobrze o tym wiesz. A może nagle okazało się, że wystarczy ci para ostróg? - Znowu wpadł w gniew. - Czy nie zajmowałem się tobą przez te wszystkie lata? Wystarczy, że pstryknę palcami na nowego sługę, Rob. Nie to, co miałem dla ciebie na myśli i dotychczas byłeś tego samego zdania.

- Moje ambicje nie zmniejszyły się - rzekł Robert zdecydowanym tonem. - Natomiast serce odkryło prawdziwe uczucie, miłościwy panie.

Sussex uniósł brwi, popatrzył na rycerza i wybuchnął ironicznym śmiechem.

- Prawdziwa miłość? Nie ma czegoś takiego. To, co teraz czujesz, nie ma nic wspólnego z uczuciem, jedynie z kutasem, który ci zwisa między nogami. I nie mam wątpliwości, że za dzień lub dwa inna urocza pannica wywoła w tobie jeszcze prawdziwsze uczucia miłosne. Na Boga! Masz do wykonania misję, i to bardzo odpowiedzialną, którą musisz spełnić jak najlepiej. Przywieź od księżniczki wieść, jaką ci przekaże. Zasłuż na jej względy i bacz na wszelkie sekrety, którymi zechce się z tobą podzielić. Od tego zależy moja przyszłość -

i twoja. Znajdziesz mnie w Chiswick, ponieważ jutro odjeżdżam ze Stonehill. A teraz oddał się i przestań prawić głupstwa na temat prawdziwej miłości. - To ostatnie zdanie lord de Warenne wygłosił ironicznym tonem, wybuchając na koniec pogardliwym śmiechem.

Isabel zakryła usta obiema rękami, aby nie wydać z siebie krzyku czy jęku. Zerwała się na równe nogi. Robert tkwił jeszcze przez chwilę bez ruchu, następnie skłonił się i odszedł. Jego kroki zadudniły w sieni, ostrogi zadźwięczały.

Zamknęła oczy. Najśodsza Matko Boska - pomyślała, ale zarazem przypomniła sobie uporczywe spojrzenie Roba. I wszystko stanęło jej znowu przed oczami...

Pokochać całkowicie, dogłębnie, szaleńczo, zniszczyć wszystko i stracić.

- Rob! - krzyknął hrabia Sussex.

Robert stanął, ale się nie odwrócił.

- W swoim czasie jeszcze mi będziesz dziękował, że nie dopuściłem, abys podjął głupią decyzję. Jestem gotów się założyć, że po latach będziesz mi za to wdzięczny.

Jej rycerz wyszedł z sieni.

Isabel, nie zważając, czy stryj ją zauważy, pomknęła za nim.

Robert nakładał na siebie brunatną suknię zakonną, anoniową i nie budzącą niczyjego podejrzenia. Jego paż osiodłał już wierzchowca oraz nałożył torby podróżne na grzbiet muła, sam udając akolitę.

Czy zamierzał odjechać bez słowa? Bez gestu pożegnania? Więc tak szybko gotów był zrezygnować? Isabel zamknęła na chwilę oczy. Jakże nienawidziła stryja. Znienawidziła go od chwili, gdy się pojawił w zamku Romney, bezczelny i zadowolony z siebie uzurpator.

Robert dostrzegł ją, ale się do niej nie zbliżył. Miał ponurą minę.

Wzięli się za ręce. Isabel poczuła łzy zbierające się pod powiekami.

- Co zrobimy? - wyszeptła, czując w swoich dłoniach jego ciepłe, mocne palce. - Czy to jest pożegnanie? Po tym wszystkim, co sobie powiedzieliśmy?

- Nie, bo nas nic nie rozdzieli - Rob mówił niskim, pełnym żaru głosem, odchodząc z nią od domu. - Teraz muszę jechać, bo wbrew temu, czego oboje chcemy, mam do załatwienia sprawy wielkiej wagi, przerastające ciebie i mnie.

- Bardzo dobrze to rozumiem. Jesteśmy przecież pionkami w wielkiej grze, jaką obmyślił Bóg oraz mój stryj. - Walczyła ze łzami. Jeszcze do poprzedniej nocy pragnęła, marzyła, żeby wydano ją za mąż w wyniku jakichś sojuszków politycznych. Teraz takie aranżowane małżeństwo wydało się jej pocałunkiem śmierci.

- Uspokój się - rzekł Rob. Jego wzrok zmuszał do posłuszeństwa. - Słuchaj mnie uważnie.

Isabel była świadoma napięcia w jego głosie, więc wolno skinęła głową.

- Jeśli będę mógł, zatrzymam się tu w drodze do Chiswick. Nadzieja tak ją uskrzydliła, że aż samą ją to zdumiało.

- Nie chciałabym, żebyś wypadł z łask Sussexa. Słyszałam, że jest niebezpiecznym człowiekiem dla tych, którzy mu się narażają.

- Nie stracę jego łask i nadal będę mu służył całym sercem - odparł stanowczo.

Wpatrywała się w niego, przypominając sobie jego spojrzenie w sieni, trochę przestraszone, lecz harde, wciąż niepewna, co mogło oznaczać. I, wbrew nadziei, żywiła jednak nadzieję.

- Cóż, niech tak będzie.

- Nie obawiaj się, Isabel - szepnął, mocniej ściskając jej dłoń. - Jeszcze tylko najwyżej dwa albo trzy lata. W tym czasie osiągnę dużo więcej niż tylko rangę rycerza. Moja ukochana, czy zechcesz mi darować tych kilka lat? Isabel, czy będziesz na mnie czekała?

Ich oczy nie mogły się rozstać. Zaczynała rozumieć. Skinęła głową.

- Tak. Tak. Naturalnie, Rob, będę na ciebie czekała. - I wtedy dopiero dotarło do niej w pełni. On pragnął, by na niego czekała! Ponieważ ją pokochał.... - Oczywiście, że będę czekać - rzekła bardziej stanowczym głosem. - Nie zostaną żoną innego. Tobie to przysięgam, Rob. Prędzej umrę.

Patrzyła na nią badawczo, potem się pocałowali.

Za chwilę ruszał w drogę. Przeszedł przez dziedziniec. Odjeżdżał. Zobaczy go znowu dopiero za dwa lata, chyba że uda mu się jakimś cudem zajechać do Stonehill w drodze powrotnej do Chiswick.

- Niech cię Bóg prowadzi - wyszeptała, czując słone łzy na wargach.

Spojrzał na nią po raz ostatni i zniknął w bramie wjazdowej.

Ujrzała go ponownie nie po dwóch latach, lecz prawie po pięciu. Wtedy jednak okazało się, że było już za późno.

ROZDZIAŁ 15

Casa de Suenos - dzień trzeci, godzina 17.00

Gregory niepokoił się coraz bardziej. Nie kłamał, kiedy oznajmił Cass, że po raz ostatni widział Tracey około północy. Po szaleńczym kochaniu się - jeśli można to było tak nazwać - dziewczyna niespodziewanie wstała, uśmiechnęła się dziwnie i bez słowa opuściła pokój. Jego tymczasem przez cały następny dzień prześladowały wyrzuty sumienia, że zdradził brata, czego nigdy dotychczas nie zrobił. Co gorsza, odczuwał gwałtowną potrzebę, by wyznać wszystko Antoniowi i prosić o wybaczenie. Ze strachu tłumił w sobie ten odruch. Nawet jeśli Tracey stała się bratu obojętna, oboje postąpili niegodziwie.

Antonio z Cass właśnie wrócili w asyście przedstawicieli prawa. Zwłoki Catherine przetransportowano do szpitala w Segowii. Pod nieobecność gospodarza Gregory zajmował się dziećmi, mając do pomocy Alfonsa. Celia musiała się położyć, wstrząśnięta okolicznościami śmierci chlebobawczyni. Antonio kręcił się na dole, a Cass poszła do swojej sypialni. Gregory bardzo jej współczuł.

Stanął teraz na górnym podeście schodów, słysząc wesołe głosy Eduarda i Alyssy dobiegające z kuchni. Dzieci dostały na obiad kanapki z szynką i duże porcje rozpuszczonych lodów. Jeszcze im nie powiedziano o zgonie lady Belford. W całym domu nadal nie było prądu.

Gregory nie mógł się powstrzymać. Podeszedł do drzwi

i otworzył je na oścież. Coś go do tego pchało. Nie przypominał sobie tej sypialni z czasów dzieciństwa. W komnacie panował półmrok; zajęło mu chwilę, by przyzwyczać wzrok do skąpego światła.

I wtedy ją ujrzał - demona ze swoich dziecięcych snów.

Na całym ciele poczuł gęsią skórkę.

Nie chciał wierzyć własnym oczom, gapiąc się na portret kobiety w czerwonej sukni, z naszyjnikiem z rubinów. Wpatrywała się w niego, jakby była istotą z krwi i kości. Zamarł z wrażenia, nie mogąc zebrać myśli. Wiedział tylko, że to ona, z mora jego dzieciństwa. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

I te jej oczy, oczy świdrujące go z nienawiścią...

Równie szybko jak wszedł, wiedziony niewidzialną siłą, teraz wybiegł z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Mógłby przysiąc, że w tym momencie usłyszał głośno wymówione swoje imię, z drwiną w głosie, dochodzące z głębi pokoju.

Coś go pchało, by jak najszybciej stąd zbiec. Wściekły na siebie, postanowił, że nie ruszy się z miejsca.

Przecież, na miłość boską, nie był tchórzem. Skakał ze spadochronu, brał udział w rajdach samochodowych. Helikopterm dostawał się na szczyty górskie i zjeżdżał stamtąd na nartach. Nawet próbował skoków na linie. W zeszłym roku wyruszył na safari po niebezpiecznej części Afryki, rozdartej wojną domową.

Począł intensywnie myśleć. Jako chłopiec musiał bez wątpienia widzieć ten obraz i z jakiegoś powodu zapamiętał go na całe życie. A pamięć, jak wiadomo, jest pokrętna. Jego wyobraźnia podsuwała mu ów portret w chwilach, gdy chciał ujrzeć przy sobie kolegę wspólnych zabaw. Opowie to innemu psychiatrze i niech tamten się biedzi, jak to wytłumaczyć.

I nie przesłyszał się, gdy do jego uszu dotarło imię „Gregory”. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

- *Papa, papa!*

Na rozpaczliwy krzyk Eduarda natychmiast odzyskał władzę nad sobą, nasłuchując, czy Antonio biegnie mu na pomoc. Tymczasem znowu rozległ się krzyk. Gregory ruszył biegiem,

skacząc po kilka stopni naraz i w chwilę potem znalazł się na dole.

- Eduardo! *Que tal?*

Eduardo i Alyssa siedzieli przy stole kuchennym w towarzystwie Alfonsa i oglądali fotografie. W chwilę potem do kuchni wpadł Antonio.

- Co się stało? - zapytał. Robił wrażenie wyczerpanego.

Cała trójka przy stole - dwoje dzieci i starszy mężczyzna - była blada i przerażona.

- O co chodzi? - spytał Gregory nieswoim głosem.

Eduardo popatrzył na nich szeroko rozwartymi oczami.

- *Dios mio* - wyszeptał. - Stało się coraz bardzo dziwnego. Ciotka Alyssy zrobiła te zdjęcia...

Gregory wcale nie chciał się dowiedzieć, co się stało. Stał nieruchomo, gdy Antonio minął go i z wyraźnymi oporami podszedł do dzieci.

Na widok jednej z fotografii dosłownie go zamurowało.

Gregory nie chciał pytać, nie chciał wiedzieć. Niemniej usłyszał własny głos:

- Co tam masz?

Antonio opanował się z trudem i wręczył mu zdjęcie.

Przedstawiało ruiny tuż obok szosy. Na pierwszym planie widać było osypujące się mury zamku i wieżę w otoczeniu sepek błyskawic, czerwonożółtych płomieni jakby rykoszetem odbijających się od ścian.

I wśród tego szaleństwa błysków odcinała się sylwetka kobiety, której twarz można było rozpoznać bez chwili wahania.

To była Isabel.

Cass leżała w łóżku bez ruchu. Jej ciotka zmarła. Catherine nie żyła. Cass zalewała się łzami. Teraz była tak wyczerpana szlochaniem, że wydawało się jej, iż wypłakała wszystkie łzy.

Nigdy przedtem nie doznała takiego dojmującego poczucia straty. Otaczała ją wielka, bolesna pustka, ból przeszywał do głębi. Catherine była nie tylko jej ciotką, ale i matką, najczulszą przyjaciółką. Jak to się mogło zdarzyć? Dlaczego musiała odejść w takiej właśnie chwili i w tym miejscu?

Sekcję zwłok wyznaczono na poniedziałek.

Ale w poniedziałek będzie już za późno.

Ach, gdyby tu w ogóle nie przyjeżdżała!

...Ona nas wzywa wszystkich razem...

Alyssa. Jeszcze nie wie o śmierci Catherine. Cass będzie się musiała jakoś pozbierać i przekazać dziewczynce okropną wieść.

Nie wyobrażała sobie, jak to uczyni.

Na czubku głowy, a potem we włosach poczuła czyjaś rękę.

Po chwili uprzytomniła sobie, że to musi być dłoń Antonia. Uniosła głowę i spojrzała na niego. Ku jej zaskoczeniu pod powiekami znowu zaczęły się jej zbierać łzy.

- Myślałem, że śpisz - szepnął. - Mam nadzieję, że cię nie zbudziłem. - Jego oczy przepełniał smutek.

- Nie, nie śpię - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

Zawahał się.

- Chciałem tylko sprawdzić, co się z tobą dzieje. Nie potrzebujesz czegoś? Może mógłbym ci coś przynieść?

Potrząsnęła głową. Przyszła jej na myśl nieszczęsna Celia.

- Czy dałeś jej valium?

- Tak. - Nie musiał pytać, kogo miała na myśli. - Teraz śpi spokojnie. - Nadal patrzył jej w oczy.

Łzy zaczęły jej spływać po policzkach.

- Dlaczego sama nie weźmiesz valium? - spytał łagodnym tonem.

- Czy wiesz, czego potrzebuję?

Usiadł na łóżku i objął ją ramionami. Cass mocno przytuliła się do jego piersi.

Chciała się wypłakać, ale ponieważ szlochała przez całe popołudnie, na jej rzęsach ukazało się tylko parę łez.

Antonio trzymał ją w ramionach, głaszcząc po włosach, po plecach.

- Tak mi przykro - rzekł cichym głosem.

Wiedziała o tym. Zastanawiała się, czy mogłaby spędzić w jego objęciach całą wieczność. Ból nigdy nie ustąpi, nie zaniknie, ale jego uścisk był kojący. Tego właśnie pragnęła.

- A dzieci? - spytała.

- Jedzą rozpuszczone lody, w porządku. Powiemy im o tym później, zrobimy to razem.

Chciała zapytać o Tracey, ale nie śmiała.

Nadal ją obejmował.

A ona mu na to pozwalała.

I zniecka Cass objawiło się, czego chciała, co naprawdę czuła. Nagle wszystko się odmieniło. Żal zniknął. Jego miejsce zajęło gwałtowne pożądanie.

Nie myślała. Chwyciła jedynie obiema rękami jego głowę, zagłębiła palce w gęstych włosach. On przyciągnął ją do siebie, ich otwarte usta się złączyły. Cass poczuła na dziąsłach jego zęby. Rzuciła się na wznak, rozwierając nogi coraz szerzej i szerzej. Antonio położył się na niej, i choć oboje byli w ubraniach, jego potężna, naprężona męskość ocierała się o jej udo. Cass westchnęła, odsuwając usta od jego ust.

- Chryste -jęknął, rozpinając jej dzinsy.

- O tak! - krzyknęła półgłosem, unosząc biodra, podczas gdy on ścigał z niej dzinsy razem z majtkami. W tym momencie miała wrażenie, że ktoś im się przypatruje.

Ale w tej chwili nic ją nie obchodziło. Antonio rzekł coś po hiszpańsku. Domyśliła się, że były to słowa pożądania, gwałtowne i wulgarne. Położył sobie jej nogi na ramionach i palcami dotarł do clitoris. Podniecał ją, rozgrzewał.

- Liź mnie! - Z krtani Cass wyrwał się rozkaz, nie prośba.

Zanurzył twarz między jej nogami; wszędzie czuła jego ruchliwy język.

- O Boże! - krzyczała, ściskając rękami jego głowę.

Czuła jego język w każdym zakamarku najbardziej intymnej części ciała. Dawał jej niewysłowioną rozkosz. Z trudem mogła wytrzymać dłużej, napięcie stawało się nieznośne. Chciała go odepchnąć od siebie, a zarazem pragnęła jeszcze mocniej przyciągnąć. Rozkosz graniczyła już z bólem. On jednak nie przestawał jej pieścić.

Jego język parzył jak ogień. Wybuchnęła płaczem.

Zapach fiołków się nasilił. Uzmysłowała sobie resztką świadomości, że ta woń objawiła się w sypialni od jakiegoś czasu.

Tymczasem dochodziła do orgazmu. Pomyślała: Isabel jest tutaj, ale jego język nie ustawał, a zresztą robił to, czego najbardziej pragnęła. Szczytowanie było serią drgań, które dziko

zakołysały jej całym ciałem, i jeszcze się nie zakończyło, gdy usłyszała:

- Chcę cię zerznąć.

Antonio, klęcząc nad nią, wyszarpnął pas ze szlufek. Chwycała go mocno za nadgarstek, z oczami wbitymi w tę jedną rzecz, którą pragnęła poczuć w sobie - jego wielkiego penisa rysującego się pod spodniami, na wysokości jej twarzy.

- Nie.

Jego oczy płonęły.

- Nie?

Złapała za gumkę jego slipka i zdarła mu je jednym ruchem.

- Spuść mi się do ust - zażądała.

Oczy niemal wyszły mu z orbit i za chwilę Cass miała przed sobą jego potężną męskość w pełnej erekcji. Złapała go za pośladki, gdy on wszedł w jej otwarte usta jednym pchnięciem, na całą głębokość, a potem tak długo zanurzał się miarowo i cofał, aż oblał ją gęstą spermą, podczas gdy ona ssała go z rozkoszą, połykając nasienie co do kropli.

Po orgazmie nie przewrócił się na łóżko, lecz ujął dłońmi jej twarz i całował. Cass czuła na wargach swój zapach, a w ustach jego smak. Ich pocałunki stawały się coraz gwałtowniejsze, nienasycone, aż Antonio znowu był gotów.

- Teraz mnie bierz - rzekła.

- Będę cię walił przez całą noc. - I wbił się w nią jednym pewnym ruchem.

Cass zacisnęła ręce na jego plecach, krzycząc z rozkoszy i zachęcając go do coraz dzikszych pieszczot. Chciała, by ją brał mocniej, szybciej, a jednocześnie nadal czuła w ustach gorzko-słonawy smak jego spermy. Uścisk jego rąk na jej pośladkach stawał się *coraz* silniejszy, aż do bólu, ale rozkosz nie zmniejszała się ani przez chwilę; odwrotnie - rosła i rosła.

Wysunął się z niej.

- Obróć się na plecy.

Bez wahania spełniła jego życzenie. Gdy brał ją od tyłu, wydawała z siebie głośne krzyki. Ból zrastał się w jedno z nie dającym się ująć słowami skrajnym podnieceniem. A gdy na dodatek dotarł palcami do jej clitoris, niemal ją rozszarpując,

zaczął wykrzykiwać przekleństwa po hiszpańsku. I Cass pojęła, że robi to, bo jest mu tak dobrze, że aż prawie nie do wytrzymania.

Oboje jednocześnie osiągnęli orgazm.

Tym razem jednak Antonio padł na nią, a ona nie miała siły się poruszyć.

Wreszcie zsunął się z niej. Jej puls zaczął się powoli uspokajać, odzyskiwała powoli świadomość. Dopiero teraz pojęła, co zrobili. I nagle poczuła nowy niepokój.

Wraz z falą lęku uzmysłowiła sobie w pełni, co jest jego przyczyną.

Zamarła z wrażenia. Wszędzie roztaczała się mdląca woń fiołków. Cała sypialnia była nią przepełniona, nie było przed nią ucieczki.

Spojrzała na Antonia, który leżał wyciągnięty na łóżku. Był nadal całkowicie ubrany, miał jedynie rozpięte spodnie. Oddychał ciężko, z zamkniętymi oczami.

Usiadła i rozejrzała się wokoło.

Spodziewała się ujrzeć Isabel drwiąco uśmiechającą się do nich. Zobaczyła jednak pusty pokój z długimi cieniami kładącymi się na ścianach, ponurą i odstręczającą komnatę. Antonio uniósł powieki. Ich oczy się spotkały.

Cass zarumieniła się i gdyby miała w pobliżu dzinsy i majtki, zakryłaby sobie podbrzusze.

- Ona tutaj jest.

On także usiadł.

- Mój Boże. - Cass skurczyła się w sobie. Ogarnął ją gwałtowny chłód, dochodzący do szpiku kości.

Antonio zapiął rozporek.

- Cassandro.

Patrzyła na niego z niemal obłąkanym wyrazem twarzy.

- Ciotka Catherine ledwie zmarła, a ty i ja... - Nie umiała znaleźć odpowiedniego słowa, które oddałoby to, czym się z taką pasją zajmowali.

- Cóż, to się już stało - powiedział wreszcie, także z jakąś żalobną nutą.

Zamyśliła się nad tym, co właśnie zrobili. Była do głębi wstrząśnięta.

- Nigdy dotychczas nie zrobiłam czegoś podobnego.

Antonio dodał po chwili wahania:

- Co ja wygadywałam... Nie wiem, co mnie napadło.

Cass nagle wyskoczyła z łóżka, będąc świadoma, że Antonio ją obserwuje. Szybko włożyła slipki, potem naciągnęła dżinsy.

- Ja także nie wiem, co mnie naszło! - krzyknęła, czując, że jej policzki płoną. Nikogo w życiu nie pragnęła tak, jak Antonia. Intensywność ich pożądania była tak ogromna, że graniczyła z przemocą. Ona jednak rozkoszowała się tym bólem. Poczwała znajome pulsowanie w skroniach.

Antonio wstał z łóżka.

- Chyba mnie nie rozumiesz - rzekł.

Cass nie mogła spojrzeć mu w oczy. Ciotka Catherine zmarła i oboje z Antoniem znieważyli ją swoim czynem. Co się z nimi działo?

- Cassandro. - Obrócił ją twarzą do siebie. - Ja tego nie żałuję.

Nie miała wyboru. Musiała podnieść oczy.

- Jeśli żałuję, to chwili, w której to się stało. Nie potrafię wyjaśnić... pewnych spraw. Ale w żadnym razie nie żałuję, że się z tobą kochałem.

Cass wpatrywała się w niego w milczeniu. Po chwili rzekła:

- Myśmy nie uprawiali miłości. - Miłość nie była jej w głowie, kiedy zaczęli się kochać. Chodziło o seks. Nie, nie o seks. O kopulację. Wściekłe kopulowanie, jak u zwierząt w rui.

Antonio się zaczerwienił.

- Antonio, boję się.

- Czego?

Cass zerknęła naokoło. Bez wątpienia byli w pokoju sami.

- Ona była. Ona przebywała tu, kiedyśmy... kiedy to robiliśmy. Jestem tego pewna.

- Cassandro - zaprotestował cichym głosem.

- Ona na nas patrzyła. Czułam to. A ty nie odniosłeś takiego wrażenia?

- Posłuchaj. - Zacisnął szczęki. - Jesteś w stanie ostrego

szoku. Ja także jestem nieswój... muszę to przyznać. Niemniej Isabel tu nie było, nikt na nas nie patrzył.

Objęła się ramionami.

- Ogromnie bym chciała przyznać ci rację, ale po prostu nie mogę. Czy nie poczułeś zapachu jej perfum? Teraz się ulotniły, ale kilka minut temu w tym pokoju aż cuchnęło od ostrej woni fiołków.

Zawahał się.

- Nie, nic nie pachniało - rzekł stanowczym tonem, z ponurą miną.

Rzuciła na niego okiem.

- Może mi się coś wydawało... Oby tak było. Antonio, chcę ci coś wyznać.

- Co takiego?

- Kiedy Catherine dostała ataku drgawek, czy cokolwiek to było, ja też oddychałam z największym trudem. Ten przekłety zapach unosił się nad nami...

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Antonio rozgniewał się nie na żarty. - Że Isabel nas straszy i że ona zabiła twoją ciotkę? Że roztacza śmiertelnie trujący zapach?

Cass zbladła.

- Właściwie nie wiem, co mam na myśli.

- Przepraszam. - Przyciągnął ją do siebie. Zesztywniała w reakcji na ten niespodziewany gest i trochę się opierała, ale dała się wziąć w ramiona.

- Wszyscy jesteście podenerwowani - powiedział.

- Tak, to racja - przytaknęła niezbyt przekonany głosem. - Ale spójrzmy na fakty. Moja ciotka dostała śmiertelnego ataku kilka minut po przyjeździe do Casa de Suenos. Chodzi o kobietę, która była kochanką twojego ojca, zmarłego przed trzydziestoma czterema laty. W tragicznych okolicznościach. Nie powiedziałeś mi, że twój dziadek również zginął tragicznie, mając czterdzieści kilka lat - ugodzony nożem przez własną żonę.

Antonio zrobił się biały jak ściana.

- Nie, nie powiedziałem - przyznał.

Cass zabrakło tchu w piersiach.

- Ile masz teraz lat? - zapytała, znając odpowiedź. - Patrząc na nią szeroko otwartymi oczami, rzekł wolno:

- Trzydzieści osiem. Co to ma do... - I raptownie zamilkł.

Poczuła, że pod jej powiekami znowu zbierają się łzy.

- Nie chcę, żeby stało ci się coś złego.

Wycedził przez zaciśnięte szczęki:

- Nic mi się nie stanie.

- Ale coś dziwnego się tutaj dzieje. Twój ojciec, twój dziadek, teraz moja ciotka. A jeśli w to wszystko wplątana jest na dodatek Margarita? - Antonio znowu pobladł. Cass nie pożałowała jednak swoich słów. - Poczulałam obecność Isabel przed paroma minutami, jestem o tym przekonana, i nie jest to wytwór mojej wyobraźni. Myślę, że była z nas bardzo zadowolona. Antonio, nie postradałam zmysłów. Sądzę, że ciotka Catherine miała rację - w tym wszystkim widać jakąś myśl. Tylko my nie zdajemy sobie z tego sprawy. W każdym razie, zdaniem Catherine, Isabel chce się zemścić.

Popatrzył na nią badawczo. Nie spuściła wzroku. Wreszcie się odezwał:

- Cassandro, Isabel nie żyje. Duchy, jeśli istnieją, nie mają pragnień lub ambicji.

Teraz ona wpadła w złość.

- Stałeś się więc ekspertem od duchów?

Zaczerwienił się.

- Nie uważam się za takiego.

- No więc, co by było, gdyby się okazało, że jednak mają pragnienia? Myśli? Uczucia? Motywy? - Kiedy nadal uparcie milczał, krzyknęła ze zniecierpliwieniem: - Czy naprawdę widzieliśmy wczoraj wieczorem Margaritę? A może to była Tracey? Albo Isabel we własnej osobie.

- W tej chwili nie umiem ci powiedzieć, kogo ujrzeliśmy wczorajszego wieczoru - rzekł z ponurą miną.

- A może Catherine się myli - krzyknęła i zaraz sobie uświadomiła, że przecież ciotka nie żyje. Łzy trysnęły jej z oczu. - Ale dotychczas miała rację, prawda? Oznajmiła, że tragedie spadają na nasze rodziny, kiedy ich członkowie są ze sobą. Twój ojciec zginął gwałtowną śmiercią, ciotka umarła na naszych oczach. A gdzie jest moja siostra? Dochodzi prawie

szósta wieczorem. Za kilka godzin minie doba od jej zniknięcia! - Ku swemu własnemu zdumieniu zaczęła głośno szlochać: - Straciłam ciotkę, nie mogę stracić również Tracey.

Antonio przyciągnął ją do siebie i objął. Uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy.

- Wypowiadasz pewne słowa, ale nie wierzysz w nie, prawda?

Odpowiedziało jej milczenie.

Zadrżała.

- Jest coś, co przede mną ukrywasz. Co to takiego?

Antonio westchnął.

- Chodzi o pewną fotografię. Jednakże gotów jestem się założyć, że musi być jakieś racjonalne wyjaśnienie tego zjawiska.

Antonio, Gregory i Cass rozpoczęli poszukiwanie Tracey.

Najpierw przeszukali każdy pokój, komórkę, łazienkę, nawet ciemne lochy. Następnie zostawili dzieci pod opieką Alfonsa i rozdzielili się przed domem, tak by każde z nich obszukało wyznaczoną mu część terenu.

Cass usiłowała nie poddawać się hysterii i panice, ale było już po siódmej wieczorem. W ciągu dwóch godzin zapadnie mrok.

Minęła garaż i domek dla służby, podczas gdy Gregory zajął się poszukiwaniami po drugiej stronie domostwa. Antonio natomiast wsiadł do dżipa, aby objechać najbliższą okolicę. Gdy Cass coraz dalej odchodziła od domu, czując pod stopami nierówny, skalisty grunt, słońce stało jeszcze wysoko, ale nie było już tak oślepiające. Wszelkimi siłami pragnęła zapanować nad kolejnymi falami lęku, a w jej głowie aż huczało od różnych hipotez.

Żadna z nich nie miała sensu. Tracey przecież nie mogła się rozpułnąć.

I teraz stopniowo zaczęła rozumieć, co musiał przeżywać Antonio osiem lat temu. Zniknięcie Margarity było równie absurdalne. Jak można żyć z taką nie rozwiązana zagadką? Nie dowiedzieć, co się właściwie stało, czy ukochana osoba jest

nadal wśród żywych, czy też umarła w niewyjaśnionych okolicznościach?

Cass przysięgła sobie w duchu, że nie pozwoli, aby myśli zaprowadziły ją aż tak daleko. Byłoby to zbyt pochopne. A ponadto Tracey to nie Margarita. Jej siostra została zraniona w miłości własnej. Antonio ją odrzucił. A może po prostu postanowiła odjechać bez słowa?

Jednakże Cass nie mogła sobie wyobrazić Tracey stojącej na poboczu drogi w oczekiwaniu, aż któryś z przejeżdżających kierowców zabierze ją z powrotem do cywilizacji.

Tymczasem tragedia wydarzyła się już dwukrotnie - trzy razy, jeśli wliczyć Margaritę. Nie mogła opanować rosnącej trwogi. Zniknięcie Tracey nie było zwykłym zbiegiem okoliczności.

Oddaliła się od domu na taką odległość, że ze swego miejsca już go nie widziała. Stała na wzgórku, rozglądając się po okolicy. Miała słońce za sobą. Zrozumiała, że musiała wędrować dobrą godzinę. Czuła zmęczenie w mięśniach, nogi ją bolały. Ale obolałość ciała miała inną przyczynę. Nie, nie może sobie pozwolić na rozmyślenia, co się wydarzyło po południu. Nawet teraz z trudem w to wierzyła.

Czy Isabel przypatrywała się im, gdy ze sobą kopulowali? Cass zadrżała.

Znowu rozejrzała się wokoło. Nagle dotarło do niej, że być może zabłądziła. Serce ścisnęło się jej nieprzyjemnie. Nie, tego by już nie zniosła, po tym wszystkim, co się zdarzyło. A co się stanie, jeśli nie znajdzie drogi powrotnej i zapadnie ciemność? Powinna była wcześniej zawrócić - uświadomiła sobie z rosnącym strachem. Perspektywa szukania po ciemku drogi do Casa de Suenos napawała ją coraz większym lękiem.

Oczami wyobraźni znowu ujrzała postać Isabel.

Nagle poczuła rozpaczliwy lęk.

- Odejdź - mruknęła nerwowo. I co się stanie, jeśli ona miała rację, a Antonio się mylił? Co będzie, jeżeli Isabel zacznie wykazywać coraz większą aktywność? Cass widziała tę przekłętą fotografię. Antonio i Gregory utrzymywali, że to nie było zdjęcie ducha, że obraz był po prostu nieostry. Cass nie

zgadzała się z nimi. Dla niej ostrość zdjęcia była zupełnie wystarczająca.

Do czego jest zdolna Isabel? Czy czuje? Myśli? Planuje?

Drżąc na całym ciele, obróciła się, żeby spojrzeć w drugą stronę ze swego punktu obserwacyjnego. Nie odnalazła siostry i musi wracać. Przed nią majaczyły niewyraźnie ruiny zamku. Dwie wieże i rozsypujące się mury kładły długie cienie.

Już chciała odwrócić głowę, gdy kątem oka coś zauważyła. Poczęła baczniej przyglądać się ruinom, osłoniwszy ręką czoło jak daszkiem. Coś tam świeciło.

A może to Tracey? Albo, nie daj Boże, Isabel?

Zaczęła biec w kierunku zamku, który leżał dalej, niż się z początku wydawało. Nie zwolniła kroku, modląc się w duchu, aby ten zagadkowy blask świadczył o obecności siostry. Przypomniała sobie, że Tracey nie rozstawała się ze złotą zapalniczką Cartiera. Ona z pewnością mogłaby spowodować ten dziwny odbłask, który ciągle migotał w starych murach.

Doszła do drogi i przyspieszyła kroku, tym bardziej że słońce zniżało się z każdą minutą, a cienie otaczające ruiny coraz bardziej się wydłużały, podczas gdy niebo przybierało barwę różu. Było tuż przed zmrokiem, co utrudniało widoczność.

Gdy zapadła ciemność, Cass uświadomiła sobie z rosnącą paniką, że powinna była udać się bitą drogą do domu. Zapomniała, jak szybko zachodzi słońce. No, ale w końcu nie mogła zgubić się na drodze, choć może oznaczało to dłuższą trasę.

Znów ujrzała w myślach Isabel. Jej płonące oczy dosłownie świdrowały ją na wylot.

- Nie myśl o niej teraz - nakazała sobie, wypowiadając głośno tę uwagę. Głos zabrzmiał w tej pustce wręcz ohydnie, zgrzytliwie.

Nagle stanęła w miejscu. Ujrzała przed sobą ciężarówkę elektryka. Może to ona spowodowała odbłask, który przykuł jej uwagę. Gdy patrzyła na zdezelowane auto, zastanowiło ją, że jest zaparkowane pod dziwnym kątem. Aż wreszcie pojęła, że ciężarówka wjechała przodem w mur zamku. Miała zmiądzoną maskę.

Zdarzył się wypadek.

Ruszyła biegiem i po chwili stanęła przy aucie. Wydała z siebie przeciągły krzyk. Elektryk leżał przechylony nad kolumną kierowniczą, przednia szybka była strzaskana. Przód ciężarówki miał kształt akordeonu.

- O Boże! - Natychmiast zrozumiała, że mężczyzna nie żyje, ale otworzyła drzwiczki i dotknęła jego szyi, pragnąc wyczuć puls. Usiłowała to zrobić jak najdelikatniej, aby go nie ruszyć.

Odkoczyła przerażona, bo nigdy przedtem nie dotykała trupa. Zrobiło jej się niedobrze, musiała odejść, by zwymiotować.

Kiedy wymioty ustąpiły, przysiadła w zapadającym zmroku, zastanawiając się, dlaczego elektryk jechał po szutrowej drodze z taką dużą szybkością. Wreszcie wstała, pomyślawszy, że może zawiodły hamulce albo system kierowniczy, lub kierowca dostał ataku serca. Gdy tak rozważała różne możliwości, nagle ryknęło nastawione na cały regulator radio samochodowe.

Podsoczyła w panice, gdy z głośnika wydobył się chrapliwy głos didżeja, mówiącego w zawrotnym tempie po hiszpańsku. I równie znienacka radio zamilkło.

Cofnęła się parę kroków.

Zwarcie - powtarzała sobie w duchu - zwarcie spowodowane kraksą.

Trup w szoferce nagle upadł na bok. Cass wrzasnęła.

Zostawiła otwarte drzwiczki. Teraz wyglądała z nich jego głowa. Ujrzała parę szeroko otwartych oczu, w których malowało się zdumienie.

I wtedy zauważyła nóż wbity w jego pierś.

Niemal bez tchu puściła się przed siebie, potykając się o kamienie i o grudy ziemi. Zapadła czarna, bezgwiazdna noc. Biegła niemal w całkowitej ciemności. Próbowwała nie myśleć o najgorszym, usiłowała uwolnić się od wizji duchów i morderców, próbowała ze wszystkich sił nie poddawać się panice i lękowi. Oczywiście, była sama w pobliżu ruin. Ale za nic w świecie nie pozwoliłaby sobie, by spojrzeć za siebie. Traciła wprost rozum z przerażenia.

Elektryk był martwy.
Z nożem wbitym w pierś.
Jej ciotka nie żyła.

Casa de Suenos było miejscem, w którym już rozegrały się straszne tragedie, ale czy również miejscem, które uśmierca?

Nagle noc jakby wydała westchnienie.

Cass przyspieszyła kroku, dysząc coraz ciężiej. Nogi zaczynały jej odmawiać posłuszeństwa, aż w końcu pojęła, że to wiatr szumi w przydrożnych drzewach. Chciała w to uwierzyć. Uda bolały ją przy każdym ruchu, mięśnie łydek były jak splątane sznury. Cass nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma, ale nie miała najmniejszego zamiaru zwolnić morderczego tempa. Nie mogła sobie na to pozwolić.

Próbowała nawet przyspieszyć, myśląc z coraz większym trudem. Duchy nie wbijają ludziom noża w pierś. To ludzie zabijają ludzi. A może elektryk nie wypadł z auta, lecz został z niego wyciągnięty? Może ktoś, kto był mordercą, ukrywał się ciągle w pobliżu? Na tę myśl ogarnął ją paniczny strach.

I dlatego, gdy ujrzała przed sobą reflektory auta, instynkt kazał jej uskoczyć z drogi i ukryć się.

Ale przez chwilę stała nieruchomo w światłach, niezdolna do wykonania najmniejszego ruchu.

Wreszcie wykonała zajęczy skok, upadła na ręce i kolana, przywarła do ziemi, nie zważając na pstry kamienie, które wrzynały się jej w brzuch, w policzki, podbródek. Drżała jak liść, mając w ustach pełno kurzu i zeschłej ziemi.

Trzasnęły drzwiczki auta.

Wyobraziła sobie, że zbliża się do niej morderca, który zaraz ją udusi.

- Cassandro!

Poderwała się na równe nogi.

- Antonio! - wrzasnęła. Jego wysoka sylwetka była najcudowniejszym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek ujrzała.

- Cassandro! Dzięki Bogu! - Podbiegł w jej kierunku.

Padła mu w ramiona. Mocno przytulił ją do siebie.

- Gdzie się podziewałaś? Cholera, miałaś wrócić do domu o wpół do dziewiątej.

Wczepiła palce w jego koszulę.

- On nie żyje! O Boże, Antonio, on nie żyje! Zadźgany nożem!

- Co? Kto nie żyje? - Ścisnął ją z całych sił.

- Elektryk! - krzyknęła.

Wybałuszyl oczy. Chwilę później znaleźli się oboje w dziupie i jechali w stronę ruin. Antonio gwałtownie zahamował na wysokości ciężarówki, wyjął z kieszeni latarkę i wyskoczył z auta. Cass niechętnie poszła jego śladem.

Z radia znów wydobywały się dźwięki.

Antonio wydał z siebie krzyk.

- Co? - Cass, widząc jego przejętą minę, rozejrzała się wokół.

- Ten nóż pochodzi z mojej kuchni - rzekł ponuro.

Cass zatrzymała się niepewnie na progu pokoju, ponieważ była jedyną osobą na piętrze. Pozostali zgromadzili się w bibliotece. Antonio pił drinka przed odjazdem do Pedrazy, żeby powiadomić policję o morderstwie.

Dom był pogrążony w absolutnych ciemnościach. Cass trzymała w ręce świeczkę. Rozpaczliwie próbowała nie myśleć o zabitym elektryku. Drzwi wejściowe były zamknięte na cztery spusty.

Weszła do sypialni, stawiając świeczkę na stole. Znowu poczuła rosnące napięcie.

Schyliła się, żeby przesunąć na bok torbę podróżną ciotki. Już się prostowała, gdy do jej nozdrzy dobiegł nasilający się zapach fiołków. Zdrętwiała z przerażenia.

Z każdą sekundą woń przybierała na mocy.

Ten zapach ją paraliżował. To moja imaginacja - przemknęło jej przez myśl. Pragnęła sobie wmówić, że wcale nie czuje perfum Isabel. Duchy, zjawy, upiory, czy jak je nazwać, nie istnieją. Catherine zmarła wskutek ataku drgawek. Poniędziałkowa sekcja na pewno to potwierdzi. Elektryk stał się ofiarą przypadkowego zabójstwa.

Zakazała sobie rozmyślać o okolicznościach śmierci dziadka Antonia. Odmówiła zastanawiania się, czy został dźgnięty

nożem w tym domu. Otworzyła torbę ciotki i wysypała jej zawartość.

Nagle zamarła w pół gestu. Nie była przygotowana na atak strasznego żalu, nieogarnionej rozpacz, która całkowicie ją poraziła. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Usiadła bez czucia obok rozsypanych rzeczy ciotki.

Jak Catherine mogła odejść? Jakże Cass chciała, żeby to się okazało strasznym snem, po którym obudzi się w Belford House, gdzie wszystko potoczy się dawnym trybem, sprzed dnia wystawienia na pokaz naszyjnika z rubinów.

Zaniknęła oczy, czując przypływ mdłości. I do tego Tracey, która zniknęła - dokładnie tak, jak Margarita.

Znow ujrzała w duchu Isabel, jej wizerunek odcinał się z niesłychaną ostrością. Isabel uśmiechała się nienawistnie, złowrogo.

Cass zniecierliwiła sobie za wybujałą wyobraźnię.

Ukazały się przed nią zdumione oczy martwego elektryka.

- Niech cię szlag trafi, Cass - krzyknęła głośno. - Natychmiast przestań! - Doszła do wniosku, że nikt nie straszy jej równie skutecznie, jak ona sama.

Wśród rzeczy ciotki dostrzegła jej dziennik. Wpatrzyła się w zniszczoną okładkę oprawną w niebieską skórę.

Wzięła dziennik do rąk.

Antonio nie znał prawdy o swoim ojcu. Czy tę prawdę zawierają stronicie zapisane pismem Catherine? Czy powinna je przeczytać, aby oczyścić ciotkę z winy?

Zadrzała. Jeżeli istniała między nią a Antoniem jakaś więź, czy wręcz głębszy związek, to potwierdzenie wiadomości, że Catherine sprowokowała Eduarda, by wszedł pod koła nadjeżdżającego samochodu, zniszczyłoby rodzące się uczucie. Jeśli tak się przedstawiały sprawy, Antonio nie chciałby mieć więcej nic wspólnego z nią i jej rodziną.

A czy ona nie czułaby podobnie, założywszy, że coś takiego naprawdę się wydarzyło?

Wreszcie powoli spojrzała w górę.

Choć kłapa na jej laptopie była zamknięta, migające zielone światełko dawało znać, że komputer działa.

Poczuła nagły skurcz serca.

Zrzuciła dziennik z kolan.

Woń fiołków wzmogła się gwałtownie.

Nie mogła się ruszyć. Nie była zdolna do zaczerpnięcia tchu. Zapach otaczał ją zewsząd, nie pozwalał oddychać. Przyszło jej na myśl, że zaraz się udusi - tak samo jak jej ciotka.

Powoli rozejrzała się po sypialni. Po ścianach snuły się cienie. Nie chciała tu pozostać ani chwili dłużej. Znowu zerknęła na laptop i na zielone światełko. Cichy głos wewnętrzny nakazywał jej, aby wstała i otworzyła kłapę.

Bała się jednak tego uczynić.

Spojrzała z lękiem na drzwi. Czy usłyszała, że ktoś za nimi stanął?

Serce biło jej jak szalone.

- Antonio? - Głos, jaki z siebie wydała, w niczym nie przypominał jej zwykłego tonu. - Antonio? - zawołała.

Odpowiedziała jej cisza.

Chwyciła się ramy łóżka. Ktoś tam był, była tego absolutnie pewna.

Morderca?

Przestań! - krzyknęła do siebie w duchu. Stanowczym ruchem poderwała się z łóżka i podeszła do laptopa, uchylając kłapę. Krzyknęła przeraźliwie.

Na ekranie ujrzała trzy słowa.

ONI MNIE ZDRADZILI.

Cass zaczerpnęła tchu, drżąc z przerażenia. Cofnęła się parę kroków.

ONI MNIE ZDRADZILI.

Nie. To niemożliwe. To żart, okrutny żart. Niech no tylko złapie tego dowcipnisia, to obedrze go ze skóry.

Morderstwo. Nagle przyszło jej do głowy, że Tracey może już nie żyje.

- Nie - wyszeptwała, odwracając się od komputera. Obróciła się trzysta sześćdziesiąt stopni jak w jakimś hipnotycznym tańcu. Była zupełnie sama.

Nieprzytomnym wzrokiem spojrzała w stronę drzwi.

Drzwi.

Musi je otworzyć.

Zamknęła powieki, głęboko oddychając. Naturalnie, że mu-

si je otworzyć. Ponieważ, do diabła, musi stąd jak najszybciej wyjść. Ale co się stanie, jeśli intuicja jej nie myliła? Co będzie, jeżeli ktoś rzeczywiście stoi po drugiej stronie?

I jeśli jest to morderca?

Czy był nim Gregory?

Nasłuchiwała z uwagą, zлана zimnym potem. Słyszała jedynie własny przyspieszony oddech i ogłuszające bicie serca. Cholera, cholera, cholera.

Podejdz do drzwi.

Te słowa wybuchły jak granat we wnętrzu jej głowy. Zawahała się jednak. Wiedziała bowiem z całą pewnością, że gdy otworzy drzwi, stanie się coś strasznego.

Teraz, gdy ponownie wsłuchiwała się w dźwięki za drzwiami, wyłowiła uchem coś na kształt skrobienia paznokciem po drewnianej powierzchni.

To było bez wątpienia zaproszenie, zdawała sobie z tego sprawę.

Zatrzęsa się. Podejdz do drzwi - rozkazała sobie w duchu. To zdanie rozległo się echem w jej głowie. Zrozumiała, że to nie był jej własny głos.

Podejdz do drzwi.

Wreszcie przestała się wahać, nie zważając na wszelkie konsekwencje. Jej sparaliżowany umysł nie czuł więcej strachu. Otworzyła drzwi na oścież.

Na progu stała Isabel, wpatrując się w nią intensywnie. I tym razem, tym razem wcale nie zniknęła.

ROZDZIAŁ 16

Londyn, 17 kwietnia 1554 roku

Wezwanie nadeszło tydzień przedtem i było tak pilne, że niemal nie pozostawiło czasu na przygotowania. Isabel sądziła, że Sussex nigdy nie każe jej przybyć na dwór, gdzie został członkiem rady królowej Marii. Myliła się jednak.

Z pewnością spotka Roba.

Jego listy przestały przychodzić ponad rok temu.

- Moje panie, oto Most Londyński - odezwał się jeden z rycerzy, którzy eskortowali konno ich świtę. Isabel, głęboko zamyślona, jechała w towarzystwie lady Helen.

Przytuliła do siebie biało-czarnego spaniela, Zeusa, liżącego jej ręce. Westchnęła. Stryj nie wyjaśniał powodu wezwania, ale domyślała się, dlaczego je w końcu wystosował. Wreszcie przypomniał sobie o jej istnieniu i zamierzał wydać ją za mąż. Panicznie lękała się tej perspektywy.

Nie mogła pojąć, dlaczego Rob przestał pisać. Na początku, gdy Sussex odrzucił jego prośbę o jej rękę, listy były częste i długie, wypełnione opowieściami o przygodach w Szkocji, Francji i we Flandrii. Ich treść wywoływała w niej uśmiech, radość, a potem łzy, szczególnie gdy dowiedziała się z nich, że sam Dudley mianował go lordem kanclerzem. Naturalnie, wraz ze śmiercią króla Henryka i upadkiem lady Grey, Dudley został skazany za zdradę i ścięty. Teraz na tronie zasiadła królowa Maria. W lipcu ubiegłego roku stryj Isabel przyłączył się do powszechnej rewolty na jej rzecz we Framlingham, dosłownie na kilka dni przed jej koronacją, jak to uczyniło

wielu innych szlachciców. Isabel doszła do wniosku, że skoro Sussex służył królowej, Rob pewnie także był u niej na służbie.

Drżała z podniecenia, widząc przed sobą Londyn i marząc o spotkaniu z ukochanym. Była tak przejęta, że z trudem oddychała.

- Sir Thomas, jak daleko jesteśmy od Westminsteru? - zapytała jeźdźca.

- Jeszcze dobrą godzinę, moja pani, ale proszę się nie lękać. Podróż ma się ku końcowi, i nie była aż tak niewygodna. - Brodaty rycerz uśmiechnął się do niej.

- Z radością powiadomię stryja o tym fakcie - odrzekła Isabel. Od nadmiaru myśli aż kręciło się jej w głowie. Ujrzała po swojej prawej ręce Wieżę Londenką na drugim brzegu Tamizy. Rzeką płynęły barki, galery i małe stateczki. Oglądała je szeroko otwartymi oczami. Pomyślała, że jest małą polną myszką. Wąskie uliczki stolicy były wypełnione jeźdźcami, wozami, kolasami, wózkami ręcznymi. Jechali panowie i ich słudzy, duchowni, strażnicy z rogatek miasta. Pieszko szli czeladnicy różnych rzemiosł, snuli się żebracy i włóczędzy. W jej oczach było to najpiękniejsze widowisko, jakie kiedykolwiek widziała. Mniejsza już o odrażający zapach - trzymała przy nozdrzach uperfumowaną chusteczkę - i o przeraźliwy hałas toczących się po bruku kół, stukotu kopyt końskich, wrzasków przechodniów, nawoływań żebraków i rzezimieszków.

Isabel pokochała Londyn. Urzekł ją od pierwszego wejrzenia. Powiedziała sobie, że nie ma najmniejszego zamiaru wracać do domu w leśnej głuszy.

Tuż przed nią dwóch dżentelmenów wdało się w całkiem niedżentelmeńską walkę na pięści. Rycerze na czele jej orszaku zakłęli szpetnie najeźdźców i przechodniów, aby ustapiono im z drogi. Nie patyczkowali się - maruderów spychali końcami mieczy.

- To jest Tower, patrz, Helen! - rzekła Isabel, ściskając dłoń towarzyszki. Zeus zaczął gwałtownie machać ogonem, jego wypukłe, brązowe oczy świeciły radością.

- Nie myślałam, że ujrzę jeszcze ten widok - odparła z lekkim uśmiechem Helen, podążając za spojrzaniem Isabel.

Isabel zdawała sobie sprawę, czym jest Tower w monarchii i z drżeniem odwróciła wzrok.

- A to musi być Katedra Świętego Pawła - krzyknęła, wyciągając rękę w lewo. Wspaniałe, ciągnące się do nieba wieże świątyni zachwyciły ją; nigdy przedtem nie widziała czegoś równie olśniewającego. Serce biło jej gwałtownie. Czy będzie mogła pozostać w mieście przez dłuższy czas? Och, ubłaga stryja na kolanach, żeby pozwolił jej pobyc w Londynie, choć zbliża się lato. Słyszała, że wszyscy wysoko urodzeni wyjeżdżają z miasta o tej porze roku, ale ona gotowa byłaby zostać.

A ponadto latem odbędzie się ślub królowej z Filipem, synem cesarza i dziedzicem korony. Na samą myśl o tym wydarzeniu przeszedł ją dreszcz. Jakżeby chciała wziąć udział w ceremonii!

Przypomniała sobie przystojną postać Roba. Serce zabiło jej mocniej. Przez całą drogę powtarzała sobie w duchu, jak go przywita. Z pewnością jednak, gdy zostaną sam na sam, nie będzie potrzeby wygłaszać przygotowanej zawczasu mowy. Kiedy znowu się zobaczą, wszystko będzie tak wspaniałe, jak za pierwszym razem. Przytuliła do siebie rocznego spaniela, przyciskając jego pyszczek do futrzanej szuby, którą miała na sobie.

- Tak, tak, po naszej prawej widać teraz Katedrę Świętego Pawła i Tower - uśmiechał się do niej sir Thomas. - Czy mamy przejechać bliżej Tower, pani, byś zechciała lepiej się przyjrzeć budowli?

Isabel popatrzyła na niego badawczo. Może była myszką polną, ale z pewnością nie należała do głupich. Wieża Londyńska była miejscem, gdzie więziono najznakomitszych mędźów. Najczęściej tych więźniów skracano o głowę.

- Kogo teraz wtrącono do Tower? - zapytała z ledwie tłumionym lękiem.

- W zeszłym tygodniu ścięto tutaj sir Thomasa Wyatta, a teraz przebywa w jej lochach dawny biskup Worcester, John Hooper.

Wyatt stał na czele rebelii przeciwko królowej. Posunął się tak daleko, że wkroczył do Londynu ze swoimi siłami. Natu-

ralnie został pokonany i wzięty w niewolę... Isabel zadrżała z napięcia.

- Biskup w kaźni? Na czym polegała jego zbrodnia? - To nazwisko coś jej mówiło, ale nie mogła sobie przypomnieć z jakiego powodu.

- Herezja, to oczywiste - wyjaśnił ją sir Thomas. - Odmówił wyrzeczenia się diabelskiej doktryny i uznania się za wiernego syna papieża.

- Ach, tak - rzekła wolno Isabel. Zakręciło się jej w głowie. Wiedziała, że królowa Maria była zagorzałą katoliczką. Wiedziała też, że jej własna służba w Stonehill i wieśniacy z okolicy chodzą teraz na mszę. Natomiast ona ani myślała zmieniać wiary, w której została wychowana. Zaskoczyło ją, gdy poczuła na swej ręce znaczący uścisk dłoni Helen. Bez wątpienia było to ostrzeżenie.

W tym momencie Isabel zrozumiała, że sprawy w Londynie przedstawiają się teraz inaczej niż dawniej.

- Niech Bóg błogosławi królową Marię - rzekła Helen stanowczym tonem - za ocalenie kraju i wszystkich dobrych ludzi od tej strasznej herezji, którą musieliśmy znosić. - Pokiwała z zapałem głową.

Isabel zamrugała ze zdumienia. Helen była zawołaną kalwinistką.

- Amen - zakończył sir Thomas. - Zrobimy mały objazd. Chociaż pocięte szczątki Wyatta rozrzucono ze wzgórza Tower, aby ostrzec buntowników, to jednak wisi tam wielu grzeszników, a to niezwykle widok, proszę mi wierzyć.

- To wisielców nie zdejmuje się z szubienicy? - spytała zszokowana Isabel.

- Moja pani, w ten sposób udziela się lekcji innym na temat zła tkwiącego w herezji. To przestroga, ażeby nie zbaczać ze ścieżki wytyczonej przez Wszzechmogącego.

- Sir Thomasie, nie ma potrzeby nadrabiać drogi i przejeżdżać obok wzgórza - wykrztusiła z trudem Isabel, zmuszając się do uśmiechu. - Jestem głęboko poruszona tym, czego się właśnie dowiedziałam.

- Wedle pani woli - rzekł, kłaniając się w siodle. - Jedźmy zatem prosto do Westminsteru.

Isabel nie mogła przestać myśleć o Robie i zagryzła wargi.

- Dziękuję, sir Thomasie - powiedziała cicho.

Sir Thomas i dwaj jego ludzie prowadzili obie damy przez ciasny tłum dworzan. Sussex brał udział w naradzie i nie mógł ich przyjąć. Zmierzano do pokoju przeznaczanego dla Isabel. Dziewczyna była oszołomiona. Nigdy nie widziała naraz tylu arystokratów płci obojga. Westminster zrobił na niej ogromne wrażenie. Jego potężne mury wzniesione z kamienia i wysokie, zwieńczone sklepienia, niezliczone komnaty, okna z kolorowymi witrażami, a pośród tego zbytku tyle aksamitu, koronek, jedwabiu. Wszędzie błyskały drogie kamienie. Aż ćmiło w oczach od pierścieni, łańcuchów i naszyjników, rubinów, szmaragdów i szafirów, kryz, kołnierzy i wyszywanych tkanin. A futra! Od królików i popielic po lisy, norki i sobole. Pelisy albo płaszcze futrzane do stóp. W głowie aż huczało jej od tego zbytku. Powietrze było duszne, przegrzane i w każdej z komnat unosiła się intensywna woń ludzkiego ciała. Gdy przenosiła wzrok od obwieszonych biżuterią szuj do poruszających się ust, od piersi ozdobionych wielkimi herbami, obciągniętych drogą materią do gobelinów na ścianach i ogromnych kolumn, bała się, że zemdleje od nadmiaru wrażeń.

Poczuła ulgę, że nie od razu spotka stryja.

Na piętrze, które wydawało się oddalone o mile od zatłoczonych sal na parterze, otworzono przed nią drzwi wiodące do małej izby z jednym tylko oknem, łóżem pod baldachimem i skromnym pościaniem dla Helen. Stał tu także kominek, ale z wygasłym paleniskiem, i małe biurczko w rogu pokoju. Prócz tego nie było żadnych innych mebli; na gołej podłodze nie leżał nawet jeden dywan.

Helen rozglądała się po izbie, podczas gdy Zeus wniesiony przez służącego, węszył z zaciekawieniem.

- Wkrótce zajmiemy się umeblowaniem - rzekła jej towarzysza. Isabel podeszła tymczasem do okna i uśmiechnęła się. Na horyzoncie ujrzała wielką panoramę Londynu, a tuż pod murem - niewielkie ogrody.

- Sir Thomasie, dziękuję panu - rzekła Helen i zamknęła drzwi.

Isabel miała ochotę podwinąć spódnicę i zatańczyć z radości. Bez wahania ruszyła w tany. Spaniel rzucił się do zabawy, atakując jej stopy.

- Czy to nie wspaniałe, Helen? - rzuciła w stronę damy dworu.

Helen nie odpowiedziała. Isabel stanęła w miejscu, widząc, jak tamta podchodzi do biurczka i bierze do ręki zostawiony na blacie list.

- To do ciebie, pani.

Isabel od razu rozpoznała pieczęć stryja. Jej serce zadrżało z trwogi. Mimowolnie przytuliła do siebie spaniela tak mocno, że piesek zaczął się wyrwać.

- Czemu zwlekasz? - zwróciła jej uwagę Helen, odbierając Zeusa.

Isabel zerwała pieczęć i szybko przeczytała treść listu. Następnie bez słowa starannie złożyła kartkę papieru. Serce biło jej boleśnie.

Zapatrzyła się w przestrzeń i dopiero po chwili oznajmiła:

- Stryj znalazł mi męża. Muszę się natychmiast przygotować do prezentacji.

Isabel z rozpaczą w duchu przygotowywała się do spotkania. Najpierw wysłała Helen, zlecając jej załatwienie jakichś sprawunków, które miały tamtej zająć cały dzień. Następnie wymoczyła suknie w urynie, którą wyniosła cichaczem z sąsiednich pokoi. Poczerniła dwa przednie zęby ołowiem i przekupiła pokojówkę, by przyniosła jej biało z kilku jaj. Rozmieszała je z ałunem i tę miksturę nałożyła sobie na wspaniałe, złotorude włosy, by wyglądały jak siwe. Wreszcie wtarła w twarz rozbite na miazgę pestki wiśni, żeby jej porcelanowa cera wydała się kostropata.

Uwijała się jak szalona. Wszelkimi siłami starała się uwierzyć, że jej zamysł się powiedzie. Martwiło ją tylko, co się stanie, jeśli Sussex wykryje jej oszustwo. Ta myśl nie dawała jej spokoju.

Sługa jej stryja zaprowadził ją komnaty na dole dokładnie o piątej po południu. Isabel aż skręcała się z bólu żołądka, w skroniach waliło jej jak młotem. Była niespokojna i zdener-

wowana. Jej towarzysz zaprzestał rozmowy po drodze i trzymał pod nosem chusteczkę. Otworzył drzwi i oznajmił:

- Lord Montgomery, wielmożna pani.

Isabel nie podniosła powiek.

- Czy mój stryj przyjdzie tutaj? - spytała jedynie.

- Pan hrabia zamierza z panią porozmawiać po wieczornych rozrywkach - odparł dworzanin. Skłonił się i odszedł.

Isabel nabrała tchu. Stała w progu niedużej, lecz pięknie urządzonej komnaty.

Już się dowiedziała, że lord Montgomery był drugim z dwóch synów barona, ale że jego starszy brat był chorowitym młodzieńcem, więc niedługo z całą pewnością ojcowski tytuł i majątek przejdzie na młodszego potomka. Powiedziano jej, że jest wdowcem z dwojgiem dzieci, a także osobistym przyjacielem stryja, co oznaczało, że zadzierzgnęli sojusz w stale zmieniających się układach politycznych.

Stał tyłem do drzwi, gdy Isabel weszła do pokoju. Kiedy się odwrócił, omal nie wykrzyknęła ze zdumienia. Spodziewała się, że Montgomery jest starszy i że cierpi na jakieś odrażające kalectwo. Tymczasem znalazła się w towarzystwie wysokiego, barczystego mężczyzny, który na oko nie skończył jeszcze trzydziestu lat. Miał kruczoczarne oczy i przenikliwy wzrok błękitnych oczu. Isabel z trudem zdołała ukryć wrażenie, jakie na niej wywarł.

W tej samej chwili on wytrzeszczył oczy na jej widok.

Głos wewnętrzny nakazywał jej, by wybiec z pokoju, pójść do siebie i wrócić do normalnego wyglądu.

Jednakże równie szybko odrzuciła tę wstrętą, niełojalną wobec Roba myśl. Przecież wkrótce będą razem.

Montgomery odzyskał panowanie nad sobą. Podeszedł do niej. Jego twarz była jak maska, nie zdradzała żadnych emocji.

- Lady Wrenne - odezwał się. - Pani stryj ogromnie panią chwali, i poczytuję sobie za zaszczyt, że zechciała pani mnie przyjąć.

Choć Isabel przysięgła sobie dotrzymać słowa danego Robowi, poczuła się wewnętrznie rozdarta. Nie cierpiała siebie za to przebranie. Skłoniła się grzecznie.

- Stryj przecenia moje zalety. Dzień dobry, mój panie.

Oboje się wyprostowali i popatrzyli sobie w oczy. Jego oczy miały dużo głębszy odcień błękitu niż tęczęwki Roba.

- Wierzę, że podróż przeszła pomyślnie?

- Tak, serdeczne dzięki, mój panie.

Montgomery nadał się w nią wpatrywał, ona zaś unikała jego wzroku. Dyskretnie przyłożył sobie chusteczkę do nosa.

- To dzięki Bogu - rzekł. Po jego twarzy przemknął uśmiech.

Isabel tkwiła bez ruchu. Pomyślała, że biedny Montgomery musi stać obok niej, wdychając odrażającą woń uryny, dużo gorszej jeszcze niż jej wygląd, i prowadzić uprzejmą konwersację. Poczwała, że serce ściska się jej z żalu.

- Czy od dawna jest pan na dworze? - zapytała.

- Przybyłem tu zaledwie przed dwoma dniami. Rzadko bywam w Londynie, chociaż moje domostwo znajduje się nie tak *daleko stąd*.

Isabel rozumiała, co chciał przez to powiedzieć. Przyjechał do miasta z nadzieją znalezienia żony.

- To moja pierwsza wizyta w stolicy i jestem nią zachwycona - rzekła z uśmiechem. - Niewiele jest interesujących rzeczy w hrabstwie Sussex.

Lord Montgomery przyglądał się jej badawczo.

Isabel czuła się coraz bardziej niezręcznie.

Wreszcie się odezwał:

- Przyznam, że jestem skonfundowany. Zanim tu pani przyjechała, rozprawiano o pani piękności. Spodziewałem się ujrzeć młodą damę około dziewiętnastu lat, z rudymi włosami i alabastrową cerą. Rzadko się zdarza, aby pogłoski były tak... pozbawione podstaw.

Isabel poczuła, że się rumieni.

- Bez wątpienia, mój panie, nie jestem piękną. Przykro mi, że został pan wprowadzony w błąd. No, ale plotki są tylko plotkami, prawda?

- Nie zamierzałem pani urazić - odparł szybko, dotykając jej ręki. - Czy pani ostatnio chorowała?

Zadrzała, odsuwając się od niego.

- Nie obraża mnie pan. Mam przecież zwierciadło. Natu-

ralnie, nie wpatruję się w nie. - I dodała, nie patrząc na niego: - Rzadko kiedy choruję.

Zapadła cisza. Isabel, zerkając na niego, spostrzegła, że lord Montgomery bije się z myślami. Jej także było coraz bardziej niezręcznie. Dlaczego oszukiwała tego mężczyznę, który był nie tylko przystojny, ale na dodatek robił wrażenie człowieka silnego duchem i starannie ułożonego?

- Lady Isabel... - Westchnął. - Czy mogę towarzyszyć pani podczas wieczerzy? Będzie to dla mnie przyjemność.

Isabel nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Panie, miałam ciężki dzień i obawiam się, że jestem nadal bardzo zmęczona podróżą. Czy możemy kontynuować tę rozmowę przy innej okazji? - Znalazła się przy drzwiach. Stojąc w progu, krzyknęła: - Proszę mi wybaczyć!

Nie czekała na jego odpowiedź, czując na sobie jego zdumiony wzrok.

Isabel wbiegła do swego pokoju.

- A cóż to takiego? Co za wstrętne, podstępne zachowanie? - krzyknęła ze zgrozą Helen.

Isabel stanęła jak wryta, nie spodziewając się, że opiekunka wróci szybciej, niż nakazywały jej obowiązki.

- Boże w niebiosach, coś ty z siebie zrobiła? - Helen była wstrząśnięta widokiem dziewczyny.

Isabel wzięła na ręce Zeusa, który nie protestował ani przeciw odrażającemu zapachowi, ani wyglądowi. Polizał jej szyję, kuląc się w uścisku.

- Nie mogę cię pojąć - wydziwiała Helen. - Ten ohydny postępek miał odstraszyć starającego się o twoją rękę, gdy tymczasem wysłałaś mnie pod fałszywym pozorem po zakupy, tak?

Isabel nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ciągle jeszcze kręciło się jej w głowie po spotkaniu z Montgomerym. Dlaczego był tak zdumiony, gdy wybiegała z komnaty? Z całą pewnością odczuł wielką ulgę.

- Zobaczysz, co się stanie, gdy hrabia dowie się o twoim niecnym uczynku - ostrzegła ją Helen, podparłszy się pod

boki. - Nie ujdzie ci to na sucho, moja panno, już ja cię o tym zapewniam.

- Jakże jesteś lojalna - powiedziała cicho Isabel.

- Jestem lojalna w większym stopniu, niż kiedykolwiek to pojdziesz. Zajmowałam się tobą, od kiedy skończyłaś osiem lat i życzę ci jak najlepiej - oświadczyła Helen z surowością w głosie.

- Okazujesz to w ciekawy sposób - odparła Isabel, głaszcząc Zeusa. W jej głowie migały obrazy Roba i lorda Montgomery'ego.

Nigdy przedtem nie żałowała przysięgi złożonej Robowi. To była najcudowniejsza chwila w jej życiu. Dlaczego teraz nagle zmieniła zdanie?

Baczne spojrzenie jego niebieskich oczu wciąż ją nurtoowało.

Z całych sił zacisnęła powieki. Dała sobie słowo, że będzie czekać na powrót Roba, i uczyni to. Niczego nie żałuje. Kocha Roba całym sercem i duszą. Jednakże... Gdyby tylko Montgomery nie był tak uprzejmy, taki taktowny, a do tego przystojny. Gdyby był niski, gruby, łysy, z wypadającymi zębami!

Helen nie ustawała.

- Nie rozumiem cię. Cóż to za wstrętny podstęp? Słuchaj mnie uważnie, Isabel. Twój stryj wyraźnie wezwał cię, by wydać cię za męża. Czyś ty oszalała? - Robiła wrażenie serio rozgniewanej. - Wiem, że nie jesteś zbyt religijna. Zrozumiałabym, gdybyś złożyła śluby Bogu. Musisz zatem wyjść za męża i urodzić dzieci. Isabel, taki los wyznaczył ci Wszechmogący, i ocalił cię, kiedy całą twoją rodzinę zabiła zaraza.

- Nic nie wiesz na temat woli boskiej - odrzekła kategorycznym tonem Isabel. Była wściekła na Helen, że ta usiłuje odkryć decyzje Boga i przypomina na dodatek tragedię w jej rodzinie.

- Lady Isabel - rzekła suchym tonem Helen - proszę się natychmiast umyć i odpowiednio ubrać, a następnie przyłączyć do Jego Lordowskiej Mości na wieczerzy i tańcach po kolacji.

Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Isabel siadła na łóżku, zrozpaczona. Teraz będzie musiała

otwarciu sprzeciwić się woli stryja. Nie miała jednak innego wyjścia - w przeciwnym razie Montgomery zobaczy, jak naprawdę wygląda. Nic dobrego - orzekła w duchu - nie wyniknie z tej postępkę. I ogarnął ją jeszcze większy strach.

Ale może się myliła. Ponieważ następnego dnia powiedziała jej, że Montgomery nie zamierzał dalej starać się o jej rękę i że opuścił dwór, udając się do swego majątku na północy Anglii. Przez chwilę Isabel poczuła szarpający ból. Pożałowała swojego czynu.

Sussex wezwał ją przed swoje oblicze, ale nie nazajutrz, lecz dopiero cztery dni później.

- To przestroga, Isabel - szepnęła jej do ucha Helen, gdy obie spieszyły przemierzały komnaty.

Isabel czuła, jak rośnie w niej napięcie. Obawiała się tego spotkania, lękała się, że stryj wymierzy jej surową, brutalną karę za oszustwo, jakiego dopuściła się wobec lorda Montgomery'ego. Sussex był znany ze swojej nietolerancji; hojnie wynagradzał stronników i okrutnie rozprawiał się z wrogami. Mawiano, że nigdy nie wybaczał sprzeniewierzenia. Isabel modła się w duchu, aby choć trochę ją polubił i zechciał okazać nieco litości, ponoć jednak nigdy nie okazywał jej tym, którzy wypadli z jego łask.

- Nie poinformowałam stryja o twojej zdradzie.

Isabel stanęła w miejscu, zdumiona.

- Ale...

- To, co uczyniłaś, stało się i nie można już temu zaradzić. Nie widziałam powodu, abyś cierpiała, bo liczę, że w pełni zrozumiałaś swój błąd. A zresztą, z tego powodu możesz doznać wiele bólu w przyszłości.

Isabel, nadal wstrząśnięta, milczała. Helen nie doniosła na nią.

- Wierzę, że coś podobnego nigdy więcej się nie zdarzy - dodała Helen cichym głosem.

Dziewczyna zamyśliła się i wreszcie kiwnęła głową. Jeśli zgłosi się następny starający o jej rękę, wtedy się zastanowi, co uczynić, ale wcześniej w ogóle nie będzie zwracać sobie, tym

głowy. Dobry Boże, dzięki lojalności Helen uniknęła strasznej kary, a może nawet wysłania z powrotem do Stonehill.

Postępowały za sir Thomasem. W pewnej chwili Isabel poczuła rękę na swoim ramieniu. Zdrętwiała i obróciła się.

Ukochane, błękitne oczy spotkały się z jej oczami.

Otworzyła usta w zdumieniu, a serce zabiło jej gwałtownie. Rob!

- Isabel? - zapytał Robert de Warenne z niedowierzaniem.

Z płonącymi policzkami Isabel złożyła głęboki dyg. Nagle wydało się jej, że gwar w komnacie umilkł, a ciszę wypełnia bicie jej serca, przyspieszony oddech. Zapomniała o wszystkich i o wszystkim. Rob. Był tu, koło niej. Nareszcie - po tych latach oddzielenia.

- Proszę, wstań - rzekł Rob. W następnej chwili poczuła jego rękę na swoich łokciach. Podciągał ją do góry.

Zapatrzyła się w ukochaną sylwetkę, odnotowując wzrokiem wszelkie zmiany. Jak mocno, aż do bólu, zapamiętała jego sylwetkę i twarz! Rob zmężniał, jego szczęki stały się wyrazistsze, nos jakby się powiększył. W kącikach błyszczących oczu pojawiły się drobne zmarszczki. W istocie był teraz przystojniejszy niż jako dwudziestoletni młodzian - bo stał się dojrzałym mężczyzną.

On także się w nią wpatrywał.

- Nie mogę wręcz uwierzyć w nasze spotkanie! - wykrzyknął wreszcie. - Isabel, jaka jesteś piękna!

Dziewczyna poczuła pod powiekami palące łzy: oto miała przed sobą tego, którego od wielu lat pragnęła ujrzeć.

- Rob - wypowiedziała z przejęciem. I dodała: - Witaj.

Uśmiechnął się do niej po raz pierwszy i dostrzegła wtedy, że jego zęby pozostałe równe, białe.

- Moja pani - rzekł i puścił jej łokieć, by się nisko skłonić. - Zaciśnął szczęki i chwytając się za pierś, wyznał: - Doprawdy jesteś taka piękna. Serce bije mi tak mocno, jak w czasie bitwy.

Dopiero wtedy Isabel zdała sobie sprawę, jak wspaniale jest ubrany. Miał na sobie strój ze złotego aksamitu, z jego rękawów wysuwały się mankiety z francuskiej walansjenki. Był przepasany jedwabnym pasem, u boku wisiał krótki mieczyk

o rękocyfki wysadzanej drogimi kamieniami - rubinami lub granatami. Dostrzegła też, że na jego palcach lśniły dwa pierścienie - jeden z szafirem, a drugi, bladezielony, był pewnie z jaspisu. Na lewym ramieniu błyszczała odznaka świadcząca o tym, że był na służbie u królowej.

- Rob, mamy sobie tak wiele do powiedzenia - wykrztusiła, myśląc, że jej ukochany nie marnował życia. Była do głębi rozradowana spotkaniem i wiele się po nim spodziewała dla nich obojga. Bo przecież zniknęła przeszkoda postawiona przez lorda Sussexa - jego więcej niż skromne środki finansowe. Teraz z pewnością stryj nie będzie miał nic przeciwko ich małżeństwu.

- Tak, mamy wiele do pomówienia - odparł i ujął ją za rękę.

Za nimi rozległo się kasznięcie. Isabel uprzytomniła sobie, że obok stała Helen i wsłuchiwała się w każde słowo, które wymieniła z Robem. A na dodatek tuż obok czekał sir Thomas. Ogarnęło ją przerażenie, zeszywniała ze strachu. Odwróciła się do towarzyszki.

- Helen, pragnę ci przedstawić mego kuzyna, sir Roberta de Warenne. Lady Helen Courtney, sir Robert.

Rob złożył ukłon. Isabel dostrzegła przenikliwe spojrzenie Helen. Ona z pewnością nie była naiwna.

- Czuję się zaszczycony - rzekł dwornie Robert, posyłając Helen promienny uśmiech. Następnie zwrócił się do Isabel: - Teraz jestem admirałem de Warenne.

Dziewczyna omal nie krzyknęła, zaskoczona i uradowana, ale zamiast tego wyjąkała:

- Robercie, a więc osiągnąłeś w wielkim świecie to, czego chciałeś.

- Tak jest. Królowa osobiście nagrodziła mnie za obronę Ludgate przed tym zdrajcą, sir Wyattem. - Jego błyszczące oczy napotkały jej wzrok.

- Admirał de Warenne - szepnęła Isabel, ciesząc się każdą sylabą tego tytułu.

- A więc pokonał pan siły buntowników? - zapytała chłodno lady Helen.

Isabel zerknęła na jej napiętą twarz i doszła do wniosku, że tamta wszystkiego się domyśla.

- Owszem, uczyniłem to w kompanii innych lojalnych królowej rycerzy. - Rob obrócił się do Isabel z wyciągniętym ramieniem. - Mam sprawę z radą, ale to może poczekać. Przejdźmy się do ogrodu, tak wiele mamy sobie do opowiedzenia. Jestem pewien, lady Helen, że nie ma pani nic przeciwko temu, prawda?

Helen nie ukrywała niezadowolenia.

- Lady Isabel została wezwana przez swojego stryja, hrabiego Sussexa. Nie możemy dopuścić, by kazała na siebie czekać.

- Jej stryj, a mój kuzyn, wróci z narady u królowej dopiero późnym wieczorem - oznajmił Rob ze znaczącym uśmiechem. - Będą panie musiały czekać na niego wiele godzin. Thomasie, niedługo zwrócę lady Isabel pod twoją opiekę. - Nie zwlekał dłużej, aby Helen nie miała szansy namówić się z sir Thomasem. Ten ostatni skłonił się z wyraźnym szacunkiem.

Rob znał dobrze korytarze i komnaty rezydencji królewskiej. W oszołomieniu szła obok niego, oddalając się od tłumów w pobliżu salonów recepcyjnych królowej. Kątem oka obserwowała jego imponujący profil, a serce zdawało się zaryć z radości. On także zerkał na nią co chwila, gdy odwracała głowę.

Promienie słoneczne oświetlały wielki hol, do którego właśnie weszli. Tu kręciło się już tylko paru dworzan. Isabel ujrzała przed sobą, za ogromnymi kolumnami podpierającymi sklepienie, mały ogród obrosnięty kwiatami i krzewami.

Zarazem spostrzegła mężczyznę średniego wzrostu opartego o kolumnę, patrzącego z melancholią na ogród.

Rob zwolnił na jego widok.

- Don Alvorado - powitał tamtego stanowczym tonem. - Dzień dobry, mój panie.

Mężczyzna, Hiszpan, odwrócił się w ich stronę. Isabel nigdy przedtem nie widziała tak cudownie pięknych koronek i takiej biżuterii. Pozostali dworacy wyglądali przy nim jak nędzarze. Skłonił się.

- Dzień dobry, admirale de Warenne. - Miał silny akcent, wręcz trudno go było zrozumieć. Zatrzymał wzrok na Isabel.

- Czy mogę służyć pomocą? - zapytał Robert z szacunkiem. Następnie przeszedł na francuski: - *Je voudrait vous aider, s'il vous plait.*

- *Je suis bien, merci* - odparł Hiszpan, nadal mierząc wzrokiem Isabel.

- O, przepraszam, gdzie się podziały moje maniery - krzyknął Rob. - *Pardonnez moi.* - Zwrócił się do dziewczyny: - Alvorado de la Barca, *el conde* de Pedraza, wysłannik księcia Filipa, króla Hiszpanii, spadkobiercy cesarza, zaręczonego z naszą królową.

Isabel dygnęła. Wcale się jej nie podobał wzrok tamtego utkwiony w niej. Wolała być sama z Robem.

- Z ogromną przyjemnością witam pana - odezwała się po francusku, gdy Rob ją przedstawił.

Wymienili parę zdań. Hrabia ani razu się nie uśmiechnął, patrzył tylko uważnie, zbyt uważnie, jak skomentowała w duchu Isabel. Wreszcie Robert wyłgał się od dalszej rozmowy. Ruszyli dalej.

- To prawdziwy skandal - orzekł, gdy już oddalili się na pewną odległość. - W ciągu tych wszystkich miesięcy, odkąd został podpisany kontrakt małżeński, król Filip nie przysłał królowej ani jednego listu, nie przekazał ani jednego prezentu, aż do czasu przybycia don Alvorada przed kilkoma dniami.

Isabel rozwarła ze zdumienia oczy, patrząc na jego opaloną twarz.

- Jakże to godne pożałowania zachowanie - rzekła. - Biedna królowa! - Puls jej bił jak szalony, bo nie myślała wcale o Marii Tudor, lecz o sobie.

- Wszyscy jesteśmy tego zdania - powiedział z ponurą miną. - Jednakże - tu twarz mu się rozjaśniła - hrabia przywiózł tak wspaniałe podarunki, że trudno wręcz je opisać. Suknie, futra, biżuterię. Królowa rozpłakała się ze wzruszenia na ich widok, w obecności lordów i dam dworu. Przemawiała przez nią sama radość!

- Och, jakże się cieszę - rzekła, gdy weszli do niedużego,

zacienionego ogrodu. Myślała teraz tylko o tym, że nareszcie byli sam na sam.

Nagle Rob spojrział na nią z bardzo poważną miną. Isabel skamieniała. Nie mogła wydobyć z siebie żadnego pytania, które stawiała w myślach od chwili spotkania. Teraz ogarnęło ją znajome napięcie, oddech stał się szybki i nerwowy.

- Och, Rob - wymamrotała tylko.

Wziął w dłonie jej ręce i przycisnął je mocno do piersi. Nawet przez strój, jaki miał na sobie, czuła mocno bijące serce.

- To jest niezwykły, cudowny dzień - wyszeptał. Uniósł jej ręce do ust i po kolei ucałował koniuszki palców.

Łzy napłynęły jej do oczu, bo pocałunki były tak delikatne i czułe, prawdziwa, choć niema, deklaracja uczuć.

- Rob - wyszeptała, mrugając oczami, aby ukryć łzy. Pragnęła go zapytać, co się stało. Dlaczego tak długo się nie odzywał, jednakże tylko wpatrywała się w jego błękitne oczy i w męską linię ust.

- Jestem znowu owładnięty uczuciem - odezwał się schrypniętym głosem. Ich spojrzenia się spotkały.

Isabel pojęła, do czego zmierza, zanim przyciągnął ją do siebie i jego usta delikatnie dotknęły jej warg. W jego ramionach poczuła, że nareszcie znalazła swoje miejsce. Że nie popełniła błędu, nie uległa złudzeniom i że kiedyś, gdy będzie umierała, nadal będzie kochała tylko tego mężczyznę.

Ich usta złączyły się z tęsknotą spotęgowaną czteroletnią separacją, języki poczęły pieścić się nawzajem.

Odskoczyli od siebie, zdumieni siłą namiętności. Isabel spostrzegła, że jednocześnie śmieje się i płacze. Nic się nie zmieniło w ciągu tych wielu lat.

- Skrzywdziłem cię - krzyknął, próbując zetrzeć z jej policzków łzy.

- Jak mogłeś mnie skrzywdzić, skoro tak cię kocham? - odparła, ciągle się uśmiechając.

Rob znieruchomiał.

Uśmiech zamarł mu na wargach. Działo się coś niedobrego. Wyczytała to z jego miny, z jego zaskoczonych spojrzenia.

- Rob?

Zwilżył usta.

- Isabel. - Wymówił jej imię z wyraźną troską. - A więc nie wiesz?

Serce zabiło jej z trwogi.

- O czym miałabym wiedzieć?

Patrzył na nią, niezdolny do wypowiedzenia słowa.

- Rob! Co, na miłość boską, masz na myśli? - wykrzyknęła z przerażeniem. - Chyba nic się między nami nie zmieniło?

Robert zrobił głęboki wdech, puścił jej ręce i obrócił się do niej plecami. Zwinął dłonie w pięści, opierając je na biodrach. Stał w rozkroku, z napiętymi mięśniami.

Poczuła, jak zapada się w jakąś straszliwą przepaść.

- Rob, boję się. - Obeszła go i stanęła twarzą w twarz. Ujrzała, że zbladł jak ściana. - Naprawdę mnie przestraszyłeś.

- Nie miałem tego zamiaru. Wydaje się jednak, że zapomniałem, iż przez te lata żyłaś w Stonehill. - Unikał teraz jej wzroku. - Ale przecież nawet tam docierały chyba do ciebie wieści ze dworu?

- Czasami - rzekła wolno, nie mogąc złapać tchu. - Co się stało?

- Rok temu ożeniłem się z lady Anne Hammond, wdową i spadkobierczynią majątku.

Isabel wpatrywała się w niego, pewna, iż się przestęszczała.

- Co takiego?

Nie powtórzył tego zdania i nadal nie patrzył jej w oczy.

...Rok temu ożeniłem się z lady Anne Hammond...

Zamrugała oczami, bo skutek też straciła ostrość widzenia.

- To chyba żart?

Zerknął na nią szybko.

- Nie, Isabel, nie pozwoliłbym sobie na tak niestosowny żart.

A więc nie kpił. Stała bez ruchu, niezdolna uwierzyć w jego słowa. Rok temu się ożenił....

- Isabel - wyciągnął rękę, przestraszony jej reakcją.

Zrobiła unik. Serce biło jej tak gwałtownie, że czuła się jak ryba wyciągnięta na piasek. Otworzyła szeroko usta, dusząc się z braku powietrza.

- Nie! Jak śmiesz! Nie dotykaj mnie! - Cofnęła się parę

kroków, nareszcie pojmując, co się stało. Ta prawda omal jej nie zabiła. Poczuli się, jakby była chata z drewna, która zapada się pod jakimś straszliwym ciężarem. Fundamenty rozstąpiły się i cała konstrukcja zamieniła się z hukiem w stertę drewna. Po policzkach spływały jej łzy.

- Och, Boże, nie przypuszczałem, że tak to przeżyjesz! - wykrzyknął wstrząśnięty Rob. - Od naszego spotkania minęły całe lata, byliśmy naiwnymi dziećmi, które złożyły sobie infantylne przysięgi!

Infantylne przysięgi - pomyślała, patrząc na niego. Zwinęła się z bólu, myśląc, że nie przeżyje tej zdrady.

Zabił jej marzenia, a teraz zabijał i ją.

ROZDZIAŁ 17

Casa de Suenos - noc trzecia, godzina 21.00

Cass zastygła w przerażeniu. Isabel nie zniknęła. Nie rozplynęła się, nie odeszła. Stała, patrząc jej prosto w oczy. Nie była wytworem imaginacji.

I nagle się uśmiechnęła. W jej uśmiechu nie było nic przyjaznego. Przeciwnie - tylko wzmagał lęk.

Cass włosy zjeżyły się na głowie, serce waliło jak oszalałe. Choć była niczym sparaliżowana, jakoś zdołała wykrztusić przez zaschnięte gardło:

- Co? Czego chcesz? - Pomyślała, że chyba śni albo oszalała. Przecież postać Isabel nie mogła być realna.

Isabel przeszła obok niej.

Cass uniosła powieki, żeby spojrzeć na kobietę, która stała na środku pokoju, niedaleko stolika z laptopem. Była odwrócona plecami. Cass patrzyła w osłupieniu, starając się wszelkimi siłami pojąć, o co tamtej chodzi. Isabel jednak zniknęła. Pozostał po niej świecący ekran komputera z wypisanymi na nim trzema słowami.

ONI MNIE ZDRADZILI.

Isabel chciała, aby jeszcze raz przeczytała jej przesłanie.

Cass odwróciła się i wybiegła z pokoju, zapominając nawet o wzięciu świecy z szafki nocnej. Chwilę później wpadła na kogoś po ciemku. Wrzasnęła z trwogi.

Antonio potrząsnął nią.

- To ja, Cassandro.

- O Boże! - Chwyciła go za rękę i pociągnęła w głąb kory-

tarza. Gdy biegli, Antonio usiłował się dopytać, co się stało. Ona jednak nie mogła wykrztusić słowa. Ujrzała na własne oczy kobietę, która zginęła czterysta czterdzieści pięć lat temu. Napotkała ducha. Nie śniła, nie wyobraziła go sobie. I duch Isabel nie był bynajmniej przyjazny.

Trudno też było wymazać z pamięci inny fakt - że Isabel domagała się jakiejś formy komunikacji z nią.

...Oni mnie zdradzili...

Ukazała się jej. I nie była jedynie formą abstrakcyjnej energii - była obdarzona inteligencją.

Inteligencją i wolą.

Inteligencją i czym jeszcze?

Cass poczęła drżeć. Kto zdradził Isabel? I dlaczego wybrała sobie akurat ją, Cass, aby się porozumiewać ze światem żywych? Co to oznaczało? Czego chciała? Bo z pewnością czegoś się domagała.

Znaleźli się na górnym podejściu schodów. Antonio wciąż pytał, co się stało. Nie zwracała na niego uwagi, nie była nawet świadoma, że stanęli. Chwycił ją za ramiona. Bezradnie mrugała powiekami, gdy krzyczał:

- Odezwij się! Co się, do diabła, zdarzyło?

Nadal nie mogła wykrztusić słowa. Duch obdarzony inteligencją, wolą, planem działania?

- Gdzie są dzieci? - spytała wreszcie, ogarnięta lękiem. Ani ściany, ani drzwi, ani zamki nie stały Isabel na przeszkodzie. Nie można było przed nią uciec, jeśli tak sobie życzyła.

A teraz mogła znajdować się na parterze, osaczając dzieci.

...Duchy nie zabijają ludzi...

Skąd, u diabła, Antonio mógł o tym wiedzieć?

Patrzył na nią zdumiony.

- W bibliotece. Z Gregorym i Celią. Alfonso źle się poczuł i poszedł się położyć.

Cassandra utkwiała w nim półobłąkany wzrok.

- Antonio, właśnie ją ujrzałam.

Stał jak wryty, z rozszerzonymi źrenicami.

- Tracey?

Poczuła, że znowu ogarniają ją mdłości. Zupełnie zapomniała o zaginionej siostrze. Teraz poraziła ją myśl, że Isa-

bel ma coś wspólnego z jej zniknięciem. Oni mnie zdradzili. Czy Isabel domagała się zemsty? Czy ciotka Catherine miała rację?

- Nie - odparła wreszcie, wpatrując się w niego. - Zobaczyłam Isabel.

Zmienił się na twarzy.

Cass dostrzegła w jego oczach niedowierzanie. Chwyliła go za koszulę.

- Widziałam ją. Stałyśmy twarzą w twarz. Nie wiem, jak długo to trwało. Ale zanim ją ujrzałam, mój laptop sam się uruchomił. Podeszłam, otworzyłam wieko i przeczytałam na ekranie trzy słowa. Antonio, trzy wyrazy: Oni mnie zdradzili.

Wpatrywał się w nią, milcząc.

- Czy mnie słyszysz? - krzyknęła, mając ochotę go uderzyć. - Komunikuje się ze mną za pomocą komputera!

Położył ręce na jej barkach.

- Chcę ci wierzyć. Naprawdę - rzekł spokojnym tonem. - Ale duchy nie piszą. W moim mniemaniu jedynie nawiedzają miejsca.

Cass wpadła we wściekłość.

- Antonio, duchy mogą robić dużo więcej, niż tylko krążyć! Ten duch jest inteligentny, chce się ze mną porozumieć, czegoś żąda!

Wyraz jego twarzy złagodniał.

- Dlaczego jesteś taka zła? - Pogładził ręką jej policzek.

Zesztywniała, chcąc odepchnąć jego rękę. Była w takiej furii, że z trudem się hamowała, by nie rzucić się na niego z pięściami. Z najwyższym trudem panowała nad sobą. Co w nią wstąpiło? Przecież łączyła ją z Antoniem przyjaźń, a nawet coś ponadto. Dlaczego więc jest taka wściekła, gotowa wręcz go uderzyć? Wpatrywała się w niego z nienawiścią. I nagle uprzytomniła sobie, jak gwałtowne było ich zbliżenie zaledwie kilka godzin temu.

I jednocześnie przypomniała sobie o Tracey. Aż ją to zabolowało.

- Cassandro, co się z tobą dzieje?

Jego głos nie docierał do niej. I ten elektryk, który został zadżgany nożem. I ciotka Catherine, która się udusiła, i Eduar-

do, który zmarł równie gwałtowną śmiercią. A co się stało z dziadkiem Antonia?

- Słuchaj, ujawnia się jakiś wzór, wzór przemocy i śmierci.

- Cassandro...

- Nie! Twój ojciec, twój dziadek, moja ciotka, elektryk! - krzyczała głośno. - Oni wszyscy nie żyją i w jakiś sposób zostali zamordowani!

Patrzył na nią z kamiennym wyrazem oczu.

- Nie próbuj mi wmówić, że w to wszystko wmieszana jest Isabel.

- Ależ ona jest tutaj, i usiłuje porozumieć się ze mną. - Spojrzała w ciemny korytarz, drżąc z trwogi. Nagle coś postanowiła. - Chodź! - Chwyliła go za rękę i niemal siłą pociągnęła za sobą. Znowu poczuła mdłości towarzyszące napięciu.

- Już dobrze - zgodził się niechętnie. Latarka w jego dłoni podrygiwała, gdy próbował dorównać jej kroku.

W progu sypialni Cass zatrzymała się. Isabel zniknęła, dzięki Bogu. Wciągnęła nozdrzami powietrze. Silny zapach fiołków też ustąpił. A więc odeszła.

Antonio minął ją, kierując światło latarki na laptop. Pokrywa była nadal otwarta, ekran błyszczał, ale nie było na nim ani jednego słowa.

Przesłanie znikło.

Cass gapiła się na komputer w osłupieniu.

- Cassandro - odezwał się Antonio.

Wiedziała, co jej powie, więc obróciła się gwałtownie:

- Nie! Wcale jej sobie nie wymyśliłam i nie wyobraziłam sobie tego napisu na ekranie! Masz na to moje słowo!

Milczał.

Usłyszała, jak z jej ust wrywa się przekleństwo. Podbiegła do łóżka, wzięła dziennik, licząc, że znajdzie w nim odpowiedź, której rozpaczliwie szukała.

- Wyjdźmy stąd - rzekła.

Antonio przepuścił ją przodem.

Wyszła z takim pośpiechem, że zapomniała zgasić komputer.

*

- Zaraz wrócę - obiecał Gregory dzieciom i Celi.

W bibliotece panował półmrok, na kominku płonął ogień. Paliło się też dużo świec rozmieszczonych w różnych miejscach pokoju. Dzieci siedziały otulone pledami, Eduardo czytał na głos książkę. Oboje unieśli głowy, przestraszone zapowiedzią wuja.

Celia siedziała zawinięta w koc, przedstawiając sobą obraz nędzy i rozpacz. Herbata stojąca obok niej na stoliku dawno już wystygła.

- *Senor* Gregory, dokąd pan idzie? - zapytała z lękiem.

Uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Do toalety.

Alyssa i Eduardo patrzyli, jak wychodzi, po czym spojrzeli po sobie, zapominając o książce. Przez chwilę zapadła zupełna cisza, przerywana trzaskami palących się drewn i ciężkim oddechem Celi.

- On zaraz będzie z powrotem - rzekł Eduardo.

Alyssa zerknęła na niego, czując w duchu niepokój. Jakżeby chciała, żeby ciotka Cass już przyszła do nich. Zastanawiała ją, co ją tak długo wstrzymuje. Ogarnęła ją rozpacz. Jej cioteczna babka została przewieziona do szpitala, i dziewczynka rozmyślała o tym, co jej się stało i dlaczego nikt nie chce z nią na ten temat porozmawiać. A gdzie się podziała mama? Cass zapewniała, że zapewne niespodziewanie pojechała do miasteczka, co było w jej stylu, ale Alyssa przeczuwała, że stało się coś strasznego. Dostrzegała potwierdzenie swoich obaw w ciemnych oczach cioci. I co dolega Celi? Robi wrażenie chorej. Alyssa próbowała z nią rozmawiać, ale tamta się nie odzywała.

- Nie podoba mi się, że on nas zostawił - powiedziała wolno, pragnąc w duchu, żeby płonący ogień nie rzucał przerażających cieni na ściany.

Eduardo uśmiechnął się, by dodać jej otuchy.

- Nie masz się czym martwić - zapewnił ją niezbyt odważnym tonem.

Alyssa skrzyżowała ręce na piersi, przyglądając się ogromnej komnacie. W jej kątach panowała prawie zupełna ciemność.

- Chciałabym, żeby ciocia Cass już wróciła. Co ją zatrzymuje tak długo?

Eduardo poklepał ją po ramieniu.

- Jeśli siedzi z tatusiem, pewnie oboje zajęli się badaniem historii rodziny.

Alyssa pokiwała głową.

- Ona jest nadzwyczaj inteligentna. Inteligentniejsza od cioci Catherine.

Eduardo przytaknął:

- Tak, nie spotkałem mądrzejszej od niej kobiety. A mój tata jest najmądrzejszym mężczyzną, jakiego spotkałem.

Alyssie przeszło przez myśl, że w pokoju unosi się jakiś dziwny zapach.

- Wydaje mi się, że oni się polubili. Odnoszę wrażenie, że twój ojciec przestał lubić moją mamę. - Nagle umilkła, znowu przestraszona. Gdzie się podziała matka? Jak mogła tak ich zostawić? A co się stanie, jeśli tym razem zniknie na dłużej? Chciała wiedzieć, czego należy się spodziewać, kiedy znowu ją zobaczy.

Eduardo jakby czytał w jej myślach.

- Może twoja mama zabłądziła. - Poklepał jej kolano.

Alyssa wzdrygnęła się, czując, jak serce zaczyna jej bić mocniej.

- Mam nadzieję, że nic się jej nie stało.

- Nie martw się. Jeśli zgubiła drogę, na pewno ją znajdą. Pamiętaj, twoja ciotka i mój tata są naprawdę bardzo inteligentni.

Alyssa uśmiechnęła się na siłę i kaszlnęła.

- Co to za dziwny zapach? - Był słodki, jak woń kwiatów. Wcale jej się nie podobał.

- Nie wiem. - Eduardo sięgnął po kule i spojrzał na drzwi. - Czemu wuj nie wraca?

Alyssa wstała na wszelki wypadek, by mu pomóc. Obserwowała, jak chłopiec ustawia kule, opiera się na nich i wstaje. Pomyślała, że musi być bardzo silny. Nagle rozległ się głośny dźwięk, przypominający trzaśnięcie drzwiami.

Alyssa obróciła się wokół własnej osi, Eduardo pokuśtykał do przodu.

- Co to było? - krzyknęła dziewczynka, gapiąc się na ścianę naprzeciwko siebie. Wszystkie okna były zamknięte, zasłony częściowo zaciągnięte. Na niebie świecił księżyc, błyszcząły miriady gwiazd.

- Nie wiem, może coś upadło - rzekł Eduardo cichym głosem.

- A ja wiem - odezwała się po raz pierwszy Celia.

Oboje dzieci spojrzęło na nią z uwagą.

- W tym domu straszy - rzekła.

Alyssa zamarła.

- Proszę tak nie mówić, *senora* - powiedział nerwowym dyszkantem Eduardo.

- Czy tego nie czujecie? - spytała Celia niespokojnym tonem. - Catherine wyczuwała to bezbłędnie. - Zamilkła, płacząc bezgłośnie.

Znowu rozległ się ten sam dźwięk, po czym nastąpiło jakby syczenie. Dzieci obróciły się za siebie.

- To pewnie ogień - rzekł Antonio. - Gdzie jest mój wujek?

- Może i on zniknął - szepnęła Alyssa, ściskając go za rękę wspartą na kuli.

Spojrzeni na siebie. Dziewczynka poczerwieniała. Nie chciała na głos wypowiedzieć uwagi, którą niechcący usłyszała z ust dorosłych. Jej matka znikła. Nie zabłądziła, lecz znikła bez śladu.

Jak mama Eduarda, wiele lat temu.

Czy to oznacza, że już nigdy nie wróci?

- On na pewno nie zniknął - rzekł nerwowo Eduardo. Wyglądał, jakby i on był na granicy łez. I wtedy rozległo się delikatne pukanie.

Alyssa aż jęknęła, gdy oboje jednocześnie spojrzeli w okno. I natychmiast krzyknęła przerażona.

Stała za nim kobieta. Jej sylwetka była trochę niewyraźna, ale widać było dokładnie włosy barwy księżyca, spadające na twarz i ramiona.

- Mama! - krzyknęła Alyssa.

Kobieta przyglądała się im przez chwilę, po czym zrobiła krok do tyłu i zniknęła z pola widzenia.

Alyssa straciła głowę. Jej mama wróciła! A więc nie za-

błądziła, nie zgubiła drogi! Dziewczynka pędem wybiegła z biblioteki.

- Mamusiu! Zaczekaj!

Celia zerwała się z posłania.

- Zatrzymaj się! Panienko, nie chodź tam!

Nie było odpowiedzi.

Celia mszyła za nią ze zdumiewającą szybkością.

Eduardo pozostał sam.

Cass i Antonio wyszli z za rogu korytarza, oświetlając sobie drogę latarką, gdy ujrzeli Gregory'ego zmierzającego w stronę biblioteki. Cass natychmiast uruchomiła swój wewnętrzny radar. Dlaczego zostawił dzieci same, choćby na minutę?

- Gregory! - krzyknęła w jego stronę.

Zatrzymał się przed drzwiami pokoju. Cass podbiegła do niego, przeczuwając, że stało się coś strasznego. W chwili, gdy stanęła obok niego, ujrzała, że spełniły się jej najgorsze obawy - po dzieciach nie było śladu. Celia też znikła. W bibliotece nie było nikogo.

- Zostawiłeś je bez opieki! - krzyknęła. - O Boże, one gdzieś poszły!

Antonio podbiegł do nich.

- Nie wpadaj w panikę. Bez wątpienia są w kuchni, rozglądają się za czymś do jedzenia.

- Odszedłem od nich dosłownie na chwilę - tłumaczył się Gregory.

Cass ruszyła w głąb korytarza, obaj bracia podążyli za nią. Otworzyła na oścież drzwi kuchni, ale panowała w niej ciemność, nie było żywego ducha. Pomyślała z furją: Zabiję go, jeśli coś złego stało się dzieciom. I naprawdę tak czuła.

Wybiegła z kuchni i pomknęła do wielkiej sieni.

Drzwi frontowe były szeroko otwarte.

Cass potknęła się, chwytając Antonia, żeby nie upaść.

- Przecież zamknąłeś drzwi.

- Tak, musiały je otworzyć. - Podeszedł do drzwi, oświetlając latarką przestrzeń za nimi. Ujrzeli jedynie masę bezładnych cieni.

- Dlaczego dzieci miałyby wychodzić w środku nocy? -

krzyknęła z rozpaczą... Jednakże w duchu wiedziała dlaczego. Miała z tym coś wspólnego Isabel. Ona była wmieszana w te wszystkie wydarzenia, które nastąpiły od chwili, gdy przybyli do Casa de Suenos. Miała dokładny plan działania. O, Chryste! - prześlizgnęła się między obu braćmi.

- Eduardo! - wołał Antoni, przyłożywszy dłonie do ust.

Cass tymczasem krzyczała imię Alyssy. Gregory przyłączył się do nich, mówiąc:

- Przecież nie mogli odejść daleko od domu. Powinniśmy się rozdzielić i zacząć ich szukać.

Cass spojrzała na niego z furją - uważała, że to jego wina.

Antonio dotknął jej ramienia.

- Cassandro - rzekł stanowczym, opanowanym tonem.

Odepchnęła jego rękę.

- Nie! Jeśli stanie się coś złego, Gregory będzie za to odpowiedzialny.

- Ależ z pewnością nic im nie jest. Nic złego się nie zdarzy. - Oczy Antonia błyskały niepokojem.

- Ogromnie mi przykro. - Gregory wypowiedział te słowa z autentyczną rozpaczą na twarzy. - Nie przyszło mi do głowy, że dzieci mogą wyjść z biblioteki. Oddaliłem się zaledwie na parę minut. Została z nimi Celia.

- Celia? - Głos Cass był ostry jak brzytwa. - Ta nieszczęsna kobieta była w szoku.

- To nie twoja wina - rzekł Antonio do brata. Spojrzał chłodno na Cassandrę. - Powinniśmy się rozdzielić, zgoda.

Jej skronie pulsowały rozdzierającym bólem. Rozdzielić się. Podzielić i zwyciężyć. Nie cierpiała myśli, które przychodziły jej do głowy.

- Nie podoba mi się ten pomysł - wyszeptwała. - Zdaje się, że o czymś zapominamy. W ruinach leży martwy człowiek. W pobliżu kręci się jego zabójca, może nawet znajduje się wśród nas. No i -jest Isabel.

Obaj braci popatrzyli na nią. Mimo ciemności Cass dostrzegła, że Gregory zbladł.

- Tu nie straszy żaden duch naszej dalekiej krewnej - rzekł łamiącym się głosem.

- Ach, tak sądzisz? Właśnie go ujrzałam. - Głos Cass za-

brzmiał niemal triumfalnie. Jakaś cząstka w niej czuła się okropnie. Zastanawiała się, dlaczego rzuca te wszystkie oskarżenia, dlaczego jest taka nieprzyjemna, skoro ta cecha jest obca jej naturze. Przecież nie jest ani okrutna, ani złośliwa. - Ktokolwiek zabił elektryka, znajdował się w twoim domu, Antonio - wycedziła, właściwie wbrew sobie. Spojrzała prosto na Gregory'ego.

Jego twarz stężała.

- Nie podoba mi się to, co chcesz zasugerować. I ja, i mój brat jesteśmy poza podejrzeniami. Podobnie jak Alfonso.

Cass się wyprostowała.

- Aha, to może mnie należy o to podejrzewać? Albo sześćdziesięcioletnią kobietę?

- Czy ja to powiedziałem? - odwarknął.

Wpatrywała się w niego, zastanawiając się, czy ma do czynienia ze zbroczonym mordercą. Od chwili, kiedy go ujrzała, zachowywał się dziwnie - orzekła w duchu. Coś ukrywał.

- Wątpię, aby elektryk sam siebie dźgnął nożem w pierś.

- W serce - mruknął Antonio.

Cass podskoczyła w miejscu.

- Cios był wymierzony prosto w serce.

- Dzieci! - krzyknęła Cass. - Musimy je jak najprędzej odnaleźć! - Jej ton zdradzał rosnącą histerię. I wtedy zauważyła, że spojrzenia, jakie wymienili obaj bracia, dają wyraźnie do zrozumienia, że wykluczają ją ze sprawy. - Wy dwaj coś wiecie, czego nie chcecie zdradzić - zaatakowała ich.

- Niczego nie ukrywamy - rzekł Antonio, odchodząc w głąb ciemności. Znowu zaczął nawoływać syna.

Cass zdawało się, że coś usłyszała, więc chwyciła go z tyłu za ramię i nakazała, aby był cicho.

Z oddali doszedł jęk -jeśli to był rzeczywiście jęk.

Antonio gwałtownie zareagował na ten głos i ruszył biegiem w stronę lewego skrzydła domu.

- Eduardo! Gdzie jesteś?

Cass i Gregory pomknęli za nim, coraz wyraźniej słysząc słaby głosik:

- *Papa, papa!*

Antonio pochylił się nagle. Eduardo leżał na ziemi, kule miał odrzucone na bok. Ojciec delikatnie wziął go w ramiona.

Cass złapała go za rękę.

- Nic ci nie jest? Gdzie się podziała Alyssa?

- Nic ci się nie stało? - wykrzyknął Antonio z wyraźną ulgą w głosie.

- Upadłem. Ona biegła tak szybko... - Głos mu się załamał.

- Gdzie ona jest? - Cass ogarnął paraliżujący strach.

- Nie wiem. Pobiegła w tym kierunku, jak myślę. - Eduardo był bliski łez.

- Nie! - jęknęła Cassandra, dosłownie oszalała z obawy o siostrzenicę.

Antonio tymczasem głaskał synka po włosach. Cass spostrzegła, że obaj drżą.

- Powiedz, mały, co się stało. Porozmawiaj z tatą,

Eduardo skinął głową.

- Czytaliśmy w bibliotece, kiedy usłyszeliśmy jakieś hałasy. Spojrzeliśmy przez okno, stała tam kobieta. Alyssa uważała, że to jej mama.

Spojrzał na Cass.

- Miała takie jasne włosy. I Alyssa wybiegła z pokoju. Celia ruszyła za nią. Chciałem pobiec za nimi, ale nie mogłem nadażyć. - Jego oczy napełniły się łzami. - Kiedy dotarłem do sieni, zastałem otwarte drzwi, lecz ich nie było. - Głos zmienił się w krzyk.

Antonio ciągle głaskał go po głowie, mocno przytulając do siebie.

- Zrobiłeś najlepiej jak mogłeś. - Nad ramieniem Eduarda spojrzął na Cass.

Dziewczyna trzęsła się jak w ataku febry. Czy Tracey rzeczywiście wróciła? Czy Alyssa odnalazła matkę? A może to był czyjś okrutny dowcip? Jeżeli tak było w istocie, kto był jego wykonawcą? Morderca?

Antonio pomógł chłopcu stanąć na nogi. Gregory podniósł kule i wręczył je małemu. Antonio znów zerknął na Cass.

- Zaprowadź go do domu. Poczekajcie w bibliotece. My z Gregorym ruszymy na poszukiwanie. Nie martw się, Alyssa na pewno nie odeszła daleko. Odnajdziemy ją.

Cass poczuła, że po policzku spływa jej łza.

- Chcę pójść z wami.

Pochylił się nad nią i delikatnie pocałował ją w usta.

- Proszę, zostań z moim synem. On jest bardzo zdenerwowany. Tylko zamknij na klucz drzwi wejściowe.

Cass chciała mu odmówić. Spojrzała na pobladłą twarz Eduarda, jego oczy błyszczące od łez i nagle, z wściekłością, rzuciła przekleństwo pod adresem swojej siostry, życząc jej, żeby umarła.

Siedziała z Eduardem, obejmując go ramieniem. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w ogień na kominku, modląc się o powrót Alyssy. Łzy napływały jej do oczu, była przerażona. Wszelkimi siłami starała się nad sobą zapanować, by nie zadreżać pytaniami chłopca, który siedział odrętwiały i przejęty.

Catherine nie żyje, Tracey zniknęła, teraz Alyssa się zgubiła. Cass czuła, że znajduje się na samej granicy szaleństwa.

Zamknęła oczy, żeby opanować szloch. Była przekonana, że za tym wszystkim stoi Isabel.

Było jej niesłychanie trudno myśleć w sposób racjonalny, ale postanowiła, że się do tego zmusi. Co by było, gdyby to ona znalazła się na miejscu Isabel? Była młodą kobietą, osieroconą w wieku ośmiu lat, spaloną na stosie dwanaście lat później? Wydaną za mąż bez miłości, za cudzoziemca, tracącą przez to jedyną w życiu szansę wielkiej, prawdziwej miłości?

Nie byłabym smutna. Czułabym się przegrana i wściekła.

Zamarła na tę myśl. Gniew, furia, wściekłość...

...Oni mnie zdradzili...

Isabel pragnęła zemsty. Był to jedyny wniosek. Dlaczego jednak mściła się na jej rodzinie, a nie na rodzice de la Barca?

- To wszystko moja wina.

Szept Eduarda przerwał tok jej myśli.

- Naturalnie, że nie - odparła szybko, ale nie uśmiechnęła się do chłopca. - Twój tata zaraz znajdzie Alyssę.

Spojrzała na zegarek. Minał kwadrans. Nie mogła już dłużej usiedzieć w miejscu, gdy najdroższa jej osoba znajduje się w niebezpieczeństwie. Ale jakiego rodzaju niebezpieczeństwie?

Musiała się uporać z najgorszymi obawami - takimi, o których wcale nie chciała myśleć. Jeśli Isabel potrafi przekazać wiadomość za pomocą komputera, to czy zdolna jest do innych czynów?

Zamknęła oczy, czując kamień w żołądku. Przecież nie była zdolna do zatopienia noża w piersi człowieka.

Dziadek Antonia też został zadźgany nożem...

- Cass - szepnął Eduardo na odgłos kroków.

Zerwała się na równe nogi, gdy ujrzała, że do pokoju wchodzi obaj bracia. Antonio trzymał na rękach Alyssę, która jak małą objęła go mocno za szyję.

- Alyssa! - Cass stanęła jak wryta, łzy ulgi pociekły jej po twarzy. - Dzięki Bogu! - wykrztusiła.

Antonio uśmiechał się, stawiając dziewczynkę na podłodze.

- Złękła się i schowała w krzakach - oznajmił lekkim tonem, jak gdyby nic się nie stało.

Cass napotkała jego oczy, w których odczytała ostrzeżenie i natychmiast pojęła, aby więcej nie denerwować dzieci. To chciał jej przekazać. Mocno objęła siostrzenicę, która przytuliła się do niej. Cass łagodnie kołysała jej ciepłym ciałkiem.

Jednakże nie mogła się powstrzymać.

- Nigdy więcej nie uciekaj, słyszysz mnie? - krzyknęła. - Albo będę musiała cię przywiązać.

Alyssa kiwnęła główką. Od płaczu miała czerwone i zapuchnięte oczy.

- Tak mi przykro, ciociu. Naprawdę nie wiem, jak to się stało. Myślałam, że zobaczyłam mamę i wybiegłam, żeby ją odnaleźć. - Po jej buzi spływały rześiste łzy.

Cass znowu ją przytuliła.

- W porządku, kochanie. - Czy Alyssa rzeczywiście ujrzała Tracey? Nie śmiała teraz o to pytać. - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli ty i Eduardo pójdziecie w końcu spać. - Na wszelki wypadek obejrzała dziewczynkę od stóp do głów. Dostrzegła na jej ręce i na policzku kilka zadrapań, włosy małej były potargane, ale prócz tego wydawała się nie drażniona. Co jednak naprawdę się zdarzyło?

I gdzie podziała się Celia?

Cass powoli uniosła głowę i ujrzała ponurą twarz Antonia.

- Zostaniesz tutaj? Przez całą noc? - upewniała się z niepokojem Alyssa.

- Obiecuję - odparła, głaszcząc małą po włosach. Zmusiła się do uśmiechu, licząc, że jest radosny, uspokajający. - No, chodźcie dzieci, owińcie się pledami. Jutro będzie lepiej. - Modliła się w duchu, aby reszta nocy przeszła bez żadnego incydentu. Wątpiła jednak, czy tak się stanie.

Dzieci okryły się kocami i Cass wydało się, że minęła wieczność, zanim zapadły w sen. Tak bardzo chciała porozmawiać z Antoniem i z jego bratem. Gdy wreszcie upewniła się, że oboje zasnęli, podeszła do mężczyzn, siedzących przy biurku i popijających whisky.

- Co się stało? - spytała szeptem.

Antonio spojrzał jej w oczy.

- Mała twierdzi, że pod oknem stała kobieta, która nie była jej matką, i tak ją to przeraziło, że schowała się w krzakach. Przekonywałem ją, że to tylko jej wyobraźnia i że nie ma powodu do obaw.

- Isabel - jęknęła Cass.

- Tej kobiety tu nie ma - wtrącił Gregory ostrym tonem. - Chryste, mam już dosyć słuchania o niej.

- Oczywiście, że jest - odparła stanowczo Cassandra. - Antonio także mi nie wierzy, ale widziałam ją na własne oczy. Ona straszy w tym domu, ale chodzi jej o coś gorszego. Chce się zemścić na tej rodzinie.

Gregory wstał raptownie, rozlewając zawartość szklaneczki. Cass zauważyła, że zbladł jak ściana, co było zupełnie nie-naturalną barwą twarzy u człowieka, opalonego na plażach Costa del Sol.

- O co ci chodzi? - zapytała z wewnętrznym przymusem.

Zaklął.

- Głosuję za tym, abyśmy się jutro spakowali i odjechali stąd.

- A co z Celią? - zapytał Antonio opanowanym głosem.

Gregory zaklął ponownie.

Cass instynktownie wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Antonia. On był prawdziwym mężczyzną, istotą z krwi i kości, i ta

myśl natychmiast przyniosła jej uspokojenie. Ich spojrzenia się spotkały.

- Proszę, nie mów mi, że coś się Celi stało.

- Nie możemy jej znaleźć. W każdym razie nie nocą, po ciemku. - Miał bardzo przybitą minę. - Poczekam do rana, a wtedy pojedę na policję do Pedrazy. Nie chcę cię zostawiać samej z dziećmi.

Cass zadrżała, wpatrując się w niego.

- A więc przyznajesz, że dzieje się tu coś strasznego i że jedno po drugim stajemy się ofiarami tragedii?

Antonio napił się whisky.

- Przyjmijmy na chwilę, że masz rację. Że Isabel jest tu obecna i wysłała ci wieści. Co możemy wydedukować z tych faktów?

- Że jest inteligentna i zdolna do czynienia zła - odparła szybko Cass.

- Ależ to absurd! - wykrzyknął Gregory. - Faktem jest, że morderca przebywa na wolności. Cała reszta jest nonsensem.

Cass spojrzała na niego z furją.

- Czy jest nonsensem, że twój ojciec zginął, i że nie był to wypadek? Czy absurdem jest, że twój dziadek został brutalnie zamordowany? Że moja siostra zaginęła? Że elektryk jest trupem, bo został dźgnięty nożem? A teraz, że Celia zniknęła? - Zwróciła się w stronę Antonia, który wstał ze swego miejsca. - Czy twój dziadek umarł tutaj?

Kiwnął głową, wpatrując się w nią badawczo.

- Co przez to rozumiesz? Że mój ojciec nie zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku?

Cass nie wytrzymała dłużej.

- Moja ciotka go zabiła - rzekła z mocą.

Gregory poszedł spać. Cass pomyślała, że nie wydawał się najbardziej uszczęśliwiony perspektywą udania się na górę do sypialni, ale nie miała zamiaru proponować, by zanocował w bibliotece. Jego mina świadczyła o tym, że męska duma nie pozwoliła mu na inny wybór. No i dobrze.

Antonio siedział zgarbiony przy biurku, wczytując się w dziennik Catherine. Za każdym razem, gdy przewracał stro-

nice, Cass wpatrywała się w niego, pragnąc w duchu podejść i go objąć. Nie zrobiła jednak żadnego ruchu.

Obawiała się teraz odrzucenia z jego strony. Bała się, co odkryje w dzienniku ciotki. Lękała się, że oboje już nigdy nie będą się mogli pogodzić z winą Catherine - jeśli jej wyznania były prawdą.

Modliła się, aby jej ciotka myliła się w ocenie wydarzeń.

Nie było jednak czasu na rozważania. Czekają ich wiele zadań i Cass zdawała sobie sprawę, że zostało bardzo niewiele czasu. Dochodziła jedenasta wieczorem. Przejrzała już książki, notatki, teczki z dokumentami, rozpaczliwie szukając jakiegoś śladu, który naprowadziłby ją na rozwikłanie zagadki Isabel. Bo to umożliwiłoby im zrozumienie jej i obronę przed nią. Jak jednak można pokonać ducha?

To, co Cass wiedziała o zjawiskach paranaturalnych, pochodziło z programów telewizyjnych, sztuk teatralnych, filmów, popularnych powieści i - okazjonalnie - podręczników New Age. Sprowadzało się to wszystko do jednego: duchy miały pozostawać w spokoju, nie dręczyć żywych, nie straszyć w różnych miejscach i dążyć do „światła”. Ale jak odesłać ducha do nieba lub do piekła?

Antonio głośno zamknął dziennik. Cass obróciła się, mając w jednej ręce biografię królowej Marii, a w drugiej - biografię jej siostry, królowej Elżbiety. Półki w bibliotece były wypełnione książkami z zakresu historii średniowiecza, biografiami znanych postaci, w większości związanych bądź z samą Hiszpanią, bądź z Europą. Cass natrafiła jednak na duży zbiór poświęcony Anglii za czasów Tudorów, a szczególnie okresu, w którym żyła Isabel. Wcale się temu nie dziwiła.

Antonio oparł się w fotelu z drugą szklaneczką whisky.

Cass zbliżyła się do niego.

- Nic ci nie jest? - spytała niepewnym tonem.

Spojrzał na nią.

- Mieli ze sobą romans.

- Przykro mi. - Chciała dowiedzieć się dużo więcej.

Potarł rękami skronie.

- Twoją ciotkę przepełniało poczucie winy. Tak jak mojego ojca. Oboje, jak myślę, nigdy nie przestali kochać swoich

małżonków, ale to ich nie powstrzymało. Nie bardzo rozumiem, co się właściwie wydarzyło... w jaki sposób mój ojciec i twoja ciotka przekroczyli tę granicę. Oni także nie mogli tego pojąć...

Cass przełknęła ślinę, myśląc, co jej powiedziała Catherine.

- Czy ona na koniec go znienawidziła?

• - Tak.

Zesztywniała. Mimo wszystko nie spodziewała się usłyszeć takiej odpowiedzi.

Antonio raptownie wstał i podszedł do śpiących dzieci. Pochylił się nad synkiem, żeby poprawić mu koc. Cass nagle znalazła się obok niego.

- Czy sądzisz, że moja ciotka rzeczywiście go uśmierciła? Celowo?

Popatrzył jej w oczy.

- Nie wiem, Cassandro. Naprawdę nie wiem.

- Czy są tam jakieś wzmianki na temat Isabel?

- Oboje mieli obsesję na jej punkcie.

- Co?

- Obydwoje siedzieli nad dokumentami, starając się odkryć każdy szczegół z jej życia. Do tego stopnia oszaleli na jej punkcie, że mój ojciec zwracał się do Catherine „Isabel”, a ona wyobraziła sobie, że wygląda jak tamta.

Cass utkwiała w nim spojrzenie.

- Antonio, ty i ja... my też tu jesteśmy, i też zajmujemy się dokładnie tym samym.

- Wiem.

Śnił mu się ogień i pośród płomieni była zawsze ona, wpa-trująca się w niego, demoniczna zmora jego dzieciństwa. Gregory przewracał się z boku na bok, zlany potem, choć położył się do łóżka jedynie w slipkach. Zbudź się - szeptała istota z jego snów. Obudź się.

Nie chciał się przebudzić, ale też nie miał najmniejszej ochoty, aby grasowała w jego snach, z tą swoją piękną, lecz odrażającą twarzą. Jak kobieta może być zarazem taka piękna i taka zła? - zastanawiał się.

Zbudź się.

Gregory otworzył oczy i nagle całkowicie oprzytomniał.

Natychmiast zorientował się, że nie jest sam.

Zesztywniał ze strachu, bo ujrzał w nogach łóżka kobietę, a raczej ledwie cień w ciemności, jaka panowała w sypialni.

- Gregory? - wyszeptwała Tracey.

Gdy dotarło do niego, że to Tracey, a nie ta wstrętna kreatura, Isabel, zerwał się na równe nogi.

- To ty? Nic ci nie jest?

Podeszła bliżej i wślizgnęła się łóżka. Chwycił jej ramię, włosy barwy księżyca spłynęły na jego dłonie i nadgarstki.

- Tak myślę - odparła chrapliwym głosem.

Spuścił nogi z łóżka i starał się po ciemku wymacać świeczkę i zapałki zostawione na szafce nocnej. Wreszcie je znalazł, zapalił świecę i w jej płomyku ujrzał jej bladoniebieskie oczy.

- Dzięki Bogu - krzyknął, obejmując jej głowę wolną ręką. - Bogu dzięki! Gdzieś była? Co się z tobą działo?

Patrzyła na niego.

- Nic mi nie jest. Proszę, przytul mnie teraz.

Zrozumiał, że wcale nie czuła się dobrze. Na jej twarzy widniała ogromna szrama. Jej bluzka i szorty były w strzępach. A cóż to za ślady krwi dostrzegł na ubraniu? Zamarł z wrażenia.

- Proszę - szepnęła znowu.

Postawił świeczkę na blacie i objął ją obiema rękami, dziękując Bogu, że jest żywa, bo tak bardzo lękał się przedtem, że umarła. Tak jak Margarita.

Tracey była chuda, ale jej ciało emanowało ciepłem. W jego ramionach stała się cudownie żywa i ciepła. Pogładził ją po włosach i plecach, a w tej samej chwili jej ciało zareagowało na jego pieszczotę. On również pobudził się tym dotykiem.

Poczuł natychmiastową erekcję.

Uśmiechnęła się, przytulona do jego policzka. Ich usta się spotkały, gotowe do pocałunku. Gdy objął ją ciasno, zanurzając język w jej ustach, przeszło mu przez myśl, że to, co robia, jest zupełnie obłąkane.

Odnalazła ręką jego penisa i zaczęła go pieścić. Gregory nie mógł się już doczekać. Zerwał z niej podkoszulek i slipki

i palcami dotarł do clitoris. W chwilą później wbił się w nią z całą siłą. Oboje wydali z siebie krzyk.

Wszystko trwało zaledwie parę chwil. Orgazm Tracey był tak gwałtowny, że i on nie czekał. Znowu zapomniał o gumie. I znów nie zdążył jej zapytać, czy używa jakichś środków zapobiegawczych.

Niech to diabli, pomyślał przerażony, niezdolny do wykonania żadnego ruchu.

Roześmiała się.

Jej śmiech miał bardzo dziwne brzmienie, wprost zmusił go do przekręcenia się na bok i spojrzenia w jej stronę.

To Isabel śmiała się z niego.

Wyskoczył z łóżka, wlepiając oczy w rudowłosą kobietę z jego koszmarów dziecięcych, leżącą nago na łóżku.

- Wynoś się stąd! - wrzasnął.

Isabel zarechotała.

ROZDZIAŁ 18

Północ

Wąwóz był zarośnięty krzakami i ona, pełznąąc w dół, pośród gałązek, modliła się, aby gęsta roślinność i noc zapewniły jej schronienie.

Z trudem oddychała, bo nigdy przedtem nie biegła tak szybko. Tak daleko przed siebie, w takim przerażającym strachu. Nawet teraz lękała się zdradzić swoją obecność jakimś dźwiękiem. Dlatego ze wszystkich sił usiłowała zapanować nad chrapliwym oddechem. Nadal przepełniała ją trwoga.

Wysoko, nad sobą, na krawędzi wąwozu, słyszała od czasu do czasu jakby odgłos butów stąpających po kamieniach. A może to wiatr kołysał gałązkami?

Czy to miało jakieś znaczenie. Pewnie i tak ją wykryją.

Ostre skały i kamienie głęboko poraniły łydki i kolana. Poczęła palcami ryc twardą ziemię. W ustach poczuła smak gleby i strachu.

Oraz krwi. Wszędzie było pełno krwi. Jej własnej.

Pracowali ramię przy ramieniu, wyjmując z półek kolejne książki, przeglądając je, kładąc na stertach podzielonych tematycznie i chronologicznie. Do książek dokładali teczki z notatkami. Noc była złowieszczo cicha.

I wokoło panowały ciemności. Ogień na kominku prawie zgasł. Od czasu do czasu migotał jedynie samotny ogieniek.

Cass marzyła, aby zaczęło świtać. Z radością powitałaby wstające słońce. Już nie cieszyła się nocą, ciemność ją przera-

żała. Zerknęła na Antonia. Dalej robił wrażenie bardzo poruszonego. Co jeszcze wyczytał w dzienniku Catherine? Czego jej nie powiedział?

- Antonio?

Spojrzał na nią, trzymając książkę w ręce.

- Tak?

- Coś mnie dręczy, im dłużej o tym myślę. Isabel przekazała, że zdradził ją nie „on”, lecz użyła liczby mnogiej, „oni”.

Oparł się plecami o regał.

- Zakładając, że widziałaś to, co twierdzisz, że ujrzałaś.

Znowu ogarnął ją gniew.

- Widziałam co widziałam. I jeśli rzeczywiście Isabel nie starała się ze mną skomunikować, to ktoś w tym gronie jest pieprzonym dowcipnisiem. A to mogłoby również oznaczać, że morderca nadal przebywa na wolności. I któż to mógłby być? - Kiedy nadal nie odpowiadał, krzyknęła: - Czy to nie nazbyt wiele zbiegów okoliczności? Boże, przecież ciotka nie żyje.

Wyciągnął do niej rękę i objął ją.

- Sądzę, że twoja ciotka zmarła na atak serca, lecz przyznaję, że jest tu zbyt wiele zbiegów okoliczności. Robimy dokładnie to, czym zajmowali się Catherine z moim ojcem - obsesyjnie poszukiwali wszelkich śladów biografii Isabel. - Spojrzał jej prosto w oczy. - I my również przekroczyliśmy granicę.

Cass bez ruchu tkwiła w jego objęciach, na te słowa cofnęła się jednak.

- Tak, przekroczyliśmy. - Usiłowała nie dać po sobie poznać, jak bardzo zabołało ją to ostatnie zdanie.

- Historia się powtarza - dodał Antonio cichym głosem.

Cass przycisnęła książkę do piersi. Catherine i Eduardo zostali kochankami, i oni również zostali kochankami.

- Już się nad tym zastanawiałam. Istnieje nić, która to wszystko ze sobą łączy.

- I cóż to takiego? - zapytał z uwagą.

- Przemoc. To, cośmy zrobili, było bardzo gwałtowne, przynajmniej ja to tak odbieram. Twój ojciec i dziadek, moja ciotka - wszyscy oni zmarli gwałtowną śmiercią. Nawet jeżeli

Catherine zmarła wskutek przyczyn naturalnych, jej śmierć była brutalna, przecież sama widziałam. Kraksa -jeśli rzeczywiście była to kraksa - to także bardzo gwałtowny kres życia. I Tracey, która z całej siły mnie uderzyła...

- Ona cię uderzyła? Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

Cass zrobiła ponurą minę.

- Nie chciała tego. Chyba na moment straciła przytomność umysłu. Nie była sobą.

Nie wdawał się w dalsze wyjaśnienia.

- No więc, co sugerujesz? Że Isabel, która także zmarła gwałtowną śmiercią, rozsiewa tę zarazę?

Cass się zdumiała. Do tej chwili nie rozpatrywała śmierci Isabel w tych samych kategoriach, ale teraz doszła do wniosku, że Antonio ma rację.

- Nie wiem - rzekła z namysłem. - Ale ty jesteś de la Barca, a ja - de Warenne. Dwie rodziny znowu skazane na wspólny los. Zdaje mi się, że Catherine miała naprawdę rację. - Znowu ogarnął ją dojmujący żal po ciotce. Pewnie tak zawsze już będzie.

- A co z elektrykiem? Dlaczego został zamordowany? Nie jest przecież ani z rodu de la Barca, ani de Warenne. Był niewinną ofiarą. Może jego śmierć jest przypadkowa.

- Mogłaby być, gdyby nie to, że został zadźgany nożem pochodzącym z tego domu. - Westchnęła głęboko. - Mam już wystarczająco dużo kłopotów z wytłumaczeniem sobie, dlaczego ona tak nienawidzi i mojej rodziny.

- Sussex zmusił ją do wyjścia za mąż za Alvarada - rzekł Antonio. - Istoty ludzkie są tak skomplikowane. Co może być motywem dla ciebie, wcale nie musi być dla mnie. Isabel mogła zniechęcić stryja po prostu za to, że zaaranżował jej małżeństwo.

- Mogło tak być, ale na poziomie podświadomości zniechęciła go za to, że zajął miejsce jej ojca.

- Przypuszczalnie.

- A więc kim są „oni”? Sussex i jej mąż?

- Zbyt szybko dochodzimy do pochopnych wniosków. - Uśmiechnął się lekko.

Odwzajemniła uśmiech.

- Tak, to racja. - Coś znowu zaczęło między nimi iskrzyć. Jednakże szybko spoważniała. To nie był odpowiedni czas na przyjemną rozmowę. Jej ciotka nie żyje, Celia i Tracey zniknęły. Przypomnienie sobie tych faktów natychmiast wywołało w niej mdłości. No i Isabel ciągle kręci w pobliżu. Mogłaby przysiąc, że przysłuchuje się teraz ich dyskusji.

- Musimy odkryć, co się zdarzyło Isabel. Ponieważ tylko w ten sposób zrozumiemy, czego się od nas domaga. - Wróciła do książki, którą trzymała w ręce.

Przerwał jej lekturę.

- Cassandro, może przywiązujemy zbyt wielką wagę do jej rzekomych akcji. Ciągłe nie mogę się pogodzić z koncepcją duchów, które mają szczegółowy plan działania.

Cass jednak nie ustępowała.

- Naszym obowiązkiem jest ustalić, jakie były losy Isabel i dowiedzieć się, czego od nas chce i albo to spełnić, albo ją powstrzymać, jeśli jej pragnieniem jest nas zniszczyć. - Zamknęła książkę. I wówczas wyleciała z niej stroniczka.

Zanim zdołała się schylić, Antonio chwycił ją za rękę.

- Masz niesłychaną wyobraźnię - rzekł surowo. - Ale tym razem przesadziłaś.

Spojrzała na niego nieustępliwym wzrokiem.

- Istnieje wyraźny wzór, do diabła, i oboje doskonale zdajemy sobie z tego sprawę.

- Nic się nie stanie ani tobie, ani mnie, ani nikomu innemu - rzekł zdecydowanym tonem. - Odnajdziemy Celię i Tracey, i wszystko skończy się pomyślnie.

Wyprostowała się.

- A co będzie, jeśli ich nie odszukamy?

Zawahał się.

- Jutro wezwę tu policję i wszyscy się stąd wyprowadzicie.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Nie podoba mi się twój ton.

- Nie skończyłem mojej pracy. Ja zostaję.

Nie uwierzyła własnym uszom.

- Nie możesz zostać tu sam!

Odwrocił się do niej tyłem, ale zanim to zrobił, poznała po nim, jak bardzo jest zdeterminowany.

Wpatrywała się w jego plecy. Jak mogłaby odjechać, skoro on postanowił zostać? Poczęła drżeć na całym ciele. Katastrofa - pomyślała. Nastąpi jakaś katastrofa.

- Ona na nas zastawiła pułapkę - wyszeptała. - Wedle zasady „Dziel i rządź”.

- Nonsens - rzucił Antonio.

- Nie możesz zostać tu sam. To przez Isabel. Widzę to w twoich oczach. Nie chcesz wyjechać z jej powodu. Grasz rolę adwokata diabła, ale wierzysz. Wierzysz każdemu słowu, które tu wypowiedziałam - krzyknęła.

Skrzyżował ręce na piersi.

- A cóż to za papierek wypadł z książki?

Była wściekła. Uparciuch! Schyliła się, żeby podnieść kartkę z podłogi. Była złożona na czworo. Gdy ją rozwinęła, natychmiast poznała charakter pisma Eduarda.

- Co to jest? - zapytał ostro.

- Rozpoznaję rękę twojego ojca. Nie potrafię jednak odczytać tej notatki, bo jest napisana po hiszpańsku. - Na pożółkłej kratce jedno tylko słowo było jej dobrze znajome: Sussex.

Antonio wziął od niej kartkę. Zmrużył oczy, żeby móc odcyfrować pismo w ciemnościach panujących w bibliotece.

- Tu jest napisane: „Farmer, strona pięćset szesnasta do pięćset siedemnastej, i Grantham, strona dwudziesta druga do dwudziestej trzeciej oraz dwieście ósma, Sussex”.

Cass zamrugała, podekscytowana odkryciem.

- Przed chwilą miałam te książki w ręku. Przynajmniej jedna z nich jest biografią Marii Tudor. - Pochyliła się nad stertą i po krótkim poszukiwaniu wyciągnęła z niej oba tomy. - Przypomnij mi, o jakie strony chodzi u Farmera?

- Pięćset szesnasta do pięćset siedemnastej - rzekł, kucając obok niej.

Przebiegła wzrokiem stronicę.

- Potrzebuję więcej światła - rzekła. Podbiegła do kominaka, Antonio ruszył za nią. - To dotyczy mianowania Sussexa na członka rady królewskiej wkrótce po koronacji Marii. Tu

jest wzmianka o tym, że Sussex poparł ją dosłownie w ostatniej chwili, tuż przed powołaniem jej na tron. Naturalnie, nie był jedynym lordem, który tak uczynił. - Cass nie kryła rozczarowania. - Nic tu nie znaleźliście nowego.

- Weź Granthama. O ile sobie dobrze przypominam, jest to biografia królowej Elżbiety.

Podniosła drugą książkę.

- Strona dwudziesta która?

Podał jej numer strony.

Otworzyła księgę.

- Oto co mamy: Sussex został powołany również do rady Elżbiety, zaledwie kilka dni po jej koronacji. - Zerknęła na Antonia, po czym przerzuciła kartki i zatrzymała się na stronie dwieście ósmej. - „I został oskarżony o zdradę pod koniec pierwszego roku swego panowania” - odczytała głośno. Była tym wyraźnie skonfundowana.

W pokoju zapadła cisza.

Była tak głęboka, że Cass przestała zastanawiać się nad losami Sussexa i nagle ogarnął ją niepokój. Poczowała znajome przerażenie. Rozejrzała się wokół, ale dzieci nadał spały spokojnie. Ogień w kominku już prawie zagasł, żarzyły się jedynie ostatnie zwęglone szczapki drewna.

Podawała Antoniowi książkę, żeby sam przeczytał całą stronicę. Nagle przeszył ją chłód aż do szpiku kości. Była przekonana, że zanim minie noc, stanie się coś przerażającego.

To coś wydarzy się zaraz.

Antonio spojrzał na nią znad księgi.

- Czy to jest ważne? - zapytała szeptem. Nie mogła się powstrzymać, by nie rozejrzeć się po pokoju. - Czy ja coś prze-gapiłam? Grantham pisze dalej, że Sussex zdołał ocalić życie, chociaż stracił tytuł i majątek. Ale to nastąpiło już po śmierci Isabel. - Dalej mówiła szeptem.

- Był graczem politycznym, który dobrze opanował sztukę przetrwania - rzekł Antonio. - Jak się wydaje? przez większość życia uprawiał tę grę z powodzeniem. Przeszedł do obozu popleczników Marii, a potem udzielił poparcia jej siostrze. Takie postaci jak on nie należały wówczas do rzadkości.

- To prawda - odparła wolno Cass. - Oznacza to, że nie

był człowiekiem, który służył jakiejś konkretnej sprawie lub że miał określone przekonania polityczne. Był wierny samemu sobie. - Odwróciła się, ale nikt za nią nie stał.

Antonio wstał.

- Czy to nie dziwne, że oddał rękę siostrzenicy Hiszpanowi?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - I gdy wymawiała te słowa, nagle ją olśniło. Że też przedtem tego nie rozumiała!

Stali bez ruchu, wpatrując się w siebie. W pokoju paliła się jedyna świeczka niedaleko posłania dzieci. Cass usłyszała oddech Antonia, szybki i płytki.

Woń fiołków stała się obezwładniająca.

- Ona tu jest - powiedziała zmartwiałym głosem. Chciała wyciągnąć do niego rękę, ale nie mogła wykonać żadnego gestu.

Antonio obrócił się i powoli zbadał wzrokiem każdy kąt biblioteki.

Nagle stronica z notatkami Eduarda stanęła w płomieniach. Cass z krzykiem wypuściła ją z ręki. Antonio podbiegł i począł dusić ogień stopami. Udało mu się to po kilkunastu sekundach.

Na dywanie leżał popiół z resztkami niedopalonej kartki.

Cass wpatrywała się jak zahipnotyzowana w kupkę szarego proszku. Spojrzała na Antonia. Jego twarz stała się kredowobiała.

- Popiół - powiedziała Cassandra. Znowu rozejrzała się wokoło, spodziewając się lada moment zmaterializowania się ducha Isabel. I co się wtedy stanie? Co ona zrobi? A co będzie, gdy dzieci się obudzą, a Isabel je zaatakuje? Przecież to nikt inny tylko ona podpaliła stroniczkę. Do czego jeszcze jest zdolna?

Dalej trwała martwa cisza, ale zapach fiołków nie był już wszechobecny.

Cass uzmysłowiła sobie, że drży jak liść.

Antonio stał nieruchomo, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami. Cass odgadła, że pojął to samo, co ona. Głęboko wciągnął powietrze do płuc.

- Sussex - rzekł. - Notatka, którą spaliła, dotyczyła jego.

- Ona go nienawidzi - szepnęła Cass. - Mieliśmy rację.

- Posłużył się nią - dodał Antonio, już bardziej opanowanym tonem.
- A ona daje nam o tym znać - dokończyła Cassandra.

Londyn - 28 lipca 1554 roku

Zostali sobie poślubieni w Katedrze Westminsterskiej 28 lipca 1554 roku.

W sali jadalnej biskupa Isabel siedziała obok pana młodego na honorowym miejscu najdłuższego z czterech stołów. Była zupełnie oszołomiona. Czy rzeczywiście minął zaledwie tydzień, odkąd Sussex poinformował ją, że hrabia Pedraza zapragnął jej ręki? Miała wrażenie, że ich rozmowa odbyła się wieki temu.

Isabel była prawie nieświadoma uczy. Na podwyższeniu zasiedli obok siebie królowa Maria i Filip, nad nią i jej małżonkiem. Podawano im potrawy na talerzach ze szczerego złota, podczas gdy nowożeńcy i pozostali goście jedli ze srebrnych talerzy. Hiszpańscy i angielscy lordowie siedzący wokół Isabel i Alvarada de la Barki pili bez przerwy - piwo, porter, hiszpańskie wina. W sumie na stoły podano ze trzydzieści, a może i czterdzieści potraw. Odbywały się też tańce, ale nie wychodziły zbyt dobrze, bo Hiszpanie nie znali repertuaru tanecznego Anglików. Isabel niemal nie zauważała smutku i wesela, gromkich okrzyków, hałasu, śmiechu, a nawet królowej i jej towarzysza, który dopiero miał zostać koronowany na króla.

A nawet jeśli coś dostrzegała, nic ją to nie obchodziło. Bo nic nie było w stanie zaprzątnąć jej uwagi. A już szczególnie fakt, że zostanie hrabiną w odległym kraju.

I żadne pouczenia Helen nie przynosiły rezultatu.

Isabel musiała jednak reagować na starania Alvarada, który podawał jej kaski pieczonego gołębia i kuropatwy. Przyjmowała je z obowiązku, chociaż żołądek groził, że w każdej chwili zwróci przełknięte z trudem jadło. De la Barca zaoferował jej następnie wino ze srebrnego pucharu. Zmusiła się do przełknięcia małego łyku. Zdawała sobie sprawę, że powinna

się uśmiechać, tego jednak nie mogła uczynić. Ktoś z siedzących przy jej stole szepnął:

- Jakaż ona jest przerażona, biedactwo.

Przestraszona? Jak mogła się bać? Przecież to tylko sen. I to nędznie wymyślony.

I wtedy dostrzegła Roba siedzącego w dalszej części stołu, obok lady de Warenne.

Zesztywniała. Poczuała się tak, jakby oblano ją lodowatą wodą. I nagle nierealna atmosfera ceremoniału ustąpiła. Poczuała na języku smak mocnego, czerwonego wina, usłyszała ogłuszający zgiełk panujący w sali - krzyki, śmiechy, toasty. Utkwiła wzrok w żonie Roba, która była przystojną, młodą kobietą z niemal czarnymi włosami i bladą cerą. Rob patrzył przed siebie, nie zerkając w kierunku Isabel.

I nagle Isabel zadała sobie w duchu pytanie: Co ja zrobiłam?

W jej głowie rozbrzmiewały szepty, szepty, szepty.

Prześladowały ją... Gnębiły.

Zadrzała, owładnięta strachem, bo udo jej męża uciskało ją pod stołem. Czy naprawdę została żoną tego człowieka? Nie mogła sobie przypomnieć obrządku katolickiego. Nie pamiętała przygotowań do ślubu. Jej panika rosła z każdą sekundą. Nie potrafiła sobie uprzytomnić, co się wydarzyło w ciągu minionego miesiąca, a zwłaszcza przebiegu długiej rozmowy z Sussexem, który przedstawił jej de la Barke jako starającego się o jej rękę.

Nagle popatrzyła na mężczyznę siedzącego obok niej.

Był niewiele wyższy od niej. Miał bardzo ciemną karnację, niemal czarne oczy, nie był ani przystojny, ani odrażający. Ale bardzo rzadko się uśmiechał. I spoglądając teraz na niego, Isabel poczuła trwogę.

Miała na sobie srebrną suknię wyszywaną tysiącami pereł, obszytą rubinami i szafirami. Po raz pierwszy od chwili, gdy ją w nią ubrano, uzmysłowiła sobie, jak jest ciężka. Ale brzemień sukni było niczym w porównaniu z brzemieniem nagłej, absolutnej rozpacz.

Umrę - pomyślała. I to wkrótce.

Jednakże nie nastąpiło to od razu.

Znienacka na sali rozległ się gromki krzyk setek gości. Wszyscy zebrani powstali, łącznie z jej mężem. Ich rozweselone okrzyki zachęty odbijały się echem od sklepienia. Isabel poczuła na swoim ramieniu rękę męża. Spojrzała w górę.

Po raz pierwszy uśmiechnął się do niej.

Ona jednak nie potrafiła mu tego odwzajemnić. Zrozumiała, że uczta się skończyła i teraz oboje zostaną odprowadzeni do komnaty, którą, zgodnie ze zwyczajem, będą dzielić przez następnych kilka dni. Była jak przygożdżona.

I wtedy napotkała wzrok Roba.

Po raz pierwszy od paru miesięcy patrzyła wprost na niego.

Wyraz jego oczu poraził ją. Szybko odwróciła głowę.

- Powstań, moja droga - odezwał się łagodnie jej mąż w języku, którym się komunikowali, po francusku.

Isabel poczuła, że wstaje, porównując w wyobraźni wizerunek Roba z obrazem łoża pod baldachimem przybranego tkaniną z wyhaftowanymi na niej herbami. O Boże. Jak będzie mogła przyjąć w nim Alvarada? Jak?

I co się stanie, jeśli zauważy, że nie jest dziewicą?

Przypomniała sobie nagle, że Helen ukryła szpilkę w fałdach jej sukni. W jakiś sposób dowiedziała się więc, co zaszło. Ogarnęło ją drżenie.

Tłum począł na nich napierać, zmuszając do odejścia od stołu.

W ciemnościach pieścił jej nagie piersi, talie, biodra.

Isabel leżała bez ruchu, dygocząc, z zamkniętymi oczami. Wspomnienia o nocy z Robem, o ich pasji miłosnej, nie opuszczały jej.

Odezwał się do niej po hiszpańsku głosem przepojonym żądzą.

Isabel nie rozumiała, co powiedział, ale usłyszała swoją reakcję - łkanie.

- Nie obawiaj się - szepnął, kładąc się na niej.

Isabel leżała pod nim spięta, czując, że jest gotów, jego sztywny członek napierał na nią. Nie była zdolna do reakcji. Jak to się mogło zdarzyć? Jak? Co takiego zrobiła, że zasłużyła sobie na taką straszną karę Boga?

Wchodził w nią powoli, z trudnością.

Isabel wydała okrzyk bólu.

Znowu usłyszała słowa po hiszpańsku, mające na celu ukonowanie, uspokojenie.

Nie mogła się jednak odprężyć. Łzy ciekły jej po twarzy. Za późno spostrzegła ogrom swojego błędu. Za późno pojęła, że kocha innego mężczyznę.

- Przepraszam, przepraszam - szeptał, wchodząc w nią coraz głębiej i głębiej.

Wybuchnęła głośnym płaczem.

Słońce przedzierające się przez częściowo zasłonięte story obudziło Isabel.

Natychmiast uświadomiła sobie z gorzkim żalem, że teraz jest naprawdę żoną hrabiego Pedrazy.

Ogarnęła ją bezbrzeżna rozpacz. Z przerażeniem otworzyła oczy. Ujrzała, że miejsce obok niej było puste. Zamknęła powieki z poczuciem ulgi, marząc o ponownej ucieczce w sen. Jednakże była rozbudzona i wiedziała, że sen nie nadejdzie.

Angielska tradycja nakazywała, aby nowo poślubieni małżonkowie przebywali ze sobą w jednej komnacie przez kilka dni. Isabel zagryzła wargi, żeby nie rozszlochać się na samą myśl o tym skazaniu.

Wreszcie siadła na łóżku, przecierając oczy palcami. Za tęskniła za Zeusem, a nawet za Helen. Ale stało się. Została poślubiona potężnemu szlachcicowi. Musi się z tym pogodzić. I sprawiać mu przyjemność, póki śmierć ich nie rozłączy.

Wstała z łóżka z ciężkim sercem, a następnie rzuciła okiem na ślady krwi na prześcieradle, o które otarła wielokrotnie nakłute szpilką palce. Małżonek nawet nie sprawdził dowodu jej niewinności. Wezbrała w niej gorycz.

Rob powiedział, że poślubił wdowę i dziedziczkę fortuny. Wyobrażała sobie, że jego żona jest starą czarownicą. Tymczasem ujrzała śliczną i młodą kobietę. Na samą myśl o tamtej zrobiło się jej niedobrze.

Nie rób sobie tego - ostrzegła się w myślach, ale ta skromna prośba do samej siebie niewiele wskórała. Nie mogła uwolnić się od myśli, że wcale nie chce być żoną Hiszpana,

bez względu na to, jak jest możny i wspaniały. A na dodatek znieawidziła Anne de WARENNE.

Wzdrygnęła się i podeszła nago do haka przy ścianie, gdzie wisała suknia. Nałożyła ją, a następnie zbliżyła się do kufra i uchyliła wieko. Zawahała się przez chwilę, czując, jak pulsują jej skronie, po czym z głębi kufra wyciągnęła gruby tom poezji.

Serce biło jak szalone, gdy przycisnęła książkę do piersi.

Szybko wróciła do łóżka, siadła na krawędzi i wyciągnęła trzy listy ukryte między kartkami. Wszystkie miały nie złamane pieczęcie. Pochodziły od Roba.

Wpatrywała się w pieczęcie. Rob starał się nawiązać z nią kontakt, odkąd przyznał się do ożenku. Choć powstrzymywała się przed ich przeczytaniem, nie miała siły, aby je odesłać nieotknięte albo wrzucić do ognia. Postanowiła więc je ukryć.

Drżała z przejęcia. Głos rozsądku nakazywał nie trzymać tych listów ani ich nie czytać. Teraz, próbując nie myśleć o konsekwencjach, rozcięła jedną z kopert paznokciem.

Zagłębiła się w lekturę. „Moja droga Isabel, przekazuję ci wyrazy najszczerzych powinszowań na wieść o twoim ślubie z Alvaradem de la Barca. Nie mogę wręcz wyobrazić sobie lepszego związku niż ten, w który wchodzisz. Moja droga kuzynko, zawsze o Tobie myślę z admiracją i oddaniem krewnego. Tyle czasu minęło od ostatniej naszej rozmowy. Odczuwam głęboki żal z powodu tej przerwy i żywię nadzieję, że zgodzisz się przyjąć mnie przed swoimi zaślubinami. Dozgonie Twój lojalny i oddany kuzyn, admirał Robert de WARENNE”.

Isabel patrzyła na list trzymany w ręce. Ta stronica dygotała - nie, to drżała jej dłoń.

Co ta wiadomość znaczyła?

Zabrakło jej tchu. Oddanie krewnego... trudno mi wyobrazić sobie lepszy związek... Czy to był żart?

Ale Rob proponował spotkanie. Przed ślubem. Z jakiego powodu? Aby złożyć jeszcze serdeczniejsze gratulacje? Czy z jakiejś innej przyczyny?

Oddanie krewnego. Czy to właśnie teraz czuł?

Co się stanie, jeśli nadal ją kocha? Co by było, gdyby chciał się z nią spotkać, aby to właśnie jej zakomunikować?

Jeszcze raz odczytała list. Podpisał go „Dozgonnie Twój lojalny i oddany kuzyn”. Co to oznacza? I czy w ogóle coś znaczy?

I nagle doszła do wniosku, że musi zobaczyć się z Robem, natychmiast. Zapyta go, co oznaczają te zapewnienia o lojalności i oddaniu. Jeśli nie kocha jej tak, jak kiedyś, musi się tego dowiedzieć, i to od razu. Ponieważ, dobry Boże, ona sama uważa, że nadal go kocha.

Drzwi do ich pokojów otworzyły się na oścież i rozległ się odgłos kroków.

Zamarła. W mgnieniu oka ukryła listy w książce i gdy kroki się zbliżały, zamknęła ją. Spostrzegła jednak, że na łożku pozostały odłamki pokruszonej pieczęci. Kiedy Alvarado wkroczył do sypialni, siadła na resztkach purpurowego wosku, ścisnąc książkę w rękach.

Patrzył z uwagą na jej twarz.

Isabel patrzyła mu w oczy z sercem bijącym z trwogi. Jeśli odnajdzie te listy, dowie się wszystkiego i wtedy będę zgubiona.

- Isabel? - Bacznie się jej przyglądał. - Czy jesteś chora?

Zmusiła się do uśmiechu, czując, jak pod ciężarem jej ciała pękają okruszyny woskowej pieczęci.

- Słabo się czuję - odparła.

- Nic nie jadłaś wczorajszej nocy - rzekł, zniżając wzrok z jej twarzy do rąk i trzymanej w nich książki.

Zbyt późno Isabel skierowała wzrok na tom, a serce biło jej tak mocno, że była pewna, iż je usłyszał. Wreszcie uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

Podszedł bez śladu uśmiechu i zanim zdążyła odetchnąć, wyjął jej książkę z rąk. Zmarszczył brwi i położył ją na stoliku, gdzie stała taca z chlebem, mięsiwem, serami i piwem. Wniesiono ją, gdy spała. Potrząsnął głową.

- Nie znoszę tego napoju. Czy nie wiedzą, że pijam wyłącznie wino?

Isabel zerwała się na równe nogi, próbując nie patrzeć na książkę. Myślała rozpaczliwie, czy przypadkiem nie wystaje z niej kawałek pergaminu.

- Mój panie, dopilnuję, aby odtąd podawano wino do każdego posiłku - rzekła szybko.

Popatrzył na nią z sympatią.

- Sprawiasz mi przyjemność, Isabel.

Pragnęła spleonać rumieńcem. Czuła jednak, że z jej twarzy odpłynęła cała krew.

- Cieszę się - odparła miękko.

Blask w jego oczach wzmógł się.

- Pomyślałem sobie, że zjemy razem trochę chleba i popijemy winem. Ale spoglądając na ciebie, ponownie odkrywam, jak jesteś piękna i przyszyły mi do głowy inne myśli.

Isabel nie ruszyła się z miejsca. Nie mogła.

Alvarado podszedł i położył jej ręce na barkach. Ona tymczasem, patrząc przez jego ramię, zerknęła na książkę leżącą na stoliku przy łóżku.

- Moje myśli podpowiadają mi, abym spłodził dziedzica - rzekł niskim głosem.

Uniosła oczy, spojrzała mu w twarz i odpowiedziała:

- To są również dokładnie moje myśli, panie.

Dwór w Hampton - 4 sierpnia 1554 roku

Padał rzęsisty deszcz.

Krople deszczu biły mocno, staccato, jakby naśladując bicie serca Isabel. Małżonka hrabiego Pedrazy stała pod rzędem kolumn, w ulewie, mając przed sobą niewielki ogród. Nie zamierzała tam wejść. Na głowę zarzuciła kaptur obszernej opończy. W ten sposób pragnęła ukryć twarz.

Mijające chwile były dla niej udręką, zdawały się trwać wieki. Wiedziała, że Rob otrzymał jej starannie obmyślaną odpowiedź. Nie mogła nikomu zaufać prócz Helen, wysłała więc swoją towarzyszkę, aby mieć pewność, że list dotarł bezpośrednio do jego rąk. Ale czy on zechce przyjąć?

Pękały jej skronie, ciało zeszywniało od nieznośnego napięcia. Jest jej kuzynem - mówiła sobie. Przybędzie z całą pewnością.

Jakiś hałas za nią kazał się jej obrócić, ale to była tylko

dwójka dworzan zmierzających do pałacu. Jeszcze bardziej osłoniła twarz kapuzą, ale tamci nie zwrócili na nią uwagi, zatopieni w rozmowie. W jednym z nich rozpoznała Johna Gardinera, kanclerza królowej. Dziwne, ale z nieokreślonego powodu jego widok wywołał u niej gęsią skórkę.

- Isabel?

Odwróciła się i tym razem ujrzała przed sobą Roba, który stał na deszczu z kapturem purpurowej opończy byle jak narzuconym na głowę. Jego błękitne oczy świeciły mocnym blaskiem.

Na ten widok serce jej zadrżało, zdradzając najgłębiej skrywane uczucia. Od niespełna tygodnia była żoną Alvarada. Dwa dni temu małżonkowie przeprowadzili się do apartamentów w pałacu. Jej mąż szukał stałej siedziby w sąsiedztwie, a zaledwie wczoraj sprezentował jej wspaniałą naszyjnik z rubinów, bowiem -jak objaśnił - sprawiła mu tyle radości. Ale, dobry Boże, nic się nie zmieniło. Rob nadal ekscytował ją jak żaden inny mężczyzna.

Zrzucił kapuzę i zbliżył się szybko, idąc pod sklepieniem kolumnady.

- Jak ci się wiedzie, Isabel? - spytał z badawczym spojrzeniem.

Jej uśmiech był na granicy płaczu.

- Bardzo dobrze - skłamała.

Nadal nie spuszczał z niej wzroku.

- A więc małżeństwo ci odpowiada?

Wykrztusiła z siebie kolejne kłamstwo:

- Mój pan jest wspaniałym człowiekiem. Czuję się wyróżniona, że ze wszystkich innych panien wybrał właśnie mnie.

- Cały dwór rozprawiał o tym związku na kilka tygodni przed zaślubinami - rzekł z poważną miną. - Jakież to skandaliczne - mówiono - de la Barca żeni się z miłości.

- Jestem przekonana, że to był skandal - odparła Isabel, odwracając głowę. W swoim głosie sama wyczuła gorycz. Jej małżonek ożenił się z miłości, Rob - nie, i teraz oboje byli poślubieni innym.

- Isabel... - Coś niepokojącego zabrzmiało w jego niskim,

gardłowym tonie, coś, co kazało jej spojrzeć na niego. - Obawiałem się, że nie zechcesz nigdy więcej rozmawiać ze mną.

W jego oczach czaił się lęk. Natychmiast to zauważyła.

- Przecież jesteś moim kuzynem - odpowiedziała. - Twoje listy przypomniały mi o tym fakcie.

Jego oczy wyrażały zaskoczenie.

- Nie mogę wyrażać swoich uczuć na pergaminie - rzekł szybko. - Mój Boże, szpiegdy są wszędzie.

Patrzyła na niego nieruchomo.

- To znaczy, że napisałeś tak, aby jakiś szpieg nie przeczytał twego listu?

- Oczywiście - odparł bez wahania.

Jej serce zadrżało z radości.

- Rob, czyi szpiegdy?

Zaśmiał się krótko, szorstko.

- Chryste, każdy lord o jakimś znaczeniu zatrudnia szpiegów. Twój stryj, książę de Noailles, Gardiner, Paget, przypuszczalnie twój mąż.

Isabel zbladła jak ściana.

- Mój mąż miałby mnie szpiegować?

- Isabel, należysz teraz do niego. Kocha się w tobie. Myślę, że będzie cię dobrze pilnował. Na jego miejscu na pewno bym to robił.

Drgnęła.

- Ty byś to robił?

- Myślałem tylko o tobie od czasu naszego ostatniego spotkania - szepnął zachrypniętym głosem. - A teraz torturuję siebie w dzień i w nocy, myśląc o tobie w ramionach tego Hiszpana. Czy go kochasz?

Poczuła, jak jej ciało wrywa się, by dotknąć jego ciała.

- Nie.

Ujął ją za rękę.

- Czy nadal mnie miłujesz?

Zwilżyła wargi, ignorując głos rozsądku, który kazał jej natychmiast się oddalić albo przynajmniej uniknąć odpowiedzi na pytanie.

- Tak.

Zamknął oczy, ze świstem wypuścił powietrze, a gdy uniósł

powieki, wpatrzył się w nią z całą mocą. Pociągnął ją pod ścianę, gdzie panował półmrok. Chwycił za łokcie swymi dużymi, ciepłymi dłońmi...

- Muszę więc doznać trochę pociechy na tę wieść.

Isabel poczuła jego uda napierające na jej nogi. Stali spleceni ze sobą.

- Rob, co byś do mnie napisał, gdybyś mógł swobodnie wyrażać swe uczucia?

Jego wzrok ślizgał się po jej twarzy, schodził coraz niżej i niżej.

- Że zżera mnie zazdrość, że wszystkiego ogromnie żałuję, że ciągle cię Kocham i nie mogę znieść myśli, iż nie mogę cię znowu mieć.

Isabel zadygotała.

- Napisałabym takie same słowa, gdybym mogła wyjawic je w liście - szepnęła.

Oczy mu płonęły. W jakiś sposób znalazła się w jego ramionach, w jakiś sposób ich usta się złączyły - twarde, pożą-dające, nieustępliwe.

Odskoczył pierwszy, rozglądając się wokół.

- To jest zbyt niebezpieczne.

- Czy ktoś nas zauważył? - krzyknęła, wzdrygnawszy się ze strachu. Była zdumiona siłą pożądania drzemiącą w jej ciele. Straszliwie go pragnęła, bez względu na ryzyko. To było czyste szaleństwo, ale tak pociągające, że nie miała siły, aby mu się oprzeć.

- Nie, nie sędzę. Ześlizgnął ci się kaptur. - Naciągnął go jej na głowę.

Serce Isabel biło jak młotem.

- Rob, co teraz zrobimy?

Był śmiertelnie poważny.

- Albo nigdy się już nie zobaczymy, albo muszę ulec poku-sie, Isabel.

Stała zdrętwiała ze strachu.

- Nie mogę - rzekła wreszcie - wyrzec się ciebie.

Wpatrywał się w nią z napięciem.

- Więc spotkaj się ze mną. Jest taka gospoda, „Pod Wil-

kiem i Niedźwiedziem", zaledwie kilka kilometrów od pałacu, na drodze do Londynu.

Nadal dygotała, uzmysławiając sobie, do czego takie spotkanie doprowadzi. On kazał jej zdradzić męża i złamać przysięgę złożoną na ołtarzu. Czy może to uczynić?

Ale jak może tego nie zrobić?

- Spotkam się z tobą, Rob. - I była to decyzja, która zmieniła całe jej życie.

- I gdzieś ty była przez cały dzień, jeśli wolno spytać?

Isabel się skrzywiła. Ostatnią osobą, która pragnęła teraz ujrzeć, prócz swego małżonka, była Helen.

- Chodziłam po pałacu, zwiedzałam wiele różnych komnat i spotykałam obecne tam damy - rzekła z uśmiechem, unikając wzroku towarzyszek.

Serce w jej piersiach śpiewało radosny hymn. Godzinę temu wstała z łoża, które dzieliła z Robem, i nic się między nimi nie zmieniło. Jej ciało przepełniała rozkosz, podobnie jak serce i duszę. I ciągle przypominała sobie każdą ich pieśczo-tę, jego szalony język, siłę jego męskości. Scena po scenie widziała w pamięci, jak się kładzie na jego piersi w kołysce jego ramion. Natychmiast by umarła, gdyby coś mu się stało. Była pewna, że nie chce bez niego żyć. Nigdy się z nim nie rozstanie.

- Czyżby? A dlaczegoż to skraj twojej sukni jest umazany błotem, a opończa przemoczona do cna? - zapytywała Helen, podparwszy się pod boki. - I dlaczego wydajesz się tak zadowolona jak kociak na widok śmietanki, chociaż w ciągu minionych kilku dni byłaś ponura jak noc?

- Ubrudziłam sobie suknię, ponieważ zrobiłam głupstwo i udałam się z pałacu do jednego z ogrodów - rzekła z ożywieniem. - Helen, nic mnie nie obchodzą twoje pytania.

- Zamierzam cię jedynie ustrzec przed ryzykownym zachowaniem. Martwię się tobą, Isabel. A jak się miewa twój kuzyn, admirał de Wrenne?

Isabel znieruchomiała, jej serce zabiło gwałtownie.

- Nie mam pojęcia, ponieważ jeszcze nie odpowiedział na

mój list - rzekła słodkim tonem. - Jestem brudna i mokra, muszę się przebrać.

Wyszła do przedpokoju. Helen jednak nie zamierzała ustępować.

- Twój stryj życzy sobie rozmawiać z tobą i kazał przekazać, że musisz natychmiast udać się do jego prywatnych apartamentów.

Isabel zbladła, otwierając kufer z sukniami. Szpiedzy są wszędzie. Czy Sussex już się dowiedział o jej zdradzie? Nie! To niemożliwe!

- Coś tak zbladła? Jesteś może chora? - spytała Helen. Wyjęła z rąk Isabel czerwoną aksamitną suknię i potrząsnęła nią. - Wymaga odprasowania.

- Nie ma na to czasu, muszę iść do stryja - odparła Isabel. Odwróciła się plecami do Helen, aby ta pomogła jej zapiąć guziki. Jej lęk nie ustępował. Rob ostrzegł, że każdy lord o jakimś znaczeniu zatrudnia szpiegów. Czy to dotyczy również jej małżonka?

W samej tylko koszuli, zwróciła się twarzą do Helen.

- Czy kiedykolwiek byś mnie zdradziła?

Helen wlepiła w nią oczy, trzymając w rękach przemoczoną suknię.

- To jest najdziwniejsze pytanie, jakie słyszałam.

- Proszę, odpowiedz. - Isabel wpatrywała się w nią uporczywie.

Helen nie spuściła powiek.

- Jesteśmy razem, odkąd skończyłaś osiem lat. Czy muszę ci o tym przypominać?

- To mój stryj nakazał ci być moją opiekunką.

- Tak, to racja. Bo był przenikliwy i wiedział, że taka zwichrowana dziewczynka jak ty potrzebuje stanowczej ręki.

Wpatrywały się w siebie. Wreszcie Helen odezwała się:

- Isabel, zaufaj mi. Nie zrobię nic, aby wystawić na niebezpieczeństwo twoje dobro, które tak niespodziewanie zyskałaś zrzędzeniem losu. Alvarado de la Barca uwielbia cię. Jaka jesteś szczęśliwa!

- Nigdy nie będę narażała swojego małżeństwa - odparła nazbyt lekko Isabel.

Helen zmierzyła ją wzrokiem.

- To dobrze - rzekła. I sięgnęła po czerwoną suknię z aksamitu.

Dopiero w drodze do apartamentów stryja Isabel uświadomiła sobie, że Helen nigdy nie odpowiedziała na jej pytanie.

Sussex siedział przy biurku z piórem w ręce. Miał ponurą, skupioną minę, gdy ją wprowadzono do komnaty. Podejrzała, że jej twarz jest trupio blada. Nerwowo wykręcała sobie palce. Stryj, słysząc kroki, odłożył pióro, uniósł głowę i uśmiechnął się.

Co za ulga! A więc nie wie - pomyślała Isabel, czując słabość w kolanach.

- Moja najdroższa bratanico - odezwał się Sussex, wstając. - Właściwie nie mieliśmy okazji porozmawiać po twoich zaślubinach. - Wyszedł zza biurka i złożył pocałunek na jej policzku. - Ależ ty promieniejesz! Najwyraźniej mąż ci odpowiada.

Owładnęło nią poczucie winy.

- Jestem nadzwyczaj zadowolona z odmiany w moim życiu, panie - rzekła nieśmiało, z oczami wbitymi w podłogę.

Stryj zerknął na jej szyję.

- Słyszałem, że Alvarado dał ci wspianiały podarunek, naszyjnik z rubinów, wart królewskiej ceny.

Isabel miała na sobie szereg złotych łańcuszków oraz medalion po matce.

- Tak, to prawda. To był nadzwyczaj cenny prezent.

- Dobrze więc postępujesz, Isabel, sprawiając radość mężowi. - Sussex spojrzął jej w oczy, po czym odwrócił się i ruszył się z powrotem do biurka. Kiedy uniósł głowę, już się nie uśmiechał. Isabel zamarła.

- Usiądź - rzekł spokojnie. - Jest pewna sprawa, którą chcę z tobą omówić.

Natychmiast usłuchała, ciągle drżąc z trwogi. Czy jednak mimo wszystko stryj dowiedział się o jej rendez-vous z Robem? Zdawała sobie sprawę, że jego nie oszuka. Nie wolno jej nawet próbować.

- To, o czym będziemy rozmawiać, pozostanie na zawsze

naszą wspólną tajemnicą - orzekł Sussex, przenikliwie na nią patrząc. - Rozumiesz?

Zwilżyła językiem wargi, potakując. Jej dłonie pokryły się lepkiem potem. Przerazenie nie ustępowało.

-- Dobrze. Troszczyłem się o ciebie przez wiele lat i nigdy nie żądałem niczego w zamian.

Isabel pozwoliła sobie jedynie na skinięcie głową. O co mu chodzi? A więc jednak się dowiedział?

- Tym razem musisz mi wyrządzić przysługę. Bez wahania, ociągania się, okazywania jakichkolwiek emocji. Masz to zrobić z lojalności i oddania.

Isabel poczuła gwałtowny chłód w całym ciele. To były słowa Roba... Czy sprawił to przypadek?

- Czego sobie życzysz ode mnie, mój panie? - Jej zeszywniałe usta odmawiały posłuszeństwa.

Sussex pochylił się, oparłszy ręce na blacie burka.

- To jest w istocie proste.

Isabel skinęła głową.

- Twój mąż jest doradcą Filipa. Chcę, abyś się dowiadywała o wszystkich sprawach będących przedmiotem dyskusji między nim a królem Hiszpanii. Te informacje przekażesz mi, prywatnie, w całkowitej tajemnicy.

Isabel słuchała w przerażeniu.

W jej głowie rozbrzmiewały słowa Roba: Szpieczy są wszędzie.

- Miłościwy panie, życzysz sobie... życzysz sobie, abym szpiegowała mego małżonka? - wykrztusiła z najwyższym trudem.

- Nie mam zamiaru określać słowami twojego obowiązku - oparł zimno Sussex. - A nie chcę, byś rozmyślała zbyt wiele nad tym, co masz uczynić. Rządzenie to bardzo skomplikowana sprawa, to ciężkie brzemie, które spada na mnie, bo powołano mnie do tego. Gdyby królowa umarła, na kraj spadłby straszny los. Muszę być przygotowany na każdą ewentualność... A zatem dowiaduj się, o czym oni rozmawiają, jakie są ich plany, do czego zmierza ich polityka i przekazuj wszystko mi, wyłącznie mi. Pojmujesz? - Stanął, górując nad nią potężną sylwetką. Nie dawał jej najmniejszego wyboru.

Skinęła głową, bo nie mogła się odezwać. Dopiero po chwili wyrzekła:

- Tak, mój panie.

- Dobrze więc - odrzekł hrabia. - Isabel, możesz odejść.

Wstała tak szybko, że odepchnięte przez nią krzesło wydało obrzydliwy zgrzyt. Oddychając z trudem, dygnęła lekko i niemal wybiegła z komnaty. Uciekała jak nigdy dotąd.

Czuła na sobie jego ciężkie spojrzenie - zimne, bezwzględne, budzące trwogę.

Gdy znalazła się za drzwiami, oparła się o ścianę w korytarzu.

Najpierw została kochanką Roba, a teraz stało się to.

Miała zostać szpiegiem Sussexa.

ROZDZIAŁ 19

Casa de Suenos - dzień czwarty, godzina 6.00

Cass nie była pewna, co ją obudziło, ale doznała ulgi, że wyrwało ją to z jakiegoś koszmaru sennego. Przez chwilę leżała przytulona do Alyssy na pościeli na podłodze, powtarzając sobie, że to tylko sen. Jednakże w następnej chwili przypomniała sobie o spotkaniu z Isabel poprzedniego wieczoru i o jej wieści budzącej trwogę. Pomyślała o nadal zaginionych Tracey i Celii, by wreszcie, po raz nie wiadomo który, uświadomić sobie z bólem, że jej ciotka nie żyje.

Odgłos stawianego kubka z kawą kazał jej otworzyć oczy. Podniosła się, odgarniając włosy z twarzy.

Antonio siedział przy biurku, obok niego stała dymiąca kawa. Pochylał się nad jakimś dokumentem, który czytał z uwagą. Przyglądała mu się bez słowa. Nie sposób było go nie podziwiać. Był takim budzącym zaufanie, inteligentnym, przystojnym mężczyzną. Westchnęła. Co się stanie, kiedy ten koszmar wreszcie się skończy? Gdy wyjadą z Kastylii? Nie śmiała przewidywać przyszłości.

Żadne z nich się nie wyspało. Tak długo studiowali życiorys Sussexa, licząc na odnalezienie jakichś wzmianek o Isabel, że Cass oczy same się zamykały. Z trudem przypominała sobie, jak wczłogała się pod koc koło Alyssy i natychmiast zapadła w sen.

Muszą wszyscy razem wyjechać z Casa de Suenos. Była przekonana, że pozostanie tutaj groziło poważnym niebezpieczeństwem. Najpierw jednak trzeba odnaleźć Tracey i Celię.

Nie zostawia przecież na pastwę losu siostry i starej kobiety, którą znała od dziecka.

A już w ogóle nie wchodziło w rachubę zostawienie tu samego Antonia.

Jeszcze nie zauważył, że się obudziła, a ona bała się, że wygląda okropnie. Właśnie rozmyślała, żeby wstać, gdy uniósł głowę.

- Miała dziecko. Tego samego roku, gdy zginęła.

Cass wpadła w osłupienie.

- Miała dziecko? - wyjąkała. Wszystkie jej kłopoty związane z wyglądem stały się nieważne.

- Znalazłem na ten temat wzmiankę w jednej z książek mojego ojca, i ten fragment jest zaznaczony. - Zawahał się, uśmiechnął, po czym dodał: - Dzień dobry. - Obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

Cass spała w dzinsach i w podkoszulku. Była pewna, że jej włosy zmieniły się w bezkształtną szopę. Zaczerwieniła się.

- Zaraz wrócę - rzuciła i wybiegła z pokoju.

W świetle dnia dom nie wydaje się tak straszny jak w nocy - pomyślała, spiesząc do najbliższej łazienki, żeby umyć zęby i opłukać się wodą. Jednakże chwilę potem orzekła w duchu, iż nie jest taki dobrotliwy. Panowała w nim głucha cisza, która aż dzwoniła w uszach. Jakby cisza przed burzą.

Biegiem wróciła do biblioteki. Antonio wręczył jej kubek gorącej kawy; na jego twarzy ukazał się uśmiech. Gdy Cass piła mocny, słodki napar, czuła jeszcze większy zachwyt na widok tego pięknego mężczyzny. Pomyślała, że cokolwiek się dzieje, jej uczucia do niego stają się coraz silniejsze. Ale czy to prawda? A może jest jedynie marionetką w rękach Isabel, która realizuje swój mistrzowski plan? Zakładając, że w istocie ma taki plan.

Wcale nie zamierzała zostać niczyją kochanką. I oto, co się stało, a na dodatek gdzie. To ją przestraszyło.

- Alvarado przebywał na dworze królowej Marii. - Antonio wziął do ręki gruby tom i otworzył na zaznaczonej stronie. - Ten fragment odnalazł mój ojciec. Rozdział jest poświęcony małżeństwu Marii z Filipem. Alvarado był na służbie u cesarza. Jego tytuł nie jest tu wymieniony, ale autor pisze:

„Tylko jeden Hiszpan miał prawo towarzyszyć Filipowi przez całą ucztę. Był nim Alvarado de la Barca”. A w dalszym miejscu jest wzmianka o ciężarnej żonie hrabiego Pedrazy. Pada to w kontekście przypuszczalnej ciąży Marii Tudor.

- A więc Isabel spodziewała się dziecka. Ale czy je urodziła?

- Zastanawiam się, z kim je poczęła.

Cass zamarła.

- Co ci przyszło do głowy?

- Ponieważ jej dziecka nie zaznaczono w naszym drzewie genealogicznym. Gdyby zmarło, nawet w niemowlęctwie, figurowałoby w nim.

- Chyba że się nie urodziło.

- Dzielę się tutaj tylko swoją intuicją.

Popatrzyli na siebie, w milczeniu sącząc kawę.

- Co teraz zrobimy? - spytała wreszcie. W swoim głosie wyczuła nutę bezsilności.

- Musimy powiadomić władze o zamordowaniu elektryka. I przystąpimy do szukania twojej siostry i Celi.

Cass odstawiła kubek, po czym uważnie rozejrzała się po bibliotece. Ujrzała, że dzieci poruszyły się we śnie.

- Czy nie uważasz, że tego ranka panuje tu nienaturalna cisza?

- Tak, to prawda. Zauważyłem to, gdy tylko wstało słońce. - Nadal patrzyli na siebie.

- To, co się wydarzyło wczoraj wieczorem, nie było wytworem naszej imagacji.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Alyssa wstała i, ziewając, rzekła:

- Dzień dobry, ciociu.

Cass pogładziła ją po rozczochranych włosach.

- A cóż ty dzisiaj zerwałaś się tak wcześnie? Jeszcze nie ma siódmej, śpiochu!

- Nie wiem. - Znowu ziewnęła, podczas gdy Eduardo, też już na nogach, ruszył o kulach w stronę drzwi. - Czy myślisz, że są tutaj płatki?

- Nie wiem - uśmiechnęła się Cass.

- Tak, mamy płatki - odezwał się Eduardo. - Chodź ze mną, pokażę ci, gdzie są.

Cass patrzyła, jak dzieci ubrane w pidżamy wychodzą z pokoju. Gdy się obejrzała, spostrzegła, że Antonio wpatruje się w nią z zagadkowym wyrazem oczu. Serce zabiło jej mocniej. Co ten wzrok znamionował?

- Jeśli Gregory pojedzie do Pedrazy, żeby powiadomić policję, wtedy ty i ja zostaniemy tutaj, by wszczać poszukiwania twojej siostry. Gdy tylko ją odnajdziemy, ty z dziećmi natychmiast wyjedziesz - oznajmił Antonio.

Znowu pomyślała o Tracey. Poczuła, że zbiera się jej na mdłości. Do tego dołączył strach.

- Zastanawiałam się nad tym. Isabel pragnie się zemścić na twojej rodzinie, ponieważ zmuszono ją do poślubienia Alvarada, podczas gdy ona kochała kogoś innego. Chce się również odegrać na mojej rodzinie, bo Sussex musiał jej używać jako pionka w swoich rozgrywkach politycznych.

- Zemsta to bardzo mocne słowo, Cassandro. Zwłaszcza gdy przypisujesz ją duchowi, upatrując w niej motyw działania. Ja jednakże nie mogę dojść do takiego samego wniosku na podstawie dotychczasowych wydarzeń w tym domu. A co powiesz na to, że Isabel jest tu wprawdzie obecna, ale jako nikomu nie szkodzący byt, natomiast kręci się tu również jakiś maniak, szaleniec, morderca? To przynajmniej miałyby jakiś sens.

- Widziałeś, jak podpaliła ten dokument. Została po nim kupka popiołu. - Cass aż zadrżała, uświadamiając sobie symbolikę tej sceny. - A teraz zapominasz o całej przeszłości. Zaczynam podejrzewać, że to ona zaszlachtowała tego nieszczęsnego elektryka - dodała cichym głosem. Wreszcie się na to zdobyła. Wyartykułowała swoje największe obawy.

- Cassandro. - Jego głos zabrzmiał stanowczo. - Duchy nie mordują ludzi.

- Ale ten być może to robi.

- Jeśli ona jest zdolna do popełnienia morderstwa, jeśli dąży do zemsty, to dlaczego dotychczas nie skończyła ze mną? - zapytał prowokacyjnie Antonio.

Cass stała bez słowa, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć.

- Tylko nie próbuj mi tłumaczyć, że ona gra ze mną w kotka i myszkę, dobrze?

Taki pomysł nie przyszedł jej do głowy. Ale teraz nagle okazał się aż nazbyt prawdopodobny.

- Musimy znaleźć Tracey i Celię i wynieść się stąd jak najszybciej! - krzyknęła.

Wziął ją za rękę. Cass zareagowała na jego dotyk wszystkimi zmysłami. Spojrzała na niego, ich oczy się spotkały. Patrzyli na siebie bez drgnienia.

Ogarnęła ją przemożna potrzeba znalezienia się w jego ramionach. Nie było to pociąg seksualny, jak poprzedniego wieczoru, kiedy kopulowali w jej łóżku jak zwierzęta w rui, zaledwie kilka godzin po śmierci ciotki. Tym razem pragnienie nie było ani gwałtowne, ani pozarozumowe. Uświadomiła sobie, że głęboko się w nim zakochała, i to ją wręcz poraziło. Zmusiła się, żeby odwrócić wzrok.

Antonio wstał, przewracając filiżankę po kawie. Żadne z nich nie zwróciło na to najmniejszej uwagi. Cass zamarła w miejscu. Dzielił ich od siebie niespełna metr.

- Podejdz do mnie - rzekł szorstkim tonem. W następnej chwili już była w jego ramionach, a on ją obejmował, mocno przytulając do swego umięśnionego ciała.

- Dzień dobry - odezwał się w drzwiach Gregory.

Cass oderwała się od Antonia. Ogarnęła ją fala nienawiści do brata swego ukochanego. Nie mógł wybrać gorszej chwili - pomyślała w duchu. Zaskoczył ją rozmiar własnego gniewu i niechęci do tego mężczyzny.

- A więc jesteśmy gotowi zamknąć ten dom i wrócić do Madrytu? Możemy po drodze zatrzymać się na policji i powiadomić o zniknięciu Tracey i Celi i oraz o popełnionym morderstwie.

Cass odwróciła się w jego stronę, gotowa zaprotestować.

- Ty skontaktujesz się z policją- oznajmił Antonio bratu. - Cassandra i ja ruszymy na poszukiwanie Tracey i Celi. Nie mogły odejść zbyt daleko. Liczę, że na nie natrafimy, zanim ty wrócisz z Pedrazy.

- Czyś ty oszalał? - zapytał Gregory ze zdumieniem. - Po-

winniśmy natychmiast stąd odjechać. Niech policja je znajdzie. To są fachowcy.

- Nie zostawię ich własnemu losowi! - wykrzyknęła Cass. - Nie mogę tego zrobić własnej siostrze oraz wieloletniej przyjaciółce domu. A ponadto nie mam zamiaru zostawić Antonia samego.

Gregory spojrzał na nią.

- Któż tu mówi o zostawieniu go samego?

- Ale do tego się to sprowadza - odparła Cass chłodno. Zerknęła na Antonia. - A gdy tylko odnajdziemy Tracey i Celię, ty także stąd odjedziesz.

- Mam tu pracę do wykonania - odrzekł zdecydowanym tonem. - Nie mogę wyjechać. Nie teraz. Jeszcze nie.

To prawda, w domu było tak wiele do zrobienia. Cass doskonale to rozumiała, a nawet po części pragnęła z nim tu zostać. Pracowaliby oboje, ramię przy ramieniu, odkrywając fakty z życia Isabel.

Jak to robili Eduardo i Catherine.

- Nie. - Gregory odezwał się szorstkim tonem. - Cholera, Antonio, ta baba z zaświatów straszy w tym domu. Robiła to, odkąd byliśmy dziećmi. Ona jest ucieleśnionym złem, jestem o tym przekonany. Nikt tu nie powinien zostać.

Cass spojrzała na niego, kompletnie zaskoczona.

- Najwyraźniej drastycznie zmieniłeś zdanie.

Zignorował jej uwagę.

Antonio skrzyżował ręce na piersiach.

- Gregory, czy coś się wydarzyło?

Jego brat był ponury jak noc.

- Nie, nic takiego.

Kłamał. Cass natychmiast się tego domyśliła. Ale dlaczego łągał i co pragnął zataić? I dlaczego w jego oczach dostrzegła jakiś dziwny błysk, który uznała za poczucie winy?

Co się z nim działo?

Nie spuszczała z niego wzroku, on natomiast unikał jej spojrzenia. Przekonywała siebie w duchu, że to przecież brat Antonia. Jego bliźniak. Jednakże pozory mogą być mylące. Czyżby do tego stopnia, żeby traktować go jako psychotyka, szaleńca, mordercę?

Odwróciła się i podeszła do okna, nie wiedząc, co myśleć. I nagle przyszło jej do głowy, że może powinna spróbować nawiązać kontakt z Isabel.

Mrugnęła powiekami. Chociaż wyglądała przez okno, nie zwracała uwagi na widok przed sobą. Nagle zauważyła auto Gregory'ego, wprawdzie zaparkowane w pewnej odległości od domu, ale wyraźnie widoczne z profilu.

- O mój Boże, Gregory, twój samochód! - wykrzyknęła bez tchu.

Obaj bracia podbiegli do okna. Z miejsca, w którym stała, widać było jak na dłoni, że w obu oponach nie było powietrza.

Nagle poczuła dreszcze w całym ciele. Antonio musiał to odebrać tak samo, bo natychmiast odwrócił się i wybiegł.

Gregory ruszył za nim. Gdy znaleźli się na dziedzińcu, okazało się, że w żadnej z opon nie było powietrza.

- *Por Dios!* - wrzeszczał Gregory, biegając wokół auta - Przecięli wszystkie opony.

Przecięte. Opony w jego samochodzie zostały przecięte. Wszystkie cztery.

Cass uprzytomniła sobie, biegnąc do garażu, że wie, co tam zastanie. Drzwi wjazdowe były zamknięte, ale boczne drzwiczki ktoś otworzył na oścież. W garażu stał dżip z przeciętymi oponami we wszystkich czterech kołach. W tym samym stanie znajdował się jej wypożyczony samochód.

Obaj bracia zatrzymali się obok niej.

Przecięte opony. Z ogromną siłą, wściekłością, nienawiścią i celowo.

Z planem.

Teraz nie mogli się stąd ruszyć.

Cała trójka zamarła z wrażenia. Wreszcie pierwszy przerwał ciszę Antonio, gdy zjrzał pod maskę dżipa. Odkrył tam płątaninę powyrywanych drutów.

- Będę musiał udać się do miasteczka pieszo - rzekł ponurym tonem. - Może uda mi się tam dotrzeć autostopem.

Cass ujrzała oczami wyobraźni, jak Antonio dostaje się w łapy jakiegoś zboczeńca, który zaciąga go w krzaki i wbija w niego nóż. Ale jaki by to miało związek z Isabel? Antonio

miął rację. Duchy nie zabijają, nie przecinają opon i nie wyzarpują kabli. Ktokolwiek to uczynił, był człowiekiem z krwi i kości, realnym bytem.

Ale Isabel zostawiła przecież wiadomość w jej laptopie, Isabel podpaliła kartkę z notatkami Eduarda...

- Ktoś celowo odciął nas od środków transportu. Nie idź. To nie będzie bezpieczne. - Położyła rękę na jego ramieniu. Antonio nie strząsnął jej z siebie.

Ktoś... czy Isabel?

Nie mogła przestać o tym myśleć. Jej kalkulacje umysłowe toczyły się w podświadomości - ale w domostwie znajdowały się cztery dorosłe osoby i dwoje dzieci. Nie włączała do tego grona Tracey i Celii, które gdzieś zniknęły. Alfonso nie wydawał się takim siłaczem, żeby kogoś zamordować i na dodatek tak uszkodzić trzy samochody. Antoniowi ufała całkowicie. Wpatrywała się w Gregory'ego, powtarzając w duchu: Dobry Boże. Czy to on? Czy jest psychopata? A może skrycie nienawidził swego bliźniaka? Co by było, gdyby się okazało, że za tą fasadą świetnej prezencji, arystokratycznego pochodzenia i sukcesów zawodowych kryje się zboczony morderca? A może korzysta też z fasady Isabel?

Gregory przeniósł wzrok z Cassandry na Antonia.

- Ja pójdę. Jestem w lepszej formie od ciebie, mogę biec większość drogi.

Cassandra znowu poczuła, jak jej puls przyspiesza, bijąc coraz bardziej nierówno. Nie chciała, aby Antonio ruszył w drogę do Pedrazy, ale z drugiej strony absolutnie nie ufała Gregory'emu. Za nic w świecie. Usiłowała wybadać siebie, zastanawiając się gorączkowo, czy lęk i panika odbierają jej jasność rozumowania.

- Nie - rzekł ostro Antonio.

Cass przysunęła się do niego.

- Musimy porozmawiać - szepnęła. - Proszę.

Potrząsnął głową.

- Włożę adidasy...

- Ja pójdę - wtrącił się Gregory z napięciem. - Tonio, powinieś tu zostać ze swoim synem.

Cass spojrzała na niego.

- O co więc chodzi? Czy ty szybciej dotrzesz do miasteczka, czy też on nie powinien zostawiać Eduarda? - W jej głosie wyczuwało się ironię.

Popatrzył na nią zimno.

- Jedno nie wyklucza drugiego.

Antonio postanowił interweniować.

- Jestem starszy od ciebie o kilka minut, pójdę ja.

Gregory nie ukrywał zdumienia.

- *Oh, perdon, el conde!*

Na twarzy Antonia pojawił się grymas.

- Jeśli tak to odbierasz, twoja sprawa. - Wzruszył ramionami i wyszedł z garażu. Pewnym krokiem ruszył przed siebie.

Gdy Gregory wyskoczył za nim, Cass zamarła z trwogi i zdenerwowania. Była przekonana, że na drodze do Pedrazy stanie się coś strasznego. Z góry to wiedziała.

- Ciągnijmy więc losy - rzucił Gregory.

- Nie - uciał Antonio.

- Antonio, siła polega na działaniu w grupie. Masz syna....

- On ma rację. - Cass podbiegła do nich, z trudem łapiąc oddech. Starła się dotrzymać im kroku. - Antonio, proszę, pozwól Gregory'emu pójść. Eduardo potrzebuje ciebie.

Antonio zawahał się i popatrzył na nią. W jego oczach znać było walkę wewnętrzną. Wreszcie skinął głową. Jednakże odwrócił się w stronę Gregory'ego.

- Chcę, żebyś był bardzo, ale to bardzo ostrożny - rzekł z naciskiem. - Nikomu nie wierz. W okolicy grasuje morderca. Morderca, który z sobie znanego powodu uwięził nas tutaj. Może nawet to on ci zaproponuje, że cię podwiezie do miasteczka. Nikomu nie ufaj, Gregory.

Gregory zbladł. Kiwnął głową.

- Czy myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Natychmiast ruszam w drogę.

Cass schwyciła Antonia za rękę, nie dopuszczając, aby udał się za bratem do domu. Gdy Gregory oddalił się na tyle, by jej nie słyszeć, spojrzała na kochankę, żeby mu zakomunikować coś ważnego, ale nagle nie mogła z siebie wykrztusić słowa.

- O co chodzi, Cassandro?

- Wiem, że on jest twoim bratem.... - zaczęła stłumionym głosem.

- Nie. - To zabrzmiało jak świst bicia. - On jest czymś więcej niż moim bratem, bo jest moim bliźniakiem, i nigdy o tym nie zapominaj. - Na jego twarzy odmalował się gniew. Wyrwał rękę z jej uścisku i podażył za Gregorym.

Gregory udał się w drogę.

Tymczasem Antonio i Cass podjęli poszukiwania.

Oboje szybkim krokiem zbliżali się do ruin starego zamku, postanawiając, że na wszelki wypadek nie będą się rozdzielali. Jak im przypomniawszy Gregory, lepiej nie działać w pojedynkę. Od godziny usiłowali trafić na ślad Tracey i Celi, ale dotychczas ich wysiłki nie przyniosły żadnych rezultatów.

Cass nie ukrywała niepokoju. Z każdą minutą jej nadzieje okazywały się coraz bardziej płonne. Teraz pojawiły się przed nimi dwie wysokie wieże, wyrastające na tle spalonej słońcem ziemi. Ujrzeni rozbitą niebieską ciężarówkę, od której odbijały się promienie słońca. Zerknęła na Antonia.

- Chyba nie sądzisz, że one ukrywają się w pobliżu? - Nie miała najmniejszej ochoty zbliżyć się do zwłok elektryka.

Antonio nie odpowiedział.

Znowu spojrzała na niego. Coś go gryzło, ale nie chciał się tym z nią podzielić. A może przejmował się wszystkim, co dotychczas się zdarzyło?

Stanęli na moment.

- Zajrzę tam, żeby sprawdzić, czy któraś z nich nie ukryła się w ruinach. Ty poczekasz. Zaraz wrócę.

Kiwnęła głową, patrząc, jak odchodzi. Kilka minut później pojawił się przy niej.

- Nie miałaś szczęścia? - spytała, z góry znając odpowiedź.

Potrząsnęła głową.

- Kierujemy się w stronę domu. Pójdziemy inną drogą - odparł z ponurą miną.

Słońce znajdowało się w zenicie, dzień był upalny. Szybkim krokiem ruszyli przed siebie. Milczeli. Cass nie mogła zebrać myśli. Uprzytomniła sobie jedynie, że jest na skraju wytrzymałości, ale za wszelką cenę musi zachować równowagę

do czasu przybycia policji, przynajmniej ze względu na dobro dzieci.

I również ze względu na siebie. Inaczej zwariuje.

- Cassandro, jest coś, o czym ci nie wspomniałem.

Zdrętwiała. Nie podobał się jej ton jego głosu ani spojrzenie oczu.

- Tak sądziłam.

- Mój ojciec popadł w szaleństwo tuż przed śmiercią- Antonio odezwał się zbyt opanowanym głosem. - Tak samo jak twoja ciotka.

- Co?! - Cass doszła do wniosku, że się przesłyszała.

- Oboje zwariowali na kilka dni przed śmiertelnym wypadkiem ojca - powtórzył, już bardziej emocjonalnym tonem.

Cass wpatrywała się w niego z rosnącą podejrzliwością, której przyczyn nie mogła sobie uzmysłowić.

- Antonio, czy jesteś tego pewien?

Spojrzał jej w oczy, nim ruszyli w dalszą drogę.

- To było straszne - rzekł w końcu. - Odnosił się z nienawiścią i gniewem do twojej ciotki, choć to zupełnie nie miało sensu - najmniejszego sensu!

Sama wzmianka o Catherine napełniła Cass ogromnym żalem.

Delikatnie dotknął jej ramienia.

- Ale ją również wypełniał niepojęty gniew i nienawiść. Nie powinnaś była czytać jej dziennika.

Cass też tak uważała. Pragnęła zapamiętać ciotkę jako osobę pełną werwy i dumy. Ale nagle przyszły jej do głowy przecięte opony.

Przecięte... z nienawiścią i gniewem.

Zatrzymała się raptownie.

Antonio też stanął.

- Co ci jest?

- Gdy tylko ujrzałam te zmasakrowane opony, pomyślałam, że ktokolwiek to zrobił, przepełniała go wściekłość i nienawiść.

Antonio popatrzył na nią badawczo.

- Jak w przypadku mojego ojca i twojej ciotki?

Cass skinęła głową; nagle wszystko zaczęło się jej układać w pewną całość.

Krew odpłynęła mu z twarzy. On także zrozumiał.

- Sposób, w jaki się kochaliśmy. Gwałtownie. Nienaturalnie. Nigdy przedtem nie chciałem zranić kobiety. Wtedy to właśnie miałem na myśli.

Cass zadrżała.

- Czułam w sobie nienawiść i gniew od chwili, gdy tu przyjechałam. Wobec Tracey, wobec Gregory'ego. Były to tak dojmujące doznania, że aż mnie przeraziły. To nie byłam ja.

Wpatrywał się w nią z uwagą.

- Ze mną było tak samo - rzekł wolno. - Te gwałtowne emocje pojawiły się znikąd. I znikły równie nagle.

Nie spuszczała z siebie oczu.

- Czy myślisz o tym samym? - szepnęła Cass.

Patrzył na nią jak zahipnotyzowany.

- Jeśli masz rację... - Z trudem wciągnął powietrze do płuc. - Gdy po raz pierwszy ujrzałem jej portret, wydawała się taka smutna...

- Ale to się zmieniło - dodała Cass szeptem. - Zmieniło się.

Pokiwał głową.

- Chryste. Gdy teraz spojrzysz na obraz, zauważysz w jej oczach gniew i nienawiść.

Chwyliła go za rękaw.

- W jej wzroku jest również chęć czynienia zła, wojowniczość.

- Dostrzegłem to.

Znowu popatrzyli się na siebie.

- I ma w sobie tyle energii, żeby wzniecić ogień, przekazać informacje - dorzucił Antonio.

- Czy ma jej tyle, żeby przeciąć opony? Zadzgać kogoś nożem? - Cass zapytała ze strachem. Z góry spodziewała się odpowiedzi. Brzmiała „nie”.

- Myślę, że to się odbywa w inny sposób - odparł Antonio.

- Jej gniew jest zaraźliwy - wyszeptała zbielełymi wargami Cass.

- I zatruwa nasze umysły.

Droga wydawała się nie kończyć, stopy zaczynały ją boleć. Panował nieznośny upał i Cass była złana potem. Podkoszulek i szorty przylegały do niej jak druga skóra.

Przysiedli na płaskiej skale, żeby odpocząć i napić się wody z manierki, którą Antonio przezornie ze sobą zabrał. Ramiona mieli spalone słońcem.

Obydwoje milczeli.

Nie mogła nic na to poradzić. Czuła, że się zakochuje. Teraz mieli dla siebie krótki moment, a Bóg jeden wiedział, co nastąpi dalej.

- Antonio?

Jego oczy zatrzymały się na jej ustach.

- Cassandro, jesteś najbardziej zmysłową kobietą - szepnął zachrypniętym głosem.

Ich oczy się spotkały.

- Czy ona zatruwa nam świadomość? - odparła równie cicho.

Przyciągnął ją ku sobie. Cass wstrzymała oddech z pragnienia i oczekiwania.

- Nie. Nie teraz, nie w ten sposób - rzekł, całując ją delikatnie.

Chwilę później Cass leżała na plecach, podczas gdy Antonio całował ją namiętnie, a jego ręce wędrowały po zakamarkach jej ciała. A gdy ich lędźwie zetknęły się ze sobą - miękkie z twardymi, w jednakowy sposób rozpalone, Cass jęknęła, czując naprężoną do ostateczności męskość kochanka.

Ściągnął z niej podkoszulek i stanik, odrzucając je na bok. Zaczął coś mówić po hiszpańsku, ale Cass, choć nie znała tego języka, rozumiała, co chce wyrazić. Pragnął jej równie mocno, jak ona jego. Zamknęła oczy, gdy pieścił jej piersi i zadrżała z rozkoszy.

Zaczął ssać jej sutek.

Nie mogła tego wytrzymać. Chciała go w sobie, natychmiast.

- O Boże - wydała z siebie jęk, marząc, aby wszedł w nią głęboko.

Ich usta się złączyły. Jego ręka drążyła wnętrze jej kobiecości. Cass rozpięła mu szorty jednym śmiałym ruchem. Antonio

ściągnął jej szorty i majtki z bioder i gwałtownie wszedł w nią z potężnym pchnięciem. Natychmiast doznała orgazmu.

I tym razem nie poczuła woni przeklętych fiołków.

On też poczuł najwyższą rozkosz i zaczął krzyżeć jej imię; był to tak wstrząsający dźwięk, że dziewczyna w mgnieniu oka zrozumiała, iż nigdy go nie zapomni.

Antonio przewrócił się na bok i podparł łokciem, aby na nią popatrzeć.

- To nie z powodu Isabel - szepnęła. - Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Położył się na wznak, ciągle ciężko dysząc.

- Chcę się z tobą kochać. Powoli. Całymi godzinami. Nie tak, jak teraz - na płaskim, brudnym, pokrytym mrówkami kamieniu.

Natychmiast poczuła świeży przypływ pożądania.

- Naprawdę?

Przewrócił się na bok, by móc patrzeć jej w twarz. Odgarnął włosy z jej policzków i założył je za uszy. Jego gest był pełen czułości, łagodności.

- Naturalnie.

Pochylił się nad nią, by ją pocałować.

Tym razem ich kochanie się było powolne, delikatne, niekończące się. Antonio wypatrzył połąć miękkiej trawy, przesunął Cass i położył się na niej. Ona wtuliła się w niego całym ciałem. Ich języki igrały ze sobą. Potem biodra podchwyciły odwieczny rytm. A kiedy wreszcie w nią wszedł, uczynił to bardzo wolno, z największą delikatnością.

Cass pozwoliła, aby pokazał jej wszystkie swoje możliwości. On z ochotą przystał, aby uszczknęła nieco jego wiedzy w tym zakresie.

Antonio odnalazł rozrzucone wokoło ubranie Cass i wręczył jej zawiniątko. Starła się na niego nie patrzeć. Słońce było teraz w zenicie - musiało być południe - co oznaczało, że kochali się przez cały ranek. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć, była zupełnie oszołomiona.

Jeśli dotychczas czuła, że się w nim zakochuje, to teraz rzecz się dokonała. Nigdy nie będzie zdolna odejść od tego

mężczyzny, nie po tym, co razem przeżyli. A to, czego wspólnie doświadczyli, było miłością, nie pociągiem seksualnym. Nigdy niczego nie była tak pewna, jak właśnie tego.

Isabel nie snuła się w pobliżu, nie zatrula ich umysłów.

Skończyła się ubierać. Poczucie winy odezwało się z nową mocą. Tracey i Celia się nie znalazły, Gregory pewnie złapał okazję i znajduje się w drodze do miasteczka. Isabel pozostała zagrożeniem dla nich wszystkich. A Cass przeżyła najcudowniejszy ranek w swoim życiu.

Skończywszy się ubierać, podeszła do Antonia. Ujął ją za rękę. Jego dotyk natychmiast uruchamiał jej wspomnienia wspólnych przeżyć i pragnienie doznania tego raz jeszcze, od nowa. Zastanowiło ją, czy możliwa jest ich wspólna przyszłość.

Pragnęła w to wierzyć, ale gdy ujrzała Casa de Suenos i bmw Gregory'ego z przeciętymi oponami, nadzieje na wspólne życie zaczęły niknąć.

- Taka tu cisza - mruknął Antonio, przerywając tok jej myśli.

Cass rozejrzała się i zadrżała z trwogi, ponieważ bez wątpienia miał rację. Cisza była przeraźliwa, niepokojąca, naładowana grozą. Minęli właśnie auto Gregory'ego i zbliżali się do drzwi wejściowych, gdy Cass odwróciła się i zerknąwszy ponownie na samochód, wydała z siebie przerażający krzyk.

W aucie siedziała Tracey; była martwa.

Cass słyszała swój własny krzyk.

Antonio chwycił ją, by nie podbiegła do siostry, która siedziała oparta o kierownicę, nieruchoma, bezwładna. Jej twarz była niewidoczna pod masą skłębionych włosów.

- Puść mnie! - wrzasnęła Cass, uderzając go wolną ręką w jakimś dzikim odruchu. Olśniło ją, że ten dziwaczny kolor jest barwą zaschniętej krwi.

Szarpnęła drzwiczki i ujrzała najpierw skaleczenia na nogach Tracey; jej gołe ramiona były całe w ciętych ranach, ręce zacisnięte na kierownicy. We włosach i na ubraniu miała ślady krwi.

- Nie! - krzyknęła Cass z rozpaczą i dotknęła siostry.

Ku jej zdumieniu jej ciało ani nie zmieniło pozycji, ani nie

upadło bezwładnie w jej ramiona. Pozostało sztywne, zastygłe, co wydało się wręcz nieprawdopodobne.

Cass nie mogła nabrać tchu. Odgarnęła włosy z twarzy Tracey i ujrzała szeroko otwarte oczy, które nieruchomo, bez jednego mrugnięcia, wpatrywały się w przestrzeń. Nagle dostrzegła, że siostra oddycha przez półotwarte usta, a nadgarstki są białe z wysiłku. Pierś unosiła się i opadała z ledwie dostrzegalnym ruchem.

- Tracey! - jęknęła Cass i objęła mocno siostrę. Ta jednak ani drgnęła.

- Cassandro! - usłyszała za sobą krzyk Antonia.

Ledwie to do niej dotarło.

- Ona żyje! Tracey, co się stało? - Cass wybuchnęła płaczem, głaszcząc siostrę, pieszcząc ją, starając się nie myśleć o krwi.

Co się stało?

I Cass poczuła, że Tracey mięknie w jej ramionach. Jej ciało odprężyło się stopniowo, aż wreszcie wpadło w dzikie, niekontrolowane drgawki.

Cass wzięła siostrę pod ręce, zamierzając wyciągnąć ją z samochodu, gdy Tracey nagle spojrzała na nią. Jej oczy były ogromne i puste, jak pozbawione wzroku oczy niewidomego. Było to przerażające doznanie.

- Chcę... urn... rzec - odezwała się Tracey łamiącym się głosem.

ROZDZIAŁ 20

Dzień czwarty - południe

W odróżnieniu od większości Europejczyków, Gregory regularnie uprawiał ćwiczenia fizyczne i biegał kilka razy w tygodniu w parku El Retiro. Z Casa de Suenos ruszył sprintem, ale po godzinie poczuł się zmęczony, a teraz, gdy minęły już dwie godziny od startu, szedł energicznym marszowym krokiem. Szosa była kompletnie pusta, a fakt, że był właśnie weekend, nie polepszał szans na złapanie okazji. Droga prowadziła przez górzysty, pofałdowany teren. Po przeciwnej stronie wznosiły się strome wzgórza porośnięte drzewami, z prawej rozciągała się płytką rozpadlina. Najbliższe miasteczko, otoczona murami średniowieczna Pedraza, leżało w odległości przypuszczalnie czterdziestu kilometrów od ich domostwa, ale trzeba było posuwać się stale pod górę. Jeśli zdoła utrzymać dotychczasowe tempo, a nikt nie podwiezie go do miasta, pozostają jakieś dwie godziny marszu.

Ze wszech miar postanowił utrzymać tę prędkość.

Był już tak blisko celu.

Ale, Chryste, upał ścinał z nóg.

I choć gdy pot spływał mu kroplami po twarzy, a gałki oczne paliły z bólu, nie mógł przestać myśleć o koszmarze, kiedy obrócił się w łóżku do Tracey, a ujrzął lodowaty uśmiech Isabel de la Barki.

Mrozący krew w żyłach, przerażający... porażający.

Nie, chyba to wszystko sobie wyobraził. Albo imaginacja podsunęła mu obraz Tracey, która zniemacka przemieniła się

w replikę zmarłej przed wiekami kobiety, albo śniła mu się ta cała niesamowita scena miłosna.

To ostatnie jest dużo bardziej prawdopodobne - orzekł w duchu. Niemniej jego prześcieradło wyraźnie pachniało seksem, i to bynajmniej nie mogła być jedynie nocna polucja.

Nie chciał już o tym rozmyślać. Nie miał jednak nic innego do roboty. W głębi ducha czuł lęk. Ogarniały go jak najgorsze przecucia.

Ktoś miał umrzeć. Po prostu to wyczuwał, było tak zawsze, odkąd, jeszcze w dzieciństwie, nawiedzały go demony w snach. Demon, który obecnie go nękał, nie był wcale wytworem imaginacji, lecz przeklętym duchem - a o tym świadczyły zdjęcia zrobione przez Cass.

I nawet teraz, gdy spieszył do Pedrazy, poczuł w całym ciele dreszcz trwogi.

Zastanowiło go, czy Tracey wróciła poprzedniej nocy. Jeśli tak, to dlaczego w ogóle zniknęła? Naturalnie, wrzeszczał na nią jak opętany, a ona wybiegła z pokoju. Czy naprawdę wygnał ją od siebie? A może był to tylko niesamowicie realistyczny sen?

Gdyby nie widział tamtego zdjęcia, wykonanego przez Cass, mógłby sobie wmówić, że stał się ofiarą obsesji, która prześladowała go od czasów dzieciństwa.

Jednakże w Casa de Suenos naprawdę coś się działo - pomyślał z rosnącym niepokojem. Catherine Belford i nieznanemu z nazwiska mężczyźnie zmarli w dramatycznych okolicznościach. Dwie kobiety zginęły. I z pewnością ona maczała w tym palce.

Natychmiast jednak kategorycznie odrzucił tę myśl. Owszem, nawiedzał ich duch, ale przecież duchy nie mordują ludzi. Nie przecinają opon. Nie niszczą kabli elektrycznych. Duchy są wyłącznie energią. Kto kiedykolwiek padł z ręki ducha?

Jego rozważania przerwał widok światełek odbłaskowych na szosie. Gregory uprzytomnił sobie, że widzi coś lub kogoś, kto zbliża się z naprzeciwka. Kilkakrotnie mrugnął oczami.

W tej samej chwili ujrzał mężczyznę, który wolno, z mo-

zołem, pedałowiał. Gregory ponownie zamrugał, stając w miejscu, przeświadczony, że uległ halucynacji.

Jednakże wzrok go nie mylił. Gdy odetchnął głębiej, zobaczył rowerzystę naciskającego z mozołem na pedały.

Wypełniła go ogromna radość, a z nią nadzieja. Podbiegł w kierunku rowerzysty, machając gorączkowo rękami i krzycząc:

- *Hola, señor, Hola!*

Z bliska mężczyzna okazał się nastolatkiem, który zahamował bez cienia wahania w oczach, w okolicy bowiem nie odnotowywano poważniejszych przestępstw. Gregory wyciągnął portfel, wyjął banknot wartości dwóch tysięcy peset i wręczył chłopakowi, tłumacząc, że pilnie potrzebuje jego roweru.

Transakcja nie wymagała targów; nastolatek mógł sobie kupić nowy rower za kilkaset peset. Gregory, ruszając świeżo nabytym pojazdem, poczuł ulgę. W głębi ducha bowiem przedtem bardzo wątpił, czy uda mu się tego dnia zgłosić morderstwo na policji.

Ruszył ostro, z całych sił naciskając na pedały. Wyliczył w myślach, że dojedzie do miasteczka w ciągu trzydziestu minut. Uśmiechnął się, spoglądając w słońce - zdąży dotrzeć do glińiarzy sporo przed południem. *Por Dios.*

Za nim rozległ się klakson.

Gregory omal nie spadł z siodła, bo dźwięk był przeraźliwie głośny, a na dodatek dochodził tuż z za jego pleców. Przecież przez cały ranek był sam na pustej szosie. Zwolnił, zerknął przez ramię i struchlał, widząc tuż za sobą potężną lorę na dwunastu kołach.

Serce zabiło mu dziko, klakson rozdarł się nad uchem, dwa potężne reflektory i jeszcze większy zderzak nastawały na niego, pędząc z szybkością osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Co za idiota - przemknęło mu przez myśl. Co ten facet chce zrobić, zepchnąć go z szosy?

Gregory skrzył gwałtownie na waziutkie, piaszczyste poboczne, pasek szerokości dwudziestu centymetrów, czując na plecach żar z silnika lory, słysząc jego ogłuszający ryk. Gdy

się obejrzał, ujrzał tuż za sobą twarz kierowcy za szybą; dzieliło ich od siebie zaledwie kilka metrów.

Wydał z siebie wrzask.

Kierowca był kobietą.

Gdy ciężarówka sunęła za nim, skręcając na pobocze, jadąc wprost na niego, Gregory upadł całym ciężarem na kierownicę, w chwili gdy rower wyrzwał o skalisty grunt na polu. Kiedy się wywracał, rower wyskoczył w powietrze, a on poczuł, jak jego ciało zderzyło się ze stromą rozpadliną. Ból eksplodował we wszystkich członkach, stawał się nie do zniesienia, i gdy Gregory turlał się w dół, nabierając szybkości, wiedział, że to już koniec.

Wylądował na ostrych kamieniach, na samym dnie, w płytkim rozlewisku. Tuż przed utratą przytomności pomyślał: Ona do tego zawsze dążyła, od czasu gdy byłem chłopczykiem. Jakże mógł mieć kiedykolwiek wątpliwości?

Zwyciężyła.

Cass żyła w Kastylii w ciągłym strachu, a teraz słowa wypowiedziane przez jej siostrę wprawiły ją w panikę.

- Cassandro, pozwól, że ci pomogę.

- Antonio! - Cass szybko wyslizgnęła się z samochodu.

- Ona jest ranna. Ciężko ranna. - Serce biło jej jak szalone.

Każde uderzenie powodowało kolejny napływ bólu i trwogi.

Antonio schylił się i delikatnie objawszy Tracey, wyciągnął ją z samochodu. Dziewczyna przytuliła się do niego, ukrywając twarz na jego ramieniu.

- Zaniose ją do jej pokoju - rzekł z ponurą miną.

W jej... pokoju... dzieci.

- Boże! Nie chcę, żeby dzieci ujrzały ją w takim stanie! - krzyknęła Cass, biegnąc obok Antonia w stronę domu.

- Masz rację - mruknął.

Trzęsącymi się rękami otworzyła drzwi frontowe i podażyła za Antoniem, który wnosił Tracey na schody. Na podeście wyprzedziła ich; drzwi od sypialni były otwarte. Gdy zajrzała do wnętrza, przebiegło jej przez myśl, że coś jest nie tak, ale odrzuciła to spostrzeżenie, uważając, że jej pierwszym obowiązkiem jest teraz zająć się siostrą.

- Wsadź ją pod prysznic — rzuciła.

Antonio skinął głową.

Gdy umieścił ją w staroświeckiej wannie na nóżkach, Tracey nadal nie chciała go puścić, jakby błagając o pomoc. Dalej trzęsła się jak w ataku febry i miała zaciśnięte powieki. Cass odkręciła krany, wyregulowała temperaturę wody i wzięła rączkę prysznic. Ale kiedy skierowała ją na siostrę, ogarnęła ją fala straszliwych mdłości.

Woda zmieszana z zaschniętą krwią na ubraniu Tracey zabarwiła się na czerwono i spływała do otwartego ścieku u jej stóp. Wszelkimi siłami próbowała powstrzymać wymioty. Wprawnym ruchem ściągnęła z siostry ubranie, ale jej dekolotowany podkoszulek i szorty z białych zdążyły przemienić się w różowe. Cass nabrała powietrza do płuc, żeby opanować mdłości.

Tracey miała strasznie podrapane nogi, ale to było nic w porównaniu z tułowiem. Cass zerknęła na jej piersi. Ujrzała czerwone pręgi w niewielkich odstępach. Wystarczyło spojrzeć na ręce i dostrzegała takie same ślady, jakby od ostrza noża, na nadgarstkach i przedramionach.

Zlewając siostrę prysznicem, odwróciła się w stronę Antonia. On również miał oczy rozszerzone ze zdumienia, pełne przerażenia. Cass uzmysłowiła sobie, że potrząsa głową. Te cięcia - ktokolwiek je zadał, posługiwał się nożem. O Boże. Co się wydarzyło?

- Zrobię to za ciebie - odezwał się Antonio stanowczym głosem.

- Nie! Ona jest moją siostrą! - krzyknęła Cass i natychmiast znienawidziła siebie za tę reakcję, przecież usiłował tylko pomóc. To nie była jego wina - a może jednak była? Może był to także jej własny grzech. Tracey zbiegła z Casa de Suenos, ponieważ jest neurotyczna, ale budzące się uczucie między nią a Antoniem z pewnością przyczyniło się do tego szaleńczego kroku. Czy to oni oboje spowodowali jej zniknięcie?

Poczucie winy dosłownie sparaliżowało ją na chwilę.

Zarazem chciała rozpaczliwie przekonać samą siebie, że wszystko dobrze się skończyło, że w żaden sposób nie jest od-

powiedziana za to, co widzi. Jej umysł nie przyjmował jednak żadnych usprawiedliwień ani argumentów.

Chwyliła więc szampon i zaczęła nim skrapiać włosy Tracey, byle coś robić. Jednakże nie mogła zaprzestać myśleć, że mogłaby nie dopuścić do tego, co zdarzyło się siostrze. Tego nigdy nie zapomni, nigdy sobie nie wybaczy.

Uprzytomniła sobie, że płacze.

- Proszę, wyjdź stąd i daj mi skończyć - szepnął Antonio.

Spojrzała na niego przez łzy. Ton jego głosu stał się zdumiewająco łagodny, delikatny, przepełniony czułością i troską. Ale było za późno. To przeważyło szalę. Pomyślała, że oboje nigdy już nie będą mogli nawet pomyśleć o wspólnej przyszłości, nie zrobią razem kroku naprzód.

- Nie mogę jej zostawić - odparła schrypniętym głosem.

Gdy trochę obmyli Tracey i zawinęli w ręcznik, Antonio zaniósł ją na rękach do sypialni. Cass usiadła na skraju łóżka, ale Tracey zamknęła oczy. Otulając ją kocem, Cass poczuła, jak pod powiekami znowu zaczęły jej wzbierać łzy, które w chwilę potem trysnęły jak fontanna.

Antonio dotknął jej ramienia.

Cass potrząsnęła głową. Nie mogła wymówić ani słowa.

To akurat okazało się zbawienne. Bo gdyby mogła coś z siebie wykrztusić, powiedziałyby, aby odszedł od niej.

Czuła jego rękę na ramieniu, póki jej z siebie nie strząsnęła. Nie chciała pociechy. Po dłuższej chwili ciszy Antonio się odezwał:

- Jeśli będziesz mnie potrzebowała, to daj znać. Schodzę na dół. Muszę się zająć dziećmi i Alfonsem.

Nie odpowiedziała, nie uniosła nawet wzroku, gdy wychodził z pokoju.

Zakryła natomiast twarz rękami i wybuchnęła szlochem.

- Cass?

Szept był cichutki. Cass aż podskoczyła i spojrzała w zamglone łzami oczy Tracey. Natychmiast wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić ją po czole, po policzku, a następnie ujęła jej dłoń:

- Kocham cię.

Tracey zamruwała powiekami, a łzy jak groch spływały po jej twarzy.

- Alyssa... Nic jej nie jest?

Cass zeszywniała.

- Naturalnie, że nie - powiedziała i w tym momencie uświadomiła sobie, że nie widziała siostrzenicy od rana. Zapłakana nad sobą, zmusiła się do uśmiechu, i choć oczy miała zalane łzami, dodała: - Mała świetnie się miewa.

- Powiedz, że ją kocham - wyszeptwała Tracey.

Cass przeraziły te słowa. Jej siostra przeżyła jakiś horror, ale nie była osobą, która się wyraża w ten sposób.

- Możesz jej to sama powiedzieć, kiedy poczujesz się na siłach.

Tracey potrząsnęła głową.

- Nie. Nie. Nie przyprowadzaj jej tutaj. Proszę, nie rób tego. - Robiła wrażenie zrozpaczonej.

- Zgoda - odparła Cass, uświadamiając sobie, że Tracey ma rację. Stan, w jakim się znajdowała, tylko by przestraszył Alyssę. Nadal mocno trzymała w rękach dłoń siostry. - Kochanie, błagam, powiedz, co się stało. Kto ci to zrobił?!

Tracey gapiła się na nią.

- Nie wiem, co się wydarzyło - powiedziała wreszcie.

Cass popatrzyła na nią wstrząśnięta.

- Jak... jak możesz nie wiedzieć? - Jednakże gdy wymawiała te słowa, przez myśl przebiegł jej wyraz szok, a po chwili trauma i amnezja.

- Wszystko jest zamazane, nieostre - wyjąkała Tracey. - Jestem taka skonana. Jak mnie odnaleźliście?

Cass nie wierzyła własnym uszom.

- Przecież sama wróciłaś - odezwała się w końcu. - Siedziałaś w aucie Gregory'ego.

Tracey spojrzała siostrze w oczy z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia.

- Czy pamiętasz, jak wyszłaś z domu? - zapytała Cass po dłuższym wahaniu.

Tracey zamyśliła się, po czym przytaknęła.

- Tak, przypominam sobie. Byłam taka wściekła, tak straszliwie wściekła. Na ciebie.

Cass poczuła to jak uderzenie w twarz. Musiała zamknąć oczy.

- Przepraszam - rzekła z rozpaczą. - I naprawdę było jej ogromnie przykro. O Boże, jak bardzo. Żałowała teraz każdej chwili spędzonej z Antoniem. O czym wtedy myślała?

- Nie chcę być wściekła. To budzi we mnie lęk - wyszepiała Tracey.

Cass znowu pogłaskała jej czoło.

- Teraz nie musisz być zła. Jesteś tutaj, nic ci nie grozi. Tracey, zajmę się tobą, obiecuję. Przysięgam - powtórzyła stanowczo. I rzeczywiście, była o tym przeświadczona.

- Boję się - powtórzyła Tracey chrapliwym głosem.

Ich oczy się spotkały.

- Już nie obawiaj się niczego - rzekła Cass, zmuszając się do pokrzepiającego uśmiechu, który był jednym wielkim kłamstwem. - Ale właściwie czego się boisz? Czy tego, że nie możesz sobie przypomnieć, co się stało?

Tracey zatrzepotała powiekami. Minęła dłuższa chwila, nim się odezwała. Kiedy wreszcie wydobyła z siebie głos, mówiła ledwie dosłyszalnym szeptem, tak że Cass z trudem ją rozumiała. Musiała się pochylić, żeby dotarły do niej słowa siostry.

- Stało się coś strasznego - mówiła Tracey. - Niczego nie rozumiem... Nie pojmuję siebie.

Cass wpatrywała się w nią, milcząc.

Była przerażona i zakazała sobie myśleć o tym, co podpowiadała jej logika.

Wreszcie jednak musiała zadać pytanie. Zbyt wiele od niego zależało, by można go było uniknąć.

- No więc, co się stało?

Tracey pokręciła głową.

- Nie wiem — jęknęła.

W pewnym sensie Cass poczuła ulgę, że nie odpowiedziała na pytanie, ale wówczas Tracey uniosła ręce, pokazując czerwone pączę ślady na wewnętrznych stronach ramion.

- Nie chciałam... - zaczęła mówić i rozszlochała się.

Cass chwyciła ją za nadgarstki.

- Co się stało? Przecież coś pamiętasz! Kto ci to zrobił?

Tracey znowu potrząsnęła głową.

- Czego nie chciałaś? - krzyknęła Cass, nie mogąc powstrzymać łez.

- Nie chciałam tego zrobić - wykrztusiła Tracey. - To tak, jakbym się rozdwoiła na dwie odrębne istoty. Nienawidziłam siebie i zarazem musiałam to uczynić, tak strasznie siebie za to nie znoszę, próbowałam się powstrzymać, ale moja lewa ręka nie mogła powściągnąć prawej, więc wpatrywałam się w to, co robię, i było tyle krwi... i to tak bardzo bolało, że nie mogłam przestać.

Cass nie potrafiła się otrząsnąć z przerażenia, które przejęło ją do szpiku kości. Nie mogła dalej iść, zatrzymała się na progu biblioteki. Ujrzała w głębi dwoje dzieci grających na podłodze w Monopol. Antonio siedział obok nich na sofie, mając pod bokiem stertę książek. Jedną z nich rozłożył na kolanach. Cass patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, z trudem przyjmując do świadomości ten idylliczny obrazek. Jej siostra zadała sobie te straszne rany własnymi rękami. Cass wiedziała, że ma do czynienia z jakimś poważnym zaburzeniem psychicznym. Nie znała jednak jego nazwy.

Co się stało Tracey?

Jej młodsza siostra nigdy przedtem nie miała żadnych ataków. Tego Cass była pewna. Czy taka choroba może ujawnić się w dorosłym wieku?

Zamknęła oczy. I uświadomiła sobie, że to zaburzenie ujawniło się w Casa de Suenos. Kolejny niewytłumaczalny zbieg okoliczności... A może dałoby się go wyjaśnić?

Czy gniew Isabel był tak potężny, że mógł porazić innych z taką siłą, by zachowywali się irracjonalnie, jak osoby chore psychicznie - czyli jak Tracey? Aż do zadania ran sobie i innym?

- Cassandro. - Antonio zauważył ją, zamknął książkę, podniósł się, ale w tym samym momencie Alyssa zerwała się na równe nogi i podbiegła do niej.

- Ciociu Cass! Moja mama wróciła! - krzyknęła z widoczną ulgą.

Cass uśmiechnęła się do niej, głaszcząc ją po plecach.

- Tak, jest już z nami, a teraz smacznie śpi. - Jej cia-

łem wstrząsały dreszcze. W żaden sposób nie mogła ich opłamać.

Alyssa zmierzyła ją wzrokiem dużo poważniejszym, niżby to mogło wynikać z jej siedmiu lat.

- Ale co się stało? Gdzie ona się podziewała?

Teraz prawda miała wyjść na jaw.

- Mama nie może sobie tego przypomnieć, dziecinko - rzekła Cass jak najdelikatniejszym tonem. - Czasami ludzie tracą pamięć na krótki czas. Jest to rodzaj choroby, która mija, i nosi nazwę amnezji. - Szybko usiadła, żeby nikt nie spostrzegł, jak dygocze.

- Amnezja - powtórzyła powoli Alyssa. - Mogę zobaczyć mamę?

- Nie teraz. Ale ona pytała o ciebie, zanim zdołała wykrztusić z siebie cokolwiek, i prosiła, aby ci przekazać, że cię kocha.

Alyssa spojrzała na nią i natychmiast pojęła, że ciotka mówi prawdę. Zarumieniła się z radości.

- Tak się bałam. Myślałam, że już nigdy jej nie zobaczę - szepnęła. - Lękałam się, że powtórzy się to, co zdarzyło się Eduardowi z jego mamą.

Cass zamarła, słowa małej powoli dochodziły do jej świadomości. Tracey wróciła, więc między tymi dwoma zniknięciami nie powinno być związku. Ale... A może za tym wszystkim kryła się Isabel? Załóżmy, że jej energia była tak ogromna, iż oddziaływała na każdego - na babkę Antonia, która zaszlachtowała nożem męża, na Catherine, która najpierw uwiodła Eduarda, a potem ściągnęła go wzrokiem wprost pod nadjeżdżający samochód, na Margaritę, która zniknęła bez wieści, a teraz na jej siostrę?

A w jakim stopniu dotyczy to jej samej i Antonia? I Gregory'ego?

Cass ciągle nie mogła dociec, co brat Antonia ukrywał przed nią, ale doszła do wniosku, że nie było to nic istotnego. On z pewnością nie był wmieszany w zniknięcie Tracey. Mogła teraz spokojnie przyjąć hipotezę, że Gregory nie miał chyba nic wspólnego z wydarzeniami, które nastąpiły w ciągu minionych czterech dni.

Próbowała przekonać siebie w duchu, że nie ma na to żadnych dowodów, że to jedynie spekulacje, jednakże nie do końca udało się jej opanować rosnący niepokój. Nawet w tej chwili czuła przecież jakimś szóstym zmysłem, że Isabel znajduje się w pobliżu.

I to bardzo blisko.

Alyssa powróciła do zabawy z Eduardem, a Cass napotkała wzrok Antonia. Podszedł do niej, objął ją i odeszli w róg pokoju.

- Jak ona się czuje? - spytał.

Cass się odsunęła. Walczyła ze sobą, by się opanować, ale jej oczy się zaszklily, gdy opowiadała mu, co usłyszała od Tracey.

- Należy umieścić ją w szpitalu - rzekł Antonio tonem pełnym napięcia. - I to natychmiast. Dzięki Bogu, że Gregory poszedł zawiadomić policję.

Cass popatrzyła na niego.

- Sądzisz, że to jej własna krew? - szepnęła.

Antonio otoczył ją ramieniem.

- Cassandro, taka ilość krwi nie może pochodzić z jej skaleczeń i zadrapań, zapewniam cię.

Odskoczyła od niego.

- Ach, teraz jesteś lekarzem? A może ekspertem kryminologii? - rzuciła te słowa z taką pasją, że dzieci przerwały grę w Monopol i zastygły z kostkami w ręku, wpatrując się w nią z lękiem. Już bardziej opanowanym tonem zapytała: - Co, do diabła, chcesz mi wmówić?

- Niczego nie chcę ci wmówić. Zapytam raczej, co ty mi powiesz.

- Nic. - Obróciła się na pięcie.

Schwycił ją za rękę i przekręcił twarzą do siebie.

- Ktoś wbił nóż w pierś elektryka.

- Przestań. - Cass nigdy nie użyła podobnego tonu. Brzmiało w nim ostrzeżenie i biała furia. Będzie chroniła siostrę za wszelką cenę.

Ręka mu opadła.

- Nie powinniśmy walczyć ze sobą. Nie chcę się z tobą kłócić. Cassandro, Boże, jestem w tobie...

Cass domyśliła się, że chciał jej wyznać miłość. Wiedziała o tym równie dobrze, jak o tym, że gdy za kilka godzin słońce będzie chylić się ku zachodowi, Isabel wróci.

Przerwała mu.

- Kłóćmy się? - Na zewnątrz zachowała pozory spokoju, choć w środku wrzało; kombinacja hysterii i paniki stawała się nie do wytrzymania. - Nie zauważyłam.

- Nie będziemy winić siebie za to, co zdarzyło się Tracey - rzekł powoli, usiłując patrzeć jej prosto w oczy.

Cass starała się uniknąć jego wzroku. Cholera - pomyślała.

- Nigdy tego nie powiedziałam.

Nadal się w nią wpatrywał.

Odwróciła się, czując, że wznosi między nimi ogromny, niezniszczalny mur. Skrzyżowała ręce na piersiach, żałując w myślach, że nie może zapanować nad szybkim, nerwowym oddechem.

I jednocześnie w głębi ducha pragnęła, żeby jej serce nie skręcało się z żalu.

On jednak nie cofnął się, nie odchodził.

Wreszcie rzekła:

- Jak myślisz, ile Gregory'emu zajmie droga do Pedrazy, zakładając, że przez cały czas będzie szedł pieszo?

- Przypuszczam, że właśnie teraz tam dotarł - odpowiedział Antonio cichym i opanowanym głosem.

Cass musiała na niego spojrzeć, nie chciała go zranić. Ale to, co oboje uczynili Tracey, było straszne.

- Natrafiłem na parę informacji na temat naszego ducha - dodał, patrząc na nią.

- Nie jestem przekonana, czy mnie to teraz pociąga - skłamała.

- A co by było, gdyby Isabel zatrula także świadomość Tracey? - zapytał.

Jego przenikliwy umysł dochodził do tych samych konkluzji, które i jej przyszły na myśl.

- Nie sądzę.

Antonio popatrzył na nią i Cass pomyślała, że dostrzegła w jego oczach współczucie.

- Ona w żaden sposób nie zatrula Tracey! - krzyknęła.

Antonio zerknął w bok, a gdy ich oczy znowu się spotkały, rzekł:

- Cassandro, znalazłem dwa listy. Zaledwie parę minut temu. To są te listy, o których wspomniała twoja ciotka. List Isabel do jej kuzyna, Roberta de Warenne, oraz jego odpowiedź do niej. Bez wątpienia byli kochankami, korespondowali ze sobą, kiedy Isabel była w ciąży i przybywała tutaj, w Casa de Suenos.

Cass patrzyła przed siebie, powoli przyswajając tę wiadomość.

- Była okropnie nieszczęśliwa. Ale kryje się w tym jeszcze jedna zagadka.

- Co mianowicie? - spytała szybko.

Znów na nią spojrział.

- Dlaczego list, który Isabel wysłała swojemu kochankowi do Anglii, znajduje się tutaj, w Kastylii, wśród papierów de la Barki?

Gregory musiał dojść do Pedrazy kilka godzin temu, więc dlaczego nie zjawia się policja?

Cass z Antoniem spakowali już połowę książek i notatek jego ojca, zjedli obiad z dziećmi. Nie musieli sobie mówić, że trzeba się czymś zająć. Usiłowali także odnaleźć Celię, bez skutku. Teraz Cass zerknęła na zegarek. Była trzecia. Ogarnęły ją złe przeczucia.

Antonio też zerknął na swój cyferblat, a gdy spojrział na nią, ich oczy się spotkały.

- Nie chciałabym cię niepokoić, ale gdzie on się podziewa? - rzekła Cass.

- Powinien być już z powrotem. - Nagle usiadł za biurkiem. - Coś się musiało stać.

Cass niemal dotknęła jego ramienia, ale w ostatniej chwili się opamiętała. Na wszelki wypadek skrzyżowała ręce na pierśsiach.

- Takie sprawy zajmują dużo czasu.

- Nie. Coś złego się wydarzyło. Dlaczego pozwoliłem mu pójść? Dlaczego sam nie poszedłem? To był mój obowiązek.

Cass westchnęła głośno.

- Idę na górę sprawdzić, co się dzieje z Tracey. - Odwiedzała siostrę regularnie co godzinę. Za każdym razem zastała ją w głębokim śnie.

Antonio skinął głową, nie patrząc w jej kierunku.

Cass wybiegła z biblioteki. Nie mogła już dłużej tego znieść. Brzemie stawało się ponad jej siły. Była tego w pełni świadoma.

Ale co będzie, jeśli Isabel jeszcze z nimi nie skończyła?

Napięcie narastało w niej z zastraszającą szybkością.

Gdy weszła do sypialni, spostrzegła, że choć Tracey nadal była pogrążona we śnie, mięśnie jej twarzy wyrażały niepokój i rozpacz. Rzucała się w łóżku, wydawała z siebie błagalne dźwięki, najwyraźniej przeżywając jakiś koszmar senny.

Cass przysiadła koło niej i poczęła gładzić ją po włosach.

- Tracey, uspokój się, to tylko sen.

Tracey odprężyła się stopniowo, ale Cass postanowiła, że posiedzi przy niej trochę dłużej. Instynktownie rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, co ją tak zaniepokoiło.

I nagle zrozumiała. Ubranie, które Tracey miała na sobie w dniu zniknięcia, leżało rzucone niedbale na podłogę. Nie był to strój, który Cass ściągnęła z niej w wannie.

Poderwała się na równe nogi. To znaczy, że Tracey musiała wrócić do Casa de Suenos, gdy nikt jej nie zauważył, aby się przebrać. Czy tak? Ale dlaczego? I jak to możliwe, na miłość boską?

Schyliła się, żeby sprawdzić rzeczy leżące na podłodze. Może się myliła. Ale kiedy poszły do krypty i potem pobiły się w holu, Tracey miała na sobie krótkie białe szorty i trykotową różową górę. W tym ubraniu wybiegła z domu i zniknęła.

Wzięła do ręki szorty i machinalnie nimi potrząsnęła. Wtedy coś z brzękiem wypadło z kieszeni. W pierwszej chwili pomyślała, że to moneta. Zerknęła na siostrę, znowu pogrążoną w głębokim śnie, a następnie sprawdziła, co to za przedmiot. Na podłodze leżał cieniutki łańcuszek z miniaturowym krzyżykiem, pośrodku którego lśnił maleńki brylancik.

Wpatrywała się w niego jak sparaliżowana.

Podniosła krzyżyk, natychmiast go poznając. Poczowała falę

mdłości. Łańcuszek z krzyżykiem należał do Celii, która nigdy się z nim nie rozstawała. Cass była absolutnie przekonana, że się nie myliła.

Nie mogła pojąć, dlaczego Tracey miała ten krzyżyk. Było to równie niepojęte, jak krew na jej ubraniu i jak śmierć elektryka.

Znowu dostała napadu drżączki. Ogarnęła ją rozpacz. Nagle uświadomiła sobie, że nie ma wyjścia. Pragnęła uchronić Catherine, ale się nie udało, ciotka nie żyje. Czy może ocalić Tracey? Jak?

I wtedy zapach fiołków wypełnił cały pokój. Błyskawicznie. Porażał intensywnością. Cass poczuła, że trzęsie się jak w gorączce. Kolana odmówiły jej posłuszeństwa, musiała przysiąc na łóżku. Isabel jest tutaj. I Cass nie miała najmniejszej wątpliwości, że za chwilę zmaterializuje się na jej oczach.

Zastygła, czekając bezsilna, przerażona.

Woń stała się tak mocna, że Cass zabrakło tchu. Zaczęła kaszleć, dławić się, łzy spływały jej po policzkach. Tracey rozkaszała się we śnie. Nagle Cass pomyślała, że za moment udusi się z braku powietrza, że zejdzie z tego świata jak jej ciotka. Nie mogła już tego znieść, wybiegła z pokoju. Ale w całym holu również unosił się ohydny, duszący odór.

Chwyciła się za gardło, nie wiedząc, co począć i co się z nią stanie.

Ujrzała w myślach ciotkę wijącą się w konwulsjach na podłodze, siniejącą z powodu braku tlenu.

Gdy zamknęła oczu, krztusząc się, obraz się zmienił. Ujrzała nagle siebie, jakby patrzyła skądś z wysoka, z lotu ptaka. Zobaczyła siebie, jak sinieje, aż wreszcie pada na podłogę z niemal czarną twarzą.

Wokół niej zapadła ciemność.

Cass walczyła z nią, pragnąc z całych sił przebić się na światło dzienne. I kiedy czerni stopniowo zaczęła szarzeć, gdy ukazał się przebłysk światła, otworzyła wreszcie oczy. Spodziewała się ujrzeć nad sobą Isabel.

Nikogo jednak nie było. Dopiero wtedy zorientowała się, że leży na podłodze na wznak, ciężko oddychając i wpatrując się w sklepienie.

Na korytarzu panowała kompletna cisza.
Jej oddech był natomiast obłąkańczo głośny.

I wówczas ujrzała ją.

Stała parę kroków od niej, pod ścianą.

Isabel.

Zesztywniała. Czekwała, aż w jej rękach błysnie nóż - była prawie pewna, że Isabel zadźga ją, jak to uczyniła - może poprzez kogoś innego - z elektrykiem, jak babka Antonia wbiła nóż w pierś swego męża. Strach sparaliżował ją do tego stopnia, że uniemożliwił oddychanie.

Lecz Isabel po prostu stała. Jej oczy płonęły, błyszcząły jak brylanty. Następnie odwróciła się i wolno ruszyła w stronę sypialni Cass.

Cass zaczerpnęła tchu. Zapach fiołków się ulatniał, znikał. Oddychała szybko, aż poczuła, że dusząca woń zupełnie ustąpiła.

Zdołała jakoś stanąć na nogi, czując się nadal kompletnie otumaniona. Jednakże była pewna, że to, co się zdarzyło, nie było wytworem jej imaginacji. Dostała ataku, takiego samego, jak jej ciotka, była bardzo bliska śmierci, i na dodatek na własne oczy ujrzała Isabel. Isabel, która pozwoliła jej dalej żyć.

A teraz zniknęła w jej sypialni.

Cass zatoczyła się na ścianę. Spojrzała w kierunku swego pokoju. Drzwi były zamknięte. Pomyślała, że Isabel chyba weszła do środka, ale nie była tego pewna.

Nie miała ochoty się ruszyć. Najchętniej zbiegłaby schodami, jednakże stopy, jakby wbrew jej woli, ruszyły w przeciwnym kierunku. Chcąc nie chcąc, zmierzała w stronę sypialni, z sercem bijącym z trwogi. Nie chciała robić tego, do czego była zmuszana, czepiała się ściany, chwiała się i zataczała. Przed samymi drzwiami stanęła jak rażona piorunem.

Po tamtej stronie jest Isabel. I co się stanie?

Znowu nie mogła nabrać tchu. Tym razem jednak nie z powodu duszności, lecz wskutek paniki.

Otwórz drzwi.

Spostrzegła, że kładzie rękę na metalowej gałce, chociaż przecież najchętniej uciekłaby stąd jak najprędzej. Doskonale wiedziała, że to Isabel nią kieruje.

Otwórz drzwi.

Uśluhała, otwierając je na oścież.

Isabel tam nie było. Pokój był pusty.

Cass z niewysłowioną ulgą oparła się o framugę.

Gdy odetchnęła, ujrzała rozjaśniony monitor komputera.

I nawet z tej odległości zrozumiała, o co chodzi.

Isabel zostawiła jej kolejną wiadomość...

Nie mogła się ruszyć, nogi odmawiały posłuszeństwa.

Nie miała pojęcia, jak długo stała sparaliżowana w drzwiach, wpatrując się w ekran laptopa, w małe błyszczące literki, niemożliwe do odczytania. Wreszcie ruszyła z najwyższym trudem, wlokąc się resztką woli.

Stanęła nagle, chwytając się blatu biurka.

JESTEM TERAZ TWOJĄ SIOSTRĄ.

ROZDZIAŁ 21

Zamek Hampton - listopad 1554 roku

- I kiedy wyznasz prawdę Jego Lordowskiej Mości?

Isabel poczuła pulsujący ból w skroniach. Znajdowały się w swoich pokojach zamkowych. Siedziała na krześle z wysokim oparciem, usiłując znaleźć najbardziej dogodną pozycję dla krzyża, który coraz bardziej dawał się jej we znaki. Zamknęła oczy. Jakże marzyła, żeby Helen sobie poszła. Jej towarzyska stała się już zupełną sekutnicą i ciągłe próby oszukiwania jej sprawiały coraz więcej kłopotów.

Helen podała Isabel zimny kompres do położenia na czole.

- Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie życzysz sobie poinformować męża, że jesteś ciężarna?

Isabel unikała jej wzroku.

- Czekałam, aż się upewnię, czy noszę w łonie jego dziecko - odrzekła chłodno. Nagle wstała. Zeus u jej stóp zrobił to samo. W ciągu ostatnich kilku miesięcy ogromnie utył, zżerając zbyt wiele resztek z talerzy.

Helen wydała z siebie pomruk znamionujący po części niechęć, po części niedowierzanie i wyszła z komnaty. Isabel odczuła ulgę. W jej oczach ukazały się łzy.

Brzuch jeszcze nie wystawał spod sutej tkaniny sukni, ale gdy była naga, widziała wyraźnie, jak się zaokrąglił i stwardniał. Od chwili zawarcia małżeństwa ani razu nie miała miesięcznej dolegliwości, więc równie dobrze mogła być już w czwartym miesiącu ciąży. Poczuła jakieś skurcze w brzuchu.

W pobliżu stał nocnik, z którego szybko skorzystała, puszczając odrażające bąki. Kiedy atak minął, pozostała skurczona na podłodze, szlochając rozpaczliwie, póki mokry nos Zeusa nie dotknął jej policzka.

Natychmiast usiadła przy nim. Wzięła go na ręce i mocno do siebie przytuliła. A co będzie, jeśli się okaże, że to dziecko Roba?

Ach, jakże była głupia, biorąc sobie kochanka, zanim urodziła dziedzica! Co się stanie, jeśli dziecko przyjdzie na świat z jasnymi włosami i błękitnymi oczami Roba?

Może - pomyślała oddychając nierówno - Alvarado nigdy nie dowie się prawdy. Przecież ona ma niebieskie oczy, a włosy ni to blond, ni rude. On może się nigdy nie domyślić - żaden z nich się tego nie dowie - póki dziecko nie dorośnie i nie stanie się zdecydowanie podobne do któregoś z nich dwóch. Skronie bolały ją tak, jakby czaszka miała pęknąć na pół.

- Och, Zeusie - szepnęła, głaszcząc jego jedwabistą sierść na pysku, podczas gdy piesek wpatrywał się w nią wiernymi, rozumnymi oczami. - Co ja najlepszego zrobiłam?

Na żale było jednak zbyt późno, a zresztą, jak mogła żałować miłości do Roba, z każdym dniem coraz potężniejszej? Musi jeszcze powiedzieć o ciąży Robowi, ale poprzedniej nocy widziała już spojrzenie jego oczu, gdy położył swą wielką dłoń na jej brzuchu, badając jego twardość. I gdy wzniosł oczy ku niej, wyczytała w nich pytanie. Choć dobrze go teraz znała, to jednak nie chciała odpowiedzieć, odwróciła twarz.

Rob został właśnie ojcem synka, który przyszedł na świat martwy, a matka dziecka zmarła w połogu. Rob nie dochował się dziedzica - ani prawowitego, ani z lewego łóża.

Zanim zdołała głębiej zamyślić się nad tą sprawą, Helen znów stanęła w drzwiach sypialni.

- Isabel, czas na wieczerzę, musisz zejść. Czy też mam przekazać, że nie czujesz się dobrze? - W jej oczach znać było pogardę i dezaprobatę.

Zagryzła wargę. Helen z pewnością wiedziała, że ma kochanka. Zbyt wiele razy zniknęła popołudniami, a gdy wracała do swoich apartamentów, miała nieprzytomny wzrok, na jej

ustach błąkał się zagadkowy uśmiech. Nie mogła myśleć o niczym innym, tylko o Robie, a w takich razach Helen nie szczędziła jej gorzkich słów. Gdyby zachowała odrobinę dyskrecji - pomyślała z rozpaczą. Wstała z podłogi.

- Nie ruszaj się tak gwałtownie! - krzyknęła na nią Helen. - Musisz być ostrożniejsza.

Isabel machnęła lekceważąco ręką.

- Jestem aż za ostrożna. Nie, zejść na dół. - Uśmiechnęła się, by dodać sobie odwagi. Postanowiła zejść na ucztę nie po to, aby sprawić przyjemność małżonkowi, lecz dlatego, że przerażała ją myśl, iż straci jego łaskę.

Niespiesznie szła przez wiele sal i korytarzy zamku. Od dawna przywykła do obyczajów panujących na dworze. Skinęła lekko kilku szlachcom nadchodzącym z naprzeciwka, nie zważając na głośną sprzeczkę między grupą hiszpańskich dworaków i ich angielskich odpowiedników. Cudzoziemcy i miejscowi często zajadłe się kłócili; nie było wręcz dnia, by nie dochodziło między nimi do awantur. Jej mąż nieraz narzekał na sposób, w jaki traktowani są jego ludzie, nie wspominając o innych sprawach na dworze, jak potrawy, napitek, rozrywki i inne brytyjskie specjalności.

Dzięki Bogu, że nie narzekał na nią.

- Hrabino?

Głos był znajomy, lecz nie mogła go skojarzyć z osobą. Cofnęła się, widząc zbliżającą się grupę mężczyzn.

Błyszczące niebieskie oczy odnalazły ją i znieruchomiały na jej widok. Isabel uzmysłowiła sobie, że stoi twarz w twarz z Douglasem Montgomerym. Zadrżała. Nie widziała go od czasu, gdy wystrychnęła go na dudka, kiedy przyjechał na zamek, aby prosić o jej rękę.

Podszedł do niej, nie spuszczać z niej wzroku i nisko się skłonił.

Isabel stała wstrząśnięta jego obecnością. Wreszcie uprzytomniła sobie, że jej serce bije jak szalone. Boże drogi, cóż on o niej myśli?

- Lordzie Montgomery - wyjąkała.

Wyprostował się i omiótł ją wzrokiem, nim znów spojrzął jej w oczy.

- Tak. Okazuje się, że wywarłem na pani takie silne wrażenie, iż do dziś mnie pani pamięta.

Isabel zorientowała się zbyt późno, że czynił aluzję do jej obrzydliwego oszustwa, jakiego się wobec niego dopuściła, i oblała się pąsem.

- Mój panie, sama nie wiem, od czego zacząć. Pragnę przeprosić za moje zachowanie podczas naszego pierwszego spotkania.

- Wiedziałem, że pani się na tę okazję przebrała - rzekł.

Isabel patrzyła na niego, nie wiedząc, co ze sobą począć.

Na jego twarzy ukazał się uśmiešek.

- Byłem bardzo dotknięty, ale wszystko to należy do przeszłości, prawda? Od dawna jest pani mężatką, a ja również się ożeniłem.

Serce nadal dudniło jej w piersi. Nie mogła pojąć dlaczego.

- Doprawdy, nie chciałam pana obrazić.

- Ach, nie zamierzam zagłębiać się w przeszłość. Interesuje mnie przyszłość - i teraźniejszość. - Nie spuszczał z niej oczu.

Zrozumiała jego spojrzenie. Nadal mu się podobała. Odkryła, że sprawia jej to przyjemność.

- Pragnę pogratulować pani jej małżeństwa - odezwał się po długiej, niezręcznej ciszy.

Poczuła, że się rumieni.

- Proszę przyjąć i moje gratulacje.

Uśmiechnął się.

- Może pani słyszała, że moja żona spodziewa się dziecka. Oczekujemy jego narodzin w maju. - Oczy rozbłyły mu dumą.

Przypomniała sobie swój własny stan - i dylemat. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- To wspaniale, lordzie Montgomery.

Ujął jej rękę.

- W pani oczach dojrzałem zagadkowy lęk albo troskę. Cóż mogłoby być przyczyną takiego smutku?

Tym pytaniem poczuła się kompletnie zbita z tropu. Zwiłyła wargi, gorączkowo zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Myli się pan, lordzie, nie mam bowiem ostatnio powodów do zmartwień.

- A więc jestem rad, ale co wiem, to wiem.

Isabel osłupiała. Nagle zapragnęła wypowiedzieć mu się ze wszystkiego, lecz w duchu ostrzegła się, żeby nie była aż taka głupia.

- Zatem wie pan więcej niż ja sama - odrzekła lekkim tonem.

Nagle Montgomery ścisnął ją za ramię.

- Przejdźmy się. Czy uda się pani ze mną na mały spacer?

Spojrzała na niego. Powinna się pospieszyć na ucztę, ale spotkanie z nim po tak długim czasie sprawiało jej wyraźną przyjemność, więc skinęła głową.

Ruszyli przed siebie.

- Jak pani znajduje życie na dworze?

- Interesujące i pełne rozrywek - rzekła. - Proszę nie zapominać, że wiodłam żywot polnej myszki, póki stryj nie wezwał mnie tutaj.

Popatrzył na nią z nieskrywaną sympatią.

- Wątpię, czy była pani kiedykolwiek polną myszką. Jest pani na to zbyt inteligentna i zbyt piękna.

Zwolniła kroku. Bez wątpienia jego słowa oznaczały komplement. Ale nie była nimi wcale zmieszana, ani trochę. Wręcz odwrotnie, poczuła się cudownie. A gdy napotkała jego uważny wzrok, uprzytomniła sobie ze zdumieniem, jaki jest otwarty, jaką ma dumną postawę i jak jest przystojny, zupełnie jak Rob. Jakże mogła tego nie zauważyć, gdy przybył na dwór, starając się o jej rękę?

Pomyślała nagle, że popełniła niewybaczalny błąd. I jednocześnie postanowiła przerwać tok myśli.

- Co pana tu sprowadza? - zapytała szybko.

- Prawdę mówiąc, przyszło mi do głowy, że nastał czas, aby znowu się z panią zobaczyć - odparł cicho, tym razem nie uśmiechając się wcale.

Isabel stanęła jak wryta. Ich oczy się spotkały.

- Nie chodzi mi o to, co pani podejrzewa. - Ścisnął ją za ramię. - Od dnia, kiedyśmy się spotkali, gdy próbowała mnie pani wystrychnąć na dudka tym swoim odrażającym przebra-

niem, nie mogłem o pani zapomnieć. W istocie sędzę, że do dziś podkochuję się w pani. - Na jego twarzy wykwitł ni to uśmiech, ni to grymas. - Ale nie jest to powód, dla którego postanowiłem z panią pomówić.

Wpatrywała się w niego z rosnącym niepokojem. Skoro nie przybył, aby jej schlebiać, to dlaczego jest tu z nią?

- Nie rozumiem.

Oczy mu pociemniały.

- Isabel, krąży tak wiele plotek, plotek, w które nie chciałem wierzyć... Musimy o nich pomówić.

Spojrzała mu w twarz, przerażona.

- Co za plotki? Pogłoski o tym, że król pragnie ruszyć na wojnę z Francją? Królowa jest brzemienna, pewnie to do pana dotarło. - Wiedziała, że mówi tak szybko, że aż trudno za nią nadążyć. - Król na pewno nie wyjedzie przed narodzinami dziecka, co nastąpi późną wiosną.

Mocniej ścisnął jej ramię.

- To są plotki o tobie, Isabel, którym zrazu nie mogłem uwierzyć. Jednakże spotkałem twojego męża. Widziałem się z admirałem. I dostrzegam ból oraz walkę wewnętrzną w twoich oczach. Dobry Boże, teraz wreszcie wszystko rozumiem - także i to, dlaczego mnie odrzuciłaś. Uprawiasz wszakże bardzo niebezpieczną grę.

Nie mogła ruszyć się z miejsca. Jego słowa sprawiły, że omal nie zemdłała. W głowie jej zawirowało.

- Jakie... plotki? Nie rozumiem, o czym pan mówi! - krzyknęła zbyt głośno jakimś dziwacznym falsetem.

Uścisk jego dłoni nie zelżał.

- Moja droga, na dworze bez przerwy plotkuje się o tobie i o admirale de Warenne.

Utkwiła wzrok w jego ciemnej, przystojnej twarzy. Chciała powiedzieć: On jest moim kuzynem. Nie mogła jednak wydobyć żadnego dźwięku z krtani.

Na dworze mówią o tobie i o admirale de Warenne.

Nie! To niemożliwe! Zobaczyła mgłę przed oknami, w holu stało się ciemno.

- Tylko nie mdlej - ostrzegł, podpierając ją silną ręką. Zanim spostrzegła, uniósł ją i objawszy w talii, począł iść powoli

przed siebie. Ona tymczasem, ciągle na granicy omdlenia, myślała tylko o jednym: Dwór mówi o tobie i o admirale de Warenne. Wreszcie podeszli do kamiennej ławki w małym ogródku, gdzie powietrze było wilgotne od mgły. Położył ją na siedzisku, mówiąc stanowczo:

- Oddychaj głęboko i nie, nie siadaj.

Isabel leżała na ławce, oddychając szybko i płytko. Jego słowa tłukły się w jej głowie jak odrażający refren. Kiedy otworzyła zażawione oczy, ujrzała tuż przed sobą niewyraźnie jego przystojną, zatroskaną twarz.

- Jeśli świat wie o twoim związku, jest już tylko kwestią czasu, że dowie się o nim również twój mąż - rzekł stanowczym głosem.

Zapatrzyła się w przestrzeń przed sobą, po czym gwałtownie ścisnęła jego rękę, potrząsając głową. Przecież może skłamać, wszystkiemu zaprzeczyć, a zamiast tego się rozpłakała.

- Skąd oni wiedzą? Jak to się stało, że ktoś się o tym dowiedział? Z wyjątkiem, niestety, Helen...

Jego wzrok przeszywał ją do głębi.

- Czy ma znaczenie, skąd dowiedzieli się o tym?

Usiłowała usiąść. Natychmiast wspomógł ją ramieniem.

- Kocham go - usłyszała własny szept.

- Wiem, że go kochasz.

W jego tonie było coś, co zmusiło ją do spojrzenia mu w oczy.

Uśmiechał się krzywo.

- Życie jest niepojęte, prawda? Choć skończyłem trzydzieści dwa lata i wiele widziałem, wiele doświadczyłem, ciągle nie mogę zrozumieć woli boskiej.

Mogła się z tym tylko milcząco zgodzić. Czy naprawdę cały dwór o tym wiedział? Och, Boże! Montgomery na pewno się myli!

- De Warenne jest szczęściarzem - dodał.

Popatrzyła na niego.

- Nie mów, mój panie, ani słowa więcej - odezwała się wreszcie.

Nie spodziewała się, że usłyszy od niego zdanie, które po chwili milczenia wypowiedział:

- I nie jest ciebie wart.
- Nie rzucaj na niego kalumni przez zazdrość! - krzyknęła.
- Nie przeczę, że budzi moją zazdrość, ale powiadam prawdę. Gdyby cię kochał, nie postawiłby cię w takiej kłopotliwej sytuacji. - Montgomery był nadal ponury.
- Nie wypowiadaj poglądów w sprawie, która ciebie nie dotyczy.

- Ależ ty jesteś moją sprawą, Isabel. Nie zmyślam, gdy mówię, że wola boska jest zagadkowa i niezrozumiała. W przeciwnym razie w moim sercu gościłaby tylko jedna kobieta - moja żona. - Popatrzył na nią. - Musisz być ostrożna, Isabel. Nie ufaj nikomu. Tu jest za dużo intryg, a szpieczy kręcą się wszędzie.

Utkwiła w nim wzrok.

- Rozumiem. - Uświadomiła sobie, że zamierza ją opuścić i z pewnym zaskoczeniem poczuła z tego powodu żal.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebowała, możesz zostawić wiadomość w Carew Hall. Moja posiadłość leży nad Tamizą, a służba jest mi oddana. Nie odwróć się od ciebie.

Isabel poczuła, że znowu zbiera się jej na płacz, a do tego ogarnął ją jakiś dziwny, trudny do nazwania stan i równie niejasny lęk. Skinęła głową.

- Dzięki, mój panie. Jest to oferta, z której być może któregoś dnia skorzystam.
- Pragnąłbym, abyś nigdy nie musiała się do niej uciekać.

- Tak, Isabel? Czy jest coś, co chciałabyś mi zakomunikować?

Jej mąż pracował do późna, jak zazwyczaj, zajmując się dyplomacją i sprawami państwowej wagi. Zawahała się przez chwilę, stojąc przed jego biurkiem, przypominając sobie ciemne oblicze Montgomery'ego. Ten obraz ją prześladował, odkąd się przypadkowo spotkali kilka godzin przedtem.

- Czy chciałbyś mi poświęcić chwilę uwagi, mój panie? - spytała zdenerwowanym tonem. Myślała zarazem: Cały dwór o tym nie wie. Montgomery się mylił. A Alvarado niczego nie

podejrzewa. W przeciwnym razie ona, Isabel, z pewnością by wyczuła niebezpieczeństwo.

Rozmawiali ze sobą głównie po francusku, choć de la Barca nauczył się nieco angielskiego, a ona z kolei mogła się dość prymitywnie wyrazić się, porozumieć po hiszpańsku, jeśli taka zachodziła konieczność.

Czekał. Jego twarz była maską, z której nie sposób było nic wyczytać. Ale też nigdy nie był wylewnym człowiekiem. Isabel natychmiast spojrzała mu w oczy i pomyślała, iż są zimne i bezwzględne. Odwróciła wzrok, myśląc z rozpaczą: Matko Boska, on wie!

Chwycił ją za ramię. Isabel nie zauważyła, że wstał. Jego dotyk wywołał u niej dreszcz trwogi.

- Czy coś się stało, moja droga?

Bez tchu ponownie spojrzała mu w oczy, znowu szybko spuszczać powieki w obawie, że wyczyta w jej wzroku winę.

- O czym pragniesz ze mną porozmawiać, moja droga?

Postanowiła się skupić. Jego ton głosu był, jak natychmiast zauważyła, niecodzienny - łagodny, opanowany, z odrobiną poczucia wyższości. Chyba sobie wyobraziła lodowaty chłód w jego oczach, a wszystko dlatego, że tak bardzo nastraszył ją Montgomery. Nie ma powodu do obaw. Rob i ona przecież zachowywali się bardzo ostrożnie. Wreszcie, po długim wahaniu, popatrzyła na męża. Ciągle jednak nie mogła spojrzeć mu prosto w oczy.

- Oczekuję dziecka, mój panie.

Przez chwilę wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Znowu ogarnął ją lęk. Jednakże zaraz potem Alvarado się uśmiechnął.

- Czekałem na ten dzień - rzekł.

- Ja również - odparła. Kłamała jak z nut.

- Nic zatem dziwnego, że raz jesteś blada, to znów się czerwienisz, jesz za trzech albo niczego nie chcesz tknąć - rzekł i podprowadził ją do fotela, domagając się, aby usiadła. - Kiedy możemy spodziewać się narodzin?

Uśmiechnęła się promiennie. Jej serce biło jak uwięziony ptak w klatce.

- Myślę, panie, że za pięć do sześciu miesięcy. Muszę jeszcze wezwać medyka. Chciałam najpierw powiadomić ciebie.

- To rozsądnie z twojej strony. Zresztą zawsze mądrze postępujesz, Isabel. I znowu radujesz mnie nieskończenie. Czy jest ktoś szczęśliwszy ode mnie? A więc sądzisz, że poczęłaś wkrótce po naszym weselu?

- Tak, zaraz po naszym ślubie - wyszeptała.

Kiwnął głową, uśmiechając się, następnie odwrócił się do stołu, nalał dwa kielichy białego wina.

- Musimy wznieść toast za nie narodzone dziecko, i uczcić także ciebie, moja piękna, inteligentna, lojalna żono.

Isabel wzięła kielich drżącą ręką, starając się zarazem wyczuć ironię czy groźbę w jego głosie. Nic takiego nie usłyszała. Montgomery też przecież nazwał ją kobietą inteligentną - Alvarado nie miał nic podstępного na myśli, tak ją określając. Wypili za pomyślne rozwiązanie. Następnie wyrazili pragnienie, aby pierwszy na świat przyszedł chłopiec. Wino smakowało jak ocet, poczuła ból żołądka.

Zawsze pragnęła mieć dziecko, ale nie w ten sposób, w takich okolicznościach. Serce bolało ją na samą myśl o tym. Zaczynała stopniowo pojmować rozmiary swej zdrady. Jak doszło do tak strasznej sytuacji? Kiedyś, nie tak dawno temu, była niewinna i godna zaufania, marząca o ognisku domowym, mężu, obowiązkach i miłości. No, ale przynajmniej niczego się nie domyślił. Gdyby podejrzewał zdradę, z pewnością by ją teraz zabił.

Alvarado wysączył wino i uśmiechnął się do niej.

- Nadszedł czas, moja droga.

Isabel zamarła.

- Czas na co?

- Nadszedł czas, abyś się szykowała do drogi. Pojedziesz do Hiszpanii. Mój syn musi się urodzić w Kastylii, gdzie ja przyszedłem na świat, podobnie jak mój ojciec, dziad, pradziad i tak dalej. - Wzniósł toast pustym kieliszkiem. - Wyruszysz na pokładzie statku z chwilą, gdy medyk podda cię badaniom i orzeknie, że nic ci nie dolega.

Isabel stanęła jak rażona piorunem. Rozszerzonymi oczami wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Opuścić dwór? Udać się do Hiszpanii? Teraz? Ale... Jak mogła rozstać się z Robem?

- Dołączę do ciebie, gdy tylko uporam się z najważniejszymi obowiązkami i mam nadzieję, że nastąpi to przed narodzinami dziecka - dodał.

Nadal stała jak słup soli. Nie, nie może odjechać. Po prostu nie dopuści do tego.

- Jestem tu tak szczęśliwa, panie, tu jest tak wygodnie...

- Wyruszysz stąd w ciągu tygodnia, o tym cię mogę zapewnić - oznajmił nieubłaganym tonem. - Już teraz rozpocznij przygotowania do podróży. - Z tymi słowami wyszedł.

Ich rozmowa się skończyła.

24 grudnia 1554 roku

Najdroższy Robie

Moje serce skręca się z tęsknoty za domem i za tym wszystkim, co jest dla mnie drogie. Och, Rob, brakuje w języku angielskim słów, które oddałyby moją samotność i rozpacz. Ta ziemia jest zimnym i jałowym miejscem. Budzi moją nienawiść. Nigdy nie stanie się dla mnie domem. Minęły prawie dwa miesiące, odkąd postawiłem stopę na tym cudzoziemskim brzegu, i drzę z trwogi, że nigdy nie będzie mi dane wrócić do Anglii, że ten obrzydły kraj pozostanie moim miejscem wiecznego spoczynku.

Jestem w rozpacz, żyjąc między służbą, której języka nie rozumiem, jedynie w towarzystwie Helen dla pociechy. Dziecko w moich łędźwiach rośnie nadzwyczaj szybko. Nawet medycy, którzy mnie odwiedzają, są dziwni i obcy; nie mogę ich pojąć. Przypuszczam, że ich uśmiechy i kiwanie głową oznacza, iż wszystko posuwa się dobrze, ale moja niedola jest tak straszna, że niewiele mnie to obchodzi. Jak bardzo brakuje mi chwil, które dzieliliśmy. Ciągłe marzę o Tobie. Jesteś zawsze w moim sercu i w moich myślach. W każdej minucie, godzinie, w każdym dniu rozmyślałam o tobie, boleśnie tęskniąc za powrotem do kraju. To zimne i odstręczające domostwo z murami wzniesionymi z kamienia stało się moim więzieniem, moim współmałżonkiem, moją kaźnią.

Proszę, poradź mi, co robić. Z tęsknotą wyczekuję twoich listów.

Twoja kochająca i oddana kuzynka, na wieczność twoja

Isabel

21 lutego 1555 roku

Moja najdroższa kuzynko

Zbyt wiele czasu upłynęło od naszej ostatniej konwersacji. Wspominam nasze spotkania zarazem ze smutkiem i z radością, a przede wszystkim z tęsknotą, licząc na przyszłe rozmowy. Jak Ci się wiedzie, najdroższa Isabel? Doszły mnie słuchy na dworze, że wszystko rozwija się w porządku, i aż trudno mi wyrazić moje zadowolenie. Zawsze z całym sercem myślę o twoim zdrowiu i szczęściu oraz o losie nie narodzonego dziecka.

Muszę się z tobą podzielić wieloma wiadomościami. Królowa ma się dobrze i wkrótce zlegnie. Choć Filip z entuzjazmem szykuje się na wiosnę do wojny z Francją, ona myśli o tym z pewną melancholią. W grę wchodzi też troska o kraj, jeśli poród się skomplikuje, a nawet podnosi się kwestie dziedziczności tronu. Nie chcę jednak rozprawiać na ten temat, mimo że myśli o tym nie odstępują mnie dzień i noc.

Protestanci buntownicy nadal wszczynają wszędzie powstania, a kwestii pokoju bynajmniej nie pomogła sprawa biskupa Hoopera, którego spotkał nędzny los. Został on w końcu spalony na stosie za herezję, wraz z wieloma innymi heretykami. Ich śmierć spowodowała protestantów do dalszego działania, szczególnie na południowym wschodzie. Moja droga kuzynko, jakżebyś pragnął, abyś była niedaleko i dzieliła ze mną troski, będące moim brzemieniem. Nasz kraj jest teraz podzielony w znacznie większym stopniu niż przedtem. Luteranie przeciwko kalwinom, anglikanie przeciwko katolikom. Niedawno byłem świadkiem, jak dwóch pastorów ukamienowało księdza. Obu ich szybko aresztowano, ale ksiądz, stary kapłan, już nie żył. Dobry Boże, jakich strasznych

*czasów dożyliśmy? Nie widzę końca tych konfliktów, pa-
sje bowiem są zbyt gwałtowne pośród wszystkich wal-
czących ze sobą stron.*

*Nie zamierzam zatruwać Ci dni takimi groźnymi prze-
powiedniami, ale, jak zawsze, jesteś jedyną osobą, z któ-
rą mogę się dzielić najbardziej prywatnymi myślami. Sta-
re zwyczajnie nie umierają tak szybko, jak się zdaje.*

Wyczekuję z nadzieją wieści z Kastylii.

Niech Bóg błogosławi Ciebie i Twoje dziecię,

Twój oddany, lojalny i głęboko kochający kuzyn

Admirał Robert de Warenne

ROZDZIAŁ 22

Dzień czwarty — godzina 17.00

Cass wpatrywała się w ekran komputera nie rozumiejącym wzrokiem. Tymczasem ekran rozjaśniał się i ściemniał, błyskał i przygasał, aż cały wypełnił się słowami bez żadnych znaków przestankowych.

JESTEM TERAZ TWOJĄ SIOSTRĄ JESTEM TERAZ
TWOJĄ SIOSTRĄ JESTEM TERAZ TWOJĄ SIOSTRĄ
JESTEM TERAZ TWOJĄ SIOSTRĄ JESTEM TERAZ
TWOJĄ

Cass poczęła się cofać - powoli, krok za krokiem, z sercem walącym w piersiach tak potężnie, że wydawało się, iż za chwilę rozsadzi żebra. Wreszcie odwróciła się i wybiegła.

Pędziła jak ścigana, wpadła do pokoju Tracey i stanęła jak wryta. Nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać, może Isabel leżącej w łóżku siostry. Tymczasem znalazła w nim nadal Tracey, śpiącą spokojnie jak dziecko.

O Boże - myślała, cofając się na palcach.

Ale obraz na ekranie komputera pozostał wryty w jej pamięci.

Ciągle widziała przed oczami te okropne słowa.

W holu rozejrzała się dzikim wzrokiem wokół siebie, ale nigdzie nie dostrzegła Isabel. Rzuciła się w dół po schodach. Musi natychmiast odnaleźć Antonia. Tracey groziło niebezpieczeństwo, a zresztą wisiało ono nad nimi wszystkimi - myślała z rosnącą paniką.

Gdy wbiegła do biblioteki, natychmiast zauważyła, że nie było w niej dzieci. Antonio stał na drabinie, zdejmując książki z górnych półek.

- Gdzie są dzieci? - krzyknęła w rozpaczy.

Antonio omal nie spadł ze szczebla. Po chwili zaczął ostrożnie schodzić.

- Cassandro. - Ujął ją za ramiona, mierząc wzrokiem. Cass uprzytomniła sobie, że się trzęsie ze zdenerwowania. - Co się znowu stało?

Chwyciła go za rękaw.

- Gdzie są dzieci?

- Alfonso wziął je na dwór, żeby trochę pobawiły się na świeżym powietrzu. Nic im nie jest.

Cass potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie. Chcę, żeby były tutaj, z nami.

Nadal na nią patrzył, trzymając ją za ramiona, pragnąc coś wyczytać z jej oczu, z twarzy.

- Co się stało? - mówił spokojnie, powoli.

- Miałam atak, podobny do tego, jaki zabił ciotkę Catherine. Nie mogłam oddychać, dławiłam się. Dusiły mnie jej przekłete perfumy!

- Ale już wszystko w porządku. - Objął ją ramieniem.

Cass nadal dygotała.

- Poszłam za nią do mojej sypialni. Na laptopie odkryłam wiadomość, nową wiadomość. - Poczowała przypływ mdłości. Co ta wieść oznacza? Nie chciała tego wiedzieć...

- Co ci przekazała? - zapytał z napięciem Antonio.

Spojrzała na niego, ponieważ miała wrażenie, że usłyszała lęk w jego głosie. To się zdarzyło po raz pierwszy. Strach. Ona była już jednym kłębkim nerwów, jednakże jego cechował dotychczas spokój. Boże, jakże go teraz potrzebowała - opamięnanego, silnego, racjonalnego. Niemniej najwyraźniej i jemu udzielił się strach - ujrzała to w jego oczach - który natychmiast wzmógł jej lęk.

- Chodź ze mną - rzekła głucho.

Wspięli się po schodach. Nie zdziwiło jej, że tym razem zastała laptop w tym samym stanie: czternastocalowy ekran

wypełniony jedną, koszmarną wiadomością, powtarzającą się bez końca - JESTEM TERAZ TWOJĄ SIOSTRĄ.

Antonio zbliżył się do komputera i utkwiał wzrok w ekranie.

Cass skuliła się w sobie.

- Nie rozumiem. Nie mogę tego pojąć. Nie chcę wiedzieć.

...To tak, jakbym się rozdwoiła na dwie różne istoty... moja lewa ręka nie mogła powstrzymać prawej...

Antonio zerknął na nią i przyciągnął ją do siebie. Cass wyrwała się z jego objęć.

- Nie - wyrzuciła z siebie, potrząsając głową.

Patrzył na nią badawczo.

- Czy ona nam mówi, że nawiedziła twoją siostrę, czy też że jest twoją siostrą? - zapytał cichym głosem. - Uważam, że to zasadnicza różnica.

...To tak, jakbym się rozdwoiła na dwie różne osoby... moja lewa ręka nie mogła powściągnąć prawej...

Jakże pragnęła nigdy nie usłyszeć tych słów! Czuła przerażenie. Podchodziła do samego krańca przepaści, gotowa do skoku i zupełnie bezsilna, nie mogąc sobie tego zakazać. W głowie zaczęło jej wirować.

- Na czym polega różnica? - wyszeptwała wreszcie. I była to straszliwa kapitulacja w obliczu prawdy.

Tym razem ujął jej rękę, przykładając do swego boku.

- Jeśli ona tylko do pewnego stopnia kontroluje mózg twojej siostry, to istnieje nadzieja. Można wyzwolić z tego Tracey i przepędzić Isabel.

Cass nie mogła oderwać od niego oczu.

- Czy jest jakaś nadzieja? Naprawdę? Przecież to ona zmusiła kogoś do zabicia elektryka. Sprawiała, że twoja babka zabiła dziadka. Za jej sprawą Catherine ściągnęła wzrokiem Eduarda prosto pod koła samochodu!

- Bo tak bardzo jest przepełniona gniewem - odparł spokojnie Antonio. - Jednakże nad gniewem można zapanować, a nawet pozbyć się go.

Cass patrzyła w zdumieniu.

- Zapanować? Pozbyć się? Czy zamierzasz być jej psychiatrą? Ona jest duchem, Antonio. Nie żyje od wieków. I na niczym jej nie zależy. Nie mam zielonego pojęcia, jak z nią

postępować. Może nie spocznie, póki nas wszystkich nie zabije! - Teraz dopiero Cass zauważyła, że zęby jej dygocą jak kastaniety.

- Nie wyobrażaj sobie najgorszego - odrzekł ostrym tonem. - Musimy być silni - umysłem. Jej gniew zaraża tych, którzy są zbyt słabi, aby się temu przeciwstawić. Cassandro, nie poddawaj się hysterii.

W jego głosie brzmiało ostrzeżenie. To również ją przestraszyło.

Uchwyciła się jego ramienia, myśląc bezładnie: Tracey nie jest silna. Tracey jest słaba.

- Czyli moja siostra jest idealną zdobyczą, prawda? - Znowu drżała jak w febrze.

- Musimy zamknąć Tracey w sypialni albo nawet przywiązać ją do łóżka na jakiś czas - odparł Antonio stanowczo.

Cass wpatrywała się z niego z rosnącą trwogą.

- Może masz rację - rzekła w końcu. Teraz już zbierało się jej na wymioty. - Myślisz, że to ona zabiła elektryka, prawda?

- Jeśli Tracey jest w to wmieszana, nie była wtedy sobą - odpowiedział suchym tonem.

Cass cofnęła się z wrażenia. Uważał Tracey za winną morderstwa - to było jasne, widać to było w jego oczach.

- A może to zrobił Gregory - wyrzuciła z siebie. - On coś ukrywa...

Antonio zamarł.

- Ach, to o tym myślisz?!

- Już nie wiem, co mam myśleć! - wykrzyknęła.

- To nie mój brat pojawił się utyłany w krwi po długiej i zagadkowej nieobecności - rzekł z gniewem.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, by wreszcie z bólem zrozumieć: kłócili się zażarcie, a więc i oni stanowili idealną pożywkę dla Isabel.

- Chodźmy! - krzyknął nagle Antonio, chwytając ją za rękę. Przebiegli przez dom, stanęli na dziedzińcu - ale dzieci śmiały się, rozbawione w słońcu, pod czujnym okiem Alfonsa.

Ich oczy się spotkały. Odwrócili się i wbiegli na schody.

Pokój Tracey był pusty.

Ciemność zaczynała ustępować.

I w miarę jak zamieniała się w szarość, jego umysł, niczym od dawna nie używany silnik, z trudem rozpoczynał rozruch, łapiąc nieco mocy.

Nagle ujawnił się ból - przeszywający ból - i kompletne skołowacenie. Nie mógł pojąć, co się stało i gdzie się znajduje.

I wreszcie wróciła jasność umysłu. Prawie umarł, ale jednak żyje.

Nie ruszał się, odzyskawszy teraz przytomność, skupiając się na bólu, który rozchodził się falami po całym ciele, z epicentrum w prawym ramieniu. Nic dotąd tak strasznie go nie bolało. Poczul też ból w kolanie - ciągłe uderzenia jakby metalowym młotem. Głowę mu po prostu rozsadzało.

I uzmysłowił sobie w końcu, że leży na dnie wąwozu na ostrym skalnym podłożu.

Niemniej żył. Powoli otworzył oczy, mrużąc je natychmiast, ujrzał bowiem nad sobą błękitne niebo, ciemne obłoki i ostre hiszpańskie słońce.

Wtedy dopiero przypomniał sobie, co się wydarzyło, do najmniejszego szczegółu. Wielka lora celowo zepchnęła go z szosy i rzuciła do wąwozu. Wstrzymał na chwilę oddech. Ale z pewnością to nie Isabel siedziała za kierownicą. Tę scenę musiała mu podsunąć wyobraźnia.

Szybko zamknął oczy, oddychał z trudem, czuł narastający strach. Kogo chce oszukać? Ona chciała go zabić. Bawiła się z nim w tę grę, odkąd był małym chłopcem, tylko teraz stała się naprawdę niebezpieczna: jej stawką było życie lub śmierć. Nie mógł zrozumieć, jak kobieta, która zmarła setki lat temu, mogła prowadzić ciężarówkę, ale w jakiś, sobie tylko wiadomy sposób, to zrobiła. I tym razem omal nie odniosła zwycięstwa.

Zacisnął zęby i spróbował usiąść. Ten wysiłek spowodował, że cały zlał się potem. Miał mokrą twarz i pierś, a ból w ramieniu okazał się tak straszliwy, że omal nie zemdleł. Znowu na moment zapadł w ciemność i z najwyższym wysiłkiem woli wrócił do przytomności, obawiając się, że jeśli ponownie zemdleje, to ona znowu się pojawi.

Wreszcie usiadł. Podtrzymał lewą ręką prawe ramię. Do-

szedł do wniosku, że panewka wyskoczyła ze stawu. Postanowił wpełznąć ją na miejsce.

Zanim jednak zabrał się do tego, rozejrzył się wokoło. Nie było żywej duszy.

Z nieco większą otuchą postanowił wstać. Wyprostował się z trudem, bo kolano bolało jak przestrzelone, i ujrzał nieduże drzewo. Pokuśtykał do niego, ciężko oddychając, następnie uderzył prawą ręką w pień. Rozległ się suchy trzask i ból prawie ustąpił.

Chryste - pomyślał, drżąc jak liść na wietrze. Od stóp do głów był zlany potem.

Odczekał, aż przejdzie mu atak mdłości i rozejrzył się po rozpadlinie. Nie była bardzo stroma, więc powinien dać sobie radę ze wspinaczką, ale biorąc pod uwagę stan kolana, może to zająć cały dzień. Nagle przez głowę przemknęła mu myśl o rodzinie pozostawionej w Casa de Suenos i serce zabiło mu z niepokoju. Isabel oddzieliła go od nich, prawie skutecznie się go pozbyła - czyżby sądziła, że zginął? I co zamierza zrobić z pozostałymi, odciętymi w willi? Ogarnęło go przerażenie.

I wtedy ujrzał rower.

Leżał w odległości kilkunastu metrów od miejsca, w którym teraz stał. Nawet stąd dostrzegł, że miał skrzywoną kierownicę. Ale jeśli opony nie zostały uszkodzone, może się uda. Stanęła mu przed oczami para dzieci bawiących się w bibliotece, a po chwili ujrzał złowrogą twarz Isabel. Pokuśtykał do roweru. Głowa zaczęła mu pękać. Dotknął potylicy, poczuł pod palcami jakąś lepką substancję. Domyślił się, że to krew.

Cokolwiek się stało, nie może teraz na to zważać - orzekł w myślach.

Rower, jakimś cudem, nie został zbyt uszkodzony. Był poobtłukiwany, kierownicę miał skrzywioną, ale w obu oponach znajdowało się powietrze. Podniesiony na duchu, Gregory podniósł go i mozolnie począł się wspinać na szosę. Kulejąc, przystając co chwila, posuwał się bardzo powoli, bo każdy krok stanowił zwycięstwo nad bólem. Co pewien czas zerkał na słońce.

Robiło się późno. Najwyraźniej stracił przytomność na wie-

le godzin. W kategoriach medycznych nie był to dobry znak, bo świadczył o wstrząśnieniu mózgu. Teraz Gregory miał przed sobą nie lada dylemat.

Mógł ruszyć z powrotem do domu i dotrzeć tam o połowę szybciej, niż zajęłaby mu droga do Pedrazy. Albo jechać wprost do Pedrazy.

Jednakże już podczas wspinaczki poczuł się słabo, był bliiski omdlenia. Posuwał się z najwyższym trudem; dystans dzielący go od szosy był niemal nie do pokonania. Jego kolano protestowało za każdym krokiem, a na karku czuł jakąś ciecz - pewnie krew - spływającą mu po szyi. Serce z wysiłku biło jak młotem, zupełnie nie podlegające kontroli, grożące arytmią. Gregory pojął w końcu, że nie zdoła w tym stanie dojechać do Pedrazy. Nie był nawet pewny, czy starczy mu sił, żeby dotrzeć do Casa de Suenos. Ale jadąc do domu, przynajmniej posuwałby się w dół.

Nie chciał zawracać.

Nie chciał również umrzeć.

Trzymając się za ręce, Antonio i Cass zbiegali schodami. Gdy wpadli do wielkiej sieni, Cassandra natychmiast wyrwała mu dłoni i otworzyła na oścież drzwi frontowe. Prześladowała ją tylko jedna myśl - gdzie jest Tracey?

Nagle, ku swemu zdumieniu, ujrzała Celię. Kobięcina zmierzała do domu, zataczając się z wyczerpania. Miała przekrzywione okulary, włosy w nieładzie, unurzana w błocie suknię, na dodatek splamioną krwią i podarta w wielu miejscach.

Cass krzyknęła i biegła w dół po paru schodkach.

Celia ujrzała ją i poczęła biec w jej stronę. Wybuchnęła płaczem.

Cass mocno przytuliła do siebie starowinę.

- Nic ci nie jest? - krzyknęła. - Co się stało?

Dołączył do nich Antonio.

- Pozwól, Celio, pomogę ci. - Wsparł ją ramieniem.

Celia spoglądała na Cass oczami rozszerzonymi z trwogi.

- Panienko, niech nas Bóg ma w swojej opiece, nie uwierz pani, co się zdarzyło. - Po jej twarzy spływały łzy.

Nagle Cass złąła się wyznań pokojówki ciotki.

- Wejźdźmy do środka. Jesteś ranna. - Dostrzegła na głowie Celi duże rozcięcie z zakrzepłą krwią oraz wiele drobniejszych cięć i zadrapań. Kobieta wyraźnie utykała.

- Tutaj straszy przerażający demon. - Celia jęknęła, gdy Antonio prowadził ją do wejścia. - Jesteśmy w jego władzy. To kobieta, próbowała mnie zabić.

Cass zatrzasnęła za nimi drzwi frontowe.

Celia gadała jak najęta.

- Ujrzelśmy w oknie pani siostrę, więc na jej widok Alyssa wybiegła z domu. Nie namyślając się ani chwili, pobiegłam za nią. To był koszmar! Wołałam ją, ona mi odpowiadała, szłam w kierunku jej głosu coraz dalej i dalej od domu. I wtedy ujrzałam tę kobietę - panienko, od razu wiedziałam, że ona nie jest z tego świata. - Celia dygotała jak w ataku febry.

Cass z trudem zbierała myśli. Spojrzała na Antonia, ich oczy się spotkały. Odgadła, o czym myślał. Alyssa wcale nie była daleko od domu, gdy ją odnalazł. Ktoś Celię celowo łądził i odciągał coraz dalej od Casa de Suenos.

- Uśmiechała się do mnie w taki ohydny sposób. - Celia ponownie się rozszlochała. - Odwróciłam się i ruszyłam biegiem przed siebie. O, panienko, nigdy przedtem nie spotkałam się z taką złością, z taką nienawiścią!

Cass zabrakło słów. Objęła pokojówkę, starając się tym gestem dodać jej otuchy.

- Ścigała mnie! A ja się potknęłam i spadłam ze skały. Skręciłam nogę w kostce, prawie straciłam przytomność. Wtedy ona zaczęła wzywać mnie po imieniu. Szeptem, ale bardzo wyraźnym. Nie wiem, może te głosy zrodziły się w mojej biednej głowie, może nie były realne. Ale brzmiały tak, jakby były prawdziwe!

- Wiem - uspokajała ją Cass. - Wiem, o czym mówisz.

Celia nie przestawa mówić.

- Ukryłam się. Nie wiedziałam, co innego można było zrobić w takiej sytuacji. Całą noc przesiedziałam w rowie, pod krzakami. A kiedy wstało słońce, ona zniknęła. - Celia usiadła ciężko na krześle. Zakryła twarz drżącymi dłońmi, cała dygotała z lęku.

- Ona ma na imię Isabel. Wiemy o niej - rzekła Cass,

głaszcząc ją po ramieniu. - Chce się zemścić na mojej rodzinie i na rodzie de la Barca. - Zastanawiało ją jednak, dlaczego Isabel nie posłużyła się Tracey, żeby odciągnąć Celię od domu. Pewnie dlatego, że wykorzystwała największą słabość Celi - jej miłość i przywiązanie do Alyssy. Spojrzała na Antonia i zauważyła w jego oczach błysk zrozumienia. Jego mina świadczyła o przygnębieniu.

Celia nie skończyła jeszcze swej opowieści.

- To nie koniec! Obudziłam się, żeby spostrzec, iż leżę obok nieżywej kobiety!

- Co?! - Cass zbladła jak ściana.

- A tak, spałam obok zwłok. Był to właściwie szkielet w zetlałych łachmanach. - Znowu zanosła się płaczem.

- O Boże - wyszeptała Cass, obejmując płaczącą Celię.

- Skąd pani wie, że to była kobieta, skoro zwłoki były tak dalece rozłożone, że został z nich tylko szkielet, a ubranie zmieniło się w łachmany? - zapytał Antonio.

Cass osłupiała. Głos Antonia zdradzał napięcie. Natychmiast pojęła, o co mu chodzi. Zastanawiał się - lub obawiał się, czy miał nadzieję - iż mogły to być zwłoki jego żony.

- Z powodu biżuterii. Na jej palcach zauważyłam przepiękny pierścionek zaręczynowy oraz obrączkę.

Antonio nie drgnął, nie odezwał się ani słowem.

Cass uniosła głowę.

- Antonio, czy Margarita nosiła pierścionek zaręczynowy i obrączkę?

Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem.

Zrozumiała, że odpowiedź brzmi „tak”. Poczuła dojmujący ból serca. Nie mogła teraz zastanawiać się nad powodem tego bólu.

- Celio, czy trafisz do tej rozpadliny? Mogłabyś nas zaprowadzić?

Pokojówka wskazała na północ.

- Tam jest wyschnięte koryto strumienia, może o kilometr od garażu. Szłam wzdłuż niego, by trafić do domu.

Na czole Antonia - Cass natychmiast to dostrzegła - pojawiły się krople potu. Pomyślała: Do zmroku pozostały najwyżej trzy godziny.

- A Alyssa? - spytała Celia, chwytając Cass za rękę. - Nic jej nie dolega?

- W porządku, jest bezpieczna. Antonio znalazł ją kilka minut po twoim wyjściu.

Celia z niewysłowioną ulgą oparła się plecami o krzesło.

- Bogu niech będzie chwała. Jest jeszcze litość na tym świecie.

Dzieci. Cass zerknęła na Antonia i od razu poznała, że on też o tym myśli. Podbiegła do drzwi, wyjrzała na dziedziniec i zobaczyła, że Alyssa z Eduardem siedzą na kamiennej ławce w towarzystwie Alfonsa, pogrążeni w rozmowie, która nie docierała do jej uszu.

- Hej, wy tam! - zawołała z udawaną radością. - Czas wrócić pod dach!

Odwróciła się w stronę Antonia.

- Słuchaj, może pobiegniemy wzdłuż tego wyschniętego strumienia i sprawdzimy miejsce, gdzie Celia ujrzała... - Zatrzymała się w pół zdania, bo do holu wkroczyła Tracey, trzymając w ręce napoczętą bułkę.

Cass zamarła.

.. Jestem teraz twój siostrą...

Tracey stanęła w pół kroku na ich widok.

Serce Cass poczęło walić jak młotem. Obrzuciła siostrę szybkim spojrzeniem. Tracey miała na sobie białą bluzkę z rozpiętymi guzikami, pod spodem mały podkoszulek i spłowiałe dzinsy jakiegoś kreatora mody. Rękawy zakrywały okropne rany cięte na rękach, a reszta ubrania zasłaniała inne obrażenia na jej ciele. Długie włosy nie były tknięte szczotką, ale lśniły czystością i były puszyste. Jej wzrok jaśniał, nie zdradzał najmniejszych oznak choroby psychicznej, a twarz, choć bardzo ściągnięta - Tracey była jeszcze chudsza niż zazwyczaj - nie zdradzała żadnych oznak niepokoju. A może to tylko złudzenie?

Cass ponownie spoglądała głęboko w jej błękitne oczy. Uświadomiła sobie, że Isabel także miała niebieskie tęczówki, ale jaśniejsze i bardziej błyszczące.

Bledsze, błyszczące i złowrogie.

- Hej - rzekła Cass, ciągle słysząc swoje walące serce.

- Hej - odparła Tracey, spoglądając na Antonia. Ugryzła kanapkę.

Wydawała się zupełnie normalna. Cass zerknęła na Antonia, ich oczy spotkały się na krótko, po czym znowu spojrzała na Tracey.

- Powinam była zgadnąć, że jesteś głodna. - Nie potrafiła zmusić się do uśmiechu.

- Umieram z głodu - odparła Tracey z uśmiechem, znów wgrzyzając się w bułkę.

- Jak się miewasz? - zapytała wolno Cass, czując rosnący lęk i niepokój.

- Wyczerpana - odrzekła Tracey. - Ale ogólnie lepiej, jak myślę.

Cass odetchnęła.

- Potrzebujesz odpoczynku.

- Tak, jestem tego samego zdania. - Tracey podeszła bliżej. - Co wy dwoje tak się na mnie gapiecie?

- Przepraszam - rzuciła szybko Cass. I aby siebie przekonać, czy ma do czynienia z osobą z krwi i kości, dotknęła jej ramienia. Było bez wątpienia realne, twarde i bardzo chude. To chyba była Tracey. - Życzysz sobie towarzystwa?

Tracey przełknęła i odparła:

- Idę odpocząć. Jestem naprawdę zmęczona. Nigdy nie byłam aż taka skonana. - Spojrzała z zalotnym uśmiechem na Antonia. - A my może porozmawiamy później.

Skinął głową.

- Doskonale.

Tracey obserwowała go z uwagą, po czym obrzuciła wzrokiem Cass, jakby wyczuwając, że coś się zmieniło podczas jej nieobecności. Cass była przekonana, że nie zdradziła się żadnym gestem z tym, co zaszło między nią a Antoniem. Nagle wzmogło się w niej poczucie winy, uśpione na krótko. Tracey uśmiechnęła się do nich obojga i weszła na schody.

Antonio i Cass stali, patrząc jak wspina się po stopniach, oddychając niemal w tym samym rytmie.

Na trzecim czy czwartym stopniu Tracey przystanąła, odwróciła się i popatrzyła na nich. Jej mina była trudna do rozgryzienia.

Cass uprzytomniła sobie, że ciałem dotyka Antonia. Stali przy sobie ramię w ramię, biodro przy biodrze. Posłała Tracey pokrzepiający uśmiech, ale jego efekt był raczej znikomy, ponieważ jednocześnie odsunęła się szybko od kochanka.

Tracey odwdzięczyła się półuśmiechem, odwróciła się i zniknęła z pola widzenia.

Cass wsparła się na Antoniu.

- Ona jest w porządku. Nic jej nie dolega. Absolutnie nic.

- Cassandro, posłuchaj. Ja idę sprawdzić tę rozpadlinę. Ty zostajesz tu ze wszystkimi do mojego powrotu.

Natychmiast ogarnęła ją trwoga.

- Nie, pójdę z tobą. Teraz wszystko jest pod kontrolą, Tracey wyzdrowiała. Wrócimy do domu przed zmrokiem.

Nie odpowiedział. Ruszył do wyjścia.

Pobiegła za nim.

- A może napiszemy opowieści? Bardzo lubię je pisać. W naszej szkole musieliśmy w tym roku ułożyć książki, każdy swoją - rzekła Alyssa. - Nawet je wydaliśmy.

- Czy mogę napisać swoją opowieść po hiszpańsku i potem ją przełożyć dla ciebie? - spytał Eduardo. Oboje siedzieli w bibliotece, Alfonso przyrządzał w kuchni wczesną kolację. Celia spała na sofie, przykryta wełnianym kocem.

Alyssie spodobał się ten pomysł. Uśmiechnęła się do chłopca.

- Chętnie nauczyłabym się twojego języka. W szkole uczą nas francuskiego, ale teraz, gdy zostaliśmy przyjaciółmi, żałuję, że nie mamy lekcji hiszpańskiego.

- Mogę cię nauczyć - rzekł Eduardo z błyskiem w orzechowych oczach.

Do pokoju wszedł Alfons, niosąc dużą tacę.

- *La comida, pequenos* - zakomunikował.

- Kolacja - dodał Eduardo. - Ale jestem głodny! A ty?

- Ja też - odparła z uśmiechem dziewczynka. Nie znosiła tego kraju, ale przynajmniej zdobyła przyjaciela, może nawet serdecznego przyjaciela. Nagle kątem kąta dostrzegła coś, co ją zaniepokoiło.

Poczuła, że serce w niej staje z trwogi. Obróciła się i ujrzała w drzwiach matkę.

Poderwała się z podłogi. Instynkt kazał jej podbiec w kierunku sylwetki stojącej w progu, natychmiast jednak przypomniała sobie, co się stało, gdy zobaczyła matkę stojącą pod oknem. Zamarła. Serce zaczęło się jej tłuc w piersiach.

- Mamo - wyszeptwała.

Tracey uśmiechnęła się do córeczki.

- Hej, kochanie.

Alyssa zamrugała powiekami. To była jej mama - z pewnością nie uległa iluzji. Nie jest ofiarą własnej wyobraźni, a postać w drzwiach nie jest duchem.

- *Senora?* - Alfonso postawił tacę na stole. - *Puedo ayudarte?*

W tym momencie obudziła się Celia.

- Tracey? - wykrzyknęła.

Ta jednak - odnosiło się w wrażenie - nie zwracała najmniejszej uwagi na dwoje dorosłych. Nadal uśmiechała się do Alyssy. Co się dzieje? Przecież mamie nic jest? Alyssa wpatrywała się w matkę, która wydała się jej najpiękniejszą, najelegantszą kobietą pod słońcem.

- Mamusiu, czy czujesz się już lepiej?

- Czuję się świetnie. - Nie odrywała oczu od córki. - Alysson, chodź ze mną. Po prostu zrób, co ci każe.

Alyssa była gotowa posłuchać matki, ale jej stopy nie chciały oderwać się od podłogi.

Zauważyła, że Eduardo wstaje powoli, podpierając się kulanami.

- Alysson, proszę tu podejść - powtórzyła Tracey.

- Czego... czego panienka chce? - Celia siadła na sofie, zaniepokojona tą sceną.

Tracey nawet nie zaszczyciła jej spojrzeniem.

- *Senora*, Celia pragnie się dowiedzieć, dokąd pani zamierza pójść. - Eduardo mówił tak, jakby Tracey wymagała tłumacza.

Odwróciła się w jego stronę bez cienia uśmiechu. Jej oczy błyszczały jak kulki rtęci.

- Chcę porozmawiać z moją córką.

- *Senora. La comida. Ahora.* Kolacja. Tutaj. - Alfonso szczyrzył zęby w uśmiechu. - Z... dzieciarni.

- Nie mam ochoty na jedzenie - orzekła Tracey.

Celia nie wiedziała, co począć.

- Tracey, nic ci nie jest?

Alyssa nagle nie mogła zaczerpnąć tchu. Mama mówiła dziwnym tonem, zachowywała się dziwnie. Jej oczy były obce. Nawet uśmiech budził grozę.

Tracey nie odpowiedziała.

- Alyso, idziemy.

Dziewczynka nie mogła ruszyć się z miejsca. Coś niedobrego działo się z jej mamą. Strasznie niedobrego. Ogarnęło ją przerażenie.

- Czy słyszałaś, co mówię?

Alyssa przytaknęła.

- Może zostaniemy tu wszyscy - poprosiła szeptem.

Eduardo przykuśtykał do niej i stanął obok. Alyssa przyjęła ten gest z wdzięcznością.

- Tracey, chyba jesteś wyczerpana — wtrąciła Celia. - Może spróbujesz coś zjeść? - Uśmiechnęła się pojednawczo.

Tracey rzuciła na nią okiem, jakby po raz pierwszy zauważyła jej obecność. Odwróciła się ponownie do córki.

- Alyso. Staną się straszne rzeczy. Masz ze mną pójść.

Celia zerwała się z sofy.

- Tracey!

Alyssa przeraziła się nagle matki. Dlaczego tak dziwnie się zachowuje? Stała jej przed oczami inna kobieta - duch. Ta, o której miała koszmarne sny, ta, która szła za nią na dwór. I o co teraz mamie chodzi? Jakie straszne rzeczy mają się zdarzyć?

- Nie chcę pójść - wyszeptała zbielełymi ustami.

Alfonso podszedł do Tracey ze stanowczą miną. Trzymał talerz z zupą.

- *La sopa. Ahora.*

- Nie wtrącaj się! - wrzasnęła Tracey, uderzając go na odlew w twarz.

Alyssa z przerażenia nie mogła wydobyć krzyku z krtani, gdy talerz wyleciał z rąk Alfonsa, a on ciężko upadł na pod-

łogę, mocno uderzając się w głowę. Rozległ się głośny okrzyk - to Celia zareagowała na tę brutalną akcję.

- Alfonso! - wykrztusił Eduardo.

Dziewczynka chciała podbiec do leżącego; Alfonso się nie ruszał, miał zamknięte oczy. Pomyślała z przerażeniem, że może umarł. Tymczasem Celia zerwała się ze swego miejsca i pierwsza ukłękła przy nieruchomym mężczyźnie.

Alyssa stała jak słup soli, myśląc z rozpaczą, że matka go zabiła.

- Alfonso! - krzyczał Eduardo. Zbliżał się do niego o kulach, z wyrazem trwogi na twarzy.

Tracey zniemacka ruszyła od drzwi zdecydowanym krokiem. Alyssa jęknęła, gdy matka schwyciła ją za ramię.

- Powiedziałam ci, żebyś przyszła do mnie. Jak śmiesz być nieposłuszna?

Przepraszam - chciała wyjąkać, ale się rozpłakała, przerażona zachowaniem własnej matki, która uderzyła, a może nawet zabiła starszego pana. Szloch ścisnął jej gardło, nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Proszę jej nie krzywdzić - wyszeptał Eduardo.

- Proszę... pójść... ze mną - wycodziła przez zaciśnięte zęby Tracey, ciągnąc Alysę za rękę.

- Tracey! Puść ją! Błagam! - krzyczała Celia.

Alyssa nie chciała iść i zaparła się nogami. Tracey mimo to ciągnęła ją przez cały pokój ku wyjściu.

- Proszę - piszczała dziewczynka. - Nie każ mi iść. - Ku swemu przerażeniu poczuła, że złała się w majtki.

Tracey szarpnęła nią.

- Nie słyszysz, co ci każę?

Alyssa kiwnęła głową z oczami utkwionymi w wychudzonej, ale nadal pięknej twarzy matki. Łzy płynęły jej strumieniem, a serce pracowało jak ogromna pompa, dudniąc w całym ciele. Gdzie się podziała ciocia Cass? Modliła się w duchu, żeby wróciła.

- Proszę ją puścić! - krzyknął Eduardo, kuśtykając w ich stronę. - *Senooora!*

Tracey ścisnęła ramię córeczki i z jeszcze większą mocą wywlokła ją z pokoju.

- Nie! - darła się Alyssa. Usiłowała stawiać opór, ale nic to nie pomagało. Matka była od niej dużo silniejsza. - Eduardo, Celia! - Patrząc na nich przez łyżki, widziała ich pobladłe twarze. - Nie opuszczajcie mnie! Proszę! Nie zostawiajcie mnie!

Celia stała jak sparaliżowana, Eduardo usiłował podbiec, podpierając się kulami.

Alyssa pojęła, że matka chce ją wyprowadzić. Teraz ciągnęła ją w dół schodami. Była tak napięta, że twarz przypominała maskę z płonącymi dziko oczami. Osaczona dziewczynka uprzytomniła sobie, że z jej matką dzieje się coś strasznego, ale nie umiała tego nazwać. Po chwili jakieś drzwi otwarły się z hukiem.

Alyssa zatrzymała się w progu, widząc przed sobą ziejącą czarną przepaść.

I wtedy została do niej wepchnięta.

Wydała z siebie krzyk, gdy straciwszy równowagę, spadała po stromych kamiennych schodkach, aż wreszcie ciężko wylądowała na ostatnim stopniu.

- Mamo - wymamrotała.

Odpowiedziała jej cisza.

Skuliła się w miejscu upadku, bojąc się ruszyć.

- Mamusiu!

Tracey nie zareagowała. Zamiast tego z całych sił trzasnęła drzwiami. Ten dźwięk wydał się dziecku przerażający i ostateczny. Po nim rozległ się metaliczny szcęk zapadki w zamku.

- Mamusiu, mamusiu, nie zostawiaj mnie tu! - krzyczała z rozpaczą Alyssa.

ROZDZIAŁ 23

Dzień czwarty - godzina 20.00

Chyba po raz setny Cass zerknęła za zegarek. Dochodziła ósma wieczorem.

- Nigdy nie odnajdziemy tego wawozu! - krzyknęła. Antonio właśnie wynurzył się z wyschniętego koryta strumienia i wspinał się po zboczu. - Musimy zawrócić. - Obejrzała się przez ramię. W zapadającym zmroku dom z tej odległości był już niewidoczny. Wiedziała z doświadczenia, że za jakieś czterdzieści pięć minut zapadnie ciemność...

Musieli wracać. Cass zadrżała, jednakże nie z powodu zimna. Przemknęło jej przez myśl, że nadchodząca noc znowu oznacza przerażenie. Isabel szaleje, więc nie można zostawić dzieci samych, trzeba je chronić wszelkimi siłami.

Nagle usłyszała przeciągły jęk Antonia.

Widziała, jak przeciska się przez gęste krzaki, pojawiając się i znikając z zasięgu jej wzroku.

Pobiegła w jego stronę. Kiedy znalazła się na szczycie wzgórka, ujrzała, jak stoi pochylony, wpatrując się w coś u swych stóp. Nie było wątpliwości, na co natrafił.

Przystanąła na chwilę, a on tymczasem przykląkł z oczami utkwionymi w ziemię.

O Boże. Czy w końcu odkryli po tych wszystkich latach szkielet Margarity?

Poczuła wewnętrzne rozdarcie. Jedna część w niej miała nadzieję, że tak, a druga obawiała się tej odpowiedzi.

Powiedziała sobie w duchu, że będzie jak będzie. Antonio

musiał wreszcie poznać prawdę, a jak zareaguje, nie ma to dla niej znaczenia. Ich życie stało się koszmarem ze względu na komplikacje, jakie spowodowała Isabel. Nie mieli szans na wspólną przyszłość. Zresztą wcale tego nie pragnęła, ani teraz, ani kiedykolwiek później.

Miała siostrą, którą musiała się troskliwie zająć, oraz siostrzenicę. Nie miałyby nawet czasu skupić się na czymkolwiek innym.

Z wyraźnymi oporami zaczęła schodzić stromym kamiennym zboczem rozpadliny. Nie dochodził stamtąd żaden zapach zgnilizny, ponieważ całe ciało uległo rozkładowi. Kości były pokryte kurzem, ale pozostały zupełnie nagie.

Antonio zamarł w miejscu. Cass zbliżyła się do niego z tyłu i uklękła obok. Wzrok miał wbity w spłowiałą szmatkę morelowej barwy, dopiero potem zauważyła na ręce kościotrupa błyszczący pierścionek z brylantem.

Podniósł się. Obserwując jego minę, Cass nie miała już cienia wątpliwości, że natrafili na doczesne szczątki jego żony. Podniosła się z kolan.

- Musimy wracać. - Podjął wspinaczkę w górę.

Szybko ruszyła za nim. Wiedziona odruchem, chwyciła go od tyłu za ramię, zatrzymując na chwilę.

- Bardzo mi przykro.

Wreszcie na nią spojrział. Jego twarz zamieniła się w maskę, z której nie można było niczego wyczytać.

- Mnie również. - Wyszarpnął rękę i ruszył przed siebie.

Cass patrzyła na jego poruszającą się sylwetkę. Co, do diabła, miało to znaczyć? Czy nadal ją kocha? Czyżby ogarnęła ją zazdrość?

Powietrze wokół lekko drgnęło.

Od ziemi doleciała ją lekka słodycz - zapach fiołków.

Jej puls przyspieszył do szaleństwa. Isabel zaraz się tu zmaterializuje - pomyślała z trwogą. Przyspieszyła kroku, mając nadzieję, że zostawi ją za sobą. Dogoniła Antonia, gdy schodził po drugiej stronie wzgórka, razem dotarli do koryta wyschniętego strumienia. Mocno wciągnęła powietrze. Nie wyczuła śladu fiołków. W pobliżu nie było żywej duszy, Isabel nie zagroziła im drogi. Czyżby sobie wyobraziła jej dotyk?

Czy wymyśliła sobie zapach fiołków? Ponownie zaciągnęła się powietrzem. Nie mogła się zdecydować, czy coś czuje, czy tylko ulega złudzeniu. Na chwilę zamknęła oczy.

Pomyślała, że w ten sposób pozwala tamtej na dostęp do siebie. Strach oznaczałby pewną śmierć.

Antonio szybko podążył w kierunku domu. Cass musiała podbiec, żeby go dogonić. Gdy wreszcie zrównała się z nim, uzmysłowiła sobie, jaki jest przybity. Nie mogła przejść nad tym do porządku dziennego więc, tknięta współczuciem, spytała stłumionym tonem:

- Jakoś sobie z tym radzisz?

- Nie.

Skronie, które ćmiły ją od kilku godzin, nagle eksplodowały.

- Przecież to nie twoja wina. - Prawie biegła, by dotrzymać mu kroku.

Obrócił się gwałtownie; ujrzała przed sobą człowieka w furii. Nigdy nie spotkała się u nikogo z takim ładunkiem gniewu.

- Nie moja wina?! Ona błagała, abysmy wrócili do Madrytu! Błagała, Cassandro. Głosy. Słyszała głosy w nocy. Skarżyła się na sny. Nie na sny, na koszmary. Pojawiała się w nich kobieta, która szeptała do niej, groziła. Zagrażała jej życiu. Margarita dosłownie truchlała, a ja się śmiałem z jej strachu, ponieważ moja praca była dużo ważniejsza od wsłuchiwania się w jej skargi, zrozumienia jej sytuacji, powrotu do domu. A więc nie mów, że to nie moja wina! A na przyszłość nie wtrącaj się, do cholery, w nie swoje sprawy.

Cass skuliła się jak od potężnego, niespodziewanego ciosu.

Antonio obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie.

Nie mogła zrobić kroku. Czuła się tak, jakby została postrzelona z dubeltówki, z obu luf naraz. Nie wtrącaj się, do cholery, w nie swoje sprawy? Czy nie powiedział jej zaledwie parę godzin przedtem, że jest w niej zakochany? Co się z nimi dzieje?

Antonio potknął się i przystanął.

Popatrzyli na siebie. Cass doszła do wniosku, że jego oczy były równie wielkie z trwogi i przerażenia, jak jej własne.

- To ona - szepnęła. - Ona to robi. To jej wściekłość, nie twoja. Antonio, ona zatruwa twój umysł.

Patrzyli na siebie bez słowa. W końcu Antonio rzucił:

- Musimy jak najszybciej wrócić do domu.

Ruszyli biegiem.

- Mamusiu, mamusiu, proszę cię, przyjdź! - łkała Alyssa.

Ale Tracey odeszła i dziewczynka doskonale zdawała się z tego sprawę. Nagle zamarła, słysząc nad sobą, na schodkach, jakiś szelest. Poczęła gwałtownie się trząść, zastanawiając się z rozpaczą, co to może być - szcur? Wąż?

Przypomniała sobie jednak, że w domu, nawet tak starym jak ten, węże nie mieszkają, i nowe łzy spłynęły po jej twarzy.

Zdała sobie sprawę, kto tam chodzi. Duch.

Nie, nie zwykły duch. Duch tamtej.

Tej strasznej kobiety z jej snów, która jej teraz wmawiała, że jest jej matką, i poprzedniego wieczoru wypędziła ją z domu.

Alyssa dygotała jak w febrze i znowu zsiusiała się w majtki.

Na schodkach rozległy się czyjeś dudniące kroki.

Dziewczynka z przeraźliwym wrzaskiem zerwała się na równe nogi, odskakując jak najdalej od miejsca, w którym upadła. Z impetem odbiła się od ściany.

- To ja - szepnął Eduardo. Jego głos zwielokrotniło echo.

- Eduardo! - wykrzyknęła z ulgą. Zrozumiała teraz, że ów dziwny dźwięk, który doszedł przed minutą do jej uszu, był odgłosem jednej z jego kul spadającej ze schodków.

- Nic ci nie jest? - zapytał chłopiec zdławionym głosem.

- Jestem taka przerażona - odparła. W tym momencie przypomniała sobie niemal obłąkaną twarz matki i znowu się rozpłakała. Jak jej własna mama mogła jej zrobić taką krzywdę? Dlaczego to zrobiła? Wokoło nie było nikogo, nawet ciotki Cass, którą kochała bardziej niż własną matkę. Bo mama jej nie kochała. Wcale nie chciała być jej matką i dlatego wychowywała ją ciotka.

Czy mama jej nienawidzi? Czy chce ją zabić? Czy dlatego wrzuciła ją do tej czarnej czeluści pod domem? Żeby tam

umarła? Aby jej piękna mama była znowu wolna i mogła podróżować po całym świecie i pozować do zdjęć dla prasy z kolejnymi narzeczonymi?

Alyssa czuła, jak jej serce dosłownie pęka.

Eduardo z wysiłkiem schodził po schodkach, ostrożnie stawiając jedyną kulę. Alyssa jeszcze bardziej zdrętwiała ze strachu.

- Nie przychodź tu, zrobisz sobie krzywdę! - krzyknęła. - Czy masz obie kule? Jak się tu dostałeś?

- Została... mi... tylko... jedna - wykrztusił, ciężko dysząc. - Wślizgnąłem się, zanim twoja matka zatrasnęła drzwi.

Oczy dziewczynki zaczęły przyzwyczajając się do ciemności i choć wewnątrz komórki było nadal czarne, dostrzegła jakieś dwie ciemniejsze plamy w pobliżu miejsca, w którym stała. Ciagle bała się ruszyć.

- Czy myślisz, że tutaj są myszy i szczury?

- Nie... wiem - odparł z trudem, ciągle waląc w schodki jedyną kulą. - Ale... one... też się nas... zląkną.

Alyssa nabrała powietrza w płuca, pragnąc dodać sobie odwagi i po omacku poczęła się posuwać naprzód, aż dotknęła stopą czegoś, co było pewnie kulą chłopca.

- Poczekaj - szepnęła. - Znalazłam twoją kulę.

Odzyskawszy ją, nadal pełzała, aż dotarła do podstawy schodków.

- Gdzie jesteś? - Oparła się rękami na drugim schodku.

- Tutaj - usłyszała szept nad swoją głową.

Wyciągnęła rękę z kulą i poczuła radość, gdy Eduardo sięgnął po nią. Wspięła się po kilku stopniach, by znaleźć się koło niego. Objęła go mocno.

- Dziękuję - wyszeptała - że nie zostawiłeś mnie samej.

- Nie ma o czym mówić - odparł nonszalancko. Uściskał ją z całych sił.

Wyczuła, że Eduardo się uśmiecha.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

- Nie wiesz? Przecież to twój dom.

- Byłem tu przedtem tylko raz i nawet nie pamiętam kiedy.. Chyba jesteśmy w lochach - dodał cichym głosem.

Alyssa wiedziała wszystko o lochach. W końcu wychowała

się w Anglii. A co będzie, jeśli się okaże, że stoją wśród trupów? Zadrzała.

- Dlaczego ona to zrobiła? Dlaczego zrobiła to mnie? - Nie mogła dokończyć ostatniego słowa.

- Nie wiem. Ale się nie przejmuj. - Alyssa była niemal pewna, że Eduardo uśmiecha się odważnie. - Znajdą nas. Zobaczysz. Mój ojciec i twoja ciotka są tacy inteligentni. Zaraz trafią na nasz ślad.

Dziewczynka liczyła w duchu, że się nie myli.

- Ale co się stanie, jak nas nie znajdą? - szepnęła. - Co z nami wtedy będzie?

Eduardo nie odpowiedział,

Alyssa domyśliła się dlaczego: nie wiedział, co powiedzieć.

I znowu drzwi frontowe do Casa de Suenos były uchylone, choć zostawili je zamknięte. Wymienili spojrzenia, wbiegli na schodki i wpadli do sieni. I wtedy usłyszeli jęk Alfonsa.

Wpadli do biblioteki. Antonio krzyknął, Cass ujrzała Alfonsa siedzącego na podłodze, a Celia przykładała mu mokrą chusteczkę do głowy. Stary był tak blady, że odnosiło się wrażenie, iż lada chwila zemdleje. Pokojówka też była biała jak prześcieradło. Prócz nich nie było nikogo. Dzieci zniknęły.

Cass minęła Antonia i wbiegła do pokoju. Gdy wyrzucała z siebie pytania, wiedziała, że nie powinna obwiniać tych dwojga starych ludzi, bo zdawała sobie sprawę, że jest to dzieło Isabel, ale mimo to słowa wypowiadały się same, bez udziału jej woli.

- Gdzie są dzieci? - wrzasnęła z furją. - Dlaczego nie ma ich z wami?

Alfonso skurczył się w sobie, próbując coś wyjaśnić, jękał się w języku, którego nie znała.

Cass wydała z siebie jęk, łapiąc się za głowę. Chodziła nakoło jak w gorączce. Oczyma wyobraźni widziała najstraszniejsze sceny. Gdy Antonio przykucnął przy starym śłudze, Celia krzyknęła;

- Panienko, to zrobiła pani siostra!

Cass obróciła się gwałtownie.

. - Co?!

Celia miała tak strapioną minę, że Cass poczuła, jak jej wnętrzości skręcają się z trwogi.

- Ona tu przyszyła i kazała Alyssie pójść ze sobą. Kiedy Alfonso chciał jej podać talerz zupy, z całej siły go uderzyła. Błagałam, aby nie odchodziła, żeby została z nami w bibliotece. Robiła wrażenie, że w ogóle mnie nie słyszy. Alyssa nie chciała z nią wyjść, ale nie miała wyboru. - Celia była na granicy łez. - Chłopiec wybiegł za nimi, niech go Bóg błogosławi.

Serce Cass zamarło w piersi. Kiedy zaczęło znowu bić, nie mogła nabrać powietrza do płuc.

- Przecież nie skrzywdziłaby własnego dziecka.

Celia westchnęła głęboko. Chciała coś powiedzieć, ale zanim zdążyła się odezwać, wtrącił się Antonio.

- Ona już nie jest dawną Tracey - orzekł z błyskiem w oczach. - Nie wiesz, do czego jest zdolna.

Cass się cofnęła.

- Widziałeś ją dwadzieścia minut temu. Była w doskonałej formie. Świetnej. Niech cię szlag trafi! - Ruszyła w stronę drzwi. Antonio chwycił ją za nadgarstek, obracając twarzą do siebie.

- Nie! Nie jest w świetnej formie! Straciła pamięć i ktoś zabił elektryka. Tak samo jak ktoś zabił moją żonę!

Cass zadygotała i wyrwała rękę.

- Tracey z pewnością nie ma nic wspólnego ze zniknięciem i śmiercią twojej żony. - Wyrzekła te słowa z mściwą satysfakcją, zdając sobie w głębi ducha sprawę, że jej uciecha niczemu dobremu nie służy.

- Omal nie zabiła mojego służącego! - wybuchnął Antonio. - Krwawi, trzeba mu zaszyć ranę!

Cass nie znalazła na to odpowiedzi.

- Jestem pewna, że dzieci są z Tracey albo w kuchni, albo na dziedzińcu. Zaraz tam pójde i je odnajde. - Ruszyła biegiem do drzwi.

- Panienko! - krzyknęła Celia.

Cass nie chciała słyszeć, co Celia ma jej do zakomunikowania. Ignorując wołanie, wybiegła do holu. Nie mogła zebrać myśli, w jej głowie kręciła się jakaś szalona karuzela.

Antonio podbiegł do niej. Nie zwracała na niego uwagi.

- Alyssso, Alyssso! Gdzie jesteś? - krzyczała na cały głos. Znowu złapała ją za rękę, obracając ku sobie.

- Posłuchaj mnie! - ryknął.

- Odwal się! Muszę znaleźć swoje dziecko! - spostrzegła, że się przejęzyczyła, ale nic ją to nie obchodziło. Liczyło się tylko odnalezienie Alyssy. Tylko na tym jej zależało. Tracey nie zrobi dziecku krzywdy. Nawet wówczas, gdy Isabel będzie czyhała na nią jak na zdobycz. Na miłość boską, przecież Tracey jest matką!

Jednakże Antonio trzymał ją mocno za obie ręce i unie-możliwiał zrobienie kroku.

- Cassandro, stój. Przepraszam cię. Bardzo przepraszam!

- Nie mamy na to czasu - odwarknęła, ale przestała się wrywać. Znowu się rozpłakała. Czuła, jak łyzy parzą jej po-wieki.

- Nie. Musimy przez chwilę porozmawiać. Posłuchaj. Ona chce nas ze sobą skłócić. Z najwyższym trudem staram się jasno myśleć. Ciągle mam przed oczami Margaritę i czuję taką rozpacz, taką wściekłość... To nie może stanać między nami. Jeśli istnieje jakaś szansa rozsąpania tego węzła, musimy popierać się wzajemnie. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Cass poczuła łyzy spływające po policzkach. Machinalnie skinęła głową, choć odnosiła wrażenie, że jej mózg coraz szybciej wiruje, że ogarnia ją obezwładniająca słabość.

- Ona nas rozdziela - szepnęła. - Dzieli, by nami rządzić.

- W ten sposób skłóciła mnie i moją żonę, twoją ciotkę i mego ojca, mojego dziadka i babkę! - Potrząsał nią, trzy-mając za ramiona.

Cass w końcu spojrzała mu w oczy.

- Tracey nie skrzywdzi Alyssy... prawda?

Ujął jej twarz dłońmi.

- Uważam, że Isabel jest znacznie silniejsza niż Tracey. Cassandro, słuchaj uważnie. Kocham cię. I potrzebuję. Oboje jesteśmy sobie potrzebni. Nie zostawiaj mnie teraz.

Stała bez ruchu, z sercem tłukącym się dziko, z oczami utkwionymi w jego oczach.

- Zaufaj mi — rzekł.

Jej mózg reagował jak po zażyciu środka odurzającego, niezdolny do racjonalnego myślenia, gotów do wybuchu hysterii i paniki. Mimo to zdawała sobie sprawę, że Antonio ma rację, więc wolno kiwnęła głową.

I wówczas jego wyraz twarzy gwałtownie się zmienił.

Usta wygięły mu się w obraźliwym grymasie, w jakimś odrażającym pożądanym. Twarz się wyciągnęła. Skóra napięła się i stała się gładka niczym alabaster, błękitne oczy zapłonęły nienawiścią.

Krzyknęła głośno.

- Cassandro? - To był bez wątpienia Antonio, który trzymając ją mocno w ramionach potrząsał nią, przerażony jej wyglądem. - Cassandro! Bądź silna! Nie pozwól jej zapanować nad sobą! Czy mnie rozumiesz?

Wpatrywała się w niego, powtarzając w duchu dwa słowa jak refren: Zaufaj mi.

Wyzwoliła się z jego uścisku. Patrzyła ciągle na niego, doszukując się w jego rysach podobieństwa do Isabel. Trwoga jej nie opuszczała. Zaufaj mi.

- Muszę znaleźć Alysę.

- Dobrze. - Kiwnął głową, uspokojony. - Rozdzielmy się. Pójdiesz na górę czy na dół?

- Na dół. - Cass nie czekała na jego odpowiedź. Nie mogła wymazać z pamięci obłąkanej sceny, gdy nagle przemienił się w Isabel. Chciała jak najszybciej uciec. Odwróciła się i ruszyła biegiem przez sień, wołając głośno imię siostrzenicy.

Kocham cię. I potrzebuję. Zaufaj mi.

Nie mogła.

To była zasadzka.

Dzieci nie było ani na dole, ani na dziedzińcu, ani w domku Alfonsa, ani w garażu, ani w samochodzie. Boże, spraw, żeby Antonio odnalazł je na górze. Cass, stojąc przed drzwiami frontowymi, obracała się powoli, żeby nie przegapić żadnego punktu, w którym mogłaby je odkryć. Jej wzrok napotkał káplicę.

Było to ostatnie miejsce, do którego jeszcze nie zajrzała. Świątynię wzniesiono na planie kwadratu, miała wysokość

piętra, była pokryta czerwoną dachówką i przylegała do głównego domu. Cass poczęła się jej uważnie przyglądać. Drzwi prowadzące do jej wnętrza były zamurowane chyba wieki temu, nie wiadomo dlaczego. Pod dachem znajdowały się dwa okna ze ściemniałymi od starości witrażami; pośrodku każdego z nich widać było krzyż. Wielki krzyż zdobił też kamienie, którymi zamurowano wejście.

Cass poczuła, jak włosy jeżą się jej na karku. Wolno zawróciła do domu. Do kaplicy można było wejść jedynie z holu.

Gdy naciskała przerdzewiałą klamkę, przemknęło jej przez myśl, że zaraz stanie się coś strasznego, że nie powinna tam wchodzić. Jednakże zrobiła głęboki wdech i powoli pchnęła drzwi.

To, co ujrzała, przekroczyło wszelkie oczekiwania: siostra klęczała przy ołtarzu, zatopiona w modlitwie.

Na ołtarzu płonęły setki czerwonych świeczek, wokoło roznosił się słodki i lekko duszący zapach palących się ziół; bez wątpienia była to woń fiołków. Cass stała jak sparaliżowana.

Tracey mamrotała głośno słowa, których Cass nie mogła zrozumieć. Czyżby modliła się w obcym języku?

Czy wznosiła modły po łacinie?

Zamrugała oczami, wpatrując się w klęczącą postać.

Tracey nigdy nie przejawiała najmniejszych potrzeb religijnych.

...Jestem teraz twoją siostrą...

Cass się złąła. Nie mogła zrobić kroku. A więc tutaj spełniły się ich najgorsze podejrzenia i obawy.

Jej siostra wstała z klęczek.

- Tracey? - Cass z najwyższym trudem wydobyła z siebie chrapliwy szept. Stała na szeroko rozstawionych nogach, w każdej chwili gotowa do ucieczki.

Siostra się odwróciła. Jej szeroko otwarte oczy wyrażały zaskoczenie.

Cass nadal była kompletnie oszołomiona. Umysł odmawiał współpracy. Jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z kontaktu, unieruchamiając go.

- Nic ci nie jest?

Tracey wpatrywała się w nią bez słowa. Cass nie poznawała oczu siostry, choć bardzo jej na tym zależało.

- Tracey. Co ty robisz? - Starła się mówić zwyczajnym tonem.

Tracey nie odrywała od niej wzroku.

- Modłę się.

- Od kiedy? Sądziłam, że jesteś ateistką. - Cass nadal nie mogła się ruszyć. Poczęła przyglądać się wnętrzu. Kilka rzędów starych, zużytych, drewnianych ławek z klęcznikami, gładkie, nierówne płyty kamienne na posadzce, ołtarz z płonącymi świeczkami, nad nim wielki krucyfiks.

Jestem teraz twoją siostrą.

Poczuła gwałtowny przypływ mdłości.

- Nie jestem ateistką - rzekła Tracey przez zaciśnięte zęby. - Nie oskarżaj mnie o niedowiarstwo. Nigdy nie byłam ateistką. Jezus jest wiecznym Zbawcą.

Cass gapiła się na siostrę, dygocząc ze strachu. Wreszcie zdołała się opanować i spytała:

- A więc jesteś teraz katoliczką?

Tracey nadal świdrowała ją wzrokiem.

- Nie. Nigdy nie byłam katoliczką. - Uniosła podbródek w wojowniczym geście. - Ale to miejsce mi wystarczy. To Dom Boży.

Jestem teraz twoją siostrą. Czy Cass rozmawia z Tracey, czy też z Isabel?

- Wystarczy do czego? - Nie mogła się uśmiechnąć, nawet odrobinę.

Tracey spojrzała na nią spod zmarszczonych brwi.

- Może powinnaś się pomodlić - dodała cichym głosem. - Przyniosłoby ci to spokój.

Nowy atak drżączki ogarnął Cass.

- Gdzie znalazłaś kadzidło?

- Kadzidło? - Tracey rozejrzała się wokoło, po czym wskazała ręką ołtarz. - Było tu. - Uśmiechnęła się.

Cass nie odwzajemniła uśmiechu.

Nagle Tracey podeszła do niej energicznym, stanowczym krokiem.

- Skończyłam - rzekła.

Cass cofnęła się instynktownie, by nie znaleźć się w zasięgu rąk siostry. Obie patrzyły sobie prosto w oczy.

- Czy wiesz, gdzie są dzieci?

- Nie, ale jestem przekonana, że nic im nie grozi.

Cass przepuściła siostrę w drzwiach kaplicy.

- Dokąd zabrałaś Alysę? I gdzie się podział Eduardo?

Tracey zatrzymała się w holu.

- Są bezpieczni.

Cass poczuła, jak jej puls przyspiesza.

- Ale gdzie są? Skąd wiesz, że nic im nie grozi? — pytała błagalnym tonem.

- Wiem.

- Ponieważ jesteś Isabel? - Zadała wreszcie to pytanie. Teraz czekała na najgorszą z możliwych odpowiedzi.

Tracey wreszcie na nią spojrzała.

- Wszystkie się zmieniło, prawda?

Cass stała bez ruchu. Nie mogła wykonać żadnego gestu. Oblała się potem.

- Co?!

- Mówię o tobie i o Antoniu.

Cass zeszywniała.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - odparła, starając się zyskać na czasie.

- Myślę, że rozumiesz. Jesteś jego kochanką. - Tracey nie spuszczała oczu z siostry. Nie było to pytanie, lecz konstatacja.

Cass omal się nie zakrztusiła. Rozmawiała z Isabel czy z Tracey?

- I ty jesteś moją siostrą? - wybuchnęła śmiechem Tracey.

Cass chwyciła się za głowę. Siostry. To była jej siostra. Nie żaden przeklęty duch. W skroniach jej huczało, jakby ktoś grał na bębnach, straszliwy ból ogarniał cały mózg.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - szepnęła. - Tracey, kocham cię. Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Nigdy nie zrobiłabym tego celowo. Między Antoniem i mną nic nie ma i nie może być. - Mówiąc to, czuła ogromne brzemię winy.

Bo on zaledwie kilka minut temu powiedział: Kocham cię.

Tracey popatrzyła nią takim wzrokiem, jakby nie wierzyła ani jednemu jej słowu, i odeszła.

Czy Isabel nawiedziła Tracey?

A jeśli tak, to gdzie się kończy Tracey, a zaczyna Isabel?

Cass stała przy kominku, w którym buzował teraz duży ogień. Objęła się ramionami. Dzieci zaginęły. Nigdzie nie można było ich znaleźć. Tracey nie zdradziła, gdzie są - jeśli to wiedziała. Cass była przekonana, że jej siostra zna miejsce pobytu obojga, ponieważ zachowywała się bardzo dziwnie. Tkwiła w jakiejś pustce, rozdarta między swoim własnym „ja” a osobowością Isabel.

Antonio znalazł w kuchni apteczkę i zabandażował ranę na głowie Alfonsa. Stary był przytomny, ale bardzo osłabiony. Leżał na sofie, postępując, musiał strasznie cierpieć. Celia krążyła koło niego, co chwila chwytając go za rękę. Miała zdecydowany instynkt macierzyński i dość szybko doszła do siebie po szoku, jakim była agresja Tracey.

- Jak mogłaś dopuścić, żeby ona odeszła! - krzyknął gniewnie Antonio, chodząc w kółko po pokoju.

Cass nadal czuła wirowanie w głowie. Stała przy jednym z okien, wpatrując się w czern na dworze.

- To nie w porządku z twojej strony... - zaczęła. Teraz nie mogli odnaleźć Tracey. Zanim Cass zdążyła dogonić ją w sieni, tamta zniknęła. Pobieżne przeszukanie domu nie przyniosło żadnych rezultatów.

- Mój syn zaginał! Mój syn i twoja siostrzenica. To nie jest fair! - warknął.

Wszystko stało się nazbyt surrealistyczne. Cass czuła się oddzielona od samej siebie grubą ścianą. I ciągle nie potrafiła rozszyfrować rozmowy, którą przeprowadziła z Tracey w kaplicy. Z kim właściwie rozmawiała? Z Isabel czy z Tracey? A może z obiema naraz?

- Po prostu odeszła. Przykro mi. Ale zapewniała, że dzieci są bezpieczne.

- I ty jej uwierzyłaś? Opowiedz mi jeszcze raz, co takiego powiedziała. - Antonio stanął przed nią, blokując ją w kacie.

- Już to analizowaliśmy z dziesięć razy - odparła, pilnując

się, żeby nie wybuchnąć. - Nie lubię być przesłuchiwana. Nie znoszę, jak się na mnie krzyczy.

- Ona wie, gdzie są dzieci - upierał się z ponurą miną. - A ty pozwoliłaś jej odejść!

- Aha, czyli to moja wina? - Nie wierzyła własnym uszom.

- Czy ja to powiedziałem? - rzucił gniewnie. - Jak to się stało, że wdałem się w romans z obłąkaną kobietą! Po prostu nie mogę tego pojąć.

Cass zamurowało.

- Nie jest obłąkana - rzekła niebezpiecznie spokojnym tonem. - Sam przecież doszedłeś do wniosku, że zawładnęła nią Isabel.

- Jak możesz jej bronić po tym wszystkim, co zrobiła? - Obrócił się na pięcie. - Niech to szlag. Gdzie jest Gregory?

- Bronię jej i nadal będę broniła, bo jest moją siostrą.

Ich oczy się spotkały.

- Myślę, że poszła tam, gdzie ukryła dzieci. - Antonio wpatrywał się w nią z furją.

- Ona wie, gdzie są - upierała się Cass.

- I ty w to wierzysz? - W jego głosie znać było drwinę.

. Nagle ogarnęło ją gwałtowne pragnienie, by go uderzyć. Z najwyższym trudem zapanowała nad sobą.

- Nie próbuj tego zrobić - ostrzegł, natychmiast odgadując jej intencje.

I gdy Cass omal nie uległa pokusie, by walnąć go z całych sił, z gniewem, który nie znajdował ujścia, usłyszała w myślach słowa, które niedawno wypowiedział: Kocham cię. Zaufaj mi.

- Och, Boże - szepnął Antonio z rozpaczą. -Cassandro...

- To ona z nami wyczynia, co chcę! Ona sprawia, że się nienawidzimy! - Chwyliła go za rękę.

Przyciągnął ją do siebie.

- To moja wina, ponieważ lepiej się w tym wszystkim orientuję. Wcale cię nie nienawidzę. Niemniej chwilami nawiedza mnie taka furia, Chryste! - Rozejrzał się wokół. Cass domyśliła się że wypatruje Isabel. Minęła dłuższa chwila, ale Isabel się nie zmaterializowała.

Jednakże Cass wiedziała, że krąży gdzieś w pobliżu, że ich obserwuje.

- Antonio - odezwała się cichym głosem, trzymając go nadal za rękę - czuję ją.

- Ja też. Ona się z nami bawi.

- Ale dlaczego? - Stał jej przed oczami widok Tracey modlącej się na kolanach przed ołtarzem. Potem jej uduchowiona twarz, gdy zapewniała, że dzieci są bezpieczne. Mocniej ścisnęła rękę Antonia. - Już mam tego dosyć - wybuchła nagle. - Chcę się z nią skomunikować.

Oczy mu zabłyśły:

- Skomunikować czy negocjować?

- I to, i to - odparła niepewnym głosem. Uczyni wszystko, zaprzeda własną duszę Isabel, żeby dzieci odnalazły się całe i zdrowe.

Rozległo się jakieś walenie.

Omali nie zemdlali z wrażenia. Oboje obrócili się gwałtownie w stronę źródła dźwięku. Brzmiało to tak, jakby ktoś uderzył w ścianę domu.

Walenie się powtórzyło, jakby od drzwi frontowych.

- A cóż to jest, na miłość boską? - Antonio jęknął.

Wymienili spojrzenia.

- Nie mam pojęcia - wyszeptała. - Isabel? Tracey? Wiatr?

Z pewnością nie był to wiatr. Płaskowyż centralnej Hiszpanii był latem suchy, gorący i bezwietrzny.

Antonio ruszył do sieni.

Nagle Cass przysłała do głowy szalona myśl: jak by to było dobrze, gdyby Antonio miał przy sobie broń. Pobiegnęła za nim.

- Stój! - Chwyciła go za ramię - A co będzie, jeśli wszyscy się mylimy? Może tam jest morderca - istota z krwi i kości, uzbrojona? Ty nie masz ze sobą nic.

- To może być twoja siostra - i to ona w moich oczach jest najbardziej prawdopodobną zabójczynią - powiedział wolno.

Cass aż się skuliła na te słowa.

- Ona nie jest przy zdrowych zmysłach.

- A czy to usprawiedliwia jej grzechy? - rzucił, zmiierzając do drzwi.

- Jesteś teraz i sędzią, i prokuratorem? Uosobieniem prawa? - krzyknęła Cass z goryczą.

- Muszę bronić mojego syna - i twojej rodziny. Cassandro, muszę to zrobić.

- Więc otwórz te pieprzone drzwi - odparła zimno.

Podszedł i odemknął je.

W tym momencie coś ciemnego wpadło do środka. Cass wrzasnęła przeciągle.

Chwilę później to coś okazało się kimś. Był to Gregory - pokryty zaschniętą krwią - który wylądował u stóp brata.

Cass znowu krzyknęła. Spozregła, że Gregory był ciężko ranny, miał ranę na głowie, ślady krwi na twarzy i na koszuli. Jego ubranie był brudne, w strzępach. Antonio przykucnął przy nim, obejmując go ramionami.

Serce Cass biło ciężko, nierówno. Dziewczyna uniosła głowę i odrywając wzrok od braci, popatrzyła w przestrzeń otwartych drzwi. Czerniła się przed nią złowroga kastyljska noc. Nie namyślając się, zatrzasnęła drzwi, przekręciła zamek i założyła łańcuch.

Tak jakby łańcuch mógł powstrzymać Isabel.

Odwróciła się do braci. Co się stało?

- Jak ciężko on jest ranny?

- Ma poważne obrażenia na czole i potylicy - rzekł zachrypniętym głosem Antonio, tuląc Gregory'ego do piersi.

- Biegnę po apteczkę - odparła Cass.

Isabel. Czy ona mogła to uczynić? Nadal nie wiedzieli, do czego jest fizycznie zdolna.

Apteczka została w bibliotece. Cass, nie czekając na reakcję Antonia, ruszyła biegiem. Przyszło jej do głowy, że Tracey nie ma w domu.

Nie. Absolutnie wykluczone. Tracey nie mogła tego zrobić.

Znowu ogarnęły ją mdłości, żołądek podchodził do gardła. Apteczka leżała na podłodze obok sterty książek. Cass omal nie osunęła się z wrażenia. Jej laptop też znajdował się na podłodze. Nie wolno było jednak zostawić Gregory'ego w tym stanie. Zniosła apteczkę do sieni i bez słowa wróciła do komputera, przyciągana jakąś dziwną siłą.

Jej puls bił powoli, ciężko, jakby z wysiłkiem. Oderwała

wzrok od laptopa i zerknęła w okno. Zapadła już noc. Na ciemnogramatowym niebie błyszcząły w wielkiej oddali pojedyncze gwiazdy. Zadrżała i podeszła do laptopa. Urucho-
miła go.

Jej puls przyspieszył. Wiadomość. Negocjacje. Błaganie. Co ma, do cholery, zrobić?

Czego naprawdę domaga się Isabel?

Cass była zdruzgotana, bo nabrała pewności, że tamta pragnie zemsty. Ale nie była to odpowiedź, która przynosiła uspokojenie.

Cass wpatrywała się w ekran, gdy ładował się program Word. Wybrała dużą czcionkę, by po chwili machnąć na to ręką. To nie ma przecież żadnego znaczenia.

ISABEL, CZEGO CHCESZ?

Zawahała się. Następnie pociągnęła myszą, zaczerniła zdanie i powiększyła do takich rozmiarów, że wypełniło cały monitor.

- Panienko?

Cass zignorowała Celię. To była sprawa życia lub śmierci. Może nawet w dosłownym znaczeniu. Musiała nawiązać kontakt z Isabel, gotowa do rozmów z nią, podobnie jak eksperci negocjują z porwaczami. Była jednak tylko pisarką, a na dodatek obleciała ją strach.

A noc się dopiero zaczynała. Zegar w rogu biblioteki wybił godzinę dziesiątą.

ISABEL, CZEGO CHCESZ?

- Cassandro! - W głosie Celi słychać było napięcie i rozpacz.

Cass oderwała oczy od komputera i spojrzała na starowinę. Ale Celia wcale na nią nie patrzyła. Miała wzrok utkwiony w drzwiach.

Cass odwróciła się powoli.

W progu stała Tracey, świdrując ją wzrokiem. Jej błękitne oczy płonęły metalicznym blaskiem.

- Tak? - odezwała się.

I Cass natychmiast zrozumiała, że ma przed sobą Isabel.

ROZDZIAŁ 24

Londyn, 3 czerwca 1555 roku

Londyn ze swoimi wieżami, dzwonicami i spadzistymi dachami ukazał się Isabel, gdy na flamandzkim żaglowcu wpływała Tamizą. Towarzyszyli jej Helen i świeżo narodzony synek. Woda w rzece była mętna i czarna, powietrze gęste i wilgotne. Na dworze panował ogromny upał i Isabel od razu przypomniała sobie, że miasto znowu nawiedziła zaraza. Niemniej Londyn był dla niej najcudowniejszym miejscem na ziemi. Wpatrywała się z miłością w Most Londyński i wspaniałe wieże Katedry Świętego Pawła, czując, jak pod powiekami wzbierają jej łzy. To był jej dom. Wróciła nareszcie do siebie.

- Nigdy nie myślałam, że tak szybko znowu ujrzymy miasto i w takich niecodziennych okolicznościach - rzekła cicho Helen.

Puls Isabel gwałtownie przyspieszył. Nie odpowiedziała. Helen знаła tylko pół prawdy. Matka schyliła się i ucałowała czołko synka, Philipa, nazwanego tak na cześć króla Hiszpanii i męża królowej Marii. Bała się.

- Mam nadzieję, że mąż ci wybaczy - odezwała się znowu Helen.

Isabel uniosła głowę. Miała ponurą minę. Helen myślała, że Isabel wyjechała z Hiszpanii, aby sprawić mu niespodziankę, przynieść mu ich dziecko. Jednakże się myliła.

Bo Isabel uciekła i nie miała najmniejszej ochoty wrócić.

Statek dobił do nabrzeża. Isabel znowu ucałowała Philipa spokojnie śpiącego w jej ramionach. Przeszedł na świat bez

trudności, wydając z siebie krótki krzyk. Miał bardzo jasną karnację, włoski prawie białe i intensywnie niebieskie oczy. Isabel nigdy nikogo nie kochała tak, jak tę małą istotę. Kiedy wpatrywała się w Philipa, ogarniało ją błogie uczucie - radość zmieszana z miłością - o takiej mocy, że wydawało się, iż zdoła unieść się w powietrze. Patrząc na niego, widziała również Roba.

Alvarado, gdyby tylko miał okazję zerknąć na dziecko, natychmiast odkryłby prawdę.

- No? - rzekła Helen. - Musimy się rozpytać, gdzie teraz rezyduje dwór. Nie wolno nam nawet postawić nogi w mieście, gdy jest tu tyle trupów.

- Dwór przeniósł się do Oatlands - odparła Isabel ze zdenerwowaniem w głosie.

- Dobrze. Zamówię powóz i konie - powiedziała Helen.

Odwróciła się. Isabel chwyciła ją za ramię.

- Nie jedziemy na dwór, Helen - oznajmiła cichym tonem. Helen zamrugała powiekami.

- Co takiego?

- Dobrze słyszałaś. Nie udajemy się na dwór.

Dłonie Helen zacisnęły się w pięści.

- A cóż to za nowe oszustwo chodzi ci po głowie?

- Jedziemy do Carew Hall. Zatrzymamy się u lorda Montgomery'ego.

Helen wpatrywała się w nią, jakby Isabel mówiła po grecku albo po łacinie.

- Opuszczam mojego męża. Tylko nic nie mów! Moja decyzja jest ostateczna, a Douglas mi pomoże. - Wypowiadając te słowa, była aż do bólu świadoma tego, co robi i jaką cenę przyjdzie jej za to zapłacić. Jej małżonek nie był ani wybaczącym, ani łagodnym człowiekiem. Nigdy jej nie przebaczył tej zdrady. I z całą pewnością zechce ją ukarać.

Znalazła się jednak w sytuacji bez wyjścia. Dziecko na pierwszy rzut oka nie było jego. A ona rozpaczliwie pragnęła Roba. Potrzebowała go jako kochanka, przyjaciela, ojca synkowi. On im na pewno zapewni schronienie, zwłaszcza teraz, gdy został wdowcem. Przecież nie odwróci się plecami od kochanki i matki swego dziecka.

Zakładała, że Rob jest na dworze. Nie śmiała go jednak szukać sama, bo bez wątplenia znajduje się tam również jej mąż. Musiała więc znaleźć posłańca.

Montgomery zapewniał ją, że jeśli kiedykolwiek będzie potrzebowała przyjacielskiej pomocy, ma się zwrócić do niego.

Teraz nastał ten czas.

Helen wpatrywała się w nią ze zgrozą.

- Postradałaś zmysły - orzekła wreszcie. - Proszę cię, nie rób tego.

Oczy Isabel zaszklily się łzami.

- Helen, wystarczy, że spojrzy na Philipa i pozna prawdę.

- Nie, jeśli zdołasz go przekonać, że twój syn wdał się w ciebie! - krzyknęła Helen. Nigdy przedtem nie podnosiły kwestii ojcostwa dziecka, tak jak nigdy nie zamieniły ani słowa na temat romansu. Jednakże Isabel była pewna, że Helen wiedziała o wszystkim.

Wpatrywała się w nią przestraszona, bo nie widziała przedtem swej towarzyszki w takim stanie. Jej usta drżały, głos się załamywał. Odnosiła wrażenie, że Helen zaraz wybuchnie łkaniem.

- Nie mogę spędzić z nim reszty życia. Nie potrafię mieszkać w tym niegościnnym kraju, na tym ciemnym, przygnębiającym dworze, starzejąc się nie z powodu wieku, lecz melancholii w sercu. Nie mogę znieść otoczenia służących, którzy mnie nie cierpią, ponieważ jestem cudzoziemką, ani ludzi, którzy nie rozumieją, co do nich mówię. Nie mogę wytrzymać czekania na jego powrót, sprawiania mu przyjemności, urodzenia mu następnego syna, skoro sam jego dotyk wzbudza we mnie obrzydzenie. I na dodatek istnieje ten, którego kocham. Czy Philip nie zasłużył sobie na poznanie prawdziwego ojca?

Helen oparła się o poręcz. Była blada jak ściana.

- Ojcem Philipa jest Alvarado de la Barca. Niszczysz siebie - wyszeptwała zbielełymi ustami. - Niech Bóg ma nad tobą litość.

- Isabel? - Montgomery zbliżał się do niej szybko. Znajdowali się na dworze, który odziedziczył po pierwszej żonie.

Na widok gości zdębiał. Zatrzymał się jak wryty i patrzył na Isabel.

Nie mogła oderwać wzroku od jego hipnotycznego spojrzenia. Trwało to dłuższą chwilę. Jej puls uderzał z oszałamiającą prędkością. Czuła się jak sparaliżowana.

Pierwszy odzyskał równowagę. Podszedł bliżej, omiótł wzrokiem Helen i dziecko, wreszcie schylił się nisko, gdy Isabel podała mu dłoń.

- Hrabino, coś za niespodzianka! Sądziłem, że przebywa pani z ukontentowaniem w Hiszpanii, na ziemiach pani męża. - Uniósł głowę, popatrzył na nią badawczo.

Isabel była na granicy łez.

- Mój panie, proszę o chwilę rozmowy na osobności.

Przeniósł wzrok z jej twarzy na jasnowłosą główkę dziecka i ujął ją za łokieć.

- Proszę ze mną.

Chwilę później zamykał drzwi niewielkiej komnaty. Byli w niej sami.

Jej serce nadal biło jak szalone. Nie wiedziała, jak zacząć.

Obserwował ją uważnie.

- Niepokojem przejmują mnie okoliczności, w jakich zjawiała się u mnie.

- Powiedziałaś mi jakiś czas temu, niedawno, że mogę liczyć na twoją przyjaźń, jeśli tego będę potrzebowała - odpowiedziała bez tchu, z rozpaczą.

Skinął głową. Był śmiertelnie poważny.

- Złożyłem tę przysięgę nie tylko wobec ciebie, ale i siebie samego. Isabel, dotrzymuję słowa.

Był bardzo odważnym człowiekiem. Prawym, honorowym mężczyzną — pomyślała.

- Mój mąż nie wie, że przybyłam do Anglii.

- Podejrzywałem to. - Podszedł do niej, ujmując ją za ramię. Na jego twarzy malowała się wielka troska. - Isabel...

- Uciekłam! - krzyknęła.

Zbladł.

Wpatrywała się w niego z rosnącą trwogą, drżąc na myśl o swoim prześlicznym dziecku.

- Lękam się o życie synka, dobry Boże. Boję się, że Bóg

ukarze go za moje grzechy. Obawiam się gniewu małżonka, gdy ujrzy Philipa. Ogarnia mnie taki straszny lęk... Boję się, że umrę w tamtym straszonym kraju stara, zniszczona, niekochana, samotna i zostanę tam na wieczność! - W jej głosie słyszał błagalną prośbę.

Podszedł jeszcze bliżej, Isabel znalazła się w jego silnych, męskich, dziwnie znajomych ramionach. Czuła się tak, jakby знаła ten uścisk, jakby powróciła do dawnego kochanka. Oczywiście, nigdy przedtem nie była z nim w takiej sytuacji.

- Nie lękaj się - mruknął, podczas gdy Isabel uzmysłowała sobie jego siłę, wzrost, nawet ciepło jego ciała.

- Nie mogę wrócić - wyszeptwała. Suknia dotykała jego ud, ręce obejmowały ją czule i nagle ich oczy się spotkały. Nagle pojęła, że zaraz ją pocałuje. Tak się stało.

Przez wieczność, która trwała mgnienie, jego wargi zetknęły się z jej wargami - słodko, delikatnie. I w chwilę potem oboje odskoczyli od siebie.

Isabel wpatrywała się w niego oszołomiona.

Wyraz jego twarzy pozostał bez zmian. Ponury.

Cofnęła się, zakryła usta dłonią.

- Ja... przyszedłam prosić cię o łaskę - usłyszała swój zachrypnięty głos. - Błagam, żebyś przekazał ode mnie słowo Robowi.

Roześmiał się szorstko.

- Tego się właśnie spodziewałem.

- Dziecko...

- Jest de Warenne'a - zakończył za nią. - Isabel, igrasz z ogniem. Nie wolno ci prowadzić dalej tej śmiertelnej gry. De la Barca nigdy ci nie przebaczy zdrady.

- Właśnie dlatego uciekłam! - wykrzyknęła. - Z tego powodu oraz dlatego, że nie mogę żyć bez miłości, gdy raz jej zaznałam. Czy nie możesz pojąć?

- Czy znalazłaś miłość z de Warenne'em? - spytał z gniewem.

Nie spodobał się jej ton jego głosu.

- Naturalnie, że znalazłam.

Świdrował ją wzrokiem, zacisnąwszy szczęki. W jego oczach, w całej twarzy była furia.

- Dlaczego na mnie tak patrzysz? - Ogarniał ją coraz większy popłoch.

- Chcę, żebyś wróciła do męża. Zważ, co mówię, Isabel - ja, kochający cię bez cienia egoizmu. De la Barca będzie cię ścigać, jeśli zrobisz to, co zamierzasz, i nikt, łącznie ze mną, nie zdoła zapewnić ci ochrony przed jego gniewem.

Zadrżała.

- Ale jakże mogę wrócić? Jak? Dziecko jest bez wątpienia Roba. A Rob mnie obroni, obroni nas oboje.

- Wrócisz do męża! Będziesz kłamała jak z nut! - prawie wrzasnął. - Będziesz go kochała, okłamywała, aż mu wmówisz, że dziecko jest jego.

Isabel skuliła się ze strachu. Jeszcze nigdy nie widziała go w takiej furii.

Zaczął nerwowo chodzić po pokoju. I kiedy zatrzymał się przed nią, odzyskał równowagę. Widać jednak było, że panuje nad sobą z najwyższym trudem.

- Isabel, obawiam się, że on cię zabije za to. Musisz do niego wrócić.

Skrzyżowała ręce na piersiach.

- On mnie zabije, jeśli się mu pokażę i go okłamię. Będzie to trwało powoli - minuta po minucie, godzina po godzinie, dzień po dniu. Nienawidzę Hiszpanii! Nienawidzę Hiszpanów! I jego dotyku. - Znowu przeszedł ją dreszcz. - To Roba miłuję i pragnę - rzekła błagalnym tonem.

Podszedł do niej i zniemacka zaczął nią potrząsać.

- Kiedy się obudzisz? No, kiedy? - znowu począł na nią krzyczeć.

- Nie rozumiem cię -jęknęła. - I sprawiasz mi ból!

Opuścił ręce, ale jego dłonie były nadal zaciśnięte w pięści.

- Rob de Warenne służy wyłącznie sobie. Ale żeby to robić, musi być bardzo przebiegły. Twój mążonek natomiast służy mężowi królowej. Nie pojmujesz? De Warenne nigdy nie zaryzykuje głowy, żeby zatrzymać ciebie i dziecko.

- Mylisz się - rzekła. Łzy spływały jej po policzkach. - Nie masz racji.

Chciał odejść, ale Isabel dostrzegła w jego oczach coś dziwnego. Chwyciła go za rękaw.

- Co ty wiesz, czego nie chcesz mi powiedzieć? - wykrztusiła.

Spojrzał na nią, lecz nie odezwał się słowem.

Trwoga w niej rozgorzała z całą mocą.

- Douglas? - szepnęła. Nigdy przedtem nie zwracała się do niego po imieniu.

- Isabel, on ma już nową kochankę.

Oatlands, 5 czerwca 1555 roku

Leżała w łóżku, strzęp człowieka. Jej mózg odmówił funkcjonowania. Czuła tylko porażający ból w piersiach, trwający od dwóch dni.

Z sąsiedniej komnaty rozległ się płacz Philipa, ale nie miała sił, żeby wstać. Krzyk głodnego dziecka umilkł. Usłyszała, że krząta się przy nim Helen. Oczami wyobraźni ujrzała swą towarzyszkę, jak kołysze synka.

Rob ma nową kochankę.

Jej rozpacz nie miała granic, była nie do zniesienia.

- Mój Boże, a cóż to jest? - wykrzyknął jej mąż w komnacie obok.

Całe jej ciało zeszywniało z napięcia. Przyszedł, więc teraz zacznij się gra.

Tę grę będzie musiała uprawiać do końca życia.

Pragnęła umrzeć.

Małżonek rozmawiał o czymś z Helen, ale do Isabel nie docierały ich słowa. Musi teraz wszelkimi siłami odzyskać równowagę, zmobilizować umiejętności aktorskie, ponieważ ma za zadanie oszukać męża. I to oszukać skutecznie. Chodziło o życie jej synka. Dlatego postanowiła w duchu, że będzie nadal żyła i że zdoła przekonać swego pana i władcę, iż to on jest prawowitym ojcem.

Jego ciężkie kroki rozlegały się coraz bliżej. Isabel uprzytomniła sobie, że de la Barca stanął w progu sypialni, więc otworzyła oczy i siadła na łóżku.

Stanął w drzwiach, wpatrując się w nią. Był ubrany we wspnianą szatę z aksamitu barwy burgunda, bogato haftowaną

i wyszywaną klejnotami. Miał szeroko rozwarte oczy i był śmiertelnie poważny.

Isabel zmusiła się do uśmiechu.

- Niespodzianka, mój panie - rzekła cicho, uwodzicielsko. Nadal stał bez ruchu.

Wyśliznęła się z łóżka ubrana w purpurową koszulę nocną z głębokim dekoltem, obszywaną złotą lamą. Miała niemal gołe piersi, w talii była na powrót cienka jak osa. Skropiła się ulubionymi perfumami o zapachu fiołków. Ich woń wypełniała cały pokój.

- Istotnie, niespodzianka - wycedził. Wyrażał się w obcym języku precyzyjnie, choć nie pozbył się cudzoziemskiego akcentu.

Zdziwiło to Isabel.

- Jak dobrze posługujesz się angielskim, panie - krzyknęła, podkreślając swój podziw dla jego zdolności.

- Jestem już wystarczająco długo na dworze brytyjskim - odparł bez cienia emocji.

Podeszła do niego.

- Przybyłam, aby złożyć ci największy dar, jaki dama może dać swemu panu. - Mówiąc to, usiłowała sprowokować Alvarada do uścisku. - Czy już widziałeś swego syna? - Przytuliła się do niego ze słodkim uśmiechem na ustach.

Poczuła na ramionach jego ręce i w swym zbolałym umyśle doszła do przekonania, że udało jej się go oszukać. I wtedy usłyszała jego głos:

- Czy to mój syn, moja droga?

Zajęło jej chwilę zrozumienie tego pytania. Wspinała się właśnie na palce, by pocałować go w policzek. Zatrzepotała rękami.

- Nie słyszałaś, o co pytam? - Ton jej męża był groźny.

O Boże, a więc znał prawdę, był świadom jej kręactw, oszustw, zdrady. Instykt kazał jej cofnąć się o parę kroków, oddalić się nieco od niego, ale nie pozwoliła sobie na to. Pokonała w sobie ogromny wstręt do mężczyzny, którego poślubiła. Przeciwnie, jeszcze czulej przytuliła się do niego.

- Naturalnie, panie. Cóż to za pytanie? Czy jesteś w krotchwilnym nastroju i żartujesz z własnego syna? - zapytała

z kuszącym błyskiem w oczach. Jej puls bił jak oszalały, trwo-
ga narastała z każdą minutą.

Wyzwolił się z jej objęć tak gwałtownie, że potknęła się i byłaby upadła, gdyby nie wylądowała prosto na ścianie. Alvarado wyszedł tymczasem z sypialni, a gdy wrócił po chwili, trzymał w ręce plik pergaminu. Potrząsnął nimi w jej kierunku.

- Czy to mój syn? - Domagał się odpowiedzi, świdrując ją wzrokiem zwiastującym burzę.

Nie mogła pojąć, co robi i co trzyma w ręce.

- Oczywiście - odpowiedziała z lekkim uśmiechem. - Jak możesz wątpić w moje słowa?

Uśmiechnął się do niej, ale był to raczej bezlitosny grymas. Zaczął czytać: „Moje serce skręca się z tęsknoty za domem i za tym wszystkim, co jest dla mnie drogie. Och, Rob, brakuje w języku angielskim słów, które oddałyby moją samotność i rozpacz”. Spojrzał na żonę, rzucił list na podłogę i znowu odczytał na głos: „Moja droga kuzynko, zbyt wiele czasu upłynęło od naszej ostatniej konwersacji. Wspominam nasze spotkania zarazem ze smutkiem i z radością, a przede wszystkim z tęsknotą, licząc na przyszłe rozmowy. Jak się miewasz, najdroższa Isabel, i jak się miewa dziecko?”.

Isabel patrzyła na niego wstrząśnięta. Miał jej listy. Listy do Roba. Dopiero teraz zaczęło do niej docierać, czym to grozi.

Podszedł do niej i rzucił jej w twarz manuskrypt ze starannie wykaligrafowanym imieniem Roba.

- Czy mam dalej czytać, droga Isabel?

Przejął jej listy. Ukradł listy Roba. Zaczęła drzeć w śmiertelnej trwodze.

- Nie chciałem temu wierzyć - odezwał się dzikim tonem. I on cały dygotał. - W plotki o nim i o tobie. Moja piękna żona oszukująca mnie nawet nie za moimi plecami, ale na moich oczach! Nie chciałem niczemu wierzyć, nawet wtedy, gdy ujrzałem, jak de Warenne się w ciebie wpatruje, bo przecież u wielu dworzan budzisz pożądliwość, moja prześliczna Isabel. Ale wtedy wpadło mi w ręce to. - Schylił się i podniósł z podłogi list, jaki napisała do Roba na święta Bożego Naro-

dzenia. - A potem ujrzałem jego listy do ciebie! Mów, przekłeta, mów!

Wrzeszczał na nią w furii, był czerwony z wściekłości, ale Isabel nie mogła się ruszyć z miejsca, by uchronić się przed jego gniewem.

- Więc nic nie powiesz? - Wrzask wrzynał się w uszy.

Jej oczy wypełniły się łzami, które poczęły spływać po policzkach.

- Kochałam go od piętnastego roku życia - wyszeptwała.

Uderzył ją w twarz. Mocno, miała wrażenie, że miażdżył kości. Upadła, szlochając, na kamienną podłogę.

W sąsiedniej izbie rozległo się kwilenie Philipa.

Nad sobą Isabel usłyszała błaganie Helen:

- Panie, miej nad nią litość, proszę!

- Wynoś się! - ryknął Alvarado.

Kopniak w żebra był dla niej zupełnym zaskoczeniem. Zwinęła się z bólu przeszywającego klatkę piersiową. Ale on postawił ją przed sobą jak kukłę.

- Czy to dziecko jest moje? - krzyczał, podczas gdy Isabel słaniała się półprzytomna z cierpienia.

- Nie - usłyszała swój własny głos.

Zdzielił ją z całej siły otwartą dłonią w twarz. Znowu upadła na podłogę.

- Dziwka! - wrzasnął, a w chwilę potem obrócił się i wyszedł, z hukiem zatrzaskując drzwi.

Isabel zalewała się łzami z bólu i z przerażenia.

- O, Panie Boże - jęknęła Helen, klękawszy przy niej. Dotknęła jej miękkimi dłońmi.

Isabel wydała z siebie okrzyk bólu.

- Boże! Och, Isabel, zaraz przyniosę kompres. - Helen wstała i wybiegła.

Philip zanosił się teraz płaczem.

Philip. Jej syn. Synek Roba.

Nie, nie Roba. Nigdy nie będzie jego dzieckiem, będzie należał tylko do niej. Musi wstać, musi zająć się dzieckiem. Uciekną stąd razem, żeby ocalić życie.

Próbowała się unieść, podpierając rękami i nogami. Ból

w klatce piersiowej okazał się tak intensywny, że zamiast tego wydała z siebie przeciągły krzyk. Oblała ją ciemna fala.

Isabel walczyła z nią, ale musiała się poddać.

Zapadła w czerní, która przyniosła jej krótką ulgę.

Oatlands - tej samej nocy

- Isabel? Słyszysz mnie?

Poznała głos Helen, dziwnie odległy i zniekształcony. Tak strasznie cierpiała, tak bardzo wszystko ją bolało. Jej twarz zdawała się jedną wielką raną, ale było to nic w porównaniu z nieludzkim wręcz bólem w klatce piersiowej i we wnętrznościach.

- Isabel, słodka moja, czy mnie słyszysz?

Helen. Oatlands. Montgomery... Rob miał nową kochankę, a jej mąż odkrył prawdę. Isabel nagle oprzytomniała. Philip!

- Bogu dzięki - odetchnęła Helen.

Walcząc z porażającym bólem, Isabel uniosła głowę i spojrziała na swą towarzyszkę.

- Gdzie jest Philip?

- Ssz... - uspokajała ją Helen, głaszcząc po czole. - Śpi w sąsiednim pokoju.

- Nie! - Isabel starała się usiąść, ale gdy tylko się poruszała, poczuła takie zawroty głowy, że zaczęła wymiotować.

- Leż spokojnie! Doktor mówi, że masz połamane żebra. Proszę, nie ruszaj się - błagała Helen.

Ból nie ustępował ani przez chwilę. Isabel czuła, jak przez jej ciało przelewa się fala za falą. Zaciśnęła powieki, myśląc jednocześnie z rozpaczą, że musi jak najprędzej porwać syna i uciec przed gniewem Alvarada. Ale jak to zrobić, skoro jest tak obolała, że nie może nawet wstać z łóżka?

Montgomery.

Poszukała wzrokiem Helen.

- Pójdź do Douglasa, natychmiast. Powiedz mu, co się stało. On musi pomóc mnie i mojemu synkowi... musimy uciekać... zaraz, jeszcze tej nocy. - Nawet mówienie sprawiało jej okropny ból.

Helen przynajmniej ten jeden raz nie oponowała. Podniosła się szybko.

- Nie chcę cię zostawiać samej - rzekła. - Nie ma jednak posłańca, któremu można by zaufać.

- Idź. Natychmiast! - krzyknęła Isabel. Po jej twarzy pociekły nowe łzy.

Helen skinęła głową, jeszcze chwilę się zastanawiała, po czym wyszła. Dzięki Bogu. Za kilka godzin Montgomery pojawi się na zamku. Isabel była przekonana, że poruszy niebo i ziemię, by ją uratować.

Oczami wyobraźni ujrzała Roba i do bólu fizycznego dołączyły cierpienia psychiczne. Po raz pierwszy głęboko pożałowała tego, na co sobie z nim pozwoliła.

Jakaż była głupia.

Rozległo się walenie do drzwi apartamentów.

Zdrętwiała. Walenie nasiliło się, do drzwi podbiegł służący. Nie widziała, co się dzieje w przyległym pokoju, ale usłyszała łoskot wielu podkutych butów. Kroki były szybkie, zbliżały się do sypialni. Isabel oniemiała z trwogi, ból stał się nagle nieistotny, ogarnęła ją panika.

W drzwiach ukazał się żołnierz w barwach kanclerza, w otoczeniu strażników.

Isabel siadła na łóżku.

- W imieniu Boga i Jego Świątobliwości jesteś wzięta do aresztu.

- Aresztu? - Isabel powtórzyła to słowo, nie wierząc własnym uszom, gdy tymczasem strażnicy otoczyli jej łóżko i zaczęli ją z niego ściągać.

- Aresztu? Na miły Bóg, za co? - Gdy wykrzykiwała te słowa, postawiono ją na nogi, wykręcono do tyłu ręce i związano mocno.

- Jesteś oskarżona o najbardziej odrażającą zbrodnię - zbrodnię fałszywych i zdradzieckich wierzeń, przestępstwo przeciwko Bogu - rzekł żołnierz bezwzględny tonem.

Isabel wydała z siebie jęk. Nie mogła pojąć, co to wszystko znaczy... Została oskarżona o herezję?

- To jakieś okropne nieporozumienie! - krzyczała, gdy żołnierze ciągnęli ją przez pokój. Ból wdzierał się w jej ciało

jak ostrza noży. - Dokąd mnie bierzecie? - Nikt nie zawracał sobie głowy udzieleniem odpowiedzi, nikt na nią nie patrzył. Ciągnięto ją jak zwierzę na rzeź.

- Proszę, odpowiedzcie, dokąd mnie zabieracie! - krzyczała rozpaczliwie, próbując stawić opór w drzwiach wejściowych.

Sierżant, niewątpliwie przywódca oddziału, odburknął w końcu obojętnym tonem:

- Do Tower.

ROZDZIAŁ 25

Casa de Suenos - noc czwarta, 23.00

Mama jej nie chciała. Mama jej nie kochała. Mama pragnęła, żeby umarła.

Alyssa była zrozpaczona.

Łzy ciurkiem spływały jej po buzi, mimo że ze wszystkich sił starała się nie płakać. Było jej strasznie zimno i okropnie się bała. Jeśli mama nie chciała, żeby umarła, to czemu zamknęła ją z Eduardem w tej koszmarnej, czarnej komórce? I dlaczego nie przyszła po nią? Tak trudno było powstrzymać łzy. Serce bolało ją jak nigdy przedtem. Ale teraz przynajmniej rozumiała, dlaczego Tracey nie wróciła do domu.

Mamusiu, mamusiu - powtarzała w duchu.

- Alyso? - głos Eduarda rozległ się w ciemności jak syk węża.

- Tak? - Starła się, by nie poznał, że płacze. Chciała być odważna, jak on, ale czuła tylko strach. Miała w końcu zaledwie siedem lat i rozpaczliwie pragnęła znaleźć się w ramionach ciotki.

Ciocia Cass na pewno ją odnajdzie. Tego była pewna.

Wiedziała, że będzie ją ścisnęła bez końca, gdy tylko na nich natrafi.

Eduardo wziął ją za rączkę.

- Czy masz dosyć sił, żeby znowu krzyczeć o pomoc? - zapytał. Alyssa wyczuła nutę niepokoju w jego głosie.

- Spróbuję. - Jednakże nie sądziła, by mogła głośno wołać. Wzywali pomocy siedząc, przytuleni do siebie, na szczycie

wąskich kamiennych schodów przez bardzo długi czas, który wydawał się jej godzinami. Nikt nie zareagował. Gardło okropnie ją rozboleło, było zupełnie suche.

- Tym razem nas usłyszają - rzekł Eduardo z przekonaniem. Alyssa wiedziała, że nadrabia miną.

Już nie potrafiła dłużej zapanować nad łzami.

Rozszlochała się.

- Proszę, przestań płakać - błagał ją Eduardo. - Na pewno nas odnajdą, i to niedługo.

Jak to się stanie?

A co będzie, jeśli nigdy ich nie odnajdą?

Czy coś takiego zdarzyło się mamie Eduarda?

- Chcę do cioci Cass - łkała Alyssa. - Ale oni nigdy nas nie znajdą i umrzemy tutaj sami!

Cass nie mogła się poruszyć.

W osłupieniu wpatrywała się w siostrę stojącą na progu biblioteki. Uzmysłowała sobie z niemałym trudem, że usiłowała nawiązać kontakt z Isabel, a pojawiła się przed nią Tracey.

To ona odpowiedziała na prośby. Nie Isabel.

Były bowiem teraz jedną i tą samą istotą.

- Tak? - powtórzyła Tracey.

Cass zadrżała.

- Isabel? - zagadnęła ostrożnie.

- Tak. Czego chcesz? - Jej spojrzenie, nieco błędne, wędrowało od Cass do Celi i z powrotem. Alfonso znalazł się poza zasięgiem jej zainteresowania.

Cass zerknęła na Celię, ujrzała jej zapłakane oczy i strach na twarzy. Alfonso chyba zasnął.

- Gdzie są dzieci? Co z nimi zrobiłaś? - zapytała Cass równie ostrożnie, jak przed chwilą.

- Już ci powiedziałam. Są bezpieczne.

Cass gapiła się na nią, drżąc na całym ciele.

...Powiedziałam ci...

- Ale gdzie one są? Proszę! Proszę, odpowiedz!

- Nie mogę. - I Tracey się uśmiechnęła.

Uśmiech był zimny, budził grozę. Cass poczuła na całym ciele gęsią skórę.

Tracey odwróciła i ruszyła przed siebie.

Cass mogłaby się na nią rzucić i schwytać ją od tyłu. Nie zrobiła tego jednak. Nawet się nie ruszyła.

- Czego chcesz? - zapytała chrapliwym szeptem, gdy Tracey już się zbliżała do progu. - Czego ty od nas chcesz?!

Tracey przystanęła. Powoli obróciła się w stronę siostry. Jej błękitne oczy lśniły nienaturalnie.

- Domagam się tego, co jest sprawiedliwe.

Cass poczuła, jak jej wzrok mętnieje, kolana się uginają. Obleciał ją jeszcze większy strach. Z trudem utrzymywała się w pozycji stojącej.

- Wszyscy pragniemy sprawiedliwości. Można to osiągnąć. Naprawdę. Tra... Isabel. Nie mieszaj w to dzieci! Proszę!

Ale Tracey, czy raczej Isabel, nie słuchała. Była już za progiem.

- Musimy doprowadzić do pokoju! - krzyknęła Cass. - Isabel, musi zapanować pokój między naszymi zwaśnionymi rodami, proszę! - krzyczała, łkając.

Uprzymolniła sobie, że trzyma się biurka Antonia, patrząc przez załzawione oczy, jak jej siostra idzie w głąb holu. Czy ma za nią iść? Czy zaprowadzi ją do dzieci?

Poczęła się trząść jak w ataku febry.

- Isabel! - wrzasnęła. - Nie odchodź!

Tracey obejrzała się na nią, nie przestając iść dalej.

Cass opadła na biurko, czując, że w głowie się jej **kręci**, jakby umysł stał się kołem auta, boksującym w błocie.

Isabel domagała się sprawiedliwości.

Cass poraziła myśl, co ona przez to rozumie.

Nagle rozległ się krzyk Celi.

- Co takiego? - Cass obejrzała się za siebie.

- Komputer - wymamrotała starowina.

Cass popatrzyła na laptop. Na jego monitorze ujrzała wiadomość:

POKÓJ JEST ŚMIERCIA

Cass odnalazła Antonia, gdy stał nad bratem z szeroko otwartymi oczami i nieruchomą twarzą.

Była bez tchu i w myślach powtarzała rozpaczliwie: Pokój

jest śmiercią. Nie musiała zastanawiać się nad znaczeniem tego przesłania. Isabel chciała - zamierzała - zabić kogoś, jeśli nie ich wszystkich.

- Co się dzieje? - spytała, przerywając ciszę w rozległej sieni. Gregory, jak zauważyła, był przytomny i świadom swojego stanu. Miał rozszerzone źrenice i wpatrywał się w Tracey.

Antonio nie odzywał się i nie ruszał. On także utkwiał wzrok w jej siostrze.

Cass poczuła krople potu na czole.

- Co się stało? - Była przerażona, ponieważ musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Tracey nie była sobą. Znajdowała się pod władzą Isabel. Wydawało się teraz bardziej niż prawdopodobne, że to ona ukryła dzieci i zamordowała elektryka. I Cass nie śmiała zapytać, co złego zrobiła dzieciom. Nie mogła się na to zdobyć.

Trzęsła się jak w febrze. Antonio miał sztylety w oczach i Cass pojęła, że musi bronić Tracey, ale zarazem oboje muszą w jakiś sposób zniszczyć Isabel.

Niemniej nadal nie mieli pojęcia, jak to zrobić.

Tracey stała tyłem do siostry. Cass usłyszała, jak mówi:

- On żyje. - W tej uwadze pobrzmiwało zdziwienie. To przerwało tok jej myśli.

- Mój brat z pewnością żyje - rzekł Antonio ostrym tonem.

Cassandra przeszła obok Tracey, zachowując znaczny dystans i z najwyższą ostrożnością stanęła obok Antonia.

Przychodziły jej do głowy strzępy niedawnych rozmów z kochankiem, łącznie z tą, gdy oboje doszli do wniosku, że Isabel pragnęła ich poróżnić, by nad nimi zwyciężyć. Zerknęła na Tracey, ale na jej twarzy, przypominającej maskę, nie dostrzegła żadnych emocji. Zesztywniała. Czy oblicze jej siostry stało się inne? Pełniejsze, nie tak wychudzone? A jej brwi cieńsze, bardziej łukowate? Ależ to niemożliwe!

Antonio znowu przyklęknął przy bracie, który gestem przekonywał go, aby tego nie robił.

- Nic mi nie dolega. Jestem wyczerpany, ale dochodzę do siebie - powtarzał.

- Wcale nie jest z tobą tak dobrze, jak sądzisz - odparł An-

tonio, starając się oczyścić ranę na jego czole. - Jakiś maniak zepchnął cię z szosy. Omal cię nie zabił!

Cass spojrzała na twarz Tracey wyzbytą wszelkiego wyrazu. Teraz, gdy się w nią wpatrywała, przyszło jej na myśl, że zaczyna dostrzegać podobieństwo do Isabel, czego przedtem nie zauważyła. Poczowała znowu dreszcze. Usiłowała przekonać siebie, że ulega halucynacji. I nagle natrafiła w myślach na dalszy element układanki. Zaraz, czy ktoś jej mówił, że Catherine tuż przed śmiercią Eduarda zaczęła nagle łudząco przypominać Isabel?

Zadygotała. Jeszcze raz spojrzała ukradkiem na Tracey. Niech to szlag. Siostra rzeczywiście upodabniała się do Isabel. Nawet włosy zdawały się nabierać czerwonawego odcienia. Czy to światło tak pada na jej głowę?

Cass przypomniała sobie, że Isabel pastwi się na umysłach ludzkich.

Antonio nakładał jakąś maść na ranę Gregory'ego.

- Ach, więc to się zdarzyło? - spytała.

Gregory popatrzył na nią.

- Dużo gorzej niż tylko to. Ale, jak myślę, nie zechcesz mi Uwierzyć. - Znowu zerknął na Tracey. - Czy ona jest w porządku?

Cass zawahała się, kierując wzrok na siostrę. Jej usta wydały się węższe, nos prostszy, oczy szerzej rozstawione. Coś w Cass pękało. Może resztki nadziei.

- Tak, w porządku - skłamała, krzywiąc się lekko. Tracey wcale nie była w porządku, ale gdzie się kończyła ona, a zaczynała Isabel? Co będzie, jeśli Tracey zupełnie zniknie? I co by zrobił Antonio, gdyby dowiedział się o przebiegu ich rozmowy w bibliotece? Cass nie może mu dłużej ufać. - Co jeszcze się zdarzyło?

Kocham cię. Zaufaj mi.

Siłą woli odrzuciła wspomnienia.

Gregory raptem odepchnął Antonia.

- Oj, to boli! To była Isabel. Usiłowała mnie zabić. Była za kierownicą ciężarówki, która zepchnęła mnie z szosy.

Cass zastygła.

- Nie sądzę, żeby kobieta, która zmarła w 1555 roku,

umiała prowadzić auto - odparł Antonio cierpko. - Czy mam zabandażować ci kolano? To może przynieść ulgę.

- Myślę, że będzie dobrze, jak zrobimy sobie małą przerwę - odparł Gregory. - Mówię o czymś, co widziałem na własne oczy - rzekł do obojga z wyraźną pretensją w głosie. Znowu utkwiał wzrok w Tracey.

Zimno, z nadzwyczajnym opanowaniem Tracey spojrzała na niego. W jej oczach można było wyczytać, że dokładnie zna scenę opisywaną przez Gregory'ego.

- A ja myślę, że to psikusy twojej wyobraźni. Albo może Isabel gra z tobą - odezwał się znowu Antonio.

- I jakiś szaleniec o mało co mnie nie rozjechał? - Gregory powiedział to z sarkazmem i z rosnącym gniewem.

Cass, która przed chwilą kucnęła, podniosła się i wykrztusiła:

- Co o tym myślisz?

Tracey popatrzyła na nią bacznie. W jej źrenicach ukazało się dziwne światło.

- Przecież ja nie prowadzę.

- Nie, ty nie umiesz prowadzić. Ale inni potrafią, prawda?

Tracey uśmiechnęła się sennie.

- Inni prowadzą - zgodziła się.

- Kim jesteś? - zapytała wprost Cass. Była doskonale świadoma, że obaj bracia przyglądają się im z najwyższą uwagą, wsłuchując w każde słowo. Nie mogła się jednak powstrzymać.

- Wiem, kim jestem.

Cass się cofnęła. Serce biło jej z trwogi.

- Nie jesteś moją siostrą, prawda?

- Jestem twoją siostrą - odparła Tracey z ironicznym uśmiechem. - Teraz.

Antonio zerwał się na równe nogi.

Cass natychmiast pojęła, co się święci. Ujrzała, jak się zbliża, chciała go złapać i zatrzymać, ale równie dobrze mogłaby zastopować lokomotywę. Odsunął ją tak mocno, że upadła na kolana. Chwytał Tracey za ramiona i z całej siły zaczął nią potrząsać.

- Co zrobiłeś z dziećmi, ty suko? - ryczał.

Oczy Tracey poczęły się zmieniać. Niewiarygodnie zbieleły i zaświeciły oślepiającym blaskiem. Odepchnęła go od siebie.

Cass wydała krzyk trwogi, gdy Antonio przewrócił się na posadzkę. Jak jej siostra sprawiła, by jednym ruchem odepchnąć od siebie mężczyznę mającego metr osiemdziesiąt wzrostu i ważącego dziewięćdziesiąt kilogramów - zastanawiała się w duchu. Ale odpowiedź nasuwała się sama. Energia jej siostry była bezgraniczna, bo nadnaturalna.

Antonio ze wściekłą miną podnosił się na nogi. Z zaciśniętymi ustami, zgrzytając zębami, znowu ruszył na Tracey. Cass krzyknęła, ale zbyt późno:

- Przestańcie! Pozabijacie się nawzajem!

W tym momencie Antonio runął na jej siostrę.

Ale Tracey nic sobie nie robiła ze strasznego ciosu. Odsunęła się jedynie w głąb holu, obok drzwi prowadzących na dziedziniec. Teraz wdali się w regularną bójkę na pięści. Tracey trzymała się jakimś nadnaturalnym wysiłkiem. Antonio nie mógł jej powalić na podłogę, nie zdołał nawet uwięzić jej rąk.

Ona natomiast podrapała mu twarz, zostawiając krwawe ślady.

Cass rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem w poszukiwaniu jakiejś broni, zauważywszy kątem oka, że Gregory niepewnie staje na nogi. W zasięgu ręki natrafiła tylko na apteczkę. Chwyliła skrzynkę, z której poczęły się wysypywać medykamenty, i nie spuszczała oka z Gregory'ego, który zaatakował jej siostrę i swojego brata.

Później Cass nie mogła sobie uzmysłwić, czy to Tracey była odpowiedzialna za to, co nastąpiło. W każdym razie, kiedy Gregory ruszył na tamtych dwoje, jej siostra błyskawicznie usunęła mu się z drogi, pociągając za sobą Antonia. I rozpełdzony Gregory wyrznął głową w szklane drzwi wychodzące na dziedziniec.

Cass wrzasnęła przeraźliwie, gdy szkło rozprysło się pod uderzeniem, a Gregory z krzykiem wylądował po drugiej stronie. Wyglądał jakby ogarnięty płomieniami - zlany krwią, ob-sypany szkłem,

Antonio wyrwał się z uścisku Tracey, usiłując zapanować nad sytuacją. Cass widziała wszędzie krew.

I wówczas kątem oka dostrzegła, jak Tracey podnosi długi jak ostrze sztyletu odłamek szkła. I unosi go wysoko nad sobą.

- Antonio! - krzyknęła ostrzegawczo.

Tracey zamachnęła się i wbiła odłamek szkła w plecy Antonia.

W jego oczach Cass dostrzegła lęk i zdumienie. W chwilę potem runął na twarz.

Stała sparaliżowana z oczami utkwionymi w siostrę.

Tracey rzuciła broń, spojrzała na Cass straszonym wzrokiem, obróciła się w miejscu i ruszyła biegiem przed siebie.

Cass podbiegła do Antonia, przykucnęła i obiema dłońmi usiłowała zatamować strumyk krwi wydobywający się z rany.

- Tonio?

- Gregory - wyjęczał.

Cass podtrzymawała go, nadal tamując krew rękami. Po chwili go puściła, ściągnęła z siebie podkoszulek i użyła go jako tamponu, mocno przyciskając do rany.

- Pozwól mi się zająć najpierw tobą! - krzyknęła. I w tym momencie zrozumiała, że jeżeli on umrze, to ona już nigdy nie będzie taka sama, bo kocha go całym sercem.

Leżał twarzą do podłogi, ale wreszcie przekreślił nieco głowę, opierając się na policzku. Miał zacisnięte powieki. Gdy otworzył oczy, dostrzegła w nich ból i cierpienie.

- Nic mi nie jest - wymamrotał. - Pomóż mi się podnieść. Zabiję ją.

Cass zeszywniała.

- Nie! To moja siostra, nawet jeśli nawiedziła ją Isabel, i nie wolno ci tego zrobić!

- Ona porwała dzieci! - wykrzyknął Antonio i znowu zamknął oczy, wydając z siebie przeciągły jęk.

Cass mocniej nacisnęła ranę. W skroniach jej pulsowało, w uszach słyszała dzwonienie, nie potrafiła jasno myśleć. Co będzie, gdy się okaże, że dzieci nie żyją? Nie ulega kwestii, że Isabel chciała zabić obu braci. Czy pragnęła również unicestwić Tracey? A także ją? Cass zacisnęła powieki.

Pokój jest śmiercią.

- Jak ją chcesz powstrzymać? - szepnęła w rozpacz. Jej serce pękało z bólu. Tak bardzo bała się o Tracey, ale jeszcze bardziej obawiała się o los dzieci i Antonia.

Nie odpowiadała.

Zamarła. I nagle ogarnął ją gniew. Potrzebowała pomocy, do cholery. Jak mógł teraz umrzeć? Niech go szlag!

Gdy poczuła łzy spływające po twarzy, natychmiast pożałowała swych myśli, wybuchu wściekłości. To była robota Isabel. Isabel ich wszystkich zatrzymała - i czyniła tak od chwili ich przybycia do Casa de Suenos. Czy też wszystko zaczęło się z chwilą, gdy Tracey przyjechała do Belford House z Antoniem na bankiet połączony z prezentacją naszyjnika?

Jak groźne są jego obrażenia? I co się dzieje z Gregorym?

Ostrożnie uniosła podkoszulek, który przywarł do rany, bo krew zaczęła zastygać. Uznała to za dobry omen. W apteczce zostało kilka bandaży. Postanowiła, że opasze nimi Antonia, by podkoszulek nadal działał jako tampon. A wtedy stawi czoło Tracey.

Nie. Uda się na konfrontację z Isabel.

Kilka minut później uporała się z bandażowaniem Antonia i pobiegła do Gregory'ego, ale ten był cały tak poraniony, łącznie ze swą przystojną twarzą, że nie wiedziała, od czego zacząć. Wiedziała tylko jedno: Isabel zrobiła coś z dziećmi i zawiadnęła jej siostrą. Cass nie chciała zostawić Gregory'ego w tym stanie, lecz nie miała wyboru. Trzeba natychmiast powstrzymać Isabel, by uratować dzieci.

Ogarnęła ją trwoga. Wszyscy w Casa de Suenos zostali ranni z winy Isabel - prócz niej. Wynikało z tego, że teraz ona stanie się następną ofiarą.

Przecież musi być jakieś wyjście, żeby przechytryć Isabel. Przechytryć i zniszczyć.

Wstała powoli, nadstawiając uszu, ostatkiem sił próbując zapanować nad lękiem i dreszczami. Na dziedzińcu panowała martwa cisza, zamilkły nawet świerszcze. Nie przeleciała sowa w pobliżu, w kominku nie trzasnęła żadna głownia.

Trwała cisza złowrogiej kastyljskiej nocy.

Zwilżyła wargi. Puls szalał. Każde włókno ciała trwało

w pogotowiu. Zdawała sobie sprawę, że to najgorsza chwila jej życia.

Przekłęty koszmar senny stał się rzeczywistością.

Zawróciła do domu, stanęła o krok od Antonia i zaczęła nasłuchiwać.

Nic. Ani szelestu. Cisza była obezwładniająca.

- Gdzie jesteś? - Cass sądziła, że krzyczy, ale wydała z siebie zaledwie szept. - Gdzie jesteś? - Próbowała nasilić głos. - No, gdzie się podziałas?

Bez odpowiedzi.

Tracey zniknęła w holu prowadzącym do pokoi, które przydzielił im Antonio. Cass rozejrzała się wokół. Postanowiła, że zanim ruszy w tamtym kierunku, zaopatrzy się w jakąś broń. Przecież Tracey posiada nadnaturalne siły.

Wreszcie podniosła długi, cienki odłamek szkła i owinęła jeden jego koniec resztką bandaży. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, co uczyni, kiedy będzie musiała się bronić. Ruszyła korytarzem, zostawiając za sobą oświetloną sień. Alfonso nie zatroszczył się, by w świecznikach w tej części domu umieścić świece. Taki jej cholerny pech.

Przy każdym drzwiach zwalniała kroku i stawała, spodziewając się gwałtownego ataku ze strony Tracey.

Zawahała się przed wejściem na schody. Bała się wspiąć na górę, lękała się, co może tam zastać. Ogarniała ją panika na myśl, co - lub kogo - może spotkać.

Biblioteka znajdowała się dokładnie po drugiej stronie dziedzińca, a ponieważ w jej kominku nadal płonął ogień, rzucał tam nieco światła. Cass zaczęła wchodzić na schody, słysząc w głowie tylko dwa słowa: Boję się, boję się. Lęk nie dawał jej wytchnienia.

Na podeście pierwszego piętra stanęła.

- Tracey?

Nadal cisza.

Przełknęła ślinę. Jej sypialnia była na lewo, na końcu domu. Po prawej, tuż przed nią, znajdowały się drzwi prowadzące do sypialni jej siostry oraz do innego, nie używanego pokoju. Co powinna uczynić? Gdzie się podziała Tracey?

Isabel pewnie mogła przenikać przez ściany, ale Tracey nie potrafiła tego zrobić. Nie mogła, ot tak, zniknąć.

Do jej uszu dobiegł nagle trzask desek podłogowych. Dochodził z jej własnej sypialni, do której od wczorajszego dnia nawet nie zajrzała. Zamarła.

Ruszyła w kierunku półprzymkniętych drzwi, przerażona myślą, co ujrzy po drugiej stronie.

Pchnęła je lekko, mocno ściskając w ręce odłamek szkła. Schowała rękę za plecami, w każdej chwili gotowa do obrony.

Powitała ją ziejąca czerń, rozjaśniona jedynie paroma gwiazdami błyskającymi na niebie za oknem.

- Tracey? - krzyknęła. Jej niepokój stale wzrastał. Instynktownie czuła, że siostra ukryła się w tym pokoju. - To ja, Cass. Nie chcę cię skrzywdzić. Pragnę ci pomóc.

- To dlaczego trzymasz w ręce szkło?

Cass odskoczyła w bok. Tracey przemawiała zza jej pleców. Stała tak blisko, że poczuła jej oddech na karku. Obróciła się gwałtownie, unosząc nad sobą odłamek szkła. Tracey stała na progu sypialni. Ich oczy się spotkały.

I Cass pojęła w tym momencie, że to nie są oczy jej siostry. Nie było w nich niepewności, wrażliwości. Wyzbyte wszelkich emocji, w niczym nie przypominały ludzkich oczu.

- Chcę pomóc - wyjąkała Cass.

Tracey tkwiła w tym samym miejscu. Wydawało się, że nawet nie oddycha. Jej podobieństwo do Isabel było teraz niezwykle. Stało się tak, jakby kształty siostry powoli się zmieniały. Do podobnej przemiany zdolny jest wielki aktor, wcielający się w kolejną rolę. Nagle drzwi do sypialni się zatrzasnęły.

Oddzielając je od siebie.

Cass krzyknęła, skoczyła do tyłu i stanęła, drżąc na całym ciele, niedaleko łóżka, pośrodku pokoju. I gdy błyskawicznie starała się uporządkować fakty - Tracey najwyraźniej w jakiś sposób zatrzasnęła drzwi, choć Cass nie zauważyła żadnego jej ruchu - usłyszała dźwięk klucza przekręcanego w zamku.

Zamarła, myśląc rozpaczliwie: Nie. To niemożliwe. Zaraz

jednak podbiegła do drzwi i zaczęła się z nimi mocować. Bez rezultatu. Były zamknięte na głucho.

Za nią trzasnęło zamykane okno.

Cass okręciła się wokół własnej osi, ale spostrzegła, że jest sama w pokoju. Tracey nie przeniknęła przez ścianę, bez wątplenia nikogo tu nie było. Pewnie to złudzenie, że okno samo się zatrasnęło. I gdy już to sobie wmówiła, nagle zatrasnęło się drugie okno, i kolejne, i następne.

ROZDZIAŁ 26

Tower - 8 czerwca 1555 roku

W celi wysoko na ścianie było umieszczone małe, wąskie, zakratowane okienko. Na podstawie zmiany kąta padania światła Isabel mogła śledzić upływ czasu. Od uwięzienia minęły zaledwie dwa dni i dwie noce, ale wydały się jej dwoma latami. Siedziała na zimnej, wilgotnej, śmierdzącej uryną posadzce, na sienniku, który tu chyba tkwił od wieków. Oparła głowę na kolanach. Już nie była oszołomiona, odczuwała teraz straszliwy, wszechogarniający lęk.

Oskarżono ją o herezję. Dlaczego? Jak to się stało?

Zadrzała. Rob wspominał do niej w liście o paleniu heretyków? Ale przecież taka śmierć nie może stać się jej losem.

Wielu protestantów, takich jak ona, oficjalnie podporządkowało się wierze królowej i zostawiano ich w spokoju. W gruncie rzeczy podejrzewała o taką hipokryzję stryja Sussexa. Dlaczego akurat ją wybrano sobie jako obiekt prześladowań?

Przyszła jej na myśl furia Alvarada i nagle poczuła się tak, jakby miała sto lat. Jej małżonek był zagorzałym katolikiem. Teraz ją znienawidził. Czy maczał w tym palce?

I co, na miłość boską, dzieje się z Philipem? Co się stanie z jej synem?

Jęknęła, po policzkach spłynęły łzy. Jeśli tylko zdołałaby ocalić synka przed furią Alvarada, chętnie złożyłaby własne życie w ofierze.

Rozległy się kroki.

Isabel wyprostowała się, porażona bólem przy gwałtownej

zmianie pozycji. Jej połamane żebra były źródłem nieustannych cierpień. Ale cierpienie fizyczne stało się niczym wobec trwogi, jaką wzbudził w niej odgłos kroków.

Popołniono okropny błąd. Ta cela nie mogła stać się jej przeznaczeniem. Na pewno ten ktoś - lub paru mężczyzn zbliżających się do drzwi - wypuści ją na wolność i wyjaśni tę straszną sytuację.

Dochodziło południe - słońce za kratami dawało o tym znać - niemniej w celi panował mrok. Zmrużyła oczy, żeby dostrzec dwie zbliżające się postaci. Czy się jej zdawało, że jeden z nich jest ubrany w szaty kapłańskie? Na widok drugiego serce skoczyło jej z radości.

Douglas Montgomery chwycił kraty u drzwi celi, błędąc na jej widok.

- Co oni z tobą zrobili! - krzyknął z rozpaczą.

Isabel wpatrywała się w niego, mając przed oczami sceny ze swego życia. Jakże pożałowała, że Rob wzbudził w niej młodzieńcze żądze, że odrzuciła względy Douglasa, że wyszła za mąż za Alvarada, że ponownie zaczęła się widywać z Robem i ciągnęła romans po zamążpójściu. Wlepiwszy oczy w Montgomery'ego, ujrzała w jego żrenicach miłość i trwogę.

Coś się w niej obudziło, a zarazem przeszła ją okropna myśl: Pokochałam nie tego człowieka.

O Boże, pokochałam niewłaściwego mężczyznę, który mnie zapłodnił, a gdybym dobrze wybrała, to właśnie ten człowiek byłby moim panem, moim mężem, mim życiem.

Oczy wypełniły jej pałace łzy żalu.

- Douglas... - wyszeptwała, starając się opanować szloch.

- Czy bardzo jesteś poraniona? - zapytał Montgomery, ścisnąc kraty tak mocno, że stawy na palcach mu zbieleły. - Dopilnuję, aby jeszcze dziś opatrzył cię medyk.

Isabel spróbowała się podnieść, tłumiąc okrzyki bólu. Chwyciła się krat, ich dłonie się dotknęły. Wysiłek związany z wstaniem i podejściem paru kroków wiele ją kosztował.

- Jesteś ranna - powtórzył Douglas zrozpaczonym szeptem. Przesunął ręce przez kraty i objął jej twarz.

Jego dotyk sprawił jej niewysłowioną rozkosz. Nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś podobnego. W swoim wnętrzu

trzu, mimo bólu i lęku, poczuła szczęście i ulgę. Kocham go - pomyślała. Zamknęła oczy, była bardzo znużona. I będę umierała, kochając go.

Uniosła głowę, popatrzyli na siebie.

- Dzięki, Douglasie - rzekła, ledwie poruszając wargami.

- Za co? Muszę jeszcze doprowadzić do tego, co sobie postanowiłem. Nie spłoniesz na stosie, Isabel. - Jego oczy pociemniały. - Za tym wszystkim kryje się twój mąż. On na ciebie doniósł. Nie tylko wie o twoim romansie, ale podejrzewa cię również o inne zdrady - sądzi, że jesteś szpiegiem na rzecz Anglików.

Isabel uprzytomniła sobie, że niewiele więcej potrafi znieść...

- Sussex jest moim władcą i nakazał mi szpiegowanie męża. Jednakże informacje, jakie mu przekazałam przed odjazdem do Kastylii, nie mają większego znaczenia.

- Co za różnica? Miłość de la Barki przemieniła się w nienawiść. On cieszy się zaufaniem króla Hiszpanii. Filip ma wpływy u królowej. De la Barca postanowił pozbyć się ciebie, a czyż jest lepszy sposób, niż oskarżyć cię o herezję?

Isabel uwiesiła się krat.

- O Boże! A więc nie ma dla mnie żadnej nadziei?

Znowu wsunął ręce przez kraty, żeby objąć jej twarz.

- Musisz okazać gotowość do pokuty. Wyznaj swe grzechy i błagaj o wybaczenie, tylko to może cię ocalić od stosu. Postaram się dziś jeszcze porozmawiać z Sussexem. Razem przekonamy królową, by poparła naszą sprawę. Czy rozumiesz mnie, Isabel? - W jego oczach ukazały się łzy. - Dobry Boże, przecież ona jest kobietą, i jeśli ktokolwiek może pojąć tę sytuację, to właśnie ona.

Kiwnęła głową, ale nie miała złudzeń, bo poznała królową Marię, a potem widziała ją przy kilku okazjach. Budziła w niej strach, bo jeśli jakaś kobieta przypominała mężczyźną, to była nią królowa, która miała żelazną wolę i przenikliwą inteligencję. Była również zaprzysięgłą katoliczką. A Isabel doskonale pamiętała ich jedyne spotkanie. Królowa w ogóle nie zwróciła na nią uwagi.

- Czy mam wyznać romans z Robem?

Montgomery stał się jeszcze bardziej przygnębiony.

- De la Barca ma dowody, prawda? Zresztą cały dwór wie o twoim romansie. Nie ukrywaj tego. Błagaj o boskie zlitowanie, wybaczenie Kościoła i o łaskę królowej.

Isabel wpatrywała się w ukochaną twarz. Powietrze nad nią było tak ciężkie, że zdawało się spadać brzmieniem na jej wątłe barki i wgniatać ją w podłogę.

- Ona mnie nie lubi - usłyszała swój własny głos.

Montgomery zaklął. Następnie nachylił się przez kraty i pocałował ją.

Isabel wysunęła ręce i ścisnęła jego dłonie. Gdy się całowali, czując na twarzach ucisk żelaza, coś, co zaczęło się jako delikatne uczucie podszyte lękiem i żalem, przemieniło się w dziki i cudowny stan, zarazem słodki i gorzki. Kiedy się odsunęli, w oczach obojga lśniły łzy.

- Jakoś przejdziemy przez to, ty i ja. Przysięgam ci, Isabel. Będziesz żyła.

Wierzyła, że będzie się starał. Była jednak przerażona myślą, że mu się nie powiedzie. Tak się bała, że nie chciała nawet wyrazić swoich lęków słowami, jakby to groziło ich natychmiastowym spełnieniem.

- Boję się o Philipa. Douglasiu, co się stanie z moim synkiem?

Zauważyła, jak w jego oczach ukazał się i znikł cień.

- Może dziecko będzie mogło wychowywać się u mnie - lub nawet u Roba. Wyobrażam sobie, że de la Barca nie będzie miał ochoty zajmować się nim. Najpierw jednak doprowadźmy do twego uwolnienia, moja droga, a wtedy zaczniemy się zastanawiać, co zrobić z synkiem.

Kiwnęła głową.

- Douglas? Zanim odejdiesz, zrób coś do dla mnie. Jeśli będę musiała umrzeć, przysięgnij mi na Biblię, że zapewnisz opiekę Philipowi.

- Nawet nie mów o czymś takim! - Znów chwycił jej ręce przez kraty. - Isabel, nie potrzebujesz mnie o to prosić, będę troszczył się o twój synka tak, jak staram się zaopiekować tobą.

Rozpłakała się na te słowa, ponieważ całkowicie mu zaufała.

Westminster Hall - 12 czerwca 1555 roku

Gdy Isabel weszła do sali sądowej, zwolniła kroku i rozejrzała się wokół.

Sala była wypełniona do ostatniego miejsca szlachciami i szlachciankami, którzy przybyli, by ujrzeć na własne oczy, jak ich rodaczka sądzona jest za najstraszniejszą zbrodnię. Wysoko nad nią, w odległym rogu komnaty, stało trzech biskupów, w tym kanclerz John Gardiner. Królowa nie była obecna, o czym Isabel wiedziała z góry. Nadal nie opuszczała łóża, czekając na mocno spóźnione rozwiązanie.

Isabel była na granicy omdlenia, kolana odmawiały jej posłuszeństwa. W sali było gorąco, z trudem mogła oddychać. Tłumiła w sobie przeraźliwy strach. Jak to się stało, że doszła w życiu do takiego punktu? Co zrobiła, żeby być sądzona za herezję? Coraz bardziej kręciło się jej w głowie, lęk narastał, gdy uświadomiła sobie, że tłum na sali był żądny krwi. Jej krwi.

Napotkała wzrokiem Helen i aż się potknęła, niezdolna do dalszego kroku.

Oczy tamtej były spuchnięte i czerwone od płaczu, twarz groteskowo blada. Nagle Helen zaczęła głośno szlochać.

Isabel poczuła, że i jej łzy spływają po policzkach. Jeszcze raz spojrzała na kobietę, towarzyszącą jej od ósmego roku życia, gdy została sierotą. Nigdy ani nie ufała zbytnio Helen, ani jej nie lubiła. I nagle uzmysłowiła sobie, jak błędnie oceniała swą opiekunkę. Tamta nie mogła się opanować. Jej szloch był wyrazem strasznego żalu.

Isabel pojęła wreszcie, że Helen ją kochała, że była w istocie drogą, godną zaufania przyjaciółką.

- Helen? - szepnęła.

- Bądź silna - usłyszała w odpowiedzi. - Och, Isabel, znajdź w sobie siłę i błagaj sąd o litość.

- Proszę się udać na miejsce - warknął jeden ze strażników, popychając Helen w ciżbę, która na widok Isabel wybałuszała z ciekawości oczy.

- Philip? - zdołała krzyknąć Isabel, gdy dwaj żołnierze

ciągnęła ją przed siebie, mijając Helen. - Mój syn! Odpowiedz!

- Wszystko w porządku! - wykrzyknęła tamta. - Admirał de Warenne wzięł dziecko do siebie w dniu twojego aresztowania.

Isabel zakryła usta ręką, żeby nie wydać okrzyku ulgi.

Żołnierz popychał ją w kierunku przejścia. W pierwszym rzędzie foteli zauważyła wielu lordów, a gdy się obrócili, żeby na nią spojrzeć, Isabel dostrzegła wśród nich swego stryja, hrabiego Sussexa. Tuż za nim stał Douglas Montgomery.

Jej serce niemal przestało bić na ten widok, ale nie ze strachu, lecz z poczucia najgłębszej emocji - prawdziwej, wiecznej miłości.

Ich oczy się spotkały.

Był strasznie blady, ale zdołał się uśmiechnąć. I w tym uśmiechu Isabel ujrzała cały jego lęk, całą nadzieję.

- Isabel de la Barca.

Doszła do krzesła, na które ją brutalnie pchnięto. Na dźwięk swego nazwiska spojrzała w górę. Zobaczyła przed sobą kanclerza.

- Zostałaś oskarżona o herezję. Jeśli wyznasz swoje grzechy i okażesz skruchę, sąd zlituje się nad tobą. Jeśli nie wyznasz grzechów i nie wyjawisz żalu, spłoniesz żywcem na stosie, skazana na wieczne potępienie w piekle.

Isabel popatrzyła na niego. Serce tłukło się w jej piersi jak ptak.

- Wyznam grzechy.

- Coś rzekła? Mów zatem, co masz do powiedzenia.

Isabel doskonale słyszała głos kanclerza, ale nagle ujrzała nieruchomą jak maska twarz swego stryja, unikającego jej wzroku. Ponad nim zerknęła na Douglasa, który skinął głową. Na jego obliczu widać było straszne napięcie. I w tym momencie Isabel uzmysłowiła sobie, że Rob nawet nie zaszczycił swą obecnością rozprawy, gdzie ważyły się jej losy - życie lub śmierć.

- Musisz wyznać swoje grzechy tu i teraz, żałując publicznie, że się ich dopuściłaś, że żyłaś bez wiary katolickiej, jeśli pragniesz, aby ten sąd, Bóg i królowa okazali ci łaskę.

Isabel ponownie zerknęła na stryja. Uzurpator. Zamiast niego ujrzała jednak matkę, modlącą się na kolanach w swojej prywatnej - i sekretnej - kaplicy, podczas gdy jej osobisty duszpasterz odprawiał mszę. Czuła nawet słodką woń trybularza z żarzącymi się wonnymi ziołami. Usłyszała głos ojca Josepha, który wyraźnie wymawiał słowa łacińskie, jakby znajdował się tuż obok. I jej drobna, piękna matka, tak oddana wierze, tak rzeczywista, że Isabel była przekonana, iż gdyby wyciągnęła rękę, dotknęłaby jej ciała, gdy tak klęczała w kaplicy zamku Romney. Oczy napełniły się jej łzami.

Kanclerz znowu zabrał głos. Isabel wydawało się, że słyszy szloch Helen.

Zamknęła oczy i wtedy ujrzała ojca - silnego, postawnego mężczyznę, wchodzącego do sieni po polowaniu, promieniejącego dumą. Schylił się, żeby uściskać Isabel, która była wtedy ledwie sześciolatnią, chudą jak patyk dziewczynką, szepcząc jej do ucha, jaki jest szczęśliwy z posiadania małej hrabianki. A ona, śmiejąc się, odpowiedziała mu, że zawsze będzie z niej zadowolony...

Ojciec, który zezwolił matce na wyznawanie takiej wiary, jaką jej dyktowało sumienie. Ojciec, który kochał swą żonę bez żadnych warunków wstępnych, choć sam należał do Kościoła Anglikańskiego.

Ojciec, który przekazał jej swoją wiarę, swoje nazwisko i miejsce na ziemi.

Rozpłakała się w głos.

Poczuła, jakby to było wczoraj, gdy ona i jej brat Thomas siedzieli w pierwszym rzędzie ławek obok ojca, by czcić Pana i modlić się razem z nim. Zaledwie wczoraj... Było to jednak dwanaście przerażających lat temu.

Powstrzymała łzy i wstała, z trudem utrzymując równowagę. Musiała chwycić się oparcia krzesła, żeby nie upaść. Dopiero wówczas zorientowała się, że kanclerz na nią wrzeszczy i że tłum mruczy coś do siebie w zdumieniu. Popatrzyła na stryja.

Uzurpator. Kłamca. Mistrz w sztuce oszustwa, zdrady i zdobywania władzy.

- Wydałeś mnie za mąż tylko po to, bym dla ciebie szpiegowała - rzekła cichym, lecz wyraźnym głosem.

Sussex wytrzeszczył oczy. Nagle w ciżbie zapadła cisza. Każdy chciał usłyszeć to, co dalej nastąpi.

- Nigdy nie żywiłeś miłości do córki swojego brata, czyż nie? Byłam jedynie pionkiem, którego postanowiłeś użyć w swoich podstępnych rozgrywkach - rzekła z goryczą.

- Cisza! - nakazał kanclerz. - Niedopuszczalna jest rozmowa ze świadkiem. Pytam cię po raz ostatni: czy wyznasz swoje grzechy? Czy przyznasz, że byłaś niewierną córą jedynego prawdziwego Kościoła, papieża i samej królowej?

- Wyznaję, że byłam głupia - odparła Isabel. Napięcie, w jakim żyła przez ostatnie dni, tygodnie, lata, nagle ustąpiło bez śladu. Spojrzała na Douglasa, przesyłając mu smutny uśmiech, przeznaczony tylko dla niego - i wówczas dostrzegła Roba.

Wszedł do sali, gdy tego nie zauważyła. Stała za Dougla- sem, wpatrując się w nią z surową powagą.

Isabel, spoglądając na niego, nie poczuła cienia dawnych emocji. Nie był nawet taki przystojny, jak się jej kiedyś zdawało. Twarz w porównaniu z obliczem Montgomery'ego wydawała się pozbawiona charakteru. Kości policzkowe nie były umieszczone tak wysoko, jak zapamiętała. Podbródek był jak- by cofnięty, a szczęka wcale nie robiła wrażenia masywnej. Na dodatek Rob unikał jej spojrzenia.

Zlustrowała wzrokiem każdą piędź jego ciała. Ujrzała szczupłego mężczyznę ubranego w stroje z jedwabiu i aksamitu, obszyte satyną i futrem, noszącego zbyt dużo ozdób. Jeszcze raz utkwiała wzrok w jego twarzy i zobaczyła na niej ślady zużycia, a kiedy wreszcie udało się jej na chwilę spojrzeć mu w oczy, w ich bładą, wodnistą głębię, dostrzegła w nich wyłącznie kłamstwa, miłość własną i potężną, nieokiełznaną ambicję.

A jak szybko Rob odwrócił wzrok!

Uśmiechnęła się do Douglasa, starając się nie płakać. Wiedziała, że to się jej nie powiodło, widziała w oczach Montgomery'ego błagalną prośbę: aby zrobiła to, co musi. W myślach przekazała mu całą swoją pozostałą miłość - te resztki, które

za chwilę zostaną jej odebrane - i spojrzała w twarz kanclerzowi.

- Wyznaję, że wzbudził moje żądze męczyzna, który nie zasługuje na to, by zmiatać kurz z miejsca, w którym stoję. Wyznaję, że zdradziłam przysięgę małżeńską w imię bezsensownej młodzieńczej naiwności. Wyznaję, że szpiegowałam na rzecz mego stryja, hrabiego, wbrew podszeptom serca, umysłu i duszy. I wreszcie wyznaję, że zbyt późno, niestety, pokochałam silnego, odważnego i prawdziwie szlachetnego mężczyznę. - Uśmiechnęła się przelotnie. - I tak, żałuję za grzechy.

- Isabel - usłyszała głos Douglasa, przepełniony bólem.

- Więc nie wyznajesz grzechu zboczenia ze ścieżki jedynej słusznej wiary? - zapytał Gardiner, gdy w tłumie rozległy się pomruki zdumienia.

Isabel popatrzyła na Gardinera, którego twarz przybrała kolor purpury, bo kanclerz był zaciekłym fanatykiem. Spojrzała na stryja i wyczytała w jego oczach zapowiedź bezwzględnej zemsty. Zatrzymała wzrok na Douglasie i pojęła, że on płacze. I obserwowała, jak Rob opuszcza salę sądową - szybkim krokiem, ze zwieszoną głową.

Wreszcie spojrzała na swego męża. Jego nienawiść nie zmniejszyła się, ale poza tym trzymał się świetnie. Jakże i ona go nienawidziła! Nigdy mu nie wybaczy, że ją poniżył, pobił i jest tym, kim jest.

- Mów, bo w przeciwnym razie sąd skaze cię na śmierć przez spalenie! - ryknął na nią Gardiner.

- Wyznaję, że wierzę w Boga, jak to czynił przede mną mój ojciec. Wierzę z głębokim przekonaniem i z oddaniem. Wyznaję, że zawsze w ten sposób czciłam Boga. Wyznaję pragnienie czczenia Go w ten sposób do końca swego życia, bez względu na to, ile mi zostało czasu. I nic więcej nie mam do wyznania - rzekła na koniec. Puls tłukący się w skroniach ogłuszał ją.

Gardiner stał jak słup soli, nie wierząc własnym uszom.

Sussex wydał z siebie jakiś dźwięk.

Douglas krzyknął rozpaczliwie, a Helen wrzasnęła:

- Nie, Isabel, błagaj o litość!

- Błagam - rzekła wolno Isabel, krztusząc się i płacząc - aby się wyzwolić z tej hipokryzji, z tego udawania, z tej bezbrzeżnej nieprawdy, którą jest moje życie.

Gardiner wykrzyknął:

- Niech tak będzie. Jutro w południe będziesz płonęła na stosie. - Wypowiedziawszy te słowa, wyszedł z sali.

Isabel padła na kolana.

- Bóg wybaczy ci - rzuciła za nim - twoje grzechy i przebaczy mi moje.

Wzgórze Tower - 13 czerwca 1555 roku

Isabel utkwiała wzrok w kłodach drewna starannie ułożonych wokół jej nóg i stóp. Gdy tak patrzyła, kątem oka zauważyła dwóch mężczyzn rozpalających stos. Miała ręce związane za plecami i była przytroczona sznurem do pręgierza.

Zebrał się tłum żądny widoku jej umierania. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Szlachetne panie i panowie, kupcy, szlachta, rzemieślnicy, pomocnicy, służący, a nawet bracia zakonnicy i księża okrążyli stos, na którym miała za chwilę dogorywać. Wykrzykiwali pod jej adresem obraźliwe epitety, nazywając ją „ladacznicą”, „heretyczką”, „Hiszpanką”, „suką” i jeszcze gorszymi słowami. Ich przekleństwa i krzyki sprawiały tylko, że coraz bardziej na to wszystko obojętniała. Czuła się jak pod wpływem silnego narkotyku, całkowicie oszołomiona.

Jeden z mężczyzn rozpalających ogień pod tym, co stanie się za chwilę jej stosem pogrzebowym, nagle dotknął jej nóg. Isabel drgnęła.

- Wierzej mi, pani, będziesz tego potrzebowała - rzekł, prawie się usprawiedliwiając.

Isabel dostrzegła, że trzyma w rękach pęcherze owcze.

- Wypełnione prochem - wyjaśnił. - W przeciwnym razie będziesz, pani, żyła nawet, gdy twoje ciało zmieni się w skwarę.

Jej serce nagle zabiło. Przypomniało sobie, że Isabel jest nadal żywą istotą. Oprawca tymczasem przywiązywał pęcherze do jej ud.

- Boże, miej litość — usłyszała swój własny szept. I nagle poczuła straszny, zwierzęcy lęk. - Boże, litości! - krzyknęła.

Żołnierze otoczyli stos. Pojawili się znikąd. Isabel wpatrywała się w ich nieruchome twarze. I wtedy dopiero uzmysłowiła sobie, że nadszedł czas. Niedługo umrze.

Patrzyła, jak jeden z dwóch mężczyzn podpala drwa pod jej stopami.

Płomienie zasyczały i buchnęły w górę.

Zdjęta przerażeniem, wydała z siebie przeciągły krzyk:

- O Boże, nie chcę ginać! - Zbyt późno, za późno pojęła, że nie chce umierać, nie w ten sposób, bo była tchórzem, i gdy płomień podchwytywał rozpałkę, pomyślała o Douglasie i o swoim dziecku - nigdy go już nie ujrzy, nigdy nie weźmie w ramiona i nie ucałuje swojego synka, nigdy nie zobaczy, jak będzie rósł, aż stanie się dorosły. - Kajam się za grzechy! - krzyczała Isabel, gdy kłody pod jej stopami zaczęły chwytać ogień.

Cizba gwizdała i szydziła z niej, śmiała się w głos. Isabel widziała, że nikt jej nie słyszy. Co gorsza, czuła, jak żar dochodził do pięt, do palców u nóg. Był tak straszliwie gorący...

- Żałuję za grzechy! - wrzeszczała do żołnierzy, ale jeśli ją usłyszeli, nic ich to nie obchodziło, nie dawali żadnego znaku.

I wtedy poczuła, że ogień przepala jej palce u nóg, a potem całe stopy.

Wyła, i wyła, i wyła z bólu.

Znienacka ujrzała, że na placu kaźni przeciska się przez tłum jeździec, wymachując mieczem, tnąc na oślep tych, którzy mu nie ustępowali. Dostrzegła płonące błękitne oczy, ciemne kręcone włosy. To Douglas. Zaczęła do niego krzyczeć, krzyczeć bez tchu.

Przybył, aby ją ocalić, i choć jej ciało smażyło się na ogniu, uwierzyła w promyk nadziei.

- Isabel! - krzyknął do niej, kierując rumaka wprost na stos.

Jednocześnie przeszły go dwie strzały - jedna trafiła w piersi, druga w plecy. Jechał jednak nadal.

Zdecydował się umrzeć z jej powodu. Chciała mu tego zaopiekować, ponieważ go kochała, bo był zbyt dobry i szlachetny,

aby zginąć, bo miał się zaopiekować jej synem. Ale w żaden sposób nie mogła go powstrzymać. I wtedy trafiła go trzecia strzała. Spadł z konia, który otrząsnął się i galopem odbiegł.

- Nie! - wrzasnęła Isabel. - Douglas!

I wydała z siebie kolejny przeciągły jęk, ponieważ ogień ogarnął jej nogi, zamienił suknię w płonącą żagiew.

Płomienie osaczały ją ze wszystkich stron.

Ostatkiem sił patrzyła w tłum i ujrzała w ciżbie Sussexa. Za nim stał Rob oraz de la Barca. I ktoś odciągnął rannego Douglasa od stosu. Jej ukochany usiadł, a więc przeżył.

Opuściło ją przerażenie. Pozostał tylko piekielny ból, nie dający się opisać, i narastająca wraz z zasłoną z płomieni czerwona furia. Wściekłość.

- Zapamiętajcie to! Wszyscy!

Piekło stało się nie do zniesienia, ale to nie był jeszcze koniec. Krzyknęła:

- Nigdy nie pozwolę, abyście o tym zapomnieli!

Pęcherze eksplodowały.

Przez ułamek sekundy uzmysłowiła sobie, że jej kończyny Odrywają się od tułowia, a potem nie czuła już nic.

ROZDZIAŁ 27

Casa de Suenos, północ

Dwa ostatnie okna w sypialni zamknęły się z trzaskiem w takim zawrotnym tempie, że odbyło się to niemal jednocześnie. I nastąpiła cisza.

Cass była sparaliżowana lękiem. Stała bez ruchu skapana we własnym pocie. Bała się.

Nic nie mąciło ciszy.

Teraz Cass słyszała tylko ogłuszające bicie własnego zalek-nionego serca, które waliło jak młotem.

Zaczęła powoli oddychać, rozglądając się w ciemności. Potwarzała sobie w duchu, że Tracey nie potrafi przenikać przez ściany, ale dla Isabel nie stanowi to żadnej przeszkody.

Wreszcie otrząsnęła się z odrętwienia. Bez chwili wahania podbiegła do najbliższego okna i próbowała unieść jego ruchomą część. Bez skutku. Gdy siłowała się z oknem, na jej oczach zasuwka, która spadła na podłogę, sama wróciła na miejsce.

Odskoczyła, przestraszona; stojąc w pewnej odległości, była świadkiem, jak zasuwki we wszystkich oknach same się zamknęły.

Uwięziona.

Isabel zamknęła ją w sypialni.

Tylko dlaczego to zrobiła?

Aby ją skrzywdzić, odizolować od reszty, albo też z jakiegoś innego powodu. Isabel postanowiła zniszczyć ich wszystkich po kolei, i teraz Antonio i Gregory byli ciężko ranni, bez-

radni jak małe dzieci. Cass już nie obchodziło, w jaki sposób Isabel osiągnie swój cel. Ważne było tylko to, że jest zdolna do realnej akcji, że szykuje się do zadania im wszystkim śmiertelnych ciosów.

Ciężko westchnęła, mierząc wzrokiem drzwi. Spodziewała się, że Isabel zmaterializuje się w każdej chwili. Drzwi pozostawały zamknięte - nieco jaśniejszy cień w ciemnym pokoju. Musi stąd wyjść, i to szybko.

I nagle przyszło jej na myśl, że Tracey, nawiedzona czy nie, z pewnością stoi po drugiej stronie drzwi. Tracey, jej siostra.

- Tracey! - krzyknęła. Podbiegła do drzwi i zaczęła szarpać metalową gałką. - Tracey, słyszysz mnie?

- Słyszę - odparła tamta opanowanym tonem.

- Tracey, proszę, musisz z nią walczyć, pokonać ją i pomóc mi. Wypuść mnie! - Cass rozpłakała się, opierając policzek o drewnianą płaszczyznę. Twarz miała zalaną łzami. - Otwórz, Tracey, tak cię proszę!

- Nie.

Cass zdrewniała, zniechęcony obojętny, dziwaczny ton głosu swojej siostry, która komunikowała nim swoje ostateczne decyzje, niech to szlag. Zaczęła więc walić w drzwi z rozpaczą.

- Tracey, ocknij się z tego! Wypędź z siebie tę wiedźmę! Proszę cię, proszę!

Nie było żadnej odpowiedzi.

Cass powstrzymała łkanie. Oczami wyobraźni ujrzała Antonia leżącego bez przytomności na podłodze i nagle poczuła jeszcze większy lęk. Nie mogła dopuścić, aby coś mu się stało, po prostu nie mogła!

- Tracey! - wrzasnęła, waląc pięściami w drzwi.

Tuż za nią drgnęło powietrze - rozległ się dziwny, głośny dźwięk.

Cass obróciła się w mgnieniu oka, spodziewając się, że ujrzy przed sobą Isabel, zobaczyła natomiast ogień płonący na kominku. Ogień rósł, buzował, w ciągu trzech sekund ogarnął cały kominek.

Gdy próbowała odgadnąć, jak to się stało i co to mogło oznaczać, ogień stał się groźny, płomienie poczęły oblizywać

marmurową obudowę. Stała jak zahipnotyzowana, myśląc w duchu, że przecież marmur jest niepalny, kiedy języki płomieni wyskoczyły i leżący obok dywan perski stanął w ogniu.

- Tracey! - krzyczała Cass, biegnąc znowu do drzwi. - Wypuść mnie, błagam!

- Nie.

Cass osunęła się na podłogę. W czarnej rozpaczycy ujrzała całe swoje dotychczasowe życie. Pogrzeb ich matki, herbatki po szkole u ciotki Catherine, godziny spędzone w sypialni na czytaniu książki, Tracey, jej chłopaki, jeden po drugim. Cass obserwuje ich, składa gratulacje, aż do czasu pojawienia się Ricka Tennanta. Przypomina sobie, jak w szpitalu wzięła na ręce Alysę tuż po jej narodzinach, kiedy malutka miała czerwoną twarzyczkę i wydawała się taka zabawna. I nagle, z absolutną jasnością przypomniała sobie, kiedy po raz pierwszy ujrzała Antonia. Na swój wykład inauguracyjny w Metropolitan Museum wszedł na salę w czarnej sportowej marynarce, w czarnym golfie i w czarnych spodniach. Pod pachą trzymał notatki.

O Boże! Co się stało z Alysą i z Eduardem? A co z nieprzytomnym Antoniem?

- Czego chcesz? - jęknęła przez łyzy. - Isabel, żeby cię szlag... Czego ty chcesz?

- Przecież wiesz, czego chcę - odparła Tracey zza drzwi. Jej ton był nadzwyczaj opanowany, lodowaty.

Cass wiedziała.

Żar ognia za nią stał się tak intensywny, że zaczął parzyć jej nagie plecy. Skoczyła na równe nogi - ale nie miała dokąd uciec.

Isabel zamierzała spalić ją żywcem.

W taki sposób, w jaki sama zginęła.

Tracey miała wrażenie, że jedzie pociągiem, który pędzi z szybkością setek kilometrów na godzinę, i, kompletnie pozbawiony kontroli, mija kolejne stacje, nawet nie zwalniając. Chciała wysiąść. Pragnęła zatrzymać ten szaleńczy pociąg. Ale on nie zwalniał, nie było jak z niego wyskoczyć.

To było jak sen. Straszny, przerażający sen, który nie chciał

się skończyć. Taki rodzaj snu, gdy musisz uciekać, bo w przeciwnym razie umrzesz, ale nogi odmawiają ci posłuszeństwa i nie ruszą się z miejsca, a tymczasem śmierć jest coraz bliżej. Czy naprawdę śniła? Jakże pragnęła się obudzić!

Czy to Cass, jej siostra, krzyczy na nią? Błaga o pomoc?

Jej głos wydawał się dochodzić z wielkiej dali, ale przecież to był tylko sen.

Sen - noc - ta kobieta - Isabel.

Krzyki Cass o pomoc nie ustawały. Tracey spojrzała bezmyślnie na drzwi, zza których dochodził swąd spalenizny. Powinnam otworzyć te drzwi - pomyślała z trudem. Zamiast tego jej ciało się obróciło, a stopy zaprowadziły ją na schody. Ruszyła na parter.

Nie - przyszło jej nagle do głowy. Ogarnęła ją trwoga. Muszę wrócić na górę, muszę wypuścić Cass.

Nie - odpowiedziała sobie. Wszystko jest w porządku, musisz zejść na dół. Pokój jest śmiercią.

Pokój. Tracey przymknęła oczy, dochodząc do korytarza, niemal całkowicie pogrążonego w mroku. Pokój jest śmiercią. Jakże pragnęła spokoju.

- Tracey!-dobiegł ją krzyk siostry.

Potknęła się, ale nogi nie chciały się zatrzymać, niosły ją dalej. Znowu owładnęła nią panika - chciała się odwrócić i popędzić na górę.

Nie. Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi. Tracey usłyszała w myślach swój własny głos.

Pragnęła sobie zaufać, chciała spokoju. Boże, jak bardzo tego pragnęła. Więc dlaczego jednak sobie nie ufa? Przecież nogi nie słuchają rozkazu wydanego przez mózg. Odnosiła wrażenie, że nie może powstrzymać ciała idącego do przodu. Tak jak nie mogła wyskoczyć z pociągu...

...Zaufaj mi... Pokój jest śmiercią...

Te słowa spłynęły na nią jak słodki, uwodzicielski szept.

Świece w holu wypaliły się, prócz dwóch, które ledwo się tliły, i dlatego w holu panowały ciemności. Tracey ujrzała Antonia leżącego na podłodze. Wydawał się martwy. Potem przeniosła wzrok na rozbitą szybę w drzwiach wychodzących na

dziedziniec i odkryła, że leży za nimi Gregory, w równie pożałowania godnym stanie.

Jakaś cząstka w niej próbowała myśleć racjonalnie. Co za hańba. I z tą myślą, z ręką zaciśniętą na rękojeści noża, gdy jej ciało znów ruszyło przed siebie, nadeszła nowa fala paniki.

Nie! Ja tego nie chcę!

Zaufaj mi... Pokój jest śmiercią.

Panika ustąpiła. Tracey wyszła na dwór.

Gregory wydał z siebie jęk. Usłyszał swój głos. Ten dźwięk był przeciągły, naznaczony bólem. Z trudem uwierzył, że pochodzi z jego własnej krtani.

Jezus! Bolało bardziej niż przedtem, wszędzie, i przez chwilę uległ złudzeniu, że oślepnął. Kilkakrotnie mrugnął oczami, a kiedy nareszcie wzrok mu się wyostrzył i dostrzegł kilka błyszczących gwiazd, wszystko sobie dokładnie przypomniał i omal nie zakrzuszył się śliną. Zdołał złapać oddech. Ogarnął go przerażający strach.

Przebił szklane drzwi. Jak ciężko jest ranny? Nie chciał umierać. Nie, do cholery. Nie! Przeklęta Isabel!

A gdzie ona teraz jest? I dlaczego on wciąż leży na kamiennych płytach dziedzińca? Zesztywniał z przerażenia.

Ta krew przesłania mu wzrok - doszedł wreszcie do wniosku. Miał rany cięte na czole i na skroni, które okropnie krwawiły. Usiłował obetrzeć tę krew. Gdzie, do cholery, wszyscy się podzieli? Dlaczego zostawili go w tym stanie? W ataku paniki nie mógł nabrać powietrza.

Lewą ręką począł ścierać krew, a prawą usiłował się podprzeć, by usiąść. Zawroty głowy okazały się zbyt silne, musiał zrezygnować. Minęła dłuższa chwila, zanim poczuł się ciut silniejszy. Do diabła! Jest w fatalnym stanie.

Kiedy trochę zapanował nad oddechem, gdy puls już tak nie łomotał, odwrócił głowę, by spojrzeć na dom. I zamarł w tej pozycji.

Antonio leżał twarzą w dół tuż pod zięjącymi szczerbą drzwiami. Miał obandażowany tułów, opatrunek przeciekał, sączyła się z niego krew.

O Boże. Co się stało? I gdzie jest Cass?

Pomocy. Musi pomóc bratu. Nie dopuści, żeby Antonio umarł.

Przekręcił się na bok, dysząc i pocąc się z wysiłku, znowu z mgłą w oczach. Ułożył się na brzuchu i powoli, ze straszliwym bólem, począł czołgać się w kierunku domu.

Tuż przy schodach kompletnie opadł z sił. Nie poddał się jednak, spróbował jedynie chwilę odpocząć, by zebrać siły. Wtedy uzmysłowił sobie, że ktoś go obserwuje.

Instykt podpowiedział mu, że to Isabel. Włosy stanęły mu dęba. Spojrzał w górę.

W drzwiach stała Tracey, wlepiając w niego oczy.

Z ulgą osunął się na kamienną płytę.

- Tracey...

Pomyślał, że jego szept nie dochodzi do niej. Jakże jej teraz potrzebował. Nigdy nie był bardziej uszczęśliwiony widokiem drugiej istoty.

Raczej poczuł, że się zbliża, niż to usłyszał i z trudem się przekręcił, żeby na nią spojrzeć.

- Bogu dzięki. A Tonio? - spytał.

Zawahała się, stojąc nad nim.

- Wszystko będzie świetnie - odparła. - Zaufaj mi.

Było coś dziwnie martwego w jej wyrazie twarzy, coś tak dziwnego i nierzeczywistego, podobnie jak w tonie, równie dziwnym, że poczuł nowy przypływ trwogi. Na dodatek doznał pokusy - takiej, której wcale nie miał ochoty zaspokoić.

Uśmiechnęła się promiennie.

Kobieta z jego koszmarów sennych uśmiechnęła się i uniosła nóż.

Gregory wiedział, że tym razem to koniec.

- Nie!

Usiłował się uchylić, gdy błysnęło metalowe ostrze, ale było za późno. Nóż zagłębił się w jego ciele, dotarł aż do kości. Wiedział, że za późno zrobił unik. Na wszystko było za późno.

I wtedy wymierzyła kolejny cios.

Antonio od jakiegoś czasu walczył z ciemnością. Bo gdzieś głęboko w jego nieprzytomnym mózgu paliła się lampka ostrzegawcza, która kazała mu wrócić do świadomości.

Musiał się obudzić. Stawka była zbyt wielka. Chodziło o życie i śmierć.

Ciemność jednakże była gruba i miękka, i tak bardzo kojąca. Byłoby miło poddać się jej objęciu, odpłynąć, zapomnieć... umrzeć.

Niemniej w umyśle tłukły się jakieś obrazy.

Jego piękny syn. Zmarła żona. Ranny brat. Dziewczynka... Cassandra...

Musiał przepłynąć przez cienie i ujrzeć przed oczami duszy jeszcze gęstsza ciemność. Robił to powoli, z ogromnym bólem. Gdy wreszcie czerń zaczęła blednąć, ból wzrastał się do granic wytrzymałości, gdy tak dążył ku światłu. I nagle Antonio się ocknął.

Wraz ze świadomością powróciła całkowita, precyzyjna pamięć.

Tracey stała się Isabel, musi ją zniszczyć, zanim ona zniszczy ich wszystkich.

Otworzył oczy i przez chwilę znowu znalazł się w ciemności, bo ostatnie świece w holu zgasły. A kiedy wreszcie wzrok przywykł do mroku, ujrzał jej cień niedaleko miejsca, w którym leżał. Stała do niego tyłem, wpatrując się w noc za oknem.

Nie, nie w noc, lecz w jego brata, który leżał ciężko ranny na dziedzińcu, niezdolny do obrony.

Muszę się podnieść - powiedział sobie z rosnącą paniką i z pierwszym zarzewiem gniewu. Zanim ona zrobi to, co jest nie do pomyślenia.

I gdy próbował się unieść, zniknęła z zasięgu jego wzroku.

Zamarł, skręcając głowę w kierunku dziedzińca i ujrzał, jak wbija jego bratu nóż w plecy.

Adrenalina sprawiła, że odzyskał szybkość, siłę i sprawność. Poderwał się, nie spuszczać oczu z Tracey, widząc, jak po raz drugi unosi nóż. Nie myśląc ani chwili dłużej, rzucił się na nią.

Zbyt późno spostrzegła jego atak. Ujrzała go przed sobą, gdy uderzył w nią całą siłą swoich dziewięćdziesięciu kilogramów. Tracey przeleciała nad leżącym Gregorym, a Antonio za nią.

Gdy upadli na ziemię, chwycił ją za nadgarstek tej ręki, w której trzymała nóż. Natychmiast zmierzył się z siłą, która przewyższała jego możliwości. Przypomniawszy sobie, ponieważ Tracey nie była Tracey i że została teraz wyposażona w ponadnaturalną moc, i w starciu znacznie nad nim górowała.

Obróciła się do niego i wyrwała rękę, wznosząc ją z wyraźnym zamiarem ugodzenia go nożem prosto w twarz.

Antonio zrobił błyskawiczny unik, ostrze ześlizgnęło się po jego uchu i szyi i utkwilo w kamiennej posadzce pod ich stopami.

Ujrzał wtedy parę najdzikszych oczu, do cna wypełnionych nienawiścią. Oczu, które nie zezwalały na jakikolwiek kompromis.

Obiema rękami trafił na jej wątle gardło i zacisnął ze wszystkich sił.

Oczy wyszły jej z orbit ze zdumienia.

Poczuł w całym ciele niezwykłą determinację. Wściekłość napędzała jego energię. Gotów był ją zadusić na miejscu, rozkoszując się każdą sekundą popełnianej zbrodni.

Odrzuciła nóż, chwyciła go za nadgarstki i oderwała rękę od swej szyi.

Antonio był porażony jej siłą.

Uśmiechnęła się do niego - krótko, dziko. W następnej chwili zorientował się, że trzyma w dłoni kamień, którym zamierza rozbić mu głowę.

Chwycił Tracey za rękę, usiłując ją wykręcić. W chwilę później poczuł straszliwy cios, ból i znowu zapadł w ciemność.

Cass dogaszała ostatnie płomyki ognia za pomocą poduszek i kiedy opanowała sytuację, opadła bezwładnie na podłogę. Trzęsła się ze skrajnego wyczerpania, każdy mięsień w jej ciele był słaby i beużyteczny, krzyż pękał z bólu. Płuca wydawały się szorstkie jak papier ścierny, obolałe od dymu. Leżała na cieplej od żaru drewnianej podłodze, niezdolna do wykonania najmniejszego ruchu.

Jednakże nie było czasu na odpoczynek.

Antonio był na dole razem z bratem, obaj bezbronni. Należy powstrzymać Tracey i Isabel, i - mój Boże! - natychmiast odnaleźć dzieci.

Jakoś zebrała się w sobie i siadła. Nadal robiło jej się słabo z wyczerpania.

Przynajmniej ugasiła ogień, ratując dom.

Wstała wreszcie, ciężko wdychając zadymione powietrze, z drzeniem wszystkich członków. Ale zanim ruszy do walki z Isabel, musi się uzbroić.

Łzy zaszklily się jej w oczach. Jak może walczyć z Tracey, która stała się Isabel? Jeśli nawet zabije własną siostrę, nie powstrzyma Isabel.

Opanowała drżączkę. Przecież nie może zabić siostry. Nawet gdy wie, że Isabel postanowiła ją unicestwić - używając w tym celu Tracey - nie może tego uczynić.

Nie miała pojęcia, co zrobić.

Gdyby tylko udało się jej jakimś cudem dotrzeć do Tracey, przekonać ją.

Podeszła do drzwi, uprzytamniając sobie, że są zamknięte i że nie może stąd wyjść. Z zaciętą miną chwyciła rzecz pierwszą z brzegu - był to akurat ciężki mosiężny zegar - i walnęła nim w szybę okienną. Szkło rozprysło się z hukiem.

Próbując o niczym nie myśleć, okręciła rękę poduszką i usunęła z ramy resztki odłamków. Musi wszelkimi sposobami powstrzymać Tracey. Znowu łzy pociekły jej po policzkach. O Boże.

Wychyliła się, żeby spojrzeć, co jest pod parapetem. Ujrzała płataninę rur kanalizacyjnych, ułożonych równolegle do siebie. Jedna z nich była jednak zainstalowana pionowo. Cass poczęła się zastanawiać, czy utrzyma jej ciężar. Odnalazła wzrokiem inną, która kończyła się jakieś trzy metry nad ziemią.

Serce jej zamarło ze strachu, gdy oceniała wzrokiem odległość od końca rury do kamiennych płyt dziedzińca. To był bardzo duży odcinek, ale nawet z miejsca, w którym była, zdołała wypatrzeć dwie skurczone leżące postaci: bez wątpienia Antonio i Gregory.

Zadrzała z trwogi i przystąpiła do działania.

Ze wściekłością w oczach wychyliła się najdalej jak mogła z parapetu i trzymając się go mocno, szukała po omacku oparcia dla nóg na biegnącej poziomo rurze. Gdy się wreszcie oparła na niej, poczuła, jak coś pod nią się ugina, prawie pęka. Nie miała jednak wyboru.

Puściła się parapetu, rura znowu się ugięła, ale Cass uczepiła się części prostopadłej i szybko się z niej ześlizgiwała. Wreszcie rura pękła, pociągając ją za sobą.

Twardo wylądowała na plecach i pośladkach. Przez chwilę leżała bez ruchu.

Nie było jednak czasu do stracenia.

Przekręciła się, ruszyła, pełzając, ale zanim dotarła do Antonia, ujrzała krew ciekącą spod jego głowy. Serce przestało jej bić.

Umrę, jeśli on umrze.

- Nie - zaszlochała, zbliżając się do niego. Położyła jego głowę na kolanach i poczęła ją kołysać, zalewając się łzami. Tego wstrząsu nie była już w stanie przeżyć.

Czuła strach, który niczym ogień wypalał ją od środka. Jej rozpacz nie miała granic.

Wydawało jej się, że i ona umiera.

I wtedy usłyszała głos dziecka.

Dzieci.

Znieruchomiła, nasłuchując. Wstrzymała oddech, pragnęła zagłuszyć puls. Czy naprawdę usłyszała głos dziecka?

Nagle zerwała się na równe nogi. Ten dźwięk - przecież się nie przesłyszała, do cholery, dochodził z wnętrza domu. Z jakiegoś miejsca nieopodal wielkiej sieni.

Dzieci. Musi ocalić dzieci. Wbiegła do środka, wpadła do holu, nieporna na rozbite szkło pod stopami. Nie zatrzymała się, pędząc do wielkiego salonu i korytarza prowadzącego do jej sypialni na górze. Właśnie wybiegła zza rogu, gdy natknęła się na Tracey. Stała jak wryta.

Ukryte w holu drzwi były teraz otwarte, ale ponieważ zrobiono je z tego samego kamienia, jakim wyłożono ściany, Cass i za milion lat nie domyśliłaby się ich istnienia. Tracey stała do niej tyłem, lecz wyraźnie słyszała jej głos:

- Możecie teraz wyjść.

Nogi ugięły się pod nią z wielkiej ulgi: zrozumiała, że Tracey, pod władzą Isabel, ukryła dzieci, a teraz je wypuszcza. Ale dlaczego? I wtedy ujrzała Alyssę wynurzającą się z ciemnicy - brudną, z potarganymi włosami, trzymającą się za potłuczoną rękę, lecz całą i zdrową. Łzy dosłownie ją oślepiły.

A za nią kuśtykał Eduardo.

- Ciociu Cass - pisnęła Alyssa i pędem rzuciła się w jej kierunku.

Cass chwyciła ją w ramiona, przycisnęła mocno, uzmysławiając sobie, że nigdy nie kochała nikogo tak, jak to dziecko - prócz Antonia, który już nie żył. Szlochała nad przejściami Alyssy, nad losem Eduarda, opłakiwała Antonia. I rozpaczała nad Tracey.

- Nie płacz, ciociu. Czuję się zupełnie dobrze, naprawdę - szeptała Alyssa, sama na granicy łez.

Nagle Cass poczuła dziwny chłód. Zamarła z Alyssą w objęciach, z twarzą w jej gęstych, miękkich włosach. Wolno uniosła głowę.

Tracey znajdowała się tuż przed nią, obok Eduarda, patrząc na nią demonicznym wzrokiem, nie mrugnawszy powieką.

Cass ukryła Alyssę za plecami.

- Eduardo, choź tutaj - rzekła cichym głosem; jej serce biło jak oszalałe.

Eduardo nie wahał się ani chwili. Minał Tracey, która nie ruszyła się z miejsca, i stanął za Cass, obok Alyssy.

- Dzieci nie skrzywdzę - oznajmiła Tracey.

Cass oddychała ciężko, z trudnością.

- Tracey, czy możesz ze mną porozmawiać?

- Przecież mówię do ciebie.

- Nie, to przemawia Isabel. Chcę porozmawiać z Tracey, moją siostrą.

Tamta się uśmiechnęła.

- Jestem teraz twoją siostrą.

- Nie, nie jesteś. Chcę odzyskać swoją siostrę - odparła stanowczo Cass. Policzki jej płonęły, jak przypalane żywym ogniem. - Chcę odzyskać siostrę - powtórzyła.

- Żyjesz - rzekła Tracey z błyskiem w oczach.

- Żyję. Dlaczego chcesz mnie zabić? Czy to ci nie wystarczy? - wykrzyknęła Cass.

- Zabiliście mnie - wykrzyknęła Tracey z gniewem. - Wy wszyscy.

- Nie, ja ciebie nie zabiłam. Nie miałam nic wspólnego z tymi, którzy cię zdradzili. To był Sussex? Posiadał wielką władzę, z pewnością mógł cię ocalić. A może zrobił to twój mąż? Czy to on oskarżył cię o herezję, czy chciał, żebyś tak strasznie cierpiała? A może to był Rob? Czy to twój kochanek i ojciec twego dziecka doniósł na ciebie? - krzyczała Cass zła na potem.

- Oni wszyscy mnie zdradzili - Sussex, Rob, de la Barca, niech Bóg skaże ich na wieczne męki piekielne - odparła Tracey, nadal nie mrugnawszy zimnymi jak stal oczami.

Cass nie ustępowała:

- Tracey, gdzie jesteś? Dlaczego nie stawisz jej czoła? Ona zabije nas obie, gdy jej nie pokonasz, do cholery!

- Ja jestem Tracey - odpowiedziała tamta i uniosła nóż.

- Uciekajcie! - krzyknęła Cass do dzieci, nie tracąc czasu, by spojrzeć w ich stronę. Gdy nóż spadał na nią, jakimś cudem się uchyliła.

Wyraz twarzy Tracey zmienił się gwałtownie. Owładnięta wściekłością, chwyciła Cass za rękę z niewyobrażalną siłą. Cass pojęła, że nie poradzi sobie z siostrą, gdy ta znajduje się pod władzą Isabel. Kiedy starała się uwolnić z uścisku, Tracey znowu uniosła rękę uzbrojoną w nóż. Skierowała go wprost w gardło siostry.

Popatrzyły sobie prosto w oczy.

- Tracey, nie rób tego, nie! - wykrzyknęła Cass.

Tracey uśmiechnęła się złowieszczo.

Rozległ się wystrzał i na ramieniu Tracey ukazała się czerwona dziurka. Cass zaniemówiła, wstrząśnięta. Tracey puściła jej rękę i zataczając się, cofnęła kilka kroków. Upadła na plecy, lądując na marmurowym stole pod ścianą.

Cass odwróciła się i ujrzała w progu drzwi ślaniającego się Antonia. Trzymał w ręku nieduży rewolwer, miał twarz i ciało zalane krwią. A więc żył. Co za ulga! Okazała się jednak bardzo krótkotrwała.

- Nie możesz... mnie zabić - wystękała Tracey, trzymając się za postrzeloną rękę, wsparta o blat stołu.

Cass wlepiła w nią oczy, jej ogłupiały umysł przestał funkcjonować. Mogli fizycznie unicestwić Tracey, ale to nie zabiłoby Isabel. Nagle instynkt kazał jej się natychmiast obrócić. Ujrzała, że Antonio uniósł broń i wymierzył prosto w jej siostrę.

- Nie! - wrzasnęła. - Nie strzelaj do niej!

Przeniósł wzrok na nią, Dostrzegła w jego oczach wściekłość, nienawiść i strach, stopniowo ustępujące na jej widok. Opuścił broń.

Cass podbiegła do siostry.

- Tracey - bełkotała szybko, z napięciem. - Musisz ze mną porozmawiać. Mów do mnie, do twojej siostry! Kocham cię! Proszę, Tracey, pozbadź się jej!

- Nie możecie... mnie zabić - wyjąkała znowu Tracey. Skuliła się, z jej ramienia ciągle ciekła krew, przeciekała przez palce, którymi starała się ją zatamować.

- Tracey, wiem, że tu jesteś! - krzyczała Cass, ośmielając się w końcu zbliżyć do siostry. Tracey była ranna, więc może nie będzie dłużej użyteczna dla Isabel. Cass zaczęła się modlić. - Siostrzyczko, pamiętasz, jak mama umarła? I jak znaleźliśmy ojca, który spał w swoim ulubionym fotelu? Jak płakał przez sen? Poszliśmy na górę, objęliśmy się i też płakaliśmy. Byliśmy takie przerażone...

Wreszcie Tracey na nią spojrzała. Cass wydawało się, że zdołała do niej dotrzeć, bo coś znajomego zaświeciło w jej oczach. Ale zaraz potem usłyszała to samo:

- Nie możecie... mnie zabić.

- Nie chcę cię zabić! - krzyknęła Cass, zrozpaczona, doprowadzona do ostateczności. - Kocham cię, jesteś moją siostrą.

- Nie - Tracey dyszała, wpatrując się w nią. - Ja jestem teraz twoją siostrą...

Cass wiedziała, że przegrywa.

- Kocham cię, chcę, żebyś wróciła - jęknęła. - Kocham cię!

Cisza zdawała się trwać przez całą wieczność. I wreszcie:

- Nie... nie kochaj... mnie. - Tracey wyszeptała te słowa z najwyższym trudem, z zamkniętymi oczami.

Cass na moment zamarła. Zaraz potem powiedziała:

- Wiem, że byłam o ciebie zazdrosna z powodu twojej urody, twoich chłopaków, a poza tym, niech to szlag trafi, przyznaję, że jestem również zazdrosna, bo jesteś matką Alyssy, a ja tylko jej ciotką, ale to ludzkie, prawda? - Uzmysłowiła sobie, że znowu płacze. Lecz tym razem modliła się w duchu, miała nadzieję, że jakoś dotarła do siostry. - To nie znaczy jednak, że ciebie kocham. Nie chcę, żebyś umarła!

- Nie. Nie... kochaj... mnie. - Tracey wydała z siebie zachrypnięty krzyk i runęła na podłogę, trzymając się za zranioną rękę.

Cass głośno oddychała. Wreszcie w jakiś sposób udało się jej nawiązać kontakt z siostrą.

- Naprawdę cię kocham - powiedziała z żarem. - Tak bardzo cię kocham, że nie pozwolę, by Tonio cię zastrzelił. A ty nie pozwól się zniszczyć Isabel.

Tracey oparła się o ścianę.

- Tyle... bólu - wyjąkała.

Czy jej siostra wyzwala się spod władzy Isabel?

- Tracey?

- Dwie istoty... we mnie — jęknęła.

- Walcz z nią! - wykrzyknęła Cass, usiłując podtrzymać siostrę, tak by mogła stanąć na nogi.

- Cassandro, odejdz od niej! - ostrzegł Antonio z końca holu.

Zignorowała jego krzyk, objęła Tracey ramieniem.

- Pokonaj ją, zrób to dla mnie, dla Alyssy, tak bardzo cię kochamy.

- Dwie... istoty... we mnie - powtórzyła tamta, otwierając oczy. Spojrzała na Cass. Jej wzrok był jasny, to była Tracey.

- Walcz! Pokonaj tę sukę! - krzyczała Cass.

- Nie mogę. - Gdy Tracey wymawiała te słowa, Cass zrozumiała, co się dzieje. Palce jej siostry naciskające ranę na prawym ramieniu sztywniały i stały się białe z wysiłku. Najwyraźniej jedna istota tkwiąca niej starała się nie dopuścić do krwotoku, a druga chciała się wykrwawić.

I natychmiast spostrzegła, dlaczego tak się dzieje: Tracey nadal trzymała w prawej ręce, bezwładnie dyndającej u jej boku, nóż kuchenny ze świecącym ostrzem.

Wpatrywała się w lewą dłoń siostry. Palce zadrgały i stopniowo się rozprostowały. Gdy spojrzała w dół, dostrzegła, że w tym samym czasie Tracey mocniej uchwyciła nóż zranioną ręką.

Antonio też to musiał zauważyć, bo krzyknął:

- Zejdź jej z drogi!

Stał zaledwie kilka metrów od nich, przyszedłszy z przeciwnej strony holu. Cass nie patrzyła na niego. Nie ruszyła się z miejsca, pozwalając, aby trzymał Tracey na muszce.

Tracey musiała zwyciężyć Isabel. Cass nie dopuszczała myśli, co będzie, jeśli tak się nie stanie.

Patrzyła, jak tamta wolno odsuwa lewą dłoń od rany. Miała twarz zlaną łzami zmieszanyymi z potem.

- Walcz z nią, Tracey, potrafisz to zrobić - zachęcała ją szeptem, zastanawiając się zarazem, czy siostra wbije w nią ostrze noża.

- Za dużo bólu - wyszeptała Tracey i znienacka jej prawe ramię zawisło bez podpory ze strony lewej ręki. W tej samej chwili wysoko uniosła rękę uzbrojoną w nóż.

Cass jak zahipnotyzowana wpatrywała się w zakrwawiony koniuszek ostrza. Serce w niej zamarło. Przemknęło jej przez myśl, że tym razem to koniec. Przegrała. Isabel wreszcie zwyciężyła. Cass musi umrzeć.

I to, co się stało w następnym momencie, odbyło się jak na zwolnionym filmie, jakby czas przestał istnieć.

Tracey spojrzała siostrze w oczy, gdy tymczasem Cass patrzyła zahipnotyzowana, jak nóż opada.

A jego ostrze zanurza się nie w jej piersi.

W piersi Tracey.

ROZDZIAŁ 28

Cass nie mogła wydać z siebie krzyku.

Stała wstrząśnięta, wpatrując się w leżącą siostrę.

- Mamo - doszedł do niej przerażony szept.

Cass obróciła się i ujrzała Antonia trzymającego za rękę oboje dzieci, ale w tym momencie Alyssa wyrwała się z jego uścisku. Miała buzię białą z przerażenia, zalaną łzami.

Cass rzuciła ostatnie spojrzenie na siostrę, po czym podbiegła do siostrzenicy, mocno ją obejmując. Robiąc to, zerknęła na Antonia. W jego oczach dostrzegła wszystko, na czym jej najbardziej zależało - troskę, współczucie, miłość, siłę.

- Czy ona nie żyje? - zapytał.

Cass pomyślała, że może mylnie odczytała jego spojrzenie, i gdy to sobie uzmysłowiła, usłyszała, jak Antonio przechodzi obok. Głaskała małą po włosach, mrużąc czułe słowa, ścisnąc ją z całych sił.

Teraz jednak zastanowiło ją, gdzie się podziała Isabel.

- Nie rozumiem - mruknęła Alyssa. - Czy ta kobieta sobie poszła?

- Wytłumaczę ci to któregoś dnia - wyszeptła Cass, ale zeszywniała, gdy odkryła, że Antonio przykląkł przy Tracey. Czy Isabel rzeczywiście odeszła? Czy to możliwe?

Naturalnie, że nie - pomyślała Cass. Uznała to za oczywiste.

- Żyje, lecz wymaga natychmiastowej pomocy lekarskiej - rzekł Antonio, wstając z klęczek.

Cass puściła Alysę, czując ogromną ulgę. Niestety, krótkotrwała. Nie mieli żadnego sposobu wezwania karetki, sprowadzenia lekarza. Rozejrzała się powoli po słabo oświetlonym holu. Gdzie była Isabel? Cass przeczuwała, że znajduje się gdzieś niedaleko. Powietrze stało się ciężkie, gęste, duszące. To było niemal nie do zniesienia. Cass poczuła, że jej barki i ramiona sztywnieją z wielkiego napięcia.

Instykt ostrzegł ją, że znajduje się w oku cyklonu.

Najgorsze ma jeszcze przed sobą.

- Nie mamy prądu, nie działa telefon, samochody są uszkodzone - rzekła wolno, wpatrując się w Antonia.

W jego wzroku znać było niepokój.

- Cassandro?

- Tu nie ma lekarza - dodała. Mówiąc te słowa, czując na sobie wzrok Antonia, zastanawiała się, dlaczego tak się w nią wpatruje, a zarazem uderzyło ją, że jest zaskoczona wypowiedzianymi przez siebie słowami. Nie brzmiały właściwie, raczej... dziwnie.

- Potrzebujemy bandaża do opatrzenia rany. Boję się wyciągnąć nóż. Gregory też musi znaleźć się jak najszybciej pod opieką medyczną. Idę po pomoc.

Odkryła, że wpatruje się w swoją siostrę leżącą w kałuży ciepłej krwi. Poczowała gwałtowny odruch wymiotny, ale działało jeszcze coś innego, ponieważ jakaś jej częśćka wcale nie miała się źle. Ta częśćka odczuwała satysfakcję. Ogromną satysfakcję.

Pokój jest śmiercią.

- Ja wyciągnę nóż - rzekła Cass i zanim uprzytomniła sobie, do czego zmierza, ukłękła przy Tracey, która wydawała się już nie oddychać. Wyciągnęła dłoń, żeby chwycić za rączkę noża.

- Nie! - krzyknął Antonio i schwycił ją od tyłu za ramię, zanim zdążyła wyciągnąć ostrze z piersi siostry.

Cass odepchnęła go w jakimś dzikim odruchu.

Ujrzała, że pada na wznak na posadzkę. Była zdumiona swoją siłą, lecz zarazem uzmysłowiła sobie, że jej kochanek jest przecież ciężko ranny. To by wyjaśniało, dlaczego jest taki słaby. Nadal jednak nie zamierzała go skrzywdzić. Pragnęła

odezwać się do niego, ale nie mogła otworzyć ust ani sformułować słów.

Pokój jest śmiercią. Zaufaj mi.

Zamarła, prawie gotowa do wyciągnięcia noża z rany Tracey, nie do końca teraz świadoma obecności Antonia, który nakazywał jej, żeby tego nie robiła. On tymczasem wykrzykiwał bez końca jej imię, ale jego głos docierał do niej z dali.

Scena w wielkiej sieni stała się jeszcze bardziej surrealistyczna - pomyślała. Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

Pokój jest śmiercią. Wyjmij nóż. Rób, co musisz, żeby zasnąć spokoju.

Isabel - zdołała sobie uprzytomnić, gdy tymczasem biała, pozbawiona życia twarz jej siostry odpływała dokądś, znikając przed jej oczu.

- Isabel - mruknęła. Jej umysł stał się nagle ociężały, skupiony tylko na jednej jedynej myśli. Isabel powróciła.

Teraz zastawiła sidła na Cass.

Wydało się jej teraz, że znajduje się wysoko pod sufitem i patrzy na wszystko z góry. Antonio gapił się na nią, dzieci skuliły się pod ścianą, siostra umierała na podłodze w kałuży krwi. A ona szykowała się do wyrwania noża z piersi Tracey.

Antonio podbiegł do niej. Stała do niego plecami.

- Cassandro! - krzyknął.

I pochwycił ją z całych sił.

Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, Cass strząsnęła z siebie jego ręce i patrzyła, jak wyskakuje w powietrze i całym ciężarem wali się na posadzkę.

Zastanowiło ją, jak to się stało, że zdołała tego dokonać.

Do jej uszu dotarł szloch.

Odległy szloch - jakby z innego świata, z innej planety, spoza Układu Słonecznego.

Śmierć jest spokojem. Głos przemawiający w niej był taki ciepły, czuły, hipnotyzujący. W tym refrenie brzmiała otucha. Ogromna, niepojęta otucha.

Lecz dzieci płakały.

Cass mrugnęła powiekami i ujrzała Alysę skurczoną obok

marmurowego stołu, wpatrującą się w nią, szlochającą. Eduardo stał tuż przy niej, trzymając ją za rączkę, także we łzach.

Dzieci - pomyślała. - Muszę je ocalić.

- Cassandro. Nie pozwól jej tego robić. Cassandro. Spójrz na mnie. Czy mnie słyszysz? Patrz na mnie! - krzyczał Antonio, znowu chwytając ją za ramiona.

Jego twarz znajdowała się w odległości ze dwudziestu centymetrów od niej. Cass spojrzała mu w oczy, mimo że jej ciało skręcało się w przeciwną stronę, mimo że chciała się uwolnić od jego uścisku. Niech go szlag trafi za kolejną interwencję.

Zabij go.

Dzika, brutalna myśl zrodziła się w jej głowie. Przez ułamek sekundy zapragnęła wyszarpnąć nóż z ciała siostry i zatopić go w jego piersi. W następnej chwili spojrzała mu w oczy i poczuła jego uścisk.

Kocham cię. Zaufaj mi.

Pokój jest śmiercią. Zabij go.

W jej oghłupiałym mózgu poczęły pojawiać się obrazy. Oto Antonio prowadzi wykład ubrany w czarny golf, a ona siedzi przy niewielkim pulpicie, chłonąc każde jego słowo. Potem widzi ich oboje, jak stoją obok siebie, rozmawiając o naszyjniku z rubinów. Później widzi jego uśmiech... a po chwili ogląda scenę, gdy pieści jej nagie ciało; ma szeroko otwarte oczy. Wreszcie ukazuje się jej scena, gdy się kochają: on leży na niej, jego członek ją penetruje.

Kocham go - uprzytomniła sobie. Ich oczy się spotkały. Kocham go, kocham dzieci, kocham ich wszystkich, naprawdę.

- Cassandro - usłyszała. - Jesteś silniejsza od Tracey. Pokonaj ją. Zwalcz ją, proszę! - krzyczał Antonio.

Pokój jest śmiercią- skrzeczała ciągle Isabel.

I Cass poczuła we wnętrzu głowy straszliwy ból, palący, czarny jak smoła, rozrywający mózg na kawałki.

Lecz go kochała. Jakże mogła go zabić?

- Kocham cię, cholera! - krzyczał, zaciskając ręce na jej ramionach. To też bolało. Potrząsał nią.

Cass zasmakowała w bólu, licząc, że w ten sposób uwolni się od wirującej czerni w swej głowie, od czerni i kontuzji.

Oczami wyobraźni ciągle widziała Isabel - śmiejącą się, groźną, złowrogą. Odepchnęła od siebie Antonia.

- Odejdź! - krzyknęła dziwnym głosem.

Antonio wpatrywał się w nią z całą mocą.

- Nie. Nie. Nie odejdę.

Potrząsnęła głową. Isabel stała przed nią, jej mantra odbijała się echem w jej umyśle. Nie mogła się tego pozbyć. Pokój jest śmiercią. Zabij go. Natychmiast.

Oblała się potem. Uświadomiła sobie, że trzęsie się jak w transie. Zatkała uszy dłońmi. Pomyślała, że jeśli głosy w jej głowie nie zamilkną, to ogłuchnie, oszaleje.

...Pokój jest śmiercią pokój jest śmiercią zabij go zabij zaufaj mi...

- Nie! - wrzasnęła.

- Cassandro! - To znów głos Antonia.

Chwyliła się obiema rękami za głowę, w której wirowało w zawrotnym tempie. Traciła od tego zmysły, nie mogła dłużej znieść tej męki. Chciała wyrwać własną głowę z ramion, powstrzymać ten uwodzicielski głos, pozbyć się bólu.

- Cassandro, nie rób tego! - krzyknął Antonio.

Słyszała i jego, i płaczące dzieci, ale nic nie rozumiała. Zabij go zabij ich wszystkich ufaj tylko mnie... Ja ich kocham - powiedziała do siebie i ujrzała wtedy dwoje przerażonych dzieci, przytulonych do siebie, i zobaczyła Antonia, białego jak duch z ilustracji, i wreszcie zerknęła w dół, na zakrwawioną pierś siostry - i na nóż w swojej ręce.

Wpatrywała się w dłoń ściskającą trzonek noża i czuła przy sobie, na sobie, wewnątrz siebie nienawiść i furię Isabel, okręcającą się wokół niej coraz ciaśniej i ciaśniej. Poczęła się dusić z braku powietrza, jej ciało było jak miażdżone prasą. Znowu zerknęła na nóż.

ZABIJ ICH WSZYSTKICH.

Kocham... ich - myślała, szlochając.

Patrzyła, jak nóż z metalicznym dźwiękiem podryguje na podłodze.

Gapiła się w zakrwawione ostrze leżące u jej stóp. Obserwowała, jak jej własne ciało upada na posadzkę, zwijając się obok noża.

- Cassandro - zachrypiał Antonio, przytulając ją od tyłu do siebie.

Nagle i ból, i czarna dziura w głębi jej umysłu ustąpiły jak ręką odjął.

W jednej chwili Cass poczuła błogosławioną pustkę, ciemną nicość, aż wreszcie ukazało się światło.

W środku jej mózgu. Tyle światła.

I zarazem poczuła wszechogarniające ciepło promieniujące z jego rąk, piersi.

Usłyszała tuż przy uchu bicie jego serca.

- Czy... nic mi nie jest?

- Już myślałem, że cię bezpowrotnie stracę - wymamrotał z ustami w jej włosach. Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej.

I nastąpiła cisza.

Słońce jeszcze nie wzeszło, gdy nadjechały pierwsze karetki i wozy policyjne.

Cass stała na dworze, mając na sobie sweter z lekkiej wełny. Włożyła ręce w kieszenie dzinsów, obserwując z uwagą działania wokół domu. Z pół tuzina policjantów robiło wstępną inspekcję. Z ponurymi minami rozmawiali ze sobą w swoim języku; robili wrażenie wstrząśniętych i zbitych z tropu. Wymieniali spojrzenia, które Cass wydały się niemal komiczne.

Sanitariusze na odjezdnym powiadomili ją, że jej siostra chyba przeżyje. Tracey i Gregory'ego umieszczono na noszach i wyniesiono z domu do karetki. Przewieziono ich do szpitala w Segowii kilka godzin wcześniej. Alfonso został opatrzony na miejscu, Antonio również. Gdy udał się po pomoc, napotkał po godzinie kierowcę wyposażonego w krótkofalówkę. Dzięki niej od razu wezwali pogotowie.

Cass spoglądała przed siebie z goryczą. Nikt nie wierzył w jej historię. Tracey prawdopodobnie skończy w szpitalu psychiatrycznym. Czy najpierw odbędzie się jej proces? Czy zostanie oskarżona o zabójstwo elektryka?

Te gliny nie wyglądały na takich, którzy sprostają zadaniu. Prawdopodobnie zajmowali się dotychczas ofiarami bójek

albo awantur rodzinnych. Cass wątpiła, czy przyjechał z nimi specjalista od kryminologii, by na miejscu zebrać dowody. Może to i lepiej.

Słońce przesunęło się wyżej na nieboskłonie.

Powietrze było cudownie czyste, dzień oślepiająco piękny.

Isabel odeszła, co do tego Cass nie miała wątpliwości. Ale na jak długo?

Nie śmiała wierzyć, że zniknęła na zawsze. Ten dzień był zupełnie inny od pozostałych. Panował spokój, ale nie martwa cisza. Do jej uszu docierały teraz nie tylko ściszone głosy policjantów. Słyszała też delikatny powiew wiatru, szczekanie psa, ćwierkot ptaka. Co pewien czas odzywała się krótkofalówka w wozie policyjnym.

Ten spokojny dzień rozleniwiał. Nieznośne, straszliwe napięcie, w którym żyli od chwili przybycia do Casa de Suenos, po prostu ustąpiło.

Sprawiło wrażenie, że w pobliżu wezbrała potężna chmura burzowa, przemknęła przez okolicę, a gdy się skończyła - ciśnienie spadło i napłynęło świeże, chłodne, czyste powietrze.

- *Senora?*

Cass spojrzała w stronę zbliżającego się policjanta. W rękach trzymał otwarty laptop. Na schodkach wejściowych zobaczyła Antonia, z ręką na temblaku, unieruchomiającym bark, w który został zraniony nożem. Rozmawiał z innym policjantem, który - jak Cass odniosła wrażenie - był tu zwierzchnikiem. Pomyślała, że muszą jak najszybciej porozmawiać, bo nie mieli jeszcze okazji zamienić nawet paru słów od czasu, gdy nadjechała pomoc.

Antonio szukał wzrokiem jej oczu.

Uśmiechnęła się.

Czuła jednak niepokój. Powiedziała sobie, że nie będzie rozmyślać, jaka czeka ich przyszłość. Była wykończona. Porażona. Tak wiele strasznych rzeczy spotkało ich w ciągu paru dni. Lecz... co stanie się teraz?

- *Senora*, proszę wybaczyć mój kaleki angielski - odezwał się gliniarz. - Ale znaleźliśmy to w bibliotece. *El conde* oświadczył, że sprzęt należy do pani. Na razie może pani za-

trzymać komputer, ale później będziemy go być może potrzebowali jako dowodu.

Cass omal się nie uśmiechnęła. Opanowała się jednak szybko. Dowód na co? Miała rację. Te gliny nie nadawały się do takiej sprawy. Ale to może i korzystniejsze dla Tracey.

- Tak, komputer jest mój.

- Czy mogłaby pani przetłumaczyć, *por favor?* Co tam jest napisane na monitorze?

Nagle Cass zeszywniała. Poczwała ciarki na plecach.

- Mogę - rzekła z lękiem.

Wręczył jej laptop.

Serce Cass zamarło.

Program Worda nadal działał. Ale pytanie, które poprzedniego dnia wystukała do Isabel, znikło. Na jego miejscu znajdowało się jedno zdanie zakończone kropką.

CHCĘ DO DOMU.

- *Senora?*

- „Tu leży Isabel de la Barca. Heretyczka i rozwiązała kobieta. Boże, zbaw jej duszę. Niech spoczywa w spokoju” - rzekła Cass głośnym szeptem.

Słońce znajdowało się w zenicie. Cass stała przy grobie Isabel. Isabel wyraziła życzenie powrotu do domu.

Najpierw wyczuła ukochanego, dopiero później go ujrzała. Jej serce się rozśpiewało, prawie na głos. Nie odwróciła się. Lecz gdy zatrzymał się obok niej, wsunęła dłoń w jego rękę. Pod powiekami poczuła łzy.

Przeszli tak wiele. A teraz - co będzie teraz?

- Ona chce wrócić do siebie - rzekła.

Wyzwolił rękę z jej uścisku i objął za ramię.

- A czy to nie jest najstosowniejsze? - zapytał. - Pochować ją w Anglii, w jej ojczyźnie?

Cass odwróciła się do niego. Ich oczy się spotkały.

- Przy zamku Romney jest cmentarz - odparła. - Jestem pewna, że zdobędziemy zezwolenie, by ją tam pochować.

- Pomogę ci - powiedział.

Poczwała rozlewającą się błogość w całym ciele.

- Jak dzieci?

- Właśnie się obudziły. Celia zabiera je do Pedrazy na ogromne śniadanie. Są zaproszone przez jednego z policjantów.

Cass skinęła głową. Zdawała sobie sprawę, że musi usiąść z Alyssą i wszystko jej wytłumaczyć. To nie będzie łatwe zadanie.

- Może dołączymy do nich - zaproponowała. Po raz pierwszy od wielu dni poczuła cień apetytu.

- Może - odparł. - Ale wolałbym zostać tu, sam z tobą, mimo że jestem bardzo głodny.

W tym momencie Cass uświadomiła sobie, czego naprawdę pragnie. Nie kryła tego przed sobą. Z rozkoszą wtuliła się w jego ramiona.

- Ja też - szepnęła, przytulając twarz do jego silnej, szerokiej piersi. Po chwili odchyliła się, żeby popatrzeć mu w oczy. - Sądzę, że ona odeszła - rzekła. - Myślę, że tym razem naprawdę zabrała się stąd. Wszystko jest tu dziś inne.

- I jak tak uważam - odparł Antonio. Popatrzył na nią poważnie. - Jej gniew płonął przez wieki. Teraz, zdaje się, wypalił się ostatecznie.

Cass znowu poczuła łzy pod powiekami.

- Wiem, przez co przeszła Tracey. To takie straszne. Prawie cię zabiłam, innych też. Ona była taka władcza, Antonio. Ale - jak mogę ją winić?

Uśmiechnął się i pogłaskał ją po włosach.

- Niech błogosławiona będzie jej grzeszna dusza - szepnął. - I błogosławieni wszyscy pozostali. Ale... Cassandro, ty to zwalczyłaś.

Odwzajemniła jego uśmiech, uspokojona zaufaniem, jakie w niej pokładał.

- Boże, słońce sprawia dziś tyle radości, prawda?

- Tak, to prawda - odpowiedział. - Ale też i ty sama czujesz się dziś dużo lepiej.

Napotkała jego wzrok i dostrzegła w nim napięcie.

- Czym się teraz niepokoisz, Antonio?

- Złożyliśmy zeznania na policji. Uważają nas wszystkich za niespełna rozumu. - Jego uśmiech był odrobinę przewrot-

ny. - Cassandro, twoja siostra nigdy nie będzie sądzona, jeśli to cię martwi.

- Zamordowała elektryka. - Cass nie chciała dłużej upierać się przy niewinności Tracey.

- Chociaż nie znoszę mówić w ten sposób, dobra wiadomość polega na tym, że elektryk był człowiekiem samotnym, nie miał rodziny. Liczę, że użyję swoich wpływów, by cała ta sprawa została zapomniana.

Obudził w niej nadzieję.

- Jak to możliwe?

- To są wieśniacy. Staroświeccy i zabobonni. O naszym rodzie krąży do dziś tyle plotek... A poza tym otacza nas fama nieszczęścia, tragedii. Jeśli będziemy mówić prawdę, to pewnie się okaże, że przerezamy tutejszych i że sprawa zostanie odłożona ad acta jako nie dająca się wyjaśnić w kategoriach racjonalnych. A jeśli nie, Tracey zostanie uznana za osobę chorą psychicznie i niezdolną do odbycia kary - dodał. - Każdy prawnik ci to powie.

- Boję się o nią. Ale jeśli zostanie umieszczona w zakładzie psychiatrycznym, może nie będzie to takie złe. Boże, Tonio, ona przeszła przez skrajnie traumatyczne doświadczenia. - Zamknęła oczy. Sama też doznała wiele złego od Isabel.

- Moja droga, masz teraz minę, która bardzo mi się podoba. To się nazywa „Działać na pół gwizdka”. I to właśnie będziemy teraz robić.

Wiedziała, że ma rację.

- Jeśli jest to dla ciebie jakąś pociechą, pragnę ci wyznać, że mam w Kastylii dużo więcej wpływów, niż mi to potrzebne. Jestem przekonany, że wszystko skończy się dobrze... dla niej, dla każdego... dla nas.

Cass zastygła.

- Nas. - Do niedawna nawet nie marzyła, że usłyszy to słowo od kogokolwiek, a zwłaszcza od Antonia de la Barki. - A więc jest jakieś „my”, tak? Zbliżyła nas do siebie Isabel, ale...

- Zdecydowanie istnieje coś takiego, jak „my” - uciął krótko, patrząc jej prosto w oczy. - I nie wierzę, że to ona nas

połączyła. Zaintrygowałaś mnie od pierwszego **naszego spotkania**.

Cass była urzeczona. Zapytała zalotnie:

- W Metropolitan Museum w Nowym Jorku?

Roześmiał się.

- A więc teraz domagasz się wyznań? No dobrze, przyznaję, że od razu zwróciłem na ciebie uwagę, już wtedy. Uroda i umysł to nieodparta kombinacja, jak dobrze wiesz.

Radość Cass nie miała granic. Jednakże uśmiech szybko znikł z jej twarzy.

- A co będzie, jeśli zechcemy zapomnieć o tych okropnych przeżyciach?

Pokręcił głową.

- Potrafiłabyś o nich kiedykolwiek zapomnieć? Czy zdołasz zapomnieć o niej?

Cassandra zobaczyła nagle Isabel w takiej postaci, w jakiej nie tak dawno ją widziała: ogarniętą morderczym szałem. I wtedy zamyśliła się nad kobietą zdradzoną przez stryja, kochanką i męża. Kobieta, która w wieku ośmiu lat straciła wszystkich najbliższych.

- Nie chcę o niej nigdy zapomnieć. Spotkała ją wielka tragedia... doznała strasznej niesprawiedliwości - orzekła. - Nie, wcale nie chcę zapomnieć. Pragnę tylko umieścić przeszłość tam, gdzie powinna być - w przeszłości. A chcę... - Tu przerwała.

- Czego chcesz, Cass? - zapytał.

Oczy jej się zaszklily.

- Chciałabym się dowiedzieć - wyjąkała - czy to, co się dzieje między nami, jest realne.

- Ja również - odparł z powagą.

Utkwili w sobie wzrok. Cass nie mogła się nadziwić, co się stało. A gdy wziął ją za rękę, rzekł:

- Potrzebny mi odpoczynek. Kiedy zaprosisz mnie i Eduarda do Belford House?

- Wypoczynek? - powtórzyła, czując, jak serce skacze jej z radości.

- Ty też go potrzebujesz - rzekł z taką surową miną, jakby był jej lekarzem.

Cass wybuchnęła śmiechem. Był to radosny, swobodny dźwięk, który odbił się echem w ten cudownie słoneczny, letni dzień.

- Czy odwiedzić mnie z Eduardem w Belford House? - zapytała oficjalnie.

Powoli na jego twarzy zakwitł uśmiech.

- Myślałem, że nigdy o to nie zapytasz - odparł.

EPILOG

Zamek Romney - obecnie

Zamek wznosił się na wysokim wzgórzu, poniżej leżał niewielki cmentarz. Cass szła wolno ścieżką pod górę, walcząc z lodowatym grudniowym wiatrem. Miała na sobie zimową ciepłą kurtkę, niemniej podmuchy wichury znad rozfalowanego morza przenikały ją do szpiku kości. Włożyła na głowę wełnianą czapkę. Niebo wisiało nisko, ciężkie i szare, grożąc pogorszeniem pogody.

Trzymała w ręce dwa bukiety białych róż. Pchnęła bramę cmentarną.

Idąc, przyglądała się nagrobkom, które, choć liczyły setki lat, były jej teraz doskonale znajome. Musiała stanąć przy jednym z nich, jak to już przedtem czyniła.

Pośrodku innych płyt kamiennych, poczerniałych od lat i deszczów, znajdował się ten, do którego zmierzała. Widniał na nim prosty napis: „Philip de Warenne, urodzony 10 maja 1555, zmarły 1 lutego 1608”.

Syn Isabel. Bastard jej kochanka. Była wstrząśnięta, gdy odkryła, że został pochowany tu, w Romney, ale jego ojciec, admirał de Warenne również tu spoczywał. Ten fakt nie powinien więc budzić zdziwienia.

Uklękła i położyła wiązanek u stóp mogiły, po chwili wstała.

Jeden z kamieni nagrobnych wznosił się ponad pozostałe. Nie był stary, został tu postawiony przed czterema miesiącami. Podeszła do niego. Był to nagrobek z białego marmu-

ru, nietknięty zębem czasu, niemal dokładnie jej wysokości. Był otoczony mniejszymi płytami nagrobnymi, noszącymi ślady zniszczenia. Cass zatrzymała się przed nim. Nawet ziemia na mogile była świeża, a niewielka działka obrośnięta zielenią. Leżał na niej bukiet zeschniętych czerwonych róż.

TU SPOCZYWA ISABEL DE LA BARCA
URODZONA? 1535, ZMARŁA 13 CZERWCA 1555
CÓRKA RALPHA DE WARENNE, HRABIEGO SUSSEX
ŻONA ALVARADA DE LA BARCA, HRABIEGO
PEDRAZY
KOBIECĄ, KTÓRA DOZNAŁA STRASZNEJ
NIESPRAWIEDLIWOŚCI
NIECH BÓG BŁOGOSŁAWI JEJ DUSZĘ
I DA JEJ WIECZNY SPOKÓJ
TERAZ I NA WIEKI WIEKÓW

Poczuła, jak pod jej powiekami wzbierają się łzy. Zawsze się tak zdarzało. Nie mogła odwiedzać grobu Isabel spokojnie - zawsze budziło to w niej ogromne emocje, choć od wydarzeń w Kastylii minął ponad rok.

Tych dni nie zapomni jednak nigdy.

Bywały poranki, kiedy budziła się i ogarniał ją straszny żal za ciotką. Ale czy nie jest mądre wyrażenie: „Kiedy zamykają się jedne drzwi, otwierają się drugie”? Zawsze będzie jej brakowało Catherine, nigdy nie przestanie jej kochać. Niemniej nigdy nie była bardziej szczęśliwa niż teraz.

A Tracey nie postawiono przed sądem. Musiała jednakże zgłosić się do prywatnego szpitala w Londynie na kurację antyalkoholową i antynarkotykową. Niedawno została wypisana i musi tylko uczęszczać do poradni, gdzie leczą ją również z depresji.

Cass położyła świeżą wiązankę obok zwiędłych róż.

W dole rozległ się klakson samochodowy.

Podskoczyła na jego dźwięk, bo choć sama podjechała do parkingu przy zamku, i tam zostawiła auto, domyśliła się natychmiast, kto na nią trąbi.

Czarne bmw, ignorując wszelkie znaki zakazu wjazdu, stało

tuż pod bramą cmentarną. Cass patrzyła, jak otwierają się drzwiczki od strony kierowcy i z samochodu wysiada mężczyzna. Ma na sobie czarną sportową marynarkę - musi mu być w niej zimno - a z nosa zsuwają mu się okulary w szylkretowej oprawce. Uśmiecha się do niej.

Jej serce zabiło radośnie. Nie widziała się z ukochanym od tygodni, spodziewała się go zaś dopiero nazajutrz. Ruszyła ścieżką w dół, machając na powitanie.

On jej również pomachał.

Rzuciła się w jego otwarte ramiona.

Po długim pocałunku cofnęli się o krok. Przygłodził kosmyk jej włosów wymykający się spod czapki.

- Witaj, Gassandro - rzekł.

- Powiedziałeś, że przyjeżdżasz jutro - odparła. W powietrzu pojawiło się kilka wirujących płatków śniegu.

Pomógł jej wsiąść do auta.

- Kłamałem. - Uśmiechnął się.

Gdy zatrząskiwali drzwiczki, Cass odpowiedziała mu uśmiechem. Antonio usiadł obok niej i ruszyli wijącą się szosą. Zjeżdżając ze wzgórza, zostawili za sobą grób i zamek, w którym wszystko się zaczęło, i skierowali się do Belford House. Cass była z mężczyzną, którego kochała, a wszystkie duchy zaznały w końcu spokoju.